

NOWA OPowieść AUTORKI ŚWIATOWEGO BESTSELLERA  
NIEZGODNA

NA  
ZNA  
CZE  
NI  
ŚMIERCIA

VERONICA  
ROTH

NAZNACZENI  
ŚMIERCIA,

VERONICA  
ROTH

Tłumaczenie: Zuzanna Byczek



Tłumaczenie: Zuzanna Byczek

Tytuł oryginału: *Carve the Mark*

Copyright © 2017 by Veronica Roth

All rights reserved.

Okładka © 2017 by Veronica Roth

Cover artist: Jeff Huang

Cover design by Joel Tippie

Used with permission. All rights reserved.

Typografia na polskiej okładce: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Redakcja: Ewa Holewińska, Anna Pawłowicz

Korekta: Justyna Czebanyk, Marta Chmarzyńska

Skład: Ekart

Polish language translation copyright © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

**ISBN 978-83-7686-540-9**

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://youtube.com/wydawnictwojaguar)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat: jaguar\_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## Spis treści

Dedykacja

\*\*\*

1

Rozdział 1. Akos

Rozdział 2. Akos

2

Rozdział 3. Cyra

Rozdział 4. Cyra

Rozdział 5. Cyra

Rozdział 6. Cyra

Rozdział 7. Cyra

Rozdział 8. Cyra

Rozdział 9. Cyra

Rozdział 10. Cyra

Rozdział 11. Cyra

Rozdział 12. Cyra

Rozdział 13. Cyra

Rozdział 14. Cyra

3

Rozdział 15. Akos

Rozdział 16. Cyra

Rozdział 17. Akos

Rozdział 18. Cyra

Rozdział 19. Akos

Rozdział 20. Cyra

Rozdział 21. Akos

Rozdział 22. Cyra

Rozdział 23. Akos

Rozdział 24. Cyra

Rozdział 25. Cyra

4

Rozdział 26. Akos

Rozdział 27. Akos

Rozdział 28. Akos

Rozdział 29. Cyra

Rozdział 30. Akos

Rozdział 31. Cyra

Rozdział 32. Akos

Rozdział 33. Cyra

Rozdział 34. Akos

Rozdział 35. Cyra

Rozdział 36. Akos

Rozdział 37. Cyra

Rozdział 38. Akos

Rozdział 39. Cyra

Rozdział 40. Akos

Rozdział 41. Cyra

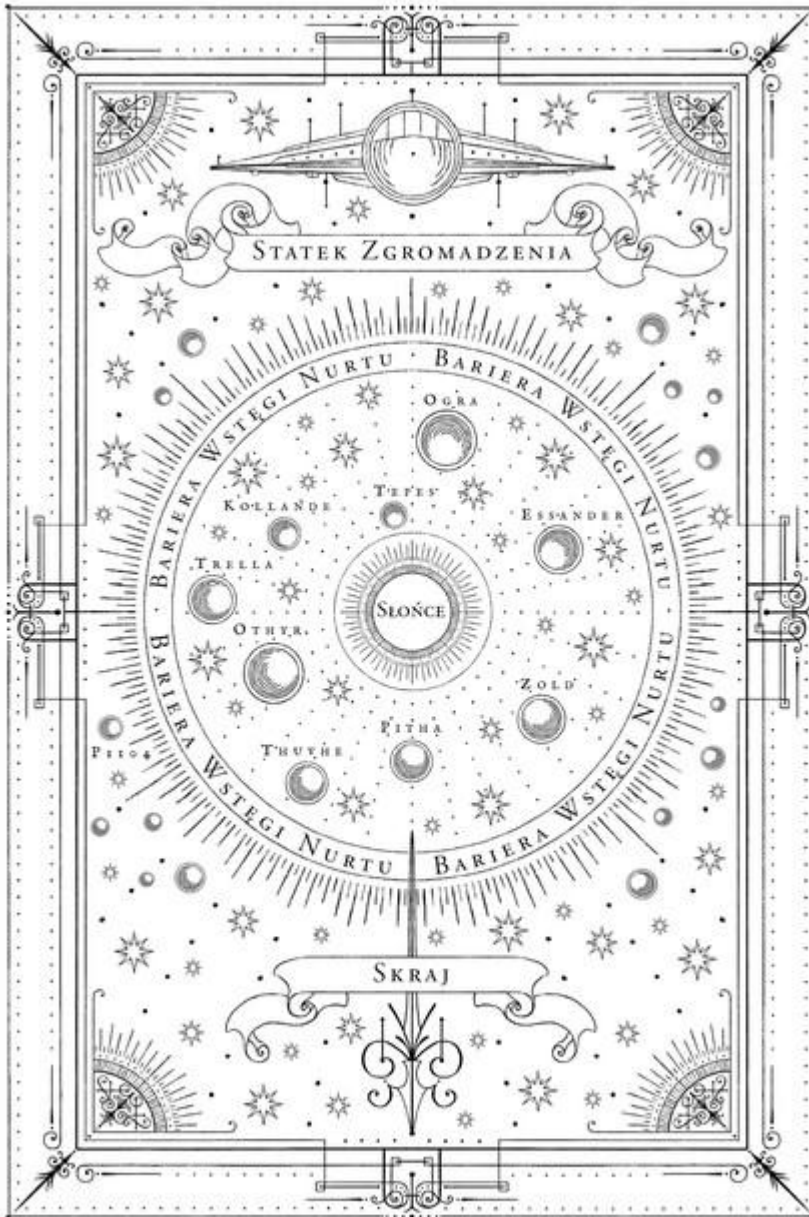
Rozdział 42. Akos

Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

*Dla Ingrid i Karla –*

*ponieważ kocham was w każdej wersji.*







SZAKWIATY ZAWSZE ROZKWITAŁY W NAJDŁUŻSZĄ NOC. Skulone płatki otwierały się w koronę intensywnej czerwieni, a całe miasto świętowało tę chwilę. Po części dlatego, że szakwiaty stanowiły siłę życiową ich ludu, a po części, jak sądził Akos, by nie powariować w zimnie.

Tego wieczoru, w Święto Kwitnienia, Akos pocił się w płaszczu, czekając na resztę rodziny. W końcu postanowił wyjść na podwórze, by się ochłodzić. Dom na planie koła zbudowano wokół paleniska, wszystkie ściany zewnętrzne i wewnętrzne były zaokrąglone. Prawdopodobnie po to, by zapewnić mieszkańcom szczęście.

Akos otworzył drzwi i mroźne powietrze natychmiast zaszczypało go w oczy, opuścił gogle, które zaparowały od ciepła skóry. Dłonią w rękawiczce chwycił po omacku pogrzebacz i wetknął go pod okap. Umieszczone pod spodem żarki wyglądały jak zwykle czarne grudy, ale pod dotykiem metalu roziskrzyły się różnymi kolorami, w zależności od tego, czym je posypano.

Poruszone, zajaśniały jaskrawą krwistą czerwienią. Tutaj, na zewnątrz, nie służyły do dawania ciepła czy światła – ich obecność miała po prostu przypominać o istnieniu nurtu. Tak jakby szum w głębi ciała nie wystarczał. Nurt przepływał przez wszystko, co żyje, przez każdą najdrobniejszą rzecz, i ukazywał się na niebie pod postacią wielobarwnej wstęgi. Jak żarki. Jak światła sterolotów śmigających w górze, w drodze do centrum miasta. Ludzie mieszkający na innych planetach, którzy sądzili, że ta planeta jest jednostajnie białym śnieżnym pustkowiem, bardzo się mylili.

Eijeh, starszy brat Akosa, wystawił głowę na zewnątrz.

– Lubisz marznąć? Mama prawie gotowa.

Kiedy wybierali się do świątyni, mama zawsze poświęcała więcej czasu na przygotowania. Cóż, w końcu była wyrocznią. Wszystkie spojrzenia będą zwrócone na nią.

Akos odłożył pogrzebacz i wrócił do środka, przesunął gogle na czoło, ściągnął maskę osłaniającą twarz.

Tata i Cisi, najstarsza z rodzeństwa, stali przed głównym wyjściem,

ubrani w najcieplejsze płaszcze. Wszystkie uszyto z futra kutyi – które nie przyjmowało barwników, więc zawsze występowało w naturalnym szaro-białym kolorze – i zaopatrzone w kaptury.

– Wszyscy gotowi? Doskonale – powiedziała mama, opatulając się szczelnie, po czym zmierzyła wzrokiem stare buty męża i dodała: – Gdzieś tam prochy twego ojca trzęsą się z oburzenia, widząc te brudne buciory.

– Wiem i dlatego tak starannie je pobrudziłem – odparł tata z krzywym uśmiechem.

– Świetnie – odparła. A właściwie niemal zaszcebiotała. – Mnie takie właśnie się podobają.

– Podoba ci się wszystko, czego nie lubił mój ojciec.

– Ponieważ twój ojciec niczego nie lubił.

– Możemy wejść do sterolotu, póki jest w nim ciepło? – zaproponował Eijeh nieco zrzędlivym tonem. – Ori czeka na nas koło pomnika.

Mama uporała się z płaszczem i włożyła maskę. Ruszyli podgrzewanym chodnikiem, turlając się jak kule, szczelnie opakowani w futra, gogle i rękawice. Czekał już na nich okrągły przysadzisty pojazd, unoszący się tuż nad zaspą śniegu, na wysokości kolan. Na dotyk mamy drzwi się otworzyły i wszyscy załadowali się do środka. Cisi i Eijeh musieli wciągnąć Akosa za ręce, bo był za mały, żeby wejść samodzielnie. Nikt nie przejmował się pasami bezpieczeństwa.

– Do świątyni! – zawołał tata, unosząc pięść. Zawsze tak pokrzykiwał przy podobnych okazjach. Jakby próbował rozweselić towarzystwo pogrążone w nudnej lekturze czy czekające w długiej kolejce w dzień wyborów.

– Gdyby tak dało się zapakować ten entuzjazm w butelki i sprzedawać go wszystkim mieszkańcom Thuvhe. Większość z nich widuję raz do roku i to wyłącznie dlatego, że czeka na nich poczęstunek – powiedziała mama ze słabym uśmiechem.

– To doskonałe rozwiązanie – stwierdził Eijeh. – Wystarczy wabić ich jedzeniem przez całą porę.

– Oto mądrość dziecka – odparła mama, wciskając przycisk zapłonu.

Sterolot gwałtownie zerwał się w przód i jednocześnie do góry, wszyscy stracili równowagę i poprzewracali się na siebie. Eijeh ze śmiechem odepchnął Akosa.

Przed nimi migotały światła Hessy. Miasto owijało się wokół wzgórza – w dole widniała baza wojskowa, w górze zaś świątynia, a pomiędzy nimi wszystkie pozostałe budynki. Świątynia, do której właśnie zmierzali, była wielką kamienną budowlą z wznoszącą się pośrodku kopułą, która robiła wrażenie ulepionej z tysięcy kolorowych szybek. Kiedy świeciło słońce, szczyt wzgórza płonął pomarańczą i czerwienią. Co znaczyło, że płonął tymi kolorami bardzo rzadko.

Sterolot sunął wzdłuż wzniesienia, ponad kamienistą Hessą, tak starą jak ich planeta-naród Thuvhe, jak nazywali ją wszyscy z wyjątkiem nieprzyjaciół. Słowo to było bowiem trudne do wypowiedzenia dla kogoś spoza ich świata, niemal się nim dławili.

Połowa wąskich budynków tonęła w zaspach. Niemal wszystkie stały puste. Mieszkańcy – a w każdym razie ci, którzy liczyli się w społeczeństwie – zmierzali tego wieczoru do świątyni.

– Widziałaś dzisiaj coś interesującego? – spytał tata mamę, okrążając szerokim łukiem wysoki, sterczący w niebo i zataczający kręgi wiatromierz.

Akos domyślał się po tonie głosu, że tak naprawdę tata pyta ją o wizje. Każda z planet należących do galaktyki miała po trzy wyrocznie: wschodzącą, zasiadającą, jak ich mama, i upadającą. Akos nie do końca rozumiał, co to oznacza, wiedział tylko, że nurt szeptem opowiada mamie do ucha o przyszłości, a ludzie żywią do niej z tego powodu nabożny szacunek.

– Niedawno widziałam w jednej z wizji twoją siostrę... – zaczęła mama. – Ale ona pewnie wcale nie chciałaby o tym wiedzieć.

– Uważa, że przyszłość należy traktować z powagą i szacunkiem.

Mama powiodła wzrokiem po twarzach Akosa, Eijeha i Cisi.

– Właściwie powinnam się tego spodziewać, wchodząc do rodziny wojskowego – powiedziała po chwili. – Najchętniej wszystko byście poddali ścisłym regulacjom, nawet mój dar nurtu.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ja przeciwstawiłem się rodzinnym oczekiwaniom i wybrałem karierę farmera, nie wojskowego wysokiej

rangi – odparł tata. – A moja siostra nie ma nic złego na myśli, po prostu czasami się denerwuje, to wszystko.

– Hmmm – odrzekła mama, jakby wiedziała, że to jednak nie wszystko.

Cisi zaczęła nucić. Akos znał tę melodię, ale nie potrafił powiedzieć skąd. Siostra wyglądała przez okno, nie zwracając uwagi na sprzeczki rodzinne. Kilka tyków później spory ucichły. Tata zawsze powiadał, że Cisi działa na ludzi w wyjątkowy sposób. Kojąco.

Świątynia lśniła światłami na zewnątrz i w środku, ponad łukowatym wejściem wisały sznury latarenek nie większych od pięści Akosa. Wszędzie tłoczyły się steroloty, o tłustych brzuchach owiniętych wstęgami kolorowego światła, zaparkowane na stoku wzgórza bądź krążące wokół dachu kopuły w poszukiwaniu miejsca do wylądowania. Mama знаła wszystkie sekretne zakamarki wokół świątyni i teraz nakierowała tatę w stronę zacienionej wnęki obok refektarza. Po wyjściu z pojazdu ruszyła truchtem, wiodąc ich za sobą w stronę bocznych drzwi.

Ruszyli korytarzem z ciemnego kamienia, stąpając po dywanach tak wytartych, że gdzieś widać było przez nie posadzkę. Minęli niewielkie oświetlone świecami miejsce pamięci poświęcone mieszkańcom Thuvhe, którzy zginęli podczas inwazji ludu Shotet. Te wydarzenia miały miejsce przed narodzinami Akosa.

Zwolnił kroku, by popatrzeć na migotliwe świece. Nagle ktoś chwycił go z tyłu za ramię. Akos otworzył usta, zaskoczony i przestraszony. Zarumienił się, uświadomiwszy sobie, że to tylko jego brat. Eijeh dźgnął go palcem w policzek i roześmiał się.

– Nawet w ciemności widzę, jaki jesteś czerwony!

– Zamknij się! – warknął Akos.

– Eijeh – wtrąciła się mama. – Nie drażnij się z bratem.

– To był tylko żart...

Akos był na siebie wściekły. Rumienił się z byle powodu, przy każdej okazji.

Skierowali się do wnętrza budowli. Przed Salą Przepowiedni zgromadził się tłum. Wszyscy zdejmowali wysokie wierzchnie obuwie, pozbywali się płaszczy, czochrali włosy przyklapnięte pod kapturami,

chuchali ciepłym oddechem na zmarznięte palce. Keresethowie złożyli płaszcze, gogle, rękawice, buty i maski w ciemnej wnęce pod fioletowym oknem oznaczonym symbolem nurtu.

Nagle Akos usłyszał znajomy głos:

– Eij! – Korytarzem pędziła Ori Rednalis, najlepsza przyjaciółka Eijeha.

Robiła wrażenie pokracczej tyczki, złożonej głównie z kolan, łokci i potarganych włosów. Miała na sobie suknię – Akos nigdy dotąd nie widział jej w takim stroju – z ciężkiej fioletowo-czerwonej tkaniny, zapinanej na ramieniu jak mundur wojskowy. Jej knykcie też były czerwone – z zimna.

Zatrzymała się gwałtownie tuż przed Eijehem.

– No jesteś. Zdążyłam wysłuchać dwóch przemów mojej ciotki na temat Zgromadzenia i zaraz chyba eksploduję.

Akos miał okazję słyszeć jedną z przemów ciotki Ori, również na temat Zgromadzenia, czyli ciała rządzącego galaktyką, które według niej cenilo Thuvhe jedynie z powodu uprawy lodokwiatów, a przede wszystkim bagatelizowało ataki ze strony ludu Shotet, nazywając je „sporami obywatelskimi”. Owszem, ciotka miała rację, lecz Akos jakoś nie przepadał za wygłaszającymi przemowy dorosłymi. Nigdy nie wiedział, jak należy zareagować.

– Aoseh, Sifa, Cisi, Akos, cześć wszystkim! Szczęśliwego Święta Kwitnienia! Chodźmy, Eij. – Ori szybko wyrzucała słowa, nie tracąc czasu na złapanie oddechu.

Eijeh pytająco spojrział na tatę, a ten machnął dłonią.

– No idź, idź. Tylko dołącz do nas później.

– I pamiętaj, jeśli złapiemy cię z fajką w zębach, jak w zeszłym roku – dorzuciła mama – będziesz musiał zjeść to, co jest w środku.

Eijeh uniósł brwi. Nigdy, w żadnej sytuacji, nie czuł się zakłopotany, nigdy się nie rumienił. Nawet kiedy dzieciaki w szkole wyśmiewały się z jego głosu – wyższego niż u większości chłopców – albo z jego życia w dostatku, co tutaj, w Hessie, nikomu nie przysparzało popularności. Eijeh nigdy nie odpowiadał na zaczepki. Miał taki dar, że potrafił się od wszystkiego odciąć. Dopuszczał do siebie pewne rzeczy tylko wtedy, kiedy tego chciał.

Chwycił Akosa za łokieć i pociągnął za sobą. Cisi jak zwykle została z rodzicami. Eijeh i Akos popędzili za Ori i wszyscy troje wpadli do Sali Przepowiedni.

Ori otworzyła usta ze zdumienia. Akos zajrzał do środka i omal nie zareagował podobnie. Wszędzie wisiały zaczepione u szczytu kopuły sznury z setkami latarenek, żarzących się czerwienią od pyłu szakwiatu, którym je posypano. Sznury rozbiegały się w najdalsze kąty, we wszystkich kierunkach, tworząc dosłownie baldachim ze świateł. Nawet zęby Eijeha zaślniły czerwienią, kiedy pokazał je w szerokim uśmiechu. Pośrodku sali, zwykle pustej, spoczywała gruba tafla lodu o szerokości odpowiadającej mniej więcej wzrostowi dorosłego mężczyzny. W jej wnętrzu rosły dziesiątki szakwiatów o nabrzmiąłych pąkach, mających lada chwila rozkwitnąć.

Taflę oświetlały ustawione dokoła maleńkie latarenki z żarków. Te lśniły na biało, zapewne po to, by uwydatnić prawdziwą barwę szakwiatów, czerwień przewyższającą głębią światło każdej latarni – głęboką i intensywną niby krew, jak powiadali niektórzy.

Wokół kręciło się sporo ludzi ubranych w najlepsze stroje: luźne szaty okrywające całe ciało z wyjątkiem głowy i dłoni, zapinane na misterne szklane guziczki w przeróżnych kolorach, sięgające kolan kamizele obszyte miękką skórą elte oraz szale owinięte dwa razy wokół szyi. Wszystko w ciemnych głębokich barwach, wszelkich możliwych, oprócz szarości i bieli. Te kolory zarezerwowano dla płaszczy noszonych na zewnątrz. Akos miał na sobie ciemnozieloną kurtkę, wcześniej należąca do Eijeha i wciąż za szeroką w ramionach, Eijeh zaś brązową.

Ori poprowadziła ich prosto do stołów z poczęstunkiem. Stała tam jej skwaszona ciotka, podająca talerze przechodzącym. Nawet nie spojrzała na Ori. Akos wiedział, że Ori nie przepada za ciotką i wujem, co tłumaczyło, czemu praktycznie mieszka w domu Keresethów, nie miał jednak pojęcia, co się stało z jej rodzicami.

Eijeh wepchnął bułkę do ust, omal nie dławiąc się okruchami.

– Ostrożnie – powiedział Akos. – Uduszenie pieczywem to niezbyt zaszczytny rodzaj śmierci.

– Przynajmniej umrę, robiąc to, co kocham najbardziej – odparł Eijeh z jedzeniem w ustach.



Akos zaśmiał się.

Ori otoczyła ramieniem szyję Eijeha i przyciągnęła jego głowę do siebie.

– Nie patrz. Gapią się na nas, z lewej.

– I co? – spytał Eijeh, prychając okruciami.

Ale Akos poczuł palące gorąco na karku. Odważył się zerknąć w lewo, ponad ramieniem brata. Stała tam niewielka grupa dorosłych, obserwujących ich w milczeniu.

– Powinieneś już do tego przywyknąć, Akos – powiedział Eijeh. – W końcu ciągle się to zdarza.

– Może to raczej *oni* powinni przywyknąć *do nas* – odparł Akos. – Mieszkamy tu od urodzenia i od początku mieliśmy losy, na co tu się gapić?

Każdy człowiek miał jakąś przyszłość, ale nie każdy miał los – tak przynajmniej powiadała ich mama. Tylko członkowie „uprzywilejowanych” rodzin, zwanych wybrańcami, dostawali losy, potwierdzone jednogłośnie świadectwem wyroczni na każdej z planet. Mama mówiła, że kiedy zjawiają się te wizje, potrafią wybudzić ją z głębokiego snu, takie są silne.

Eijeh, Cisi i Akos – wszyscy troje mieli losy. Tyle że ich nie znali, chociaż ich własna mama należała do grona osób, które je widziały. Zawsze powtarzała, że nie musi im nic mówić, że świat zrobi to za nią.

Podobno losy determinowały ruchy świata. Jeśli Akos zastanawiał się nad tym zbyt długo, robiło mu się słabo.

Ori wzruszyła ramionami.

– Ciotka wspominała, że w ostatnich wiadomościach Zgromadzenie wyraziło się krytycznie na temat wyroczni, pewnie wszyscy teraz tylko o tym myślą.

– Krytycznie? – zdziwił się Akos. – Dlaczego?

Eijeh nie podjął tematu.

– Chodźcie, poszukajmy jakiegoś dobrego miejsca.

– Tak. – Ori rozpromieniła się. – Nie chcę skończyć, gapiąc się na cudze tyłki, jak ostatnio.

– Przez tę porę chyba wyrosłaś nad poziom cudzych tyłków – zauważył Eijeh. – Teraz jesteś mniej więcej na poziomie połowy pleców.

– Jasne, po to włożyłam tę suknię, żeby gapić się na cudze plecy. – Ori wywróciła oczami.

Akos zanurkował w tłum zgromadzony w Sali Przepowiedni, schylając głowę pod licznymi kieliszkami wina. Dotarł na sam przód, tuż obok tafli lodu i skrytych w niej pąków szakwiatu. Akurat zdążyli – mama już stała na swoim miejscu i zdjęła buty, chociaż było chłodno. Mawiała, że przepowiednie lepiej jej wychodzą, kiedy ma bezpośredni kontakt z ziemią.

Akos jeszcze kilka tyków wcześniej rozprawiał z Eijehem i głośno się śmiał, ale kiedy tłum ucichł, również w nim wszystko pograżyło się w ciszy.

Eijeh pochylił się i wyszeptał mu do ucha:

– Czujesz? Nurt szumi tu jak szalony. Klatka piersiowa dosłownie mi wibruje.

Akos dotąd nie zwrócił na to uwagi, ale Eijeh miał rację – on też odnosił wrażenie, że jego klatka piersiowa wibruje, a krew śpiewa. Nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo mama zaczęła przemawiać. Niezbyt głośno, ale nie było to konieczne, wszyscy znali te słowa na pamięć.

– Nurt przepływa przez każdą z planet galaktyki, dając nam światło, przypominające o jego mocy.

Jak na zawołanie, wszyscy unieśli głowy i spojrzeli na wstęgę nurtu widoczną na niebie za czerwonym szkłem kopuły. O tej porze roku miała barwę ciemnej czerwieni, dokładnie taką jak szakwiaty, jak szkło. Wstęga stanowiła widoczny przejaw nurtu, który przepływał przez nich wszystkich, przez wszystko, co żyje. Wił się przez całą galaktykę, łącząc planety niczym koraliki na nitce.

– Nurt przepływa przez wszystko, co ma w sobie życie – mówiła dalej Sifa. – Tworzy przestrzeń, w której życie może rozkwiatać. Nurt przepływa przez każdego, kto oddycha powietrzem, i u każdego objawia się w inny sposób, przesiany przez sito danego umysłu. Nurt przepływa przez każdy z kwiatów kwitnących w lodzie.

Zbliżyli się i ścisnęli wokół lodowej tafli – nie tylko Akos, Eijeh i Ori, ale wszyscy zgromadzeni w sali, ramię przy ramieniu, by widzieć, co się dzieje z uwięzionymi w lodowym kryształach szakwiatami.

– Nurt przepływa przez każdy z kwiatów kwitnących w lodzie –

powtórzyła Sifa – dając im moc, by rozwinęły płatki w najgłębszych ciemnościach. Najwięcej mocy daje szakwiatom, które wyznaczają upływ czasu, dają nam śmierć i dają nam pokój.

Na chwilę zapadła cisza i wcale nie wydawała się dziwna i niezręczna. Jakby wszyscy razem nucili jakąś melodię stłumionymi głosami, czując przedziwną siłę napędzającą ich wszechświat, podobną sile tarcia, dającej energię żarkom.

I nagle – ruch. Drgnięcie płatka. Skrzypienie łądygi. Drżenie przeszło przez niewielkie poletko szakwiatów. Wszyscy milczeli.

Akos zerknął w górę, na czerwone szkło kopuły, na baldachim latarenek – i o mało nie przegapił kluczowego momentu. Nagle rozwinęły się wszystkie kwiaty. Czerwone płatki rozłożyły się jednocześnie, ukazując jasne środki. Tafla lodu rozbłysła kolorem.

Wszyscy rozdziawili usta w zachwycie i zaczęli klaskać. Akos też, aż ręce go rozboleły. Tata podszedł do mamy, ujął jej dłonie i ją pocałował. Dla wszystkich pozostałych była nietykalna: Sifa Kereseth, *wyrocznia* – ta, której nurt pokazywał wizje przyszłości. On jednak stale jej dotykał – kiedy się uśmiechała, wsadzał koniuszek palca w dołek w jej policzku, wsuwał na miejsce kosmyki wymykające się z koka, zostawiał mączyste odciski palców na jej ramionach, kiedy skończył zagniatą ciasto na chleb.

Tata nie potrafił zobaczyć przyszłości, umiał za to naprawiać rękami różne rzeczy, takie jak zbite talerze, pęknięty ekran czy wystrzępiony brzeg starej koszuli. Czasem można było odnieść wrażenie, że umie naprawiać również ludzi, kiedy wpakują się w tarapaty. Tak więc Akos nie poczuł się zażenowany, gdy tata podszedł do niego i wziął go na ręce.

– Najmniejsze Dziecko! – zawołał, przerzucając sobie Akosa przez ramię. – Ooo, no nie takie znowu małe. Chyba koniec z tą zabawą.

– Ale chyba nie dlatego, że ja jestem duży, tylko dlatego, że ty jesteś stary – odparował Akos.

– Takie słowa z ust własnego syna! Na jaką karę zasłużył tak ostry język, pytam?

– Nie...

Za późno. Tata puścił go i złapał za kostki. Wisząc do góry

nogami, Akos przycisnął ubranie do ciała, lekko przestraszony, nie mógł jednak powstrzymać się od śmiechu. W końcu Aoseh opuścił go niżej i postawił bezpiecznie na ziemi.

– Niech to będzie dla ciebie lekcja na temat pyskowania i jego skutków – powiedział, pochylając się nad synem.

– W wyniku pyskowania krew napływa do głowy? – zapytał Akos, mrugając niewinnie powiekami.

– Dokładnie tak. – Aoseh uśmiechnął się szeroko. – Szczęśliwego Święta Kwitnienia.

Akos też się wyszczerzył.

– Wzajemnie.

Siedzieli do późna, aż Eijeh i Ori zasnęli na siedząco przy kuchennym stole. Mama ułożyła Ori na sofie w salonie, gdzie zresztą ostatnimi czasy dziewczyna spędzała prawie co drugą noc, tata zaś zbudził Eijeha i wkrótce obaj poszli spać. Zostali tylko Akos i mama – oni zawsze siedzieli najdłużej.

Mama włączyła ekran i ściszyła dźwięk, by obejrzeć wiadomości Zgromadzenia. Zgromadzenie składało się z dziewięciu planet-narodów, największych i najważniejszych ze wszystkich. Teoretycznie każda planeta-naród zachowywała niezależność, ale Rada Zgromadzenia regulowała zasady rządzące handlem, bronią i podróżowaniem, a także narzucała prawa w nieuregulowanej przestrzeni. Wiadomości pokazywały sprawy dotyczące wszystkich planet po kolei: kurczące się zasoby wodne na Tepes, nowy wynalazek medyczny na Othyrze, atak piratów na statek na orbicie Pithy.

Mama zaczęła otwierać puszki z suszonymi ziołami. Akos najpierw myślał, że zamierza przyrządzić napój uspokajający, by oboje łatwiej zasnęli, ona jednak podeszła do szafy w korytarzu i wyjęła z niej słoje pełen szakwiatów, stojący na najwyższej półce, gdzie zwykle nikt nie zaglądał.

– Pomyślałam, że dzisiejsza lekcja powinna być wyjątkowa – powiedziała Sifa.

Podczas lekcji o lodokwiatach Akos zawsze myślał o niej w ten sposób – „Sifa”, nie „mama”. Zaczęła nazywać te nocne sesje lekcjami jakieś dwa lata temu. Początkowo oboje traktowali je trochę jak zabawę,

z czasem jednak uległo to zmianie. Dziś mama wyglądała wyjątkowo poważnie.

– Wyjmij deskę i pokrój trochę korzeni harvy – poleciła, naciągając rękawiczki. – Już używaliśmy szakwiatu, prawda?

– W eliksirze nasennym – odparł Akos. Stał po jej lewej stronie z deską, nożem i kawałkiem korzenia harvy, zapiaszczonego, chorobliwie bladego i pokrytego warstwą meszku.

– A co do tej rozrywkowej mikstury – dodała – chyba już wspominałam, że kiedyś przyda ci się na imprezy. *Jak będziesz starszy.*

– Wspominałaś – potwierdził Akos. – Wtedy też powiedziałaś: „Jak będziesz starszy”.

Kącik ust Sify lekko się uniół. W kwestii uśmiechu zwykle nie można było liczyć z jej strony na więcej.

– Te same składniki, których twoja starsza wersja będzie mogła użyć w celach rozrywkowych, da się wykorzystać również do sporządzenia trucizny – powiedziała, poważniejąc. – Trzeba podwoić dawkę szakwiatu i zmniejszyć o połowę ilość korzenia harvy. Rozumiesz?

– Dlaczego... – zaczął Akos, ale ona już zmieniła temat.

– A więc... – powiedziała, kładąc płatek szakwiatu na swojej desce do krojenia. Wciąż był czerwony, ale zwiędły i skurczony do rozmiarów jej kciuka. – Co zajmuje twój umysł dzisiejszego wieczoru?

– Nic – odparł. – Może tylko to, że ludzie strasznie się na nas gapili.

– Fascynują ich wybrańcy losu. Chciałabym móc ci powiedzieć, że kiedyś przestaną – dodała z westchnieniem – ale obawiam się, że... *na ciebie* zawsze będą się gapić.

Miał ochotę zapytać, co znaczy to podkreślone „na ciebie”, ale przy takich okazjach zawsze wolał zachować ostrożność. Wiedział, że jeśli zada nieodpowiednie pytanie, Sifa może nagle zakończyć lekcję. A jeśli zada odpowiednie, może dowiedzieć się rzeczy, o których tak naprawdę wiedzieć nie chciał.

– A ty? – zapytał. – Co zajmuje twój umysł?

– Ach. – Kroiła szybko i zręcznie, nóż robił szybkie „tap tap tap” na desce. Akos czynił postępy, ale i tak zdarzało mu się ukroić za duże

kawałki. – Dzisiaj nękają mnie myśli o rodzinie Noaveków.

Miała gołe stopy. Stopy z podkurczonymi palcami – stopy wyroczeni.

– To rodzina, która rządzi w Shotet – wyjaśniła. – Kraju naszych wrogów.

Shotet to była nazwa ludu, nie planety-narodu. Ludu uchodzącego za gwałtowny, nawet brutalny. Mieli zwyczaj zaznaczać nacięciem na ramieniu każdą zadaną przez siebie śmierć i ćwiczyli swe dzieci w sztuce wojennej. Żyli na Thuvhe, tej samej planecie co Akos i jego rodzina – chociaż oni jej tak nie nazywali, tak jak siebie nie określali mianem narodu Thuvhe – za szerokim pasem porośniętym piórzycą. Tą samą trawą, która ocierała się o okna rodzinnego domu Akosa.

Jego babka, matka taty, zginęła podczas jednej z inwazji ludu Shotet, uzbrojona jedynie w szeroki nóż – przynajmniej tak wynikało z opowieści taty. A Hessa wciąż nosiła blizny po brutalnych wizytach sąsiadów: imiona utraconych osób wyryte na niskich kamiennych murach i połatane okna o popękanych szybach.

Zaraz za pasem piórzycy. Czasem wydawało się, że są na wyciągnięcie ręki.

– Noavekowie są wybrańcami losu, wiedziałeś o tym? Tak jak ty i twoje rodzeństwo – ciągnęła Sifa. – Wyroczenie nie zawsze dostrzegały losy w tym rodzie, to zdarzyło się dopiero za mojego życia. Fakt ten dał Noavekom przewagę nad rządem w Shotet i pozwolił przejąć nad nim kontrolę. Od tej pory władza znajduje się w ich rękach.

– Nie wiedziałem, że to możliwe. Że nagle jakaś nowa rodzina dostaje losy.

– Cóż, ci z nas, którzy mają dar zaglądania w przyszłość, nie sprawują kontroli nad tym, kto dostaje los – wyjaśniła. – Widzimy setki różnych wersji przyszłości, setki potencjalnych możliwości. Ale los to coś, co przydarza się danej osobie w każdej wersji, a to już jest rzadkością. I to właśnie losy decydują o tym, które rodziny są wybrańcami, nie odwrotnie.

Nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Ludzie zawsze przedstawiali to tak, jakby wyroczenie przydzielały losy niczym prezenty wyjątkowym, ważnym osobom, ale ze słów mamy wynikało, że jest dokładnie na

odwrót. Losy *sprawiwały*, że niektóre rodziny były wyjątkowe.

– A więc widziałaś ich losy. Tych Noaveków.

Przytaknęła.

– Syna i córki. Mają na imię Ryzek i Cyra. On jest starszy od ciebie, ona w twoim wieku.

Słyszał już te imiona i różne idiotyczne opowieści. Że toczą pianę z ust, że trzymają oczy wrogów w słoiku, że mają ramiona poznaczone nacięciami od nadgarstka do końca ramienia. Może to ostatnie nie brzmiało aż tak nieprawdopodobnie.

– Czasem łatwo dostrzec, dlaczego ktoś staje się takim, jaki jest – powiedziała miękko mama. – Ryzek i Cyra to dzieci tyrana. Lazmet, ich ojciec, jest synem kobiety, która wymordowała własnych braci i siostry. Przemoc infekuje każde z pokoleń. – Przekrzywiła głowę, a jej ciało zakołysało się w przód i w tył. – A ja widzę. Widzę to wszystko.

Akos chwycił jej dłoń i ścisnął.

– Przykro mi, Akosie – dodała.

Nie wiedział, czy przeprosza za to, że za dużo mówi, czy też za coś innego, ale nie miało to większego znaczenia.

Stali tak jeszcze przez chwilę, słuchając pomruku wiadomości, a najciemniejsza z nocy jakby jeszcze bardziej pociemniała.

## Rozdział 2 | Akos

– TO WYDARZYŁO SIĘ W ŚRODKU NOCY – powiedział Osno, dumnie wypinając pierś. – Miałem skaleczenie na kolanie i nagle zaczęło piec. A kiedy odrzuciłem kołdrę, okazało się, że znikło.

Sala szkolna miała dwie ściany zaokrąglone i dwie proste. Pośrodku stało potężne palenisko pełne żarków. Nauczycielka zawsze chodziła wokół niego, skrzypiąc wysokimi butami. Czasem Akos liczył, ile rundek zrobiła w ciągu jednej lekcji. Wynik zawsze był dość wysoki.

Wokół paleniska stały metalowe krzesła z wmontowanymi z przodu pod kątem szklanymi ekranami. Teraz rozświetlała je lekka poświata, znak, że są gotowe rozpocząć lekcję. Ale nauczycielka wciąż się nie zjawiała.

– Pokaż – powiedziała Riha.

Zawsze nosiła szaliki wyszywane w mapy Thuvhe – prawdziwa patriotka, i nigdy nikomu nie wierzyła na słowo. Kiedy ktoś wysuwał jakieś twierdzenie, marszczyła piegowaty nos, póki nie dostała dowodu.

Osno przyłożył mały scyzoryk do kciuka i naciął skórę. Krew wypłynęła z ranki i niemal natychmiast – nawet Akos widział to wyraźnie, chociaż siedział z dala od reszty klasy – skóra zaczęła się zamykać niczym zamek błyskawiczny.

Każdy dostawał dar nurtu wraz z osiągnięciem odpowiedniego wieku, kiedy już w jego ciele zaszły zmiany. Co znaczyło – sądząc po tym, jak drobny był Akos jak na swoje czternaście pór – że jeszcze trochę będzie musiał poczekać. Czasem dar przechodził w rodzinie na kolejne pokolenia, a czasem nie. Czasami okazywał się przydatny, ale nie zawsze. Dar Osno z pewnością należał do tych pożytecznych.

– Niesamowite – stwierdziła Riha. – Nie mogę się już doczekać swojego. Wiedziałaś wcześniej, co dostaniesz?

Osno był najwyższym chłopakiem w klasie i zawsze stał bardzo blisko rozmówcy, by ten przypadkiem o tym nie zapomniał. Ostatni raz rozmawiał z Akosem porę temu. Wtedy to matka Osno rzuciła na odchodnym: „Jak na wybrańca losu, nie wygląda zbyt imponująco, prawda?”.

Osno odpowiedział: „Ale jest całkiem miły”.



Akos jednak wcale nie był miły. Po prostu ludzie zwykli takim mianem określać osoby ciche.

Osno otoczył ramieniem oparcie krzesła i ruchem głowy odrzucił ciemne kosmyki wpadające mu do oczu.

– Mój tata powiada, że im lepiej znasz samego siebie, tym mniej zaskoczy cię twój dar.

Riha zgodnie pokiwała głową. Akos założył się w duchu z samym sobą, że do końca pory Osno i Riha będą razem.

Nagle ekran przy drzwiach zamigotał i wyłączył się. Zaraz potem zgasły wszystkie światła, również te widoczne z korytarza w szparze pod drzwiami. Cokolwiek Riha zamierzała powiedzieć, słowa zamarły jej na ustach. Akos usłyszał dobiegający z korytarza donośny głos. A potem skrzypnięcie własnego krzesła, kiedy odsunął je błyskawicznym ruchem.

– Kereseth...! – szepnął ostrzegawczo Osno.

Akos nie rozumiał, dlaczego niby miały się bać wyrzeć na korytarz. Nic przecież stamtąd nie wyskoczy i go nie pożre. Uchylił drzwi, tak by zmieścić się w szparze, i wyjrzał na wąski korytarz. Szkołę zbudowano na planie koła, tak jak wiele innych budynków w Hessie. Korytarz oddzielał umieszczone pośrodku gabinety nauczycieli od sal lekcyjnych biegnących dokoła, wzdłuż obwodu. Kiedy światła zgasły, w całym budynku zapanowały nieprzeniknione ciemności. Akos widział jedynie pomarańczowe światełka awaryjne u szczytu każdej z klatek schodowych.

– Co się dzieje? – Rozpoznał głos. Należał do Ori.

Pojawiła się w plamie pomarańczowego światła przy wschodniej klatce schodowej. Naprzeciw niej stała ciotka Badha, jeszcze bardziej potargana niż zwykle – kosmyki wysunięte z koka zwisały wokół jej twarzy, guziki przy swetrze były krzywo zapięte.

– Jesteś w niebezpieczeństwie – oznajmiła Badha, zwracając się do Ori. – Nadszedł czas, by zrobić to, co trenowałyśmy.

– *Dlaczego?* – zapytała dziewczyna. – Przychodzisz tu, wyciągasz mnie z klasy i każesz nagle zostawić wszystko, wszystkich...

– Wszyscy wybrańcy losu są zagrożeni, rozumiesz? Ty również. Musisz uciekać.

– A Keresethowie? Im nie grozi niebezpieczeństwo?

– Nie aż takie jak tobie. – Badha chwyciła Ori za łokieć i skierowała się w stronę podestu.

Akos nie mógł zobaczyć miny Ori, ponieważ znajdowała się w cieniu. Ale zanim znikła za rogiem, odwróciła się. Włosy opadały jej na twarz, sweter zsuwał się z ramienia, ukazując obojczyk.

Akos pochwycił jej spojrzenie, rozszerzone strachem oczy. Ale czy na pewno? A potem ktoś zawołał go po imieniu.

To była Cisi, wypadła z jednego z gabinetów umieszczonych pośrodku budynku. Miała na sobie szarą grubą sukienkę i wysokie czarne buty. Mocno zaciskała wargi.

– Chodź. Wezwano nas do gabinetu dyrektora. Tata zaraz po nas przyjdzie, mamy tam czekać.

– Ale co... – zaczął Akos, ale jak zwykle mówił zbyt cicho, by inni dali mu dojść do głosu.

– Chodź. – Cisi pchnęła drzwi, które przed chwilą za sobą zamknęła.

W głowie Akosa kłębiły się tysiące myśli. Ori należy do wybrańców losu. Wszystkie światła zgasły. Tata po nich przyjdzie. Ori jest w niebezpieczeństwie. On sam jest w niebezpieczeństwie.

Cisi poprowadziła go ciemnym korytarzem. Potem otwarte drzwi, zapalona latarnia. Eijeh obrócił się w ich stronę.

Naprzeciw niego siedział dyrektor. Akos nie znał jego nazwiska, nazywali go po prostu dyrektorem i widywali jedynie wtedy, kiedy coś ogłaszał bądź dokądś tam zdązał. Ogólnie rzecz biorąc, Akos nie zwracał na niego większej uwagi.

– Co się dzieje? – spytał brata.

– Nikt nie chce nic powiedzieć – odparł Eijeh, oczami pokazując dyrektora.

– Nasza szkoła kieruje się zasadą, by w tego rodzaju sytuacjach pozostawić wszelkie decyzje rodzicom – oznajmił dyrektor.

Czasem żartowali, że ma on zamiast ciała części do maszyny i gdyby go rozciąć, wypadłyby ze środka śrubki i przewody. W każdym razie jego sposób mówienia wyraźnie na to wskazywał.

– I nie może pan powiedzieć, co to za sytuacja? – zapytał Eijeh, tak jak pewnie zrobiłaby mama, gdyby tu była. *Właśnie, gdzie ona jest?* Tata

miał ich zabrać ze szkoły, ale o mamie nikt nie wspomniał.

– Eijeh – powiedziała Cisi.

Szept siostry uspokoił Akosa. Jakby przemawiała do nurtu szumiącego w jego wnętrzu, podnosząc jego poziom akuratu tyle, ile trzeba. Czar trwał zaledwie chwilę.

Dyrektor, Eijeh, Cisi i Akos czekali w milczeniu.

– Robi się zimno – stwierdził w końcu Eijeh.

Rzeczywiście, przez szparę w drzwiach wdarł się zimny podmuch, Akos poczuł go na kostkach u nóg.

– Wiem. Musiałem odciąć zasilanie – wyjaśnił dyrektor. – Zamierzam włączyć je dopiero, kiedy będziecie w drodze do domu.

– Odciął pan zasilanie, dla nas? Dlaczego? – spytała Cisi słodkim głosem.

Tego samego przymilnego tonu używała, kiedy chciała dłużej posiedzieć wieczorem czy dostać dodatkowy cukierek. Na rodziców ta sztuczka nie działała, lecz dyrektor stopił się jak płonąca świeca. Akos wcale by się nie zdziwił, gdyby zobaczył pod biurkiem kałużę rozlanego wosku.

– Tylko tak można odłączyć ekrany podczas alarmu ogłoszonego przez Zgromadzenie – odparł łagodnie dyrektor.

– A więc ogłoszono alarm? – dopytywała się Cisi.

– Tak. Przewodniczący Zgromadzenia ogłosił alarm dziś rano.

Eijeh i Akos wymienili spojrzenia. Cisi siedziała spokojna i uśmiechnięta, z dłońmi złożonymi na kolanach. W tym świetle, z kręconymi włosami otaczającymi twarz wyglądała jak nieodrodna córka Aoseha, niewinna i prostolinijna. Ich tata też potrafił dostać wszystko, czego chciał, za pomocą miłych uśmiechów, zawsze umiał załagodzić ludzi, ich serca, a także zapanować nad wszelkiego rodzaju sytuacjami.

Nagle ktoś mocno zapukał do drzwi, ratując dyrektora przed całkowitym stopnieniem. Akos od razu wiedział, że to tata, ponieważ przy ostatnim uderzeniu odpadła klamka, a część łącząca ją z drewnem pękła dokładnie pośrodku. Tata nie potrafił kontrolować swego temperamentu, a jego dar nurtu wyraźnie o tym świadczył. Zawsze naprawiał różne przedmioty, ale w połowie przypadków były to

przedmioty, które wcześniej sam zniszczył.

– Przepraszam – mruknął Aoseh, wchodząc do środka.

Włożył klamkę na miejsce i przesunął opuszką palca wzdłuż pęknięcia. Płytką zasklepiła się ciut nierówno, ale wyglądała niemal jak nowa. Mama upierała się, że tata nie zawsze naprawia wszystko idealnie, a na dowód tego mieli w domu mnóstwo krzywych talerzy i kubków z nierówno przyczepionymi uchwytyami.

– Panie Kereseth – zaczął dyrektor.

– Dziękuję za błyskawiczną reakcję, panie dyrektorze – powiedział tata bez uśmiechu.

Akosa przerażała jego poważna twarz, bardziej niż ciemne korytarze, krzyki Ori czy zaciśnięte wargi Cisi. Tata zawsze się uśmiechał, nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Mama lubiła powtarzać, że uśmiech jest jego najlepszą zbroją.

– Małe Dziecko, Mniejsze Dziecko, Najmniejsze Dziecko. Chodźmy – powiedział tata bez entuzjazmu. – Wracamy do domu.

Ledwo wypowiedział te słowa, zerwali się z miejsc i pomaszerowali w stronę wyjścia. Skierowali się w stronę wieszaków, na których wisiały identyczne szare futra i odnaleźli te z wyszytym na kołnierzu nazwiskiem: *Kereseth*. Cisi i Akos pomylili się i musieli się zamienić – futro należące do Akosa miało dla niej za krótkie rękawy, a to należące do Cisi było dla drobnego Akosa nieco za długie.

Sterolot czekał tuż przed wyjściem, z wciąż otwartymi drzwiami, nieco większy od przeciętnego, ale jak zwykle przysadzisty i okrągły. Ściany z ciemnego metalu znaczył brud. Wiadomości, zwykle szumiące we wnętrzu strumieniem słów, teraz były wyłączone. Podobnie jak ekran nawigacyjny. Aoseh wciskał różne guziki i przyciski, podnosił dźwignie, sterolot niczego nie mógł mu podpowiedzieć. Nie zapięli pasów. Akos czuł, że byłaby to bezsensowna strata czasu.

– Tato – zaczął Eijeh.

– Dzisiaj rano Zgromadzenie uznało za stosowne ogłosić losy wybrańców – oznajmił tata. – Wyrocznie powierzyły je Zgromadzeniu wiele lat temu, w geście zaufania. Zwykle los danej osoby jest ogłaszany publicznie dopiero po jej śmierci, do tego czasu znany jest wyłącznie tej osobie i jej najbliższemu, ale teraz... – Powiódł wzrokiem po kolei po ich

twarzach. – Teraz wszyscy znają wasze losy.

– Jakie to losy? – zapytał Akos szeptem, a Cisi dodała:

– Dlaczego to jest niebezpieczne?

Tata najpierw odpowiedział Cisi:

– Nie dla każdego. Ale informacje w przypadku niektórych osób... zdradzają więcej niż w przypadku innych.

Akos przypomniał sobie obraz ciotki Ori, ciągnącej ją za łokieć w stronę schodów. *Jesteś w niebezpieczeństwie. Musisz uciekać.*

Ori miała los – niebezpieczny los. Ale z tego, co pamiętał, nikt z nazwiskiem Rednalis nie znajdował się na liście wybrańców. Widocznie to nie było jej prawdziwe nazwisko.

– Jakie są nasze losy? – naciskał Eijeh.

Akos zazdrościł mu mocnego czystego głosu. Czasem, kiedy siedzieli wieczorem dłużej niż zwykle, Eijeh próbował mówić szeptem, ale po chwili któreś z rodziców zawsze zjawiało się pod drzwiami i kazało im iść spać. Akos był zupełnie inny, chował sekrety tuż przy skórze i dlatego jeszcze nie powiedział pozostałym o Ori.

Sterolot znalazł się nad polem lodokwiatów, które uprawiał tata. Rozciągało się na długie mile we wszystkie strony, podzielone niskimi drucianymi ogrodzeniami: żółte zazdrośnice, białe czystniki, zielone pnącza harvy, brązowe liście sendesu i wreszcie, osłonięte metalową klatką, przez którą przepływał nurt – czerwone szakwiaty. Zanim postawili klatkę, ludzie tracili życie. Wbiegali prosto na pole szakwiatów i umierali pośród barwnych płatków, gdyż trucizna w ciągu krótkiej chwili skazywała ich na śmiertelny sen. Chyba nie najgorszy rodzaj śmierci, w gruncie rzeczy, pomyślał Akos. Odplynąć w otoczeniu kwiatów, z białym niebem nad głową.

– Powiem ci, kiedy będziemy bezpieczni. – Tata starał się nadać głosowi wesołe brzmienie.

– Gdzie jest mama? – spytał Akos i tym razem tata go usłyszał.

– Wasza matka... – Aoseh zacisnął zęby i nagle jego fotel rozszedł się pod nim, niczym chleb pęknięty w piecu. Zaklął i przesunął po siedzeniu dłoń, by je naprawić.

Akos zamrugał, przestraszony. Co go tak zdenerwowało?

– Nie wiem, gdzie jest wasza matka – dokończył. – Ale jestem

pewien, że nic jej nie grozi.

– Nie ostrzegła cię? – spytał Akos.

– Może nie wiedziała – szepnęła Cisi.

Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że to niemożliwe. Sifa zawsze, zawsze wiedziała.

– Wasza matka kieruje się swoimi powodami, we wszystkim, co robi. Czasem nie jest nam dane ich poznać – dodał Aoseh, już nieco spokojniej. – Ale musimy jej zaufać, nawet jeśli to trudne.

Akos nie był pewien, czy tata naprawdę wierzy we własne słowa. Zabrzmiało to tak, jakby sam siebie próbował przekonać.

Aoseh wylądował na trawniku przed domem, zgniatając kępy plamiastej piórzycy. Rosła za domem daleko jak okiem sięgnąć. Czasem ludziom przydarzały się tam dziwne rzeczy. Słyszeli szepty, widywali ciemne kształty między łądygami. Zbaczali ze ścieżki i brnęli przez śnieg, aż pochłaniała ich ziemia. Od czasu do czasu słyhać było tego rodzaju historie. Czasem ktoś zobaczył kościotrupa z okna sterolotu. Akos, mieszkając tak blisko wysokich traw, nauczył się ignorować twarze ukazujące się dokoła i szepczące jego imię. Czasem były tak wyraźne, że dało się je zidentyfikować: zmarli dziadkowie, mama i tata o zmienionych trupich obliczach, drażniące się z nim dzieciaki ze szkoły.

Ale kiedy Akos wysiadł ze sterolotu i dotknął wysokich kęp nad swoją głową, ze zdumieniem uświadomił sobie, że już nic nie słyszy ani nie widzi.

Zatrzymał się i powiódł dokoła wzrokiem, szukając obrazów, halucynacji. Bez skutku.

– Akos! – syknął Eijeh.

*Dziwne.*

Ruszył za bratem do wejścia. Aoseh otworzył drzwi, wszyscy wpadli do środka i zaczęli zdejmować płaszcze. Akos wziął pierwszy oddech i stwierdził, że powietrze pachnie nie tak, jak powinno. Ich dom zawsze przepelniony był przyjemną wonią przypraw, podobnie jak chleb, który tata lubił piec na śniadanie w chłodniejszych miesiącach. A teraz czuć było olejem napędowym i potem. Wnętrznosci Akosa zmieniły się w supeł, zaciskający się coraz mocniej i mocniej.

– Tato – powiedział, kiedy Aoseh włączył przyciskiem światła.

Eijeh krzyknął. Cisi zaparło dech w piersiach. Akos zaś zastygł bez ruchu.

W salonie stało trzech mężczyzn. Jeden wysoki i szczupły, drugi wysoki i barczysty, a trzeci niski i gruby. Wszyscy trzej mieli na sobie zbroje lśniące w żółtawym blasku żarków, ciemne, niemal czarne. Naprawdę były koloru bardzo głębokiego granatu. Dzierżyli ostrza nurtu, ściskali metal w dłoniach, a czarne witki oplatały ich ręce, dodatkowo przytrzymując broń. Akos widział już wcześniej takie klingi, ale tylko w rękach żołnierzy patrolujących Hessę. W ich domu, domu farmera i wyroczni, nikt nie potrzebował broni.

Wiedział, chociaż nie miał pojęcia skąd: to byli ludzie z ludu Shotet. Wrogowie Thuvhe, *ich* wrogowie. To oni odpowiadali za każdą świecę paloną na pamiątkę inwazji. To oni pozaczyli bliznami mury Hessy, nazaczyli pęknięciami szkło, które teraz ukazywało dziwne obrazy, zabili najdzielniejszych, najsilniejszych i najbardziej zaciekłych, pozostawiając rodziny w rozpacz. Zamordowali babcię Akosa, uzbrojoną w nóż do chleba, jak opowiadał tata.

– Czego chcecie? – zapytał Aoseh, wyraźnie spięty.

Salon wyglądał na nienaruszony, poduszki leżały wokół niskiego stolika, futrzany pled zaś zwinięty obok paleniska, tak jak zostawiła go Cisi, która lubiła czytać w tym miejscu. Węgle tylko się żarzyły, było zimno. Tata szeroko rozstawił nogi, osłaniając całą trójkę.

– Nie ma kobiety – powiedział jeden z mężczyzn do pozostałych. – Ciekawe, gdzie może być?

– Wyrocznia – odparł drugi. – Nie tak łatwo ją pochwycić.

– Wiem, że mówicie naszym językiem – powiedział Aoseh, tym razem surowszym tonem. – Przestańcie udawać, że mnie nie rozumiecie.

Akos zmarszczył brwi. Czyżby tata nie usłyszał, co powiedzieli?

– Ten jest trudny, jak widać – powiedział ten najwyższy. Miał złote oczy, jak stopiony metal. – Jak ma na imię?

– Aoseh – odparł najniższy.

Miał całą twarz w bliznach, drobnych nacięciach skierowanych w różne strony. Skóra wokół najdłuższego, tuż koło oka, była ściągnięta i pomarszczona. Imię taty dziwacznie zabrzmiało w jego ustach.

– Aoseh Kereseth – powiedział złotooki. Tym razem brzmiał...

inaczej. Jakby mówił z mocnym akcentem. Ale przecież wcześniej go nie miał, więc jak to możliwe? – Nazywam się Vas Kuzar.

– Wiem, kim jesteś – odparł Aoseh. – Nie mieszkam w izolacji od świata.

– Bierzcie go – polecił mężczyzna imieniem Vas.

Najniższy z żołnierzy rzucił się na tatę. Spletli się ramionami i zaczęli się siłować. Cisi i Akos odskoczyli do tyłu. Aoseh zazgrzytał zębami. Lustro w salonie rozbiło się, posypały się odłamki, potem pękła na dwoje szybka przy zdjęciu stojącym na gzymsie kominka, tym ze ślubu rodziców. Żołnierz wciąż nie puszczał Aoseha. Popychał go przed sobą, odsuwając coraz dalej od dzieci, które zostały same, bezbronne i wystawione na niebezpieczeństwo. Zmusił tatę do klęku i przyłożył mu do szyi czubek klingi.

– Nie wypuszczaj dzieciaków z pokoju – powiedział Vas do szczupłego.

Nagle Akos przypomniał sobie o drzwiach za swoimi plecami. Chwycił klamkę, przekręcił i zaczął ciągnąć, ale w tym momencie brutalna łapa zamknęła się wokół jego ramienia. Żołnierz podniósł go jedną ręką. Akos poczuł ból i z całych sił kopnął mężczyznę w nogę. Ten tylko się zaśmiał.

– Mały chłopczyk o cienkiej skórcie – wysyczał. – Lepiej od razu się poddaj, podobnie jak reszta tej żalosnej bandy.

– Nie jesteśmy żałośni! – zaprotestował Akos.

Wiedział, że głupio to zabrzmiało – takie rzeczy mówią małe dzieci, kiedy nie mają odpowiednich argumentów. Ale z jakiegoś powodu żołnierze na chwilę zamarli. I nie tylko żołnierze – również Cisi, Eijeh i Aoseh. Wszyscy gapili się na Akosa i – *a niech to* – poczuł rumieniec na twarzy. Rumieniec, który wybrał sobie najgorszy moment z możliwych, najgorszy w jego życiu.

A potem Vas Kuzar zaczął się śmiać.

– Twoje najmłodsze dziecko, jak przypuszczam – powiedział do Aoseha. – Wiedziałeś, że mówi w języku shotet?

– Ale ja nie mówię w języku shotet – zaprotestował słabo Akos.

– Właśnie to zrobiłeś – odparł Vas. – Jak rodzina Keresethów zaakceptowała syna z shotecką krwią w żyłach?



– Akos – wyszeptał ze zdumieniem Eijeh. Jakby zadawał mu pytanie.

– Nie mam w żyłach shoteckiej krwi! – warknął Akos i wszyscy trzech żołnierze roześmiali się jednocześnie.

I wtedy to usłyszał: usłyszał słowa wychodzące z własnych ust, ich niezachwiane znaczenie, wychwycił też szorstkie sylaby, nagłe zatrzymania i ściśnięte samogłoski. Usłyszał język shotet – język, którego nigdy się nie uczył. Tak inny od pełnego wdzięku języka thuvhe, którego brzmienie przypominało płatki śniegu porwane podmuchem wiatru. A on mówił w shotet. Brzmiał jak ci żołnierze. Ale jak – jak to możliwe, że mówił językiem, którego nigdy się nie uczył?

– Gdzie twoja żona, Aoseh? – zapytał Vas, znów skupiając uwagę na tacie. Obrócił ostrze nurtu w dłoni, czarne macki przesunęły się po jego skórze. – Chętnie byśmy spytali, czy kiedyś przypadkiem nie flirtowała z kimś z Shotet albo czy nie dzieli naszego szlachetnego pochodzenia, tylko jakoś nigdy ci o tym nie wspominała. Wyrocznia z pewnością wie, jakim sposobem jej najmłodszy syn opanował język objawienia.

– Nie ma jej tu – odparł Aoseh. – Jak zresztą pewnie zauważyliście.

– Sądzisz, że jesteś sprytny? – zapytał Vas. – A mnie się wydaje, że spryt w obliczu wroga prowadzi prosto do śmierci.

– Pewnie wydaje ci się wiele głupich rzeczy – odparował Aoseh i jakimś dziwnym sposobem spojrzął na żołnierza z góry, choć przecież klęczał na podłodze u jego stop. – Sługus Noaveków. Jesteś wart tyle co brud, który wygrzebuję sobie spod paznokci.

Vas zamierzył się i uderzył tatę w twarz, tak mocno, że ten upadł. Eijeh krzyknął i chciał podbiec bliżej, ale drogę zagroził mu żołnierz, który trzymał Akosa za ramię. Bez trudu powstrzymał obu braci, jakby nie kosztowało go to ani odrobiny wysiłku, chociaż Eijeh, liczący szesnaście pór, niemal dorównywał wzrostem dorosłemu mężczyźnie.

Niski stolik pękł wzdłuż, dokładnie pośrodku, połowy rozdzieliły się i upadły na podłogę. Wszystkie drobiazgi, które się na nim znajdowały – stary kubek, książka, kawałki drewna z ciesielskich robótek taty – rozsypały się dokoła.

– Na twoim miejscu – powiedział Vas cichym głosem do Aoseha – trzymałbym dar nurtu pod kontrolą.

Aoseh zacisnął zęby, po czym dał nura. Chwycił za nadgarstek niskiego żołnierza, który stał tuż obok, i przekręcił, mocno, aż uchwyt na broni osłabł. Aoseh złapał klingę tuż przy rękojeści, wyrwał ją i wymierzył we właściciela.

– No dalej, zabij go – powiedział Vas. – Takich jak on jest na pęczki, ty za to masz ograniczoną liczbę synów.

Aoseh zlizął krew z warg i spojrzał na niego przez ramię.

– Nie wiem, gdzie ona jest – rzekł. – Powinniście sprawdzić w świątyni. Najprawdopodobniej właśnie tam by się udała, wiedząc o waszym przybyciu.

Vas uśmiechnął się do ostrza w swojej dłoni.

– Wszystko jedno – powiedział w shotet, spoglądając na żołnierza, który jedną ręką trzymał Akosa, drugą zaś przyciskał Eijeha do ściany. – Nasz priorytet to dziecko.

– Wiemy, które jest najmłodsze – odpowiedział drugi żołnierz, szarpiąc jednocześnie ramię Akosa – ale które z tej dwójki jest środkowe?

– Tato – powiedział Akos rozpaczliwie – oni chcą wiedzieć, które to Mniejsze Dziecko. Chcą wiedzieć, kto jest młodszy...

Żołnierz puścił Akosa, lecz tylko po to, by zamierzyć się na niego wierzchem dłoni i wałnąć go prosto w kość policzkową. Akos zachwiał się i poleciał na ścianę. Cisi, tłumiąc łkanie, pochyliła się nad nim i pogładziła go palcami po twarzy.

Aoseh krzyknął przez zaciśnięte zęby i rzucił się do przodu. Wsadził ostrze głęboko w ciało Vasa, tuż pod brzegiem zbroi. Vas nawet nie drgnął. Uśmiechnął się krzywo, chwycił rękojeść broni i wyrwał ją z ciała. Aoseh nie zdążył go powstrzymać, zbyt zdumiony reakcją przeciwnika. Z rany buchnęła krew, barwiąc ciemne spodnie Vasa.

– Znasz moje nazwisko, a nie znasz mojego daru? – zapytał miękko głosem. – Ja nie czuję bólu, zapomniałeś?

Chwycił Aoseha za łokieć i odepchnął jego ramię. Wbił w nie ostrze i pociągnął w dół. Tata wydał z siebie bolesny jęk – Akos nigdy czegoś podobnego nie słyszał. Krew chlusnęła na podłogę. Eijeh znów

krzyknął i zaczął się rzucać, zaś Cisi skrzywiła się, lecz z jej ust nie wydostał się żaden dźwięk.

Akos zerwał się na równe nogi, choć twarz wciąż go bolała, chociaż nie miało to sensu, ponieważ nic nie mógł zrobić.

– Eijeh – powiedział cicho – uciekaj.

Jednocześnie rzucił się na Vasa, zamierzając wbić palce w ranę, zanurzyć je głęboko, aż wyrwie mu kości, wyrwie mu serce.

Zamieszanie, krzyki, łkania. Wszystkie głosy połączyły się w uszach Akosa w przerażającą mieszaninę. Uderzył – bez skutku – w zbroję pokrywającą ciało Vasa. Tylko rozboleła go ręka. Żołnierz z bliznami złapał go i rzucił o ziemię jak worek mąki. Postawił but na jego twarzy i mocno przycisnął. Akos poczuł na policzku dotyk zapiaszczonej podłogi.

– Tato! – krzyczał Eijeh. – Tato!

Akos nie mógł ruszyć głową, ale kiedy nieco uniósł wzrok, zobaczył tatę leżącego na ziemi, między ścianą a drzwiami wejściowymi, z łokciem wykręconym pod dziwnym kątem. Wokół jego głowy rozlewała się kałuża krwi. Cisi przykucnęła u jego boku, drżące dłonie trzymała nad raną przecinającą gardło. Vas stał nad nimi z zakrwawionym nożem.

Akos zamarł.

– Puść go, Suzao – polecił Vas.

Suzao – żołnierz przyciskający butem twarz Akosa – uniósł nogę i podciągnął chłopaka do pozycji stojącej. Akos nie mógł oderwać wzroku od ciała taty, skóry otwartej, pękniętej niczym stolik w salonie, tej całej krwi dokoła – *jak to możliwe, że w jednym człowieku mieści się aż tyle krwi?* – i jej barwy, ciemnej, pomarańczowoczerwono-brązowej.

Vas wciąż trzymał w dłoni zakrwawiony nóż, w pewnej odległości od ciała. Dłonie miał mokre.

– Wszystko gotowe, Kalmev? – zapytał wysokiego żołnierza.

Ten mruknął potakująco. Vas chwycił Eijeha i spiął jego nadgarstki metalowymi kajdankami. Eijeh już nie protestował, patrzył tępo na tatę, leżącego bezwładnie na podłodze w salonie.

– Dziękuję, że odpowiedziałeś na moje pytanie o to, którego z dzieci szukamy – powiedział Vas do Akosa. – Zdaje się, że obaj

pójdziecie z nami z powodu waszych losów.

Suzao i Vas stanęli po obu stronach Akosa i popchnęli go przed sobą. W ostatniej chwili osunął się na kolana i dotknął twarzy taty. Ciało było ciepłe i lepkie. Oczy wciąż miał otwarte, lecz życie z nich uciekało, jak woda spływająca dnem rowu. Poruszyły się i spoczęły na Eijehu, który właśnie znalazł się w drzwiach, popychany przez żołnierzy.

– Przywiozę go z powrotem do domu – powiedział Akos, lekko odwracając twarz taty, by ten mógł na niego spojrzeć. – Obiecuję.

Nie było go przy tacie, kiedy ten wydawał ostatnie tchnienie. Był już wtedy pośród piórzycy, w rękach wroga.

A grayscale image of a starry night sky, possibly a nebula or a star field, with a large, stylized number '2' centered in the middle. The background is a soft, hazy glow of light with numerous small, bright stars scattered throughout. The number '2' is rendered in a dark, serif font with a slight shadow, making it stand out against the lighter background.

2

## Rozdział 3 | Cyra

MIAŁAM ZALEDWIE SZEŚĆ PÓR, kiedy wybrałam się na moją pierwszą wyprawę.

Wychodząc, spodziewałam się, że wkroczę w światło słońca, lecz zamiast tego znalazłam się w cieniu statku, zakrywającego niebo nad Voą – stolicą Shotet – niczym potężna chmura, o wydłużonym kształcie i łagodnie zakończonym nosie z pancerną szybą powyżej. Brzuch z metalowych płyt nosił ślady zniszczeń zebranych podczas eksploatacji trwającej już ponad dekadę, chociaż niektóre płyty, te wymienione, lśniły. Wkrótce mieliśmy znaleźć się w środku, jak przeżute jedzenie w brzuchu ogromnej bestii. Przy dyszach z tyłu znajdował się otwarty terminal.

Większość dzieci dostawała pozwolenie, by odbyć pierwszą wyprawę – nasz najważniejszy obrzęd – po ukończeniu ósmej pory. Ja jednak, jako córka władcy, Lazmeta Noaveka, zostałam przygotowana do mojej pierwszej podróży przez galaktykę dwie pory wcześniej. Mieliśmy lecieć wzdłuż wstęgi nurtu, skrajem galaktyki, aż nurt zmieni kolor na najciemniejszy granat, po czym wylądować na jakiejś planecie i przystąpić do żeru, stanowiącego drugą część obrzędu.

Zgodnie z tradycją władca wraz z rodziną jako pierwszy wchodził na pokład. W każdym razie tradycja ta sięgała czasów, gdy moja babka, pierwsza z rodu Noaveków przywódczyni ludu Shotet, wydała takie rozporządzenie.

– Włosy mnie swędzą – powiedziałam do matki, uderzając opuszką palca w ciasno splecione warkocze, związane razem z tyłu, tak by kosmyki nie wpadały mi do oczu. – Co jest nie tak z moją normalną fryzurą?

Matka posłała mi uśmiech. Miała na sobie suknię z piórzycy, łożyki krzyżowały się na staniku, a ich wystające końce otaczały jej twarz. Otega – moja nauczycielka – powiedziała, że lud Shotet zasiał ocean piórzycy, by oddzielić się od wrogów z Thuvhe i zapobiec inwazji. Teraz moja matka upamiętniła ów akt swoją suknią. Zawsze starała się strojem odwoływać do wydarzeń z naszej historii.

– Dzisiaj – odparła – będzie na ciebie patrzeć niemal cały lud

Shotet, nie wspominając o reszcie galaktyki. Ostatnim, czego sobie życzymy, jest to, by nadmiernie skupiali uwagę na twoich włosach. Związane stają się niewidoczne. Rozumiesz?

Nie rozumiałam, ale nie drążyłam tematu. Patrzyłam na włosy matki, ciemne tak jak moje, ale o innej strukturze – jej były tak kręcone, że mogły pochwycić i uwięzić czyjś palec, moje zaś na tyle proste, by przed nim uciec.

– Reszta galaktyki?

Teoretycznie wiedziałam, jakiej wielkości jest galaktyka, że mieści w sobie dziewięć liczących się planet, nieprzeliczone grono planet peryferyjnych oraz stacje umieszczone pośród nieczułych skał starych księżyców, a także statki poruszające się po orbitach, tak ogromne jak osobne narody-planety. Ale w moich oczach pozostałe planety były nie większe od naszego domu, w którym spędziłam większość dotychczasowego życia.

– Twój ojciec autoryzował relację z Procesji, którą mają pokazać w ogólnych wiadomościach, dostępnych planetom Zgromadzenia – odparła matka. – Będą oglądać ją wszyscy zainteresowani naszymi obrzędami.

Nawet w tym wieku zdawałam sobie sprawę, że inne planety różnią się od naszej, że jesteśmy jedyni w naszej pogoni za nurtem poprzez galaktykę, podobnie jak wyjątkowa jest nasza obojętność wobec miejsc i przedmiotów. To oczywiste, że inne planety były nas ciekawe. Może nawet nam zazdrościły.

Lud Shotet udawał się na wyprawę raz na porę, od tak dawna, jak istniał. Otega powiedziała mi kiedyś, że w wyprawie chodzi o tradycję, a żer, następujący potem, mówi o odnowie – przeszłość i przyszłość połączone w jednym obrzędzie. Słyszałam też jednak, jak mój ojciec mówił z goryczą, że „żyjemy dzięki śmieciom z innych planet”. Mój ojciec zawsze skutecznie potrafił odrzeć rzeczy z piękna.

Nazywał się Lazmet Noavek i teraz kroczył na samym przedzie. Jako pierwszy miał przejść przez wielką bramę oddzielającą posiadłość Noaveków od ulic Voi. Uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Na jego widok wielki pulsujący tłum, który zebrał się przed naszym domem, zaczął wiwatować. Tłum tak gęsty, że nie mogłam dostrzec nawet

skrawka światła między ramionami stojących wokół ludzi ani dosłyszeć własnych myśli w kakofonii powitalnych okrzyków. Tutaj, w samym centrum Voi, zaledwie kilka ulic od amfiteatru, gdzie odbywały się zawody, ulice lśniły czystością, a kamienie pod moimi stopami wyglądały jak nietknięte. Zabudowania były mieszaniną starego z nowym: ściany z prostego kamienia, a w nich nowoczesne wysokie drzwi z metalu giętego w zawiłe wzory połączone ze szkłem. To eklektyczne zestawienie wydawało mi się tak naturalne jak moje własne ciało. Potrafiliśmy zachować piękno starych rzeczy mimo obecności nowych, nie tracąc przy tym nic z uroku ani pierwszych, ani drugich.

Jeszcze gorętsze okrzyki powitały moją matkę. Wyciągnęła ręce w stronę swych poddanych, którzy próbowali jej dotknąć, opuszkami palców muskając jej dłonie. Przyglądałam się, mocno zdezorientowana, jak łzy same płyną ludziom z oczu na jej widok, słuchałam, jak chór głosów wyśpiewuje jej imię. *Ylira, Ylira, Ylira*. Wyciągnęła żdźbło z brzegu sukni i zatknęła je za ucho jakiejś dziewczynki. *Ylira, Ylira, Ylira*.

Pobiegłam dalej, by dogonić Ryzeka, mojego brata, starszego ode mnie o całe dziesięć pór. Miał na sobie zbroję, ale nieprawdziwą, jeszcze nie zdążył zasłużyć na zbroję ze skóry ubitego przez siebie Pancernego – symbol statusu w oczach naszego ludu – i wyglądał znacznie bardziej barczyście niż zwykle, zapewne zgodnie z zamierzonym efektem. Mój brat był bowiem wysoki, ale chudy jak patyk.

– Dlaczego powtarzają jej imię? – spytałam Ryzeka, z trudem dotrzymując mu kroku.

– Ponieważ ją kochają – odparł. – Tak jak my.

– Ale oni jej nie znają.

– To prawda – przyznał. – Wydaje im się jednak, że tak jest, a czasem to wystarczy.

Palce mojej matki zabarwiły się od dotyku wyciągniętych ku niej dłoni ozdobionych malunkami. Chyba nie miałabym ochoty dotykać tyłu ludzi naraz.

Otaczali nas uzbrojeni żołnierze, którzy torowali nam wąskie przejście między zebranymi. Ale tak naprawdę, moim zdaniem, wcale ich nie potrzebowaliśmy – tłum sam się rozstępował przed moim ojcem,



jak przed ostrzem noża. Może nie wykrzykiwali jego imienia, lecz skłaniali głowy i odwracali wzrok. Po raz pierwszy zrozumiałam, jak cienka granica oddziela strach od miłości, respekt od uwielbienia. Granica ta przebiegała między moimi rodzicami.

– Cyro – powiedział ojciec, a ja zeszywniałam, niemal zamarłam, kiedy odwrócił się w moją stronę.

Wyciągnął rękę, a ja ją przyjąłem, chociaż wcale nie chciałem. Mój ojciec należał do osób, których po prostu się słucha. Potem wziął mnie na rękę, szybko i zdecydowanie, aż zaczęłam się śmiać. Jedną ręką przycisnął mnie do swego uzbrojonego boku, jakbym ważyła tyle co piórko. Jego twarz znalazła się tuż obok mnie, pachniała ziołami i czymś spalonym, policzek był szorstki od zarostu. Mój ojciec, Lazmet Noavek, władca Shotet. Matka zwracała się do niego „Laz”, kiedy nikt jej nie słyszał, i przemawiała do niego słowami z poezji Shotet.

– Pomyślałem, że może chcesz zobaczyć naszych poddanych – powiedział, podrzucając mnie lekko, by przesunąć mój ciężar w zagłębienie łokcia.

Drugie ramię, które właśnie opuścił, od samej góry aż do nadgarstka znaczyły zabarwione na ciemno blizny. Powiedział mi raz, że to rejestr śmierci, ale nie wiedziałam, co to znaczy. Matka też miała kilka takich blizn, jednak o wiele mniej niż ojciec.

– Ci ludzie pragną siły – dodał ojciec. – Twoja matka, brat i ja zamierzamy im ją dać. A któregoś dnia również ty. Tak?

– Tak – odparłam cicho, nie mając pojęcia, jak tego dokonam.

– Świetnie. A teraz pomachaj.

Trochę się trzęsąc, wyciągnęłam rękę i zaczęłam naśladować ojca. Patrzyłam, zdumiona, jak tłum odpowiada mi podobnym gestem.

– Ryzek – zakomenderował ojciec.

– Chodźmy, mała Noavek – powiedział Ryzek.

Nie musiał czekać na polecenie, widział je w postawie ojca, podobnie jak ja czułam je w niecierpliwym poruszeniu jego ciała. Otoczyłam ramionami szyję brata i wdrapałam mu się na plecy, zaczepiając nogi o paski przy zbroi.

Spojrzałam na jego policzek, pokryty wypryskami, z dołeczkiem uśmiechu pośrodku.

– Gotowa do biegu? – zapytał, unosząc głos, bym usłyszała go mimo panującego hałasu.

– Do biegu? – powtórzyłam, obejmując go mocniej.

W odpowiedzi przycisnął moje kolana do barków i ruszył truchtem przed siebie, przejściem utworzonym w tłumie przez żołnierzy, głośno się śmiejąc. Ja też zaczęłam chichotać, a po chwili dołączyli do nas wszyscy pozostali – nasi poddani, moi poddani, cały radosny tłum.

Zobaczyłam wyciągniętą rękę i musnęłam ją palcami, tak jak zrobiłaby to matka. Moja skóra zwilgotniała od czyjegoś potu. Stwierdziłam, że nie jest to takie straszne, jak mi się zdawało. Moje serce rosło.

W ŚCIANACH POSIADŁOŚCI NOAVEKÓW znajdowały się ukryte korytarze, zbudowane dla służby, by mogła przemieszczać się po budynku, nie przeszkadzając nam i naszym gościom. Często nimi chodziłam, uczyłam się kodów, według których poruszali się służący, wyrytych na rogach oraz nad drzwiami. Czasem Otega dawała mi burę, że przychodzę na lekcję cała w pajęczynach i umorusana, przeważnie jednak nikogo nie interesowało, jak spędzam wolny czas, bylebym nie przeszkadzała ojcu.

Kiedy miałam prawie siedem pór, moje wędrówki zawiodły mnie do korytarza przylegającego do gabinetu ojca. Szłam za dziwnym stukotem dochodzącym z wnętrza, nagle jednak usłyszałam głos ojca, gniewny i podniesiony, więc zatrzymałam się i cała skuliłam.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zawrócić, nie pobiec tą samą drogą, którą przyszłam, nie uciec w bezpieczne schronienie swego pokoju. Podniesiony głos ojca nigdy nie zwiastował niczego dobrego. Tylko moja matka potrafiła go uspokoić, ale nawet ona nie umiała do końca nad nim panować.

– Powiedz mi – zaczął ojciec. Przycisnęłam ucho do ściany, by lepiej go słyszeć. – Powiedz dokładnie to, co mu powiedziałaś.

– Ja... ja sądziłem... – Głos Ryza drżał, na granicy płaczu. To też był zły znak. Ojciec nienawidził łez. – Sądziłem, że można mu zaufać, w końcu ma zostać moim pełnomocnikiem.

– Powtórz, co mu powiedziałaś!

– Powiedziałem... Powiedziałem, że mój los, wedle wyroczni, to... to ponieść klęskę za sprawą rodziny Benesit. Że to jedna z tych dwóch rodzin z Thuvhe. To wszystko.

Odsunęłam się od ściany. Pajęczyna przyczepiła mi się do ucha. Wcześniej nie znałam losu Ryzecka. Wiedziałam, że rodzice mu go zdradzili, kiedy osiągnął wiek, w którym większość dzieci poznaje swe losy i zostaje obdarzona darem nurtu. Ja miałam poznać swój los za kilka pór. Ale poznać los Ryzecka, wiedzieć, że ma upaść za sprawą rodziny Benesit, która ukrywała się od tyłu pór, że nawet nie znaliśmy ich sprzymierzeńców ani planety, na której przebywają – to był co najmniej

dziwny dar. A raczej ciężar.

– „Wszystko”? Imbecyl – powiedział ojciec z pogardą. – Uważasz, że możesz sobie pozwolić na szczerość, mając tak tchórzliwy los? Musisz go ukrywać! Inaczej zginiesz przez własną słabość!

– Przepraszam. – Ryz odchrząknął i dodał: – Teraz będę pamiętał. To się nigdy więcej nie powtórzy.

– Zgadza się. Nigdy więcej. – Głos ojca brzmiał teraz głębiej i bardziej obojętnie. Chyba jeszcze gorzej niż krzyk. – Musimy po prostu pilniej przykładać się do pracy, by znaleźć jakieś rozwiązanie, prawda? Pośród setek istniejących wersji przyszłości znajdziemy taką, w której będziesz coś wart. A na razie staraj się sprawiać wrażenie tak silnego, jak to tylko możliwe, nawet w obecności najbliższych współpracowników. Zrozumiałeś?

– Tak jest.

– Doskonale.

Stałam tak jeszcze przez chwilę, słuchając ich przytłumionych głosów, aż zachciało mi się kichać z powodu kurzu unoszącego się w tunelu. Często zastanawiałam się, jaki los jest mi przypisany, czy wyniesie mnie na wyżyny władzy, czy też złamie. Ale teraz perspektywa wydawała się znacznie bardziej przerażająca niż wcześniej. Wszystko, czego pragnął mój ojciec, to podbić Thuvhe, a Ryzek miał ponieść klęskę, zawieść ojca.

To straszne, wywołać gniew naszego ojca czymś, na co nie ma się wpływu.

W tamtej chwili współczułam Ryzowi. Współczułam, bo jeszcze niewiele wiedziałam.

## Rozdział 5 | Cyra

KTÓREGOŚ DNIA, POREŃ PÓŹNIEJ, kiedy miałam już osiem pór, brat wpadł do mojego pokoju, zdyszany i przemoczony do suchej nitki. Właśnie skończyłam ustawiać figurki na dywanie przy łóżku. Pochodziły z żeru na planecie Othyr, której mieszkańcy żywili zamiłowanie do małych niepotrzebnych przedmiotów. Przewrócił kilka z nich, szybkim krokiem przechodząc przez pokój. Krzyknęłam, by zaprotestować – przez niego rozpadł się szyk, w którym ustawiłam armię.

– Cyro – powiedział, kucając obok mnie.

Niedawno skończył osiemnaście pór. Miał za długie ręce i nogi oraz pryszcze na czole, przerażenie malujące się na jego obliczu sprawiało, że wyglądał młodziej. Położyłam dłoń na jego ramieniu.

– O co chodzi? – spytałam.

– Czy ojciec kiedykolwiek zaprowadził cię w jakieś miejsce po to... po to, by coś ci pokazać?

– Nie. – Lazmet Noavek nigdy donikąd mnie nie zabierał, ledwo raczył na mnie spojrzeć, gdy przebywaliśmy w jednym pomieszczeniu. Nie przeszkadzało mi to, wprost przeciwnie. Już wtedy wiedziałam, że najlepiej jest schodzić mu z drogi. – Nigdy.

– To chyba nie fair, co? – powiedział Ryz z przekonaniem. – Oboje jesteśmy jego dziećmi, powinien traktować nas jednakowo. Nie uważasz?

– Chyba... chyba tak – odparłam. – Ryz, o co...

Ale on tylko przytknął rękę do mojego policzka.

Mój pokój, ciemnoniebieskie zasłony, boazeria z ciemnego drewna – wszystko zniknęło.

– *Dzisiaj, Ryzeku – rozległ się głos ojca – ty wydasz rozkaz.*

*Znajdowałam się w niewielkim ciemnym pomieszczeniu o kamiennych ścianach i olbrzymim oknie naprzeciwko mnie. Ojciec stał obok, po mojej lewej stronie, ale wydawał się niższy niż zwykle – w rzeczywistości sięgałam mu tylko do piersi, a teraz patrzyłam mu prosto w twarz. Ręce trzymałam zaciśnięte przed sobą. Miałam długie*

*szczupłe palce.*

*– Chcesz... – mój oddech był płytki i przyspieszony. – Chcesz, żebym...*

*– Weź się w garść – warknął ojciec, chwytając za przednią część mojej zbroi i popychając mnie w stronę okna.*

*Zobaczyłam starszego mężczyznę, pomarszczonego, o siwych włosach. Był wyniszczony i miał martwe oczy, a dłonie miał skute kajdankami. Na znak ojca strażnicy po drugiej stronie szyby podeszli do mężczyzny. Jeden trzymał go za ramię, a drugi owinął jego szyję sznurem, który następnie ciasno zawiązał z tyłu głowy. Więzień nie protestował, jego ciało robiło wrażenie cięższego niż w rzeczywistości, jakby zamiast krwi w jego żyłach płynął ołów. Zadrżałam. I już nie przestałam drżeć.*

*– Ten człowiek to zdrajca – powiedział ojciec. – Knuje przeciwko naszej rodzinie. Rozsiewa plotki, jakobyśmy mieli okradać biednych i chorych poddanych z pomocy zagranicznej. Ludzie, którzy opowiadają kłamstwa na temat naszej rodziny, nie zasłużyli na zwyczajną śmierć. Zasłużyli na śmierć powolną. Musisz być przygotowany na to, by wydać rozkaz. A nawet samodzielnie wykonać wyrok, chociaż ta lekcja przyjdzie w swoim czasie.*

*Strach wił się w moim brzuchu jak robak.*

*Ojciec niecierpliwie odchrząknął, po czym wsunął mi coś do ręki. Była to fiolka zamknięta plombą z wosku.*

*– Jeśli jesteś zdenerwowany, to cię uspokoi – dodał. – Ale tak czy inaczej, musisz zrobić, co każe.*

*Chwyciłam za woskowy brzeg, zdarłam plombę i wlałam zawartość fiolki do ust. Środek uspokajający palił mnie w gardło, ale po chwili bicie serca zwolniło, a panika zaczęła ustępować.*

*Kiwnęłam głową, a ojciec wcisnął guzik włączający wzmacniacze w sąsiednim pomieszczeniu. Dopiero po chwili, gdzieś pośród mgły wypełniającej mój umysł, odnalazłam odpowiednie słowa.*

*– Stracić go – powiedziałam obcym głosem.*

*Jeden ze strażników cofnął się, jednocześnie pociągając za koniec sznura, który, jak przewleczona przez igłę nitka, przechodził przez*

zamocowane do sufitu metalowe kółko. Pociągał tak długo, aż palce u nóg więźnia ledwo dotykały podłogi. Patrzyłam, jak twarz mężczyzny robi się czerwona, a potem sina. Zaczął wierzgać. Chciałam odwrócić wzrok, ale nie mogłam.

– Nie wszystko, co skuteczne, należy robić publicznie – rzucił ojciec od niechcienia, wyłączając wzmacniacze. – Strażnicy powtórzą, do czego jesteś zdolny tym, którzy źle o tobie mówią, a ci powtórzą to następnym – wkrótce twoja siła i moc będą znane w całym Shotet.

W moim wnętrzu narastał krzyk, lecz przytrzymałam go w gardle jak kawałek jedzenia, zbyt duży, by go przełknąć.

Ciemne pomieszczenie znikło.

Znajdowałam się na jaskrawo oświetlonej ulicy, na której roilo się od ludzi, stałam obok matki, obejmując ramieniem jej nogę. Wokół nas unosił się pył – to była stolica planety-narodu Zold, o mało oryginalnej nazwie Miasto Zoldia, które odwiedziliśmy podczas mojej pierwszej wyprawy. Wszystko pokrywała cienka warstwa szarego pyłu. Wbrew moim przypuszczeniom nie pochodził on z ziemi czy skał, ale z rozległego pola pełnego kwiatów, na wschód od miejsca, w którym stałam. Przywiewał go stamtąd silny wiatr.

Znałam to miejsce, tę chwilę. Było to jedno z moich ulubionych wspomnień dotyczących matki i mnie.

Matka kiwnęła głową w stronę mężczyzny, którego spotkała na ulicy. Jej dłoń musnęła moje włosy.

– Dziękuję, Wasza Miłość, że łaskawie zechcieliście ugościć naszą wyprawę – powiedziała matka. – Z całych sił postaram się dopilnować, by zabrano tylko to, co nie jest już potrzebne.

– Byłbym wdzięczny. Słyszałem, że podczas poprzedniego żeru wasi żołnierze ograbili szpitale – odparł szorstko mężczyzna.

Jego skóra lśniła od pyłu, niemal migotała w słońcu. Gapiałam się na niego z zachwytem. Miał na sobie długą szarą szatę, wyglądał jak posąg.

– Zachowanie tych żołnierzy było odrażające i zostało surowo ukarane – odparła stanowczo matka. Potem zwróciła się do mnie: – Cyro, moja droga, oto przywódca stolicy planety Zold. Wasza Miłość, moja córka, Cyra.

– *Podoba mi się twój pylek – powiedziałam. – Czy dostaje się do oczu?*

*Mężczyzna jakby nieco złagodniał.*

– *Nieustannie – odparł. – Zazwyczaj nosimy gogle.*

*Wyjął gogle z kieszeni i podał mi je. Były duże, zaopatrzone w jasnozielone szkła. Włożyłam gogle na nos, a one natychmiast opadły mi na szyję, więc musiałam przytrzymywać je ręką. Matka zaśmiała się – lekko, swobodnie – a mężczyzna jej zawtórował.*

– *Postaramy się jak najlepiej uhonorować waszą tradycję – powiedział mężczyzna do mojej matki. – Chociaż muszę przyznać, że jest dla nas niezrozumiała.*

– *Cóż, ponad wszystko na świecie cenimy odnowę – oznajmiła. – Spośród rzeczy, które wyrzucono, wybieramy te, które można przerobić na nowo. Nic wartościowego nie powinno się marnować. Chyba każdy się z tym zgodzi.*

A potem usłyszałam jej słowa jak puszczone od tyłu, gogle wróciły na mój nos i podjechały wyżej, aż znalazły się z powrotem w dłoni mężczyzny. To była moja pierwsza wyprawa, teraz cofała się, odwijająca jak nić w moim umyśle. Wspomnienie odegrane od tyłu do samego początku zniknęło bez śladu.

Znów byłam w swoim pokoju, otoczona figurkami. Pamiętałam, że odbyłam pierwszą wyprawę, że spotkaliśmy podczas niej przywódcę Miasta Zoldia, lecz nie potrafiłam przywołać konkretnych obrazów. Zastąpił je więzień ze sznurem wokół szyi i cichy głos ojca.

Ryz wymienił jedno ze swoich wspomnień na moje.

Już wcześniej widziałam, jak to robi, raz Vasowi, swemu przyjacielowi i pełnomocnikowi, a raz matce. W obu przypadkach po powrocie ze spotkania z ojcem wyglądał, jakby rozdarto go na strzępy. A potem kładł dłoń raz na ramieniu swego najbliższego przyjaciela a raz na ramieniu matki, by chwilę później stać wyprostowany jak struna, z suchymi oczami, silniejszy niż wcześniej. Oni oboje zaś sprawiali wrażenie... jakby bardziej pustych. Jakby coś utracili.

– *Cyro – powiedział Ryz. Łzy plamiły jego policzki. – Tak będzie sprawiedliwie. Powinniśmy dzielić ten ciężar.*



Znów wyciągnął rękę. Moje wnętrze zapłonęło. W chwili, kiedy jego dłoń dotknęła mojego policzka, ciemne atramentowe giętkie linie, podobne do żył rozbiegły się pod moją skórą niczym owady wyposażone w setki odnóży, niczym pajęczyny ciemności. Poruszały się, pełzały w górę ramion, paliły w twarz. Niosły ból.

Krzyknęłam tak głośno, jak jeszcze nigdy w życiu, a głos Ryza połączył się z moim, niemal harmonijnie. Ciemne żyły niosły ból, ciemność *była* bólem, a ja byłam z niej zrobiona – cała byłam bólem.

Ryz gwałtownie cofnął rękę, lecz cienie pod skórą i potworny ból pozostały. Mój dar nurtu objawił się przedwcześnie.

Matka wpadła do pokoju, koszulę miała zapiętą tylko do połowy, jej włosy ociekały wodą. Widząc czarne linie na mojej skórze, podbiegła i położyła mi ręce na ramionach, ale niemal natychmiast je cofnęła. Ona też poczuła ból. Znów krzyknęłam i zaczęłam paznokciami drapać czarne pajęczyny.

Matka musiała podać mi środek uspokajający.

Ryz więcej mnie nie dotknął. Zresztą i tak nie potrafiłby mi pomóc. Nikt nigdy więcej mnie nie dotykał.

## Rozdział 6 | Cyra

– Dokąd idziemy?

Biegłam za matką przez wypolerowane lśniące korytarze. W posadzce widziałam swoje poznaczone ciemnymi smugami odbicie. Matka szła przed siebie, przytrzymując suknię, wyprostowana jak struna. Zawsze wyglądała elegancko. Nosiła suknie z płytkami ze skóry Pancernego wszytymi w gorset, ale dodatkowo tak spowitymi tkaniną, że całość wyglądała bardzo lekko, jak powietrze. Potrafiła wyrysować na powiece idealną kreskę, która sprawiała, że jej rzęsy wydawały się dłuższe. Raz próbowałam ją naśladować, ale nie mogłam utrzymać prosto ręki i co kilka sekund musiałam przerywać malowanie z powodu bólu.

Teraz ceniłam prostotę i wygodę bardziej niż elegancję: luźne stroje i buty bez sznurowadeł, spodnie niewymagające zapinania na guziki, swetry zakrywające niemal całą skórę. Już w wieku dziewięciu pór porzuciłam myśli o modnych fataląszkach. Ból stał się częścią mojego życia. Najprostsze czynności trwały dwa razy dłużej, ponieważ często musiałam przerywać, by wziąć oddech. Nikt mnie nie dotykał, więc wszystko musiałam robić sama.

Próbowałam nieskutecznych leków i mikstur z innych planet w próżnej nadziei, że stłumią dar, ale po wszystkim czułam się tylko gorzej.

– Ciszej – upomniała mnie matka, przykładając palec do ust.

Otworzyła drzwi i wyszliśmy na lądowisko na dachu rezydencji Noaveków. Czekał tam pojazd transportowy, przycupnięty niczym ptak odpoczywający podczas lotu, z otwartym włazem. Matka rozejrzała się pospiesznie, chwyciła mnie za ramię – pokryte materiałem, więc nie odczuła bólu – i pchnęła mnie w stronę statku.

Kiedy znalazłyśmy się w środku, usadziła mnie w fotelu i zapięła pasami biegnącymi przez pierś i kolana.

– Spotkamy się z kimś, kto być może będzie potrafił ci pomóc – powiedziała.

Tabliczka na drzwiach głosiła *Dr Dax Fadlan*. Mówiłam na niego doktor Fadlan, mimo że kazał zwracać się do siebie po imieniu. Rodzice

wpoili mi szacunek do osób mających nade mną władzę.

Moja matka była wysoka i miała długą szyję, lekko wygiętą do przodu, przez co wyglądała, jakby wiecznie się kłaniała. Widziałam ścięgna, rysujące się w tej chwili bardzo wyraźnie, oraz puls nierówno trzepocący tuż pod skórą.

Oczy doktora Fadlana raz po raz wędrowały w kierunku ramienia mojej matki. Odsłoniła znaki, ale nawet one wyglądały pięknie, wcale nie brutalnie, wszystkie proste i w równych odstępach. Przypuszczałam, że doktor Fadlan, Othyrianin, nie gościł zbyt wielu przedstawicieli ludu Shotet w swoim gabinecie.

Było to dziwne miejsce. Kiedy przybyliśmy, umieszczono mnie w pokoju pełnym obcych zabawek. Zaczęłam bawić się figurkami tak samo, jak bawiłam się w domu z Ryzkiem, kiedy jeszcze się razem bawiliśmy: ustawiłam figurki jak armię i kazałam im maszerować do bitwy przeciwko olbrzymiemu pluszowemu zwierzakowi siedzącemu w kącie pokoju. Po jakiejś godzinie doktor Fadlan powiedział, że mogę wyjść, że badanie skończone. A ja przecież nic jeszcze nie zrobiłam.

– Osiem pór to, rzecz jasna, bardzo młody wiek, ale Cyra nie jest najmłodszym dzieckiem, u którego widziałem objawiony dar – powiedział doktor Fadlan do mojej matki.

Ból wezbrał, próbowałam oddychać spokojnie, tak jak polecano naszym żołnierzom, kiedy trzeba było zszyć ranę, a brakowało czasu na środek znieczulający. Widziałam nagrania.

– Zwykle zdarza się to w ekstremalnych sytuacjach, w ramach ochrony. Wie pani może, jakie to mogły być okoliczności? Dzięki takim informacjom moglibyśmy zrozumieć, dlaczego rozwinął się ten szczególny dar.

– Już mówiłam – odparła. – Nie wiem.

Kłamała. Opowiedziałam jej, co zrobił mi Rzyk, ale teraz czułam, że nie należy się jej przeciwstawiać. Moja matka nigdy nie kłamała bez powodu.

– Cóż, przykro mi to mówić, ale Cyra nie będzie dorastać tak po prostu wraz ze swoim darem – dorzucił doktor Fadlan. – Wszystko wskazuje na to, że dar ujawnił się w pełni. A konsekwencje tego są cokolwiek niepokojące.

– Co pan ma na myśli?

Nie przypuszczałam, że matka może siedzieć jeszcze bardziej wyprostowana, ale jednak.

– Nurt przepływa przez każdego z nas – odparł doktor Fadlan łagodnym głosem. – I podobnie jak płynny metal wlewający się do formy, przybiera kształt każdego z nas, objawia się na przeróżne sposoby. Kiedy człowiek dorasta, zachodzące w nim zmiany również mogą zmieniać formę, przez którą przepływa nurt, a co za tym idzie, dar może się zmienić. Chociaż ludzie zazwyczaj nie zmieniają się jakoś znacznie.

Doktor Fadlan miał ramię bez znaków i nie mówił w języku objawienia. Wokół jego ust i oczu widniały głębokie linie, które teraz, kiedy na mnie patrzył, wydawały się jeszcze głębsze. Ale jego skóra miała ten sam odcień co skóra mojej matki, co sugerowało wspólne pochodzenie. Wiele osób z ludu Shotet miało mieszaną krew, więc nie zdziwiło mnie to – moja skóra miała odcień jasnego brązu, niemal złotego.

– Dar pani córki sprawia, że przyjmuje ona ból i przenosi go na inne osoby, co może wskazywać na to, co dzieje się w jej wnętrzu – wyjaśnił doktor Fadlan. – Potrzebne są dalsze badania, by określić dokładnie, co to jest. Ale wstępna ocena pozwala stwierdzić, że na pewnym poziomie czuje ona, że na ten ból zasługuje. I że inni również nań zasługują.

– Twierdzi pan, że moja córka jest winna swego daru? – Puls na szyi matki przyspieszył. – Że go pragnie?

Doktor Fadlan pochylił się do przodu i spojrzał mi w oczy.

– Cyro, dar pochodzi z twego wnętrza. Jeśli się zmienisz, dar również się zmieni.

Matka podniosła się z krzesła.

– To jeszcze dziecko. Nie ponosi winy, nie pragnie tego daru. Przykro mi, ale widzę, że marnujemy tu czas. Cyro.

Wyciągnęła dłoń w rękawicze, a ja chwyciłam ją, krzywiąc się. Jeszcze nigdy nie widziałam matki tak wzburzonej. Cienie pod moją skórą poruszały się szybciej niż zwykle.

– Jak sama pani widzi – dodał doktor Fadlan – stan pogarsza się

w chwili emocjonalnego wzburzenia.

– Milczeć – warknęła matka. – Nie życzę sobie, by dalej zatruwał pan jej umysł.

– Biorąc pod uwagę, w jakiego rodzaju rodzinie przyszło jej dorastać, obawiam się, że widziała już zbyt wiele i jej umysł jest nie do uratowania – odparował na pożegnanie.

Matka pospieszyła korytarzem w stronę strefy załadunkowej. Dotarliśmy do lądowiska. Wokół naszego statku stali miejscowi żołnierze. Ich broń wydała mi się słaba, cienkie drągi z oplątaną dokoła ciemną wstążką nurtu, mające raczej robić odpowiednie wrażenie niż rzeczywiście pozbawiać życia. Ich zbroje, zrobione z syntetycznych pikowanych materiałów, odsłaniające ciało po bokach, również wyglądały żałośnie.

Matka kazała mi wejść do środka, sama zaś zatrzymała się, by porozmawiać z jednym z nich. Zwlekałam specjalnie, by usłyszeć, co powiedzą.

– Eskortujemy was poza świat – powiedział żołnierz.

– Jestem żoną władcy Shotet. Powinieneś zwracać się do mnie „wasza wysokość” – warknęła matka.

– Wybacz, pani, ale Zgromadzenie Dziewięciu Planet nie uznaje narodowości Shotet, a tym samym rządzącego tym ludem władcy. Jeśli zechce pani opuścić planetę w trybie natychmiastowym, nie będziemy sprawiać żadnych trudności.

– Nie uznaje narodowości Shotet. – Matka zaśmiała się. – Nadejdzie czas, gdy pożałujesz tych słów.

Chwyliła fałdy sukni, uniosła je i weszła na stopnie. Wdrapałam się do środka i zajęłam swoje miejsce. Matka usiadła obok. Drzwi zamknęły się za nami i pilot dał sygnał do odlotu. Tym razem sama zapięłam pasy, ponieważ dłonie mojej matki za bardzo się trzęsły.

Wtedy oczywiście tego nie wiedziałam, ale to była nasza ostatnia wspólna pora. Matka odeszła po kolejnej wyprawie, kiedy liczyłam dziewięć pór.

Rozpaliliśmy stos na jej cześć w centrum miasta, lecz statek zabrał jej prochy w przestrzeń. Poddani dzielili żałobę wraz z całą naszą rodziną.

*Ylira Noavek już zawsze będzie wędrować śladem nurtu, powiedział kapłan w chwili, gdy statek wystrzelił w powietrze. Nurt zabierze ją w podróż ścieżką cudów.*

Przez długi czas nie byłam w stanie nawet wypowiedzieć jej imienia. W końcu to ja byłam winna jej śmierci.

PO RAZ PIERWSZY ZOBACZYŁAM BRACI KERESETHÓW z korytarza dla służby biegnącego wzdłuż Sali Oręża. Zbliżałam się do wieku dorosłego.

Ojciec dołączył do matki kilka pór wcześniej, zabity podczas ataku na jednej z wypraw. Ryzek, mój brat, kroczył teraz ścieżką, którą wyznaczył mu ojciec, prowadzącą w kierunku prawowitej władzy nad Shotet. A może nawet dominacji nad całą planetą.

O braciach Keresethach dowiedziałam się od swojej byłej nauczycielki, Otegi, ponieważ służący powtarzali sobie tę historię nad garnkami w kuchni, a Otega zawsze przekazywała mi, o czym szepcze służba.

– Pojmał ich Vas, pełnomocnik twego brata – mruknęła podczas sprawdzania mojego eseju.

Nadal nauczała mnie literatury i przedmiotów ścisłych, ale w wielu innych dziedzinach ją prześcignęłam i teraz studiowałam samodzielnie. Otega wróciła więc do zarządzania kuchnią.

– Myślałam, że Ryzek posłał żołnierzy, by pojмали wyrocznie. Starą wyrocznie – powiedziałam.

– Owszem – odparła. – Lecz wyrocznia odebrała sobie życie, by uniknąć niewoli. Tak czy inaczej, Vas i jego ludzie dostali za zadanie pojmać zamiast niej braci Keresethów. Vas ciągnął ich przez cały Dział, a oni darli się i wrywali. Ten młodszy, Akos, jakimś sposobem uwolnił się z więzów, ukradł broń i zwrócił ją przeciw jednemu z żołnierzy Vasa. Zabił go.

– Którego? – spytałam.

Znałam ludzi, z którymi podróżował Vas. Wiedziałam, że jeden lubi cukierki, drugi ma słabe lewe ramię, a jeszcze inny trzyma w domu oswojonego ptaka, który wyjada mu smakołyki prosto z ust. Dobrze wiedzieć takie rzeczy na temat ludzi. Tak na wszelki wypadek.

– Kalmeva Radixa.

Wielbiciel cukierków.

Uniosłam brwi. Kalmev Radix, należący do elity, ulubieńców mojego brata, zginął z ręki chłopca z Thuvhe? To z pewnością nie była

śmierć pełna chwały.

– Dlaczego pojmano tych braci? – spytałam.

– Z powodu ich losów. – Otega poruszyła brwiami. – Tak przynajmniej powiadają. A ponieważ ich losy zna wyłącznie Ryzek, niekoniecznie jest to prawdą.

Nie znałam losów braci Keresethów ani losów żadnej innej osoby za wyjątkiem Ryzeka, chociaż kilka dni wcześniej ogłoszono je w wiadomościach. Ryzek przerwał transmisję w momencie, gdy na ekranie pojawił się Przewodniczący Zgromadzenia i zapowiedział, o czym będzie mowa. Zrobił to wprawdzie w języku othyrskim, ale choć nauka wszelkich języków za wyjątkiem shotet, a także posługiwanie się nimi, od wielu pór było w naszym kraju zakazane, mój brat wolał zachować ostrożność.

O swoim losie dowiedziałam się od ojca, podczas niewielkiej ceremonii, po tym, jak objawił się mój dar nurtu: *Drugie dziecko w rodzinie Noavek przekroczy Dział*. Dziwny los dla kogoś z rodziny wybrańców. Mało interesujący.

Ostatnio nie wędrowałam już korytarzami dla służby – w tym domu działały się rzeczy, których wolałam nie widzieć – ale zobaczyć braci Kereseth... hmmm. Tym razem musiałam zrobić wyjątek.

O ludziach mieszkających w Thuvhe wiedziałam tylko – nie licząc faktu, że są naszymi wrogami – że mają cienką skórę, którą łatwo przebić ostrzem, i nadużywają lodokwiatów, stanowiących fundament ich gospodarki. Pod naciskiem matki nauczyłam się ich języka – oczywiście elit nie dotyczył zakaz nauki języków obcych – brzmiał dziwnie w moich ustach, nawykłych do szorstkich mocnych dźwięków języka shotet, a nie do potocznej i łagodnej mowy thuvhe.

Domyśliłam się, że Ryzek karze zaprowadzić Keresethów do Sali Oręza, więc przykucnęłam w ciemności i odsunęłam panel w ścianie. Nagle usłyszałam kroki.

Pomieszczenie przypominało wszystkie pozostałe w rezydencji Noaveków – ściany i podłogę zrobiono z ciemnego drewna tak wypolerowanego, że wyglądało jak powleczone warstwą lodu. Z sufitu zwisał misterny żyrandol z giętego metalu oraz szklanych kulek. W środku trzepotały maleńkie owady fenzu, rzucając dokoła migotliwą



bladą poświatę. Prócz tego sala była niemal całkiem pusta, poduszki do siedzenia, umieszczone dla wygody na niskich drewnianych siedziskach, zbierały kurz, zmieniając kolor z kremowego na szary. Niegdyś rodzice wydawali w tej sali przyjęcia, lecz Ryzek przyjmował tu tylko tych ludzi, których chciał onieśmielić.

Pierwszy wszedł Vas, pełnomocnik mojego brata. Miał wygoloną połowę głowy, czerwoną i zaognioną, z drugiej strony zaś zwisały długie strąki, tłuste i przyklapnięte. Obok niego, powłócząc nogami, szedł chłopiec, znacznie niższy ode mnie, cały w sińcach pokrywających jasną skórę. Miał wąskie ramiona, a ciało czujnie spięte, jakby szykował się na czyjś atak.

Za nim kroczył drugi chłopiec, z trudem tłumiący łkanie, o gęstych kręconych włosach. Był wyższy i bardziej barczysty, ale cały się kulił, przez co wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości.

To byli bracia Kereseth, wybrańcy losu. Niezbyt imponujący widok.

Mój brat czekał na nich na końcu sali, siedział na stopniach wiodących na podwyższenie. Jego pierś zakrywała zbroja, ręce miał jednak odkryte, tak że widać było szereg znaków wyciętych na lewym przedramieniu. Te wyroki śmierci wydał nasz ojciec. Wiedziałam, że chciał zapobiec plotkom na temat słabego charakteru Ryzeka, które mogłyby rozprzestrzenić się wśród niższych klas społecznych. W prawej dłoni Ryzek trzymał niewielkie ostrze nurtu i co i raz obracał nim, zawsze w odpowiednim momencie chwytając za rękojeść. W niebieskawym świetle jego skóra była tak blada, że wyglądał niemal jak trup.

Uśmiechnął się na widok jeńców, pokazując zęby. Mój brat, kiedy się uśmiechał, wyglądał jak zwyczajny przystojny chłopak. Nawet jeśli ten uśmiech znaczył, że zamierza kogoś zabić.

Odchylił się do tyłu, podparł się na łokciach i pokręcił głową.

– A to dopiero – powiedział. Jego głos był głęboki i ochryply, jakby przez całą noc wrzeszczał co sił w płucach. – To o nim tyle słyszałem? – Ruchem głowy wskazał posiniaczonego chłopaka. Mówił w języku thuvhe, płynnie i elegancko. – To ten, który zaliczył znak, zanim zdążyliście wsadzić go na statek? – Zaśmiał się.

Spojrzałam na ramię Keresetha. Po zewnętrznej stronie tuż obok łokcia widniało głębokie nacięcie, strużka krwi zaschła na skórze. Znak zabójstwa, niedokończony. Bardzo świeży, należący, o ile pogłoski były prawdziwe, do Kalmeva Radixa. A więc to był Akos, a ten pociągający nosem to Eijeh.

– Akos Kereseth, trzecie dziecko z rodziny Keresethów.

Ryzek wstał, obracając nóż w dłoni, i zszedł po stopniach. Górował wzrostem nawet nad Vasem. Zupełnie jakby człowieka normalnego wzrostu rozciągnięto tak, że zrobił się nadmiernie wysoki i chudy, a jego ramiona i biodra stały się zbyt wąskie, by utrzymać ciało.

Ja również byłam wysoka, ale na tym moje podobieństwa do brata się kończyły. Wśród mieszkańców Shotet bracia i siostry często różnili się między sobą – nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jak mocno zmieszana była krew tego ludu – ale w naszym przypadku bardziej rzucało się to w oczy.

Chłopak – Akos – uniósł wzrok i spojrzał na Ryzeke. Po raz pierwszy zobaczyłam to imię w podręczniku do historii. Należało do przywódcy religijnego, duchownego, który wolał poświęcić życie, niż znieważać nurt, biorąc do ręki jego ostrze. A więc ten chłopak z ludu Thuvhe nosił imię z języka shotet. Czy jego rodzice zapomnieli o pochodzeniu tego imienia? A może chcieli uhonorować w ten sposób swe dawno zapomniane korzenie?

– Dlaczego nas tu sprowadzono? – spytał Akos ochrypłym głosem, w naszym języku.

Ryzek, nie przestając się uśmiechać, odpowiedział, również w shotet:

– A więc plotki mówią prawdę. Posługujesz się płynnie językiem objawienia. Fascynujące. Ciekawe, skąd w twoich żyłach krew Shotet? – Dotknął twarzy jeńca, w miejscu, gdzie widniał, jeden z sińców. Akos skrzywił się. – Widzę, że dostałeś karę za zamordowanie jednego z moich żołnierzy. Domyślam się, że twoje żebra ucierpiały jeszcze mocniej.

Ryzek lekko drgnął. Bez wątpienia mógł to zauważyć tylko ktoś, kto znał go tak długo, jak ja. Mój brat nienawidził patrzeć na czyjś ból, bynajmniej nie ze współczucia dla cierpiącego, po prostu nie znoził,

kiedy mu przypominano, że coś takiego jak ból w ogóle istnieje, a on jest nań narażony w takim samym stopniu jak wszyscy pozostali.

– Prawie musiałem go tu wnieść – odezwał się Vas. – W każdym razie musiałem wnieść go na statek.

– Normalnie zapłaciłbyś życiem za tak arogancki gest jak zabicie jednego z moich żołnierzy. – Ryzek zwrócił się do Akosa takim tonem, jakby mówił do dziecka. – Ale interesuje mnie twój los. Masz ponieść śmierć, służąc rodzinie Noavek, służąc mnie. Najpierw więc chętnie skorzystam z twych usług.

Początkowo Akos był cały spięty. Ale po chwili twardy rdzeń w jego ciele jakby stopniał, pozostawiając go kruchym i słabym jak dziecko. Podkurczył palce, ale nie zacisnął pięści. Bezwiednie i biernie, jak przez sen. Do tej pory chyba nie znał swego losu.

– To nieprawda – powiedział, jakby oczekiwał, że Ryzek rozwieje jego strach.

Przycisnęłam rękę do brzucha, by zatrzymać ból.

– O, zapewniam cię, że prawda. Może chcesz, bym odczytał zapis wiadomości? – Ryzek wyjął z tylnej kieszeni kawałek papieru – najwyraźniej przyszedł na to spotkanie przygotowany, by siać emocjonalne spustoszenie – i rozłożył ją. Akos drżał. – Trzecie dziecko z rodziny Kereseth... – zaczął czytać po othyrsku, czyli w najpopularniejszym języku galaktyki. W pewnym sensie dźwięk tego języka, w którym również ogłoszono los Akosa w oświadczeniu w wiadomościach, sprawił, że komunikat wydał mi się bardziej prawdziwy. Zastanawiałam się, czy Akos, drżący przy każdej sylabie, czuje podobnie. – ...zginie, służąc rodzinie Noavek.

Ryzek pozwolił kartce spaść na podłogę. Akos chwycił ją tak gwałtownym ruchem, że o mało jej nie rozerwał. Nie podnosząc się z kucek, odczytał słowa. Przebiegał wzrokiem raz po raz, wciąż od nowa, i od nowa, jakby mogło to coś zmienić.

– Tak się nie stanie – powiedział w końcu, tym razem bardziej stanowczym głosem, podnosząc się. – Wolałbym raczej... wolałbym umrzeć niż...

– O, nie sądzę – przerwał mu Ryzek, zniżając głos niemal do szeptu. Pochylił się, zbliżając twarz do twarzy Akosa, który stał całkiem

spokojnie, ale palcami dziurawił kartkę. – Wiem, jak wygląda człowiek, który naprawdę pragnie śmierci. Wielu sam doprowadziłem do takiego stanu. Ale ty wciąż masz w sobie mnóstwo desperackiej chęci przetrwania.

Akos wziął wdech i wbił w Ryzeka wzrok, w którym pojawił się upór i stanowczość.

– Mój brat nie ma z tobą nic wspólnego. Do niczego nie jest ci potrzebny. Wypuść go, a ja... ja nie będę sprawiał żadnych kłopotów.

– Zdaje się, że poczyniłeś kilka fałszywych założeń w kwestii waszej obecności w tym miejscu – odparł Ryzek. – Nie przekroczyliśmy Działu tylko po to, by przyspieszyć twój los. A twój brat nie jest dodatkowym łupem. To ty nim jesteś. Tak naprawdę to jego szukaliśmy.

– Ty nie przekroczyłeś Działu – warknął Akos. – Siedziałeś tutaj i tylko wydawałeś rozkazy swoim lokajom.

Ryzek odwrócił się i wszedł na podwyższenie. Na ścianie powyżej wisiał oręż we wszystkich możliwych kształtach i rozmiarach, w większości ostrza nurtu długości mojego ramienia. Wybrał szeroki nóż o solidnej rękojeści, przypominający tasak do mięsa.

– Twój brat ma szczególne przeznaczenie – dodał Ryzek, oglądając nóż ze wszystkich stron. – Przypuszczam, że skoro nie znałeś własnego losu, to nie znasz również jego, zgadza się? – Uśmiechnął się szeroko, jak zawsze, kiedy wiedział o czymś, o czym inni nie wiedzą. – Zobaczysz przyszłość galaktyki – zacytował, tym razem w shotet. – Innymi słowy, będzie kolejną wyrocznią naszej planety.

Akos milczał.

Odsunęłam się od szpary w ścianie i zamknęłam oczy, by pomyśleć w ciemnościach.

Dla mojego brata i ojca każda wyprawa wiązała się z poszukiwaniem wyroczni i każda okazywała się równie bezowocna. Zapewne dlatego, że właściwie niemożliwe jest złapać kogoś, kto wie z wyprzedzeniem o twoim nadejściu. Albo może skończyć ze sobą, by uniknąć pojmania, tak jak najstarsza wyrocznia podczas najazdu, z którego przywieziono braci Kereseth.

Ale Ryzek chyba wreszcie znalazł rozwiązanie: wyruszył w pogoń za dwiema wyroczniami jednocześnie. Jedna wybrała śmierć. Druga –

Eijeh Kereseth – nie znała swego przeznaczenia. Eijeh wciąż był miękki i wystarczająco plastyczny, by ukształtować go na okrutny kształt Noaveków.

Pochyliłam się do przodu, by lepiej słyszeć jego głos.

– Akos, co on mówi? – zapytał Eijeh w śliskim języku thuvhe, ocierając nos wierzchem dłoni.

– Mówi, że nie przybyli do Hessy po mnie – odparł Akos, nie patrząc na brata. Dziwnie było słyszeć kogoś, kto posługuje się dwoma językami z jednakową biegłością, bez cienia akcentu. Zazdrościłam mu. – Chodziło im o ciebie.

– O mnie? – Oczy Eijeha były bladozielone. Niezwykły kolor, jak opalizujące skrzydła owadów czy wstęga nurtu po Czasie Wytlumienia. Niemal żarzyły się na tle jego jasnobrazowej skóry, podobnej do mlecznej gleby planety Zold. – Dlaczego?

– Ponieważ jesteś kolejną wyrocznią tej planety – odparł Ryzek w języku ojczystym Eijeha, schodząc z podwyższenia. – Kiedyś zobaczysz przyszłość w jej wielu, wielu wariantach. A jeden z nich chciałbym poznać w szczególności.

Po wierzchu mojej dłoni przemknął cień, dar nurtu sprawił, że knykcie rozboleły mnie, jakby ktoś je łamał. Zdusiłam jęk. Wiedziałam, jakiej przyszłości pragnie Ryzek: zdobyć władzę nad Thuvhe, zdobyć władzę nad Shotet, podbić naszych wrogów i zostać uznanym przez Zgromadzenie prawowitym przywódcą całego świata. Jednakże jego los wisiał nad nim równie ciężko, jak to było w przypadku Akosa: Ryzek miał bowiem przegrać z naszymi wrogami, a nie zdobyć nad nimi panowanie. Potrzebował wyroczni, by uniknąć przegranej. I teraz ją zdobył.

Chciałam równie mocno, jak mój brat, by uznano lud Shotet za naród, a nie zbieraninę zbuntowanych parweniuszy. Dlaczego więc ból spowodowany darem nurtu – zawsze obecny – teraz narastał?

– Ja... – Eijeh nie spuszczał wzroku z ostrza w dłoni Ryzeka. – Ja nie jestem wyrocznią, nigdy nie miałem wizji, nie mogę... niemożliwe, by...

Znów przycisnęłam dłonie do brzucha.

Ryzek wsparł ostrze na dłoni i przekręcił. Zachwiało się i obróciło

powoli. *Nie, nie, nie*, pomyślałam mimowolnie, sama nie wiem dlaczego.

Akos stanął między nim a swym bratem, tak jakby mógł powstrzymać Ryzeka własnym ciałem.

Ryzek ruszył w stronę Eijeha, nie odrywając spojrzenia od obracającego się noża.

– W takim razie musisz się szybko nauczyć – powiedział. – Ponieważ chcę, byś znalazł dla mnie wersję przyszłości, która jest mi potrzebna, i powiedział, co muszę zrobić, by ją zrealizować. Może zaczniemy od wersji, w której to Shotet, a nie Thuvhe, sprawuje kontrolę nad tą planetą, hm?

Ruchem głowy dał znak Vasowi, a ten zmusił Eijeha do klęku. Ryzek przyłożył czubek noża do głowy Eijeha, tuż pod uchem.

– Nie mogę... – zaskomlał Eijeh. – Nie wiem, jak przywołać wizje. Ja nie...

A potem Akos rzucił się na mojego brata. Był zbyt drobny, by go przewrócić, ale zdołał go zaskoczyć. Ryzek stracił równowagę i zatoczył się. Akos zamierzył się łokciem – głupi ruch, pomyślałam – ale Ryzek okazał się szybszy. Kopnął go od dołu, trafiając w brzuch, podniósł się, chwycił Akosa za włosy, przekręcając mu głowę do góry i ciął nożem wzdłuż szczęki, od ucha do podbródka. Akos krzyknął.

Ryzek bardzo lubił ciąć ludzi właśnie w tym miejscu. Kiedy postanowił kogoś naznaczyć, chciał, by blizna była widoczna. Nieunikniona.

– Proszę – powiedział Eijeh. – Proszę. Nie wiem, jak zrobić to, czego ode mnie żadasz, proszę, nie rób nam krzywdy...

Ryzek spojrzał z góry na Akosa, który przyciskał obie dłonie do twarzy. Krew ciekła mu po szyi.

– Nie wiem, co znaczy w języku thuvhe słowo „proszę” – powiedział Ryzek.

Później tej samej nocy usłyszałam krzyk odbity echem w cichych korytarzach rezydencji Noaveków. Wiedziałam, że to nie Akos – posłano go do naszego kuzyna Vakreza, by „wyhodował grubszą skórę”, jak ujął to Ryzek. Rozpoznałam głos Eijeha, wzniesiony w bólu. Mój brat próbował siłą wydobyć przyszłość z jego głowy.

Później długo mi się to śniło.



## Rozdział 8 | Cyra

OBUDZIŁAM SIĘ Z JĘKIEM. Ktoś pukał do drzwi.

Moja sypialnia wyglądała jak pokój gościnny, zero cech indywidualnych, wszystkie ubrania i ulubione przedmioty pochowane w szufladach bądź za drzwiami szaf. Ten dom, pełen przeciągów, wypolerowanych podłóg i wielkich żyrandoli, przechowywał w sobie złe wspomnienia. Tej nocy jedno z takich wspomnień – strumień krwi na szyi Akosa Keresetha, dwie pory temu – powróciło w moich snach.

Nie chciałam zapuszczać korzeni w tym miejscu.

Usiadłam na łóżku i otarłam łzy. Nie nazwałabym tego płaczem – łzy ciekły z własnej woli, wywołane szczególnie silnymi atakami bólu, często zdarzało się to we śnie. Przeczesałam włosy palcami i podeszłam do drzwi. Powitałam Vasa niechętnym mruknięciem.

– Czego? – zapytałam, odchodząc od drzwi. Czasem chodzenie pomagało – działało kojąco, jak kołysanie.

– Widzę, że humor ci dopisuje – zauważył Vas. – Spałaś? Chyba zdajesz sobie sprawę, że jest już po południu?

– A co ci do tego? Nie masz pojęcia, co znaczy nie spać pół nocy z bólu! – odparłam.

Vas nie odczuwał bólu. Znaczyło to, że jest jedyną osobą, która od czasu, gdy rozwinęłam swój dar, może mnie dotykać gołymi rękami. Lubił mi o tym przypominać. *Kiedy dorośniesz*, mawiał czasem, gdy Ryzek nie słyszał, *może docenisz mój dotyk, mała Cyro*. A ja zawsze odpowiadałam, że wolałabym umrzeć w samotności. Zgodnie z prawdą.

Fakt, że nie czuł bólu, znaczył również tyle, że nie wiedział nic o szarej przestrzeni tuż pod granicą świadomości, która pozwala uczynić cierpienie bardziej znośnym.

– Ach – powiedział – cóż, przyszedłem przekazać ci prośbę twego brata. Masz udać się wieczorem do jadalni na kolację w towarzystwie najbliższych popleczników Ryzeka. Ubierz się ładnie.

– Nie mam ochoty na towarzyskie spotkania – wycedziłam. – Jestem zmuszona odmówić.

– Powiedziałem „prośbę”, może jednak powinienem bardziej precyzyjnie dobrać słowa – odparł Vas. – Twój brat posłużył się



słowem „rozkaz”.

Zamknęłam oczy, na chwilę przerywając wędrówkę po pokoju. Ryzek zawsze żądał mojej asysty, kiedy chciał kogoś onieśmielić, nawet jeśli jadł obiad w towarzystwie najbliższych przyjaciół. Było takie powiedzenie wśród mieszkańców Shotet: *Dobry żołnierz nigdy nie siada z przyjaciółmi do stołu nieuzbrojony*. A ja byłam jego bronią.

– Przygotowałem się. – Vas podał mi brązową buteleczkę zaplombowaną woskiem.

Nie było na niej etykiety, ale wiedziałam, co zawiera: jedyny środek przeciwbólowy na tyle silny, by uczynić mnie zdolną do uprzejmej konwersacji. W ogóle zdolną do czegokolwiek.

– Jak mam jeść kolację na tych dragach? Obrzygam gości. – Niektórym może nawet dobrze by to zrobiło.

– To nie jedz. – Vas wzruszył ramionami. – Ale bez tego właściwie nie możesz funkcjonować, prawda?

Wyrwałam mu buteleczkę z dłoni i zamknęłam drzwi stopą.

Sporą część popołudnia spędziłam skulona w łazience, pod strumieniem ciepłej wody, licząc na to, że w ten sposób pozbędę się napięcia w mięśniach. Nie pomogło.

Otworzyłam buteleczkę i wypiłam zawartość.

W ramach zemsty włożyłam tego wieczoru jedną z sukien matki. Była uszyta z jasnoniebieskiej tkaniny, opadała aż do ziemi, a jej górę ozdobiono drobnym geometrycznym wzorem przypominającym nałożone na siebie pióra. Wiedziałam, że bratu będzie przykro, kiedy mnie w tym zobaczy – jak we wszystkim, co kiedykolwiek nosiła – lecz przy gościach nie będzie mógł pozwolić sobie na komentarze. W końcu ubrałam się ładnie – zgodnie z poleceniem.

Wkładałam sukienkę i zapinałam ją przez całe dziesięć minut, opuszki palców całkiem mi bowiem odrętwiały pod wpływem środka przeciwbólowego. Idąc korytarzem, musiałam jedną ręką przytrzymywać się ściany. Wszystko wirowało, kołysało się i bujało. W drugiej ręce niosłam buty – zamierzałam włożyć je dopiero przed wejściem do pokoju, by nie pośliznąć się na wypolerowanych podłogach korytarzy.

Cienie rozprzestrzeniły się wzdłuż moich nagich ramion, od barku po nadgarstek, owinęły się wokół palców i rozlały pod paznokciami. Ból

palil przy kazdym kroku, przytlumiony lekarstwem, ale wciaz obecny. Potrasznelam glowa, kiedy straznik chcial otworzyc drzwi. Wlozylam buty i dopiero wtedy powiedzialam:

– Dobra, dalej.

Jadalnica byla obszerna, lecz ciepla, oswietlaly ja latarnie zarzace sie na dlugim stole oraz ogien plonacy przy tylnej scianie. Ryzek stal, skapany w swietle, z kieliszkiem w dloni i Yma Zetsyvis po swojej prawicy. Yma wyszla za bliskiego przyjaciela matki, Uzula Zetsyvisa. Chociaz byla mloda – w kazdym razie mlodsza od meza – wlosy miala calkiem biale, oczy zaś przenikliwie niebieskie. Na jej twarzy zawsze widnial usmiech.

Znalam imiona wszystkich zgromadzonych przy stole: Vas, oczywiscie, siedzacy z lewej strony, jego kuzyn, Suzao Kuzar, gorliwie smiejacy sie z czegoś, co przed chwila powiedzial Ryzek, nasz kuzyn Vakrez, który trenowal zolnierzy, i jego maz, Malan, który wlasnie jednym haustem dopijal zawartość kieliszka, Uzul oraz dorosla corka jego i Ymy, Lety, o dlugim lsniacym warkoczcu, i wreszcie Zeg Radix, którego ostatnio widzialam na pogrzebie brata, Kalmeva. Na pogrzebie czlowieka, którego zabil Akos Kereseth.

– A oto jest! – Ryzek wyciagnal dlon w moja strone. – Na pewno wszyscy pamietacie moja siostrę, Cyre.

– Wlozyla suknie matki – zauwazyła Yma. – To urocze.

– Brat polecil mi ladnie sie ubrac – odparlam z trudem, bo wargi mialam calkiem odrętwiale. – A nikt nie potrafil dorownac naszej matce pod wzgledem elegancji.

Oczy Ryzeka zalśniły zlowrogo.

– Za Ylire Noavek. – Uniosl kieliszek. – Nurt powiedzie ja sciezka cudow.

Pozostali rowniez uniesli kielichy i wypili toast. Nie przyjelam swojego kieliszka od milczacego sluzacego – mialam zbyt mocno zaciśnięte gardlo, nie zdolalabym nic przelknac. Toast Ryzeka stanowil powtorzenie slow, które wypowiedzial kaplan na pogrzebie matki. W ten sposob chcial mi o nim przypomniec.

– Podejdz blizej, mala Cyro, niech no na ciebie spojrze – powiedziala Yma Zetsyvis. – Hm, chyba juz nie taka mala. W jakim

jesteś wieku?

– Odbyłam dziesięć wypraw – odparłam, posługując się zwyczajową miarą czasu, oznaczającą raczej, ile przeżyłam, a nie jak długo istnieję. Potem dodałam: – Zaczęłam wcześniej. Za kilka dni skończę szesnaście pór.

– Ach, być tak młodym, żeby liczyć dni! – zaśmiała się Yma. – A więc jednak wciąż dziecko, choć wysokie.

Yma potrafiła obrażać w elegancki sposób. Nazwanie mnie dzieckiem należało do najłagodniejszych z repertuaru jej uwag, byłam o tym przekonana. Stałam w blasku ognia.

– Lety, poznałaś Cyrę, nieprawdaż? – zwróciła się Yma do córki.

Lety Zetsyvis była ode mnie niższa o głowę, chociaż kilka pór starsza. Na szyi miała wisiołek, był to fenzu uwięziony w szklanej kuli. Choć martwy, wciąż się żarzył.

– Nie – odparła Lety. – Chętnie podałamby ci rękę na powitanie, Cyro, ale...

Wzruszyła ramionami. Moje cienie, jakby w odpowiedzi na te słowa, gwałtownie rozlały się na piersi i szyi. Zdusiłam jęk bólu.

– Miejmy nadzieję, że nigdy nie zasłużysz na ten przywilej – odparłam zimno.

Oczy Lety rozszerzyły się, wszyscy umilkli. Zbyt późno zrozumiałam, że działałam na korzyść Ryzeka – mój brat chciał, żeby się mnie bali, mimo że byli jego oddanymi poplecznikami. A ja ułatwiłam mu zadanie.

– Twoja siostra ma ostry język – powiedziała Yma do Ryzeka. – Zła wiadomość dla twych potencjalnych oponentów.

– Nie lepsza dla przyjaciół, jak widać – odparł Ryzek. – Jeszcze jej nie nauczyłem, kiedy ma go trzymać za zębami.

Rzuciłam mu mordercze spojrzenie. Ale nie zdążyłam ponownie posłużyć się swoim ostrym językiem, ponieważ rozmowa potoczyła się dalej.

– Jak tam twoja ostatnia partia rekrutów? – zapytał Vas mojego kuzyna Vakreza.

Kuzyn był wysoki i przystojny, ale już w takim wieku, że wokół oczu pojawiły się pierwsze zmarszczki, nawet kiedy się nie uśmiechał.

Głęboka blizna w kształcie półkola znaczyła środek policzka.

– W porządku – odparł. – Lepiej, mają już za sobą pierwszą rundę.

– Dlatego przyjechałeś z wizytą? – zainteresowała się Yma.

Armia trenowała w pobliżu Działu, poza miastem, więc Vakrez musiał odbyć kilkugodzinną podróż.

– Nie. Musiałem przywieźć Keresetha – odrzekł, kiwając głową w stronę Ryzeka. – Młodszego Keresetha.

– Czy jego skóra nabrała nieco grubości przez ten czas? – zapytał Suzao. Był niski, ale twardy jak zbroja i cały poznaczony bliznami. – Kiedy go pojмалиśmy, wystarczył zwykły dotyk i bam! Od razu siniak!

Pozostali zaśmiali się. Pamiętałam, jak wyglądał Akos Kereseth, kiedy przyprowadzono go do tego domu. Pamiętałam krew zaschniętą na jego ramieniu naznaczonym pierwszym nacięciem oraz krocącego tuż za nim łkającego brata. Nie wydawał mi się wówczas słaby.

– Jego skóra nie była znowu taka cienka – wtrącił groźnie Radix. – Czy sugerujesz, że mój brat Kalmev zginął łatwą śmiercią?

Suzao odwrócił wzrok.

– Jestem przekonany – powiedział Ryzek gładkim tonem – że nikt nie chciał obrazić Kalmeva, Zegu. Mój ojciec również zginął z ręki człowieka, który nie był godnym przeciwnikiem. – Upił z kielicha. – A teraz, zanim zaczniemy jeść, zorganizowałem dla nas odrobinę rozrywki.

Kiedy drzwi się otworzyły, zastygłam, pewna, że to, co Ryzek nazywał „rozrywką”, okaże się czymś wprost przeciwnym. Ale do pokoju weszła tylko kobieta ubrana w obcisły ciemny kostium, ukazujący każdy mięsień, każdy staw. Oczy i usta miała pomalowane czymś w rodzaju jasnych kolorowych kredek.

– Moje siostry i ja pochodzimy z planety Ogra. Przekazujemy pozdrowienia ludowi Shotet – powiedziała kobieta schrypniętym głosem – i pragniemy zaprezentować taniec.

Przy ostatnich słowach złączyła dłonie i głośno klasnęła. Ogień na kominku zgasł, podobnie jak światełka fenzu, i pokój pogrążył się w ciemności. Ogra, planeta spowita cieniem, była dla większości mieszkańców naszej galaktyki tajemnicza i zagadkowa. Tamtejszy lud raczej niechętnie przyjmował podróżnych, w dodatku nawet najbardziej

zaawansowane technicznie przyrządy obserwacyjne nie potrafiły przebić się przez atmosferę Ogry. Jedynym źródłem wiedzy o nich były pokazy takie jak ten. Ryzek chętnie korzystał z tego, co mają nam do zaoferowania inne planety, chociaż zabraniał tego reszcie mieszkańców Shotet. W tym wypadku wyjątkowo mnie to cieszyło.

Niecierpliwie pochyliłam się do przodu. Pnącza światła oplatały związane dłonie tancerki, wijąc się między palcami. Kiedy rozłączyła dłonie, pomarańczowe języki ognia zapłonęły na jednej, a niebieskawe, pełne blasku fenzu kulki uniosły się nad drugą. Słabe światło uwydatniało malunek na twarzy. Uśmiechnęła się, ukazując zęby, które w ciemności wyglądały jak kły.

Do pokoju weszły kolejne tancerki. Przez chwilę stały nieruchomo, po czym zaczęły się poruszać, bardzo powoli. Pierwsza z lewej popukała się w mostek, delikatnie, ale dźwięk, który temu towarzyszył, wcale nie brzmiał jak odgłos dłoni uderzającej o kość – był to donośny tętent bębnów. Następna zaczęła poruszać się do nierównego rytmu, jej brzuch się zapadł, plecy zaokrągliły, a ramiona przygarbiły – ciało przybrało kształt łuku – i nagle światło przemknęło przez jej szkielet, przez moment kręgosłup żarzył się blaskiem, który wydobywał z ciemności każdy jego kręg.

Rozdziawiłam usta, podobnie jak wielu innych gości.

Pierwsza kobieta skręciła dłonie, otaczając blask fenzu światłem płomieni, jakby plotła kobierzec. Światło wydobyło skomplikowane, niemal mechaniczne ruchy palców i nadgarstków. Kobieta bijąca w pierś-bęben zmieniała rytm, a wtedy ta trzymająca światło dołączyła do tancerki o świecących kościach w dziwnym tańcu pełnym poszarpanych ruchów. Patrzyłam na nie, zastygła w bezruchu, niepewna, czy powinnam czuć zachwyt czy niepokój. Co chwila bałam się, że zaraz stracą równowagę i uderzą o podłogę, ale one za każdym razem chwytaly się nawzajem, obracały się i przechylały, unosiły i skręcały, wciąż lśnić wielobarwnym blaskiem.

Kiedy przedstawienie się skończyło, siedziałam z zapartym tchem. Ryzek zaczął klaskać, a reszta dołączyła do niego – ja z pewną rezerwą, ponieważ czułam, że oklaski nie są wystarczającą reakcją na to, co przed chwilą zobaczyłam. Kobieta trzymająca światło w dłoniach włożyła

plómię z powrotem do kominka, a blask fenzu do lampek. Tancerki klasnęły w dłonie i skłoniły się z uśmiechem zaciśniętych warg.

Chciałam do nich przemówić – chociaż nie miałam pojęcia, co mogłabym powiedzieć – ale one już ruszyły do wyjścia. Trzecia z tancerek, przechodząc obok, chwyciła tkaninę mojej sukni między kciuk a palec wskazujący. Jej „siostry” również przystanęły. Siła ich zwróconych na mnie spojrzeń była obezwładniająca – ich tęczy były czarne jak smoła i dziwnie powiększone. Miałam chęć skulić się w sobie.

– Ona też jest małą Ogrą – stwierdziła trzecia z tancerek. Kości w jej palcach zamigotały światłem, a cienie owinęły się wokół moich ramion jak bransolety. – Cała odziana w ciemność.

– To dar – powiedziała pierwsza.

– To dar – zawtórowała jej druga.

Nie mogłam się z nimi zgodzić.

Ogień na kominku zmienił się w żar. Na moim talerzu leżało niemal nietknięte jedzenie – kawałki pieczeni z martwiaka, marynowany solifrut i paćka z czegoś liściastego posypana przyprawami. Głowa pulsowała bólem. Skubnęłam kawałek chleba, słuchając, jak Uzul Zetsyvis przechwala się swymi wynalazkami.

Rodzina Zetsyvisów od niemal stu pór zajmowała się hodowlą i zbieraniem fenzu z lasów na północ od Voi. Do oświetlenia służyły nam znacznie częściej owady bioluminescencyjne niż przyrządy wykorzystujące nurt, czym różniliśmy się od reszty galaktyki. Był to relikwiarz naszych dawnych wierzeń, teraz już zanikających, a wyjątkowo ortodoksyjne osoby w ogóle nie posługiwały się nurtem.

Być może z powodu przypisanego sobie zajęcia Uzul, Yma i Lety byli bardzo religijni i nie chcieli przyjmować szakwiatu jako leku, nawet w razie konieczności, co znaczyło, że praktycznie odrzucali niemal całą medycynę. Twierdzili, że każda substancja, która zmienia „naturalny stan” człowieka, nawet jeśli jest to środek znieczulający, przeciwstawia się nurtowi. Nie podróżowali pojazdami napędzanymi nurtem, uważali je za zbyt frywolny przejaw wykorzystywania energii nurtu – wyjątek czyniąc, rzecz jasna, dla statku zabierającego nas na wyprawę, które były rytuałem religijnym. Ich kielichy podczas tej kolacji były

napełnione wodą, a nie sfermentowaną piórzycą.

– Oczywiście to była bardzo trudna pora – mówił Uzul. – W tym punkcie obrotu naszej planety powietrze nie nagrzewa się na tyle, by fenzu mogły efektywnie się rozwijać, musieliśmy więc wprowadzić system docieplania...

W tym samym czasie po mojej prawej stronie odbywała się zagorzała dyskusja na temat broni między Suzao a Vakrezem.

– Mówię jedynie, że niezależnie od przekonań naszych przodków ostrza nurtu nie zawsze są skutecznym rodzajem broni. Na przykład w walce na odległość czy w przestrzeni kosmicznej...

– Nawet idiota potrafi spowodować wybuch nurtu – odparował Suzao. – Chcesz, byśmy odłożyli ostrza i coraz bardziej miękli, jak planety Zgromadzenia?

– Nie są takie znowu miękkie – odparł Vakrez. – Malan tłumaczy wiadomości z othyrskiego, pokazywał mi raporty. – Większość osób zebranych w tym pokoju, jako przedstawiciele elit, mówiła w więcej niż jednym języku. Poza tym pomieszczeniem było to zabronione. – Atmosfera między wyroczniami a Zgromadzeniem robi się napięta, chodzą słuchy, że planety są w tej kwestii podzielone. A niektóre szykują się na konflikt, większy, niż kiedykolwiek widzieliśmy. I kto wie, jakimi technikami, jaką bronią będą się posługiwać, kiedy ten konflikt wybuchnie? Naprawdę chcesz, byśmy zostali w tyle?

– Słuchy – prychnął Suzao. – Zbyt wielką wagę przykładasz do plotek, Vakrezie. Zresztą zawsze tak było.

– Nie bez powodu Ryzek dąży do sojuszu z Pithą, i to wcale nie dlatego, że kocha morskie pejzaże – odparł Vakrez. – Mają coś, co możemy wykorzystać.

– Moim zdaniem wystarczy nasz duch walki.

– Powiedz to Ryzekowi, jestem pewien, że cię posłucha.

Siedząca naprzeciwko mnie Lety wpatrywała się w ciemne pajęczyny znaczące moją skórę, co kilka sekund zagarniające kolejne obszary – zgięcie łokcia, wypukłość obojczyka, brzeg szczęki.

– Jakie to uczucie? – spytała, pochwyciwszy moje spojrzenie.

– Nie wiem. Chyba jak w przypadku każdego daru – odparłam z irytacją.

– Hm, ja wszystko zapamiętuję. Każdą rzecz. Bardzo wyraźnie. Mój dar nie różni się więc szczególnie od cech innych ludzi... Jest jak brzęczenie w uszach, jak energia.

– Energia. – Raczej agonia. – Chyba tak.

Połknęłam nieco napoju ze sfermentowanej piórzycy. Twarz Lety była jedynym stałym punktem, wszystko wokół wirowało. Z trudem próbowałam się na niej skupić, trochę płynu wylało mi się na podbródek.

– Uważam, że twoja fasc... – urwałam. Słowo „fascynacja” było naprawdę trudne do wymówienia przy tej ilości środka przeciwbólowego krążącego w moich żyłach. – Twoja ciekawość jest nieco dziwna.

– Ludzie bardzo się ciebie boją – odparła Lety. – Po prostu chciałabym wiedzieć, czy ja też powinnam.

Już miałam odpowiedzieć, gdy Ryzek podniósł się z miejsca. Długimi palcami omiótł pusty talerz. To był znak dla wszystkich, że mają wyjść. Pierwszy ruszył do drzwi Suzao, za nim Zeg, w końcu Vakrez i Malan.

Ale kiedy do wyjścia skierował się Uzul, Ryzek zatrzymał go ruchem dłoni.

– Chciałbym porozmawiać z tobą i twoją rodziną – powiedział.

Z trudem wstałam, przytrzymując się stołu. Usłyszałam, jak za moimi plecami Vas blokuje rygłem klamki, więżąc nas w środku. Więżąc *mnie*.

– Och, Uzul – przemówił Ryzek ze słabym uśmiechem. – Obawiam się, że ta noc będzie dla ciebie bardzo trudna. Widzisz, twoja żona powiedziała mi coś bardzo interesującego.

Uzul spojrzał na Ymę. Jej wiecznie obecny uśmiech wreszcie znikł, teraz miała minę po części oskarżycielską, a po części przerażoną. Jestem pewna, że nie Uzula się bała. Nawet jego wygląd był nieszkodliwy – miał krągły brzuch, znak zamożności, i stawiał stopy lekko do środka, przez co chodził nieco kołyszącym krokiem.

– Yma? – odezwał się słabym głosem.

– Nie miałam wyboru – odparła. – Szukałam adresu i zobaczyłam twoją historię kontaktów. Zauważyłam współrzędne i przypomniałam sobie, co mówiłeś o kolonii banitów...

Kolonia banitów. Kiedy byłam mała, ludzie opowiadali sobie jako



żart, że wielu mieszkańców Shotet, którzy narazili się na niełaskę mego ojca, stworzyło sobie dom na innej nieznanym planecie. Z czasem żart zmienił się w plotkę, i to całkiem poważną. Nawet teraz na wzmiankę o kolonii Ryzek poruszył zaciśniętymi szczękami, jakby próbował odgryźć kęs twardego mięsa. Uważał banitów, jako wrogów ojca, a nawet już babki, za jedno z największych zagrożeń dla swojej władzy. Ryzek musiał mieć wszystkich mieszkańców Shotet pod ścisłą kontrolą, inaczej nie czuł się bezpiecznie. Jeśli Uzul kontaktował się z banitami, należało uznać jego zachowanie za zdradę stanu.

Ryzek odsunął krzesło od stołu i wskazał na nie.

– Siadaj.

Uzul posłusznie zajął miejsce.

– Cyro – powiedział Ryzek. – Podejdź tu.

Stałam dalej przy swoim krześle, ściskając kieliszek ze sfermentowaną piórzycą. Moje ciało wypełniło się cieniami niczym czarną krwią z pękniętych naczyń. Zacisnęłam szczęki.

– Cyro – powtórzył cicho.

Nie musiał mi grozić. I tak odstawiłabym kieliszek, podeszła do niego i spełniła każde polecenie. Zawsze, do końca naszego życia, inaczej Ryzek ogłosiłby publicznie, co zrobiłam naszej matce. Ta świadomość była niczym kamień w moim brzuchu.

Odstawiłam kieliszek. Podeszłam. A kiedy kazał mi położyć dłonie na Uzulu Zetsyvisie i przytrzymać tak długo, aż uzyska od niego wszystkie informacje, również posłuchałam.

Poczułam więź między nami, mną i Uzulem, kuszące pragnienie, by przelać na niego cały cień, splamić go czernią gęstą jak przestrzeń kosmiczna i zakończyć własne cierpienie. Już to kiedyś robiłam. I chciałam zrobić znów, uciec przed tym, przed straszną siłą, która przeżerała moje nerwy jak kwas.

Yma i Lety łkały, tuląc się do siebie. Yma powstrzymała Lety, kiedy ta próbowała się na mnie rzucić. W chwili, kiedy wypchnęłam z siebie ból i atramentową ciemność prosto w ciało jej ojca, nasze oczy się spotkały. Widziałam w jej wzroku czystą nienawiść.

Uzul zaczął krzyczeć i krzyczał tak długo, że przestałam go słyszeć.

– Przestań! – zawył w końcu i na znak Ryzeka zabrałam ręce z jego głowy. Zatoczyłam się do tyłu, zamroczona, a Vas chwycił mnie za ramiona, bym nie upadła.

– Próbowałem odnaleźć banitów – wyznał Uzul. Jego twarz błyszczała od potu. – Chciałem uciec z Shotet, wieść życie wolne od... tyranii. Słyszałem, że są na Zoldzie, ale kontakt, który tam znalazłem, na nic się nie zdał. Nic nie mieli. Porzuciłem ten pomysł, zrezygnowałem z niego.

Lety płakała, Yma Zetsyvis za to stała bez ruchu, mocno oplatając córkę ramionami.

– Wierzę ci – powiedział miękko Ryzek. – Odnotowałem twoją szczerłość. Teraz Cyra wymierzy ci karę.

Chciałam, by cienie w moim ciele wyciekły ze mnie niczym woda z wyciśniętej szmaty. Chciałam, by nurt mnie opuścił i już nigdy nie wrócił, choć wiem, że to bluźnierstwo. To, czego chcę, nie miało jednak żadnego znaczenia. Pod spojrzeniem Ryzeka cienie rozbiegły się dokoła, jakby miał nad nimi większą kontrolę niż ja. Może faktycznie tak było.

Nie czekałam na jego groźby. Przywarłam do Uzula Zetsyvisa, aż jego krzyki wypełniły wszystkie puste miejsca w moim ciele, aż Ryzek kazał mi przestać.

## Rozdział 9 | Cyra

WIDZIAŁAM WSZYSTKO JAK PRZEZ MGŁĘ, gładkie schody pod moją stopą – teraz naga, widocznie zgubiłam but w jadalni – migotliwe światło fenzu odbite w deskach posadzki i pajęczyny czerni biegnące wzdłuż moich ramion, w dół i w górę. Palce miałam nienaturalnie podkurczone, jakby złamane, ale ja po prostu trzymałam je w ten sposób, wciskałam w powietrze, tak jak czasem wciskałam je we wnętrze własnych dłoni.

Usłyszałam stłumiony krzyk dochodzący gdzieś z głębi trzewi rezydencji Noaveków. Pierwszy przyszedł mi na myśl Eijeh Kereseth, chociaż nie słyszałam jego głosu od wielu miesięcy.

Widziałam go tylko raz od dnia ich przybycia, przelotnie, w korytarzu niedaleko gabinetu Ryzeka. Był bardzo szczupły i miał martwe oczy. Kiedy żołnierz popchnął go dalej, spojrzałam na zagłębienia powyżej obojczyków, głębokie doły pozbawione ciała. Albo Eijeh Kereseth posiadał żelazną wolę, albo zgodnie z tym, co twierdził, naprawdę nie potrafił posługiwać się swym darem. Gdybym miała na coś postawić, to na to drugie.

– Poślij po niego – warknął Ryzek do Vasa. – W końcu po to właśnie jest.

Moja stopa muskała ciemne drewno. Vas, jedyny człowiek, który nie musiał się bać mojego dotyku, ciągnął mnie do pokoju, częściowo mnie niosąc.

– Po kogo? – mruknęłam, ale nie usłyszałam odpowiedzi. Zalała mnie fala bólu, rzucałam się w objęciach Vasa, jakbym w ten sposób mogła przed nią uciec.

Nie pomogło. Nic dziwnego.

Oderwał palce od moich ramion i pozwolił, bym ześliznęła się na podłogę. Wsparłam się na kolanach i dłoniach. Z nosa spłynęła kropla potu – a może łza, trudno powiedzieć.

– Kto... – zapytałam chrapliwie. – Kto krzyczał?

– Uzul Zetsyvis. Twój dar najwyraźniej ma przedłużone działanie – odparł Vas.

Dotknęłam czołem zimnej podłogi.

Uzul Zetsyvis zbierał pancerzyki fenzu. Raz pokazał mi te najbardziej kolorowe, przyszpilone do tablicy w jego gabinecie i oznaczone datami. Opalizujące, wielobarwne, jakby zatrzymały w sobie skrawki nurtu. Dotykał je jak najcenniejszą rzecz w całym tym domu, ociekającym przecież od luksusów. Taki miły człowiek, a ja... ja doprowadziłam go do wywołanych bólem wrzasków.

Chwilę później – nie wiem, jak długo to trwało – drzwi znów się otworzyły i zobaczyłam buty Ryzeka, czarne i lśniące czystością. Próbowałam usiąść, ale ręce i nogi za bardzo mi się trzęsły, więc tylko obróciłam twarz w jego stronę. Za nim stał ktoś jeszcze, wydał mi się znajomy, ale nie do końca, jakby pochodził ze snu.

Był wysoki – niemal wzrostu mojego brata. Stał w pozycji żołnierza, wyprostowany jak struna. Był jednak bardzo szczupły, wychudzony nawet – pod kośćmi policzkowymi widniały cienie – a jego twarz znaczyły stare sińce i skaleczenia. Wzdłuż szczęki, od ucha do podbródka, biegła cienka blizna, a na prawym ramieniu tkwił biały bandaż. Jak się domyślałam, świeży znak, który jeszcze się nie zagoił.

Uniósł szare oczy i spojrzał na mnie. Ich wyraz i czujność uświadomiły mi, z kim mam do czynienia. Akos Kereseth, trzecie dziecko z rodziny Keresethów, teraz niemal dorosły mężczyzna.

Cały ból, który narastał we mnie powoli, zalał mnie gwałtowną falą. Ścisnęłam głowę w dłoniach, tłumiąc krzyk. Ledwo widziałam brata przez mgłę łez. Próbowałam skupić wzrok na bladej jak trup twarzy Akosa Keresetha.

Po Shotet i Thuvhe krążyły na mój temat różne pogłoski, podsycane przez Ryzeka – może te pogłoski przebyły drogę przez całą galaktykę, w końcu wszyscy kochają powtarzać ulubione kawałki. Mówiono o bólu, który potrafią sprawić moje dłonie, o ramieniu poznaczonym rejestrem zabójstw od nadgarstka po bark i z powrotem, o moim umyśle, zaćmionym do granic obłądu. Budziłam strach i nienawiść. Ale ta wersja mnie – jęcząca z bólu, zwinięta na podłodze dziewczyna – nie miała nic wspólnego z wersją z opowieści.

Poczułam się upokorzona. Nikt nie powinien oglądać mnie w takim stanie. Jak mój brat mógł go tu przyprowadzić, kiedy wiedział, jak się czuję po... no, po tym?

Próbowałam zdławić wściekłość, by Ryzek nie dosłyszał jej w moim głosie.

– Po co go przyprowadziłeś?

– Nie zwlekajmy bez potrzeby – powiedział Ryzek i gestem nakazał Akosowi, by ten wszedł do pokoju.

Akos przyciskał prawe ramię do ciała, jakby starał się zachować jak największy dystans do mojego brata, jednocześnie nie przeciwstawiając mu się w jawny sposób.

– Cyro, to jest Akos Kereseth. Trzecie dziecko z rodziny Keresethów. Nasz – Ryzek uśmiechnął się krzywo – *wierny sługa*.

Oczywiście była to aluzja do losu Akosa, który miał zginąć za naszą rodzinę, w *służbie* naszej rodzinie, jak ogłosiło Zgromadzenie w wiadomościach dwie pory temu. Wargi Akosa wykrzywiły się.

– Akos posiada szczególny dar nurtu, który moim zdaniem powinien cię zainteresować – dodał Ryzek.

Ruchem głowy dał Akosowi znak. Chłopak przykucnął obok mnie i wyciągnął w moją stronę dłoń, spodem do góry.

Popatrzyłam na nią i w pierwszej chwili nie wiedziałam, o co mu chodzi. Chce, bym zadała mu ból? Dlaczego?

– Uwierz – powiedział Ryzek. – Spodoba ci się.

Kiedy wyciągnęłam rękę w stronę Akosa, ciemność rozlała się po mojej skórze jak atrament. Przytknęłam dłoń do jego dłoni i czekałam, aż zacznie krzyczeć.

Zamiast tego wszystkie cienie cofnęły się i znikły. A wraz z nimi zniknął ból.

To nie było takie uczucie jak po lekarstwie, które wcześniej zażyłam i po którym zawsze czułam się otepiała, wręcz chora. To było jak powrót do punktu, w którym się znajdowałam, zanim ujawnił się mój dar. Nie, nawet wtedy nie czułam takiego spokoju i ukojenia jak teraz, trzymając dłoń na dłoni Akosa.

– Co to? – spytałam.

Skórę miał szorstką i suchą, jak kamyk nie całkiem wygładzony przez fale. Ale w środku kryło się ciepło. Spojrzałam na nasze złączone ręce.

– Przerrywam nurt. – Jego głos brzmiał zaskakująco nisko, ale

załamanywał się, jak to zwykle bywa w tym wieku. – Niezależnie od tego, jak działała.

– Dar mojej siostry jest niezwykły – powiedział Ryzek. – Ostatnio jednak stracił wiele ze swej użyteczności, ponieważ bardzo ją osłabia. Moim zdaniem to jest najlepszy sposób, w jaki możesz dopełnić swego losu. – Pochylił się do ucha Akosa i dodał: – Oczywiście, nigdy nie powinieneś zapominać, kto tak naprawdę rządzi w tym domu.

Akos nie poruszył się, choć po jego twarzy przemknął cień odrazy.

Usiadłam na piętach, nie odrywając dłoni od dłoni Akosa, nie mogłam jednak spojrzeć mu w oczy. Czułam się tak, jakby wszedł do pokoju, kiedy się przebierałam, i zobaczył więcej, niż kiedykolwiek pozwoliłam komukolwiek ujrzeć.

Wstałam, a on podniósł się wraz ze mną. Chociaż byłam wysoka, sięgałam mu ledwo do nosa.

– Co według ciebie mamy robić? – zapytałam. – Ciągłe trzymać się za ręce i wszędzie chodzić razem? Co ludzie pomyślą?

– Pomyślą, że to twój służący – odparł Ryzek. – Bo tym właśnie jest.

Ryzek zrobił krok w moją stronę, unosząc rękę, a ja odsunęłam się, puszczając dłoń Akosa. Czarne macki natychmiast rozbiegły się po mojej skórze.

– Czyżbym wyczuwał niewdzięczność? – spytał Ryzek. – Czyżbyś nie doceniała wysiłków, które poczyniłem, by zapewnić ci wygodę i ulżyć w bólu, poświęcenia, jakim jest oddanie ci na stałego towarzysza wyznaczonego nam przez los wiernego sługi?

– Doceniam. – Musiałam zachować ostrożność, nie prowokować go. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam, to kolejna wymiana jego wspomnień na moje. – Dziękuję, Ryzeku.

– Oczywiście. – Ryzek uśmiechnął się. – Wszystko, by utrzymać mego najlepszego generała w idealnej kondycji.

Nie myślał o mnie, jak o generale. Żołnierze nazywali mnie „Biczem Ryzeka”. Byłam narzędziem tortur w jego dłoni i rzeczywiście, patrzył na mnie jak na egzemplarz imponującego oręża. Byłam dla niego czymś w rodzaju miecza.

Zaczekałam, aż Ryzek wyjdzie, i kiedy zostaliśmy sami, zaczęłam

chodzić w tę i z powrotem, od biurka do łóżka, od łóżka do szaf, kryjących moje ubrania, i z powrotem do łóżka. Do tej pory w tym pokoju przebywali wyłącznie członkowie mojej rodziny – i Vas. Nie podobało mi się to, jak Akos przygląda się wszystkiemu, jakby zostawiał dokoła odciski palców.

Marszcząc brwi, zapytał:

– Od jak dawna żyjesz w ten sposób?

– W jaki sposób? – zapytałam ostrzej, niż zamierzałam. Wciąż myślałam o tym, jak wyglądałam, kiedy mnie zobaczył – skulona na podłodze, zalana łzami i spocona, jak dzikie zwierzę.

W jego głosie pobrzmiwała łagodna nuta litości.

– W taki, że trzymasz swoje cierpienie w tajemnicy.

Litość, jak wiedziałam, to tylko brak szacunku zapakowany w uprzejmość. Wiedziałam, że trzeba na nią reagować prędko, bo inaczej zmieni się w coś bardzo niewygodnego. Nauczył mnie tego mój ojciec.

– Dostałam dar, kiedy miałam zaledwie osiem pór. Ku wielkiej radości ojca i brata. Umówiliśmy się, że ból będzie moją prywatną sprawą, dla dobra rodziny Noavek. Dla dobra Shotet.

Akos prychnął. No, przynajmniej skończył z litością. Szybko.

– Wyciągnij rękę – powiedziałam cicho.

Matka zawsze mówiła cicho, kiedy była wściekła. Twierdziła, że wtedy ludzie słuchają. Nie miałam jej lekkiego dotyku, charakteryzowałam się raczej subtelnością pięści. Ale Akos posłuchał, wyciągnął rękę z pełnym rezygnacji westchnieniem, spodem do góry, jakby chciał ulżyć mi w bólu.

Przytknęłam prawy nadgarstek do wnętrza jego dłoni, lewą ręką chwyciłam jego ramię i mocno przekręciłam. To było jak taniec – zmiana ręki, przerzucenie ciężaru, i już stałam za jego plecami, wykręcając mu ramię, zmuszając, by je wygiął.

– Może i cierpię, ale nie jestem słaba – wyszeptałam. Nie ruszał się, ale wyczuwałam napięcie w jego plecach i ramieniu. – Jesteś przydatny, ale nie jesteś nieodzowny. Rozumiesz?

Nie czekałam na odpowiedź. Puściłam go i cofnęłam się, a cienie powróciły z piekącym bólem, od którego zaczęły łzawić mi oczy.

– Za kolejnymi drzwiami znajduje się pokój, a w nim łóżko –

powiedziałam. – Wynoś się.

Kiedy wyszedł, oparłam się o ramę łóżka i zamknęłam oczy. Nie chciałam tego. Wcale tego nie chciałam.



NIE LICZYŁAM NA TO, ŻE AKOS KERESETH WRÓCI. Musieliby go chyba zaciągnąć do mnie siłą. Ale następnego dnia pojawił się pod moimi drzwiami w towarzystwie strażniczki czekającej kilka kroków za jego plecami. W ręku trzymał dużą fiolkę pełną fioletowo-czerwonego płynu.

– Pani – powiedział prześmiewczym tonem. – Pomyślałem, że skoro żadne z nas nie życzy sobie utrzymywać stałego fizycznego kontaktu, to może zechcesz spróbować tego. To ostatnia z moich zapasów.

Wyprostowałam się. Kiedy ból najmocniej dawał się we znaki, moje ciało przeobrażało się w zbiór osobnych części – kostki, kolana, łokcie, kręgosłup – wszystkie ciężko pracowały, by utrzymać mnie w pionie. Odrzuciłam włosy na ramię i nagle zdałam sobie sprawę, jak dziwnie muszę wyglądać – wciąż w koszuli nocnej, choć był środek dnia, z rękawem od zbroi na lewym przedramieniu.

– Środek przeciwbólowy? – zapytałam. – Już próbowałam. Albo nie działają, albo okazują się gorsze niż ból.

– A próbowałaś środka z szakwiatu? W kraju, który nie lubi go używać? – odpowiedział pytaniem, unosząc brwi.

– Tak – odparłam oschle. – Mikstury z Othyru, najlepsze z dostępnych.

– Z Othyru. – Mlasnął językiem. – Może dla większości ludzi najlepsze, ale twój problem nie dotyczy większości ludzi.

– Ból jest bólem.

Postukał fiolką w moje ramię.

– Spróbuj. Może nie usunie bólu całkowicie, ale na pewno go złagodzi i na dodatek prawie nie ma skutków ubocznych.

Spojrzałam na niego, mrużąc oko, po czym zawołałam strażniczkę stojącą w korytarzu. Natychmiast podbiegła do drzwi.

– Spróbuj, proszę – powiedziałam do niej, wskazując fiolkę.

– Myślisz, że zamierzam cię otruć? – zapytał Akos.

– Myślę, że istnieje taka możliwość.

Strażniczka wzięła fiolkę, oczy miała ze strachu wielkie jak spodki.

– Nie bój się, to nie jest trucizna – powiedział do niej Akos.

Wypiła nieco płynu i otarła usta wierzchem dłoni. Przez kilka sekund czekaliśmy, aż coś się wydarzy. Ponieważ nie osunęła się na ziemię, wzięłam od niej fiolkę, a cienie całkowicie wypełniły moje palce. Zaczęły piec i szczypać. Strażniczka odsunęła się ode mnie czym prędzej, jak od Pancernego, i odeszła.

Płyn pachniał trochę jakby słodem, jak coś sfermentowanego i zepsutego. Połknęłam wszystko za jednym zamachem, pewna, że smak będzie ohydny, jak zwykle w przypadku tego rodzaju mikstur, ale okazał się kwiatowo-przyprawowy. Pokrył moje gardło i ciężko rozlał się w brzuchu.

– Podziała za kilka minut – powiedział Akos. – Śpisz w tym? – Wskazał na pokrywający moje ramię od nadgarstka do łokcia, ochraniacz, zrobiony ze skóry Pancernego. Miejscami znaczyły go zadrapania od ostrzy. Zdejmowałam go tylko do kąpieli. – Spodziewasz się ataku?

– Nie – odparłam, wciskając pustą fiolkę w jego dłoń.

– Zakrywa twoje znaki. – Zmarszczył brwi. – Dlaczego Bicz Ryzeka pragnie zakrywać rejestr zabójstw?

– Nie nazywaj mnie tak. – Czułam napięcie w głowie, jakby ktoś ścisnął moje skronie. – Nigdy mnie tak nie nazywaj.

Przez moje ciało przebiegał chłód, biorący początek gdzieś w środku, jakby krew zmieniała się w lód. Najpierw pomyślałam, że to z wściekłości, ale było to zbyt *fizyczne* i zbyt... bezbolesne. Spojrzałam na swoje ramiona – cienie wciąż tam były, pod skórą, ale poruszały się bardzo ospale.

– Środek zadziałał, prawda? – spytał Akos.

Ból wciąż był obecny, piekł tam, gdzie przesuwaly się cienie, ale łatwiej dało się go zignorować. I chociaż czułam się nieco oszołomiona, wcale mi to nie przeszkadzało. Może wreszcie uda mi się wyspać?

– Trochę – przyznałam.

– Świetnie. Chciałbym zawrzeć z tobą pewną umowę.

– Umowę? – powtórzyłam. – Myślisz, że w swojej sytuacji możesz się ze mną targować?

– Aha – odparł. – Chociaż upierasz się, że nie potrzebujesz mojej

pomocy, to tak naprawdę jej pragniesz, dobrze o tym wiem. By ją uzyskać, możesz albo zmusić mnie do posłuszeństwa, albo traktować mnie jak człowieka i wysłuchać, co mam do powiedzenia. Oczywiście wybór należy do ciebie, *pani*.

Łatwiej było mi myśleć, kiedy nie czułam na sobie jego wzroku, więc popatrzyłam na smugi światła wnikające do wnętrza przez szpary w roletach. Pasiaste miasto. Za ogrodzeniem otaczającym posiadłość Noaveków ludzie spacerowali po ulicach i cieszyli się ciepłem, otoczeni chmurami pyłu, wznoszącego się z niemiłosiernie suchej, ubitej ziemi.

Zaczęłam znajomość z Akosem z pozycji słabości – dosłownie, skulona na podłodze u jego stóp. Próbowałam odzyskać pozycję siły, ale się nie udało, nie mogłam wymazać tego, co było jasne dla każdego, kto na mnie spojrzał: pokrywały mnie cienie nurtu, a im dłużej cierpiałam z ich powodu, tym byłam słabsza. Postanowiłam wysłuchać propozycji Akosa.

– Dobrze. Słucham – powiedziałam.

– Okej. – Zbliżył rękę do swojej głowy i dotknął włosów. Były brązowe i chyba gęste, sądząc po tym, jak wczepił w nie palce. – Wczorajszego wieczoru, ten... *manewr*, który zrobiłaś. Potrafisz walczyć.

– Mało powiedziane – odparłam.

– Nauczyłabyś mnie, gdybym cię poprosił?

– Dlaczego? Żebyś mógł mnie dalej obrażać? Żebyś próbował, zresztą na pewno bez skutku, zabić mojego brata?

– Zakładasz, że chcę go zabić?

– A nie chcesz?

Odpowiedział dopiero po chwili.

– Chcę zabrać swojego brata do domu. – Każde słowo wypowiadał bardzo starannie. – A żeby tego dokonać, żeby tu przeżyć, muszę umieć walczyć.

Nie wiedziałam, co to znaczy, tak mocno kochać brata, już nie. I z tego, co zauważyłam, patrząc na Eijeha – strzęp człowieka – nie był on wart takiego wysiłku. Ale Akos, ze swoją postawą żołnierza i pewnymi dłońmi, wydawał się o tym przekonany.

– Nie umiesz walczyć? – zapytałam. – Po co Ryzek wysłał cię na

dwie pory do kuzyna Vakreza, jeśli nie po to, byś stał się wykwalifikowanym żołnierzem?

– I jestem wykwalifikowany. Ale to mi nie wystarcza. Chcę być dobry. Bardzo dobry.

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Jeszcze nie powiedziałaś, jakie ja będę mieć korzyści z tej umowy.

– W zamian za naukę sztuki walki nauczę cię przyrządzać miksturę, którą przed chwilą wypijaś. Nie będziesz ode mnie zależna. Ani od nikogo innego.

Jakby mnie znał, jakby wiedział, co jest dla mnie najważniejsze. Najbardziej na świecie pragnęłam nie ulgi od bólu, lecz niezależności. A on ofiarował mi ją w szklanej fiolce, w miksturze z szakwiatu.

– Dobrze – odparłam. – Umowa stoi.

Wkrótce potem zaprowadziłam go do niewielkiego pomieszczenia na końcu korytarza, zaopatrzonego w zwykły zamek zamykany na zwykły klucz. To skrzydło rezydencji Noaveków dawno nie przechodziło remontu i drzwi wciąż otwierało się w tradycyjny sposób, a nie za pomocą dotyku czy ukłucia w palec, jak genetyczne zamki otwierające pokoje, w których najczęściej przebywał Ryzek. Wyłowiłam klucz z kieszeni – tego dnia włożyłam normalne ubranie, luźne spodnie i sweter.

W pomieszczeniu znajdował się długi blat z półkami pod spodem, które wypełniały fiolki, zlewki, noże, łyżeczki, deski do krojenia i długi rząd białych słoików, oznaczonych symbolami w języku shotet. Były w nich przeważnie lodokwiaty – trzymaliśmy niewielki ich zapas, nawet szakwiatu, a ponieważ z Thuvhe nie przychodziły żadne dobra już od ponad dwudziestu pór, musieliśmy sprowadzać je nielegalnie, posługując się pośrednikami – a także inne składniki zdobyte podczas żeru na obcych planetach. Z uchwyty nad palnikiem po prawej stronie zwisały garnki, wszystkie w odcieniu ciepłej, metalicznej, wpadającej w pomarańcz czerwieni, największe rozmiarów mojej głowy, a najmniejsze dłoni.

Akos zdjął jeden z większych garnków i postawił na palniku.

– Po co uczyłaś się walczyć, skoro potrafisz sprawiać ból

dotykem? – spytał. Napełnił zlewkę wodą z kranu w ścianie i wlał ją do garnka. Następnie włączył palnik i zdjął z półki deskę i nóż.

– To część edukacji każdego mieszkańca Shotet. Zaczynamy w dzieciństwie. – Po chwili wahania dodałam: – Mnie się to spodobało, więc nie zaprzestałam nauki.

– Masz tu szakwiat? – zapytał, przesuwając palcami po słojach.

– Na samej górze po prawej.

– O, to dobrze. Słyszałem, że w Shotet się go nie używa.

– Nie – odparłam sztywno. – Stanowimy wyjątek. Mamy tu wszystko. Rękawiczki są na dole, pod palnikami.

Prychnął.

– *Pani Wyjątkowa*, musisz zdobyć tego więcej. Będzie nam potrzebny.

– Jasne. – Odczekałam trochę i zapytałam: – Podczas treningu nie nauczyli cię czytać?

Zakładałam, że Vakrez nauczył go więcej niż tylko umiejętności potrzebnych podczas walki. Na przykład czytania i pisania. Określenie „język objawienia” odnosiło się jedynie do języka mówionego, nie pisanego – wszyscy musieliśmy się uczyć liter języka shotet.

– Nie dbali o tego rodzaju sprawy – odparł. – Mówili „idź”, więc szedłem. Mówili „stop”, więc się zatrzymywałem. To wszystko.

– Miękki chłopaczek z Thuvhe nie powinien narzekać, że zrobiono z niego twardego mężczyznę z Shotet.

– Nigdy nie będę z Shotet – oznajmił. – Jestem z Thuvhe i zawsze pozostanę.

– Fakt, że właśnie mówisz do mnie w naszym języku, sugeruje coś innego.

– To tylko wybryk genów – warknął. – Nic poza tym.

Nie zamierzałam z nim dyskutować. Byłam pewna, że z czasem zmieni zdanie.

Akos sięgnął do słoja i gołymi palcami wyjął jeden kwiat. Odłamał kawałek płatka i włożył go do ust. Zamarłam ze zdumienia. Taka ilość lodokwiatu, o takiej mocy, powinna natychmiast zwalić go z nóg. Przełknął, zamknął oczy i zaraz znów otworzył.

– Jesteś na nie odporny – zauważyłam. – Tak jak na mój dar nurtu.

– Nie. Ale nie działają na mnie z taką siłą jak na innych.

Zastanawiałam się, w jaki sposób to odkrył.

Odwrócił szakwiat i przycisnął nóż pośrodku, gdzie łączą się płatki. Rozsypały się, a wtedy przesunął ostrzem wzdłuż każdego z nich – wyprostowały się i spłaszczyły. To było jak magia.

Przyglądałam mu się, podczas gdy wywar bulgotał na ogniu, najpierw czerwony od szakwiatu, potem pomarańczowy, kiedy dodał solifruta w miodzie, i wreszcie brązowy, kiedy dosypał sendesu – samych łodyg, nie liści. Jeszcze nieco pyłku zazdrońcy i cała mikstura znów zrobiła się czerwona – nonsens, całkowicie niemożliwe. Odstawił garnek na sąsiedni palnik, by ostygło, i odwrócił się w moją stronę.

– To skomplikowana sztuka – powiedział, machnięciem dłoni obejmując fiolki, zlewki, szakwiaty, garnki, wszystko. – Szczególnie środek przeciwbólowy, ponieważ używa się w nim szakwiatu. Przygotuj któryś składnik nieprawidłowo, a się zatrujesz. Mam nadzieję, że potrafisz być równie precyzyjna, jak brutalna.

Dotknął garnka czubkiem palca, i w tej samej sekundzie go oderwał. Mimowolnie poczułam podziw dla błyskawicznego ruchu. Cofnął rękę momentalnie, gdy tylko temperatura okazała się zbyt wysoka. Już wiedziałam, którą szkołę walki trenował – zivatahak, szkołę serca.

– Zakładasz, że jestem brutalna, bo tak słyszałeś – powiedziałam. – A zastanawiałeś się, co ja słyszałam na twój temat? Masz cienką skórę, jesteś tchórzem, durniem?

– Pochodzisz z rodziny Noaveków – odparł stanowczym tonem, krzyżując ramiona. – Masz brutalność we krwi.

– Nie wybierałam krwi, która płynie w moich żyłach – odparłam. – Tak jak ty nie wybierałeś swego losu. Ty i ja jesteśmy tym, czym nas uczyniono.

Wyszłam, uderzając zewnętrzną, uzbrojoną, stroną nadgarstka w ramę drzwi.

Rano obudziłam się tuż po wschodzie słońca, gdy światło wciąż było blade. Środek przestał działać. Wstałam, uważnie wykonując każdy ruch i powoli, przerywając co chwila, by zaczerpnąć tchu, jak staruszka. Włożyłam ubranie treningowe, zrobione z syntetycznej tkaniny z Tepes,

lekkie i luźne. Nikt nie potrafił utrzymać ciała w niskiej temperaturze lepiej niż mieszkańcy tej planety, tak gorącej, że nikt nigdy nie stanął na jej powierzchni bez odpowiedniego stroju.

Oparłam czoło o ścianę, zamknęłam oczy i zaplotłam włosy, palcami wyczuwając oddzielne pasma. Już nie szczotkowałam swych ciemnych gęstych włosów, w każdym razie nie robiłam tego tak dokładnie jak w dzieciństwie, z rozkoszą obserwując, jak każdy ruch szczotką zmienia je w idealne pukle. Ból pozbawił mnie tego rodzaju przyjemności.

Kiedy skończyłam, wyjęłam niewielkie ostrze nurtu – wyłączone, by ciemne witki nie oplotły się wokół metalu – i poszłam do pomieszczenia aptekarskiego, do którego Akos wstawił łóżko. Stałam nad nim i bezszelestnie przycisnęłam ostrze do jego odsłoniętego gardła.

Otworzył oczy i przez chwilę gapił się na mnie przerażonym wzrokiem. Potem zaczął się rzucać, ale uspokoił się, gdy przycisnęłam mocniej. Posłałam mu krzywy uśmiezek.

– Oszalałaś? – wychrypiął.

– Jasne! – odparłam wesoło. – Ale ważniejsze jest pytanie, czy przypadkiem *ty* nie oszalałeś? Śpisz sobie w najlepsze, nawet nie zaryglujesz drzwi, oddzielony od najgorszego wroga tylko korytarzem. To albo szaleństwo, albo głupota.

Szybko uniósł kolano, celując w mój bok. Zgięłam ramię, by zablokować cios łokciem, mierząc ostrzem w jego brzuch.

– Przegrałeś, nim się obudziłeś – zawyrokowałam. – Pierwsza lekcja: najlepszy sposób, by wygrać walkę, to jej unikać. Jeśli twój wróg ma twardy sen, poderżnij mu gardło, zanim się obudzi. Jeśli ma miękkie serce, odwołaj się do jego współczucia. Jeśli jest spragniony, zatruj jego napój. Rozumiesz?

– A więc wyrzuć honor za okno.

– Honor – prychnęłam. – Nie ma miejsca na honor, gdy chodzi o przetrwanie.

Te słowa, cytata z jednej z ksiąg z Ogry, którą kiedyś czytałam – oczywiście przetłumaczoną na shotet; kto potrafi czytać w ogryjskim? – najwyraźniej starły sen z jego powiek znacznie skuteczniej niż mój atak. – A teraz wstawaj.

Wyprostowałam się, schowałam nóż do pochwy przymocowanej z tyłu do paska i wyszłam z pokoju, żeby mógł się ubrać.

Zanim zjedliśmy śniadanie, zdążyło wstać słońce. Słyszałam przez ścianę, jak służący roznoszą do pokoiów czyste ręczniki i pościel, poruszając się tunelami biegnącymi równoległe do wszystkich korytarzy na osi wschód-zachód. Dom zaprojektowano tak, by ci, którzy podtrzymują jego istnienie, pozostali niewidoczni, podobnie zresztą było w przypadku całego miasta. Rezydencja Noaveków stała w samym centrum, otoczona domami najbogatszych i najpotężniejszych. Cała reszta zepchnięta została na margines, bez szans na wejście do uprzywilejowanego kręgu.

Sala gimnastyczna, położona przy tym samym korytarzu co moja sypialnia, była jasna i przestronna, po jednej stronie była ściana okien, a po drugiej ściana luster. Z sufitu zwisał połączany żyrandol, jego delikatne piękno kontrastowało z czarną syntetyczną podłogą i stosami ochraniaczy oraz broni ćwiczebnej. Było to jedyne pomieszczenie, które matka pozwoliła odnowić, poza tym upierała się, by zachować „historyczną integralność”, łącznie z zaśniedziałymi klamkami i kanalizacją, która czasem śmierdziała zgnilizną.

Lubiłam trenować – nie dlatego, że dzięki temu podnosiłam swe umiejętności, choć była to bardzo miła dodatkowa korzyść – ale dlatego, że lubiłam towarzyszące treningom uczucie. Narastające ciepło, przyspieszone uderzenia serca, produktywny ból zmęczonych mięśni. Ból, który sama wybierałam, nie ból, który wybrał mnie. Raz próbowałam walczyć z trenującymi żołnierzami, tak jak Ryzek podczas swej nauki, ale atrament nurtu wypełniający wszystkie części mego ciała sprawiał im zbyt wielki ból.

Od pewnego czasu zaczytywałam się tekstami na temat dawno zapomnianej formy walki – szkoły umysłu, elmetahak. Tak jak wiele zjawisk w naszej kulturze, szkoła ta podobnie jak przedmioty sklecone z materiałów pochodzących z żeru, powstała jako zlepek elementów zapożyczonych od obcych. Zaciekłość z Ogry zmieszała się z logiką z Othyru oraz naszą własną przedsiębiorczością, tworząc nierozzerwalną całość. Kiedy weszliśmy do sali, pochyliłam się nad książką, którą poprzedniego dnia zostawiłam leżącą pod ścianą, pod tytułem „Zasady



elmetahak: podstawa filozoficzna i ćwiczenia praktyczne”. Dotarłam do rozdziału „Strategia skoncentrowana na przeciwniku”.

– A więc w wojsku trenowałeś zivatahak – zaczęłam.

Akos rzucił mi zdziwione spojrzenie.

– Altetahak to szkoła ramienia. Zivatahak, szkoła serca. Elmetahak, szkoła umysłu – wyjaśniłam. – Twój nauczyciele nie powiedzieli ci, co trenujesz?

– Raczej nie obchodziły ich takie szczegóły – odparł Akos. – Jak już zresztą wspominałem.

– Ale trenowałeś zivatahak, widać to po twoim sposobie poruszania się.

Chyba trochę się zdziwił.

– Sposób poruszania się? A jak ja niby się ruszam?

– Dlaczego mnie nie dziwi, że mieszkaniec Thuvhe słabo zna własną naturę – zauważyłam ironicznie.

– Wiedza o tym, w jakiej technice się walczy, to jeszcze nie jest wiedza na temat własnej natury. A walka nie ma aż takiego znaczenia, jeśli otaczający cię ludzie są nieagresywni.

– Czyżby? A co to za mityczne istoty? Może istnieją tylko w wyobraźni? – Potrząsnęłam głową. – Wszyscy ludzie są agresywni. Niektórzy potrafią oprzeć się impulsom, inni nie. Lepiej przyjąć to do wiadomości i dogłębnie przeanalizować swoją własną naturę, niż się okłamywać.

– Ja się nie okłamuję – urwał i westchnął. – Nieważne.

Widziałam, że się ze mną nie zgadza, ale przynajmniej chciał mnie wysłuchać. Progres.

– Jesteś szybki i niezbyt silny. Nastawiony na obronę, spodziewasz się ataku z każdej strony. To zivatahak, szkoła serca. Szybkość. – Postukałam się w pierś. – Szybkość wymaga wytrzymałości. Wytrzymałości serca. Zaczepiliśmy tę szkołę walki od wojowników-ascetów z planety Zold. Altetahak, szkoła ramienia, znaczy „siła”. Zapożyczona od stylu uprawianego przez wojowników z peryferyjnych planet. Ostatnia szkoła, elmetahak, znaczy „strategia”. W Shotet prawie już nieznana. To mieszanina różnych stylów z różnych miejsc.

- A ty którego stylu się uczyłaś?
- Wszystkich – odparłam. Podniosłam się i ruszyłam przed siebie.
- Zaczynamy.

Podeszłam do ściany na końcu sali i otworzyłam jedną z szuflad. Skrzypiała, bo drewno było stare, a zaśnieżony uchwyt był obłuzowany. W środku leżały miecze ćwiczebne z nowego syntetycznego materiału, twardego i giętkiego zarazem. Taki miecz, odpowiednio użyty, mógł posiniaczyć przeciwnika, lecz nie mógł przeciąć skóry. Rzuciłam jeden Akosowi i sama wzięłam do ręki drugi, trzymając go w pewnej odległości od ciała.

Akos próbował naśladować moją postawę. Ugiął kolana i przeniósł ciężar ciała, by się do mnie upodobnić. Dziwnie było patrzeć na kogoś tak spragnionego nauki, kogoś, kto wie, że jego przetrwanie zależy od zdobytych umiejętności. Poczulałam się potrzebna.

Tym razem ja zrobiłam pierwszy ruch, machnęłam ostrzem w stronę głowy Akosa, lecz wycofałam się, nim zdążył go dotknąć, i rzuciłam:

- Czy twoje dłonie są jakoś szczególnie fascynujące?
- Co? Nie.
- To przestań się na nie gapić i spójrz na przeciwnika.

Uniół do policzka dłoń zaciśniętą w pięść, po czym zamachnął się bronią z boku. Zrobiłam unik, potem szybki obrót i walnęłam go ręką w ucho. Skrzywił się i obrócił na pięcie, z trudem łapiąc równowagę i jednocześnie próbując zadać cios. Złapałam jego pięść, mocno przytrzymałam i pociągnęłam.

– Już wiem, jak cię pokonać – oznajmiłam. – Mimo że wiesz, że jestem lepsza od ciebie, nadal stoisz w tym miejscu. – Machnęłam ręką, wskazując na przestrzeń przed sobą. – Ten obszar to część mnie, która ma największy potencjał, by cię zranić, część, gdzie wszystkie moje ciosy będą mieć największą moc i celność. Powinieneś zmusić mnie do ruchu, tak byś mógł zaatakować poza tym obszarem. Trzymaj się z daleka od prawego łokcia, żebyś nie mogła tak łatwo cię zablokować. Nie stój i nie czekaj, aż potnę cię na kawałki.

Zamiast odpowiedzi złośliwą uwagą, on tylko kiwnął głową i znów uniół ręce. Tym razem, kiedy wyskoczyłam do przodu, by zadać

cios, zrobił unik. Uśmiechnęłam się lekko.

Przez dłuższą chwilę poruszaliśmy się w ten sposób, zataczając kręgi wokół siebie. Kiedy zauważyłam, że z trudem oddycha, ogłosiłam przerwę.

– Opowiedz mi o swoich znakach – poprosiłam. W końcu książka wciąż leżała otwarta na rozdziale „Strategia skoncentrowana na przeciwniku”. Nie ma lepszego przeciwnika niż ten, którego zaznaczyłeś na swoim ramieniu.

– Po co? – otoczył dłonią lewy nadgarstek.

Bandaż znikł. Przy łokciu widniał stary ślad – ten sam, który widziałam dwie pory temu, w Sali Oręża. Teraz był dokończony, wypełniony barwą rytuału znaczenia, granatem tak ciemnym, że niemal czarnym. Obok widniał drugi znak, jeszcze niewygojony. Dwie kreski na ramieniu chłopaka z Thuvhe – widok niespotykany.

– Ponieważ poznanie wroga to początek strategii – odparłam. – A ty najwyraźniej zdążyłeś stawić czoło co najmniej dwóm wrogom.

Odsunął ramię od ciała, spojrział na kreski, krzywiąc się, i powiedział, jakby recytował:

– Pierwsza należy do jednego z ludzi, którzy zaatakowali mój dom. Zabiłem go, kiedy ciągnął mnie i brata przez piórzycę.

– Kalmev – powiedziałam.

Kalmev Radix należał do elity, do wybrańców mego brata, był kapitanem wypraw i tłumaczem wiadomości, mówił w czterech językach, między innymi w thuvhe.

– Znałeś go? – spytał Akos, lekko się krzywiąc.

– Tak. Był przyjacielem moich rodziców. Poznałam go w dzieciństwie i widziałam, jak żona Kalmeva płakała podczas obiadu wydanego po jego śmierci. – Kalmev był twardym człowiekiem, ale zawsze nosił w kieszeni cukierki. Widziałam, jak ukradkiem wsuwa je do ust podczas eleganckich przyjęć. Ale nie smuciłam się po jego śmierci, w końcu nie był dla mnie nikim bliskim. – A drugi znak?

– Drugi... – Z trudem przełknął ślinę. Chyba go zdenerwowałam. Świetnie. – ...to Pancerny, któremu odebrałem skórę, by zyskać wysoką pozycję.

Ja swoją zbroję zdobyłam trzy pory wcześniej. Schowałam się

w niskich trawach niedaleko obozu wojskowego, zaczekałam, aż zapadnie noc, i zaczęłam polowanie. Podkrađłam się do stworzenia pogrążonego we śnie i zadałam cios, mierząc w miękki punkt, tam gdzie noga łączy się z resztą ciała. Wykrwawiał się długimi godzinami, a przez jego straszliwe jęki miałam potem koszmary. Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, by wyryć jego kreskę na ramieniu.

– Rejestr zabójstw dotyczy ludzi – zauważyłam.

– Pancerny mógł równie dobrze być człowiekiem – odparł cicho Akos. – Patrzyłem mu w oczy. Wiedział, czym jestem. Napoiłem go trucizną, zasnął, kiedy go dotknąłem. Żałowałem go bardziej niż człowieka, który pozbawił moją siostrę obu braci i ojca.

A więc miał siostrę. Prawie zapomniałam, chociaż Ryzek mówił mi o jej losie: *Pierwsze dziecko z rodziny Kereseth ulegnie ostrzu*. Niemal tak ponure przeznaczenie jak w przypadku mojego brata. Czy Akosa.

– Powinieneś dodać kreskę, przechodzącą przez drugi znak – powiedziałam. – Ukośną, na samej górze. Ludzie robią tak w przypadku śmierci, które nie były zabójstwem. Poronione płody, żony i mężowie, których odebrała choroba. Uciekinierzy, którzy nie wrócili. Każda... znacząca strata.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem i wciąż gniewnie.

– A więc mój ojciec...

– Śmierć twego ojca została zaznaczona na ramieniu Vasa. Nie można zaznaczyć straty dwa razy.

– Zaznaczono zabójstwo. – Ściągnął brwi. – Morderstwo.

– Nie – odparłam. – Właściwie rejestr zabójstw to nie jest odpowiednia nazwa. To zawsze rejestr straty. Nie triumfu. – Odruchowo chwyciłam prawą ręką za ochraniacz na lewym przedramieniu, zaczepiając palce o paski. – Niezależnie od tego, co powiedział ci na ten temat jakiś głupi Shotet.

Płatki leżącego przede mną szakwiatu były ciasno zwinięte. Powoli przeciągałam nożem przez środek każdego z nich po kolei, z pewnym trudem, bo miałam na dłoniach rękawiczki – on ich nie potrzebował, ale nie wszyscy byli tak jak on odporni na działanie szakwiatu.

Płatki nie rozpląszczyły się.

– Musisz trafić w tę żyłkę w samym środku – powiedział. – Szukaj

takiej ciemnoczerwonej kreski.

– Wszystko jest ciemnoczerwone. Na pewno nic ci się nie przywidziało?

– Spróbuj jeszcze raz.

W ten sposób odpowiadał za każdym razem, kiedy traciłam cierpliwość. Po prostu mówił spokojnie: „Spróbuj jeszcze raz”. Miałam ochotę mu przyłożyć.

Od kilku tygodni co wieczór stawaliśmy przy aptekarskiej ladzie, a on nauczał mnie o lodokwiatach. W pokoju Akosa było ciepło i spokojnie, ciszę przerywało jedynie bulgotanie wody i szybkie stuknięcia noża o deskę. Łóżko zawsze było zasłane, a spłowieła pościel starannie ułożona na materacu. Poduszka przeważnie leżała w kącie pokoju, zbierając kurz, widać nieużywana.

Każdy lodokwiat wymagał odpowiedniej techniki krojenia: szakwiat należało rozpląszczyć, zazdrośnicę pokroić w plasterki w taki sposób, by nie rozpadła się w chmurę pyłu, a twarde niejadalne żyłki w liściach harvy najpierw poluzować i wyciągnąć u podstawy. *Niezbyt mocno. Ale trochę mocniej niż teraz*, instruował Akos.

Dobrze radziłam sobie z nożem, ale nie miałam cierpliwości do subtelnych szczegółów. Podczas treningów sytuacja się odwracała. Kiedy za długo skupiałam się na teorii czy filozofii, które uważałam za niezwykle istotne, Akos zaczynał się niecierpliwić. Był szybki i skuteczny, kiedy już wszedł w kontakt, ale nieuważny, nie potrafił czytać przeciwnika. Ciekawe, że ucząc go i pobierając nauki od niego, łatwiej znosiłam ból.

Przytknęłam czubek noża do następnego płatek i pociągnęłam w prostej linii. Tym razem płatek rozwinął się pod moim dotykiem i rozpląszczył na desce. Uśmiechnęłam się szeroko. Nasze ramiona otarły się o siebie, a ja natychmiast odskoczyłam – nie byłam przyzwyczajona do dotyku. I wątpię, bym jeszcze kiedykolwiek do niego przywykła.

– Dobrze – powiedział Akos, wrzucając do wody garść suchych liści harvy. – Zrób tak jeszcze jakieś sto razy, a nabierzesz wprawę.

– Tylko sto? A ja myślałam, że to musi trochę potrwać – odparłam, rzucając mu ironiczne spojrzenie.

Zamiast wywrócić oczami czy coś warknąć, lekko się uśmiechnął.

– Sto płatków za sto pompek, do których mnie zmuszasz – powiedział.

Wymierzyłam w niego nożem poplamionym szakwiatem.

– Pewnego dnia mi podziękujesz.

– Ja miałbym dziękować komuś z rodziny Noavek? W życiu.

To miał być żart, ale również przypomnienie. Ja byłam z Noaveków, on z Keresethów. Ja należałam do elity, a on był jeńcem. Nasze uśmiechy zrzędy i w milczeniu wróciliśmy do swoich zadań.

Chwilę później, kiedy uporałam się z czterema płatkami – zostało jeszcze tylko dziewięćdziesiąt sześć! – usłyszałam kroki w korytarzu. Szybkie, zdecydowane, z pewnością nienależące do strażnika robiącego rutynowy obchód. Odłożyłam nóż i zdjęłam rękawiczki.

– Co to? – spytał Akos.

– Ktoś idzie. Nie zdradź, co tu robimy.

Nie zdążył spytać dlaczego. Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Vas, a za nim jakiś młody mężczyzna. Rozpoznałam w nim Joreka Kuzara, syna Suzao Kuzara, kuzyna Vasa. Był niski i szczupły, miał skórę w ciepłym odcieniu brązu i zarost na brodzie. Nie znałam go za dobrze – Jorek nie poszedł tą samą drogą co ojciec, nie został żołnierzem ani tłumaczem. Był dla rodziny wielkim rozczarowaniem i stanowił zagrożenie dla mojego brata. Każdy człowiek, który nie oddawał się z entuzjazmem służbie Ryzekowi, był podejrzany.

Jorek kiwnął głową na powitanie. Cała pociemniałam od cieni na widok Vasa, ledwo zdołałam odwzajemnić pozdrowienie. Vas złączył dłonie za plecami i z rozbawieniem powiódł wzrokiem po niewielkim pomieszczeniu, zatrzymując spojrzenie na zabarwionych na zielono palcach Akosa i pyrkoczącym garnku stojącym na palniku.

– Co cię sprowadza do naszej rezydencji? – spytałam Joreka, nim Vas zdążył rzucić komentarz. – Z pewnością nie przyjacielska wizyta u Vasa. Nie potrafię sobie wyobrazić, by ktoś go odwiedzał dla przyjemności.

Jorek spojrzał najpierw na Vasa, próbującego zabić mnie spojrzeniem, potem mnie, uśmiechającej się w odpowiedzi, a wreszcie na Akosa, uparcie wpatzonego we własne dłonie, zaciśnięte na brzegu

blatu. Początkowo nie zauważyłam, jak mocno Akos się spał, kiedy Vas wszedł do pokoju. Widziałam jego stwardniałe mięśnie pod obcisłą koszulką.

– Mój ojciec ma spotkanie z władcą – odparł Jorek. – Uznał, że Vas być może nauczy mnie czegoś rozsądnego przez ten czas.

Zaśmiałam się.

– I co, nauczył?

– Cyra ma duży zasób słów, ale słowa „rozsądny” się w nim nie znajdzie. Nie traktowałbym zbyt poważnie jej opinii na mój temat – powiedział Vas.

– Uwielbiam nasze miłe pogawędki – odparłam – może jednak zdradzisz, czego chcesz?

– Co tam pichcicie? Środek przeciwbólowy? – Vas uśmiechnął się krzywo. – Myślałem, że macanie Keresetha koi twój ból.

– Czego chcesz? – powtórzyłam, tym razem ostro.

– Na pewno pamiętasz, że jutro zaczyna się Święto Wyprawy. Ryz chce wiedzieć, czy zamierzasz oglądać u jego boku zawody na arenie. Pragnie ci przypomnieć, nim odpowiesz, że służba Keresetha polega między innymi na tym, że ma stawiać cię na nogi, byś mogła uczestniczyć w tego rodzaju wydarzeniach, pokazywać się publicznie.

Zawody na arenie. Od lat ich nie oglądałam, usprawiedliwiając się bólem, ale tak naprawdę po prostu nie miałam ochoty patrzeć, jak ludzie zabijają się dla pozycji społecznej, dla pieniędzy czy z zemsty. Zawody były legalne – a nawet bardzo celebrowane – ale to jeszcze nie powód, żeby dodawać kolejne brutalne obrazy do tych, które już istniały w moim umyśle. Jak na przykład grymas bólu na twarzy Uzula Zetsyvisa.

– Cóż, jeszcze całkiem nie stanęłam na nogi, jak to ująłeś. Niestety, muszę odmówić.

– Doskonale. – Vas wzruszył ramionami. – Mogłabyś pokazać Keresethowi jakieś techniki relaksacyjne, bo kiedyś na mój widok naciągnie sobie mięsień.

Spojrzałam na Akosa i jego ramiona pochylone nad blatem.

– Wezmę to pod rozwagę.

Później tego samego dnia podczas wiadomości opowiadających o wszystkich planetach po kolei ukazał się taki komentarz na nasz temat:

„Wiodący hodowca fenzu, Uzul Zetsyvis, został znaleziony martwy w swoim domu. Wstępne dochodzenie wskazuje, że przyczyną śmierci było samobójstwo przez powieszenie”. Napisy w shotet brzmiały następująco: *Shotet oplakuje odejście naszego ukochanego hodowcy fenzu, Uzula Zetsyvisa. Dochodzenie w sprawie śmierci wskazuje na zabójstwo z ręki mieszkańców Thuvhe, mające na celu pozbawić Shotet jednego z najważniejszych źródeł energii.* Jasne. Tłumaczenia zawsze kłamały. Tylko ludzie, których Ryzek darzył wystarczającym zaufaniem, posługiwali się obcymi językami i mogli poznać prawdę. Można było przewidzieć, że Ryzek oskarży Thuvhe o śmierć Uzula, zamiast przyznać, że sam jest sprawcą.

Albo ja.

Później strażniczka przyniosła mi wiadomość:

*Zaznacz śmierć mego ojca. Należy do ciebie.*

*Lety Zetsyvis.*

Ryzek mógł zwać winę na Thuvhe, ale córka Uzula wiedziała, gdzie jej szukać. U mnie, na mojej skórze.

Jeśli daną osobę wystawiono na działanie mego daru nurtu przez dłuższy czas, to zostawał on w jej ciele, nawet kiedy już zabrałam rękę. A im dłużej kogoś dotykałam, tym dłużej pozostawał – chyba że podano remedium w postaci szakwiatu. Ale rodzina Zetsyvisów nie uznawała środków z szakwiatu. Niektórzy ludzie, postawieni wobec wyboru między śmiercią a bólem, wybierają śmierć. Uzul Zetsyvis należał do takich właśnie ludzi. Religijny aż do autodestrukcji.

Wyryłam znak po Uzulu na ramieniu, a potem spaliłam wiadomość od Lety. Pomalowałam świeżą ranę ekstraktem z korzenia piórzycy, który szczypał tak mocno, że łzy napłynęły mi do oczu, i wyszeptalam jego imię, nie śmiałam jednak wypowiedzieć reszty rytualnych słów, ponieważ składały się na modlitwę. Tej nocy widziałam go w snach. Słyszałam jego krzyki i widziałam przekrwione wybałuszone oczy. Gonił mnie przez ciemny las rozświetlony blaskiem fenzu. Zapędził mnie do groty, gdzie czekał Ryzek. Zęby miał ostre jak noże.

Obudziłam się z krzykiem, złana potem. Akos trzymał dłoń na moim ramieniu, a jego twarz była tuż obok mojej, włosy potargane od



snu, a koszulka pognieciona. Miał poważne i czujne oczy, które wyraźnie o coś pytały.

– Usłyszałem cię – wyjaśnił.

Czułam przez materiał ciepło jego dłoni. Przesunął palce wyżej, musnął moją gołą szyję i ten lekki dotyk wystarczył, by uciszyć nurt i ukoić ból. Kiedy zabrał rękę, mało nie krzyknęłam, zbyt zmęczona, żeby przejmować się rzeczami w rodzaju dumy i godności, ale on tylko odnalazł moją dłoń.

– Chodź – powiedział. – Nauczę cię, jak pozbyć się snów.

W tym momencie, trzymając palce splecione z jego palcami i słysząc jego spokojny głos, zrobiłabym wszystko, co by kazał. Kiwnęłam głową i uwolniłam nogi ze splątanej pościeli.

Zapalił światło w swoim pokoju. Stanęliśmy obok siebie przy blacie. Słoje nosiły teraz napisy w języku thuvhe.

– Jak niemal wszystkie mieszanki – powiedział – ta też zaczyna się od szakwiatu.

ŚWIĘTO WYPRAWY ROZPOCZYNAŁO SIĘ za każdym razem waleniem w bębny o wschodzie słońca. Pierwsze dźwięki napłynęły z amfiteatru wznoszącego się pośrodku miasta i rozbiegły się dokoła, kiedy do gry dołączyli kolejni rozentuzjasmowani mieszkańcy. Dźwięk bębnów miał symbolizować nasze początki – pierwsze uderzenie serca, pierwsze poruszenie życia, które przywiodło nas do obecnej potęgi. Świętowaliśmy nasze początki przez cały tydzień, a potem wszyscy silni i zdolni do odbycia podróży wsiadali na statek, by gonić nurt poprzez galaktykę, aż do chwili, gdy wstęga przybierze kolor niebieski – wtedy wylądujemy na którejś z planet i udamy się na żer, a potem wrócimy do domu.

Zawsze uwielbiałam dźwięk bębnów, ponieważ zapowiadał on, że wkrótce wyruszamy. W przestrzeni zawsze czułam się wolna. Ale tej pory Uzul Zetsyvis wciąż gościł w moich snach i bębny kojarzyły mi się tylko ze zwalnającym biciem jego serca.

Akos stanął w drzwiach mojego pokoju i oparł się o drewnianą ramę. Brązowe włosy sterczały na wszystkie strony.

– Co to za dźwięk? – spytał, szeroko otwierając oczy.

Pomimo nurtu zalewającego bólem całe moje ciało, zaśmiałam się. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Spodnie na gumkę założył na lewą stronę, na jego policzku widniał czerwony odcisk pogniecionego prześcieradła.

– To początek Święta Wyprawy – wyjaśniłam. – Spokojnie. Popraw spodnie.

Jego policzki lekko poróżwiały. Zrobił to, o co prosiłam, i zapytał z irytacją:

– Niby skąd miałem wiedzieć? Mogłabyś mnie ostrzec, zanim następnym razem znów obudzi mnie o świcie coś brzęiącego jak wybuch wojny?

– Widzę, że bardzo chcesz mnie pozbawić dobrej zabawy.

– Ponieważ najwyraźniej twoja wersja „dobrej zabawy” polega na wywoływaniu we mnie poczucia śmiertelnego zagrożenia.

Uśmiechnęłam się lekko i podeszłam do okna. Na ulicach roiło się

od ludzi. Patrzyłam, jak wznosząc chmury pyłu, maszerują przed siebie w stronę centrum Voi, by wziąć udział w uroczystościach. Wszyscy byli ubrani na niebiesko – w naszym ulubionym kolorze – fioletowo i zielono. Każdy nosił broń oraz zbroję, wszyscy mieli pomalowane twarze, a szyje i nadgarstki ozdobione sztucznymi klejnotami bądź wieńcami z delikatnych kwiatów. Tutaj, w pobliżu równika, kwiaty, by przeżyć, nie musiały być tak twarde i mocne jak lodokwiaty. Rozpadały się w palcach i wydzielały słodką woń.

Podczas święta odbywały się zawody w amfiteatrze, przybywali goście z innych planet, organizowano też rekonstrukcje ważnych chwil z historii Shotet. Przez cały ten czas załoga czyściła i reperowała statek. Ostatniego dnia Ryzek i ja przechodziliśmy w procesji od naszej rezydencji do pojazdu transportowego, który zabierał nas na pokład statku jako pierwszych oficjalnych pasażerów. Po nas wsiadała reszta. Ten rytm dobrze znałam i nawet lubiłam, chociaż brakowało mi rodziców, którzy mogliby mnie przezeń przeprowadzić.

– Moja rodzina rządzi w sumie od niedawna – powiedziałam, przekrzywiając głowę. – Kiedy się urodziłam, Shotet już przeszło zmianę pod rządami mego ojca. Tak przynajmniej czytałam.

– Dużo czytasz? – zapytał.

– Tak. – Lubiłam chodzić i lubiłam czytać. Dzięki tym czynnościom mogłam się od wszystkiego oderwać. – Chyba w tym czasie najbardziej zbliżamy się do wcześniejszego stanu. Święto. Statek. – Wzdłuż naszego ogrodzenia biegły dzieci, trzymały się za ręce, roześmiane. Wiele twarzy, rozmazanych z tej odległości, zwracało się w kierunku rezydencji. – Kiedyś byliśmy nomadami, a nie...

– Mordercami i złodziejami?

Chwyciłam się za lewe ramię, zbroja wpiła się w spód mojej dłoni.

– Skoro tak bardzo lubisz te obchody, czemu nie idziesz? – zapytał. Prychnęłam.

– Mam cały dzień spędzić u boku Ryzeka? O nie.

Podszedł do mnie i też zapatrzył się na to, co było za oknem. Środkiem ulicy człapała starsza kobieta, niezgrabnymi palcami poprawiając na głowie jaskrawy szal, który rozwinął się w całym tym zamieszaniu. W pewnym momencie jakiś młody chłopak niosący

naręcze koron z kwiatów włożył jedną z nich na głowę staruszki.

– Nie rozumiem wędrówki, żeru – stwierdził Akos. – Na jakiej podstawie decydujecie, dokąd się udać?

Bębny wciąż wybijały rytm naszego serca. Z daleka dobiegał też stłumiony hałas i dźwięki muzyki nałożone jedno na drugie.

– Jeśli chcesz, mogę ci pokazać. Pewnie wkrótce zaczną.

Chwilę później wyszliśmy przez sekretne drzwi w mojej sypialni i ruszyliśmy ukrytym korytarzem. Świecąca w ciemnościach kulka fenzu wyznaczała nam kierunek, ale i tak stawialiśmy kroki bardzo ostrożnie – co poniektóre deski poluzowały się, a z belek podtrzymujących sklepienie wystawały pod dziwnymi kątami gwoździe. Zatrzymałam się w miejscu, gdzie tunel rozbiegał się w różne strony i wymacałam belkę z nacięciami. Jedno na lewej belce oznaczało, że korytarz prowadzi na parter. Wyciągnęłam rękę do tyłu, chwyciłam Akosa za koszulkę i pociągnęłam go za sobą, skręcając w lewo.

Dotknął mojego nadgarstka i naprowadził moją dłoń, aż złączyła się z jego dłonią, i tak szliśmy, ze splecionymi palcami. Miałam nadzieję, że skrzypienie desek zagłusza mój oddech.

Poszliśmy korytarzami do pomieszczenia, w którym pracowali Egzaminatorzy, niedaleko Sali Oręża, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam Akosa i Eijeha. Wcisnęłam panel i przesunęłam go na tyle, by można było się prześliznąć. W środku było tak ciemno, że Egzaminatorzy nie zwrócili na nas uwagi – stali pośrodku, między hologramami, mierząc odległości cienkimi strugami białego światła, sprawdzając ekrany nadgarstkowe i wykrzykując współrzędne. Ale i tak duma kazała mi odsunąć się od Akosa i puścić jego rękę.

Kalibrowali model galaktyki. Kiedy sprawdzą jego dokładność, przystąpią do analizy nurtu. Na podstawie pływów dowiedzą się, gdzie ma się odbyć kolejny żer.

– Model galaktyki – powiedziałam miękko.

– Galaktyki – powtórzył Akos. – Ale widać tylko nasz układ słoneczny.

– Mieszkańcy Shotet są wędrowcami – przypomniałam mu. – Byliśmy daleko poza granicami naszego układu i znaleźliśmy tam jedynie gwiazdy, żadnych innych planet. Wedle naszej wiedzy układ

słoneczny jest jedynym zamieszkanym przez ludzi miejscem w całej galaktyce.

Model był hologramem, który wypełniał pomieszczenie od ściany do ściany. Pośrodku znajdowało się jasne słońce, skrajem zaś dryfowały połamane fragmenty księżyców. Hologramy wyglądały bardzo namacalnie i solidnie – dopóki któryś z Egzaminatorów nie przeszedł przez jeden czy drugi, by coś zmierzyć, wtedy poruszały się i zmieniały, jakby wypuszczały z siebie powietrze. Nasza planeta przepłynęła przed moimi oczami, najbliżej ze wszystkich, niczym kula pary. Najbliżej słońca latała stacja Zgromadzenia, statek większy nawet od tego, którego używaliśmy podczas wypraw – siedziba rządu galaktyki.

– Wszystkie skalibrowane, trzeba tylko odsunąć Othyr od słońca – oznajmił jeden z Egzaminatorów, wysoki mężczyzna o zaokrąglonych ramionach, jakby je kulił, by ochronić serce. – Izyt-dwa.

„Izyt” to potoczne określenie jednostki IZ równej mniej więcej szerokości mojego najmniejszego palca. Zdarzało mi się, kiedy nie miałam pod ręką linijki, mierzyć różne rzeczy palcami.

– Bardzo precyzyjne pomiary – stwierdził inny z nadzorców, niski mężczyzna z brzuszkiem wylewającym się nad paskiem spodni. – Izyt-dwa, no naprawdę. To tak jakby powiedzieć „planeta czy dwie”.

– 1467 IZ – odparł pierwszy. – Tak jakby nurtowi to robiło różnicę.

– Nigdy w pełni nie pojąłeś subtelności tej sztuki – odezwała się jedna z kobiet, przechodząc przez słońce, by zmierzyć jego odległość od Othyru, planety położonej najbliżej środka galaktyki. Wszystko w tej kobiecie było ostre i stanowcze, od linii krótko przyciętych włosów, przez szczękę, aż do sztywnych ramion żakietu. Na chwilę zatopiła się w żółtobiałym świetle. – A naprawdę jest to sztuka, choć wielu nazwałoby ją nauką. Panno Noavek, czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? A twój... towarzysz?

Mówiąc to, w ogóle na mnie nie spojrzała. Pochyliła się, by umieścić strumień światła na równiku Othyru. Pozostali Egzaminatorzy aż podskoczyli na mój widok i równocześnie zrobili krok w tył, chociaż stali przecież dość daleko ode mnie. Gdyby wiedzieli, ile wysiłku kosztuje mnie, by wytrzymać w jednym miejscu, nie wiercić się i nie płakać, na pewno przestaliby się martwić.

– To służący – odparłam. – Nie przeszkadzajcie sobie, tylko się przyglądam.

Wrócili do pracy, ale ich beztroskie pogawędki umilkły. Zacisnęłam dłonie w pięści tak mocno, że paznokcie wbiły mi się w skórę. Zapomniałam jednak o bólu, kiedy Egzaminatorzy aktywowali hologram nurtu – wił się pośród planet niczym wąż, ale wąż bez formy, eteryczny. Dotknął po kolei wszystkich planet w galaktyce, tych rządzonych przez Zgromadzenie i tych peryferyjnych, a potem owinał się wokół pomieszczenia jak pas okalający całą galaktykę. Jego światło nieustannie się zmieniało, miejscami było tak intensywne, że od patrzenia bolały mnie oczy, a w innych miejscach tak przytłumione, że zostawała z niego tylko cienka smuga. Egzaminatorzy spędzali całe dni na obserwacji nurtu.

Otega przyprowadziła mnie tutaj, kiedy byłam mała, by pokazać mi, na czym polega żer.

– Światło i barwa nurtu są zawsze najmocniejsze nad naszą planetą – powiedziała cicho do Akosa. – Jak mówi shotecka legenda, oplata ją trzy razy i dlatego nasi przodkowie postanowili się na niej osiedlić. Intensywność nurtu zmienia się w przypadku pozostałych planet, jest czasem większa tam, czasem tu, bez żadnego określonego schematu. Raz na porę wędrujemy jego śladem, potem lądujemy na którejś planecie i zaczynamy żer.

– Dlaczego? – zapytał Akos.

*Czerpiemy z mądrości każdej planety, przyswajamy ją, powiedziała Otega podczas jednej z naszych lekcji. A czyniąc to, zarazem ukazujemy im, co jest w nich cennego i wartego uznania. Ujawniamy przed nimi ich naturę.*

Jakby w odpowiedzi na to wspomnienie, cienie nurtu zaczęły poruszać się szybciej pod moją skórą, napływając i cofając się, niosąc ból.

– Odnowa – powiedziała. – Chodzi o odnowę. – Nie wiedziałam, jak inaczej wyjaśnić, czym jest żer. Nigdy wcześniej nie musiałam tego robić. – Wyszukujemy na innych planetach rzeczy, które wyrzucono, i dajemy im nowe życie. To... w to właśnie wierzymy.

– Widzę aktywność wokół P1104 – powiedział pierwszy

Egzaminator, pochylając się jeszcze niżej nad jedną ze skalnych grud na skraju galaktyki. Jego ciało przypominało martwego owada, zasklepionego w pancerzyku. Dotknął nurtu w miejscu, gdzie kolor – teraz zielony z odrobiną żółci – gęstniał i ciemniał.

– Jak fala uderzająca o brzeg – mruknęła kanciasta kobieta. – Może urosnąć bądź opaść, zależy. Zaznacz do dalszej obserwacji. Ale na obecnym etapie stwierdzam, że najlepszą planetą nadal jest Ogra.

*Żer jest aktem uprzejmości,* wyszeptła Otega do mego dziecięcego ucha. *Dla nich i dla nas. Żer to jeden z celów nurtu.*

– Twoje zgadywanki na niewiele się zdadzą – stwierdził pierwszy Egzaminator. – Nie mówiłaś przypadkiem, że Jego Wysokość zażądał w szczególności informacji na temat obecnej aktywności nad Pithą? Widzę tam ledwo smugę, ale nie sądzę, by miało to dla niego znaczenie.

– Jego Wysokość ma własne powody, by prosić o konkretne informacje, i nie do nas należy poddawać je w wątpliwość – odparła kobieta, zerkając w moją stronę.

Pitha. Na temat tego miejsca krążyły różne pogłoski. Podobno głęboko pod wodami tamtejszych oceanów, gdzie prądy nie są tak silne, ukryto zaawansowaną technologicznie broń, niepodobną do niczego, co znamy. A w związku z planami Ryzeka, który pragnął panować nie tylko nad naszym ludem, lecz nad całą planetą, broń z pewnością by się przydała.

W moich oczodołach narastał ból. Tak się działo, kiedy dar nurtu zamierzał uderzyć z większą mocą niż zwykle. A uderzał mocniej za każdym razem, kiedy myślałam o wojennych planach Ryzeka i mojej biernej postawie.

– Powinniśmy już iść – powiedziałam do Akosa. Potem zwróciłam się do Egzaminatorów: – Powodzenia przy obserwacjach. – I dodałam pod wpływem nagłego impulsu: – Tylko nie zwiedźcie nas na manowce.

Podczas drogi powrotnej Akos milczał. Uświadomiłam sobie, że przeważnie milczy, chyba że zadaje pytania. Nie rozumiałam, jak można być tak ciekawym osoby, której się nienawidzi, ale może właśnie o to chodziło: próbował stwierdzić, czy naprawdę mnie nienawidzi.

Bicie bębnow ucichło, jak zwykle. Ale cisza w mniemaniu Akosa najwyraźniej zdawała się coś zapowiadać, przystanął bowiem pod jedną

z lampek fenzu. Tylko jeden owad wciąż krążył w szklanej kuli nad naszymi głowami, żarząc się słabym błękitem – znak, że zbliżał się czas jego śmierci. Pod nim piętrzył się stosik pancrzyków – leżące na plecach martwe owady z podkurczonymi nóżkami.

– Chodźmy na obchody – rzucił.

Pomyślałam, że jest za chudy. Policzki miał zapadnięte, cienie w miejscach, które powinno wypełniać ciało, niepasujące do tak młodej twarzy.

– Bez Ryzeka. Tylko ty i ja.

Spojrzałam na jego uniesioną dłoń. Tak swobodnie ofiarował mi dotyk, nie zdając sobie sprawy, jakie to dziwne. Jaki on jest dziwny dla kogoś takiego jak ja.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Co dlaczego?

– Dlaczego byłeś dla mnie ostatnio taki miły. – Zmarszczyłam brwi. – I teraz też jesteś. Dlaczego? O co ci chodzi?

– Dorastanie w tym miejscu nieźle cię wypaczyło, co?

– Dorastanie w tym miejscu – odparłam – pokazało mi prawdę o ludziach.

Westchnął, jakby się ze mną nie zgadzał, ale nie miał siły dyskutować. Często tak wzdychał.

– Spędzamy razem sporo czasu, Cyro. Bycie miłym to strategia przetrwania.

– Nie mogę wyjść na ulicę. Rozpoznają mnie. Cienie nurtu zapadają w pamięć.

– Cieni nurtu nie będzie widać. Będziesz ze mną. – Przekrzywił na bok głowę. – Czy może aż tak wielką przykrość sprawia ci mój dotyk?

To było wyzwanie. Może też trochę manipulacja. Ale wyobraziłam sobie, jak stoję pośród tłumu, z normalną skórą, ludzie ocierają się o mnie i nie czują bólu, powietrze wypełnia woń potu, a ja znikam pośród nich. Ostatnim razem stałam blisko takiego tłumu jeszcze przed swoją pierwszą wyprawą, kiedy ojciec wziął mnie na ręce i uniósł wysoko. Nawet jeśli Akos miał ukryte motywy, może warto było zaryzykować.

Położyłam dłoń na jego dłoni.



Chwilę później znów szliśmy korytarzami, ubrani w odświętne stroje. Ja miałam na sobie fioletową suknię – żadną z tych eleganckich, które należały do matki, tylko taką niedrogą, której nie żał mi było zniszczyć – a twarz pomalowałam, by nikt mnie nie rozpoznał: gruba ukośna smuga biegła przez jedno oko i zahaczała o drugie. Włosy związałam ciasno z tyłu i pomalowałam na niebiesko, by nie wymykały się z upięcia. Bez cieni nurtu na skórze nie wyglądałam jak Cyra Noavek, jaką znali mieszkańcy Voi.

Akos miał na sobie czarno-zielone ubranie, ale ponieważ nie był znaną postacią, nie zamalował twarzy.

Kiedy wyszłam na korytarz, przyglądał mi się przez chwilę. Długą chwilę.

Zdawałam sobie sprawę z tego, jak wyglądałam. Moja twarz, w przeciwieństwie do większości twarzy należących do nieskomplikowanych osób, była wyzwaniem, jak oślepiający kolor wstęgi nurtu. Mój wygląd nie miał zresztą większego znaczenia, zwłaszcza że zawsze zmieniały go poruszające się nieustannie żyły nurtu. Ale dziwne, że Akos w ogóle zwrócił na to uwagę.

– Przestań się gapić, Kereseth – powiedziałam. – To żenujące.

Zetknęliśmy się przedramionami i poprowadziłam go wzdłuż wschodniego krańca domu, schodami w dół. Przesuwałam palce wzdłuż belek, szukając okrągłych nacięć oznaczających tajemne wyjścia, jak to w pobliżu kuchni.

Piórzyca porastała wszystko dokoła, aż do samego domu, więc musieliśmy przedzierać się przez nią, by dotrzeć do bramy, zamkniętej na kod. Znałam go. Data urodzin matki. Wszystkie kody Ryzeka w jakiś sposób się z nią wiązały – dzień urodzin, dzień śmierci, data ślubu, jej ulubione cyfry – nie licząc zamków przy drzwiach do jego prywatnych pokoi, te zamykała i otwierała krew Noaveków. Omijałam tę część domu, nie chciałam spędzać z Ryzekiem więcej czasu niż to konieczne.

Wstukując kod, czułam na dłoni wzrok Akosa. Ale to było tylko tylne wyjście.

Ruszyliśmy wąską alejką dochodzącą do jednej z głównych ulic Voi. W pewnym momencie cała się spięłam, kiedy wzrok jakiegoś mężczyzny zatrzymał się na mojej twarzy. I wzrok jakiejś kobiety.

I dziecka. Raz po raz chwyciłam czyjeś spojrzenie – ale tylko przelotnie.

Złapałam Akosa za ramię i przyciągnęłam bliżej, by wyszeptać mu do ucha:

– Gapią się. Wiedzą, kim jestem.

– Nie – odparł. – Gapią się, ponieważ masz na twarzy jaskrawoniebieską farbę.

Lekko dotknęłam policzka, w miejscu, gdzie farba zaschła. Skóra wydawała się sucha i łuskowata. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że tego dnia ludzkie spojrzenia oznaczają będą zwykłą ciekawość.

– Chyba masz lekką paranoję, wiesz o tym? – zapytał Akos.

– A ty zaczynasz zachowywać się beczelnie jak na kogoś, komu regularnie łożę skórę.

Zaśmiał się.

– To dokąd idziemy?

– Znam jedno miejsce. Chodź.

Poprowadziłam go mniej zatłoczoną ulicą wiodącą w lewo, dalej od centrum miasta. Powietrze wypełniał pył, ale wkrótce miał wylądować statek, a my mieliśmy dostać swoją burzę. Umyje miasto do czysta i zabarwi je na niebiesko.

Oficjalnie uznane przez rząd uroczystości odbywały się w amfiteatrze i jego najbliższym otoczeniu, w centrum Voi, ale świętowano również w innych miejscach. Na wąskiej uliczce, gdzie domy chyliły się ku sobie niczym kochankowie, ludzie śpiewali i tańczyli. Jakaś kobieta, obwieszona sztuczną biżuterią, zatrzymała mnie, chwytając za rękę – luksus, którego nigdy dotąd nie doświadczyłam, mało brakowało, a zaczęłabym drżeć – i z uśmiechem ozdobiła moją głowę koroną z kwiatów fenzu, nazwanych tak ze względu na ten sam szaroniebieski odcień płatków, co skrzydełka owadów.

Wyszliśmy na zatłoczony rynek. Wszędzie stały niskie namioty i stragany osłonięte zniszczonymi markizami, ludzie kłócili się, kobiety oglądały naszyjniki, na które nie mogły sobie pozwolić. Pośród tłumu kręcili się żołnierze w lśniących zbrojach. W powietrzu unosiła się woń mięsa i dymu. Spojrzałam z uśmiechem na Akosa.

Miał dziwną minę. Lekko zdezorientowaną, jakby to Shotet, które

teraz zobaczył, nie zgadzało się z jego wyobrażeniem.

Poszliśmy, trzymając się za ręce, alejką między straganami. Zatrzymałam się przy stoisku z nożami, takimi zwykłymi, nie z materiału przewodzącego nurt, ale za to o rzeźbionych rękojeściach.

– Czy szanowna dama potrafi posługiwać się zwykłym nożem? – zapytał sprzedawca, starszy mężczyzna, w shotet.

Miał na sobie szaty przywódcy religijnego z Zoldu, ciężkie i szare, z długimi luźnymi rękawami. Religijni Zoldanie używali wyłącznie zwykłych ostrzy, ponieważ uważali, że ostrza nurtu w zbyt beztroski sposób wykorzystują nurt, zasługujący na większy szacunek – to samo przekonanie dzieliła również większość religijnych mieszkańców Shotet.

– Lepiej niż ty – odparłam w jego języku. Kiepsko się nim posługiwałam, oględnie rzecz ujmując, ale z przyjemnością wykorzystałam okazję, by poćwiczyć.

– Aż tak dobrze? – Zaśmiał się. – Masz okropny akcent.

– Hej! – Do straganu podszedł żołnierz i postukał w stół ostrzem nurtu. Zoldanin z odrazą popatrzył na broń. – Tylko shotet. Jeśli ona odpowie w twoim języku... – żołnierz lekko odchrząknął – może się to dla niej źle skończyć.

Pochyliłam głowę, by nie mógł zbyt dokładnie mi się przyjrzeć.

Zoldanin odpowiedział w łamanym shotet:

– Przepraszam. To moja wina.

Żołnierz jeszcze przez chwilę nie zabierał klingi, prężąc pierś, jakby stroszył pióra. W końcu schował broń i ruszył dalej.

Sprzedawca odwrócił się w moją stronę i powiedział tym razem bardziej rzeczowym tonem:

– To najlepiej wyważone noże, nie znajdziesz takich na tym placu...

Opowiedział, jak są robione – z metalu kutego na północnym biegunie Zoldu i drewna odzyskanego ze starych domostw w Mieście Zoldia – słuchałam go, ale niezbyt uważnie, część uwagi skupiłam bowiem na Akosie, który rozglądał się dokoła.

Kupiłam sztylet, mocny i solidny, o ciemnej klindze i rękojeści odpowiedniej dla długich smukłych palców. Podarowałam go Akosowi.

– Z Zoldu – powiedziałam. – To dziwne miejsce, w połowie

pokryte szarym pyłem pochodzącym z pól porośniętych kwiatami. Trzeba do niego przywyknąć. Ale metal jest zadziwiająco giętki, mimo że taki mocny... No co? O co chodzi?

– Te wszystkie towary – odparł, wskazując na plac – pochodzą z innych planet?

– Aha. – Moja dłoń, przyciśnięta do jego dłoni, zwilgotniała od potu. – Kupcy z obcych planet mają prawo handlować w Voi podczas Świąta Wyprawy. Oczywiście część towarów pochodzi z żeru i sprzedają je mieszkańcy Shotet. Nie bylibyśmy sobą. Nowe życie dla niepotrzebnych odpadków i tak dalej.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Wystarczy, że spojrzysz na jakiś przedmiot i już wiesz, skąd pochodzi? Byłaś w tych wszystkich miejscach? – zapytał.

Powiodłam wzrokiem dokoła. Niektórzy sprzedawcy byli odziani w szaty szczelnie okrywające ciało od stop do głów, jedne jaskrawe, inne o barwach przytłumionych, niektórzy nosili wysokie nakrycia głowy, by przyciągnąć uwagę kupujących, inni mówili głośno w shotet, który ledwo rozumiałam z powodu akcentu. Z jednego ze straganów, na samym końcu, buchnęły światła, rozsypując się w powietrzu fontanną iskier, która zniknęła niemal równie szybko, jak się pojawiła. Obsługująca stragan kobieta niemal lśniła, taką miała jasną skórę i tyle jej pokazywała. Inny stragan otaczała chmura owadów, tak gęsta, że ledwo było zza niej widać sprzedawcę. Zastanawiałam się, komu potrzebny rój owadów.

– Na wszystkich dziewięciu planetach Zgromadzenia – odparłam, kiwając głową. – Ale nie, nie potrafię określić pochodzenia każdego przedmiotu. Chociaż w przypadku niektórych sprawa jest oczywista. Spójrz na to...

Na pobliskim straganie stał delikatny instrument. Miał abstrakcyjny nieregularny kształt i składał się z maleńkich płytek opalizującego materiału, wyglądającego jak coś pomiędzy szkłem a kamieniem.

– Syntetyk – wyjaśniłam. – Podobnie jak wszystko, co pochodzi z Pithy, ponieważ cała planeta jest pokryta wodą. Importują materiały od sąsiadów i łączą je...

Postukałam w najbliższą płytkę i z brzucha instrumentu doszedł dźwięk przypominający grzmot. Przebiegłam palcami po pozostałych, wydobywając z nich muzykę podobną falom. Melodia była delikatna, jak mój dotyk. Ale kiedy jedną płytkę uderzyłam mocniej, rozległy się bębny. Płytki zdawały się żarzyć wewnętrznym światłem.

– Ma naśladować dźwięki wody, zrobiona jest specjalnie dla podróżników stęsknionych za domem – objaśniłam.

Kiedy znów spojrzałam na Akosa, na jego twarzy widniał pełen wahania uśmiech.

– Ty je kochasz. Kochasz te wszystkie miejsca i rzeczy.

– Tak – odparłam. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Chyba tak.

– A Thuvhe? Thuvhe też kochasz?

Kiedy wypowiedział nazwę domu, bez trudu radząc sobie ze śliskimi sylabami, na których ja bym się potknęła, uświadomiłam sobie, że chociaż płynnie posługuje się językiem shotet, to tak naprawdę nie jest jednym z nas. Wyrósł w krainie ściętej mrozem, w domu oświetlanym żarkami. Pewnie nadal śnił w swoim języku.

– Thuvhe – powtórzyłam. Nigdy nie byłam w lodowej krainie na północy, ale studiowałam tamtejszy język i kulturę. Widziałam zdjęcia i nagrania. – Lodokwiaty i budynki ze szkła ołowiowego. – Tamtejsi mieszkańcy uwielbiali misterne geometryczne wzory i jaskrawe kolory wyraźnie widoczne na tle śniegu. – Pływające miasta i nieskończona biel. Tak, są tam pewne rzeczy, które lubię.

Miał smutną minę. Zastanawiałam się, czy przeze mnie zatęsknił za domem.

Wziął ode mnie sztylet, obejrzał go dokładnie, czubkiem palca sprawdził ostrze i zacisnął dłoń wokół rękojeści.

– Podałaś mi ten sztylet tak beztrako – powiedział. – A przecież mógłbym go użyć przeciw tobie, Cyro.

– Mógłbyś *spróbować* użyć go przeciwko mnie – poprawiłam go. – Ale nie sądzę, by do tego doszło.

– A może masz fałszywe wyobrażenia na mój temat.

Miał rację. Czasem zbyt łatwo zapomniałam, że on jest jeńcem w moim domu, a ja pełnię funkcję kogoś w rodzaju strażniczki.

Ale gdybym teraz pozwoliła mu uciec i zabrać brata z powrotem do domu, tak jak tego pragnął, skazałabym samą siebie na życie w bólu. Już sama myśl o tym wydawała się nie do wytrzymania. Zbyt wiele lat, zbyt wielu Uzulów Zetsyvisów, zbyt wiele zawołanych grózb ze strony Ryzeka i półprzytomnych wieczorów u jego boku.

Popatrzyłam przed siebie, w głąb uliczki.

– Czas odwiedzić Opowiadacza.

Podczas gdy ojciec z zapalem oddawał się misji zrobienia z Ryzeka potwora, moją edukacją zajmowała się Otega. Często ubierała mnie od stóp do głów w ciężkie szaty, by zakryć płonące na mojej skórze cienie, i zabierała w miejsca, do których rodzice nigdy nie pozwoliliby mi pójść.

To było jedno z takich miejsc. Leżało w jednym z najbiedniejszych zakątków miasta Voa, gdzie połowa budynków już się zawaliła, a pozostałe wyglądały tak, jakby niewiele im do tego brakowało. Tutaj też spotykało się targowiska, ale bardziej prowizoryczne – rzeczy wykładano po prostu na pled czy chustę, by w razie potrzeby prędko je zgarnąć i ruszyć dalej.

Kiedy przechodziliśmy obok jednego z takich stoisk, Akos pociągnął mnie za łokieć. Na fioletowym kocu leżały białe butelki, z resztkami kleju po etykietach, przyciągającymi fioletowe kłaczki.

– Czy to lekarstwa? – spytał. – Wyglądają, jakby pochodziły z Othyru.

Tylko kiwnęłam głową, nie ufając własnemu głosowi.

– Na jaką są dolegliwość?

– Q900X, popularnie zwaną zawrotką. No wiesz, bo powoduje zaburzenia równowagi.

Akos zmarszczył brwi. Zatrzymaliśmy się, odgłosy zabawy były teraz stłumione, docierały do nas z oddali.

– Tej chorobie można zapobiec. Nie szczepicie się?

– Chyba zauważyłeś, że to biedny kraj? Nie prowadzimy eksportu, a bogactw naturalnych ledwo starcza, by zachować niezależność i samodzielnie się utrzymać. Niektóre planety przysyłają nam pomoc, ale trafia ona w nieodpowiednie ręce i rozdawana jest raczej według wysokiej pozycji społecznej niż według potrzeb.

– Nigdy nie... – urwał. – Nigdy o tym nie pomyślałem.

– Niby czemu miałbyś o tym myśleć? Ten problem z pewnością nie jest w Thuvhe priorytetowy.

– Ja też dorastałem w zamożnej rodzinie, ale w biednym kraju – powiedział. – Mamy coś wspólnego.

Chyba zdumiało go, że w ogóle coś nas łączy.

– Nic nie można zrobić dla tych ludzi? – spytał, wskazując otaczające nas budynki. – Jesteś siostrą Ryzeka, nie mogłabyś...

– On mnie nie słucha – odparłam ostro.

– Próbowалаś?

– Tak jakby to było takie proste. – Poczulałam wypieki na twarzy. – Spotkać się z moim bratem i poprosić, żeby zmienił cały system. Na pewno zaraz to zrobi.

– Nie twierdzę, że to *łatwe*...

– Wysoko postawione osoby stanowią zabezpieczenie mojego brata przed rewoltą – powiedziałam, coraz bardziej rozemocjonowana. – W zamian za lojalność daje im leki, jedzenie i otoczkę zamożności, której inni nie dostają. Bez tego zabezpieczenia Rzynek zginie. A ja razem z nim. A więc nie... nie zamierzam podjąć się wielkiej misji ratowania chorych i ubogich!

Mój głos brzmiał gniewnie, ale w środku ze wstydu cała się trzęsłam. Za pierwszym razem, kiedy Otega mnie tu przyprowadziła, o mało nie wymiotowałam, bo w jednej z uliczek leżał trup zmarłego z głodu człowieka. Otega zakryła mi oczy, kiedy przechodziłyśmy, więc nie mogłam mu się dokładnie przyjrzeć. To byłam ja: Bicz Ryzeka, mistrzyni sztuk walk, doprowadzona do mdłości widokiem śmierci.

– Nie powinienem był poruszać tego tematu – powiedział, miękko kładąc dłoń na moim ramieniu. – Chodźmy. Odwiedzmy tego... opowiadacza.

Kiwnęłam głową i ruszyliśmy dalej.

Dotarliśmy do ukrytych w płataninie wąskich uliczek niskich drzwi pomalowanych w skomplikowane niebieskie wzory. Zapukałam i drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem, wypuszczając smugę białego dymu, pachnącego jak palony cukier.

To miejsce przypominało oddech. Robiło wrażenie świętego. W jakimś sensie może nawet takie było. Otega po raz pierwszy

przyprowadziła mnie tu na naukę historii, wiele pór temu, pierwszego dnia Święta Wyprawy.

W drzwiach stanął wysoki blady mężczyzna, o włosach wygolonych tak gładko, że aż lśniła mu czaszka. Uniósł ręce i uśmiechnął się.

– Ach, mała Noavek – powiedział. – Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę. A kogóż to ze sobą przyprowadziłaś?

– To jest Akos. Akosie, to Opowiadacz. A w każdym razie tak każe się nazywać.

– Hej – powiedział Akos.

Widziałam po zmianie w postawie ciała, że się denerwuje. Znikło wszystko, co miał z żołnierza. Opowiadacz uśmiechnął się szerzej i zaprosił nas do środka.

Weszliśmy do pokoju dziennego. Akos musiał pochylić głowę pod łukowatym sklepieniem, pośrodku którego widniała kula z fenzu. Był tam zardzewiały piecyk z rurą wystającą przez jedyne okno. Wypłowiełe plecione chodniki zakrywały klepisko – wiedziałam, ponieważ kiedyś zajrzałam pod nie jako dziecko, by sprawdzić, co jest pod spodem. Twarde włókno łaskotało stopy.

Opowiadacz wskazał nam stos poduszek. Siedliśmy na nich, trochę niezgrabnie, wciąż nie rozplatając dłoni. Na chwilę zabrałam rękę, by wytrzeć ją w suknię, a cienie nurtu natychmiast powróciły. Opowiadacz znów się uśmiechnął.

– Oto są – powiedział. – Prawie cię bez nich nie poznałem, mała Noavek.

Na stoliku przed nami – zrobionym z dwóch złączonych zydli – postawił metalowe naczynie i dwa glazurowane kubki nie od kompletu. Nalałam do obu herbaty. Miała kolor jasnofioletowy, niemal różowy. To od niej pochodził ten słodki zapach.

Opowiadacz usiadł naprzeciwko nas. Biała farba na ścianie za jego głową oblaziła, odsłaniając żółtą warstwę pod spodem. Ale nawet tutaj jeden z wszechobecnych ekranów z wiadomościami tkwił przymocowany krzywo na ścianie obok pieca. W tym miejscu znajdowało się mnóstwo przedmiotów pochodzących z żeru: ciemny metalowy czajnik na herbatę z pewnością wyprodukowano na Tepes,



kratę przy piecu zrobiono z materiału podłogowego z Pithy, a jedwabne ubranie Opowiadacza wyglądało dokładnie tak jak stroje wysoko postawionych mieszkańców Othyru. W kącie stało połamane krzesło, które właśnie naprawiał, ale jego pochodzenia nie umiałam określić.

– Twój towarzysz, Akos, pachnie szakwiatem – stwierdził Opowiadacz, marszcząc brwi.

– Pochodzi z Thuvhe – odparłam. – Nie zamierzał cię urazić.

– Urazić? – powtórzył Akos.

– Tak. Nie wpuszczam do domu osób, które niedawno zażywały szakwiat czy jakiegokolwiek inne substancje zmieniające nurt – wyjaśnił Opowiadacz. – Chociaż są mile widziani, kiedy pozbędą się ich z organizmu. Nie mam zwyczaju odrzucać wszystkich gości.

– Opowiadacz jest jednym z shoteckich przywódców religijnych – zwróciłam się do Akosa. – Nazywamy ich duchownymi.

– To chłopak z Thuvhe, naprawdę? – Opowiadacz znów zmarszczył brwi i zamknął oczy. – Na pewno się mylisz. Posługujesz się naszym świętym językiem jak rodowity mieszkaniec Shotet.

– Chyba znam swoje pochodzenie – odparł cierpko Akos. – Swoją tożsamość.

– Nie chciałem cię urazić. Ale nosisz też shoteckie imię, stąd moja dezorientacja. Rodzice z Thuvhe nie daliby dziecku imienia o tak twardym brzmieniu bez określonej przyczyny. Jak brzmią imiona twego rodzeństwa?

– Eijeh – odparł Akos, wstrzymując oddech. Najwyraźniej nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tą kwestią. – I Cisi.

Jego dłoń mocniej zacisnęła się wokół mojej, chyba bez udziału świadomości.

– Cóż, nieważne – stwierdził Opowiadacz. – Najwyraźniej przyszliście tu w określonym celu, a niewiele czasu wam pozostało przed burzą, więc nie zwlekajmy. Mała Noavek, czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Pomyślałam, że może mógłbyś opowiedzieć Akosowi tę historię, którą opowiadałaś mnie, kiedy byłam dzieckiem. Ja nie jestem w tym zbyt dobra.

– Tak, zauważyłem. – Opowiadacz podniósł kubek stojący na

podłódze tuż obok jego bosych stóp. Na zewnątrz było chłodnawo, w środku jednak ciepło, nawet trochę duszno. – Jeśli chodzi o historię, to nie ma ona początku. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że mówimy językiem objawienia, przekazywanym we krwi, ponieważ zawsze trzymaliśmy się razem, wędrując jak jedno poprzez galaktykę. Nie mieliśmy domu, niczego na stałe. Wędrowaliśmy śladem nurtu wokół całej galaktyki, tam, dokąd akurat nas prowadził. Wierzyliśmy, że to nasz obowiązek, nasza misja.

Opowiadacz upił herbaty, odstawił kubek i pomachał palcami w powietrzu. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ten gest, zachichotałam, bo wyglądał tak dziwnie. Ale teraz wiedziałam, czego się spodziewać: w powietrzu ukazały się słabe zamglone kształty. Przypominały dym, nie lśniły światłem jak hologramy, które wcześniej oglądaliśmy, ale przedstawiały ten sam obraz – planety poruszające się wokół słońca, otoczone smugą białego nurtu.

Szare oczy Akosa – tej samej barwy co dym – zrobiły się wielkie i okrągłe.

– A potem jedna z wyroczni miała wizję, że rządzący nami ród zawiedzie nas do stałego domu. I tak się stało. Zamieszkaliśmy na zimnej bezludnej planecie, którą nazwaliśmy Urek, co znaczy „pusty”.

– Urek – wtrącił Akos. – Tak w shotet nazywa się nasza planeta?

– Chyba nie sądziłeś, że będziemy ją nazywać Thuvhe, tak jak wy, prawda? – prychnęłam. Thuvhe to była oficjalna, uznana przez Zgromadzenie nazwa naszej planety, obejmująca terytoria należące zarówno do Thuvhe, jak i do Shotet. Ale my używaliśmy własnej nazwy.

Obrazy stworzone przez Opowiadacza zmieniły się. W centrum znalazła się pojedyncza planeta z gęstego dymu.

– Nurt był tam silniejszy niż we wszystkich innych miejscach, które kiedykolwiek odwiedziliśmy. Nie chcieliśmy jednak zapomnieć o naszej historii, naszej naturze nomadów, zwyczaju zbierania zepsutych i niepotrzebnych nikomu przedmiotów, rozpoczęliśmy więc regularne wyprawy. Każdej pory wszyscy zdolni do podróży wsiadali na statek, który przez długi czas woził nas po całej galaktyce, podążając śladem nurtu.

Gdybym nie trzymała dłoni Akosa, mogłabym poczuć nurt

szumiący w moim ciele. Nie zastanawiałam się nad tym zbyt, ponieważ wraz z szumem pojawiał się ból, ale jego obecność była czymś, co łączyło mnie ze wszystkimi pozostałymi mieszkańcami galaktyki. No, nie licząc osoby siedzącej teraz obok mnie.

Zastanawiałam się, czy czasem mu tego nie brakuje, czy jeszcze pamięta to uczucie.

Opowiadacz mówił dalej, a jego głos stał się niższy, jakby ciemniejszy:

– Pewnego razu, kiedy większość z nas była na wyprawie, ci, którzy nazywali się ludem Thuvhe, zapuścili się zbyt daleko na południe. Dotarli do naszego miasta i zobaczyli tam wiele pozostawionych bez opieki dzieci, czekających na powrót rodziców z wyprawy. Zabrali dzieci z łóżeczek, od stołów, z ulic. Ukradli nasze dzieci, uprowadzili je na północ, by zrobić z nich jeńców i służących.

Namalował palcami płaską ulicę, a na niej zarys postaci uciekającej przed toczącą się chmurą. Po chwili chmura dopadła uciekiniera na końcu ulicy.

– Po powrocie uczestnicy wyprawy poprzysięgli zemstę za porwanie dzieci. Wywołali wojnę, ale nie znali się na walce, wiedzieli tylko, czym jest wędrówka i żer. Bardzo wielu poniosło śmierć. Sądziłyśmy, że utraciliśmy te dzieci na zawsze. Ale w następnym pokoleniu podczas wyprawy jeden z naszych udał się samotnie na planetę Othyr i tam, pośród ludzi nieznających naszego języka, znalazł dziecko, które przemówiło do niego w shotet. Była to córka jednego z jeńców, pracująca na polach swych właścicieli. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że mówi innym językiem niż zwykle. Dziecko wróciło do nas i zostało Odzyskanym.

Przechylił głowę.

– A potem – dorzucił – zmieniliśmy się, staliśmy się żołnierzami, by już nigdy nie ulec atakowi wroga.

Podczas gdy Opowiadacz szeptał, a dym z jego obrazów powoli się rozwiewał, coraz głośniejsz rozbrzmiewał dźwięk bębnow dochodzący z centrum miasta. Stopniowo dołączały do nich bębny rozsiane po ubogiej dzielnicy. Waliły głucho i grzmiały. Spojrzałam na Opowiadacza z rozchylonymi ustami.

– Burza – powiedział. – I bardzo dobrze, bo moja historia dobiegła końca.

– Dziękuję – odetchnęłam. – Przykro mi, że...

– Idź, mała Noavek – przerwał mi Opowiadacz z krzywym uśmiechem. – Nie przegap tego.

Chwyciłam Akosa za ramię i zmusiłam, by wstał. Patrzył groźnie na Opowiadacza. Nie tknął słodkiej fioletowej herbaty, której mu wcześniej nalałam. Ponagliłam go i ruszyliśmy. Pokonaliśmy schodki w domu Opowiadacza i wypadliśmy na ulicę. Nawet z tego miejsca widziałam statek dryfujący w oddali w kierunku Voi. Rozpoznawałam jego kształt, tak jak rozpoznawałam sylwetkę matki, nawet z daleka. Jego rozdęty brzuch i zwężony nos. Wiedziałam, z jakich wypraw pochodzą nierówne płyty, na podstawie stopnia zniszczenia lub koloru, odcienia pomarańcza, błękitu lub czerni. Nasz patchworkowy statek, tak wielki, że kiedy unosił się nad Voą, w całym mieście zapadała ciemność.

Wszędzie słyszałam radosne wiwaty.

Odruchowo uniosłam wolną rękę do nieba. Gdzieś w okolicy wjazdu rozległ się donośny przenikliwy dźwięk, coś jak świst bicza, i we wszystkie strony rozbiegły się z tego miejsca granatowe żyły, oplotły się wokół chmur same po chwili tworząc chmury. W krótkim czasie granatowe chmury rozlały się na całe niebo, aż miasto pokryła zasłona ciemnoniebieskiej mgły. Podarunek statku.

A potem – tak jak każdej pory – zaczął padać niebieski deszcz.

Wciąż trzymając Akosa za rękę, odwróciłam drugą dłoń do góry, by złapać trochę błękitu, ciemnego błękitu, który zostawiał na mojej skórze słaby ślad. Ludzie zebrani na końcu ulicy śmiali się, śpiewali i kołysali. Akos odchylił głowę do tyłu. Spojrzał na brzuch statku, potem na swoją dłoń i błękit spływający po knykciach. Spojrzał na mnie. Śmiałam się.

– Błękit to nasz ulubiony kolor – powiedziałam. – Kolor wstęgi nurtu podczas żeru.

– W dzieciństwie – odparł ze zdumieniem – to też był mój ulubiony kolor, chociaż wszyscy w Thuvhe go nienawidzą.

Stuliłam dłoń, w której zebrała się kałuża niebieskiej wody i posmarowałam mu nią policzek. Akos zakaszłał i wypluł część na

ziemię. Uniosłam brwi, czekając na reakcję. Podstawił rękę pod strumień wody ściekającej z dachu i cisnął we mnie.

Rzuciłam się do biegu, ale nie dość szybko, by uniknąć pocisku z zimnej wody, która pociekła wzdłuż moich pleców. Pisnęłam jak dziecko. Chwyciłam Akosa za łokieć i pobiegliśmy dalej razem, poprzez rozśpiewany tłum, obok kołyszących się staruszków, obok kobiet i mężczyzn tańczących zbyt blisko, obok rozdrażnionych kupców gorączkowo chowających towary. Pędziliśmy przez jaskrawoniebieskie kałuże, mocząc ubrania. I tym razem śmialiśmy się oboje.

TEGO WIECZORU zdrapałam niebieskie plamy zaschniętej farby ze skóry i włosów, a potem dołączyłam do Akosa przy ladzie aptekarskiej, by przyrządzić środek przeciwbólowy, który pomógłby mi zasnąć. Nie zapytałam, co sądzi na temat historii Shotet, którą usłyszałam od Opowiadacza, w której to ludzie Thuvhe, nie Shotet, okazują się winni wrogim stosunkom panującym między naszymi ludami. On też nie komentował. Kiedy środek był gotowy, wzięłam go do swojego pokoju, usiadłam na brzegu łóżka i wypięłam. To była ostatnia rzecz, którą zapamiętałam.

Kiedy się obudziłam, leżałam w poprzek łóżka. Obok mnie leżał przewrócony kubek, resztki niedopitego płynu zabarwiły pościel na fioletowo. Sądząc po bladym świetle wpadającym przez zasłony, słońce dopiero wstawało.

Podciągnęłam się do pozycji siedzącej. Wszystko mnie bolało.

– Akos?

Zrozumiałam, że straciłam przytomność po wypiciu mikstury. Przycisnęłam rękę do czoła. Czyżbym przyrządziła ją zbyt mocną? Powlokłam się na korytarz i zapukałam do jego drzwi. Nie, na pewno niczego złe nie zrobiłam. Przypomniałam sobie, że tylko kroiałam łądygi sendesu. Resztą zajął się Akos.

Uśpił mnie.

Nikt nie odpowiadał na moje pukanie. Pchnęłam drzwi. Pokój był pusty, szuflady pootwierane, brakowało ubrań i sztyletu.

Kiedy zaproponował wyjście z domu, jego uprzejmość wzbudziła we mnie podejrzenia. Okazało się, że były uzasadnione.

Odgarnęłam włosy z twarzy i odrzuciłam na plecy, wróciłam do pokoju i wsunęłam stopy w wysokie buty. Nie traciłam czasu na wiązanie sznurowadeł.

Uśpił mnie.

Podeszłam do ściany, w której znajdował się panel otwierający ukryte drzwi. Dostrzegłam niewielką szparę. Zaciśnięłam zęby, walcząc z bólem. Zaprosił mnie wczoraj na wycieczkę, bo chciał, żebym mu pokazała, jak wymknąć się z domu. W dodatku podarowałałam mu sztylet

z Zoldu, ufnie wypiął jego miksturę, a teraz... teraz będę musiała za to zapłacić.

*A może masz fałszywe wyobrażenia na mój temat, powiedział.*

*Nie ma miejsca na honor, gdy chodzi o przetrwanie.* Sama go tego nauczyłam.

Wybiegłam na korytarz. W moją stronę szedł jeden ze strażników. Oparłam się o drzwi. Co powie? Sama nie wiedziałam, czego bardziej sobie życzyć: czy żeby uciezka okazała się udana, czy żeby go złapano.

Strażnik zatrzymał się przy moich drzwiach i schylił głowę w ukłonie. Był niski, dość młody, miał pucułowatą dziecienną twarz i nosił ostrze. Należał do tych, którzy wciąż robili wielkie oczy na widok ciemnych linii rozbiegających się po mojej skórze.

– Czego? – warknęłam przez zaciśnięte zęby. Ból powrócił, niemal równie dotkliwy jak po tamtej nocy, kiedy torturowałam Uzula Zetsyvisa. – O co chodzi?

– Pełnomocnik władcy, Vas Kuzar, przesyła wiadomość, że ostatniej nocy twój służący próbował zbiec wraz z bratem – odparł strażnik. – Został zatrzymany i czeka, aż władca wymierzy mu stosowną karę. Vas wzywa cię na prywatne przesłuchanie, za dwie godziny w Sali Oręża.

Wraz z bratem. To znaczyło, że jakimś sposobem zdołał go uwolnić. Przypomniałam sobie krzyki Eijeha, wtedy na początku, kiedy ich tu przywieziono. Wzdrygnęłam się.

Udałam się na „prywatne przesłuchanie” w pełni uzbrojona i ubrana jak żołnierz. Ryzek zaciągnął zasłony, więc w Sali Oręża panowały ciemności jak w nocy, rozświetlane jedynie migotliwym blaskiem fenzu. Ryzek stał na podwyższeniu, z rękami założonymi na plecach, wpatrzony w ścianę obwieszoną bronią. Prócz niego w pomieszczeniu nie było nikogo. Na razie.

– To była ulubiona broń matki – powiedział, kiedy drzwi się zamknęły.

Dotknął kija nurtu, zawieszzonego na ścianie. Był długi i wąski, z obu stron zakończony ostrzami. W każdym z ostrzy znajdował się pręt przewodzący nurt, tak że w chwili, kiedy broń stykała się ze skórą, całą ją oplatały ciemne cienie, od jednego krańca do drugiego. Kij był niemal

tak długi, jak ja wysoka.

– Elegancki wybór – dorzucił, wciąż nie odwracając się w moją stronę. – Raczej na pokaz. Wiedziałaś, że nasza matka nie była zbyt zręczna w sztukach walki? Ojciec mi powiedział. Ale była sprytna, potrafiła strategicznie myśleć. Potrafiła uniknąć fizycznej konfrontacji, знаła własne ograniczenia.

Odwrócił się. Na jego twarzy widniał pełen zadowolenia uśmieszek.

– Powinnaś brać z niej przykład, siostró. Jesteś doskonałą wojowniczką. Ale tutaj... – Popukał się w głowę. – No cóż, to nie jest twoja najmocniejsza strona.

Cienie poruszały się pod moją skórą z coraz większą szybkością, poganiane wypełniającym mnie gniewem. Nic jednak nie powiedziałam.

– Dałaś Keresethowi broń? Pokazałaś mu tunele? – Ryzek potrząsnął głową. – Przespałaś jego ucieczkę?

– Uśpił mnie miksturą z roślin – odparłam.

– O? A niby jak tego dokonał? – Ryzek mówił lekko, wciąż z krzywym uśmieszkiem na twarzy. – Przytrzymał cię i wlał ci ją siłą do ust? Nie sądzę. Myślę, że wypiałaś ją dobrowolnie. Naiwnie wypiałaś silny środek, który przygotował dla ciebie twój wróg.

– Ryzeku... – zaczęłam.

– Przez ciebie o mało nie straciliśmy wyroczni – warknął. – I dlaczego? Bo serce zadrżało ci na widok pierwszego lepszego uśmierzacza bólu?

Nie zamierzałam z nim dyskutować. Poświęcił dużo czasu, szukając po całej galaktyce wyroczni, w towarzystwie mego ojca i bez niego. A teraz mało brakowało, a wyrocznia wymknęłaby mu się z rąk. Przeze mnie. Może zresztą miał rację. Może moje zaufanie do Akosa wzięło się właśnie z tego, że ofiarował mi ulgę. Może czułam tak wielką wdzięczność za uwolnienie od bólu – i od izolacji – że serce mi zmiękło. Byłam głupia.

– Nie możesz winić go za to, że chciał uratować brata, że chciał się stąd wydostać – powiedziałam, głosem drżącym ze strachu.

– Ty wciąż nie rozumiesz, prawda? – zapytał Ryzek, śmiejąc się. – Ludzie zawsze będą pragnąć wszystkiego, co może nas zniszczyć, Cyro.



To nie znaczy, że mamy im na to pozwalać.

Ryzek wskazał ręką w bok.

– Stań tu i nie odzywaj się – polecił. – Przywołałem cię, byś zobaczyła, co się stanie, jeśli nie będziesz trzymać służby pod kontrolą.

Cała się trzęsłam, płonęłam i wyglądałam, jakbym stała pod baldachimem pnączy kładących się cieniem na mojej skórze. Przeszłam we wskazane miejsce, ciasno obejmując się ramionami. Usłyszałam, jak Ryzek wydaje rozkaz.

Otworzyły się ogromne drzwi na drugim końcu sali. Pierwszy wszedł Vas, uzbrojony i wyprostowany jak struna. Za nim kroczyli żołnierze, prowadząc Akosa Keresetha, który ledwo trzymał się na nogach. Twarz miał spuchniętą i w połowie zalaną krwią z rozciętego łuku brwiowego, wargę pękniętą. Zdążyli go pobić, ale cóż, już wcześniej nauczył się przyjmować cięgi.

Z tyłu szedł Eijeh, również zakrwawiony i pobity, ale było w nim coś jeszcze... Był pusty i nieobecny. Jego twarz porastała szorstka broda. Był bardzo chudy, dosłownie cień chłopaka, którego obserwowałam ze swojej kryjówki dwie pory temu.

Słyszałam ze swego miejsca ciężki charkoczący oddech Akosa. Ujrzawszy mojego brata, wyprostował plecy.

– Cóż za żalostny widok – stwierdził Ryzek, powoli schodząc po stopniach z podwyższenia. – Jak daleko zdołał uciec, Vasie? Za ogrodzenie?

– Nawet nie – odparł Vas. – Schwyciłem go w kuchni, jak wychodził z tunelu.

– Cóż, pozwól, Kereseth, że wyjaśnię, tak na przyszłość, na czym polegała twoja błędna kalkulacja – powiedział Ryzek. – To, że moja matka tak lubiła staromodny wygląd tego domu, nie znaczy, że po jej śmierci nie wyposażyłem go w najnowocześniejsze systemy bezpieczeństwa. W tym czujniki ruchu umieszczone wokół cel, na przykład tej, w której mieszkał twój brat.

– Czemu go tam trzymasz? – wycedził Akos. – Czy on w ogóle ma dar nurtu? A może go stracił z niedożywienia?

Vas leniwie, od niechcenia, uderzył Akosa w twarz. Akos skulił się i złapał za policzek.

– Akos – odezwał się Eijeh. Jego głos przypominał lekki dotyk. – Nie.

– Dlaczego mu nie powiesz, Eijehu? – spytał Ryzek. – Rozwinąłeś dar nurtu?

Akos popatrzył przez rozcapierzone palce na brata. Eijeh zamknął oczy, po krótkiej chwili je otworzył i kiwnął głową.

– Wschodząca wyrocznia – mruknął Akos w shotet. W pierwszym momencie nie rozumiałam – nie używaliśmy takiego określenia. Ale mieszkańcy Thuvhe posługiwali się różnymi terminami na określenie trzech rodzajów wyroczni: upadająca – czyli bliska zakończenia kadencji, zasiadająca – czyli ta, która obecnie wygłasza proroctwa w świątyni, i wschodząca – która dopiero rozwija pełnię mocy.

– Cóż, nie zdołałem go nakłonić, by posłużył się darem dla moich korzyści – dorzucił Ryzek. – Dlatego zamierzam sam go sobie wziąć.

– Wziąć? – powtórzył pytająco Akos, a ja poczułam znajome ukłucie w okolicach serca.

Ryzek podszedł do Akosa i wziął się pod boki.

– Wiesz, na czym polega *mój* dar nurtu? – spytał lekko.

Akos nie odpowiedział.

– Wytłumacz mu, droga Cyro – powiedział Ryzek, kiwając głową w moją stronę. – W końcu miałaś okazję doświadczyć jego działania osobiście.

Akos podparł się jedną ręką i spojrzał na mnie. Na jego twarzy widniały łzy zmieszane z krwią.

– Mój brat potrafi zamieniać się z kimś wspomnieniami – odparłam. Mój głos brzmiał pusto. Czułam się podobnie. – Może dać komuś jedno ze swoich wspomnień i zabrać w zamian wspomnienie tej osoby.

Akos milczał.

– Dar nurtu wynika z właściwości danej osoby – dodał Ryzek. – A o tym, kim ktoś jest, decyduje przeszłość. Zabierając komuś wspomnienia, zabierasz to, co go uformowało. Zabierasz więc także jego dar. A przynajmniej... – Ryzek przesunął palcem wskazującym w dół policzka Akosa, zbierając krew. Potarł palec o kciuk, przyglądając się uważnie. – Przynajmniej nie będę musiał nikogo prosić, by zdradził mi

przyszłość.

Akos błyskawicznie rzucił się na Ryzeka, wyciągając przed siebie ramiona. Wcisnął kciuk mocno w boczną część szyi Ryzeka, drugą ręką blokując mu prawe ramię. Pokazywał w grymasie obnażone zęby, jak zwierzę.

Vas natychmiast chwycił go za tył koszulki, odciągnął i walnął w żebra. Kiedy Akos wylądował na plecach, Vas przycisnął but do jego szyi i powiedział, lekko unosząc brwi:

– Jeden z moich żołnierzy kiedyś dokładnie tak cię potraktował. Zanim zabiłem twojego ojca. Wtedy odniosło to skutek. Leż spokojnie albo zmiążdżę ci krtań.

Akos drgnął, ale przestał się rzucać. Ryzek wstał, masując sobie szyję, otrzepał spodnie i sprawdził paski przy zbroi. Następnie podszedł do Eijeha. Żołnierze, którzy wprowadzili Akosa, teraz stali po obu stronach Eijeha, przytrzymując jego ramiona w twardym uścisku. Tak jakby to było konieczne. Eijeh wyglądał na tak oszołomionego, że dziwiłam się, jakim sposobem jeszcze nie stracił przytomności.

Ryzek uniósł obie ręce i przyłożył je do głowy Eijeha. Jego oczy były przerażone i jakby głodne. Spragnione ucieczki. Stali naprzeciw siebie, złączeni spojrzeniami i rękami Ryzeka.

Kiedy po raz pierwszy obserwowałam, jak to robi, byłam jeszcze małym dzieckiem i nie bardzo rozumiałam, co się dzieje, ale pamiętam, że trwało to krótką chwilę. Wspomnienia to przebłyski, nie są rozciągnięte w czasie jak rzeczywiste zdarzenia. Dziwne, że coś tak ważnego, tak nierozzerwalnie złączonego z człowiekiem, może zniknąć tak szybko.

Mogłam tylko patrzeć. Bez tchu.

Nagle Ryzek zdjął ręce z głowy swej ofiary. Miał dziwny, oszołomiony wyraz twarzy. Zrobił krok w tył i rozejrzał się dokoła. Miałam wrażenie, że nie jest pewny, gdzie się znajduje. Przesunął rękami wzdłuż ciała, jakby chciał sprawdzić, kim jest. Zastanawiałam się, czy pomyślał kiedyś o tym, jaką cenę on sam będzie musiał zapłacić za wymianę wspomnień. Może założył, że ma silną osobowość i nic mu nie grozi.

Eijeh z kolei powiódł wzrokiem dokoła, jakby po prostu rozpoznał

znajome miejsce. Czy tylko wyobraziłam sobie błysk w jego oczach, kiedy obrzucił wzrokiem stopnie wiodące na podwyższenie?

Ryzek ruchem głowy dał znak Vasowi, by ten zdjął stopę z gardła Akosa. Vas posłuchał. Akos dalej leżał spokojnie, patrząc na Ryzeka, który znów kucnął obok niego.

– Nadal tak łatwo się rumienisz? – spytał miękko. – Czy może wreszcie z tego wyrosłeś?

Po twarzy Akosa przebiegł skurcz.

– Nigdy więcej nie okazuj mi nieposłuszeństwa głupimi próbami ucieczki – ostrzegł Ryzek. – W ramach kary za tę pierwszą i jedyną próbę zatrzymam twego brata przy sobie i będę zabierać jego wspomnienia kawałek po kawałku, aż stanie się kimś, kto wcale nie będzie chciał stąd uciec.

Akos przycisnął czoło do podłogi i zamknął oczy.

Eijeh Kereseth właściwie przestał istnieć.

TEJ NOCY NIE ZAŻYŁAM ŚRODKA PRZECIWBÓLOWEGO. Akosowi nie mogłam już ufać, a nie czułam się jeszcze na siłach, by przyrządzić miksturę samodzielnie.

Kiedy wróciłam do pokoju, na poduszce leżał sztylet, który dałam Akosowi. Pewnie zostawił go tam Ryzek, w formie ostrzeżenia. Zamknęłam pokój Akosa na klucz.

Trudno powiedzieć, czy to on się do mnie nie odzywał, czy ja do niego. W każdym razie nie rozmawialiśmy. Święto Wyprawy toczyło się dalej, a ja, milcząca i ciemna od cieni nurtu, musiałam stawać u boku brata na niektórych uroczystościach. Akos zawsze trzymał się za moimi plecami, dotykał mnie rzadko i z przymusem. Za każdym razem, gdy jego skóra muskała moją, by przynieść mi ulgę, wzdrygałam się. Straciłam do niego zaufanie.

Większość czasu spędzałam na zawodach rozgrywających się na arenie. Były to publiczne walki, jeden na jeden, dawna shotecka tradycja. Początkowo miała charakter sportu pozwalającego doskonalić umiejętności, w czasach, gdy byliśmy słabi i wykorzystywani przez niemal całą galaktykę. Teraz, w tygodniu Święta Wyprawy, było dozwolone walczyć z każdym, kto tylko miał na to ochotę, do chwili, kiedy któryś z przeciwników albo się poddał, albo poniósł śmierć.

Nikt nie mógł jednak wyzwać przeciwnika, którego pozycja społeczna – określana przez Ryzeka lub wyznaczoną przez niego osobę – przekraczała jego własną pozycję. W rezultacie ludzie często prowokowali prawdziwego wroga, zwracając się do otaczających go osób, przyjaciół i bliskich, aż ta wybrana osoba sama wyzwała ich na pojedynek. Stopniowo, w miarę jak obchody się rozkręcały, walki stawały się coraz bardziej krwawe i coraz częściej kończyły się śmiercią.

Śniłam o śmierci, śmierć wypełniała moje dni.

Dzień po moich szesnastych urodzinach, a zarazem dzień przed rozpoczęciem wyprawy, i pięć dni po tym, jak Ryzek zaczął wymieniać wspomnienia z Eijehem, Akos Kereseth otrzymał zbroję, na którą zasłużył już dawno temu, na obozie wojskowym.

Właśnie skończyłam biegi w sali gimnastycznej, a teraz chodziłam

w tę i z powrotem po swoim pokoju, łapiąc oddech. Cała ociekałam potem. Vas zapukał we framugę. Na ramieniu trzymał lśniącą zbroję.

– Gdzie jest Kereseth? – spytał.

Zaprowadziłam go do pokoju Akosa i przekręciłam klucz w zamku. Akos siedział na łóżku, sądząc po błędnym spojrzeniu, naćpany szakwiatami, które ostatnio po prostu zjadał na surowo, płatek za płatkim. Zawsze nosił je upchane po kieszeniach.

Vas rzucił mu zbroję. Akos złapał ją w obie ręce. Ostrożnie, jakby mogła się stłuc, obracał ją i przesuwał palcami po każdej z ciemnoniebieskich płytek z osobna.

– Podobno na nią zasłużyłeś podczas nauk pod okiem Vakreza – powiedział Vas.

– Jak się czuje mój brat? – spytał Akos chrapliwym głosem

– Już nie trzeba go zamykać na klucz – odparł Vas. – Z własnej woli nie opuszcza pokoju.

– To niemożliwe. Łżesz.

– Vas – odezwałam się. – Idź stąd.

Potrafiłam wyczuć napiętą atmosferę. Nie zamierzałam czekać, aż nastąpi wybuch.

Vas popatrzył na mnie, przekrzywiając głowę, w końcu skłonił się lekko i wyszedł.

Akos uniósł zbroję do światła. Zrobiono ją specjalnie dla niego – wyposażono w paski regulujące, biorąc pod uwagę, że wciąż rośnie, pamiętano, by część osłaniająca zebra była elastyczna. Na brzuchu dodano wzmocnienie, bo Akos zawsze zapominał osłonić tę część ciała podczas treningów. Na prawym ramieniu wbudowano pochwę, tak by mógł wyciągać broń nad głowę. Noszenie takiej zbroi, szczególnie w tak młodym wieku, stanowiło wielki zaszczyt.

– Teraz znów zamknę pokój na klucz – oznajmiłam.

– Czy można jakoś uniknąć tego, co robi Ryzek? – spytał Akos, ignorując moje słowa.

Wyglądał, jakby całkowicie stracił siłę i nie mógł utrzymać się na nogach. W pierwszym odruchu postanowiłam nie odpowiadać na jego pytanie, ale po chwili rzuciłam ironicznie:

– Chcesz poprosić ładnie Ryzeka, by zechciał skończyć z wymianą

wspomnień, licząc na to, że akurat będzie w dobrym humorze? Raczej odpada.

Akos wstał i włożył zbroję przez głowę. Próbując zaciągnąć pierwszy pasek wokół żeber, skrzywił się z bólu i zaczął bezradnie wymachiwać ręką. Paski zrobiono z tego samego materiału co całą zbroję, ciężko było nimi manewrować. Chwyciłam pasek i pociągnęłam w swoją stronę. Moje palce były twarde i zgrubiałe.

Ciągnęłam, poruszając paskiem w przód i w tył, aż ciasno owinęłam go wokół boku Akosa.

– Nie zamierzałem cię w to wplątywać – powiedział cicho.

– O, nie traktuj mnie jak idiotki – ucięłam. – Zmanipulowanie mnie było częścią twojego planu. Zresztą niczego innego się nie spodziewałam.

Uporawszy się z paskami, zrobiłam krok w tył. *Och*, pomyślałam. Był wysoki – bardzo wysoki – silny i miał na sobie zbroję, ciemnoniebieską skórę stworzenia, które sam upolował. Wyglądał jak jeden z żołnierzy Shotet, jak ktoś, kogo mogłabym pragnąć, gdybyśmy tylko mogli sobie zaufać.

– Dobra – przyznał, znów bardzo cicho. – Zamierzałem cię w to wplątać. Ale nie sądziłem, że będę mieć z tego powodu wyrzuty sumienia.

Zabrakło mi tchu. Dlaczego? Nieważne.

– A teraz mam ci pomóc poczuć się lepiej, tak? – zapytałam.

Nim zdążył odpowiedzieć, wyszłam z pokoju i zamknęłam za sobą drzwi.

Przede mną i Akosem rozciągały się pyliste ulice Voi, za nami zaś wznosił się wysoki metalowy mur. Dalej czekał pokaźny tłum. Ryzek stanął przed domem, wznosząc długie blade ramię w geście pozdrowienia. Tłum odpowiedział nieskoordynowanymi okrzykami.

Święto Wyprawy dobiegało końca. Dzisiaj wszyscy mieszkańcy Shotet w odpowiednim wieku i formie mieli wsiąść na pokład statku i na jakiś czas opuścić planetę.

Za Ryzkiem wyszedł Vas, a za nim, ubrany w czystą białą koszulę, zdecydowanie bardziej przytomny niż do tej pory – Eijeh. Szedł wyprostowany jak struna, długim zdecydowanym krokiem, raczej

typowym dla kogoś wyższego, jeden kącik jego warg unosił się w krzywym uśmiešku. Wyminął brata wzrokiem i omiół spojrzeniem ulice otaczające rezydencję Noaveków.

– Eijeh – wymówił Akos łamiącym się głosem.

Twarz Eijeha zdradzała, że w pewnym stopniu go rozpoznawał, jakby widział go z dużej odległości. Spojrzałam na Akosa.

– Później – powiedziałam surowo, łapiąc za przód jego zbroi. Nie mogłam pozwolić, by załamał się w obecności tych wszystkich ludzi. – Nie tu, nie teraz. Jasne?

Odsunęłam się, puszczając go. Przyglądałam się jego gardłu, które ciężko pracowało, by przełknąć ślinę. Miał znamię pod linią szczęki, tuż przy uchu. Wcześniej go nie zauważyłam.

Akos kiwnął głową, nie odrywając wzroku od brata.

Ryżek zszedł po stopniach, a my za nim. Statek rzucał cień na nas i na całą Voę. Otaczające nas miasto powstało dzięki wyprawom trwającym od dekad – patchwork starych kamiennych budowli wzmocnionych gliną i nowych technologii zdobytych podczas żeru: niskie budynki ze szklanymi iglicami, w których powierzchni odbijały się obrazy z innych planet, pyliste ulice z ubitej ziemi i przemyskające nad nimi smukłe lśniące statki, uliczne stragany, na których sprzedawano talizmany przewodzące nurt i implanty ekranowe, które można było umieścić pod skórą człowieka.

Tego ranka, dręczona skurczami bólu, pomalowałam swoje ciemne oczy niebieskim cieniem i zaplotłam gęste włosy. Miałam na sobie zbroję, którą niegdyś zdobyłam na skraju Działu, i ochraniacz na lewym przedramieniu.

Spojrzałam przez ramię na Akosa. On też włożył zbroję, rzecz jasna, do tego nowe czarne wysokie buty i szarą koszulkę z długim rękawem, zbyt mocno opiętą na przedramionach. Miał przestraszoną minę. Powiedział mi wcześniej, kiedy szliśmy do wyjścia, że nigdy nie podróżował poza planetę.

Przed nami kroczył Eijeh, zmieniony. Było czego się bać.

Kiedy przechodziliśmy przez bramę, kiwnęłam głową, a wtedy Akos puścił moje ramię. To była moja jedenasta Procesja. Chciałam dojść do pojazdu transportowego o własnych siłach.



Przejściu towarzyszył gwar i zamieszanie. Krzyki, wiwaty, palce Ryzeka dotykające wyciągniętych rąk. Jego śmiech, mój oddech, drżące dłonie Akosa. Pył w powietrzu, opary przyrządzanego jedzenia.

Wreszcie znalazłam się wewnątrz pojazdu, gdzie już czekali Eijeh i Vas. Eijeh zapinał pasy z wprawą kogoś, kto robił to wcześniej tysiące razy. Pociągnęłam Akosa w stronę tylnych siedzeń, by odseparować go od brata. Ryzek pomachał w drzwiach tłumowi, który odpowiedział potężnym rykiem.

Kiedy zamknął się właz, Eijeh opadł na siedzenie, wpatrzony gdzieś w przestrzeń, jakby widział tam coś, czego nikt z nas nie mógł zobaczyć. Ryzek, zajęty zapinaniem swoich pasów, rozpiął je teraz i pochylił się w jego stronę.

– Co to jest? – spytał.

– Wizja zagrożenia – odparł Eijeh. – Akt buntu społecznego.

– Można mu jakoś zapobiec? – Odniosłam wrażenie, że już wcześniej odbyli tego rodzaju rozmowę. Może zresztą tak było.

– Tak, ale w tym przypadku lepiej pozwolić, by do niego doszło. – Eijeh spojrzał na Ryzeka. – Możesz obrócić go na swoją korzyść. Mam pewien plan.

Ryzek zmrużył oczy.

– Opowiedz.

– Chętnie, ale mamy publiczność. – Eijeh ruchem głowy wskazał do tyłu, gdzie siedział Akos.

– Tak, twój brat trochę przeszkadza, prawda? – Ryzek cmoknął z irytacją.

Eijeh nie zaprzeczył. Odchylił się na oparcie i zamknął oczy. Wystartowaliśmy.

Stanowisko załadunkowe na statku należało do moich ulubionych miejsc – otwarta rozległa płatanina metalu. Stała tam cała flota pojazdów transportowych, gotowych przewieźć nas ze statku na powierzchnię którejś z planet – teraz lśniły czystością, ale wkrótce miały pokryć się brudem, dymem, deszczem i pyłem gwiazdnym, a także emblematami świadczącymi o tym, które miejsca odwiedziły.

Nie przypominały sterolotów pasażerskich, przysadzistych i okrągłych, ani potężnego i zniszczonego statku zabierającego nas na

wyprawy. Były gładkie i smukłe, w kształcie podobnym nurkującemu ptakom o złożonych przywierających do ciała skrzydłach, a do tego różnobarwne, zrobione z wielu rodzajów metalu. Każdy mógł pomieścić co najmniej sześciu pasażerów, niektóre nawet więcej.

Kiedy wylądowaliśmy, nasz pojazd otoczyli mechanicy w niebieskich kombinezonach. Pierwszy wysiadł Ryzek, wyskoczył, nie czekając, aż opuszczą się stopnie.

Akos podniósł się, zaciskając dłonie tak mocno, że widziałam ścięgna oplatające jego knykcie.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał cichym głosem Eijeha.

Eijeh westchnął i przeciągnął paznokciem pod paznokciem. Obserwowałam go uważnie. Ryzek miał obsesję na punkcie czystych paznokci, wolałby raczej któryś złamać, niż dopuścić, by zebrał się pod nim brud. Czy ten gest znajdował się również w repertuarze Eijeha, czy może należał on do Ryzeka – i był znakiem przemiany? Jak dużą część mojego brata miał teraz w sobie Eijeh Kereseth?

Odpowiedział:

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Owszem, wiesz. – Akos przycisnął dłoń do piersi brata, pchnął go lekko na metalową ścianę, nie brutalnie, ale stanowczo, i pochylił się ku niemu. – Pamiętasz mnie jeszcze? Pamiętasz Cisi? Tatę?

– Pamiętam... – Eijeh zamrugał, jakby budził się ze snu. – Pamiętam twoje sekrety. – Rzucił Akosowi wrogie spojrzenie. – Czas, który kradłeś z naszą matką, kiedy my szliśmy spać. I jak wszędzie za mną łąziłeś, bo nie potrafiłeś nic zrobić samodzielnie. To masz na myśli?

W oczach Akosa błysnęły łzy.

– To nie jest wszystko – zaprotestował. – Jestem dla ciebie czymś więcej, musisz o tym wiedzieć. Ty...

– Starczy – przerwał mu Vas, podchodząc do nich. – Twój brat idzie ze mną.

Opuszczone wzdłuż ciała dłonie Akosa drgnęły, uniosły się, jakby chciały chwycić go za gardło. Wzrostem dorównywał już Vasowi – oczy znajdowały się na tym samym poziomie – ale nie masą ciała. Vas był maszyną wojenną, górą mięśni. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić ich walczących, od razu widziałam nieprzytomnego Akosa na ziemi.

Akos rzucił się do przodu, a ja razem z nim. Właśnie sięgał Vasowi do gardła, kiedy do nich dopadłam. Wcisnęłam dłonie między ich klatki piersiowe i rozdzieliłam. Udało mi się to dzięki elementowi zaskoczenia, nie sile. Odsunęli się do tyłu, a ja wcisnęłam się między nich.

– Za mną – powiedziałam do Akosa. – Natychmiast.

Vas zaśmiał się.

– Lepiej jej posłuchaj, Kereseth. Pod tym ochroniaczem nie kryją się tatuaże w kształcie serduszek.

Vas chwycił Eijeha za ramię i ruszył do wyjścia. Oczekałam, aż ucichną ich kroki, i dopiero wtedy puściłam Akosa.

– Nie bądź durniem, to jeden z najlepszych żołnierzy w Shotet.

– Ty nic nie rozumiesz – warknął Akos. – Czy kiedykolwiek troszczyłaś się o kogoś na tyle, by nienawidzić tego, kto ci tę osobę odebrał, Cyro?

W pamięci pojawiła się twarz matki, wypukła żyłka na jej czole, która zawsze pokazywała się w chwilach wzburzenia. Rugała Otege za to, że podczas lekcji zabiera mnie w niebezpieczne zakątki miasta albo może za to, że obcięła mi włosy do brody. Kochałam ją nawet w takich chwilach, ponieważ wiedziałam, że się o mnie troszczy, w przeciwieństwie do ojca, który nigdy nawet na mnie nie spojrzał.

Powiedziałam:

– Atakowanie Vasa za to, co spotkało Eijeha, może mieć tylko taki skutek, że ty zostaniesz ranny, a ja będę wściekła. Zażyj więc trochę szakwiatu i panuj nad sobą, bo wypchnę cię ze statku prosto w przestrzeń kosmiczną.

Przez chwilę wyglądał, jakby zamierzał protestować, ale w końcu pokręcił głową, wsunął rękę do kieszeni i wyjął jeden surowy płatek z zapasów, które zawsze nosił przy sobie. Wsunął go do ust.

– Dobrze – zgodził się. – Chodźmy.

Wyciągnęłam ramię, a on je ujął. Razem ruszyliśmy przez puste korytarze statku zrobione z polerowanego metalu, rozbrzmiewające echem dalekich stóp i głosów.

Moje pokoje na statku w niczym nie przypominały skrzydła, które zajmowałam w rezydencji Noaveków – tam podłogi były ciemne i lśniące, ściany białe, pomieszczenia bezosobowe. Tutaj znajdowało się

mnóstwo przedmiotów pochodzących z innych światów. Z sufitu niczym żyrandole zwisały egzotyczne rośliny zatopione w żywicy, wokół bzycały mechaniczne, żarzące się owady. Tkaniny zmieniały barwy, w zależności od pory dnia. Były tam też upstrzony plamami piecyk i metalowa chłodziarka, dzięki czemu nie musiałam chodzić do kafeterii.

Pod ścianą, za niewielkim stolikiem, przy którym jadałam posiłki, piętrzyły się setki starych dysków, na których zapisano hologramy tańca, sportów i sztuk walki uprawianych na innych planetach. Uwielbiałam naśladować poszarpane, przypominające upadek ruchy tancerzy z Ogrzy bądź sztywne zrytualizowane tańce z Tepes. Takie zajęcia pomagały mi wytrzymać ból. Na dyskach znajdowały się też lekcje historii oraz filmy z innych planet: stare emisje wiadomości, długie suche dokumenty na temat nauki i języka, zapisy koncertów. Znałam je wszystkie prawie na pamięć.

Łóżko stało w kącie, pod wąskim oknem, osłonięte siatką maleńkich latarenek z żarówek. Nadal leżała na nim niedbale zwinięta pościel z poprzedniej wyprawy. Nie wpuszczałam nikogo do swojej kwatery, nawet sprzątaczek.

Z sufitu, pośród zakonserwowanych roślin, zwisała lina, po której można było wspiąć się do pomieszczenia na górze, służącego między innymi do treningów.

Odchrząknęłam.

– Tutaj zamieszkaś – oznajmiłam. Torując sobie drogę w ciasnej przestrzeni, podeszłam do zamkniętych drzwi i pomachałam ręką nad czujnikiem. Drzwi rozsunęły się i ukazał się kolejny pokój, również wyposażony w pojedyncze wąskie okno wychodzące na stronę zewnętrzną. – To była nieprzyzwoicie wielka szafa. Te pokoje wcześniej służyły mojej matce za prywatny apartament. – Paplałam bez sensu. Już nie potrafiłam z nim rozmawiać, po tym, jak podał mi środek usypiający i wykorzystał moją naiwność, po tym, jak stracił to, o co walczył, a ja nie zrobiłam nic, by temu zapobiec. Mój stały wzorzec zachowań: stać z boku, podczas gdy Ryzek sieje zniszczenie.

Akos zatrzymał się przy drzwiach, by popatrzeć na wiszącą na ścianie zbroję. W żaden sposób nie przypominała zbroi używanych w Shotet, ciężkich i pokrytych ozdobami, ale niektóre jej fragmenty były

piękne, miejscami zrobione z połyskliwego pomarańczowego metalu, miejscami pokryte wytrzymałą czarną tkaniną.

Powoli wszedł do pokoju. Wnętrze bardzo przypominało to, które zajmował w rezydencji Noaveków: pod jedną ścianą leżały wszystkie zapasy i narzędzia potrzebne do przyrządzania mikstur i trucizn, uporządkowane tak, jak lubił. Tydzień przed jego zdradzieckim czynem wysłałam na statek zdjęcie, by wszystko dokładnie skopiowano. Stało tam też łóżko z ciemnoszarą pościelą – większość tkanin z Shotet była w kolorze niebieskim, więc znalezienie jej nie było łatwe. Żarki w latarenekach nad łóżkiem posypano pyłkiem zazdrośnic, więc świeciły na żółto. Na niskim regale przy łóżku stały książki o elmetahak i kulturze Shotet, a na suficie umieszczono ogromną hologramową mapę naszej lokalizacji – w tym momencie pokazywała Voę, bo nadal się nad nią unosiliśmy, ale wkrótce miała pokazywać naszą trasę poprzez galaktykę.

– Zdaję sobie sprawę, że nasze pokoje leżą bardzo blisko – powiedziałam – ale przestrzeń na statku jest ograniczona. Staralam się urządzić to miejsce jak najwygodniej dla nas obojga.

– Ty je urządziłaś? – zapytał, odwracając się w moją stronę. Nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy. Kiwnęłam głową.

– Niestety, musimy dzielić łazienkę. – Wciąż paplałam. – Ale to tylko na pewien czas.

– Cyro – przerwał mi. – Tu nie ma nic niebieskiego. Nawet ubrania są w innych kolorach. A pojemniki z lodokwiatami podpisano w języku thuvhe.

– Twój ludzie uważają niebieski za kolor przeklęty. I nie potrafisz czytać w shotet – odparłam cicho. Cienie nurtu zaczęły poruszać się szybciej, rozlewając się plamami na mojej skórze, w tym na policzkach. W głowie pulsowało tak mocno, że musiałam zamrugać powiekami, by przegnać łzy. – Niestety, podręczniki o elmetahak są w shotet, ale obok leży przyrząd do tłumaczenia. Musisz tylko umieścić go nad stroną i...

– Ale po tym, jak wobec ciebie postąpiłem...

– Wysłałam instrukcje wcześniej.

Akos przysiadł na brzegu łóżka.

– Dziękuję. – Odetchnął. – Przepraszam za... wszystko. Chciałem

go tylko uwolnić. O niczym innym nie mogłem myśleć.

Jego brwi złączyły się, co sprawiło, że łatwo było wziąć jego smutek za gniew. Na brodzie widniało zacięcie po goleniu.

Wyszeptał:

– Miałem tylko jego.

– Wiem – odparłam, ale tak naprawdę nie wiedziałam.

Widziałam, jak Ryzek robi rzeczy, od których przewracało mi się w żołądku. Ale w moim przypadku wszystko wyglądało inaczej niż w przypadku Akosa. Ja przynajmniej wiedziałam, że też jestem zdolna do takich okrucieństw. On nie miał pojęcia, czym stał się Eijeh.

– Jak ty to robisz? – zapytał. – Jak wytrzymujesz, kiedy wszystko jest takie straszne?

Straszne. Czy takie było życie? Nigdy nie patrzyłam na to wszystko w ten sposób. Ból miał tę właściwość, że rozbijał czas. Zawsze żyłam tylko następną minutą, godziną. W moim umyśle brakowało miejsca, by poskładać to wszystko razem, podsumować. Ale co do wytrzymywania, znałam odpowiednie słowa.

– Trzeba znaleźć powód, dla którego się wytrzymuje – odparłam. – Nie musi być dobry ani szlachetny. Po prostu powód.

Swój znałam: w środku mnie był głód, był tam od zawsze. Głód silniejszy niż ból, silniejszy od całej tej grozy. Dawał o sobie znać, nawet kiedy cała reszta we mnie dała już za wygraną. Ten głód nie był nadzieją, nie rósł – pełzał, drapał i ciągnął, nie pozwalając mi się zatrzymać.

A kiedy wreszcie go nazwałam, odkryłam, że jest to coś bardzo prostego: chęć życia.

To była ostatnia noc Święta Wyprawy, ostatnie pojazdy transportowe wylądowały na rampie i wszyscy razem świętowaliśmy na pokładzie statku. Oczekiwano, że ludzie, których ze sobą zabraliśmy, będą teraz pełni energii, a ich zaufanie i determinacja jeszcze wzrosną, wzmocnione wydarzeniami ostatniego tygodnia. Odnosiłam wrażenie, że tak właśnie jest. Tłum, który poniósł mnie i Akosa w stronę strefy załadunkowej, był głośny i radosny. Uważałam, by przypadkiem nie dotknąć kogoś nieosłoniętą skórą, nie miałam ochoty zwracać na siebie uwagi, sprawiając komuś ból.

Podeszłam do podwyższenia, na którym stał Ryzek, oparty o balustradę, z Eijehem po swojej prawej stronie. A gdzie się podział Vas?

Miałam na sobie shotecką zbroję, idealnie wypolerowaną, a pod nią długą czarną suknię bez rękawów. Przy każdym kroku materiał muskał czubki wysokich butów.

Ryzek wystawił na pokaz swoje znaki i teraz napinał mięśnie, by zaprezentować je jak najlepiej. Pomyślałam, że pewnie któregoś dnia rozpocznie drugi rząd, jak ojciec. Na mój widok uśmiechnął się szeroko, a mnie przeszły ciarki.

Zajęłam miejsce po jego lewej stronie. Przy takich okazjach miałam za zadanie prezentować swój dar nurtu, by przypomnieć wszystkim zgromadzonym, że mimo czaru, który roztacza Ryzek, nie ma z naszą rodziną żartów. Próbowałam pogodzić się z bólem, przyjmując go jak zimny wiatr, smagający moje ciało, kiedy zapomnę włożyć odpowiedni płaszcz, ale nie mogłam się skupić. Tłum machał i kołysał się. Wiedziałam, że nie mogę się skrzywić, nie mogę, nie mogę...

Kiedy dwa ostatnie pojazdy transportowe znalazły się w otwartym włazie, odetchnęłam z ulgą. W momencie, gdy otworzyły się drzwi statku i do środka weszła ostatnia grupa podróżnych, wszyscy zaczęli wiwatować. Ryzek uniósł ręce, by uciszyć tłum. Nadszedł czas na mowę powitalną.

Jednakże ledwo otworzył usta, z grupy, która właśnie wysiadła z pojazdu transportowego, wystąpiła młoda kobieta. Miała długi jasny warkocz i nosiła szaty w podkreślającym kolor oczu odcieniu subtelnej szarości, która była popularna wśród możnych mieszkańców Shotet. Pospólstwo preferowało jaskrawe barwy.

To była Lety Zetsyvis, córka Uzula. Trzymała ostrze nurtu wysoko w powietrzu, a ciemne pnącza owijały się wokół jej dłoni jak wstążki.

– Pierwsze dziecko z rodziny Noavek – zawołała – upadnie za sprawą rodziny Benesit!

To był los mojego brata. Lety właśnie ogłosiła go publicznie.

– Oto twój los, Ryzeku Noavek! – krzyknęła. – Poniesiesz klęskę, upadniesz!

Vas, który tymczasem przepchał się przez tłum, chwycił jej

nadgarstki z wprawą wytrenowanego wojownika i pochylił się, odginając jej dłoń do tyłu, aż zmusił ją do klęku. Ostrze z brzękiem upadło na podłogę.

– Lety Zetsyvis – powiedział Ryzek melodyjnie.

Wokół panowała taka cisza, że nawet nie musiał podnosić głosu. Z uśmiechem patrzył, jak Lety bezskutecznie usiłuje wyrwać się Vasowi, jak jej palce bieleją pod naciskiem jego ręki.

– Ten los... to kłamstwo, powtarzane przez ludzi, którzy pragną nas zniszczyć – zaczął.

Eijeh lekko przechylił głowę, jakby głos Ryzeka był pieśnią znaną mu na pamięć. Może dlatego Ryzek nie miał zaskoczonyj miny, widząc Lety na kolanach – może Eijeh to wszystko przewidział. Dzięki wyroczni Ryzek już wiedział, co mówić, jak zareagować.

– To ludzie, którzy boją się naszej siły i próbują nas osłabić. Zgromadzenie. Thuvhe. Kto wmówił ci takie kłamstwa, Lety? Zastanawiam się, dlaczego przyjęłaś punkt widzenia tych, którzy przyszli do twego domu i zamordowali twego ojca.

A więc to tak Ryzek fałszował fakty. Lety nie zdradziła jego losu, nie była bojowniczką o prawdę, tylko powtarzała te same kłamstwa, co nasi wrogowie z Thuvhe. Była zdrajczynią, może nawet sama wpuściła morderców do domu rodzinnego, by zabili jej ojca. Idiotyczne, ale ludzie często wierzą w to, co im się mówi. W ten sposób łatwiej przetrwać.

– Mój ojciec nie został zamordowany – odparła cicho Lety. – Sam odebrał sobie życie, ponieważ torturowałeś go za pomocą tego czegoś, co nazywasz siostrą. Ponieważ o mało nie oszalał z bólu.

Ryzek uśmiechnął się, tak jakby to ona postradała zmysły i wygadywała nonsensy. Powiódł wzrokiem po zgromadzonych, którzy z zapartym tchem czekali na jego odpowiedź.

– Oto – powiedział, wskazując na Lety – oto trucizna, którą próbują zniszczyć nas nasi wrogowie. Od środka, nie od zewnątrz. Opowiadają kłamstwa, by zwrócić jednych z nas przeciw drugim, przeciw własnym rodzinom i przyjaciółom. Dlatego musimy chronić się nie tylko przed potencjalnym zagrożeniem życia, lecz również przed ich słowami. Już kiedyś nasz lud był słaby. Nie możemy dopuścić do tego ponownie.



Wyraźnie poczułam drżenie, które przeszło przez tłum na te słowa. Właśnie mijał tydzień, podczas którego wspominaliśmy, jak nasi przodkowie musieli uciekać przed prześladowaniami, jak odbierano nam dzieci, jak wykorzeniano nasze wierzenia na temat żeru i odnowy. Jak potem nauczyliśmy się walczyć i bronić. I chociaż wiedziałam, że Ryzek wcale nie chce bronić Shotet, a raczej wyłącznie siebie i dynastię Noaveków, to i tak o mało nie dałam się porwać emocjom w jego głosie oraz sile, którą ofiarował nam niczym wyciągniętą dłoń.

– A nie ma skuteczniejszego ciosu jak uderzyć we mnie, przywódcę naszego wielkiego ludu. – Pokręcił głową. – Nie możemy pozwolić, by ta trucizna rozlała się po całym społeczeństwie. Trzeba ją wysączyć, kropla po kropli, aż przestanie stwarzać zagrożenie.

Z oczu Lety wyzierała nienawiść.

– Ponieważ jesteś córką jednej z naszych ukochanych rodzin i ponieważ najwyraźniej kieruje tobą ból po stracie ojca, dam ci szansę. Nie skażę cię na śmierć, będziesz mogła walczyć o życie na arenie. A jako że część twych oskarżeń spada na moją siostrę, to ona będzie twoją przeciwniczką. Mam nadzieję, że łaskawość tego gestu jest dla ciebie oczywista.

Byłam zbyt zaskoczona, by zaprotestować – i zbyt świadoma konsekwencji. Gniewu Ryzeka. Kompromitacji na oczach tylu ludzi. Straciłabym reputację tej, której należy się bać, a to było najważniejsze. No i jeszcze prawda na temat matki, wiecznie kładąca się cieniem na mnie i na Ryzeku.

Pamiętałam, jak ludzie skandowali jej imię, kiedy kroczyliśmy ulicami Voi podczas mojej pierwszej Procesji. Poddani ją kochali. Kochali to, w jaki sposób potrafiła utrzymywać w równowadze siłę i miłosierdzie. Gdyby się dowiedzieli, że jestem odpowiedzialna za jej odejście, chyba rozszarpaliby mnie na strzępy.

Kiedy spojrzałam na Lety, po mojej skórze rozbiegły się ciemne żyły. Zazgrzytała zębami i odwzajemniła moje spojrzenie. Widziałam, że chętnie by mnie zabiła.

Vas podciągnął ją do pozycji stojącej, a cały tłum zaryczał:

– Zdrajczyń! Kłamczucha!

Nie czułam nic, nawet strachu. Nawet dłoni Akosa, ściskającej

moje ramię, by ukoić ból.

– Wszystko w porządku? – zapytał Akos.

Pokręciłam głową.

Staliśmy w poczekalni obok areny. Panował półmrok, nie licząc blasku miasta widocznego w iluminatorze, który jeszcze przez kilka godzin miał odbijać światło słońca. Nad drzwiami wisiały portrety członków rodziny Noaveków: moja babka, Lasma Noavek – która zamordowała wszystkich swoich braci i siostry, by uzyskać pewność, że to jej linia i jej potomkowie zostaną wybrańcami losu, mój ojciec, Lazmet Noavek – który siłą wyrwał całe dobro z mego brata z powodu jego słabego losu, i wreszcie Ryzek Noavek – blady i młody, produkt dwóch przesiąkniętych złem pokoleń. Moja ciemniejsza skóra i mocniejsza budowa ciała świadczyły o tym, że odziedziczyłam cechy raczej po rodzinie ze strony matki, gałęzi rodu Radix, daleko spokrewnionej z pierwszym człowiekiem, którego zabił Akos. Wszystkie postaci na portretach uśmiechały się w ten sam łagodny sposób, miały podobne eleganckie ubrania i tkwiły w takich samych ramach z ciemnego drewna.

Na zewnątrz czekali Ryzek i wszyscy żołnierze, którzy tylko zdołali się tam zmieścić. Słyszałam przez ścianę ich rozmowy. Podczas wyprawy zawody były niedozwolone, ale na statku i tak urządzono arenę, ćwiczone na niej i czasem organizowano przedstawienia. Mój brat zapowiedział, że zawody odbędą się zaraz po mowie powitalnej, jeszcze przed ucztą. W końcu nic tak nie zaostrzało apetytu shoteckim żołnierzom jak porządna walka.

– Czy ta kobieta mówiła prawdę? – spytał Akos. – Zabiłaś jej ojca?

– Tak – odparłam, uznawszy, że lepiej nie kłamać. Ale mówiąc prawdę, wcale nie poczułam się lepiej.

– Co Ryzek ma na ciebie? – spytał Akos. – Jakim sposobem zmusza cię do robienia rzeczy, do których z trudem się przyznajesz?

Drzwi się otworzyły. Zadrzałam, myśląc, że to już. Ale Ryzek zamknął drzwi i stanął pod własnym portretem – twarz na nim właściwie już nie przypominała obecnego Ryzeka, była pokryta pryszczami i zbyt okrągła.

– Czego chcesz? – zapytałam. – Oczywiście poza egzekucją,

o której zdecydowałeś bez konsultacji ze mną.

– A jakie korzyści miałbym z takiej konsultacji? Najpierw musiałbym wysłuchać twoich irytujących protestów, a potem, kiedy już bym ci przypomniał, jaka byłaś głupia, obdarzając zaufaniem tego tutaj – ruchem głowy wskazał Akosa – i że przez twoją głupotę o mało nie straciłem wyroczni, i gdybym zaproponował ci te zawody w ramach zadośćuczynienia, w końcu byś się zgodziła.

Na chwilę zamknęłam oczy.

– Przyszedłem powiedzieć, że masz zostawić nóż – oznajmił Ryzek.

– Zostawić nóż? – wtrącił Akos. – Przecież może zostać ranna, zanim w ogóle zdąży dotknąć tej kobiety! Chcesz, żeby umarła?

Nie, odpowiedziałam w myślach. Chciał, żebym zabiła. Lecz nie nożem.

– Ona wie, czego chcę – odparł Ryzek. – I wie, co będzie, jeśli tego nie dostanę. Powodzenia, siostrzyczko. – I wyszedł. Miał rację: wiedziałam, zawsze wiedziałam. Chciał, by wszyscy widzieli, że cienie wędrujące pod moją skórą potrafią nie tylko zadawać ból. Że potrafią także zabijać. Od teraz miałam być nie tylko Biczem Ryzeka. Nadszedł czas awansu na Kata Ryzeka.

– Pomóż mi zdjąć zbroję – mruknęłam.

– Co? O czym ty mówisz?

– Nie dociekaj – warknęłam. – Pomóż mi zdjąć zbroję.

– Nie chcesz zbroi? Zamierzasz dać się zabić?

Zaczęłam rozwiązywać pierwszy pasek. Palce miałam zgrubiałe, ale paski, zaciągnięte bardzo mocno, i tak raniły moje opuszki. Przesuwałam je stopniowo, w przód i w tył, gorączkowymi niezbornymi ruchami. Akos położył dłoń na mojej dłoni.

– Nie – powiedziałam. – Niepotrzebna mi zbroja. Niepotrzebny mi nóż.

Wokół moich knykcii wiły się cienie, gęste i ciemne jak farba.

Bardzo się starałam, by nikt nie odkrył, co się stało z moją matką – co jej zrobiłam. Wolałam jednak, żeby Akos wiedział, zanim zacznie żałować, że mnie poznał. Jeszcze bardziej niż dotychczas. Trudno, wolałam już, by nigdy więcej nie spojrział na mnie ze współczuciem, niż

żeby uwierzył w kłamstwo.

– Jak sądzisz, jak zmarła moja matka? – zaśmiałam się. – Dotknęłam jej, wcisnęłam w nią całe światło i cały ból, tylko dlatego, że się wściekłam, bo chciała zabrać mnie do kolejnego lekarza na kolejną nieskuteczną terapię. Chciała mi tylko pomóc, a ja dostałam napadu złości. I to ją zabiło. – Ściągnęłam ochraniacz na tyle, by ukazała się blizna wycięta tuż pod moim łokciem, na zewnętrznej stronie ramienia. Mój pierwszy znak. – Wyciął go mój ojciec. Znienawidził mnie, ale zarazem... był ze mnie dumny.

Zakrzusiałam się przy tym słowie.

– Chcesz wiedzieć, co ma na mnie Ryzek? – Znów się zaśmiałam, tym razem przez łzy. Rozplątałam ostatni pasek, ściągnęłam zbroję przez głowę i obiema rękami cisnęłam nią o ścianę. W niewielkim pomieszczeniu rozległ się ogłuszający huk. Zbroja spadła na podłogę, nieuszkodzona. Nawet się nie odkształciła.

– Moja matka. Ukochana i szanowana. Utracił ją. On i cały lud! – krzyknęłam. Głośno, naprawdę głośno. – Przeze mnie. To ja im ją odebrałam. Odebrałam ją samej sobie.

Byłoby łatwiej, gdyby popatrzył na mnie z nienawiścią bądź odrazą. Ale nie. Wyciągnął rękę, jego dłonie niosły ulgę, a ja wyszłam z poczekalni, wyszłam na arenę. Nie chciałam ulgi. Zasłużyłam na ten ból.

Tłum ryczał. Czarna posadzka areny lśniła jak szkło, zapewne wypolerowano ją specjalnie na tę okazję. Widziałam w niej odbicie swoich wysokich butów z rozpiętymi sprzączkami. Dookoła wznosiły się rzędy metalowych ławek, zapelnionych publicznością. Ich twarze kryły się w cieniu. Lety już czekała, ubrana w zbroję shotecką i ciężkie buty z metalowymi noskami. Potrząsała gwałtownie rękami.

Oceńłam ją według zasad elmetahak: była o głowę niższa ode mnie, ale umięśniona. Jasne włosy związała w ciasny węzeł na karku. Uczyła się w szkole zivatahak, więc zapewne okaże się szybka i zwinna – lecz skazana była na przegraną.

– Nawet nie włożyłaś zbroi? – powiedziała szyderczym tonem. – To będzie łatwizna.

Owszem.

Wyciągnęła ostrze nurtu oplatające jej dłoń ciemną wstęgą – w kolorze moich cieni, lecz w innej formie. Wstęga otaczała nadgarstek, ale nie dotykała skóry. A mój nurt płonął w środku. Lety zastygła w bezruchu, czekając, aż wyciągnę broń.

– No dalej – powiedziałam i skinęłam przyzwalająco głową.

Tłum znów zaryczał. Ale ja już nie słyszałam. Skupiłam się na Lety, która powoli zbliżała się do mnie, próbując odgadnąć moją strategię. Lecz ja po prostu stałam w miejscu, z luźno opuszczonymi rękami, czekając, aż dar nurtu urośnie we mnie w siłę wraz ze strachem.

W końcu Lety zdecydowała się na pierwszy ruch. Dostrzegłam go zawczasu w jej nogach i ramionach i kiedy zaatakowała, zrobiłam unik, zataczając łuk niczym tancerka z Ogry. Ruch ją zaskoczył, poleciała bezwładnie do przodu, zatrzymując się na ścianie areny.

Cienie nurtu były teraz tak gęste, tak bolesne, że ledwo ją widziałam. Ból szalał w moim ciele, a ja go przyjęłam. Widziałam w pamięci wykrzywioną twarz Uzula Zetsyvisa między swoimi zabarwionymi nurtem dłońmi, widziałam go w jego córce, która w skupieniu ściągnęła brwi.

Znów rzuciła się do ataku, tym razem mierząc ostrzem w moje żebra, ja zaś odepchnęłam ją przedramieniem, chwyciłam za nadgarstek, przekręciłam mocno, zmuszając, by pochyliła głowę, i uderzyłam kolaniem w twarz. Krew buchnęła z rozciętej wargi. Lety krzyknęła. Ale nie z powodu rany, tylko z bólu wywołanego moim dotykiem.

Ostrze spadło na ziemię. Trzymając dłoń na jej ramieniu, drugą ręką zmusiłam ją, by uklękła, i stanęłam za jej plecami. Spojrzeniem odszukałam w tłumie Ryzeka. Siedział na podwyższeniu, ze skrzyżowanymi nogami, jakby oglądał wykład czy przemowę, a nie morderstwo.

Odczekałam, aż on również na mnie spojrzy, i wtedy pchnęłam. Pchnęłam cały cień, cały ból w ciało Lety Zetsyvis, nie zatrzymałam dla siebie ani odrobiny. To było łatwe, niezmiernie łatwe, i poszło tak szybko. Zamknęłam oczy, Lety krzyczała, wstrząsana dreszczami, a potem już jej nie było.

Na moment wszystko przysłoniła ciemność. Puściłam jej bezwładne ciało i odwróciłam się do wyjścia. Panowała cisza. Weszłam

do poczekalni, całkowicie wolna od cieni. Ale wiedziałam, że tylko na chwilę. Wiedziałam, że wkrótce powrócę.

Akos chwycił mnie i przyciągnął do siebie, przycisnął do piersi w geście przypominającym przytulenie i wyszeptał w języku moich wrogów:

– Już po wszystkim. Po wszystkim.

Tego wieczoru zabarykadowałam drzwi do swojej kwatery, by nikt nie mógł wejść do środka. Akos wysterylizował nóż nad palnikiem, a potem schłodził go pod strumieniem wody. Położyłam rękę na stole i rozwiązałam paski ochraniacza na przedramieniu, jeden za drugim, zaczynając od nadgarstka i kończąc na łokciu. Ochraniacz był sztywny i twardy, i mimo podszewki skóra pod nim wilgotniała od potu.

Akos usiadł naprzeciwko z oczyszczonym nożem w dłoni i przyglądał się, jak podważam brzegi ochraniacza, odkrywając gołą skórę. Nie zapytałam, o czym myśli. Zapewne wyobrażał sobie, jak większość osób, że ochraniacz zakrywa rzędy znaków, że postanowiłam je zasłaniać, bo w ten sposób, tworząc wokół nich tajemnicę, wydaję się groźniejsza. Nigdy nie próbowałam dementować tych plotek. Prawda była znacznie gorsza i nie chciałam by ktokolwiek ją poznał.

Owszem, na moim ramieniu widniały znaki, od łokcia do nadgarstka, rząd za rzędem. Ciemne kreski w idealnie równych odstępach, wszystkie tej samej długości. A przez każdą z nich przechodziła druga niewielka ukośna kreska, negując znak zgodnie z przepisami shoteckiego prawa.

Akos, marszcząc brwi, wziął moje ramię w obie ręce, a właściwie w same opuszki palców. Obrócił je i przebiegł palcami wzdłuż jednego z rzędów. Dotarłszy na sam dół, przytknął palec wskazujący do jednej z ukośnych kresek, zbliżając swoje ramię dla porównania. Zadrżałam na widok naszych skór tak blisko siebie, mojej śniadej i jego jasnej.

– To nie są zabójstwa – powiedział cicho.

– Zaznaczyłam tylko śmierć matki – odparłam równie cicho. – Nie myśl sobie, odpowiadam za więcej przypadków śmierci, ale po niej przestałam je zaznaczać. Aż do Uzula Zetsyvisa.

– A zamiast nich zaznaczasz... co? – Ścisnął moje ramię. – Co one wszystkie oznaczają?

– Śmierć jest aktem miłosierdzia w porównaniu z cierpieniem, które potrafię zadawać. Prowadzę rejestr bólu, nie śmierci. Każda kreska jest dla kogoś, komu sprawiłam ból z rozkazu Ryzeka. – Początkowo liczyłam znaki, zawsze świadoma ich liczby. Nie wiedziałam wówczas, jak długo Ryzek zamierza posługiwać się mną podczas przesłuchiwań. Ale po pewnym czasie przestałam liczyć. Świadomość tylko pogarszała sprawę.

– Ile miałaś pór, kiedy po raz pierwszy kazał ci to zrobić?

Nie mogłam zrozumieć tonu jego głosu, tej łagodności. Właśnie pokazałam mu dowód na to, że jestem potworem, a jego oczy wciąż patrzyły na mnie raczej współczująco niż osądzająco. Chyba nie rozumiał, o czym mówię, skoro tak na mnie patrzył. Albo sądził, że kłamię, przesadzam.

– Wystarczająco, by rozumieć, że źle postępuję – warknęłam.

– Cyro. – Znów łagodnie. – Ile?

Odchyliłam się na oparcie.

– Dziesięć – odparłam. – Rozkaz wydał ojciec, nie Ryzek.

Jego głowa drgnęła. Dotknął stołu czubkiem ostrza i zaczął szybko obracać rękojeścią, zostawiając ślady w drewnie.

Wreszcie powiedział:

– Kiedy miałem dziesięć pór, jeszcze nie znałem swego losu. Chciałem zostać żołnierzem Hessy, jak ci, którzy patrolowali pola lodokwiatów należące do mojego ojca, farmera. – Akos wsparł podbródek na dłoni i spojrzał na mnie. – Ale pewnego dnia, kiedy pracował, na pole wtargnęli złodzieje, chcieli skraść część plonów, a tata próbował ich powstrzymać, nie czekając na żołnierzy. Wrócił do domu z wielką raną na policzku. Mama zaczęła na niego krzyczeć. – Akos zaśmiał się. – Trochę bez sensu, nie? Krzyczeć na kogoś, że został ranny?

– Bała się o niego – odparłam.

– Tak. Ja chyba też, bo tamtej nocy postanowiłem, że jednak nie zostanę żołnierzem, skoro moja praca miałyby polegać na zaliczaniu takich ran.

Mimo woli też się roześmiałam.

– Wiem – powiedział, a jeden kącik jego ust lekko się unióśł. –

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak będzie wyglądała moja przyszłość.

Postukał w blat, a ja po raz pierwszy zauważyłam jego nierówne postrzępione paznokcie, drobne ranki przy skórkach. Postanowiłam, że trzeba go oduczyć tego brzydkiego zwyczaju.

– Chodzi mi o to – podjął – że kiedy miałem dziesięć pór, nawet sam widok bólu przerażał mnie tak mocno, że nie mogłem go znieść. A ty w tym wieku musiałaś zadawać ból, raz po raz, na rozkaz kogoś znacznie potężniejszego od ciebie. Kogoś, kto powinien się tobą opiekować.

Słowa Akosa wywołały we mnie ból. Ale tylko na chwilę.

– Nie próbuj uwolnić mnie od winy. Dobrze? – Chciałam, by zabrzmiało to ostro, jak upomnienie, a wyszło jak błagalna prośba. Odchrząknęłam. – To nie poprawia sytuacji.

– Dobrze.

– Nauczono cię tego rytuału? – spytałam.

Kiwnął głową.

– Wytnij znak – wycedziłam przez zaciśnięte gardło.

Wyciągnęłam rękę, wskazując na fragment gołej skóry w tylnej części nadgarstka, tuż pod gruzłowatą kością. Przytknął tam koniec noża, poprawił, by zachować taką samą odległość, co między pozostałymi znakami, i przycisnął. Niezbyt głęboko, ale na tyle, by ekstrakt z piórzycy mógł wezreć się w skórę.

Łzy napłynęły mi do oczu, całkiem mimowolnie, z rany pociekły krople krwi i zaczęły kapać, podczas gdy gorączkowo szukałam w szufladzie odpowiedniej buteleczki. Akos wyjął korek, a ja zanurzyłam w ciemnym płynie specjalny pędzelek. Wypowiadając imię Lety Zetsyvis, pomalowałam linię, którą wyciął Akos.

Piekło. Za każdym razem wydawało mi się, że w końcu przywyknę, ale się myliłam. Miało piec, miało przypominać, że to nie jest błahostka, odebrać życie, zaznaczyć stratę.

– Nie wypowiadasz pozostałych słów? – zapytał Akos. Miał na myśli modlitwę, zakończenie rytuału. Potrząsnęłam głową. – Ja też nie.

Kiedy pieczenie ustało, Akos owinął moją rękę bandażem, raz, drugi, trzeci, i zabezpieczył kawałkiem taśmy. Żadne z nas nie wytarło krwi ze stołu. Wiedziałam, że pewnie tam zaschnie, a ja będę musiała



zdrapać ją później nożem, ale uznałam, że nic nie szkodzi.

Wspięłam się po linie do pomieszczenia na górze, obok roślin zatopionych w żywicy i wetkniętych między nie mechanicznych żuków, które właśnie się ładowały. Akos ruszył za mną.

Statek cały się trząsał, silniki szykowały się do wyruszenia w kosmos. Sufit górnego pomieszczenia pokrywały ekrany pokazujące, co akurat znajduje się nad nami – w tym momencie było to niebo nad Shotet. Przestrzeń ze wszystkich stron wypełniały rury i przewody wentylacyjne – tak naprawdę mogła się między nimi przemieszczać tylko jedna osoba, lecz pod ścianą zamontowano odchylane siedzenia awaryjne. Rozłożyłam je i oboje usiedliśmy. Pomogłam mu zapiąć pasy biegnące przez pierś i nogi, które unieruchamiały pasażera podczas startu, i wręczyłam mu papierową torebkę, w razie gdyby go zemdlilo. Potem sama się zapięłam. Wiedziałam, że wszyscy pasażerowie rozsiani po statku robią w tej chwili to samo, zbierają się w korytarzach, rozkładają siedzenia i zapinają pasy.

Razem czekaliśmy na start, słuchając głosu odliczającego przez interkom. Kiedy doszedł do dziesięciu, Akos chwycił moją rękę, a ja ścisnęłam jego dłoń, mocno, i ścisnęłam aż do chwili, kiedy głos powiedział „jeden”.

Chmury mignęły po obu stronach, siła wcisnęła nas w fotele. Akos jęczał, ale ja obserwowałam, jak obłoki uciekają w dół, a niebieska atmosfera przechodzi w czarną przestrzeń kosmiczną. Otoczyło nas gwiaździste niebo.

– Widzisz? – powiedziałam, splatając palce z jego palcami. – Pięknie.

TEJ NOCY, KIEDY JUŻ LEŻAŁAM W ŁÓŻKU, z twarzą wciśniętą w poduszki, ktoś zapukał do drzwi. Zwlekłam się z trudem i otworzyłam. W korytarzu stało dwoje żołnierzy, kobieta i mężczyzna, oboje szczupli. Czasem wystarczyło jedno spojrzenie, by odgadnąć, której szkoły walki uczyła się dana osoba. To byli adepci zivatahak, szybcy i śmiertelnie niebezpieczni. Bali się mnie. Nic dziwnego.

Akos wyszedł ze swego pokoju i stanął obok mnie. Żołnierze wymienili znaczące spojrzenia, a ja przypomniałam sobie, co powiedziała Otega na temat zamiłowania ludzi w Shotet do plotek. To było nieuniknione: Akos i ja mieszkaliśmy tak blisko siebie, nic dziwnego, że ludzie zaczęli gadać, zastanawiać się, kim dla siebie jesteśmy i co robimy za zamkniętymi drzwiami. Zupełnie o to nie dbałam. Lepiej, żeby obgadywali mnie z takiego powodu niż z powodu morderstw i tortur.

– Przepraszamy, że przeszkodziliśmy. Władca chce natychmiast z tobą rozmawiać – oświadczyła kobieta. – W cztery oczy.

Gabinet Ryzeka na statku wyglądał dokładnie jak jego gabinet w Voi, tyle że w miniaturze. Ciemne drewno pokrywające podłogę i ściany, wypolerowane do perfekcji, pochodziło z Shotet – wokół równika rosły na naszej planecie gęste lasy oddzielające nas, podobnie jak piórzyca, od ludu Thuvhe, który wiele wieków temu osiadł na północy. Fenzu, które trzymaliśmy uwięzione w kulistych żyrandolach, na wolności buczały pośród koron drzew. Ponieważ większość starszych domów w Shotet oświetlano ich blaskiem, rodzina Zetsyvisów – a teraz tylko Yma – zapewniała dostawy hodowlanych fenzu wszystkim, którzy byli gotowi zapłacić wysoką cenę. Również Ryzekowi, który upierał się, że blask fenzu jest znacznie przyjemniejszy od światła żarków, chociaż ja nie dostrzegałam wielkiej różnicy.

Kiedy weszłam, stał przed wielkim ekranem, który zwykle był schowany za przesuwającym panelem. Na ekranie widniał akapit jakiegoś tekstu – dopiero po chwili stwierdziłam, że jest to transkrypcja oświadczenia na temat losów, wygłoszonego przez Przewodniczącego Zgromadzenia. Dziewięć linii dziewięciu rodzin, rozsiane po galaktyce,

ścieżki wszystkich członków z góry postanowione, niezmiennie. Ryzek zwykle unikał wszelkich aluzji do swej „słabości”, jak określał to nasz ojciec, losu, który prześladował go od chwili narodzin: zapowiedzi klęski z ręki rodziny Benesit. W Shotet panował zakaz mówienia o tym i czytania pod karą więzienia, może nawet egzekucji.

Skoro czytał losy, to znaczy, że był w złym humorze, co przeważnie znaczyło z kolei, że powinnam uważać. Ale tym razem zastanawiałam się, czemu właściwie miałabym się przejmować.

Ryzek skrzyżował ramiona, przekrzywił głowę i przemówił:

– Sama nie wiesz, jakie masz szczęście, że twój los jest taki niejednoznaczny. „Drugie dziecko w rodzinie Noavek przekroczy Dział”. W jakim niby celu miałabyś przekroczyć pas piórzycy oddzielający nas od Thuvhe? – Uniósł ramię. – Nikt nie wie, nikogo to nie obchodzi. Szczęściara.

Zaśmiałam się.

– Czyżby?

– Dlatego tak ważne jest, byś mi pomagała – mówił dalej Ryzek, jakby mnie w ogóle nie słyszał. – Możesz sobie na to pozwolić. Nie musisz tak mocno walczyć z oczekiwaniami świata.

Ryzek zawsze porównywał swoje życie z moim, od najmłodszych lat. Zdawał się w ogóle nie zauważać, że cierpię nieustanny ból, że nie mogę się do nikogo zbliżyć, że przeżyłam wielką stratę tak samo jak on. Widział tylko to, że nasz ojciec raczej mnie ignorował, niż poddawał męczarniom, tak jak jego, i że poddani nie wątpili w moją siłę w związku z zapowiedzianym dla mnie losem. W jego oczach byłam szczęściarą i nie miało sensu z tym dyskutować.

– Co się stało? – zapytałam.

– Prócz tego, że Lety Zetsyvis uświadomiła wszystkim, jaki żalony los mnie czeka?

Na dźwięk jej imienia mimowolnie się wzdrygnęłam, przypomniałam sobie, jaką miała ciepłą skórę w chwili śmierci. Zacisnęłam dłonie, by powstrzymać ich drzenie. Środek Akosa nie do końca tłumiał działanie cieni – poruszały się pod moją skórą leniwie, niosąc ze sobą ostry ból.

– Ale byłeś na to przygotowany – odparłam, wbijając wzrok w jego

podbródek. – Nikt nie odważyłby się powtórzyć tego, co powiedziała.

– Nie chodzi tylko o to. – Usłyszałam w głosie Ryzeka ślad tego, kim był w młodości, zanim nasz ojciec wbił w niego swe ostre szpony. – Prześledziłem trop z wyznania Uzula Zetsyvisa prowadzący do źródła. Gdzieś tam istnieje kolonia banitów. Może nawet niejedna. Mają wśród nas kontakty.

Poczułam dreszcz w głębi piersi. A więc pogłoski o kolonii banitów się potwierdziły. Po raz pierwszy kolonia przedstawiała w moich oczach nie zagrożenie, lecz coś w rodzaju... nadziei.

– Powinniśmy teraz częściej demonstrować naszą siłę. Nikt nie może mieć wątpliwości, że to ja sprawuję władzę i że wrócimy z tej wyprawy jeszcze potężniejsi. – Zawiesił dłoń nad moim ramieniem. – Będę teraz potrzebował twojej pomocy jeszcze bardziej niż zwykle, Cyro.

*Wiem, czego chcesz,* pomyślałam. Chciał wykorzenić wszelkie wątpliwości, wszelkie szeptki skierowane przeciw niemu, zdławić je. A ja miałam służyć mu za narzędzie. Bicz Ryzeka.

Na chwilę zamknęłam oczy, powróciły wspomnienia o Lety. Szybko odsunęłam od siebie te obrazy.

– Usiądź, proszę. – Wskazał na jedno ze starych krzeseł z połataną tapicerką, stojących opodal ekranu.

Poznałam, że kiedyś stały w gabinecie ojca. Chodnik pochodził z Shotet, zrobiono go z niedbale splecionych traw. W tym pomieszczeniu nie było przedmiotów z żeru – ojciec nie znosił tego zwyczaju, mawiał, że czyni on nas słabymi, że stopniowo trzeba go porzucić, a Ryzek najwyraźniej się z nim zgadzał. Tylko ja żywiłam upodobanie do cudzych śmieci.

Przysiadłam na skraju krzesła. Obok mojej głowy lśniły słowa określające losy wybrańców. Ryzek nie zajął drugiego krzesła, stanął z tyłu i oparł się o wysokie plecy. Lewy rękaw miał podwinięty, tak że było widać znaki.

Postukał palcem wskazującym w ekran, słowa się powiększyły.

*Oto losy rodziny Benesit:*

*Pierwsze dziecko z rodziny Benesit wyniesie swego sobowtóra do*

władzy.

*Drugie dziecko z rodziny Benesit obejmie panowanie nad Thuvhe.*

– Słyszałem pogłoski, że to drugie dziecko, płci żeńskiej – postukał w drugą linijkę, knykciami muskając słowo „panowanie” – wkrótce się ujawni i że urodziło się w Thuvhe. Nie mogę dłużej ignorować losów. Kimkolwiek jest to dziecko, losy powiadają, że zostanie władczynią Thuvhe i będzie przyczyną mojej klęski.

Wcześniej nie poskładałam tych wszystkich elementów w całość. Ryzek miał ponieść klęskę z ręki rodziny Benesit, a rodzina Benesit miała panować nad Thuvhe. Oczywiście teraz, kiedy zdobył swoją wyrocznię, Ryzek miał obsesję na ich punkcie.

– Moim zamiarem – oznajmił – jest zabić ją z pomocą naszej nowej wyroczni, zanim do tego dojdzie.

Wbiłam wzrok w los wypisany na ekranie. Przez całe życie uczono mnie, że każdy los się spełni, niezależnie od prób powstrzymania go. A Ryzek właśnie zamierzał podjąć się takiej próby: zmienić swój los, zabijając osobę, która miała go dopełnić. Eijeh miał mu powiedzieć, jak tego dokonać.

– To... to niemożliwe – wymknęło mi się.

– Niemożliwe? – Uniósł brwi. – Dlaczego? Ponieważ do tej pory nikt tego nie dokonał? – Zacisnął dłoń na oparciu krzesła. – Sądzisz, że nie mogę być pierwszym człowiekiem w galaktyce, który zmieni swój los?

– Nie to miałam na myśli – odparłam, próbując zachować panowanie nad sobą w obliczu jego gniewu. – Chciałam tylko powiedzieć, że nigdy nie słyszałam o podobnym przypadku, to wszystko.

– Wkrótce usłyszysz – warknął, wykrzywając twarz. – I w dodatku mi w tym pomożesz.

Nagle przypomniało mi się, jak Akos podziękował mi za urządzenie pokoju na statku. Jego spokojną twarz, kiedy ujął w dłonie moje poznaczone ramię. Jego śmiech, kiedy goniliśmy się w błękitnym deszczu podczas Święta Wyprawy. To były pierwsze chwile ulgi, jakich doznałam od śmierci matki. I chciałam ich więcej. A mniej... tego.

– Nie – odparłam. – Nie pomogę ci.

Jego odwieczna groźba – że jeśli go nie posłucham, opowie

wszystkim, co zrobiłam naszej ukochanej matce – już mnie nie przerażała. Tym razem popełnił błąd: przyznał, że potrzebuje mojej pomocy.

Założyłam nogę na nogę i oplótłam kolano dłońmi.

– Zanim zaczniesz mi grozić, pozwól, że coś ci powiem. Nie sądzę, byś chciał w tym momencie ryzykować, że mnie stracisz. Tak się napracowałeś, bym we wszystkich budziła przerażenie.

W końcu tym właśnie była walka z Lety: pokazem siły. *Jego* siły. Ale ta siła w rzeczywistości należała do mnie.

Ryzek od małego uczył się naśladować ojca, a ojciec doskonale potrafił ukrywać emocje. Wierzył, że każda niekontrolowana reakcja czyni go słabym, miał świadomość, że znajduje się pod ciągłą obserwacją, niezależnie od tego, gdzie akurat przebywa. Ryzek ćwiczył się w tej sztuce nieustannie, ale nadal nie zdołał osiągnąć w niej mistrzostwa. Pod moim nieruchomym spojrzeniem jego twarz drgnęła. Skrzywiła się w grymasie gniewu. I lęku.

– Nie potrzebuję cię, Cyro – powiedział cicho.

– To nieprawda – odparłam, podnosząc się. – Ale nawet gdyby to było prawdą... nie zapominaj, co by się stało, gdyby nagle przyszło mi do głowy cię dotknąć.

Pokazałam mu wnętrze dłoni. Dar nurtu przybył na moje wezwanie, przebiegł przez całe ciało i oplótł czarnymi nitkami moje palce. Ryzek nie mógł oderwać od nich oczu, najwyraźniej wbrew własnej woli.

– Będę nadal odgrywać rolę lojalnej siostry, twego przerażającego narzędzia. Nigdy więcej jednak nie sprawię nikomu bólu na twój rozkaz.

Z tymi słowami odwróciłam się i ruszyłam do drzwi. Serce waliło mi jak młotem.

– Uważaj – przestrzegł Ryzek. – Możesz pożałować tej chwili.

– Nie sądzę – odparłam. – W końcu to nie ja boję się bólu.

– Ja też nie.

– Och? – Odwróciłam się w jego stronę. – To podejdź i weź mnie za rękę.

Wyciągnęłam poznaczoną cieniami dłoń, twarz wykrzywił mi grymas bólu. Ryzek nawet nie drgnął.

– Tak myślałam – rzuciłam i wyszłam.

Kiedy wróciłam do pokoju, zastałam Akosa siedzącego na łóżku z podręcznikiem szkoły elmetahak na kolanach i przyrządem do tłumaczenia żarzącym się nad kartką. Uniósł głowę, marszcząc brwi. Blizna biegnąca wzdłuż szczęki, idealnie prosta, była wciąż ciemna. Z czasem na pewno zblednie, stopi się z resztą skóry.

Poszłam do łazienki i ochlapałam twarz wodą.

– Co on ci zrobił? – spytał Akos, opierając się o ścianę.

Jeszcze raz ochlapałam twarz i pochyliłam się nad umywalką. Woda spływała po moich policzkach i powiekach, kapiała do umywalki. Popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze. Miałam dziki wzrok i zaciśnięte szczęki.

– Nic – odparłam, chwyciłam ręcznik z wieszaka i otarłam twarz. Mój uśmiech był nieco dziki, jak u szaleńców. – Nic mi nie zrobił, ponieważ mu na to nie pozwoliłam. Groził mi, a ja... odpowiedziałam tym samym.

Ciemne pajęczyny gęstniały na moich dłoniach i ramionach, niczym rozbryzgi czarnej farby. Usiadłam na krześle kuchennym i roześmiałam się. Śmiałam się z głębi brzucha, aż zrobiło mi się gorąco. Nigdy wcześniej nie przeciwstawiłam się Ryzekowi. Supeł wstydu w moim wnętrzu nieco się rozluźnił. Już nie byłam aż tak współwinna.

Akos usiadł naprzeciw mnie.

– Co... co to znaczy? – zapytał.

– To znaczy, że Ryzek zostawi nas w spokoju. Ja... – Ręce mi się trzęsły. – Nie wiem, dlaczego jestem tak...

Akos nakrył moje dłonie swoimi.

– Właśnie przeciwstawiłaś się najpotężniejszej osobie w tym kraju. Moim zdaniem masz prawo być nieco roztrzęsiona.

Jego dłonie były niewiele większe od moich, ale grubsze w okolicach knykci, o ścięgnach wystających na całej powierzchni, aż do nadgarstków. Przez skórę, znacznie bledszą od mojej, prześwitywały niebieskozielone żyły. Pogłoski na temat cienkiej skóry ludzi z Thuvhe były najwyraźniej prawdziwe, tyle że Akos z pewnością nie był słaby.

Zabrałam ręce.

Teraz, kiedy pozbyłam się Ryzeka, mając obok siebie Akosa,

zastanawiałam się, czym wypełnimy czas. Przywykłam do samotności podczas wypraw. Na ściance piecyka wciąż widniały ślady moich działań kulinarnych. Podczas poprzedniej wyprawy gotowałam co wieczór, eksperymentując ze składnikami pochodzącymi z różnych planet – i w większości wypadków ponosiłam porażkę, bo nie miałam talentu do gotowania. Nocami oglądałam nagrania z przeróżnych miejsc, wyobrażając sobie toczące się tam życie, tak inne od mojego.

Akos podszedł do szafek kuchennych, wyjął szklanekę i napełnił ją wodą z kranu. Odchyliłam głowę, by popatrzeć na rośliny pod sufitem, lśniące w swoich klatkach z żywicy. Niektóre żarzyły się po wyłączeniu światła, inne rozkładały się, mimo osłony, i więdły, zmieniając kolory na jaskrawe. Obserwowałam je przez trzy ostatnie wyprawy.

Akos otarł usta i odstawił szklanekę.

– Znalazłem powód – oznajmił. – Powód, by wytrzymać.

Naprężył lewe ramię, na którym widniał pierwszy znak.

– Tak?

– Tak. – Uniósł głowę. – Wciąż myślę o czymś, co powiedział Ryzek... że zmieni Eijeha w kogoś, kogo już nie będę chciał uratować. Doszedłem do wniosku, że to niemożliwe. – Jeszcze kilka dni temu Akos był pusty, a teraz przypominał wypełnioną po brzegi filiżankę. – Nie ma takiej wersji Eijeha, której nie chciałbym ocalić.

To był koszt tej samej łagodności, która sprawiła, że wcześniej tego dnia patrzył na mnie ze współczuciem, a nie z odrazą: obłąd. Wciąż kochać kogoś, kto znalazł się poza zasięgiem pomocy, poza szansą na ratunek, to czysty obłąd.

– Nie potrafię cię zrozumieć – powiedziałam. – Odnoszę wrażenie, że im więcej potwornych rzeczy odkrywasz na temat jakiejś osoby, im gorzej ona cię traktuje, tym lepiej się do niej odnosisz. To masochizm.

– Powiedziała ta, która tnie się za rzeczy, do których ją zmuszano – odparł cierpko.

To, co właśnie powiedzieliśmy, nie było ani trochę śmieszne. A zarazem jednak było. Uśmiechnęłam się szeroko, a po chwili Akos mi zawtórował. Kolejny uśmiech – nie ten, którym pokazywał, że jest ze mnie dumny, ani ten, do którego się zmuszał, kiedy czuł, że powinien wysilić się na uprzejmość, ale taki szczery i zwariowany.



– Ty naprawdę nie czujesz do mnie za to nienawiści – powiedziałam, unosząc lewe ramię.

– Nie.

Do tej pory doświadczyłam kilku reakcji na to, kim jestem i co mogę zrobić: nienawiści – ze strony tych, którzy przeze mnie cierpieli, strachu – ze strony tych, którzy musieli liczyć się z zagrożeniem, i radości – ze strony tego, który mógł wykorzystywać mój dar. Ale czegoś podobnego jak teraz nigdy nie widziałam. Zupełnie jakby mnie rozumiał.

– Ty w ogóle nie czujesz do mnie nienawiści – dodałam szeptem, bojąc się odpowiedzi.

Ale odpowiedź nadeszła bez wahania, jakby była dla niego czymś oczywistym.

– Nie.

A ja stwierdziłam, że nie gniewam się już za to, jak wobec mnie postąpił, by uratować Eijeha. Zrobił to z powodu tej samej cechy, która pozwala mu mnie akceptować. Jak mogłabym go za to winić?

– Dobrze – westchnęłam. – Jutro pobudka wcześniej rano, musimy więcej trenować, jeśli chcesz wyciągnąć stąd swojego brata.

Wzięłam od niego szklankę, poznaczoną na dole odciskami jego palców.

Zmarszczył brwi.

– Pomożesz mi? Pomimo tego, jak cię potraktowałem?

– Aha. – Opłukałam szklankę i odstawiłam. – Chyba tak.



AKOS RAZ PO RAZ ODTWARZAŁ W MYŚLACH przebieg nieudanej próby ucieczki.

Biegł korytarzami ukrytymi w murach rezydencji Noaveków, zatrzymując się w miejscach, gdzie ściany się łączyły, by spojrzeć przez szparę i określić położenie. Spędził w ciemnościach sporo czasu, łykając kurz i wbijając sobie drzazgi w palce.

Wreszcie dotarł do pomieszczenia, w którym przetrzymywano Eijeha – niechcący, jak potem wyjaśnił mu Ryzek, uaktywniając jakiś czujnik. Ale wtedy o tym nie wiedział. Wetknął palce w zamek. Większość drzwi zamykano za pomocą nurtu, liczył na to, że zdoła przerwać jego działanie dotykiem. I rozpiąć kajdanki. W ten sposób uwolnił się wtedy w piórzycy i zabił Kalmeva Radixa.

Eijeh stał przy zakratowanym oknie, umieszczonym wysoko ponad tylną bramą. Tutaj też rosła piórzycyca, gęste kępy powiewały na wietrze. Akos zastanawiał się, co Eijeh tam widzi – tatę? Nie miał pojęcia, jak piórzycyca działa na innych ludzi, na niego w każdym razie już nie działała.

Eijeh odwrócił się i popatrzył na niego, jakby nie mógł go w pierwszej chwili rozpoznać. Od dnia, w którym widzieli się po raz ostatni, minęły tylko dwie pory, a w tym czasie obaj się zmienili – Akos urósł i nabrał masy, Eijeh zaś wychudł, cerę miał ziemistą, a włosy matowe. Zachwiał się, Akos chwycił go pod pachami i podtrzymał.

– Akos – szepnął Eijeh. – Nie wiem, co robić, ja...

– Już dobrze. Już dobrze, wydostanę nas stąd, nie musisz nic robić.

– Zabiłeś... zabiłeś tamtego człowieka, tego, który przyszedł do naszego domu...

– Tak. – Akos znał jego nazwisko: Kalmev Radix. Teraz tylko znak na jego ramieniu.

– Dlaczego tak się stało? – zapytał Eijeh łamiącym się głosem. Serce Akosa też się złamało. – Jak to możliwe, że mama tego nie przewidziała?

Akos nie tłumaczył, że zapewne jednak przewidziała. Nie miało to sensu.

– Nie wiem – odparł. – Ale wydostanę cię stąd, bez względu na wszystko.

Akos otoczył plecy brata ramieniem i ruszył do wyjścia, niemal go niosąc. Położył dłoń na jego głowie, by nie uderzył się w niskim tunelu. Eijeh ciężko powłóczył nogami, Akos bał się, że zaraz ktoś ich usłyszy przez ścianę.

– To ja powinienem uratować ciebie – szepnął Eijeh w pewnym momencie. A raczej prawie szepnął, na tyle, na ile potrafił, zawsze był w tym beznadziejny.

– Kto tak twierdzi? Jest jakiś podręcznik na temat zasad obowiązujących między braćmi?

Eijeh zaśmiał się.

– Nie czytałeś? Typowe.

Akos, również się śmiejąc, pchnął drzwi na końcu korytarza. W kuchni, strzelając palcami, czekał na nich Vas Kuzar.

Tydzień po tym, jak statek wystartował i udał się na spotkanie z nurtem, Akos poszedł na salę gimnastyczną, by trenować. Mógł skorzystać z pustego pomieszczenia nad pokojem Cyry, ale ostatnio często tam siedziała, oglądając nagrania. Większość pokazywała sztuki walki z innych planet, ale któregoś dnia przyłapał ją, jak naśladuje tancerkę z Ogry – płaśała na czubkach palców, trzepocząc dłońmi. Potem tak się na niego obraziła, że nie chciał ponownie ryzykować.

Nawet nie musiał spoglądać na pogniecioną mapę, którą narysowała mu drugiego wieczoru na statku. W sali gimnastycznej panował półmrok i nie było tam prawie nikogo, tylko parę osób podnosiło ciężary w odległym końcu pomieszczenia. *Świetnie*, pomyślał. Dla ludzi z Shotet był jeńcem z Thuvhe, tym, którego Bicz Ryzeka nie może zranić. Nikt go nie zaczepiał – zapewne ze strachu przed Cyrą – ale nie lubił, kiedy się na niego gapili.

Właśnie próbował dotknąć palców u stóp – z naciskiem na *próbował* – gdy uświadomił sobie, że ktoś mu się przygląda. Nie wiedział skąd, w każdym razie, kiedy uniósł wzrok, zobaczył przed sobą Joreka Kuzara.

Jorek Kuzar, syn Suzao Kuzara.

Spotkali się tylko raz, kiedy Vas przyprowadził Joreka do

apartamentu Cyry w rezydencji Noaveków. Jego chude brązowe ramiona były nagie. Spotykając nowe osoby, Akos zawsze zwracał uwagę, czy mają znaki. Jorek nie miał. Pochwyciwszy spojrzenie Akosa, podrapał się po szyi, zostawiając czerwone ślady paznokci.

– Czegoś potrzebujesz? – spytał Akos, tonem dającym do zrozumienia, że lepiej, by nie potrzebował.

– Może kogoś? Partnera do walki? – Jorek pokazał mu dwa noże ćwiczebne, identyczne jak te należące do Cyry, z twardego syntetyku.

Akos zmierzył go wzrokiem. Czy on naprawdę oczekiwał, że Akos zechce... z nim trenować? Z synem człowieka, który wcisnął Akosowi but w twarz?

– Właśnie wychodziłem – odparł.

Jorek uniósł jedną brew.

– Wiem, że to wszystko – tu machnął ręką nad swoim szczupłym torsem – wygląda wprost przerażająco, ale chodzi tylko o trening, Kereseth.

Akos jakoś nie wierzył, że Jorek zamierza z nim jedynie potrenować, ale stwierdził w myślach, że chętnie się dowie, o co chodzi. Zresztą nie powinien obwiniać chłopaka za czyny ojca.

– Dobrze – powiedział.

Weszli do kręgu zaznaczonego odbijającą światło, odłazącą miejscami białą farbą. Było ciepło dzięki systemowi rur rozprowadzających gorącą wodę. Akos się pocił. Jorek wyciągnął w jego stronę rękę, w której trzymał nóż. Rękojeścią do przodu. Akos wziął nóż, nieco nieufnie.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak sceptycznie podchodził do zwykłego ćwiczenia – zauważył Jorek.

Akos zaś, nie tracąc czasu na pogawędki, zamierzył się, by sprawdzić refleks przeciwnika. Jorek odskoczył do tyłu, zdziwiony.

Akos umknął przed pierwszym ciosem, prześliznął się pod ostrzem i łokciem pchnął Joreka w plecy. Jorek poleciał do przodu, podparł się na opuszkach palców i wykonał obrót, by uderzyć ponownie. Tym razem Akos chwycił go za łokieć i pociągnął w bok, na chwilę przyciskając do ziemi.

Jorek zgiął się i musnął brzuch Akosa czubkiem noża.

– Niezbyt dobry pomysł, Kuzar – stwierdził Akos. – Podczas prawdziwego starcia miałbym na sobie zbroję.

– Mówią na mnie Jorek, nie Kuzar. Zasłużyłeś na zbroję?

– Aha. – Akos wykorzystał chwilę nieuwagi przeciwnika i walnął w przednią część jego gardła płazem noża. Jorek zakrztusił się i chwycił obiema dłońmi za szyję.

– Dobra – wydusił z trudem. – To chyba jest odpowiedź na moje pytanie.

Akos cofnął się na skraj kręgu, by zwiększyć odległość.

– Jakie pytanie? O zbroję?

– Nie. Cholera, to było beznadziejne – powiedział Jorek, rozmasowując szyję. – Zastanawiałem się, w jakim stopniu rozwinąłeś umiejętności, trenując z Cyrą. Mój ojciec powiedział, że kiedy po raz pierwszy cię spotkał, byłeś zupełnie zielony.

W przypadku Akosa gniew zawsze narastał powoli, tak wolno jak wolno woda zmieniała się w lód, ale za to miał w sobie ogromną siłę. Tak jak teraz.

– Twój ojciec... – zaczął, ale Jorek mu przerwał.

– To najgorszy człowiek na świecie, tak. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

Akos obracał nóż w dłoni, czekając, aż Jorek zareaguje bądź pociągnie rozmowę. Ale cokolwiek miał do powiedzenia, przychodziło mu to z trudem. Akos przyglądał się podnoszącym ciężary na końcu sali. Nie patrzyli w ich stronę, chyba ich nie słuchali.

– Wiem, co mój ojciec zrobił tobie i twojej rodzinie – podjął Jorek.

– Wiem też, co zrobiłeś z jednym z mężczyzn, którzy mu wtedy towarzyszyli. – Ruchem głowy wskazał na lewe ramię Akosa. – I chciałbym cię o coś prosić.

Z tego, co Akos słyszał, Jorek był rozczarowaniem dla rodziny. Urodzony w elitarnym rodzie, a pracował jako zwykły mechanik w dziale technicznym. Nawet teraz był umazany smarem.

– O co dokładnie? – spytał Akos. Kolejny obrót nożem.

– Chcę, byś zabił mojego ojca – odparł Jorek beznamiętnym tonem.

Nóż brzęknął o podłogę.

Widział w pamięci ojca Joreka równie wyraźnie jak nici w kobiercu. Suzao Kuzar był tam, kiedy krew ojca wsiąkała w podłogę salonu. Zakładał kajdanki na nadgarstki Akosa.

– Nie jestem głupi, niezależnie od waszej opinii na temat ludzi z Thuvhe – warknął Akos, podnosząc nóż. Policzki mu poczerwieniały.  
– Sądziś, że dam się wystawić?

– Ryzykuję tak samo, jak ty – odparł Jorek. – Mógłbyś pójść teraz do Cyry Noavek i szepnąć jej na ucho, o co przed chwilą cię poprosiłem, a ona powtórzyłaby to Ryzekowi bądź mojemu ojcu. Ale wolę ci zaufać, uwierzyć w twoją nienawiść. Tak jak ty powinienesz uwierzyć w moją.

– Uwierzyć w twoją nienawiść. Do własnego ojca. Dlaczego... dlaczego niby miałbyś pragnąć jego śmierci?

Jorek był o głowę niższy od Akosa i znacznie szczuplejszej budowy. Drobnym jak na swój wiek. Ale patrzył mu prosto w oczy.

– Mojej matce grozi niebezpieczeństwo – wyjaśnił. – Mojej siostrze zapewne również. A jak sam mogłeś się przekonać, nie radzę sobie zbyt dobrze w walce, sam go nie pokonam.

– I co w związku z tym? Zamierzasz go tak po prostu zamordować? Co z wami jest, ludzie z Shotet? – zapytał cicho Akos. – Jeśli twojej rodzinie rzeczywiście grozi niebezpieczeństwo, może powinienesz pomyśleć, w jaki sposób zabrać stąd mamę i siostrę? Pracujesz w dziale technicznym, a w strefie załadunkowej stoi całe mnóstwo sterolotów.

– Nie zgodziłyby się. Poza tym on będzie im zagrażał, dopóki będzie żył. Nie chcę, by wiecznie uciekały, by żyły w ciągłym strachu – odparł stanowczo Jorek.

– I nikt poza mną nie może ci pomóc.

– Nikt nie zmusi Suzao Kuzara do zrobienia czegoś wbrew jego woli. – Jorek zaśmiał się. – Za wyjątkiem Ryzeka. Sam możesz zgadnąć, jak zareagowałby władca Shotet na taką prośbę.

Akos potarł znaki na ramieniu i pomyślał o tym, jakie symbolizują barbarzyństwo. *Jak na wybrańca losu, nie wygląda zbyt imponująco*, powiedziała o nim matka Osno. *Ale jest całkiem miły*, odparł Osno. Cóż, widać żadne z nich nie miało pojęcia, co potrafi działać za pomocą noża...

– Chcesz, żebym zabił człowieka – powiedział Akos, chyba tylko po to, by sprawdzić, jak zabrzmiały te słowa.

– Człowieka, który pomagał przy twoim porwaniu. Tak.

– Ale co, mam to zrobić tak z dobroci serca? – Akos potrząsnął głową i wyciągnął rękę, aby podać Jorekowi nóż, rękojeścią do przodu. – Nie.

– W zamian – odparł Jorek – mogę dać ci wolność. Jak zauważyłeś, w strefie załadunkowej stoi mnóstwo sterolotów. To byłoby proste, pomóc ci w zdobyciu któregoś. Otworzyć drzwi. Zagwarantować, że załoga z pokładu nawigacyjnego będzie patrzeć w drugą stronę.

Wolność. Proponował ją jak ktoś, kto nie wie, ile ona znaczy, kto nigdy jej nie stracił. Tyle że dla Akosa już nie istniała – od dnia, kiedy poznał swój los. A może od chwili, kiedy obiecał ojcu, że przywiezie Eijeha z powrotem do domu.

Tak więc Akos ponownie potrząsnął głową.

– Nie ma mowy.

– Nie chcesz wrócić do domu?

– Mam tu niedokończone sprawy. I właśnie powinienem się nimi zająć, więc...

Jorek wciąż nie odbierał noża, więc Akos upuścił go na podłogę i ruszył do wyjścia. Współczuł matce Joreka, może nawet samemu Jorekowi, ale miał dosyć własnych kłopotów rodzinnych. A znaków na ramieniu nie nosiło się zbyt łatwo.

– W takim razie co z twoim bratem? – rzucił Jorek. – Tym, który oddycha tylko wtedy, gdy Ryzek mu na to pozwoli?

Akos zatrzymał się, zacisnął zęby. *To twoja wina*, powiedział sobie w myślach. *To ty wspomniałeś o „niedokończonych sprawach”*. Wiedząc, że to niczego nie zmienia.

– Mogę go uwolnić – podjął Jorek. – Wysłać go do domu, gdzie naprawią mu głowę.

Znów przypomniał sobie nieudaną ucieczkę, Eijeha pytającego łamiącym się głosem: *Dlaczego tak się stało?* Jego zapadnięte policzki, ziemistą skórę. Stopniowo znikał, z dnia na dzień, z pory na porę. Wkrótce niewiele zostanie do ratowania.

– Dobra. – Wyszedł z tego szept, wbrew jego intencjom.



– Dobra? – Jorek wstrzymał oddech. – Chcesz powiedzieć, że się zgadzasz?

Akos odparł z przymusem:

– Tak.

Jeśli w grę wchodził Eijeh, odpowiedź zawsze brzmiała „tak”.

Nie uścisnęli dłoni, by przypieczętować umowę, jak zrobiliby mieszkańcy Thuvhe. Tutaj wystarczyło wypowiedzieć słowa w języku uznawanym za święty.

Akos uważał obecność strażnika na końcu korytarza przed mieszkaniem Cyry za całkowicie zbędną. Nikt nie mógł pokonać jej w walce. Strażnik chyba podzielał to przekonanie – nawet nie sprawdził, czy Akos ma przy sobie broń.

Cyra siedziała pochylona koło pieca, u jej stóp stał garnek, a na podłodze rozlewała się kałuża wody. Na wewnętrznej stronie jej dłoni widniały półksiężycowate ślady paznokci, a od zbyt mocno zaciśniętych pięści, po całej skórze pełgały ciemne linie nurtu. Podbiegł do niej, lekko ślizgając się na mokrej podłodze.

Chwycił jej nadgarstki i linie znikły, jak rzeka spływająca w górę, do swego źródła. Nie poczuł nic, jak zawsze. Często słyszał, jak ludzie mówią, że nurt szumi, kiedy zmniejsza się jego moc w danym miejscu, ale dla niego to było tylko wspomnienie. W dodatku niewyraźne.

Jej skóra płonęła. Oczy wpatrywały się w niego. Akos szybko zauważył, że Cyra nigdy nie wygląda na smutną w taki sposób jak inni ludzie – mogła wyglądać co najwyżej na wściekłą. Ale teraz, kiedy poznał ją lepiej, dostrzegał smutek wyzierający spomiędzy pęknięć w zbroi.

– Myślisz o Lety? – zapytał, nieco zmieniając uchwyt, by złapać jej dłonie, najpierw dwoma palcami, które wpasowały się w zagłębienie koło kciuka.

– Upuściłam to niechcący – odparła, wskazując garnek ruchem głowy. – To wszystko.

„*To wszystko*” nigdy nie odpowiada prawdzie, pomyślał, ale nie drażył tematu. Pod wpływem impulsu pogładził jej włosy. Były gęste i kręcone, czasem go kusiło, by owinać je sobie wokół palców, ot tak, bez powodu.

Ten lekki dotyk wywołał przyływ wyrzutów sumienia. Nie powinien robić takich rzeczy – nie powinien maszerować w stronę swego losu, los powinien go ciągnąć na siłę. Gdyby widzieli go teraz mieszkańcy Thuvhe, zobaczyliby zdrajcę. Nie mógł pozwolić, by mieli rację.

Czasami jednak odczuwał ból Cyry jak własny i nic nie mógł na to poradzić, mógł go jedynie ukoić.

Cyra obróciła dłoń zamkniętą w jego dłoni, tak że opuszki palców dotknęły jej wewnętrznej części. Delikatnie i badawczo. Ale zaraz potem go odepchnęła.

– Wcześniej wróciłeś – powiedziała, chwytając ścierkę do podłogi.

Woda zaczynała przeciekać przez podeszwy Akosa. Cyra znów pokryła się cieniami i wzdrygała się z bólu, ale nie chciała pomocy, a on nie zamierzał jej do niczego zmuszać.

– Tak. Wpadłem na Joreka Kuzara.

– Czego chciał? – Stała na ścierce, by skuteczniej nasiąkła wodą.

– Cyro?

Rzuciła mokrą ścierkę do zlewu.

– Tak?

– Powiedz mi, jak powinienem zabrać się do rzeczy, gdybym musiał zabić Suzao Kuzara?

Cyra wyduła wargi, tak jak zawsze, kiedy się nad czymś zastanawiała. To było dziwne, zadać takie pytanie, jakby chodziło o coś całkiem zwyczajnego. Jej reakcja też była dziwna. Znajdował się bardzo, bardzo daleko od domu.

– Jak sam wiesz, musiałbyś to zrobić podczas zawodów na arenie, żeby wszystko przebiegło zgodnie z prawem – odparła. – A nie chcesz łamać prawa, bo inaczej sam przypłacisz to życiem. Zawody są zabronione od chwili, kiedy statek opuszcza atmosferę aż do zakończenia żeru, co oznacza, że musisz poczekać. Kolejny przykład naszego religijnego dziedzictwa. – Uniosła brwi. – Ale i tak nie posiadasz odpowiedniej pozycji społecznej, by rzucić Suzao wyzwanie, więc musisz go sprowokować, by to on wyzwiał ciebie.

Można by niemal odnieść wrażenie, że już wcześniej to wszystko przemyślała, wiedział jednak, że to nieprawda. W takich chwilach

rozumiał, dlaczego wszyscy jej się boją. I dlaczego powinni się bać, nawet nie biorąc pod uwagę daru nurtu.

– Mam szansę go pokonać?

– Jest dobrym wojownikiem, ale nie wybitnym. Zapewne pokonałbyś go dzięki samym umiejętnościom, ale twój prawdziwy atut polega na tym, że on wciąż uważa cię za dziecko.

Akos kiwnął głową.

– A więc powinienem utrzymać go w tym przekonaniu.

– Tak.

Podstawiła pusty garnek pod kran. Akos nieufnie traktował jej próby gotowania, niemal zawsze przypalała jedzenie i niewielkie pomieszczenie często wypełniało się dymem.

– Upewnij się, czy naprawdę chcesz to zrobić – dodała. – Nie chciałabym, żebyś się upodobnił do mnie.

Nie powiedziała tego w taki sposób, jakby oczekiwała z jego strony pociechy czy zaprzeczenia. Powiedziała to z pełnym przekonaniem, jakby jej wiara we własną potworność była niepodważalna, niczym religia, i może dla niej to przekonanie było właśnie czymś najbliższym religii.

– Myślisz, że tak łatwo można mnie zepsuć? – zapytał Akos, naśladowując akcent niższych warstw społecznych, który słyszał w obozie wojskowym. Wyszło całkiem niezłe.

Odgarnęła włosy do tyłu i związała je sznurkiem, który nosiła na nadgarstku. Spojrzała na niego przenikliwie.

– Myślę, że każdego można z łatwością zepsuć.

Akos o mało się nie roześmiał, tak niezgrabnie zabrzmiało to w jej ustach.

– Wiesz – powiedział. – Ten stan zepsucia czy potworności, jak go nazwałaś, nie musi być stały.

Miała taką minę, jakby zastanawiała się nad jego słowami. Nigdy dotąd nie przyszło jej to do głowy?

– Pozwól, że ja będę gotował, dobrze? – Zabrał jej garnek. Woda chlapnęła mu na buty. – Gwarantuję, że niczego nie puszczę z dymem.

– Taka sytuacja zdarzyła się *tylko raz*. Nie jestem chodzącą katastrofą.

Tak jak wiele rzeczy, które mówiła na swój temat, zabrzmiało to jednocześnie jak żart i nie jak żart.

– Wiem – odparł z powagą. Po chwili dodał: – I dlatego pokroisz dla mnie solifrut.

Wciąż z zamyśloną miną – dziwne zjawisko na twarzy, na której tak często gościł gniew – wyjęła solifrut ze stojącej w rogu chłodziarki i stanęła przy blacie.

MOJĄ KWATERĘ UMYŚLNIE UMIESZCZONO z dala od wszystkiego, za wyjątkiem maszynowni. Od gabinetu Ryzeka dzielił mnie długi dystans.

Wezwał mnie, by przekazać grafik obowiązujący podczas wyprawy: miałam uczestniczyć wraz z nim i przedstawicielami elit w spotkaniu towarzyskim, które odbędzie się przed rozpoczęciem żeru, by pomagać w negocjacjach z przywódcami Pithy. Przystałam na plan, ponieważ wymagał ode mnie jedynie obecności i dobrego aktorstwa. Nie musiałam używać swego daru nurtu.

Jak przewidział cyniczny Egzaminator podczas naszej wizyty w sali z hologramem planet, Ryzek wybrał kierunek na Pitę – planetę wody, znaną z zaawansowanych technologii odpornych na jej działanie. Jeśli pogłoski na temat sekretnych składów innowacyjnej broni były prawdziwe, Eijeh Kereseth, którego umysł wypaczyły wspomnienia Ryzeka, z pewnością je potwierdził. Jeśli zaś Eijeh pomoże mojemu bratu odnaleźć jedną z najsilniejszych broni istniejących w Zgromadzeniu, Ryzek bez trudu będzie mógł wypowiedzieć wojnę Thuvhe i podbić naszą planetę, tak jak zawsze pragnął.

Byłam w połowie drogi, gdy nagle wszystkie światła zgasły i zapadła ciemność. Ucichł szum nieustannie dochodzący z centrum sterowania.

Usłyszałam stukanie, powtarzające się według określonego schematu. Raz, trzy, raz. Raz, trzy, raz.

Odwróciłam się, plecami przy ścianie.

Raz, trzy, raz.

Cienie nurtu pomknęły w górę moich rąk i ramion. Kiedy zajarzyły się paski światła awaryjnych u moich stóp, zobaczyłam jakąś postać, pędzącą wprost na mnie. Pochyliłam się, wystawiając łokieć. Zakląłam, bo trafiłam w zbroję. Obróciłam się lekkim ruchem – figury taneczne, które ćwiczyłam dla zabawy, teraz wykonywałam instynktownie. Wyciągnęłam ostrze nurtu i walnęłam nim napastniczkę, następnie przycisnęłam ją do ściany, zbliżając ostrze do gardła. Nóż wypadł jej z ręki i uderzył o podłogę.

Nosiła maskę zakrywającą twarz od czoła po brodę, z jednym otworem na oko. Głowę osłaniał kaptur z ciężkiej tkaniny. Była ode mnie o głowę niższa, miała na sobie zbroję przysługującą zasłużonym, ze skóry Pancernego.

Kwiliła pod moim dotykiem.

– Kim jesteś? – spytałam.

W tym momencie ożywił się zapasowy głośnik – stary relikw z wczesnych wypraw, zniekształcający brzmienie głosu i nadający mu metaliczny ton.

– Pierwsze dziecko z rodziny Noavek upadnie za sprawą rodziny Benesit – powiedział. – Prawdę można zakłamać, lecz nie można zmienić przeznaczenia.

Czekałam, aż powie coś jeszcze, ale trzaski ucichły i człowiek na drugim końcu się rozłączył. Statek znów zaczął mrużyć. Kobieta, której nadal przykładałam nóż do szyi, cicho jęczała.

– Powinam cię aresztować – szepnęłam. – Aresztować i doprowadzić na przesłuchanie. – Przekrzywiłam głowę. – Wiesz, w jaki sposób mój brat przesłuchuje ludzi? Posługuje się mną. Tym. – Pchnęłam w jej stronę więcej cieni, które zebrały się wokół mego przedramienia.

Krzyknęła. Przez chwilę brzmiała jak Lety Zetsyvis.

Puściłam ją, jednocześnie odpychając od ściany. Światła na podłodze włączyły się i podświetliły nas obie od dołu. Widziałam utkwione we mnie pojedyncze oko. Górne światła zamrugały, a kobieta w tym samym momencie rzuciła się biegiem przed siebie i po chwili zniknęła za rogiem.

Pozwoliłam jej odejść.

Zacisnęłam dłonie w pięści, by nie drżały. Nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie zrobiłam. Gdyby Ryzek się dowiedział...

Podniosłam upuszczony przez nią nóż – o ile dało się to tak nazwać, był to bowiem zwykły metalowy pręt, ręcznie zaostrzony, na końcu owinięty taśmą tworzącą coś w rodzaju rękojeści – i ruszyłam przed siebie. Nie wiedziałam, dokąd zmierzam, wiedziałam tylko, że muszę pozostać w ruchu. Nie odniosłam obrażeń, po napadzie nie został żaden ślad. Miałam nadzieję, że było zbyt ciemno, by kamery

zarejestrowały, że puściłam buntowniczkę wolno.

*Coś ty zrobiła?*

Biegłam przez korytarze, a moje kroki odbijały się echem od ścian. Nagle znalazłam się w tłumie, w totalnym chaosie. Wszystko wokół było głośnie i szybkie, jak moje serce. Wetknęłam dłonie w rękawy, by nikogo przypadkiem nie dotknąć. Nie skierowałam się z powrotem w stronę swojej kwatery. Musiałam natychmiast zobaczyć się z Ryzekiem, musiałam go przekonać, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego. Odmówić torturowania ludzi to jedno, ale brać udział w buncie, to zupełnie inna sprawa. Wsadziłam nóż kobiety do kieszeni, by nikt go nie dostrzegł.

Kiedy dotarłam do pokoi Ryzeka w odległej części statku, tej najbliższej nurtowi, żołnierze rozstąpili się przede mną i skierowali mnie do gabinetu. Stałam pod drzwiami, niepewna, czy mnie wpuści, ale od razu zawołał, żebym weszła.

Stał twarzą do ściany, bosy. Był sam. W dłoni ścisnął kubek z rozcieńczonym ekstraktem z szakwiatu – teraz umiałam rozpoznać go po wyglądzie. Nie miał na sobie zbroi, a kiedy na mnie spojrzał, z jego oczu wyzierał zamęt.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Ja... – urwałam. Nie wiedziałam, czego chcę. Na pewno odsunąć od siebie podejrzenia. – Chciałam sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

– Oczywiście, że nie. Was zabił dwóch buntowników, którzy próbowali dostać się do tej części statku, nawet nie zdążyli krzyknąć. – Odsunął zasłonę z wąskiego otworu okiennego i zapatrzył się na wstęgę nurtu, która teraz przybrała barwę ciemnej zieleni. Niedługo stanie się niebieska i nastąpi czas inwazji, czas żeru, znów stanie się zadość tradycji naszych przodków. – Sądysz, że dziecinna akcja kilku buntowników może mi zaszkodzić?

Zrobiłam kilka kroków w jego stronę, ostrożnie, jakbym zbliżała się do dzikiego zwierzęcia.

– To normalne, że człowiek reaguje zdenerwowaniem, kiedy ktoś go atakuje.

– Nie jestem zdenerwowany! – wrzasnął, dobitnie skandując każde

słowo, i walnął kubkiem o stół. Napój rozlał się, plamiąc jego biały mankiet czerwienią.

Patrzyłam na niego i nagle przypomniało mi się, jak szybkimi pewnymi ruchami dłoni zapinał mi pasy przed moją pierwszą wyprawą, jak się uśmiechał i drażnił ze mną, że na pewno się denerwuję. To nie była jego wina, że tak się zmienił, że stał się kimś przepęnlionym strachem, kimś tak kreatywnym w swym okrucieństwie – to nasz ojciec uczynił z niego potwora. Największym prezentem, jaki kiedykolwiek ofiarował mi Lazmet Noavek, większym nawet niż samo życie, było to, że zostawił mnie w spokoju.

Stosowałam już wobec Ryzeka groźby, gniew, pogardę i strach. Ale nigdy nie próbowałam łagodności. Podczas gdy ojciec zawsze posługiwał się celnie wymierzonymi groźbami i onieśmielającą ciszą, matka władała łagodnością jak mieczem. Nadal bardziej przypominałam Lazmeta niż Ylire, ale mogłam to zmienić.

– Jestem twoją siostrą. Nie musisz odnosić się do mnie w ten sposób – powiedziałam tak miękko, jak tylko potrafiłam.

Ryzek wbił wzrok w płamę na mankiecie. Nie odpowiedział, co uznałam za dobry znak.

– Pamiętasz, jak bawiliśmy się tymi małymi figurkami w moim pokoju? – zapytałam. – Jak uczyłeś mnie trzymać nóż? Zawsze zbyt mocno zaciskałam pięść, aż krew nie docierała do palców, a ty mi pokazałeś, jak to robić prawidłowo.

Zmarszczył brwi. Zastanawiałam się, czy naprawdę pamięta – a może było to jedno z tych wspomnień, które wymienił z Eijehem? Może, oddając mu część swego bólu, przejął od niego nieco dobra?

– Nie zawsze byliśmy tacy jak teraz – dodałam.

Przez chwilę pozwoliłam sobie na odrobinę nadziei – że zaczną patrzeć na mnie w inny sposób, że powoli nasze relacje się zmienią, jeśli tylko pozbędzie się choćby części strachu. Odszukał wzrokiem moje oczy. Było tak blisko, widziałam to, niemal słyszałam. Mogliśmy znów stać się tacy jak dawniej.

– A potem zabiłaś naszą matkę – wycedził przez zęby. – I teraz możemy być już tylko tacy, jakimi jesteśmy.

Nie powinnam była czuć zaskoczenia, nie powinnam była się



dziwić, że jego słowa potrafią uderzyć jak cios pięści w splot słoneczny. Ale nadzieja na chwilę mnie ogłupiała.

Przez całą noc nie zmrużyłam oka, z przerażeniem zastanawiałam się, co Ryzek zrobi w kwestii ataku.

Odpowiedź poznałam następnego ranka, gdy z ekranu na ścianie popłynął jego spokojny, pewny siebie głos. Zwlokłam się z łóżka i pobiegłam włączyć obraz. Ekran wypełniała postać mego brata, blada i chuda jak szkielet. Światło odbijało się od zbroi, rzucając na jego twarz upiorny blask.

– Wczoraj miało miejsce pewne... zakłócenie. – Wygiął wargi, jakby uważał, że właśnie powiedział coś zabawnego. To miało sens. Ryzek wiedział, że nie należy okazywać strachu, że trzeba umniejszyć znaczenie buntowniczej akcji. – Sprawcy tego czynu, jakkolwiek dziecinnego, zdołali jednak osłabić bezpieczeństwo naszego statku i opóźnić jego lot, co oznacza, że należy bezwzględnie ich odnaleźć i wytępić. – Przybrał złowrogi ton. – Od dzisiejszego dnia będziemy wybierać z bazy danych przypadkowe osoby w każdym wieku i wzywać je na rozmowę. Wprowadzamy również godzinę policyjną, od dwudziestej do szóstej rano, która dotyczy wszystkich pasażerów za wyjątkiem tych, którzy muszą zajmować się pracami koniecznymi do funkcjonowania statku. Tak będzie do czasu, aż rozwiążemy zaistniały problem. Żer odbędzie się z opóźnieniem, dopiero wtedy, gdy przywrócimy całkowite bezpieczeństwo.

– Na rozmowę... – powiedział Akos za moimi plecami. – Czy to szyfr oznaczający w rzeczywistości „przesłuchanie z użyciem tortur”?

Kiwnęłam głową.

– Jeśli ktokolwiek z was zna tożsamość osób związanych z tym zdarzeniem, zobowiązany jest ujawnić te informacje w swoim najlepiej pojętym interesie – dodał Ryzek. – Osoby, które przyłapiemy podczas rozmowy na ukrywaniu informacji bądź kłamstwie, również spotka odpowiednia kara, dla dobra całego ludu Shotet. Zapewniam, że bezpieczeństwo statku i wszystkich jego pasażerów stanowi przedmiot mojej najwyższej troski.

Akos prychnął.

– Kto nie ma nic do ukrycia, nie ma też powodu do obaw – ciągnął

Ryzek. – Przygotujmy się, by pokazać innym planetom w tej galaktyce naszą moc i jedność.

Jego twarz jeszcze przez chwilę widniała na ekranie, a potem wróciła emisja wiadomości, tym razem po othyrsku, który znałam całkiem nieźle. Braki w zasobach wodnych na Tepes, w zachodniej części kontynentu. Napisy w shotet tym razem nawet się zgadzały.

– Pokazać naszą moc i jedność – powtórzyłam za Ryzekiem, bardziej do siebie niż do Akosa. – Czy właśnie temu służy wyprawa?

– A niby czemu jeszcze?

Zgromadzenie debatowało nad dalszymi wymaganiami w stosunku do wyroczni na każdej z planet, głosowanie miało się odbyć za czterdzieści dni. Napisy w shotet: „Zgromadzenie usiłuje zaprowadzić podobną tyranii kontrolę nad wyroczniami poprzez kolejny drakoński przepis, który wejdzie w życie pod koniec czterdziestodniowego cyklu”. Tłumaczenie niby dokładne, ale jednak stronicze.

Gang sławetnych piratów grasujących w przestrzeni kosmicznej skazano na piętnaście pór więzienia. Napisy w shotet: „Banda zoldańskich tradycjonalistów skazana na piętnaście sezonów za wypowiedzi krytyczne wobec niepotrzebnie restrykcyjnych regulacji wprowadzonych przez Zgromadzenie”. Już nie takie dokładne.

– Wyprawa powinna być znakiem naszego zaufania do nurtu i tego, kto nad nim panuje – powiedziałam cicho. – Rytuałem religijnym i sposobem na uhonorowanie pamięci o tych, którzy byli tu przed nami.

– Shotet, o którym opowiadasz, nie przypomina tego, który znam – stwierdził Akos.

Spojrzałam na niego.

– Może widzisz tylko to, co chcesz widzieć.

– Może dotyczy to nas obojga – odparł. – Masz zmartwioną minę. Sądysz, że Ryzek znów cię wezwie?

– Jeśli sytuacja się skomplikuje...

– A jeśli znów odmówisz mu pomocy? Co może ci zrobić?

Westchnęłam.

– Ty chyba nie rozumiesz. Wszyscy uwielbiali moją matkę. Była niemal bóstwem pośród śmiertelników. Kiedy umarła, mieszkańcy Shotet pograżyli się w żałobie. Jakby świat rozpadł się na kawałki. – Na

moment zamknęłam oczy, by jej obraz przemknął przez moją pamięć. – Jeśli się dowiedzą, co jej zrobiłam, rozerwą mnie na strzępy. Ryzek o tym wie i wykorzysta to w chwili desperacji.

Akos zmarszczył brwi. Nie po raz pierwszy zastanawiałam się, co by poczuł, gdybym umarła. Nie dlatego, że sądziłam, iż darzy mnie nienawiścią, ale ponieważ wiedziałam, że przepowiedziany mu los odzywa się echem w jego głowie za każdym razem, kiedy na mnie patrzy. Możliwe, że byłam tą Noavek, dla której pewnego dnia złoży życie w ofierze, biorąc pod uwagę, ile czasu razem spędzamy. A ja nie potrafiłam uwierzyć, że jestem tego warta, że jestem warta jego życia.

– Cóż – odparł – w takim razie miejmy nadzieję, że tego nie zrobi.

Stał zwrócony w moją stronę. Bardzo blisko. Często znajdowaliśmy się blisko siebie, podczas treningów czy podczas walki, przygotowując śniadanie oraz w chwilach, kiedy musiał mnie dotknąć, by odegnąć ból. Może więc nie powinnam czuć się tak dziwnie, czując jego biodro tak blisko mojego brzucha, widząc mocno zarysowane mięśnie na jego ramieniu.

A jednak.

– Co z twoim przyjacielem Suzao? – spytałam, robiąc krok w tył.

– Dałem Jorekowi trochę środka usypiającego, ma dolać go do lekarstwa, które Suzao zażywa co rano.

– Jorek zamierza podać środek nasenny własnemu ojcu? Interesujące.

– Zobaczymy, czy padnie podczas obiadu. Mam nadzieję, że się wścieknie i wyzwie mnie na pojedynek.

– Uważam, że powinieneś powtórzyć to kilka razy, zanim się ujawnisz – stwierdziłam. – Powinien poczuć nie tylko gniew, lecz również strach.

– Trudno sobie wyobrazić, by ktoś taki miał się czegoś przestraszyć.

– Cóż, każdy z nas czasem czuje strach. – Westchnęłam. – Ci gniewni nawet częściej niż pozostali.

Wstęga nurtu powoli zmieniała kolor z zielonego na niebieski, a my wciąż nie lądowaliśmy na planecie Pitha, Ryzek nadal opóźniał żer. Przemieszczaliśmy się skrajem galaktyki, poza zasięgiem Zgromadzenia.

Zniecierpliwienie wisiało nad statkiem niczym wilgotna chmura, czułam je w powietrzu za każdym razem, kiedy opuszczałam swoje pokoje. Ale w tym czasie rzadko to robiłam.

Ryzek nie mógł odwlekać lądowania bez końca – nie mógł zrezygnować z żeru, gdyż byłby pierwszym od ponad stu pór władcą, który zignorował naszą tradycję.

Obiecałam mu, że zachowam pozory, i dlatego kilka dni po ataku znów zjawiłam się na spotkaniu jego najbliższych współpracowników, na pokładzie obserwacyjnym. Pierwsze, co zobaczyłam zaraz po wejściu, to ciemność przestrzeni kosmicznej za oknami, otwarta i ziejąca niczym wielka paszcza. Potem dostrzegłam Vasa, ściskającego kubek z herbatą w dłoniach o zakrwawionych knykciach. W pewnym momencie zauważył krew i starł ją chusteczką, którą następnie wetknął do kieszeni.

– Wiem, Vas, że nie czujesz bólu, ale dbanie o własne ciało ma dla każdego pewien sens – powiedziałam.

Uniósł jedną brew, po czym odstawił kubek. Pozostali zgromadzili się w drugim końcu pomieszczenia, stali w niewielkich grupkach, z kieliszkami w dłoniach. Większość zebrała się wokół Ryzeaka jak śmieci przy studziencie kanalizacyjnej. Była wśród nich Yma Zetsyvis – jej białe włosy niemal lśniły na tle czarnego kosmosu, a ciało zdradzało napięcie.

Poza tym pomieszczenie było puste, nic prócz czarnych błyszczących podłóg i półokrągłych szyb zamiast ścian. Przez moment wydawało mi się, że wszyscy odfruniemy w przestrzeń.

– Tak niewiele wiesz na temat mego daru, choć znamy się tak długo – odparł Vas. – Czy wiesz, że muszę nastawiać budzik, by pamiętać, że mam jeść i pić? I ciągle się oglądać, szukając sińców i złamanych kości?

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, co Vas stracił wraz z utratą zdolności odczuwania bólu.

– Dlatego nie zwracam uwagi na drobne ranki – dodał. – Poświęcanie uwagi własnemu ciału w takim stopniu jest niezwykle wyczerpujące.

– Hmm. Chyba coś o tym wiem.

Nie po raz pierwszy zastanowiło mnie, jak bardzo się od siebie różnimy – a zarazem jak jesteśmy podobni. Życie każdego z nas obracało się wokół bólu, oboje poświęciliśmy ogromne pokłady energii swojej cielesności. Ciekawe, czy łączyło nas coś jeszcze.

– Kiedy rozwinąłeś swój dar? – spytałam. – Co się wtedy wydarzyło?

– Miałem dziesięć lat. – Oparł się plecami o ścianę i przeciągnął dłonią po głowie. Włosy miał przystrzyżone tuż przy czaszce. Koło ucha widniało kilka niewielkich śladów po golarce – pewnie ich nie zauważył. – Zanim przyjęto mnie do służby, chodziłem do zwykłej szkoły. Byłem wtedy drobny i słaby, łatwy cel. Niektóre większe dzieciaki lubiły mnie atakować. – Uśmiechnął się. – Kiedy tylko zdałem sobie sprawę, że nie czuję bólu, stłukłem jednego z nich niemal na śmierć. Więcej mnie nie tknęli.

Był narażony na ciągłe ataki, a jego ciało zareagowało. Jego *umysł* zareagował. Ta historia przypominała moją własną.

– Myślisz o mnie w ten sam sposób, w jaki ja myślę o Keresecie – dorzucił Vas. – Uważasz mnie za domowe zwierzątko Ryzeka. Ja podobnie widzę Akosa.

– Zdaje się, że wszyscy służymy mojemu bratu – odparłam. – Ty. Ja. Kereseth. Wszyscy jesteśmy tacy sami. – Zerknęłam na grupkę zgromadzoną wokół Ryzeka. – Co tu robi Yma?

– Po tym, jak popadła w niełaskę z powodu męża i córki? Podobno błagała na czworakach o wybaczenie za ich czyny. Oczywiście plotki mogą być przesadzone.

Wyminęłam go. Yma trzymała dłoń na ramieniu Ryzeka, przesuwając nią w stronę łokcia. Myślałam, że Rzynek ją odepchnie, zwykle tak reagował, kiedy ktoś próbował go dotknąć. Ale jej pozwolił na tę pieśczętę, chyba nawet jej szukał.

Jak ona mogła znieść jego widok po tym, jak skazał na śmierć jej męża i córkę? Więcej, dotykać go? Śmiała się z czegoś, co powiedział Rzynek, ściągając przy tym brwi, jakby cierpiała albo jakby była w desperacji. Ludzie wyglądają wtedy podobnie.

– Cyra! – powiedziała i wszyscy spojrzeli na mnie. Próbowałam patrzeć jej w oczy, ale nie było to proste. Przez to, co zrobiłam Lety,

widziałam Ymę w moich snach. Pochyloną nad ciałem córki i krzyczącą rozdzierająco. – Dawno cię nie widziałam. Co porabiałaś?

Napotkałam spojrzenie Ryzeka. Tylko na krótką chwilę.

– Cyra zajmowała się specjalnym zadaniem na moje polecenie – odparł Ryzek. – Pilnowała Keresetha.

Szydził ze mnie.

– Młodszy Kereseth jest aż taki cenny? – spytała mnie Yma z tym swoim specyficznym uśmiechem.

– Jeszcze nie wiadomo – odparłam. – Ale w końcu pochodzi z Thuvhe. Wie na temat naszych wrogów rzeczy, o których my nie mamy pojęcia.

– Ach – rzuciła lekko Yma. – Po prostu pomyślałam, Cyro, że mogłabyś okazać się przydatna podczas przesłuchań, tak jak poprzednio.

Byłam bliska mdłości.

– Niestety, przesłuchania wymagają sprawnego języka i umysłu zdolnego wychwytywać subtelności – wtrącił Ryzek. – Dwie rzeczy, których moje siostrze zawsze brakowało.

Czułam się urażona i nie potrafiłam znaleźć właściwej odpowiedzi. A może miał rację co do sprawności mojego języka? A raczej jej braku.

Pozwoliłam więc tylko, by cienie nurtu rozpełzły się po moim ciele, a potem, kiedy rozmowa przeszła na inny temat, zbliżyłam się do szklanej ściany, by popatrzeć na otulającą nas ciemność.

Znajdowaliśmy się na brzegu galaktyki, więc widać było jedynie planety – bądź ich fragmenty – o zbyt małym zaludnieniu, by mogły należeć do Zgromadzenia. Nazywaliśmy je planetami peryferyjnymi bądź, potocznie, po prostu skrajem. Moja matka zachęcała poddanych, by traktowali je jak naszych braci i siostry, połączonych tym samym pragnieniem legalnego istnienia w galaktyce. Ojciec prywatnie krzywił się na ten pomysł, powiadał, że Shotet znacznie przerasta potęgą jakiś tam peryferyjny drobiazg.

Widziałam teraz za oknem jedną z tych planet, plamkę światła, zbyt dużą jak na odległą gwiazdę. Jasna wstążka nurtu wyciągała się w jej stronę i otaczała ją jak pas.

– P1104 – powiedziała Yma Zetsyvis, unosząc kubek do ust. – Planeta, na którą patrzysz.

– Byłaś tam? – Czułam się spięta z powodu jej bliskości, ale próbowałam zachować swobodny ton głosu. Rozległa się salwa śmiechu – towarzystwo nagrodziło nim jakiś tekst Vakreza.

– Oczywiście, że nie. Dwaj ostatni władcy Shotet zabraniali podróży na planety skraju. Pragną, słusznie zresztą, zachować dystans między nimi i nami w oczach Zgromadzenia. Nie możemy być kojarzeni z tak marnym towarzystwem, jeśli chcemy, by traktowano nas poważnie.

Mówiła jak zwolenniczka Noaveków. A nawet gorąca apologetka. Dobrze znała scenariusz.

– No tak – powiedziałam. – A więc... Przypuszczam, że przesłuchania nie przyniosły żadnych rezultatów.

– Pozwoliły wyłuskać kilku szeregowych buntowników, ale nikogo z kluczowych graczy. A niestety, nie mamy zbyt wiele czasu.

My? Bez wahania zaliczyła się do grona bliskich popleczników mojego brata. Może naprawdę błagała go o wybaczenie. A może znalazła jakiś inny sposób, by wkraść się w jego łaski.

Wzdrygnęłam się na tę myśl.

– Wiem. Wstęga nurtu jest prawie niebieska. Zmienia się w szybkim tempie – odparłam.

– Właśnie. A więc twój brat musi znaleźć winnego. Ogłosić to publicznie. Pokazać siłę, zanim zaczniesz się żer. Odpowiednia strategia jest niezwykle ważną rzeczą w tak niepewnych czasach.

– A jaką obierze strategię, jeśli nie znajdzie winnego na czas?

Yma zwróciła w moją stronę swój dziwny uśmiech.

– Można by przypuszczać, że już ją znasz. Czy twój brat nie korzysta z twoich umiejętności, mimo wyznaczonego ci *specjalnego zadania*?

Odnosiłam wrażenie, że obie wiemy, czym jest to „specjalne zadanie” – zwykłym kłamstwem.

– Oczywiście – odparłam sucho. – Ale wiesz, ponieważ mam taki tępy umysł, to ciągle o czymś zapominam. Prawdopodobnie dziś rano zapomniałam wyłączyć piec.

– Czuję, że twój brat bez trudu znajdzie podejrzanego na czas – stwierdziła Yma. – Musi po prostu poszukać kogoś do tej roli, prawda?

– Zamierza kogoś zrobić?

Poczułam ciarki na myśl, że niewinna osoba poniesie śmierć, bo Ryzek potrzebuje kozła ofiarnego. I nie byłam pewna, dlaczego tak się tym przejmuję. Kilka miesięcy, nawet tygodni temu, byłoby mi to całkowicie obojętne. Ale w mojej pamięci wciąż tkwiły słowa Akosa: że nie muszę pozostać na zawsze taka, jaka jestem.

Może mogłabym się zmienić. Może nawet już zaczęłam się zmieniać, za sprawą samego przekonania, że jest to możliwe.

Pomyślałam o jednookiej kobiecie, którą puściłam wolno. Miała drobną budowę ciała i charakterystyczne ruchy. Byłam pewna, że potrafiłabym ją odnaleźć.

– Niewielka ofiara dla dobra władzy. – Yma przekrzywiła głowę. – Wszyscy musimy ponosić ofiary dla własnego dobra.

Spojrzałam na nią.

– Jaką ofiarę ty poniosłaś?

Chwyciła mnie za nadgarstek i ścisnęła. Nie posądzałabym jej o taką siłę. Chociaż mój dar nurtu na pewno płonął w jej ciele, nie puszczała, przyciągała mnie coraz bliżej, już czułam jej oddech.

– Odmówiłam sobie przyjemności patrzenia, jak wykrwawiasz się na śmierć – wyszeptała.

Potem puściła mnie i wróciła do swojej grupy, ostentacyjnie kołysząc biodrami. Jej długie jasne włosy zwisały wzdłuż pleców, idealnie gładkie. Z tyłu, w sukni w odcieniu bardzo bladego błękitu, wyglądała jak biała kolumna.

Potałam nadgarstek, czerwony od jej uścisku. Byłam pewna, że zrobi się siniak.

Kiedy weszłam do kuchni, pobrzękiwanie garnków natychmiast ucichło. Na statku pracowała tylko część służby z rezydencji Noaveków, ale rozpoznałam niektóre twarze. I dary – jedna z osób pracujących na zmywaku potrafiła sprawić dotykiem ociekających mydlinami dłoni, że garnki fruwały w powietrzu, inna kroїła warzywa z zamkniętymi oczami, równo i dokładnie.

Otega właśnie wyjmowała coś z chłodziarki. Kiedy zapadła cisza, wyprostowała plecy i wytarła ręce w fartuch.

– Ach, Cyro – powiedziała. – Nikt nie potrafi wywołać takiej ciszy jak ty.



Pozostali patrzyli na nią, zdumieni tym poufałym tonem, a ja tylko się zaśmiałam. Mimo że nie widziałyśmy się od dłuższego czasu – przerosłam jej umiejętności jako nauczycielki i teraz spotykałyśmy się tylko sporadycznie, z reguły w przelocie – bez trudu potrafiła wrócić do dawnego rytmu.

– To wyjątkowy talent – odparłam. – Czy mogłybyśmy porozmawiać na osobności?

– Zadajesz pytanie, a w rzeczywistości wydajesz rozkaz. – Otega uniosła brwi. – Chodź za mną. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że porozmawiamy w schowku na śmieci?

– Czy mam coś przeciwko? Zawsze marzyłam, by spędzić tam trochę czasu – odparowałam i ruszyłam za nią wąskim korytarzem.

W środku tak cuchnęło, że oczy zaszły mi łzami. Smród wydzielający, zdaje się, gnijące skórki owoców i stare okrawki mięsa posypane ziołami. Ledwo starczyło tam miejsca na nas dwie i musiałyśmy stać bardzo blisko siebie. W ścianie tkwiły wielkie drzwi spalarni śmieci, gorące, przez co jeszcze bardziej śmierdziało.

Oddychałam przez usta. Nagle uświadomiłam sobie, że muszę wyglądać w jej oczach na kogoś bardzo miękkiego i rozpieszzonego. Zawsze miałam czyste paznokcie, nosiłam lśniące białe koszule. A naprzeciw mnie stała Otega, w poplamionym jedzeniem ubraniu, o wyglądzie osoby, która z niedożywienia nie osiągnęła rozmiarów właściwych dla swej budowy.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Cyro?

– Jakie to uczucie, wyświadczać mi przysługę?

– Zależy od charakteru przysługi.

– Jeden z jej elementów to konieczność okłamania mojego brata, jeśli kiedykolwiek cię o to zapyta.

Otega skrzyżowała ramiona na piersi.

– Cóż to takiego może być?

Westchnęłam. Wyjęłam z kieszeni nóż, który zabrałam buntownicze, i podałam go Otedze.

– Podczas ataku – powiedziałam – ktoś próbował mnie zabić w pustym odległym korytarzu. Pokonałam napastniczkę, ale potem... puściłam ją wolno.

– Dlaczego to zrobiłaś? Od czasu, jak nurt płynie, nawet twoja matka nie wykazywała się taką dobrocią serca, dziewczyno.

– Ja nie... to nieistotne. – Obróciłam nóż w dłoni. Taśma tworząca rękojęść była lekka i sprężysta, ukształtowana odpowiednio do dłoni właścicielki. Znacznie drobniejszej od mojej. – Ale chcę ją odszukać. Zgubiła ten nóż, wiem, że mogłabyś dzięki niemu ją znaleźć.

Dar nurtu, którym została obdarzona Otega, należał do najdziwniejszych, jakie kiedykolwiek spotkałam. Wystarczyło pokazać jej jakiś przedmiot, a potrafiła wyśledzić właściciela. Moi rodzice tropili w ten sposób ludzi posiadających broń. Raz zlokalizowała osobę, która próbowała otroczyć mojego ojca. Mówiła, że czasem ślad trudno odczytać, na przykład w przypadku, kiedy dwie lub trzy osoby twierdziły, że przedmiot należy do nich. Jeśli w ogóle istniał ktoś zdolny odszukać moją buntowniczkę, to tym kimś była właśnie Otega.

– I nie chcesz, by twój brat się dowiedział – powiedziała.

– Wiesz, co by z nią zrobił. A egzekucja byłaby najłagodniejszą tego częścią.

Otega wyduła wargi. Przypomniałam sobie dotyk jej palców, zaplatających moje włosy pod czujnym okiem matki, przed moją pierwszą Procesją. Szmer zakrwawionego prześcieradła, które ściągnęła z łóżka w dniu, gdy zaczęły się moje cykle, a matka nie mogła mi pomóc, bo już jej nie było.

– Nie powiesz mi, dlaczego chcesz ją znaleźć?

– Nie – odparłam.

– Czy chodzi o prywatną zemstę?

– Gdybym odpowiedziała na to pytanie, w pewnym sensie odpowiedziałabym na poprzednie, a mówiłam, że tego nie zrobię. – Uśmiechnęłam się. – Daj spokój, Otego. Wiesz, że umiem o sobie zadbać. Tylko nie jestem tak okrutna jak mój brat.

– No dobrze, niech będzie. – Wzięła ode mnie nóż. – Muszę spędzić z nim trochę czasu. Przyjdź jutro, tuż przed godziną policyjną. Zaprowadzę cię do właścicielki.

– Dziękuję.

Założyła mi za ucho luźny kosmyk i uśmiechnęła się lekko, by zakamufłować lekkie skrzywienie bólu, wywołane dotykiem.

– Nie jesteś aż taka przerażająca, dziewczyno – powiedziała. – Nie martw się. Nikomu nie powiem.

NA SKRAJU GALAKTYKI BYŁO NIEWIELE GWIAZD. Cyra uwielbiała ten widok, kiedy patrzyła za okno, cienie nurtu uspokajały się. Akos drżał, widząc całą tę przestrzeń, ciemność. Ale zbliżali się do wstęgi nurtu, na brzegu hologramu na suficie widniała fioletowa plamka.

Nurt nie wiódł ich wcale w kierunku Pithy. Cyra i Akos sami się o tym przekonali, tamtego dnia, kiedy poszli odwiedzić Egzaminatorów, którzy wspominali o Ogrze, a nawet o P1104. Ryzek jednak najwyraźniej lekceważył ich zalecenia. Jak stwierdziła Cyra, wybierał planetę, która akurat mogła mu zapewnić najkorzystniejsze przymierze.

Zawsze pukała w charakterystyczny sposób, cztery razy, lekko. Nawet nie musiał podnosić głowy, wiedział, że to ona.

– Musimy się pospieszyć, bo wszystko przegapimy – oznajmiła.

– Zdajesz sobie sprawę, że trzymasz mnie w niepewności? – zapytał z uśmiechem. – Wciąż nie powiedziałaś, o co chodzi.

– Owszem, zdaję sobie sprawę. – Odwzajemniła uśmiech.

Miała na sobie suknię w stonowanym odcieniu błękitu, z rękawami kończącymi się tuż nad łokciem. Wyciągnął rękę i chwycił jej ramię w miejscu, gdzie zaczynała się goła skóra. Pomyślał, że ten kolor niezbyt jej pasuje. Znacznie lepiej wyglądała w fiolecie, jak podczas Święta Wyprawy, czy w ciemnych ciuchach treningowych. Ale z drugiej strony niewiele rzeczy mogło zaszkodzić jej urodzie, i był przekonany, że ona o tym wie. W końcu nie ma co zaprzeczać oczywistej prawdzie.

Maszerowali prędkim krokiem, drogą, którą Akos nigdy dotąd nie szedł. Znaki przymocowane w miejscach, gdzie korytarze się rozwidlały, mówiły, że zmierzaają na pokład nawigacyjny. Wspięli się po wąskich schodkach. Cyra wsunęła dłoń w szczelinę w ścianie. Ciężkie drzwi otworzyły się i powitała ich płaszczyzna ze szkła.

A za nią: przestrzeń kosmiczna. Gwiazdy. Planety. I wstęga nurtu, z każdą chwilą coraz większa i jaśniejsza.

Kilkanaście osób pracowało przy rzędach ekranów umieszczonych wzdłuż szyby. Mieli na sobie czyste uniformy, nieco podobne do shoteckiej zbroi: ciemnogramatowe, o szerokich ramionach, ale zrobione z miękkiej tkaniny, a nie z twardej skóry Pancernego. Jeden ze starszych

mężczyzn spostrzegł Cyrę i uklonił się.

– Panno Noavek – powiedział. – Już myślałem, że tym razem się nie zjawisz.

– Nie darowałabym sobie, Nawigatorze Zyvo – odparła Cyra. Następnie zwróciła się do Akosa: – Przychodzę tu od najmłodszych lat. Zyvo, to jest Akos Kereseth.

– Ach, tak. Słyszałem jedną czy dwie historie na twój temat, Kereseth.

Sądząc po tonie głosu, musiało to być coś więcej niż „jedna czy dwie historie”. Akos zarumienił się ze zdenerwowania.

– Shoteckie usta uwielbiają paplać – powiedziała Cyra. – Szczególnie na temat wybrańców losu.

– Właśnie – zdołał wydusić Akos. Wybrańcy losu. Był jednym z nich, czyż nie? Teraz to określenie brzmiało w jego uszach idiotycznie.

– Możesz zająć swe zwykłe miejsce, panno Noavek – rzekł Zyvo, machając ręką w stronę szklanej ściany, która wyginała się wysoko nad ich głowami, by połączyć się z dachem statku.

Cyra podeszła do szyby. Członkowie załogi wykrzykiwali do siebie polecenia oraz jakieś liczby. Akos nie miał pojęcia, o co chodzi. Cyra usiadła na podłodze i objęła kolana ramionami.

– Co tu robimy?

– Wkrótce statek przetnie wstęgę nurtu – odparła z szerokim uśmiechem. – Nigdy czegoś podobnego nie widziałeś, zapewniam. Ryzek zawsze stoi na pokładzie obserwacyjnym wraz z najbliższymi poplecznikami, ale ja wolę przychodzić tutaj. Nie chciałabym krzyczeć przy jego gościach. Czasem przeżycia są naprawdę... intensywne. Sam się przekonasz.

Z tej odległości wstęga nurtu przypominała chmurę burzową, spuchniętą jednak nie od deszczu, a od koloru. Wszyscy mieszkańcy galaktyki zgadzali się, że istnieje – trudno przeczyć istnieniu czegoś, co wyraźnie widać z powierzchni każdej planety – ale dla różnych ludzi nurt znaczył co innego. Rodzice Akosa wyrażali się o nim jak o przywódcy duchowym, którego nie do końca rozumieją, wiedział jednak, że wielu mieszkańców Shotet, w zależności od sekty, oddaje cześć nurtowi bądź czemuś jeszcze wyższemu, co nim kieruje. Niektórzy

uważali, że to po prostu zjawisko naturalne i nie ma w nim nic nadprzyrodzonego. Akos nigdy nie pytał Cyry, jakie jest jej zdanie.

Już miał to zrobić, ale w tym momencie ktoś zawołał:

– Przygotować się!

Wszyscy chwycili się, czego tylko mogli. Chmura burzowa na przedzie wstęgi nurtu wypełniła szybę i wszyscy, jak jeden mąż – wszyscy prócz Akosa – głęboko westchnęli. Skóra Cyry zrobiła się czarna jak przestrzeń kosmiczna. Zęby, olśniewająco białe na tym tle, zaciskały się mocno, co wyglądało niemal jak uśmiech. Akos wyciągnął rękę, ona jednak pokręciła głową.

Szybę wypełniły spirale intensywnie ciemnego błękitu, ale były tam też nitki w jaśniejszym kolorze, prawie fioletowe, oraz takie o barwie głębokiego granatu. Wstęga nurtu była ogromna, świetlista, i była wszędzie, wszędzie. Jakby otoczyły ich ramiona boga.

Niektórzy ludzie wyciągali ręce w geście religijnego oddania, inni klęczeli, a jeszcze inni przyciskali dłonie do piersi bądź brzuchów. Dłonie jednego z mężczyzn świeciły na niebiesko jak sam nurt, a wokół głowy jednej z kobiet krążyły maleńkie kule podobne do fenzu. Dary nurtu oszalały.

Akos przypomniał sobie Święto Kwitnienia. Ludzie z Thuvhe nie zachowywali się tak... ekspresyjnie jak ci z Shotet podczas odprawiania swoich rytuałów, ale sens był ten sam. Zbierali się, by uczcić coś, co zdarzało się tylko im, ze wszystkich ludów w całej galaktyce, i tylko w pewnym określonym momencie. I czuli ten sam nabożny szacunek, podziw dla wyjątkowego, niezwykłego piękna.

Było powszechnie wiadomo, że ludzie z Shotet podróżują śladem wstęgi nurtu w ramach aktu wiary, ale aż do tej chwili Akos nie rozumiał, po co to robią, domyślał się, że pewnie uznają to za konieczność. Teraz pomyślał, że w chwili, kiedy widzi się nurt z tak bliska, nie można sobie wyobrazić bez tego życia.

Czuł się jednak odizolowany od reszty – nie tylko jako jedyny człowiek z Thuvhe pośród ludu Shotet, lecz również dlatego, że oni odczuwali w sobie szum nurtu, a on nie. Przez niego nurt nie przepływał. Jakby Akos nie był równie prawdziwy jak reszta, jakby nie był równie żywy.

W chwili, kiedy o tym pomyślał, Cyra wyciągnęła rękę w jego stronę. Chwycił ją, by wyzwolić dziewczynę od cieni, i ze zdumieniem dostrzegł łzy w jej oczach – może łzy bólu, a może zachwytu, kto wie.

Nagle powiedziała coś dziwnego. Powiedziała to, wstrzymując oddech, z niemal nabożnym szacunkiem:

– Jesteś jak cisza.

Wrócili do swoich pokoi. Na ekranie leciały wiadomości Zgromadzenia. Widocznie Cyra zapomniała je wyłączyć. Kiedy poszła do łazienki, Akos już miał wyłączyć ekran, gdy nagle zauważył pasek na dole: *Zebranie Wyroczni na Tepes*.

Przysiadł na brzegu łóżka.

Może zobaczy mamę.

Ciągle powtarzał sobie, że mamy i Cisi już nie ma. To było łatwiejsze niż świadomość, że istnieją, a on więcej ich nie zobaczy, z powodu przypisanego mu losu. Jednak nie potrafił wmówić sobie kłamstwa. Były tam, za pasem piórzycy.

Na ekranie pokazały się sceny z Tepes. Była to planeta położona najbliżej słońca, planeta ognia, przeciwieństwo planety lodu, na której mieszkali. Wszyscy musieli tam nosić specjalne kombinezony, inaczej by się poparzyli – tak jak w Hessie nie można było wyjść bez odpowiedniego odzienia z domu w czasie Wytłumienia, bo zamarzłoby się na śmierć. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak jego ciało mogłoby płonąć z gorąca.

„Wyrocznie zabraniają obecności osób niepowołanych podczas sesji, a to nagranie wykonało miejscowe dziecko, po przybyciu ostatnich statków”, mówił głos po othyrsku. Większość emisji odbywała się w tym języku, ponieważ znała go znaczna część mieszkańców galaktyki poza Shotet. „Źródła wewnętrzne sugerują, że wyrocznie zamierzają dyskutować na temat kolejnej serii restrykcji prawnych wprowadzonych przez Zgromadzenie w zeszłym tygodniu. Zgromadzenie najwyraźniej dąży do wymuszenia na wyroczniach obowiązku podawania wszystkich dyskusji do wiadomości publicznej”.

Mama zawsze narzekała, że Zgromadzenie usiłuje ingerować w sprawy wyroczni, musi wszystko mieć pod kontrolą i nie może znieść, że ta jedna rzecz mu się wymyka. I to nie byle jaka rzecz – losy rodzin

wybrańców, przyszłość planet w nieskończonej liczbie wersji. Akos pomyślał, że może odrobina regulacji nie zaszkodzi. Od razu poczuł się jak zdrajca.

Akos nie potrafił odczytać napisów w shotet, tłumaczących tekst mówiony. Rozumiał tylko słowa „wyrocznia” i „Zgromadzenie”. Cyra wspominała, że shotecki znak symbolizujący słowo „Zgromadzenie” wyraża gorycz – Zgromadzenie bowiem nie uznawało ich za osobny naród. Decyzje dotyczące Thuvhe i Shotet, w sprawach handlu, pomocy czy podróży, podejmowała wyłącznie Thuvhe, pozostawiając Shotet na łasce wrogów. Akos domyślał się, że mają powody do rozgoryczenia.

Usłyszał szum wody. Cyra brała prysznic.

Na filmie z Tepes widać było dwa statki. Pierwszy najwyraźniej nie pochodził z Thuvhe – był na to zbyt smukły, zgrabny i idealnie gładki. Wygląd drugiego zaś mógł na to wskazywać, palniki skonstruowano w ten sposób, by były odporne na zimno. System wentylatorów zawsze kojarzył mu się ze skrzelami.

Właz otworzył się i ze środka wyskoczyła dziarska kobieta w odblaskowym kombinezonie. Nikt do niej nie dołączył. A więc to na pewno statek z Thuvhe. Prócz Thuvhe każda z planet miała po trzy wyrocznie. Eijeh siedział w niewoli, a wyrocznia upadająca zginęła podczas najazdu. Została tylko matka Akosa.

Słońce nad Tepes wypełniało niebo, jakby cała planeta stała w ogniu, pełne i nasycone barwą. Powietrze nad ziemią falowało. Kobieta ruszyła w stronę klasztoru, gdzie miało się odbyć spotkanie wyroczni. To była jego mama. Akos rozpoznał ją po sposobie poruszania się. Po chwili znikła za drzwiami, nagranie ucięto, by przejść do problemu głodu na jednym z dalszych księżyców.

Sam nie wiedział, co czuje. Po raz pierwszy od dawna zobaczył bliską osobę, kawałek domu. Ale zarazem osobę, która nie ostrzegła własnej rodziny o nadchodzących wydarzeniach. Nawet jej wtedy z nimi nie było. Pozwoliła, by zabito jej męża, by upadająca wyrocznia poświęciła życie, by porwano jej syna – który teraz stał się najskuteczniejszą bronią w rękach Ryzeka – zamiast ofiarować za niego samą siebie. *Przekłęte losy*, pomyślał Akos. Nie sprawdziła się w roli matki.



Cyra otworzyła drzwi do łazienki, by wypuścić parę, i przerzuciła włosy na jedno ramię. Miała na sobie ciemny strój treningowy.

– Co jest? – zapytała. Pobiegnęła wzrokiem za spojrzeniem Akosa. – O. Widziałeś ją?

– Chyba tak.

– Przykro mi. Wiem, że wolisz unikać tęsknoty za domem.

To nie było odpowiednie słowo. Nie czuł tęsknoty, czuł się zagubiony – zagubiony pośród nicości, pośród ludzi, których nie rozumiał, bez nadziei na uwolnienie brata, chyba że zdoła zamordować Suzao Kuzara, jak tylko znów będzie to legalne.

Nie powiedział jednak tego wszystkiego.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Nigdy nie rozmawiamy w thuvhe, chociaż wiesz, że znam ten język. – Uniosła ramię. – Z tego samego powodu ja nie trzymam żadnych portretów matki. Czasem lepiej po prostu... iść do przodu.

Cyra wróciła do łazienki. Patrzył, jak zbliża twarz do lustra, by wycisnąć wyprysk na brodzie. Ochlapuje wodą czoło i szyję. Te wszystkie zwykłe czynności – Akos uświadomił sobie, że wszystkie je zna, tyle że dopiero teraz zwrócił na nie uwagę. Zrozumiał, że zna ją.

I że ją lubi.

– CHODŹMY – POWIEDZIAŁA OTEGA, kiedy wieczorem spotkałam się z nią w umówionym miejscu. Ścisnęła w dłoni nóż, widziałam białą taśmę między jej palcami. Znalazła moją buntowniczkę.

Nasunęłam kaptur na głowę i ruszyłam za nią. Specjalnie ubrałam się tak, by mnie nie rozpoznano – spodnie wetknięte w wysokie buty, kurtka z długimi rękawami, zakrywającymi całe ręce, kaptur ocieniający twarz. Nie wszyscy w Shotet wiedzieli, jak wygląda moja twarz, w przeciwieństwie do twarzy Ryzeka nie pojawiała się bowiem w każdym budynku użyteczności publicznej i różnych pełniących ważne funkcje pomieszczeniach, ale wystarczyłoby, gdyby ktoś dostrzegł cienie nurtu rozlane na moim policzku czy na szyi. A dzisiaj nie chciałam, by ktokolwiek mnie rozpoznał.

Opuściliśmy skrzydło Noaveków, minęliśmy sale treningowe, basen – gdzie młodzi mieszkańcy Shotet uczyli się pływać, przygotowując się do pobytu na planecie wody – kafenię pachnącą przypalonym chlebem i rząd szafek gospodarczych. Znalazłyśmy się na pokładzie maszynowym. Ortega zwolniła kroku i mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści noża.

Z powodu silników panował tu taki hałas, że gdybyśmy chciały się usłyszeć, musiałybyśmy głośno krzyżeć. Pachniało smarem.

Otega zaprowadziła mnie do kwater zajmowanych przez obsługę techniczną, niedaleko strefy załadunkowej. Znalazłyśmy się w długim wąskim korytarzu, wzdłuż którego po obu stronach gęsto biegły drzwi oznaczone imionami, niektóre ozdobione były sznurami światełek fenzu czy małnkimi latarenkami z żarków w przeróżnych kolorach, kolażami zabawnych rysunków na papierze technicznym czy ziarnistymi zdjęciami rodziny i przyjaciół. Czułam się, jakbym wkroczyła do innego świata, oddzielnego i różnego od tego, który znałam jako Shotet. Żałowałam, że nie ma ze mną Akosa. Na pewno by mu się spodobało.

Otega zatrzymała się przy skromnie udekorowanych drzwiach prawie na końcu korytarza. Nad imieniem „Surukta” przyczepiono za pomocą metalowej ozdoby pęk suchej piórzycy, a niżej kilka stron z czegoś, co wyglądało na podręcznik czy instrukcję obsługi w obcym

języku. Chyba pithyjskim. Kontrabanda – posiadanie obcojęzycznych dokumentów w jakimkolwiek innym celu niż przetłumaczenie na zlecenie rządu było zabronione. Najwyraźniej tu na dole nikt nie pilnował przestrzegania przepisów. Osoby nieistotne dla Ryzeka Noaveka mogły cieszyć się pewną swobodą.

– Tu mieszka – powiedziała Otega i postukała we drzwi ręką nożem. – Ale w tej chwili jej nie ma. Śledziłam ją rano.

– W takim razie zaczekam. Dziękuję ci za pomoc, Otego.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Uważam, że za rzadko się widzimy.

– No to mnie odwiedzaj.

Pokręciła głową.

– Granica oddzielająca mój świat od twojego jest bardzo szeroka. – Podała mi nóż. – Bądź ostrożna.

Odprowadziłam ją uśmiechem, a kiedy zniknęła za rogiem na końcu korytarza, nacisnęłam klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz – lokatorka pewnie wyszła tylko na chwilę.

Tak małego mieszkańca nie widziałam jeszcze nigdy w życiu. W jednym kącie upchnięto umywalkę, w drugim łóżko. Pod nim leżała skrzynia pokryta kabelkami, przełącznikami i pokrętłami. Do przymocowanego na ścianie magnetycznego panelu przyczepiono przeróżne narzędzia, tak maleńkie, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak się ich używa. Obok łóżka wisiało zdjęcie.

Pochyliłam się, by mu się przyjrzeć. Przedstawiało młodą dziewczynę z długimi jasnymi włosami, obejmującą kobietę o włosach tak srebrzystych, że lśniły jak srebrna moneta. Obok stał chłopiec pokazujący język, z tyłu zaś jeszcze kilka osób, w większości również jasnowłosych, widocznych niezbyt wyraźnie.

Surukta. Czyżbym znała to nazwisko czy tylko mi się wydawało?

Drzwi się otworzyły.

Była niska i szczupła, tak jak zapamiętałam. Miała na sobie workowaty kombinezon rozpięty do pasa, a pod spodem koszulkę bez rękawów. Jasne lśniące włosy nosiła związane z tyłu. Jedno oko przesłaniała opaską.

– Co...

Szttywno rozcapierzyła palce. Coś tkwiło w tylnej kieszeni – jakieś narzędzie. Patrzyłam, jak zbliża do niego rękę, powoli, próbując ukryć przede mną ten ruch.

– Dalej, wyciągnij ten śrubokręt czy co tam masz – powiedziałam.  
– Z przyjemnością pokonam cię po raz drugi.

Opaska na oku była czarna i źle dopasowana, za duża do jej twarzy. Widoczne oko miało kolor intensywnego błękitu, tak jak zapamiętałam z naszego spotkania.

– To nie śrubokręt, to klucz francuski – odparła. – Co sprowadza Cyrę Noavek w moje skromne progi?

Jeszcze nigdy nie słyszałam, by ktoś wypowiedział moje nazwisko z takim jadem. Poczułam się wyróżniona.

Miała tak zaskoczoną minę, że gdybym nie była pewna, że to jej szukam, dałabym się nabrać. Mimo tego, co twierdził Ryzek, potrafiłam odczytywać subtelności.

– Nazwisko? – spytałam.

– Włamałaś mi się do mieszkania i jeszcze pytasz o nazwisko? – Weszła do środka i zamknęła drzwi.

Była ode mnie o głowę niższa, lecz ruchy miała mocne i zdecydowane. Nie wątpiłam, że jest zdolną wojowniczką, pewnie dlatego buntownicy posłali ją do mnie tamtej nocy. Zastanawiałam się, czy miała mnie zabić. Ale w gruncie rzeczy nie było to takie ważne.

– Będzie szybciej, jeśli zdradzisz swoje nazwisko.

– Teka Surukta.

– Dobrze, Teko Surukta. – Położyłam nóż na brzegu umywalki. – To chyba należy do ciebie. Chciałam ci to zwrócić.

– Nie... nie wiem, o czym mówisz.

– Nie wydałam cię tamtej nocy, więc dlaczego uważasz, że teraz cię wydam? – Próbowałam rozluźnić ciało, tak jak ona, lecz wydawało mi się to nienaturalne.

Matka i ojciec nauczyli mnie, by zawsze stać prosto, kolana razem, dłonie złożone. Jeśli jesteś Noavekiem, nie przydarzają ci się okazje do swobodnej konwersacji, więc nigdy nie opanowałam tej sztuki.

Już nie miała zdziwionej miny.

– Wiesz, może powinnaś nosić jedno ze swoich narzędzi zamiast

tego... czegoś – powiedziałam, wskazując na misterne przedmioty przyłączone do panelu magnetycznego. – Wyglądają na ostre jak igła.

– Są zbyt cenne – odparła Teka. – Czego chcesz ode mnie?

– To chyba zależy od tego, co z was za ludzie, ty i twoja banda buntowników. – Wokół rozbrzmiewało kapanie wody i skrzypienie rur. Śmierdziało wilgocią i stęchlizną, jak w grobowcu. – Jeśli w ciągu kolejnych dni przesłuchania nie przyniosą rezultatu, mój brat wybierze przypadkową osobę i skaze ją na śmierć. Zapewne niewinną osobę. Nie obchodzi go to.

– Jestem w szoku, że ciebie obchodzi. Sądziłam, że jesteś sadystką.

Poczułam ostry ból, cienie nurtu zalały mój policzek i skroń. Widziałam je kątem oka, z trudem opanowałam grymas, ból przeszywał moje zatoki.

– Zapewne wszyscy znaliście potencjalne konsekwencje swoich czynów, zanim zaangażowaliście się w te działania, cokolwiek mają one na celu – powiedziałam, ignorując komentarz. – Osoba, którą wybierze mój brat, nie podejmowała takiego ryzyka. Zginie, ponieważ wy postanowiliście zrobić psikusa Ryzekowi Noavekowi.

– Psikusa? – powtórzyła Teka. – Tym według ciebie jest ogłoszenie prawdy? Ja bym nazwała to raczej destabilizacją reżimu, pokazaniem, że możemy kontrolować ruchy statku.

– Dla naszych celów tak bym to nazwała – odparłam. Cienie przesunęły się w górę moich ramion i oplotły obojczyki, przebijając przez białą tkaninę bluzki. Teka wodziła za nimi wzrokiem. Drgnęłam. – Jeśli nie chcesz skazać na śmierć niewinnej osoby, proponuję, byś pod koniec dzisiejszego dnia podała mi nazwisko prawdziwego winowajcy. A jeśli jest ci to obojętne, Ryzek wybierze swoją ofiarę. Decyzja należy do ciebie. Mnie jest wszystko jedno.

Rozplotła ramiona skrzyżowane na piersi i odwróciła się.

– Niech to – prychnęła.

Kilka minut później szłam za Teką Suruktą tunelem technicznym w kierunku strefy załadunkowej. Podskakiwałam przy każdym najdrobniejszym dźwięku, każdym skrzypnięciu, co znaczyło, że podskakiwałam niemal bez przerwy. W tej części statku było głośno, chociaż znajdowała się daleko od kwater mieszkalnych.

Weszliśmy na metalową kładkę, która była tak wąska, że mogły zmieścić się na niej obok siebie wyłącznie dwie szczupłe osoby z wciągniętymi brzuchami. Kładka wisiała nad maszynami, zbiornikami z wodą, piecami i silnikami napędzanymi nurtem, czyli urządzeniami, które sprawiały, że statek posuwał się do przodu i nadawał się do zamieszkania. Gdybym zgubiła się w tym labiryncie, nigdy nie znalazłabym drogi powrotnej.

– Wiesz – powiedziałam – jeśli twój plan polega na tym, że zabierzesz mnie jak najdalej od części zamieszkaanej przez ludzi i tam mnie zabijesz, to ostrzegam, że może się to okazać trudniejsze, niż przypuszczasz.

– Najpierw wolałabym się przekonać, co zamierzasz – odparła. – Nie jesteś taka, jak myślałam.

– A kto jest? – powiedziałam ponuro. – Pewnie tylko straciłabym czas, pytając, jak zdołałaś wyłączyć światła na statku.

– Nie, to proste. – Zatrzymała się i przytknęła dłoń do ściany. Przymknęła oczy, a wtedy światło nad naszymi głowami, zamknięte w ochronnej metalowej klatce, zamrugało. Raz, potem trzy razy. W tym samym rytmie, który słyszałam podczas ataku.

– Potrafię zakłócić działanie każdej rzeczy napędzanej nurtem – dodała. – Dlatego pracuję w dziale technicznym. Niestety ta sztuczka ze światłem działa tylko na statku, wszystkie światła w Voi to fenzu bądź żarki, w ich przypadku jestem bezużyteczna.

– W takim razie pewnie najbardziej podoba ci się na statku.

– W pewnym sensie. Ale jest trochę klaustrofobicznie, kiedy mieszka się w pokoju rozmiarów szafy.

Dotarliśmy na otwartą przestrzeń. Ujrzałam kratę rozciągniętą nad jednym z konwerterów tlenu, które mierzyły dwa razy tyle wysokości co ja i trzy razy tyle szerokości. Przetwarzały wydychany przez nas dwutlenek węgla, zasysany przez wentylatory, w jakimś skomplikowanym procesie, którego nie potrafiłam pojąć. Podczas poprzedniej wyprawy próbowałam przeczytać książkę na ten temat, ale język okazał się zbyt techniczny. Cóż, nie wszystko byłam w stanie opanować.

– Zostań tu – powiedziała Teka – a ja po kogoś pójde.

– Mam tu zostać? – zapytałam, ale jej już nie było.

Tak więc czekałam, czując, jak krople potu zbierają się na moim karku. Słyszałam kroki Teki, ale z powodu echa nie potrafiłam określić, w którym kierunku poszła. Czy przyprowadzi ze sobą bandę buntowników, by dokończyć to, co zaczęła tamtego wieczoru? A może była szczerą, mówiąc, że już nie chce mnie zabić? Wpakowałam się w tę sytuację, niewiele myśląc o własnym bezpieczeństwie, i nawet nie wiedziałam, co mną kieruje – jedynie, że nie miałam ochoty patrzeć na egzekucję niewinnej osoby, podczas gdy winnych nie brakowało, tylko gdzieś się ukryli.

Usłyszałam stukot kroków na metalowych schodach, odwróciłam się i zobaczyłam starszą kobietę, wysoką i chudą. Jej długie włosy lśniły jak bok pojazdu transportowego. Rozpoznałam w niej kobietę ze zdjęcia w pokoju Teki.

– Witaj, panno Noavek – powiedziała. – Nazywam się Zosita Surukta.

Zosita miała na sobie takie samo ubranie jak jej córka, tyle że zawinęła nogawki ponad kostki. Jej czoło znaczyły głębokie zmarszczki. Miała w sobie coś, co przypominało mi matkę, była tak samo wytworna, elegancka i niebezpieczna. Niełatwo mnie onieśmielić, ale Zosita tego dokonała. Moje cienie poruszały się szybciej niż zwykle, jak oddech, jak krew.

– Czy ja cię skądś znam? – spytałam. – Twoje nazwisko brzmi znajomo.

Zosita przekrzywiła głowę jak ptak.

– Nie wyobrażam sobie, w jakich okolicznościach miałabym poznać Cyrę Noavek.

Nie wierzyłam jej. Było coś takiego w jej uśmiechu.

– Czy Teką powiedziała ci, z jakiego powodu tutaj jestem? – spytałam.

– Tak. Chociaż jeszcze nie wie, co zamierzam zrobić. Otóż postanowiłam przyznać się do winy.

– Prosząc ją o nazwisko winnego – odparłam i z trudem przełknęłam ślinę – nie wiedziałam, że może chodzić o jej matkę...

– Każdy z nas jest gotów zmierzyć się ze skutkami swoich czynów

– odparła Zosita. – Wezmę na siebie pełną odpowiedzialność za atak i z pewnością wydam się wiarygodna, ponieważ jestem banitką. Uczyłam shoteckie dzieci othyrskiego.

Niektórzy ze starszych mieszkańców Shotet znali inne języki, zanim wprowadzono zakaz. Mój ojciec i Ryzek nic nie mogli na to poradzić – nie można przecież zmusić nikogo, żeby się czegoś oduczył. Wiedziałam, że niektórzy udzielają lekcji, ryzykując karę banicji, ale nigdy dotąd nie spotkałam takiej osoby.

Przechyliła głowę, tym razem w drugą stronę.

– Oczywiście to ja mówiłam wtedy przez interkom – dodała Zosita.

– Wiesz... – odchrząknęłam. – Wiesz, że Ryzek skaże cię na śmierć. Na publiczną egzekucję.

– Jestem tego świadoma, panno Noavek.

– Rozumiem. – Skrzywiłam się, bo cienie znów rozlały się na mojej skórze. – Jesteś gotowa znieść przesłuchanie?

– Zakładam, że nie będzie mnie przesłuchiwał, jeśli sama się zgłoszę – odparła, unosząc brwi.

– Interesuje go kolonia banitów. Będzie chciał wyciągnąć od ciebie wszelkie możliwe informacje, zanim... – Słowa „wykona egzekucję” utkwiły mi w gardle.

– Zanim mnie zabije – dokończyła za mnie Zosita. – A to dopiero, panno Noavek. Nie potrafisz wypowiedzieć tych słów? Jesteś aż tak miękka?

Spojrzała na ochraniacz zasłaniający moje lewe ramię.

– Nie – warknęłam.

– To nie obelga – odezwała się Zosita, nieco łagodniejszym tonem.

– Miękkie serca sprawiają, że warto żyć na tym świecie.

Niespodziewanie pomyślałam o Akosie, o tym, jak odruchowo wyszeptał przeprosiny w swoim języku, kiedy otarł się o mnie w kuchni. Tamtej nocy odtwarzałam w pamięci jego miękkie słowa, jak muzykę, której nie można wyrzucić z głowy. Teraz też powróciły, z tą samą łatwością.

– Wiem, jak to jest stracić matkę – powiedziałam. – Nikomu tego nie życzę, nawet buntownikom, których właściwie nie znam.

Zosita zaśmiała się, potrząsając głową.



– Co? – rzuciłam defensywnie.

– Cóż... świętowałam śmierć twojej matki – odparła. Zrobiło mi się zimno. – Tak jak świętowałam śmierć twego ojca. I tak jak świętowałabym śmierć twego brata. Być może nawet twoją. – Przesunęła palcami po metalowej balustradzie. Wyobraziłam sobie ślady palców jej córki, odcisnięte tam kilka minut wcześniej, a teraz wymazane jej dotykiem. – Dziwnie jest uświadomić sobie, że twoi najwięksi wrogowie mają kochającą rodzinę.

*Nie znałaś mojej matki*, miałam ochotę krzyknąć. Tak jakby miało znaczenie, teraz czy w ogóle, co ta kobieta sądzi na temat Yliry Noavek. W tym momencie osoba Zosity już bladła w moim umyśle, tak jak jej cień. Kroczyła w stronę swego wyroku. I za co? Za cios wymierzony w mojego brata? Dwie osoby zginęły z ręki Vasa podczas ataku. Czy to było warte ich życia?

– Czy ta sprawa jest tego warta? – spytałam głośno. – Warta poświęcenia życia?

Na jej twarzy wciąż widniał ten dziwny uśmiech.

– Kiedy uciekłam z Shotet – odparła – twój brat wezwał wszystkich członków mojej rodziny do swego domu. Zamierałam sprowadzić dzieci do siebie, jak tylko znajdę bezpieczne miejsce, ale on był szybszy. Zabił mojego najstarszego syna i wyłupił oko córce za zbrodnie, w których nie brali udziału. – Znów się zaśmiała. – Widzisz, nawet nie jesteś zaszokowana. Cóż, bez wątplenia widziałas, jak robi znacznie gorsze rzeczy, a wcześniej, jak robi je wasz ojciec. Tak, to jest tego warte. Podobnie jak było warte dla tych dwóch osób, które zginęły w walce z pełnomocnikiem twego brata. Nie sądzę, byś była w stanie to zrozumieć.

Przez długą chwilę stałyśmy w milczeniu, ciszę zakłócały jedynie szумы w rurach i dalekie kroki. Czułam się zbyt oszołomiona i zbyt zmęczona, by ukryć grymasy bólu wywołane działaniem nurtu.

– By udzielić ci odpowiedzi: tak, potrafię znieść przesłuchanie – dodała Zosita. – A czy ty potrafisz kłamać? – Znów krzywo się uśmiechnęła. – To chyba głupie pytanie. Czy *zechcesz* skłamać?

Zawahałam się.

Kiedyż to stałam się osobą pomagającą buntownikom? Przed

chwilą powiedziała, że cieszyłaby się z mojej śmierci. Ryzek przynajmniej chciał mnie zachować przy życiu – a jak postąpiliby ze mną buntownicy, gdyby zdołali pokonać mojego brata?

Nie wiem dlaczego, ale jakoś mnie to nie obchodziło.

– Opowiadam kłamstwa lepiej niż prawdę – odparłam.

Był to cytat z jakiegoś wiersza, który przeczytałam kiedyś na murze budynku podczas jednej z wycieczek z Otegą. *Jestem z Shotet. Jestem ostra jak odłamek szkła i tak samo krucha. Opowiadam kłamstwa lepiej niż prawdę. Widzę całą galaktykę, ale nigdy jej nie dostrzegam.*

– W takim razie chodźmy – powiedziała Zosita.

AKOS POCHYLIL SIĘ NAD STOJĄCYM na ogniu garnkiem i wciągnął w nozdrza nieco żółtych oparów. Świat dokoła zamazał się, a jego głowa opadła ciężko. Tylko na jeden tyk, zaraz wziął się w garść.

*A więc wystarczająco mocne, pomyślał. Świetnie.*

Poprosił Cyrę, by zdobyła trochę liści sendesu, by wzmocnić działanie wywaru. Udało się – wypróbował go poprzedniego wieczoru i po wypiciu tak błyskawicznie zapadł w sen, że książka, którą czytał, wysunęła mu się z rąk.

Wyłączył palnik, żeby eliksir się schłodził. Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Spojrzał na zegar. W Thuvhe był bardziej świadomy rytmu świata, ciemności w czasie Wytlumienia i jasności w czasie Przebudzenia, tego, jak dzień zamyka się niczym powieka. Tutaj, bez przewodnika w postaci zachodów i wschodów słońca, zawsze musiał sprawdzać czas. Godzina siedemnasta. Pora na Joreka.

Otworzył drzwi. Strażnik spojrział na niego z podejrzliwą miną. Jorek stał za jego plecami.

– Kereseth – powiedział strażnik. – Ten tutaj twierdzi, że jesteście umówieni.

– Zgadza się – odparł Akos.

– Nie wiedziałem, że możesz przyjmować gości – dodał strażnik z krzywym uśmiechem. – W końcu to nie twoje mieszkanie, prawda?

– Nazywam się Jorek *Kuzar* – powiedział Jorek z naciskiem na nazwisko. – Więc. Odczep. Się. Od. Niego.

Strażnik, unosząc brwi, zmierzył wzrokiem kombinezon roboczy Joreka.

– Traktuj go ulgowo, *Kuzar* – powiedział Akos. – Ma najnudniejszą robotę na świecie: pilnowanie Cyry Noavek.

Akos wszedł z powrotem do swego pokoiku. Powietrze wypełniał specyficzny zapach, jakby liści i słodu. Zapach lekarstw. Akos zanurzył palec w miksturze. Nadal była ciepła, lecz już na tyle schłodzona, by wlać ją do fiolki. Wytarł palec w spodnie, by środek nie wchłonął się przez skórę. Zaczął szukać w szufladach czystego pojemnika.

Jorek zatrzymał się tuż przy drzwiach i patrzył, obejmując dłonią

kark, swoim zwykłym gestem.

– Co? – zapytał Akos. Wyjął zakraplacz i wsadził w miksturę.

– Nic, po prostu... Nie spodziewałem się, że tak wygląda pokój Cyry Noavek.

Akos mruknął coś pod nosem – on też się nie spodziewał – i przy pomocy zakraplacza wlał żółty płyn do fiołki.

– Naprawdę nie śpicie w jednym łóżku – stwierdził Jorek.

Akos, cały czerwony, rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Nie. Bo co?

– Plotki. – Jorek wzruszył ramionami. – Mieszkacie razem.

Dotykacie się.

– Pomagam jej, przynoszę ulgę w bólu – odparł Akos.

– A twoim przeznaczeniem jest umrzeć dla Noaveków.

– Dzięki, prawie bym zapomniał – warknął Akos. – Chcesz, żeby ci pomóc czy nie?

– Tak. Przepraszam. – Jorek odchrząknął. – To jak, ten sam plan?

Raz już to zrobili. Jorek podał Suzao środek usypiający, po którym ten zasnął w połowie śniadania. Teraz szalał, szukał winnego, który podał mu truciznę i publicznie ośmieszył. Akos przypuszczał, że niewiele potrzeba, by wywołać gniew Suzao i doprowadzić do tego, by wyzwał go na pojedynek na śmierć i życie – Suzao nie był bowiem szczególnie rozsądny. Akos nie chciał jednak ryzykować, dlatego ustalili, że Jorek powtórzy akcję ze środkiem usypiającym, tak na wszelki wypadek. To powinno doprowadzić Kuzara do szału. Kiedy żer się skończy, Akos przyzna się do winy i stanie do walki na arenie.

– Wlej mu to do leków na dwa dni przed żerem – powiedział Akos.

– Zostaw drzwi do jego mieszkania uchylone, by wyglądało, że zrobił to ktoś z zewnątrz, i by nikt cię nie podejrzewał.

– Jasne. – Jorek wziął fiołkę i kciukiem sprawdził korek. – A potem...

– Wszystko jest pod kontrolą. Kiedy zakończy się żer, powiem twojemu ojcu, kto potajemnie podał mu truciznę, on wyzwie mnie na pojedynek, a ja... zakończę sprawę. Pierwszego dnia, jak tylko zawody znów będą legalne. W porządku?

– W porządku. – Jorek zagryzł wargi. – Dobrze.

– A co u twojej mamy?

– Em... – Jorek odwrócił wzrok, spojrział na zmiętą pościel i sznur latarenek z żarków nad łóżkiem Cyry. – Da radę.

– Doskonale – potwierdził Akos. – Lepiej już idź.

Jorek wsunął fiolkę do kieszeni. Wyglądał, jakby wcale nie miał ochoty odejść – zwlekał, wciąż stał przy blacie, przesuując po nim opuszką palca, która pewnie już się kleiła. Akos i Cyra nie za bardzo dbali o porządki. Wreszcie Jorek otworzył drzwi. Stali za nimi Eijeh i Vas. Włosy Eijeha tak urosły, że nosił je związane z tyłu. Wyglądał na starszego od Akosa o dziesięć pór, a nie o dwie. Akos miał wielką ochotę chwycić go za rękę i rzucić się wraz z nim do ucieczki. Oczywiście nie miał pojęcia, co byłoby potem, znajdowali się przecież na statku kosmicznym wielkości miasta, gdzieś na obrzeżach galaktyki. Ale i tak miał na to wielką ochotę. Pragnął wielu rzeczy, których nie mógł dostać.

– Jorek – powiedział Vas. – Interesujące, że cię tu spotykam. W jakiej sprawie przyszedłeś?

– Trenujemy razem zapasy – odparł Jorek bez wahania. Był dobrym kłamaczą. Akos domyślał się, że pewnie nie miał wyjścia, dorastając w takiej rodzinie, pośród takich ludzi. – Chciałem tylko spytać, czy Kereseth nie ma chęci na kolejną rundkę.

– Zapasy. – Vas zaśmiał się. – Z tym tutaj? Poważnie?

– Każdy ma jakieś hobby – wtrącił Akos od niechcena. – Może jutro, Jorek. Właśnie coś przyrządzam.

Jorek pomachał i odszedł szybkim krokiem. Akos zaczekał, aż zniknie za rogiem, i odwrócił się w stronę Vasa i Eijeha.

– Matka cię tego nauczyła? – spytał Eijeh, ruchem głowy wskazując na żółte opary wciąż unoszące się nad palnikiem.

– Tak. – Akos się zarumienił i cały drżał, chociaż nie miał przecież powodów, by bać się własnego brata. – *Mama* mnie nauczyła.

Eijeh nigdy wcześniej nie mówił „matka”. Takiej formy używały tylko zarozumiałe bachory z Shissy i Shotet – ale nie dzieciaki w Hessie.

– Jak miło z jej strony, że cię przygotowała. Szkoda, że nie odczuła tej samej potrzeby w stosunku do mnie. – Eijeh wszedł do pokoju Akosa, musnął palcami sztywno naciągniętą pościel i równy stos książek,

zupełnie jakby je zaznaczał. Wyjął nóż przytroczony do pasa, zakręcił nim na dłoni i przytrzymał kciukiem. Akos uznałby ten gest za groźbę, gdyby nie widział go tyle razy u Ryzeka.

– Może nie sądziła, że ta przyszłość nastąpi. – Sam w to nie wierzył. Ale nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

– Przeciwnie. Wiem na pewno, że dobrze wiedziała, co nas spotka. Miałem wizję, jak o tym mówi.

Eijeh nigdy nie rozmawiał z nim o swoich wizjach, nigdy nie miał ku temu okazji. Akos nie umiał sobie tego wyobrazić. Przyszłość zagładająca w teraźniejszość. Tyle możliwości, że kręciło się w głowie. Widzieć swą rodzinę, ale nie wiedzieć, czy te obrazy się spełnią. Widzieć losy najbliższych i nie mieć na nie wpływu.

Chociaż dla Eijeha to już nie miało znaczenia.

– Cóż – powiedział Akos – powinniśmy wrócić do domu i sami ją o to zapytać.

– Mnie tu się podoba – odparł Eijeh. – I przypuszczam, że tobie też, sądząc po tym, jak... się urządziłeś.

– Mówisz teraz tak jak on. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Mówisz jak *Ryzek Noavek* – człowiek, który zabił tatę. Możesz darzyć mamę nienawiścią, jeśli tak ci się podoba, ale na pewno nie czujesz nienawiści w stosunku do taty.

Oczy Eijeha zaszyły lekką mgłą. Nie, nie stały się całkiem puste, ale patrzyły gdzieś w dal.

– Ja nie... Zawsze pracował. Nigdy nie było go w domu.

– Zawsze był w domu. – Akos wyrzucił z siebie te słowa jak coś zepsutego. – Gotował obiady. Sprawdzał nasze prace domowe. Opowiadał historie. Nie pamiętasz?

Znał już odpowiedź. Widział ją w pustych oczach Eijeha. Oczywiście, *oczywiście* Ryzek zabrał wspomnienia Eijeha o tacie – widać jego własny ojciec przepełniał go taką grozą, że ukradł sobie innego.

Nagle dłonie Akosa zacisnęły się na koszulce Eijeha. Pchnął go na ścianę, przewracając przy tym stojące rzędem fiolki. Eijeh wydawał się taki drobny w jego uścisku, taki lekki, tak łatwo było go podnieść. To, bardziej niż brak reakcji, sprawiło, że Akos niemal natychmiast go

puścił.

*Kiedy ja tak urosłem?*, pomyślał, spoglądając na swoje grube knykcie. Palce długie jak u taty, ale grubsze. Dobre do bicia ludzi.

– Nauczyła cię brutalności? – Eijeh poprawił koszulkę. – Myślisz, że jeśli czegoś nie pamiętam, zdołasz to ze mnie wydobyć siłą?

– Gdybym mógł, już bym to zrobił. – Akos cofnął się o krok. – Zrobiłbym wszystko, żebyś go pamiętał. – Odwrócił się i przesunął dłonią po karku, tak jak Jorek. Nie mógł dłużej patrzeć na Eijeha, nie mógł znieść widoku tych dwóch w swoim pokoju. – Po co przyszedłeś? Chcesz czegoś?

– Przyszliśmy z dwóch powodów – odparł Eijeh. – Po pierwsze, istnieje mieszanka lodokwiatów, która rozjaśnia umysł. Muszę skryzalizować kilka moich wizji. Pomyślałem, że może potrafisz ją przyrządzić.

– A więc Ryzek jeszcze nie odebrał ci daru nurtu.

– Na razie jest zadowolony z mojej pracy.

– Oszukujesz samego siebie, jeśli sądzisz, że będzie wolał obdarzać cię zaufaniem niż posiadać twoją moc – powiedział cicho Akos. Musiał oprzeć się o blat, bo nogi odmawiały mu posłuszeństwa. – Jeśli to w ogóle tak działa. A co do mikstury... cóż. Nigdy nie dostaniesz ode mnie czegoś, co mogłoby doprowadzić do wojny przeciwko Thuvhe. Wolałbym umrzeć.

– Cóż za jad – wtrącił się Vas.

Kiedy Akos podniósł wzrok, Vas stukał palcami o czubek noża.

Akos niemal zapomniał o jego obecności. Na dźwięk tego głosu jego serce wykonało salto. Zamrugał. Widział tylko jeden obraz: Vas wychodzi z ich domu w Thuvhe, wycierając krew taty w spodnie.

Teraz podszedł do palnika i wciągnął w nozdrza resztki żółtych oparów. Przez chwilę stał tak pochylony, potem machnął nożem i przycisnął ostrze do gardła Akosa. Akos zmusił się, by stać spokojnie, serce wciąż waliło jak oszalałe. Czubek noża był zimny.

– Niedawno podano truciznę mojemu kuzynowi – powiedział.

– Nie interesują mnie twoi kuzyni – odparował Akos.

– Ten jeden pewnie jednak tak. Suzao Kuzar. Był przy tym, jak twój ojciec wydał ostatnie tchnienie.

Akos zerknął na Eijeha. Na co liczył? Że brat stanie w jego obronie? Że zareaguje na oskarżycielskie słowa?

– Cyra cierpi na bezsenność – wyjaśnił Akos, niespokojnie poruszając rękami opuszczonymi wzdłuż boków. – Potrzebuje silnych mieszanek. Właśnie taką przyrządzałem.

Czubek ostrza zagłębił się w skórę Akosa, tuż nad blizną po ranie zadanej przez Ryzeka.

– Vas – powiedział Eijeh ostrym tonem. Czyżby się denerwował? Akos wiedział, że to próżna nadzieja. – Nie możesz go zabić, Ryzek by ci nie pozwolił. Przestań się wygłupiać.

Vas mruknął i zabrał nóż. Akos rozluźnił napięte mięśnie.

– Czy dzisiaj jest może jakieś shoteckie święto, podczas którego odwiedza się znieawidzone osoby, żeby gorzej się poczuły? – Starł zimny pot na karku. – Ja go w każdym razie nie obchodzę. Zostawcie mnie w spokoju.

– Macie się zjawić na przesłuchaniu buntowniczkii, która przyznała się do winy – odparł Vas. – Ty i Cyra.

– A po co ja mam w tym uczestniczyć?

Vas przekrzywił głowę. Na jego twarz wypełził uśmiech.

– Jesteś tutaj, by przynosić Cyrze ulgę w bólu. Przypuszczam, że właśnie po to jesteś potrzebny.

– Tak – powiedział Akos. – Pewnie właśnie po to.

Vas schował nóż do pochwy – doskonale wiedział, że nie będzie go potrzebował, by nakłonić Akosa do posłuszeństwa. W końcu znajdowali się na statku. W kosmosie.

Akos włożył buty i ruszył za Vasem. Eijeh szedł na końcu. Akos wiedział, że przyrządzona przez niego mikstura nabierze odpowiednich właściwości do jego powrotu, schłodzi się i ustabilizuje. Gorąca potrafiła robić wredne sztuczki, jak to określała mama.

Mijani ludzie obchodzili Vasa szerokim łukiem, nawet nie śmieli spojrzeć w jego stronę. Gapili się za to na Akosa. Jakby jego pochodzenie wyryło na nim piętno. Zapisało się trwale w zwyczaju żucia płatków szakwiatu, które zawsze nosił w kieszeniach, w ostrożnym kroku, przystosowanym do oblodzonych powierzchni, w koszulach zapiętych pod samą szyję.



Eijeh stapał teraz tak samo ciężko jak każdy w Shotet i nie zapinał paru górnych guzików.

Akos nigdy nie był w tej części statku. Podłogi zrobiono z lśniącego drewna, nie z twardego metalu. Niemal jakby z powrotem znalazł się w rezydencji Noaveków, zamknięty w gardzieli ciemnych boazerii i otoczony migotliwymi światłami fenzu. Kroki rozbrzmiewały echem w korytarzu. Vas podszedł do wysokich drzwi i żołnierze rozstąpili się, by ich przepuścić.

Pomieszczenie okazało się równie ciemne jak Sala Oręża, w której Ryzek odebrał mu Eijeha za pomocą swego daru. Podłoga lśniła, a ściana na odległym końcu pomieszczenia składała się praktycznie z samych okien, za którymi widać było wstęgę nurtu, słabnącą, w miarę jak statek się od niej oddalał. Ryzek przyglądał się jej z założonymi do tyłu rękami. Za jego plecami stało krzesło, na którym siedziała związana kobieta. Była tam też Cyra. Nie spojrzała na Akosa, co uznał za ostrzeżenie. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Zatrzymał się tuż za progiem.

– Wyjaśnij mi, Cyro, w jaki sposób zdołałaś odszukać tę zdrajczynię – zaczął Ryzek.

– Podczas ataku rozpoznałam głos mówiący przez interkom. Wciąż nie mogę sobie przypomnieć, skąd go znam – odparła Cyra, krzyżując ramiona na piersi. – Może ze strefy załadunkowej. Wiedziałam tylko, że zdołam odszukać ją po głosie. Słuchałam uważnie. I w końcu znalazłam.

– I nie wspomniałaś ani słowem o swoim przedsięwzięciu? – Ryzek obdarzył buntowniczkę morderczym spojrzeniem. – Dlaczego?

– Pomyślałam, że mnie wyśmiejesz – odparła Cyra. – Pomyślisz, że coś sobie ubzdurałam.

– Cóż – odparł Ryzek. – Pewnie tak właśnie by było. Ale oto jesteśmy.

Ton jego głosu nie brzmiał jak w przypadku kogoś, kto właśnie dostał to, czego chciał. Był raczej oschły.

– Eijehu. – Akos zadrżał, słysząc imię brata w ustach swego wroga. – Czy to odmienia przyszłość, którą omawialiśmy?

Eijeh zamknął oczy. Jego nozdrza poruszyły się, tak jak czasem u mamy, kiedy skupiała się na przepowiedni. Może po prostu ją

kopiował, bo z jakiegoś powodu wyrocznie musiały naprawdę mocno oddychać przez nos. Akos mimowolnie i bezwiednie napierał w stronę brata, chociaż po drodze stał Vas, nieporuszony jak słup.

– Eijehu – powiedział Akos. Musiał spróbować, czyż nie? – Eijehu, nie rób tego.

Ale Eijeh odpowiedział:

– Przyszłość jest niezmienna.

– Dziękuję – rzekł Ryzek. Pochylił się w stronę buntowniczkę. – Gdzie dokładnie przebywałaś przez te wszystkie pory, Zosito Surukto?

– Wędrowałam – odparła. – Nie udało mi się odnaleźć kolonii, jeśli o to tak naprawdę pytasz.

Ryzek, wciąż pochylony, spojrzał na Cyrę, na atramentowe smugi znaczące jej ramiona. Stała skulona, przyciskając dłoń do głowy.

– Cyro. – Ryzek wskazał na Zositę. – Przekonajmy się, czy ta kobieta mówi prawdę.

– Nie – odparła Cyra bez tchu. – Już o tym rozmawialiśmy. Nie chcę... nie mogę.

– Nie możesz? – Ryzek pochylił się jeszcze bardziej, uważając jednak, by jej nie dotknąć. – Zniesławia tę rodzinę, osłabia naszą pozycję, spiskuje z wrogami, a ty twierdzisz, że nie możesz? Jestem twoim bratem i władcą Shotet. Możesz i zrobisz to, co każę, zrozumiano?

Ciemność plamiła jej złotobrązową skórę. Cienie wyglądały jak dodatkowy układ nerwowy bądź żylny. Cyra wydała z siebie dziwny dźwięk, jakby się dusiła. Akosowi też brakowało powietrza, nie poruszył się jednak, nie mógł jej pomóc, kiedy Vas stał na drodze.

– Nie! – krzyknęła, po czym rzuciła się na Ryzeka, zginając palce jak szpony.

Próbował ją odepchnąć, ale była szybka i silna. Cienie nurtu rozlały się po jej dłoniach jak krew buchająca z rany. Ryzek wrzasnął, zwinął się z bólu i osunął na podłogę.

Vas podbiegł do Cyry, złapał ją i cisnął na ziemię. Spojrzała na brata i wyrzuciła z siebie:

– Wydłub mi oko, obetnij palce, co tylko chcesz. Nie zrobię tego.

Przez chwilę Cyra kulila się z bólu płonącego w jej ciele, a Ryzek

tylko na nią patrzył. W końcu pstryknął palcami na Akosa, co zapewne miało znaczyć „podejdz”. Akos wiedział, że nie ma sensu mu się przeciwstawiać, bo Ryzek i tak dostanie to, czego chce, w taki czy inny sposób. Zaczynał rozumieć, dlaczego Cyra przez tyle pór posłusznie słuchała rozkazów brata. W pewnym momencie wszelkie próby oporu zaczynały wydawać się zwykłą stratą czasu.

– Przypuszczałem, że to powiesz – stwierdził Ryzek. – Vas, trzymaj moją siostrę.

Vas chwycił ją za ramię i postawił. Spojrzała na Akosa oczami wielkimi ze strachu.

– Mogło ci się wydawać, że zostawiłem cię w spokoju – dodał Ryzek – ale nie przestałem uważnie cię obserwować.

Podszedł do ściany i palcami musnął panel, który rozsunął się, ukazując kolekcję broni podobną do tej w rezydencji Noaveków, tyle że mniejszą. *Pewnie tylko ulubione egzemplarze*, pomyślał Akos. Nagle poczuł się jak oddzielony od własnego ciała. Ryzek wybrał długi cienki metalowy kij. Nurt owinął się wokół broni – ciemne wstęgi tak podobne do tych, które dręczyły Cyrę.

– Widzisz, zauważyłem coś szczególnego i chciałbym sprawdzić, czy moja hipoteza jest słuszna. Jeśli tak, problem rozwiąże się, jeszcze zanim stanie się prawdziwym problemem.

Obrócił karby w rękojeści i nurt zgęstniał. Pociemniał. Akos stwierdził, że nie jest to broń zdolna zadać śmierć, ale z pewnością była zaprojektowana do zadawania bólu.

Cienie na skórze Cyry migotały i trzepotały niczym płomienie na wietrze. Ryzek zaśmiał się.

– To niemal nieprzyzwoite – powiedział, kładąc ciężką dłoń na ramieniu Akosa, który z trudem powstrzymał się, by jej nie strząsnąć. To by tylko pogorszyło sprawę.

I nagle uświadomił sobie, że kij jest przeznaczony dla niego. Może właśnie dlatego go tu przyprowadzono – by przez niego zmusić Cyrę do współpracy. By zrobić z niego nowe narzędzie kontroli w rękach Ryzeka.

– Może po prostu od razu zechcesz się poddać – cichym głosem powiedział do niego Ryzek – i położyć się na ziemi.

– Żryj żwir – odparował Akos w thuvhe.

Ale Ryzek oczywiście miał na to odpowiedź. Walnął go kijem w plecy. Akos poczuł palący ból. Kwas. Ogień. Krzyknął przez zaciśnięte zęby.

*Utrzymaj się na nogach, powtarzał sobie. Utrzymaj się.*

Ryzek znów go uderzył, tym razem w prawy bok. I Akos ponownie krzyknął. Cyra płakała, on zaś patrzył na Eijeha, wyglądającego obojętnie przez okno. Niemal jakby nie widział, co się dzieje. Ryzek uderzył po raz trzeci. Pod Akosem ugięły się kolana. Nie krzyknął jednak. Pot spływał mu po karku, a wszystko wokół się kołysało.

Tym razem Eijeh drgnął.

Kolejny cios i Akos padł do przodu, podpierając się rękami. Jęknęli jednocześnie, on i Cyra.

– Niech powie, co wie na temat banitów – wycedził Ryzek. – Ma wszystko wyśpiewać przed jutrzejszą egzekucją.

Cyra wyrwała się Vasowi i podeszła do Zosity, wciąż przywiązanej za nadgarstki do krzesła. Zosita kiwnęła głową, jakby dawała jej przyzwolenie.

Cyra położyła dłonie na jej głowie. Akos widział – jak przez mgłę – ciemne pajęczyny pełzające po skórze Cyry, wykrzywioną twarz Zosity i zadowolony uśmiech Ryzeka. Ciemność pełgała na skraju pola widzenia. Próbował oddychać, mimo bólu.

Krzyk Zosity. Krzyk Cyry. Ich złączone głosy.

A potem stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, zobaczył siedzącą obok Cyrę.

– Chodź. – Jej ramię na jego barkach. Dźwignęła go do pozycji stojącej. – Chodźmy stąd.

Powoli zamrugał powiekami. Zosita oddychała z trudem, urywanie, włosy zasłaniały jej twarz. Obok stał Vas ze znudzoną miną. Eijeh siedział w kucki w kącie, kryjąc głowę w ramionach. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Ryzek dostał to, czego chciał.

Kiedy dotarli do pokoju Cyry, posadziła go na brzegu łóżka i zaczęła gorączkowo biegać dokoła, chwytając ręczniki, lód, środek przeciwbólowy. Po jej twarzy spływały łzy. W powietrzu wciąż unosił się słodowy zapach przyrządzonej wcześniej mikstury.

– Cyro. Czy ona mu coś powiedziała?

– Nie. Potrafi świetnie kłamać – odparła, usiłując drżącymi rękami odkorkować fiolkę. – Już nigdy nie będziesz bezpieczny. Wiesz o tym? Żadne z nas nie będzie.

W końcu wyciągnęła korek i przytknęła fiolkę do jego ust, choć mógł przecież sam to zrobić. Nic jednak nie powiedział, tylko posłusznie rozchylił wargi, by połknąć środek.

– Nigdy nie byłem bezpieczny. Ty też nigdy nie byłaś bezpieczna. – Nie rozumiał, czemu jest taka roztrzęsiona. To w końcu nie była żadna nowość, że Ryzek wyprawia potworne rzeczy. – Nie rozumiem, czemu postanowił posłużyć się mną...

Stała bliżej, między jego kolanami, ich nogi lekko otarły się o siebie. Teraz, ona stojąc, a on siedząc na wysokim łóżku, byli niemal równego wzrostu. Stała bardzo blisko, tak jak czasami podczas treningu, śmiejąc mu się w twarz, gdy go pokonała, tym razem jednak było inaczej. Zupełnie inaczej.

Nie śmiała się. Pachniała znajomo, ziołami, które paliła w pokoju, by oczyścić powietrze z kuchennych woni, i sprejem, którym wygładzała włosy. Położyła dłoń na jego ramieniu, a potem przesunęła drżącymi palcami wzdłuż obojczyka, aż do mostka. Delikatnie przycisnęła dłoń, nie patrząc mu w twarz.

– Ty – szepnęła. – Ty jesteś jedyną osobą, która mogłaby mnie teraz powstrzymać.

Dotknęła jego podbródka i pocałowała go. Jej usta były ciepłe i mokre od łez. Cofając się, przesunęła zębami po jego dolnej wardze.

Akos przestał oddychać. Nie był pewien, czy jeszcze potrafi.

– Nie martw się – powiedziała. – Więcej tego nie zrobię.

Odsunęła się i zniknęła w łazience.

NASTĘPNEGO DNIA ZGODNIE Z POLECENIEM poszłam na egzekucję Zosity Surukty. Przybył spory tłum, wydarzenie było głośne – pierwsza uroczystość od Święta Wyprawy.

Stałam z boku, z Vasem, Eijehem i Akosem. Ryzek wygłosił długie przemówienie na temat lojalności i jedności, w której tkwi siła Shotet, zazdrości reszty galaktyki i tyranii Zgromadzenia. Yma stała obok niego, z dłońmi na barierce, wybijając czubkami palców szybki rytm.

Kiedy Ryzek przeciągnął nożem po gardle Zosity, z trudem powstrzymałam łzy. Ciało osunęło się na ziemię, tłum wydał chóralny ryk, a ja zamknęłam oczy.

Kiedy po chwili je otworzyłam, ujrzałam, że dłonie Ymy Zetsyvis drżą.

Na skórze Ryzeka widniała smuga krwi. Daleko pośród tłumu Teka przycisnęła dłoń do ust.

Krew Zosity rozlała się po podłodze, tak jak wcześniej krew ojca Akosa i tylu innych, a ja odczułam jej śmierć jak niewygodną koszulę, której nie mogę z siebie ściągnąć.

To była ulga, wciąż móc tak czuć.

W strefie załadunku piętrzyły się stosy szarych kombinezonów ułożonych rozmiarami. Z mojego miejsca wyglądały jak skupisko głazów. Kombinezony były wodoodporne, zaprojektowane specjalnie na wyprawy na Pithę. Wzdłuż krótszej ściany leżały też wodoodporne maski, mające na celu chronić oczy żerujących przed deszczem. Stare zapasy z jakiejś innej wyprawy, wciąż jednak nadające się do użytku.

Obok wjazdu czekał pojazd Ryzeka o smukłych złotych skrzydłach, by zabrać jego, mnie, Ymę, Vasa, Eijeha, Akosa i kilka innych osób na powierzchnię Pithy, gdzie mieliśmy bawić się w polityczne gierki z przywódcami planety. Ryzek pragnął zapewnić sobie „przyjacielskie relacje” – przymierze. I, jak byłam przekonana, pomoc militarną. Miał do takich spraw talent, którego brakowało naszemu ojcu. Pewnie odziedziczył go po matce.

– Musimy ruszać – powiedział Akos za moimi plecami. Trzymał się sztywno i krzywił, kiedy zbliżał kubek do ust, i raczej kucał, niż się

schyłał, gdy musiał coś podnieść.

Zadrzałam na dźwięk jego głosu. Wcześniej myślałam, że kiedy już go pocałuję, uwolnię się od takich sensacji, nie będę musiała się zastanawiać „jak by to było”, ale okazało się, że teraz jest jeszcze gorzej. Teraz już wiedziałam – wiedziałam, jak smakuje – i pragnęłam więcej.

– Chyba tak – odparłam i zeszedliśmy po stopniach prowadzących do strefy załadunku, ramię przy ramieniu.

Niewielki pojazd lśnił w ostrym świetle lamp niczym szkło w słońcu. Na wypolerowanym boku widniał napis – *Noavek*.

Chociaż imponujący z zewnątrz, w środku był urządzony równie prosto i skromnie, jak wszystkie inne pojazdy transportowe – z tyłu znajdowały się niewielka łazienka i kambuz, wzdłuż ścian odchylane siedzenia zaopatrzone w pasy, a z przodu część nawigacyjna.

Ojciec nauczył mnie prowadzić pojazdy latające – jedna z nielicznych rzeczy, które razem robiliśmy. Wkładałam grube rękawiczki, by mój dar nurtu nie zakłócał pracy urządzeń. Byłam za mała, żeby siedzieć w fotelu, więc kazał przynieść poduszkę. Nie należał do cierpliwych nauczycieli – wydzierał się na mnie raz po raz – a kiedy coś opanowałam, zawsze mówił „dobrze”, stanowczo kiwając przy tym głową, jakby wbijał nią komplement niczym gwóźdź młotkiem.

Zginął, kiedy miałam jedenaście pór, podczas jednej z wypraw. Towarzyszyli mu wtedy tylko Ryzek i Vas – zaatakowała ich banda piratów. Ryzek i Vas wrócili cali i zdrowi – z oczami pokonanych wrogów w słoiku, jednakże Lazmet Noavek już nie wrócił.

Vas dogonił mnie i powiedział:

– Dostałem polecenie, by ci przypomnieć, że masz zachowywać się jak należy.

– Nie od wczoraj nazywam się Noavek – warknęłam. – Wiem, co trzeba robić.

– Może i nazywasz się Noavek, ale ostatnio stałaś się nieobliczalna – odparł Vas.

– Odejdz – powiedziałam, zbyt zmęczona, by wymyślać kolejne ostre repliki.

Na szczęście posłuchał i przeszedł na przednią część statku, gdzie stał mój kuzyn Vakrez z pracownikiem technicznym. Dostrzegłam błysk

jasnych włosów. To była Teka. Oczywiście nie pracowała przy naszym pojeździe, stała z boku, z dłońmi zanurzonymi w plątaninie kabelków wystających z tablicy. Nie posługiwała się żadnymi narzędziami – po prostu brała je po kolei do ręki, z zamkniętymi oczami.

Zawahałam się. Czułam, jak cała się spinam, chociaż sama nie wiedziałam dlaczego. Wiedziałam tylko, że stanowczo za długo stoję w miejscu, podczas gdy ludzie dokoła się ruszają.

– Spotkamy się w środku – rzuciłam w stronę Akosa. – Chcę porozmawiać z córką Zosity.

Zawahał się, z ręką na moim łokciu, jakby chciał mnie pocieszyć. Ale nagle chyba zmienił zdanie, wsadził rękę do kieszeni i ruszył w stronę statku.

Kiedy podeszłam bliżej, Teka zostawiła kabelki i zaczęła zaznaczać coś na niewielkim ekranie, który trzymała na kolanach.

– Nie boisz się, że prąd cię kopnie? – zapytałam.

– Nie – odparła, nie patrząc na mnie. – Czuję tylko szum, chyba że się popsują. Czego chcesz?

– Spotkania. Chcę się spotkać z twoimi przyjaciółmi. Wiesz, z którymi.

– Posłuchaj – powiedziała, wreszcie odwracając się w moją stronę. – Praktycznie zmusiłaś mnie, żebym wydała własną matkę, a potem twój brat zabił ją na oczach publiczności. – Jej oczy były czerwone od łez. – Który element tej historii pozwala ci sądzić, że możesz mnie o cokolwiek prosić?

– Ja nie proszę. Mówię ci, czego chcę, i myślę, że twoi znajomi też mogą tego chcieć. Zrobisz, co zechcesz, ale tak naprawdę nie chodzi przecież o ciebie, prawda?

Opaska na oku była zrobiona z grubszej tkaniny niż zwykle, a skóra widoczna powyżej lśniła, jak od potu. Może faktycznie się zgrzała, pokoje pracowników technicznych znajdowały się bardzo blisko maszyn wprawiających statek w ruch.

– Jak mamy ci zaufać? – spytała cicho.

– Jesteście zdesperowani, ja też – odparłam. – Zdesperowani ludzie notorycznie podejmują głupie decyzje.

Właz z boku pojazdu transportowego otworzył się, rzucając na



podłogę plamę światła.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała Teka. Ruchem podbródka wskazując pojazd, spytała: – Robicie tam w ogóle coś pożytecznego? Czy tylko układacie się z politykami? – Potrząsnęła głową. – Wy, Noavekowie, pewnie nie chodzicie na żer?

– Ja tak – odparłam defensywnie.

Ale nie miałoby sensu udawać, że moje życie w porównaniu z jej życiem nie jest uprzywilejowane. Była jednooką dziewczyną bez rodziny, mieszkającą w szafie.

Teka mruknęła coś i wróciła do swoich kabelek.

Akos patrzył na siedzącego naprzeciw nas Vasa takim wzrokiem, jakby zamierzał rzucić mu się do gardła. Dwa miejsca dalej siedziała Yma, jak zwykle elegancko ubrana, jej długa ciemna spódnica zakrywała kostki. Wyglądała raczej tak, jakby popijała herbatkę na pokojach władcy, a nie tkwiła przypięta pasami do twardego fotela w pojeździe kosmicznym. Eijeh zajmował miejsce koło toalety, oczy miał zamknięte. Między tą dwójką siedzieli nasz kuzyn Vakrez z mężem Malanem i samotny Suzao Kuzar – jak twierdził, jego żona zachorowała i nie mogła wziąć udziału w tej podróży. A fotel obok kapitana imieniem Rel zajmował Ryzek.

– Którą planetę wybrali Egzaminatorzy na podstawie ruchów nurtu? – zawołała Yma do niego. – Ogrę?

– Tak, Ogrę – odparł Ryzek ze śmiechem. – Tak jakby mogło nam to przynieść jakiejkolwiek korzyści.

– Czasem wybiera nurt – stwierdziła Yma, odchylając głowę – a czasem my.

Zabrzmiało to niemal jak mądra sentencja.

Rel dotknął kilku przycisków i silniki zamruczały, potem odciągnął dźwignię mechanizmu wznoszącego i pojazd oderwał się od ziemi, lekko drząc. Właz statku rozsunął się, ukazując w dole północną półkulę wodnej planety.

Całkowicie zakrywały ją chmury, na planecie szalał sztorm. Miasta, teraz niewidoczne, pływały na falach, skonstruowane tak, by dostosować się do ruchów wody oraz wytrzymać silne wiatry, deszcz i błyskawice. Rel przyspieszył i pomknęliśmy w przestrzeń, na chwilę

znów trafiliśmy w puste objęcia ciemności.

Ale bardzo szybko znaleźliśmy się w warstwie atmosfery. Gwałtowny napór ciśnienia wywołał u mnie wrażenie, jakby moje ciało się zapadało. Komuś z tyłu zrobiło się niedobrze. Zacisnęłam zęby i zmusiłam się, by nie zamykać oczu. Zejście do lądowania to była moja ulubiona część lotów – kiedy otwierały się pod nami wielkie połączenia lądów, czy w tym wypadku wód, ponieważ, nie licząc kilku rozmiękłych skrawków lądu, cała planeta znajdowała się pod wodą.

Kiedy przebiliśmy się przez warstwę chmur, wyrwał mi się radosny okrzyk. Deszcz bębnił o dach. Rel włączył wizualizer, trudno było bowiem zobaczyć cokolwiek przez gęste smugi spływające po szybie. Ale dostrzegłam wielkie spienione fale, niebieskoszarozielone, i wielkie szklane kule unoszące się na powierzchni, wytrzymałe na siłę rozbijających się o nie wód.

Nie mogłam nic na to poradzić – spojrzałam na Akosa, którego twarz zastygła w przerażeniu.

– Ciesz się, że to nie Trella – powiedziałam w nadziei, że dodam mu otuchy. – Niebo tam jest pełne ptaków. Robi się straszny bałagan, kiedy uderzają w przednią szybę. Potem trzeba je zdrapywać nożem.

– Robiłaś to własnoręcznie, prawda? – spytała Yma. – Urocze.

– Tak, przekonasz się, że doskonale toleruję odrażające rzeczy – odparłam. – Często korzystam z tej właściwości. Jestem pewna, że ty również.

Yma zamknęła oczy, ale wcześniej, byłam niemal pewna, zerknęła na Ryzeka – jedną z tych odrażających rzeczy, które tolerowała. Trudno nie docenić jej umiejętności przetrwania.

Przez długi czas mknęliśmy nad falami, nieco znoszeni silnym wiatrem. Z góry powierzchnia morza przypominała pomarszczoną skórę. Większość ludzi uważała Pithę za monotonne miejsce, ja jednak uwielbiałam tę bezmierną przestrzeń.

Przelecieliśmy nad jednym z pływających śmietnisk, na których wkrótce mieliśmy przystąpić do żeru. Okazało się większe, niż przypuszczałam, wielkości co najmniej dzielnicy miasta. Pokryte było górami metalu w przeróżnych barwach. Tak strasznie chciałam wylądować i przejrzeć te wszystkie mokre artefakty w poszukiwaniu

wartościowych kawałków. Ale polecieliśmy dalej.

Stolica Pithy, Sektor 6 – tutejsi mieszkańcy bynajmniej nie słynęli z talentu do poetyckich nazw, oględnie mówiąc – unosiła się na falach szarocznego morza w pobliżu równika. Budynki przypominały wielkie dryfujące bąble, ale stały na ogromnych podwodnych konstrukcjach, jak słyszałam, prawdziwym cudzie inżynierii, obsługiwanym przez najlepiej opłacanych pracowników technicznych z całej galaktyki. Rel skierował nasz pojazd w stronę lądowiska. Patrzyłam przez okno, jak z jednego z pobliskich budynków wyciąga się w naszą stronę jakiś mechanizm – był to chyba tunel, który miał nas ochronić przed zmoknięciem. Szkoda, miałam ochotę poczuć deszcz na skórze.

Akos i ja ruszyliśmy za pozostałymi – w pewnej odległości – zostawiając za sobą tylko Rela. Na czele kroczył Ryzek z Ymą u boku. Właśnie witał wysoko postawionego urzędnika, który krótko uklonił się w odpowiedzi.

– W jakim języku chcieliby państwo prowadzić rozmowy? – zapytał mężczyzna w tak kiepskim shotet, że ledwo go zrozumiałam. Miał cienki biały wąsik, bardziej przypominający pleśń niż zarost, i wielkie ciemne oczy.

– Wszyscy płynnie posługujemy się othyrskim – odparł Ryzek niechętnie.

Mieszkańcy innych planet uważali, że ci z Shotet potrafią mówić tylko w swoim języku – którą to opinię zawdzięczaliśmy przepisom wprowadzonym przez mojego ojca i brata, mającym na celu utrzymanie wszystkich w niewiedzy o prawdziwych wydarzeniach w galaktyce. Ale Ryzek zawsze był wrażliwy na punkcie znajomości języków, jakby ów zarzut znaczył, że mają go za idiotę.

– Co za ulga, sir – odparł urzędnik, już po othyrsku. – Obawiam się, że mogłyby mi umknąć subtelności waszego języka. Pozwólcie, że zaprowadzę was do apartamentów.

Kiedy przechodziliśmy przez tunel, z deszczem bębniącym nad głowami, miałam chęć chwycić któregoś z tutejszych mieszkańców i uprosić go, by zabrał mnie ze sobą, byle dalej od Ryzeka i jego grózb. Byle dalej od wspomnienia o tym, jak postąpił z moim jedynym przyjacielem.

Ale nie mogłam zostawić Akosa, on zaś nie odrywał oczu od brata.

Od wyprawy, na której zginął mój ojciec, minęły cztery pory. Poprzednia zaś wyprawa zawiodła nas na Othyr – najzamożniejszą planetę w całej galaktyce. Ryzek ustanowił na niej nowe zasady dyplomacji. Wcześniej zajmowała się tym matka, czarując przywódców wszystkich planet, podczas gdy ojciec prowadził żer. Ale po jej śmierci Lazmet odkrył, że sam nie ma talentu do czarowania – co zresztą nikogo nie dziwiło – i dyplomacja bardzo na tym ucierpiała, co wywołało napięcie między nami a resztą planet w galaktyce. Ryzek próbował złagodzić to napięcie, planeta po planecie, uśmiech za uśmiechem.

Na Othyrze powitano nas obiadem, pokój kanclerza cały lśnił złotem, od talerzy po farbę na ścianach i obrus na stole. Żona kanclerza powiedziała, że wybrali to pomieszczenie, ponieważ złoto doskonale podkreśli ciemny granat naszych zbroi. Przyznała również, że jest nieco ostentacyjne – elegancko wykalkulowany manewr, który nawet wtedy doceniłam. Następnego ranka uraczyli nas sesją z prywatnym lekarzem, a byli znani z najlepszej technologii medycznej w całej galaktyce. Odmówiłam. Miałam dosyć lekarzy.

Wiedziałam, że Pitha zgotuje nam powitanie w zupełnie innym stylu. Każda z kultur ceniła inne wartości i zjawiska: Othyr luksus, Ogra tajemnicę, Thuvhe lodokwiaty, Shotet nurt, Pitha praktyczność i tak dalej. Pithejczycy niestrudzenie poszukiwali jak najtrwalszych giętkich i wielozadaniowych materiałów oraz konstrukcji. Ich kanclerz – miała na nazwisko Natto, imienia zapomniałam, ponieważ nigdy nikt się do niej w ten sposób nie zwracał – mieszkała w wielkim, ale bardzo praktycznym podwodnym budynku ze szkła. Otrzymała władzę w drodze wyborów powszechnych.

Okna pokoju, który dzieliłam z Akosem – przydzielając go urzędnik rzucił nam znaczące spojrzenie, ale go zignorowałam – wychodziły na wodę, w której poruszały się cieniste stworzenia i świat wydawał się niezwykle spokojny, wiedziałam jednak, że to tylko dekoracja. Pozostałe ściany były gładkie, pościel biała i sztywno wykrochmalona. W kącie stało łóżko polowe na metalowych nóżkach podbitych gumą.

Pitha nie wydała na naszą cześć uroczystego obiadu, ale coś, co

nazwałabym balem, gdyby nie brakowało podczas niego tańców. Wszyscy stali dokoła w strojach, które tutaj zapewne uchodziły za szczyt elegancji – zrobionych ze sztywnych wodoodpornych tkanin w zaskakująco żywych kolorach – pewnie po to, by rzucały się w oczy podczas ulewy. Nie zauważyłam ani jednej sukni czy spódnicy. Nagle zatęskniłam za suknią po matce, sięgającą do ziemi, czarną, z wysokim kołnierzykiem, która zakryłaby niemal wszystkie cienie nurtu.

Pokój wypełniał pomruk rozmów. Między grupkami gości krążyli kelnerzy z tacami pełnymi drinków i drobnych przekąsek. Ich zsynchronizowane ruchy przypominały taniec.

– Cicho tu – powiedział Akos, palcami zataczając kółko na moim łokciu. Zadrżałam, starałam się o tym nie myśleć. *Po prostu koi twój ból, to wszystko, nic się nie zmieniło, wszystko jest tak jak zawsze...*

– Pitha nie słynie z tańców – odparłam. – Ani żadnej formy walki.

– A więc pewnie nie należą do twoich faworytów.

– Lubię ruch.

– Zauważyłem.

Czułam jego oddech na szyi, z boku, chociaż nie stał bardzo blisko – byłam teraz wyczulona na jego obecność bardziej niż przed pocałunkiem. Uwolniłam rękę, by przyjąć drink, który podała mi służąca.

– Co to jest? – zapytałam, bardzo uważając na akcent. Służąca z zakłopotaniem przyglądała się mojemu ramieniu poznaczonemu plamami cienia.

– Ma podobne działanie do mieszanki z lodokwiatem – odparła. – Przytępia zmysły, podnosi na duchu. Słodki i kwaśny zarazem.

Akos też wziął kieliszek i uśmiechnął się do służącej, która poszła dalej.

– Jeśli nie zrobiono tego z lodokwiatów, to z czego? – zapytał Akos. W końcu mieszkańcy Thuvhe oddawali cześć lodokwiatom. Co mógł wiedzieć na temat innych substancji?

– Nie wiem. Ze słonej wody? Smaru? – zaproponowałam. – Spróbuj, jestem pewna, że nie umrzesz.

Oboje wypiliśmy. Na drugim końcu pokoju Ryzek i Yma uprzejmie uśmiechali się do męża kanclerz Natto, Veka. Jego twarz

miała szarawy odcień i lekko obwisała, jakby była częściowo płynna. Może grawitacja w tym miejscu działała silniej. Bez wątpienia czułam się cięższa niż zwykle, chociaż pewnie raczej za sprawą nieustępliwego spojrzenia Vasa. Pilnował, żebym zachowywała się jak należy.

Wzięłam łyk i skrzywiłam się.

– Ohyda.

– Tak z ciekawości – powiedział Akos. – Ile znasz języków?

– Tylko shotet, thuvhe, othyrski i trellski – odparłam. – I trochę zoldskiego, i odrobinę pithyjskiego, uczyłam się też ogryskiego, zanim się zjawiłeś i mi przerwałeś.

Uniósł brwi.

– No co? – powiedziałam zaczepnie. – Nie mam zbyt wielu przyjaciół. Za to dużo wolnego czasu.

– Myślisz, że tak trudno cię polubić?

– Wiem, czym jestem.

– O? A czym?

– Nożem. Rozgrzanym pogrzebaczem. Zardzewiałym gwoździem.

– Jesteś czymś znacznie więcej. – Dotknął mojego łokcia, by obrócić mnie w swoją stronę.

Wiedziałam, że dziwnie na niego patrzę, ale nie mogłam się powstrzymać. Moja twarz chciała właśnie tak wyglądać.

– To znaczy... – dodał, zabierając rękę. – Przecież nie jest tak, że przez cały dzień nic tylko... gotujesz wrogów żywcem.

– Nie bądź głupi. Gdybym chciała zjeść wroga, to bym go upiekła, nie ugotowała. Kto by chciał jeść gotowane mięso? Obrzydlistwo.

Zaśmiał się i wszystko wydało się trochę lepsze.

– Idiota ze mnie. Najwyraźniej nie pomyślałem. Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale chyba władca cię wzywa.

Rzeczywiście, Ryzek patrzył prosto na mnie. Zrobił ruch głową.

– Nie masz przy sobie jakiejś trucizny? – spytałam Akosa, nie odrywając wzroku od brata. – Mogłabym wlać mu do drinka.

– Nawet gdybym miał, tobym ci nie dał – odparł. Kiedy rzuciłam mu powątpiewające spojrzenie, dodał: – Tylko on może przywrócić Eijeha. Kiedy to zrobi, otruję go z pieśnią na ustach.

– Nie znam drugiej osoby równie zdeterminowanej jak ty,

Kereseth. Teraz na chwilę odejdę, a twoim zadaniem jest skomponować wspomnianą pieśń, po powrocie chciałabym ją usłyszeć.

– Łatwizna – odparł. – Truję, truję już od rana...

Uśmiechnęłam się krzywo, dopiłam paskudną pithyjską miksturę o smaku oleju napędowego, podałam kieliszek Akosowi i ruszyłam w stronę Ryzeka.

– A, oto ona! Veku, moja siostra, Cyra. – Ryzek miał na twarzy najcieplejszy ze swych uśmiechów.

Wyciągał ramię w moją stronę takim gestem, jakby zamierzał mnie objąć. Oczywiście tego nie zrobił, ponieważ sprawiłabym mu ból, cienie nurtu nieustannie mu o tym przypominały, znacząc mój policzek i boczną część nosa.

Kiwnęłam głową, a Vek odpowiedział spojrzeniem bez wyrazu.

– Twój brat właśnie wyjaśniał, jakie racje kierują ludem w związku z raportami o porwaniach kojarzonych z wyprawami i żerem, które miały miejsce w ciągu ostatniej dekady – powiedział. – Twierdzi, że możesz poręczyć za słuszność waszych działań.

*Doprawdy?*

Mój gniew przypominał suchą podpałkę, błyskawicznie się rozpałał. Nie potrafiłam znaleźć w nim ścieżki. Popatrzyłam na Ryzeka przenikliwie. Uśmiechnął się do mnie, wciąż z tym łagodnym wyrazem twarzy. Stojąca obok Yma również się uśmiechała.

– W związku z poufałymi kontaktami ze służącym – dodał Ryzek szeptem.

Ach, tak. Poufałe kontakty z Akosem – nowe narzędzie kontroli w rękach Ryzeka.

– Oczywiście – odparłam. – Cóż, my nie używamy słowa „porwanie”. Mieszkańcy Shotet stosują termin „odzyskanie”, ponieważ wszystkie te osoby wracają między swoich, doskonale mówią językiem objawienia, językiem shotet. Niemożliwe, by ktoś opanował język shotet w stopniu równym rodowitemu użytkownikowi, jeśli nie ma w żyłach naszej krwi. Jeśli nie należy do naszego ludu. Widziałam zresztą... dowód.

– W jakim sensie? – zapytał Vek.

Kiedy uniósł kieliszek do ust, dostrzegłam pierścienie, po jednym

na każdym palcu, wszystkie gładkie i pozbawione ozdób. Zastanawiałam się, po co w ogóle je nosi.

– Mój sługa okazał się pochodzić z ludu Shotet – odparłam. – Dobry wojownik, który bez trudu potrafi dostrzec cechy typowe dla naszego ludu. Jego zdolności adaptacyjne są wprost... zdumiewające.

– Z pewnością jest to dowód na to, o czym wcześniej wspominałam – wtrąciła Yma. – A mianowicie, że w krwi Shotet pozostaje zapisana pamięć o kulturze i historii, co sprawia, że tak zwane „uprowadzone” osoby, obdarzone znajomością naszego języka, które trafiają do naszego kraju, odnajdują w nim prawdziwy dom.

Byłam pod wrażeniem. Naprawdę świetnie potrafiła udawać szczerą oddanie.

– Cóż – powiedział Vek. – Interesująca teoria.

– Musimy również pamiętać o dawnych zbrodniach jednej z... powiedzmy, bardziej *wpływowych* planet galaktyki... zbrodniach przeciwko naszemu ludowi. Inwazje, porywanie dzieci, przemoc, a czasem nawet morderstwa. – Ryzek ściągnął brwi, jakby na samą myśl o tych wydarzeniach odczuwał ból. – Z pewnością Pitha, do której zawsze jesteśmy dobrze usposobieni, nie ponosi tu najmniejszej winy. Ale reparacje z pewnością byłyby na miejscu. Zwłaszcza w przypadku Thuvhe.

– Ale słyszałem, jakoby lud Shotet odpowiadał za śmierć jednej z wyroczni z Thuvhe oraz uprowadzenie innej – odparł Vek, stukając pierścieniami.

– Bezpodstawne plotki – zaprotestował Ryzek. – Nie znamy powodu, dla którego najstarsza wyrocznia z Thuvhe odebrała sobie życie. W końcu nie jesteśmy w stanie poznać motywów, którymi kierują się wyrocznie, prawda?

Tymi słowami próbował odwołać się do pithyjskiego zmysłu praktycyzmu. Wyrocznie w tym kraju nie miały żadnego znaczenia, uchodziły za osoby szalone, które coś tam sobie wrzeszczą pośród huku fal.

Vek postukał palcami w kieliszek.

– Tak, może moglibyśmy przedyskutować waszą propozycję – powiedział z wahaniem. – Być może istnieje przestrzeń do współpracy



między naszą planetą a waszym... narodem.

– Narodem – powtórzył Ryzek z uśmiechem. – Jedyne, czego pragniemy, to by właśnie tak nas nazywano. Niezależny naród, zdolny decydować o własnej przyszłości.

– Przepraszam – wtrąciłam, lekko dotykając ramienia Ryzeka. Miałam nadzieję, że zapiekło. – Pójdę po coś do picia.

– Oczywiście – odparł Ryzek. Odchodząc, usłyszałam, jak mówi do Veka: – Dar nurtu sprawia mojej siostrze nieustanny ból. Wciąż szukamy sposobów, by poprawić jej codzienne funkcjonowanie. Niektóre dni są lepsze od innych...

Zaciskając zęby, maszerowałam przed siebie, aż znalazłam się poza zasięgiem jego głosu. Było mi niedobrze. Przybyliśmy na Pitę z powodu zaawansowanej technologicznie broni, a przy okazji po to, by pozyskać sojusznika. A ja właśnie w pewnym sensie pomogłam mu osiągnąć cel. I wiedziałam, po co mu broń – zamierzał posłużyć się nią przeciw Thuvhe, a nie po to, by uczynić z nas „niezależny naród”, jak próbował wmówić Vekowi. Jak miałam teraz spojrzeć Akosowi w twarz, ze świadomością, że pomogłam bratu zrobić krok w stronę wojny z jego rodzinnym domem? Nie próbowałam go odszukać.

Usłyszałam głuchy dźwięk, podobny do grzmotu. Najpierw pomyślałam, że słyszę – niemożliwe – dźwięki burzy szalejącej na powierzchni, od której dzieliły nas przecież masy wody. A potem zobaczyłam w przerwach pośród tłumu grupę muzyków. Każdy z nich siedział przy niskim stoliku, a na każdym stoliku stał jeden z tych skomplikowanych instrumentów, które pokazałam Akosowi na targu, z tym że te były znacznie większe – sięgały dorosłemu człowiekowi do pasa – i jeszcze bardziej złożone niż tamten egzemplarz. Pokryte opalizującymi panelami szerokości mojej dłoni, połyskiwały w stłumionym świetle.

Po grzmocie rozległ się ostry trzask – uderzenie błyskawicy. W tym momencie do gry włączyli się pozostali muzycy, niektórzy wywoływali z instrumentów plusk lekkiego deszczu i głębsze uderzenia grubych kropli, inni dźwięk rozbijających się fal i chlupot wody omywającej brzeg. Ze wszystkich stron otaczały nas dźwięki wody, kropel kapiących z kranu i ryczącego wodospadu. Czarnowłosa kobieta

stojąca po mojej prawej stronie zamknęła oczy i zaczęła się kołysać. Niechcący odszukałam wzrokiem Akosa. Stał w tłumie, wciąż trzymając w rękach dwa puste kieliszki. Na jego twarzy widniał lekki uśmiech.

*Muszę ci pomóc wydostać się stąd, pomyślałam, tak jakby mógł mnie usłyszeć. I pomogę.*

AKOS NIE MÓGŁ SPAĆ w zimnym ziejącym pustką pokoju, który przydzielono im w stolicy Pithy. Nigdy dotąd nie spali w jednym pomieszczeniu, nie wiedział więc, że Cyra zgrzyta zębami i że bezustannie o czymś śni, wydając przy tym jęki i pomruki. Nie zmrużył oka prawie przez całą noc, czekał, aż się uspokoi, ale na próżno. Zresztą i tak wciąż był zbyt obolały, żeby zaznać odpoczynku.

Jeszcze nigdy nie przebywał w tak surowo urządzonej sypialni. Szare podłogi, jasne ściany, łóżka bez ram zasłane białą pościelą. Przynajmniej było okno. Wczesnym rankiem, kiedy wróciło światło, dojrzał za oknem zamazany labirynt podwodnej konstrukcji, pokrytej zielonym szlamem i giętkimi żółtymi pędami. Fundamenty miasta.

Pomyślał, że mieszkańcy Pithy i Thuvhe mają ze sobą coś wspólnego – żyją w miejscach, które w ogóle nie powinny istnieć.

W tych wczesnych godzinach jedno pytanie wciąż nie dawało mu spokoju: dlaczego się nie odsunął, kiedy go pocałowała? Bynajmniej go nie zaskoczyła – pochyliła się bardzo powoli, wciskając ciepłą dłoń w jego pierś, jakby go odpychała. On jednak nie protestował. Przerabiał tę scenę w pamięci, wciąż od nowa.

*Może, pomyślał, wsadzając głowę pod kran, żeby zmoczyć włosy, nawet mi się podobało.*

Ale bał się tej myśli. Oznaczała bowiem, że los, który go dręczył, który pociągał za sznurki łączące jego serce z Thuvhe i domem, nagle znalazł się kilka izytów od jego twarzy.

– Coś dzisiaj jesteś cichy – stwierdziła Cyra, kiedy zmierzali w stronę strefy załadunkowej. – To ten olej napędowy, który wypiełeś wczoraj wieczorem tak na ciebie podziałał?

– Nie – odparł. Czuł, że w jakimś sensie byłoby niegrzecznie wspominać, że gadała przez sen, kiedy domyślał się, jakie sny ją dręczą. W tym temacie nie było żartów. – Po prostu... nowe miejsce. To wszystko.

– Jasne, jasne, mnie też się kwaśno odbija. – Skrzywiła się. – Przyznaję, nie przepadam za Pithą.

– Za wyjątkiem... – zaczął, z zamiarem skomentowania

wczorajszego koncertu.

– Muzyki. Tak – dokończyła.

Niechący musnął knykciami jej dłoń i szybko cofnął rękę. Teraz był wyraźnie świadom każdego dotyku, chociaż Cyra obiecała, że nie zrobi kolejnego kroku.

Dotarli do łącznika – Akos nie użyłby takiego określenia, lecz widniało ono na tabliczce nad drzwiami – gdzie Vakrez i Malan właśnie wkładali wodoodporne kombinezony. Ryzek, Yma, Vas, Suzao i Eijeh jeszcze nie przyszli. Malan szukał odpowiedniego rozmiaru w stercie wysokich butów. Był niski i szczupły, miał jasne błyszczące oczy i cień zarostu na podbródku. Zdawałoby się, niezbyt odpowiedni partner dla Vakreza, zimnego przywódcy wojskowego, który czuwał nad edukacją Akosa.

– Cyro... – skinął jej głową na powitanie.

Vakrez zmierzył Akosa wzrokiem, ten zaś wyprostował się jak struna i uniósł podbródek. Wciąż słyszał w uszach niezmordowany głos Vakreza, nieustannie strofujący go, że się garbi, szura stopami, że pozwala sobie choćby na przekleństwo w języku thuvhe.

– Kereseth – powiedział Vakrez. – Urosłeś.

– Ponieważ u mnie dostaje normalnie jeść, w przeciwieństwie do waszej kuchni polowej. – Cyra wcisnęła Akosowi do rąk jaskrawozielony kombinezon oznaczony literą L.

Kiedy go rozwinął, okazało się, że jest niemal tej samej szerokości, co długości, ale Akos uznał, że nie warto się skarżyć, byle woda nie dostała mu się do butów.

– Racja – stwierdził Malan swoim piskliwym głosem.

– Nigdy się nie skarżyłeś – stwierdził Vakrez, dając mu kuksańca.

– Próbowałem zwrócić na siebie twoją uwagę – odparł Malan. – Od tamtej pory moja stopa tam nie powstała.

Akos przyglądał się, jak Cyra wkłada kombinezon. Robiła to z taką wprawą, że zastanawiał się, czy już wcześniej odwiedzała Pitheę, ale nie chciał zagajać rozmowy w towarzystwie Vakreza. Cyra wsadziła stopy w nogawki i zacisnęła wokół kostek paski, których wcześniej nie zauważył. To samo zrobiła z paskami przy nadgarstkach, po czym zapięła kombinezon pod samą szyję. Wyglądał równie bezkształtnie jak

ten przeznaczony dla Akosa, uszyty na osobę o cięższej budowie ciała niż szczupli, żyjący w trudnych warunkach mieszkańcy Shotet.

– Zamierzaliśmy dołączyć do jednego z plutonów – powiedział Vakrez do Cyry – ale jeśli wolisz polecieć na żer osobnym pojazdem...

– Nie – odparła. – Wolę dołączyć do twoich żołnierzy.

Żadnych podziękowań czy uprzejmości. Cała Cyra.

Kiedy już mieli na sobie kombinezony, z nogawkami wetkniętymi w wysokie buty, przeszli krytym tunelem do pojazdu. Nie tego, którym przylecieli poprzedniego dnia, lecz do mniejszego okrągłego sterolotu z owalnym dachem, by łatwo spływała z niego woda.

Po chwili znaleźli się nad falami, które, kiedy Akos zmrużył oczy, wyglądały jak śnieżna zamieć. Prowadził ten sam kapitan, Rel. W pewnym momencie wskazał przed siebie na cel ich wyprawy: wyspę wielkości średniej dzielnicy miasta, zasłaną stertami odpadków. Tak składowano śmieci na planecie Pitha.

Z daleka góra śmieciowa wyglądała jak brązowoszara gruda, lecz kiedy znaleźli się bliżej, dostrzegli tworzące ją elementy: wielkie pogięte płachty metalu, stare przerdzewiałe dźwigary, w których wciąż tkwiły śruby i bolce, przemoczone tkaniny w przeróżnych kolorach, popękane szkło grubości dłoni. Między największymi górami śmieci krążyli żołnierze z plutonu Vakreza, wszyscy w takich samych kombinezonach, jak oni.

Pojazd wylądował. Wysiedli gęsiego, Rel na samym końcu. Bębnienie deszczu o dach zmieniło się w rozbryzgi ciężkich kropel na ziemi. Akos wyraźnie czuł każdą z nich z osobna, na głowie, rękach i ramionach.

Ktoś na przedzie plutonu mówił:

– Wasze zadanie polega na wyszukiwaniu rzeczy, które mają jakąś wartość. W miarę nowe silniki na nurt, złomowany metal, zepsuta czy po prostu wyrzucona broń. Nie róbcie zamieszania, a jeśli zobaczycie miejscowych, zachowujcie się uprzejmie i skierujcie ich do mnie bądź Dowódcy Noaveka, który właśnie do nas dołączył. Witamy, panie.

Vakrez kiwnął głową i dorzucił:

– Pamiętajcie, stawką jest reputacja waszego władcy i całego Shotet. Uważają nas za barbarzyńców i ignorantów. Macie zachowywać

się tak, by zaprzeczyć ich błędnej opinii.

Kilku żołnierzy zaśmiało się, ale niepewnie, jakby nie do końca wiedzieli, czy im wolno, ponieważ Vakrez zachował całkowitą powagę. Akos pomyślał, że jego twarz już zapomniała, co się robi, żeby się uśmiechnąć.

– Do roboty!

Kilku żołnierzy ruszyło w stronę najbliższej górki, na którą składały się części sterolotu. Akos szukał wśród mężczyzn znajomych z treningu, ale nie potrafił powiedzieć, czy jest wśród nich ktoś mu znany – wszyscy mieli na głowach nakrycia przypominające hełmy i maski osłaniające oczy przed deszczem. On i Cyra takich nie włożyli – raz po raz mrugał, by krople nie dostały mu się pod powieki.

– Hełmy – powiedział Malan. – Wiedziałem, że o czymś zapomnieliśmy. Czy mam rozkazać żołnierzom, by użyczyli wam swoich, Cyro?

– Nie – odparła, a właściwie niemal warknęła. – To znaczy... nie, dziękuję.

– Wy, Noavekowie – westchnął Malan. – Dlaczego takie zwyczajne słowa jak „proszę” i „dziękuję” brzmią w waszych ustach tak nienaturalnie?

– Pewnie mamy to we krwi – odparła. – Chodź, Akos. Chyba widzę coś przydatnego.

Wzięła go za rękę, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. I może powinna być – może powinien tak po prostu przynosić jej ulgę, tak jak miał za zadanie. Ale po tym, jak dotknęła go wtedy w swoim pokoju na statku, tak gorączkowo i ostrożnie zarazem, jak teraz miał dotykać jej tak po prostu? Myślał tylko o tym, czy nie zaciska ręki zbyt mocno. A może zbyt słabo?

Przeszli między dwoma pagórkami części po sterolotach, kierując się w stronę góry kawałków metalu. Niektóre miały ciepłą barwę, jak muśnięta słońcem skóra. Akos zszedł na brzeg wyspy, gdzie wystawały wielkie dźwigary, podtrzymujące kształt stworzonego ludzką ręką lądu. Nie szukał broni, złomu ani maszyn. Wypatrywał drobnych przedmiotów, które niosły ze sobą jakąś historię: połamanych zabawek, starych butów, narzędzi kuchennych.

Cyra ukucnęła obok wygiętego obdrapanego pręta. Pociągnęła, a pręt okazał się zdumiewająco długi, wychodził i wychodził, roztrącając puste puszki i popękane rury. Na końcu pręta, który okazał się mierzyć dwa razy tyle co Akos, tkwiła poszarpana flaga przedstawiająca krąg symboli na szarym tle.

– Spójrz tylko – powiedziała Cyra z uśmiechem. – To ich stara flaga, sprzed przyłączenia do Zgromadzenia Dziewięciu Planet. Liczy sobie co najmniej trzydzieści pór.

– Jak to możliwe, że nie rozpadła się na deszczu? – dziwił się Akos, biorąc w palce wystrzępiony brzeg.

– Pitha specjalizuje się w produkcji trwałych materiałów: szkła, które się nie tłucze, metali, które nie rdzewieją, tkanin, które się nie rwą. Platform pływających, które potrafią unieść całe miasta.

– A wędkę?

Pokręciła głową.

– Blisko powierzchni nie ma zbyt wielu ryb, które można by łowić tradycyjnymi metodami. Zajmują się tym statki głębinowe. Podobno żyją tam ryby takich rozmiarów, że jedna sztuka może wyżywić całe miasto.

– Zawsze starasz się tyle dowiedzieć na temat miejsc, których nienawidzisz?

– Jak już wczoraj wspominałam – odparła – zero przyjaciół. Za dużo wolnego czasu. Chodź, spróbujemy znaleźć jeszcze trochę oślizłych reliktyw przeszłości.

Akos krążył brzegiem wyspy, szukając... cóż, niczego w szczególności tak naprawdę. Po chwili wszystko zaczęło wyglądać identycznie, matowy metal wydawał się równie użyteczny jak błyszczący, tkaniny zlały się w jeden kolor. W pewnym momencie znalazł gnijące truchło ptaka. Miał błony między palcami – a więc pływak – i groźnie wygięty dziób.

Akos usłyszał krzyk za plecami i obrócił się, mimo bólu protestujących żeber, zaniepokojony, czy Cyrze nic się nie stało. Ujrzał błysk zębów – uśmiechała się szeroko i wołała żołnierzy. Ruszył w jej stronę, spodziewając się zobaczyć jakieś spektakularne znalezisko. Był to jednak kolejny kawałek metalu. Szary. Matowy.

– Co... Komandorze Noavek! – zawołał żołnierz, który jako

pierwszy znalazł się przy Cyrze, wpatrzonej w metal oczami wielkimi jak spodki. Po chwili nadbiegł Vakrez.

– Zobaczyłam wystający róg i zaczęłam kopać – mówiła z podekscytowaniem. – Chyba spory kawał.

Róg, który trzymała w ręku, był gruby, w górze przeróżnych odpadków migąły fragmenty w tym samym odcieniu. Wyglądało na to, że płachta metalu jest wielkości znalezionej chwilę wcześniej masztu flagowego. Akos nie rozumiał, skąd to powszechne podekscytowanie.

– Cy... ee, panno Noavek? – zapytał.

– To najcenniejszy materiał występujący na Picie – wyjaśniła, odgarniając kawałki mokrej tkaniny zasłaniające metal. – Agneto. Bardzo mocny, potrafi wytrzymać uderzenia takich obiektów jak asteroidy, dobrze zachowuje się też przy przechodzeniu przez wstęgę nurtu. Od dziesięciu pór naprawiamy statek wyłącznie tym materiałem, jednakże jest bardzo trudny do zdobycia.

Przybiegła połowa żołnierzy z plutonu, wszyscy zaczęli pomagać Cyrze przy wyciąganiu metalowej płachty, szczerząc się jak ona. Akos stał z boku i patrzył. Po chwili udało im się uwolnić fragment na tyle duży, by porządnie chwycić za brzegi znaleziska. Wspólnie wyciągnęli je spomiędzy śmieci i zanieśli do pojazdu transportowego, na szczęście zaopatrzonego w odpowiednich rozmiarów ładownię.

Nie wiedział, co myśleć, patrząc, jak pracują wszyscy razem, Cyra i Vakrez Noavek obok szeregowych żołnierzy, jakby zapomnieli o swej uprzywilejowanej pozycji. Cyra miała ten wyraz twarzy, który czasem się pojawiał, kiedy razem przygotowywali mieszanki z szakwiatu i wreszcie udało jej się zrobić coś jak należy.

Podobała mu się ta mina.

W dzieciństwie marzył o podróżach międzyplanetarnych. Podobnie jak wszystkie dzieciaki w Hessie, w większości zbyt ubogie, by to marzenie kiedykolwiek mogło się ziścić. Rodzina Keresethów należała do zamożniejszych, wypadła jednak bardzo blado w porównaniu z farmerami z Shissy czy Osoc na północy. Tata obiecał jednak, że kiedyś zabierze go w przestrzeń kosmiczną, że odwiedzą inne planety. Akos sam miał je wybrać.

Wodna planeta z pewnością nie zajmowała pierwszego miejsca na



liście potencjalnych celów podróży. Ani nawet drugiego. Żaden z mieszkańców Thuvhe nie potrafił pływać, tamtejsze zasoby wody niemal w całości występowały bowiem pod postacią lodu. A oto teraz znalazł się na Picie. Słyszał uderzenia fal i widział z góry spienioną powierzchnię morza, stał na rampie ze wszystkich stron otoczony wodą, w ciepłym deszczu spadającym mu na głowę i czuł wyraźnie, jaki jest mały i nieważny.

I kiedy już zaczął przyzwyczajać się do tego uczucia, musieli wracać. Stał we wnętrzu sterolotu, kapiąc wodą na podłogę, z fiolką wypełnioną deszczówką w dłoni. Dostał ją od Cyry, kiedy załadowali agneto do transportu – „pamiątka z pierwszego pobytu na obcej planecie”, powiedziała, wzruszając ramionami, jakby to nic nie znaczyło. Tyle że w przypadku Cyry, jak zdążył się zorientować, niewiele było takich rzeczy, które nic nie znaczyły.

W pierwszej chwili pamiątka wydała mu się bez sensu – niby komu miałby ją pokazać? Już nigdy nie spotka się z rodziną. Umrze wśród ludu Shotet.

Ale musiał zachować nadzieję przynajmniej co do brata. Może Eijeh zabierze fiolkę do domu, kiedy Jorek pomoże mu uciec?

Cyra trzymała na kolanach zwiniętą flagę, nie uśmiechała się, ale jej twarz wyrażała ogromną energię, radość z powodu znalezienia agneto.

– Domyślam się, że zrobiłaś coś dobrego – powiedział, upewniwszy się, że Vakrez ani Malan nie mogą ich usłyszeć.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Tak. – Potem dodała: – To chyba musiało się kiedyś stać.

– Twoje cienie nurtu nie są tak ciemne jak zwykle – zauważył, odchylając głowę do tyłu.

Nie odpowiedziała. Przez całą drogę w milczeniu patrzyła na smugi ciemności biegające po jej dłoni – teraz raczej szare niż czarne.

Przybyli na miejsce dość wcześnie, wszyscy przemoczeni do suchej nitki. Część innych pojazdów również zdążyła już wrócić z żeru, więc wszędzie krążyli ludzie w mokrych ubraniach, wymieniając się historiami. Ściągali – teoretycznie wodoodporne – kombinezony i rzucali je na stos do późniejszego czyszczenia.

– A więc wasi ludzie trzymają tu swoje ubrania? – spytał Cyre, kiedy wracali do pokoju.

– Odwiedzaliśmy już Pithę – odparła. – Każdy władca ma specjalnych doradców, którzy z wyprzedzeniem odpowiednio przygotowują wyprawę na daną planetę, ale właściwie i bez tego każdy człowiek w pewnym wieku dobrze wie, jak przeżyć w każdym możliwym środowisku. Pustynia, góry, ocean, mokradła...

– Pustynia – powtórzył. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest chodzić po rozgrzanym piachu.

– Może pewnego dnia się dowiesz.

Uśmiech znikł z jego twarzy. Pewnie miała rację. Ile wypraw przyjdzie mu odbyć, zanim umrze, służąc jej rodzinie? Dwie, trzy? Dwadzieścia? Ile zwiedzi światów?

– Nie miałam na myśli... – urwała. – Życie jest długie, Akosie.

– Ale losy są pewne – odparł, cytując matkę. Niewiele wydawało się pewniejszych od jego losu. Śmierć. Służba. Rodzina Noavek. Wszystko jasne.

Cyra przystanęła. Znajdowali się niedaleko ogólnie dostępnej sali gimnastycznej, śmierdziało potem i starymi butami. Oplotła palce wokół jego nadgarstka i ścisnęła.

– Gdybym pomogła ci się stąd wydostać, w tej chwili – powiedziała – skorzystałbyś?

Serce waliło mu jak młotem.

– O czym ty mówisz?

– W strefie załadunkowej panuje chaos – odparła, pochylając się w jego stronę. Nagle zauważył, że jej oczy są bardzo ciemne, niemal czarne. I pełne życia, jakby ból szarpiący jej ciałem dostarczał jej również nowych zapasów energii. – Co kilka minut otwierają się drzwi, by wpuścić kolejny pojazd. Myślisz, że zdołaliby cię zatrzymać, gdybyś ukradł sterolot? Za parę dni byłbyś w domu.

W domu. Wspomnienie o tym miejscu było niczym znajomy zapach. Cisi, niosąca ukojenie samym uśmiechem. Mama zadająca prorocze zagadki. Mała ciepła kuchnia z czerwoną lampą z żarówek. Morze piórzycy sięgające pod sam dom, jej kępy muskające szyby. Trzeszczące schody prowadzące do pokoju, który dzielił z...

- Nie – odparł, kręcąc głową. – Bez Eijeha nigdzie się nie ruszam.
- Tak myślałam – odparła ze smutkiem, puszczając go.

Zagryzła wargę, a z jej oczu wyzierał niepokój. Przez resztę drogi milczeli, a kiedy dotarli do pokoju, Cyra poszła prosto do łazienki, by przebrać się w suche ubranie. Akos z przyzwyczajenia zasiadł przed ekranem z wiadomościami.

Zwykle na temat Thuvhe pojawiała się co najwyżej drobna wzmianka w strumieniu słów na dole ekranu, a nawet wówczas, jak wyjaśniła Cyra, wiadomości dotyczyły jedynie hodowli szakwiatów. Tylko to interesowało inne planety, jeśli chodziło o zimny ląd Thuvhe. Szakwiaty stosowano bowiem w wielu lekarstwach. Ale tym razem na ekranie pokazała się potężna zamieć.

Znał to miejsce. Osoc, najbardziej wysunięte na północ miasto Thuvhe, białe i ściśnięte mrozem. Tamtejsze budynki unosiły się w powietrzu jak szklane obłoki, podtrzymywane za pomocą jakiejś technologii z Othyru, dla Akosa niepojętej. Nadano im kształt kropli zaokrąglonych na obu końcach. Raz do roku udawali się tam z wizytą do kuzynostwa, zapakowani w najcieplejsze ubrania i nawet na chwilę nie wytykali nosa z budynku, zawieszono go na niebie niczym dojrzwały owoc, który nigdy nie spadnie. Szakwiaty rosły również tak daleko na północy, ale z tej odległości wyglądały jak barwne smugi gdzieś w dole.

Akos usiadł na brzegu łóżka Cyry, nie zważając na to, że moczy pościel swym wilgotnym ubraniem. Nie mógł oddychać. *Osoc, Osoc, Osoc*, słyszał echo w głowie. Białe płatki na wietrze. Wzory mrozu na szybach. Łodygi szakwiatu tak kruche, że mogły złamać się przy najlżejszym dotknięciu.

– Co to? – spytała Cyra, odgarniając włosy z twarzy. Na głos odczytała tekst z ekranu:

– Wybrana przez los kanclerz Thuvhe przedstawia swoje stanowisko.

Akos uderzył w ekran, by zrobić głośniejsze. Głos mrucał po othyrsku:

– ...obiecała silny opór przeciw Ryzekowi Noavekowi w imieniu wyroczni Thuvhe zaginionych dwie pory temu, zapewne podczas shoteckiej inwazji.

– Nie wybieracie swojego kanclerza? – zdziwiła się Cyra. – Czy nie dlatego używa się słowa „kanclerz” zamiast „władca”, ponieważ otrzymuje się to stanowisko na drodze wyborów, nie dziedziczenia?

– Kanclerze w Thuvhe są wyznaczani przez los. Wybrani przez nurt, jak powiadają. Jak powiadamy – poprawił się Akos. Nawet jeśli Cyra zauważyła zmianę osoby, to tego nie skomentowała. – W niektórych pokoleniach w ogóle nie ma kanclerza, są jedynie reprezentanci regionalni. I tych wybieramy sami.

– Aha. – Cyra skierowała spojrzenie na ekran.

Na lądowisku zebrał się tłum, wszyscy szczelnie opatuleni, chociaż było kryte. Na brzegu przysiadł statek, właz się otworzył i na stopniach stanęła ciemno odziana kobieta. Tłum zaczął wiwatować. Wizjery pokazały w zbliżeniu jej twarz owiniętą szalem, zakrywającym nos i usta. Miała ciemne oczy z odrobiną jaśniejszej szarości wokół źrenic, lekko skośne – wizjery były naprawdę blisko, bzycały niczym muchy tuż obok jej twarzy. Znał ją.

Znał ją.

– Ori – powiedział bez tchu.

Tuż za nią stała druga kobieta, tego samego wzrostu, takiej samej szczupłej budowy ciała, również opatulona po uszy. Kiedy wizjery skierowały się na nią, Akos dostrzegł, że kobiety wyglądają właściwie identycznie, łącznie z rzęsami. Bliźniaczki.

Ori miała siostrę. Ori miała sobowtóra.

Akos bacznie przyglądał się ich twarzom, szukając różnic, ale bez rezultatów.

– Znasz je? – spytała Cyra.

Był w stanie tylko kiwnąć potakująco głową. A potem pomyślał, że może nie powinien. Ori znano pod nazwiskiem Orieve Rednalis – nie pod nazwiskiem należącym do wybrańca losu – ponieważ jej prawdziwa tożsamość wiązała się z zagrożeniem. Co znaczyło, że powinien zachować tę wiedzę dla siebie.

*Ale*, pomyślał, spoglądając na Cyrę. Nie dokończył myśli, tylko pozwolił słowom popłynąć:

– Kiedy byłem dzieckiem, należała do przyjaciół mojej rodziny. Wtedy sama również była dzieckiem. Ukrywała się pod przybranym

nazwiskiem. Nie wiedziałem, że ma... siostrę.

– Isae i Orieve Benesit – odczytała z ekranu Cyra.

Bliźniaczki właśnie wchodziły do budynku. Podmuch z wnętrza przykleił im płaszcze – zapinane na ramieniu na guziki – ciasno do ciała. Wyglądały uroczo. Akos nie rozpoznał futra, z którego zrobiono szale ani tkaniny, z której uszyto płaszcze, czarnej i wolnej od płatków śniegu. Na pewno pochodzącej z innej planety.

– Posługiwała się nazwiskiem Rednalis – dorzucił. – To nazwisko z Hessy. Ostatni raz widziałem ją w dniu, kiedy ogłoszono nasze losy.

Isae i Orieve zatrzymały się przy wejściu, by pozdrowić zgromadzony tłum. Kiedy poszły dalej, a wizjery pomknęły za nimi, Akos dostrzegł szybki ruch. Jedna z sióstr, ta idąca tyłem, objęła pierwszą za szyję, przyciągając jej głowę do siebie. Takim samym gestem jak Ori, kiedy chciała wyszeptać coś Eijehowi do ucha.

Akos nic więcej nie widział, oczy zasły mu łzami. To była Ori, która miała swoje miejsce przy ich stole rodzinnym, która знаła go, zanim stał się... *tym czymś*. Uzbrojonym, mściwym, zdolnym odebrać życie *czymś*.

– Mój kraj ma kanclerza – rzekł.

– Gratulacje – powiedziała Cyra. Z wahaniem zapytała: – Dlaczego mi to wszystko mówisz? Raczej nie powinieneś rozgłaszać takich informacji. Jej przybranego nazwiska, okoliczności, w których się znaliście, i tak dalej.

Akos zamrugął, by przegonić mgłę.

– Nie wiem. Chyba ci ufam.

Uniosła rękę nad jego ramieniem. Zawahała się. Po chwili opuściła ją i lekko go dotknęła. Oglądali wiadomości, siedząc tuż obok siebie.

– Nie zatrzymałabym cię siłą. Wiesz o tym, prawda? – mówiła tak cicho. Jak jeszcze nigdy dotąd. – Już nie. Gdybyś chciał odejść, pomogłabym ci.

Akos przykrył jej dłoń swoją. Lekki dotyk, ale naładowany świeżą energią. Jak ból, przed którym nie musiał się bronić.

– Jeśli... *kiedy*. Kiedy uwolnię Eijeha – odparł – czy odeszłabyś ze mną?

– A wiesz, chyba tak. – Westchnęła. – Ale tylko, gdyby Ryzek już

nie żył.

Kiedy statek skierował się w drogę powrotną, zaczęły docierać do nich we fragmentach wieści o sukcesie Ryzecka odniesionym na Picie. Akos odkrył, że głównym źródłem plotek, z którego czerpie Cyra, jest Otega, zorientowana w wielu sprawach, jeszcze zanim trafią do publicznej wiadomości.

– Władca jest zadowolony – powiedziała, gdy któregoś wieczoru przyniosła im garnek zupy. – Chyba zawarł sojusz. A sojusz pomiędzy ludem tradycyjnie wierzącym w los, jak Shotet, a świecką planetą, jak Pitha, należy uznać za prawdziwe osiągnięcie. – Rzuciła Akosowi zaciekawione spojrzenie i dodała: – Kereseth, jak przypuszczam. Cyra nie wspominała, że jesteś taki... – urwała.

Brwi Cyry gwałtownie podjechały do góry, jak na sprężynkach. Stała oparta o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, żując kosmyk włosów. Czasami tak robiła, całkiem bezwiednie. Nagle wypłuła go z zaskoczoną miną, jakby sam wpelzł jej do ust.

– ...wysoki – dokończyła Otega.

Akos zastanawiał się, co tak naprawdę by powiedziała, gdyby uznała, że może sobie pozwolić na szczerość.

– Nie bardzo wiem, dlaczego miałaby o tym wspominać – odparł Akos. Czuł się swobodnie w towarzystwie Otegi, nawet nie musiał się nad tym zastanawiać. – Ona w końcu też jest wysoka.

– Tak. Istotnie – przyznała Otega z rezerwą w głosie. – Cóż. Smacznego.

Kiedy wyszła, Cyra natychmiast włączyła wiadomości. Tłumaczyła Akosowi napisy w shotet. Tym razem uderzająco różniły się od komentarza mówionego. Brzmiały tak: „Kanclerz Pithy otwiera przyjacielskie negocjacje między Pithą i Shotet w świetle wizyty ludu Shotet w pithyjskiej stolicy”. Głos po othyrsku zaś powiedział: „Kanclerz Thuvhe Benesit grozi Picie embargiem na handel szakwiatem w związku z rozmowami między Pithą a przywódcami Shotet na temat wzajemnej pomocy międzyplanetarnej”.

– Najwyraźniej wasza kanclerz nie jest zadowolona, że Rzyzek zdołał oczarować Pitę – zauważyła Cyra. – Groźba embarga i tak dalej.

– Cóż – odparł Akos – Rzyzek próbuje podbić jej kraj.

Cyra mruknęła.

– Ten przekład nie brzmi jak dzieło Malana, musieli zlecić go komuś innemu. Malan lubi wydzielać informacje, nigdy nie podaje wszystkiego naraz.

Akos miał ochotę się roześmiać.

– Potrafisz poznać, kto robił przekład?

– Propaganda uprawiana przez Noaveków jest prawdziwą sztuką – odparła, wyciszając wiadomości. – Uczą nas jej od urodzenia.

Ich mieszkanie – Akos zaczął tak nazywać to miejsce w myślach, chociaż czuł przy tym lekki niepokój – stanowiło oko cyklonu, cichy punkt w samym środku chaosu. Wszyscy gorączkowo szykowali się do lądowania. Nie mógł uwierzyć, że wyprawa dobiega końca, miał wrażenie, jakby dopiero co wyruszyli w drogę.

Pewnego dnia, kiedy wstęga nurtu straciła ostatnie smugi błękitu, Akos stwierdził, że czas dotrzymać obietnicy danej Jorekowi.

– Jesteś pewna, że nie wyda mnie Ryzekowi za to, że go trułem? – spytał Cyrę.

– Suzao ma naturę żołnierza – odparła, po raz chyba setny przewracając kartkę w książce. – Woli sam załatwiać swoje sprawy. Gdyby cię wydał, postąpiłby jak tchórz.

Akos skierował więc kroki do kafeterii. Był świadom, jak szybko bije mu serce, jak niespokojnie ruszają się palce. Suzao stołował się w jednym z miejsc gorszej kategorii – należał do najniższej postawionych popleczników Ryzeka, co znaczyło, że w większości miejsc i sytuacji nie za bardzo się z nim liczone. Ale w niżej położonych kafeteriach, w pobliżu warkoczających maszyn napędzających statek mógł poczuć się jak ktoś wyższy rangą. Było to idealne miejsce, żeby go sprowokować – w końcu taki człowiek nie mógł pozwalać, by jakiś służący obrażał go w obecności niższych rangą osób, prawda?

Jorek obiecał pomóc Akosowi przy ostatnim ruchu. Kiedy Akos wszedł do kafeterii, wielkiego zawilgoconego pomieszczenia na jednym z najniższych pokładów, Jorek stał w kolejce przed ojcem. Było ciasno, a powietrze wypełniał dym, zapach jedzenia i przypraw sprawił jednak, że Akosowi ślina napłynęła do ust.

Przy jednym ze stolików grupka młodzieży odsunęła tace

z jedzeniem i grała w coś małymi urządzeniami, które mogłyby zmieścić się w dłoni. Zrobiono je z zębatek i drucików umieszczonych na kółkach, jedno miało przyczepione z przodu szczypce, inne ostrze, a trzecie – młotek wielkości kciuka. Zdalnie sterowane maszyny ściagały się we wnętrzu narysowanego na stole okręgu. Kiedy się zderzały, widownia wykrzykiwała porady: „Atakuj prawe koło!”, „Użyj szczypiec, po co niby są?”. Dzieciaki miały na sobie dziwaczne ciuchy, niebieskie, zielone i fioletowe, gołe ramiona obwiązane barwnymi sznurkami, a włosy podgolone, zaplecione w warkoczyki i zebrane wysoko na czubku głowy. Ta scena wywołała u Akosa przyływ obrazów – on sam jako dziecko z Shotet, z pilotem w ręku czy jako widz, wpatrzony w grę toczącą się na stole.

Nic podobnego nigdy nie miało miejsca i nigdy się nie zdarzy. Ale przez moment wydawało się to możliwe.

Podszedł do stosu tac leżących na blacie i wziął jedną do ręki. W zwiniętej dłoni trzymał niewielką fiolkę. Prześliznął się na przód kolejki, bliżej Suzao, by wlać truciznę do jego kubka. Jorek w samą porę wpadł na stojącą przed nim kobietę i z hukiem upuścił tacę. Kobieta dostała zupą między łopatki, zakłęła. W zamieszaniu Akos niepostrzeżenie wlał płyn do kubka Suzao.

Wyminął Joreka – próbował pomóc oblanej zupą kobiecie, która z wściekłością odepchnęła go łokciem.

Kiedy Suzao usiadł na swym zwykłym miejscu i upił łyk zatrutego płynu, Akos przystanął i głęboko odetchnął.

Suzao wdarł się do jego domu wraz z innymi najeźdźcami, stał tam i patrzył, jak Vas morduje ich ojca. Zostawił odciski palców na ścianach, ślady butów na podłodze, naznaczył przemocą najbezpieczniejsze schronienie na świecie. Wspomnienia, wyraźne jak zawsze, pomogły Akosowi przygotować się na to, co musiał zrobić.

Postawił tacę naprzeciw Suzao. Mężczyzna przebiegł wzrokiem wzdłuż jego ramienia, sprawdzając rejestr zabójstw.

– Pamiętasz mnie? – zapytał Akos.

Suzao był teraz niższy od niego, ale tak barczysty, że kiedy siedział, nie było tego widać. Na nosie miał piegi. Nie przypominał Joreka, który odziedziczył wygląd po matce. Całe szczęście.



– To ty jesteś tym beznadziejnym dzieciakiem, którego ciągnąłem siłą przez cały Dział? – odezwał się Suzao z widelcem w ustach. – A potem sprąłem na kwaśne jabłko, jeszcze zanim wsiedliśmy do pojazdu transportowego? Taaa. Pamiętam. A teraz zabieraj tacę z mojego stołu.

Akos usiadł. Poczul nagły przyływ adrenaliny, a wraz z nim odwagi.

– Jak się czujesz? Może jesteś nieco senny? – zapytał, rzucając fiolkę na blat.

Szkło, jeszcze mokre od środka nasennego, pękło, ale nie rozpadło się na kawałki. Cisza promieniejąca od ich stolika rozlała się po całym pomieszczeniu.

Suzao wbił wzrok w fiolkę. Jego twarz pokryła się plamami, a oczy zaszyły wściekłością.

Akos pochylił się w jego stronę z uśmiechem.

– Twoje mieszkanie nie jest aż tak bezpieczne, jak zapewne sobie wyobrażasz. Który to już raz w tym miesiącu wypiliśmy truciznę, chyba trzeci? Widać nie zachowujesz wystarczającej ostrożności.

Suzao zerwał się z miejsca, chwycił go za gardło i rzucił o stół, dokładnie tam, gdzie stała taca z jedzeniem. Akos poczuł przez koszulę gorącą plamę zupy. Suzao wyciągnął nóż i przyłożył ostrze do jego głowy, jakby zamierzał wydłubać mu oko.

Akos ujrzał mroczki przed oczami.

– Powinienem cię zabić – warknął Suzao, plując śliną.

– Nie krępuj się – odparł Akos, spinając mięśnie. – Chociaż może lepiej później, bo teraz możesz zasłać.

Rzeczywiście, Suzao miał nieco błędny wzrok. Puścił Akosa.

– Świetnie – powiedział. – W takim razie wyzywam cię na pojedynek na arenie. Ostrza. Na śmierć i życie.

Suzao nie zawiódł jego oczekiwania.

Akos usiadł, powoli, tak by wszyscy widzieli jego drżące dłonie i poplamioną koszulę. Cyra powiedziała, że powinien utwierdzić Suzao w przekonaniu, że jest niegroźnym przeciwnikiem. Otarł krople śliny z policzka i kiwnął głową.

– Przyjmuję wyzwanie – oznajmił. Odnalazł wzrokiem Joreka – na

jego twarzy malowała się ulga.

BUNTOWNICY NIE ZOSTAWILI MI WIADOMOŚCI w kafeterii, nie szepnęli przelotnie niczego do ucha. Nie włamali się do moich osobistych ekranów, nie spowodowali przerwy w dostawie energii, nie porwali mnie. Kilka dni po powrocie z żeru, idąc do swojego pokoju, zobaczyłam długie jasne włosy – to była Teka, z brudną szmatą w poplamionych smarem dłoniach. Spojrzała na mnie i kiwnęła palcem, a ja posłusznie ruszyłam za nią.

Nie zaprowadziła mnie do żadnego sekretnego pomieszczenia czy przejścia, tylko do strefy załadunkowej. Było ciemno, sylwetki pojazdów transportowych wyglądały jak ogromne stworzenia skulone we śnie. W odległym kącie świeciła się lampa, przymocowana do skrzydła jednego z większych pojazdów.

Jeśli deszcz i grzmoty brzmiały w uszach mieszkańców Pithy jak muzyka, to muzyką Shotet było buczenie maszyn. Dźwięk statku zabierającego nas na wyprawę, dźwięk naszego ruchu towarzyszącego wstędze nurtu. Tak więc nic dziwnego, że właśnie w tej części statku, gdzie ciągle dudnienie maszynierii umieszczonej poziom niżej zagłuszało wszelkie rozmowy, urządziła sobie spotkanie niewielka grupka buntowników.

Wszyscy mieli na sobie kombinezony pracowników technicznych – może nawet byli pracownikami technicznymi – a ich twarze zasłaniały takie same czarne maski jak ta, którą nosiła Teka, gdy napadła na mnie wtedy w korytarzu.

Teka wyciągnęła nóż i przytknęła ostrze do mojej szyi. Było zimne i pachniało słodko, podobnie do mikstur Akosa.

– Spróbuj podejść bliżej, a będzie po tobie – ostrzegła.

– Tylko nie mów, że to już wszyscy. – Przerobiłam w myślach różne opcje, jak by tu się uwolnić, zaczynając od nadeptnięcia jej na palce u nóg.

– Sądzisz, że narażalibyśmy całą organizację? – spytała. – O nie.

Lampa przypięta do skrzydła pojazdu transportowego straciła jeden z metalowych uchwytów i kołysała się na kablu, przymocowana tylko z jednej strony.

– To ty poprosiłaś o spotkanie – powiedział jeden z mężczyzn. Jego głos brzmiał szorstko i dorośle. Był potężny i miał brodę tak gęstą, że różne rzeczy mogłyby się w niej zgubić. – Czego właściwie od nas chcesz?

Przełknęłam ślinę. Nadal czułam na szyi ostrze noża, nie dlatego jednak mówienie przychodziło mi z trudem. Wreszcie miałam głośno powiedzieć to, o czym myślałam od wielu miesięcy. Wreszcie coś robiłam, a nie tylko planowałam, po raz pierwszy w życiu.

– Chcę załatwić komuś bezpieczny transport poza Shotet – odparłam. – Komuś, kto niekoniecznie chce stąd wyjechać.

– Komuś – powiedział mężczyzna. – A komu konkretnie?

– Akosowi Keresethowi.

Rozległy się stłumione glosy.

– I on nie chce wyjechać? To dlaczego chcesz go uwolnić?

– To... skomplikowane – odparłam. – Jego brat tu jest. Stracony. Bez szans na poprawę. – Urwałam. – Niektórzy głupieją z miłości.

– Ach – wtrąciła Teka – już rozumiem.

Odnosiłam wrażenie, że wszyscy mają ze mnie ubaw, uśmiechają się pod ciemnymi maskami. Wcale mi się to nie podobało. Chwyciłam nadgarstek Teki i wykręciłam, mocno, by nie mogła mierzyć we mnie ostrzem. Jęknęła, a ja złapałam ostrze między palce i wyrwałam je z jej uchwytu. Przesunęłam nóż w dłoni i chwyciłam za rękojeść, palce ślizgały mi się od tego, czym posmarowano ostrze.

Nim Teka zdążyła zareagować, zaatakowałam ją, chwyciłam za ramię i przycisnęłam do piersi, mierząc ostrzem w jej bok. Próbowałam zatrzymać dar nurtu w sobie, zaciskałam zęby, żeby nie krzyknąć. Ciężko oddychałam tuż przy jej uchu. Stała spokojnie.

– Może ja też zgłupiałam – powiedziałam – ale nie jestem idiotką. Myślicie, że nie umiałabym was rozpoznać, po waszej postawie, sposobie chodzenia czy mówienia? Jeśli chciałabym was wydać, i tak bym to zrobiła, bez względu na wasze maski i wymierzone we mnie ostrza. A jak wszyscy wiemy, wydając was, wydałabym także siebie. Więc – zdmuchnęłam kosmyk włosów Teki ze swoich ust – odbędziemy tę rozmowę, darząc się wzajemnym zaufaniem albo nie odbędziemy jej wcale.

Puściłam Tekę i podałam jej nóż. Popatrzyła na mnie wściekłym wzrokiem, ściskając nadgarstek, ale przyjęła swoją własność.

– Zgoda – powiedział mężczyzna.

Zdjął maskę z twarzy. Gęsta broda rosła również na jego szyi. Kilka innych osób poszło za jego przykładem. Wśród nich był Jorek, stał po mojej prawej stronie, z rękami splecionymi na piersi. Nie zdziwiłam się zbytnio, w końcu bez skrupułów zaplanował śmierć swego ojca, bez reszty oddanego rodzinie Noaveków.

Pozostali nie zareagowali, ale nie zamierzałam się tym przejmować. Liczył się ten, który mówił za wszystkich.

– Jestem Tos. Wydaje mi się, że możemy spełnić twoją prośbę – powiedział. – A ty, jak przypuszczam, zdajesz sobie sprawę, że zechcemy czegoś w zamian.

– A konkretnie? – spytałam.

– Potrzebujemy twojej pomocy, by dostać się do rezydencji Noaveków. – Tos skrzyżował na piersi potężne ramiona. Miał na sobie ubranie z tkanin spoza naszej planety, zbyt cienkich jak na chłód panujący w Shotet. – Po powrocie z wyprawy.

– Jesteś banitą? – spytałam, marszcząc brwi. – Twój strój by na to wskazywał.

Czy buntownicy utrzymywali kontakty z banitami, którzy uciekli w bezpieczne miejsce przed reżimem Noaveków, na jakąś inną planetę? Miałoby to sens, ale wcześniej jakoś nie przyszło mi to do głowy. Banici z pewnością stanowili silniejszą grupę niż zbuntowani mieszkańcy Shotet, którzy zwrócili się przeciw memu bratu – i dla mnie osobiście bardziej niebezpieczną.

– Jeśli chodzi o nasze cele i zamiary nie ma różnicy między banitą a buntownikiem. Wszyscy chcemy jednego: pozbawić władzy twego brata i na nowo stworzyć społeczeństwo Shotet, przywrócić je do stanu z czasów, zanim twoja rodzina splamiła je nierównością – odparł Tos.

– Splamiła nierównością – powtórzyłam. – Elegancka fraza.

– Nie ja ją wymyśliłem – rzekł Tos śmiertelnie poważnie.

– Ujmując rzecz mniej elegancko – wtrąciła Tekę – głodzicie nas i odbieracie nam lekarstwa. Nie wspominając o wyłupywaniu oczu czy innych pomysłach, jakie akurat przyjdą Ryzekowi do głowy.

Już miałam zaprotestować, że nigdy nikogo nie głodziłam ani nie pozbawiałam pomocy medycznej, ale nagle uznałam, że nie warto dyskutować.

– Dobrze. A więc... rezydencja Noaveków. Jaki macie plan?

Był to jedyny budynek, do którego akurat ja mogłam pomóc komuś się dostać. Znałam wszystkie kody, którymi posługiwał się Ryzek. W dodatku niektóre drzwi były zamykane na klucz genetyczny – Ryzek zainstalował ten system po śmierci rodziców. Tylko ja miałam te same geny, co on. Moja krew mogła umożliwić im wstęp do wszystkich zakątków naszego domu.

– Uważam, że ta informacja nie jest ci potrzebna.

Zmarszczyłam brwi. Potrafiłam sobie wyobrazić tylko kilka rzeczy, których buntownicy czy banici mogli szukać w rezydencji Noaveków. Zdecydowałam się wypowiedzieć głośno swoje przypuszczenia.

– Bądźmy szczerzy. Chcecie, bym uczestniczyła w zamachu na własnego brata.

– Masz coś przeciwko? – spytał Tos.

– Nie – odparłam. – Już nie.

Mimo wszystkich krzywd, których doznałam ze strony Ryzeka, poczułam się nieco zaskoczona, że odpowiedź przyszła mi tak łatwo. Był moim bratem, w naszych żyłach płynęła ta sama krew. Był również moim gwarantem bezpieczeństwa – buntownicy, którzy pozbawią go życia, nie oszczędzą przecież jego siostry, morderczyni. Ale gdzieś między przesłuchaniem Zosity a groźbami Ryzeka pod adresem Akosa pozbyłam się resztek poczucia lojalności.

– Świetnie – uznał Tos. – W takim razie będziemy w kontakcie.

Tego wieczoru, poprawiając spódnicę wokół nóg, szukałam wzrokiem wśród tłumu zapelniającego salę żołnierzy z regimentu Suzao Kuzara. Stawili się wszyscy, siedzieli w łoży, wymieniając rozbawione spojrzenia. Doskonale, pomyślałam. Byli stanowczo zbyt pewni siebie, co znaczyło, że Suzao również żywi nadmierną wiarę we własne siły, dzięki czemu łatwiej będzie go pokonać.

Pomieszczenie rozbrzmiewało stłumionym pomrukiem rozmów. Nie przybyły aż takie tłumy jak kilka miesięcy wcześniej na moją walkę z Lety, ale znacznie większe niż zwykle bywały na zawodach

Odzyskanych. To również uznałam za dobry znak. Wygrana w zawodach na arenie zawsze dawała wyższą pozycję społeczną, teoretycznie, ale by zmiana rzeczywiście weszła w życie, musieli się na nią zgodzić wszyscy członkowie społeczności Shotet. Im więcej osób zobaczy zwycięstwo Akosa nad Suzao, tym lepiej będzie on postrzegany, co z kolei sprawi, że łatwiej mu będzie uwolnić brata. Przewaga na jakimś konkretnym polu zwykle przekłada się na władzę w rozumieniu ogólnym.

Ryżek nie przybył na zawody, za to Vas zajął miejsce obok mnie na podwyższeniu zarezerwowanym dla wysoko postawionych urzędników. Ja siedziałam na jednym końcu, on na drugim. W ciemnych miejscach łatwiej mi było unikać ludzkich spojrzeń, dar nurtu stawał się wtedy niewidoczny. Nie mogłam jednak ukryć go przed Vasem, siedział on bowiem na tyle blisko, że widział, jak na mojej skórze pojawiają się ciemne smugi, za każdym razem, kiedy ktoś w tłumie wypowiedział imię Akosa.

– Wiesz, nie powtórzyłem Ryżekowi, że rozmawiałaś z córką Zosity przed wyruszeniem na żer – powiedział Vas.

Serce zaczęło mi walić jak młotem. Czułam się tak, jakby spotkanie z buntownikami odcisnęło na mnie piętno, widoczne dla każdego, kto tylko uważnie mi się przyjrzy. Ale próbowałam zachować spokój.

– Kiedy sprawdzałam ostatnio, rozmawianie z pracownikami technicznymi nie stanowiło wykroczenia przeciwko regułom ustanowionym przez Ryżeka – odparłam.

– Może wcześniej by go to nie obeszło, ale teraz z pewnością tak.

– I co, mam ci podziękować za dyskrecję?

– Nie. Potraktuj to jak drugą szansę. Dopilnuj, by te ostatnie wygłupy się nie powtórzyły.

Skierowałam wzrok na arenę. Światła zjechały niżej, głośniki zapiszczały, kiedy ktoś włączył wzmacniacze dyndające nad areną. Pierwszy wszedł Suzao, witany okrzykami i wiwatami. Uniósł ramiona, a jego gest wywarł zamierzony skutek: tłum eksplodował.

– Co za arogancja – mruknęłam.

Nie miałam na myśli jego zachowania, tylko strój. Miał na sobie

tylko koszulę, zbroi nie włożył. Widać nie uznał tego za konieczne. Ale od dawna nie widział Akosa podczas walki.

Akos zjawił się na arenie chwilę później. Miał na sobie zbroję i te same solidne buty, które nosił na Picie. Powitały go szydercze okrzyki i obsceniczne gesty, zdawały się jednak zupełnie go nie dotykać, gdziekolwiek tak naprawdę znajdował się w tym momencie. Z jego oczu znikła nawet charakterystyczna czujność.

Suzao wyciągnął nóż, a spojrzenie Akosa nagle stwardniało, jakby podjął decyzję. Również dobył noża. Poznałam go – to był ten, który dostał ode mnie, zwykły sztylet z Zoldu.

Pod wpływem dotyku nie pojawiły się ciemne witki. Domyślałam się, że w oczach tłumu, przywykłego do widoku osób walczących za pomocą ostrzy nurtu, było to co najmniej dziwne. Potwierdziły się wszystkie pogłoski na temat odporności Akosana na działanie nurtu. Tym lepiej, tym łatwiej ich przestraszy – a kiedy budzi się w ludziach strach, ma się nad nimi szczególną władzę. Coś o tym wiedziałam.

Suzao podrzucał nóż w tył i w przód, jednocześnie obracając nim na dłoni. Zapewne nauczył się tej sztuczki od przyjaciół trenujących w szkole zivatahak, jego wygląd bowiem, nabrzmiałe mięśnie pod tkaniną koszuli, wyraźnie wskazywał na ucznia altetahak.

– Wyglądasz na zdenerwowaną – powiedział Vas. – Chcesz potrzymać mnie za rękę?

– Niepokoję się o twojego człowieka – odparłam. – Rękę zatrzymaj, jestem pewna, że jeszcze ci się przyda.

Vas zaśmiał się.

– Pewnie już mnie nie potrzebujesz, skoro znalazłaś kogoś nowego, kto może cię dotykać.

– A to co ma niby znaczyć?

– Dobrze wiesz co. – Oczy Vasa załśniły gniewem. – Lepiej popatrz sobie jeszcze na swoje ulubione zwierzątko z Thuvhe. Zaraz zginie.

Suzao pierwszy zadał cios, ale Akos bez trudu zrobił unik przed zbyt powolnym ruchem, nawet nie mrugnął.

– O, szybki jesteś. – Głos Suzao rozległ się echem we wzmacniaczach. – Zupełnie jak twoja siostra. Jej też prawie udało się



przede mną uciec. Już otwierała drzwi, kiedy jednak ją dopadłem.

Znów się zamierzył, celując w gardło Akosa, wyraźnie zamierzał przycisnąć go do ścianki. Akos jednak zablokował jego rękę, przełamał chwyt i puścił. Słyszałam w głowie zasady strategii elmetahak – zachować dystans do potężniej zbudowanego przeciwnika.

Akos zakręcił nożem, oszłamiająco błyskawicznym ruchem – światło odbiło się w ostrzu i zalśniło na podłodze. Spojrzenie Suzao pobiegło za nim. Akos wykorzystał tę chwilę nieuwagi i mocno walnął przeciwnika lewą pięścią.

Suzao zatoczył się do tyłu, krew buchnęła mu z nosa. Nie miał pojęcia, że Akos jest leworęczny. I że ciągle zmuszam go do robienia pompek.

Akos ruszył za nim, zgiął ramię i jeszcze raz uderzył Suzao łokciem w nos. Krzyk odbił się echem od ścian. Suzao zamierzył się na ślepo, chwycił przód zbroi Akosa i pchnął go w bok. Akos zachwiał się, a wtedy Suzao przycisnął go do ziemi i mocno walnął w szczękę.

Skrzywiłam się. Akos, oszołomiony, przyciągnął kolano do twarzy, jakby zamierzał kopnąć Suzao, ale zamiast tego wyciągnął z buta nóż i wsadził go w bok przeciwnika, dokładnie między żebra.

Suzao upadł na bok, ze zdumieniem wlepiając wzrok w sterczącą z ciała rękoność. Akos ciął drugim nożem. Z szyi Suzao buchnęła krew, on sam zaś padł na ziemię.

Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jakie mam spięte mięśnie.

Wszyscy krzyczeli. Akos pochylił się, wyszarpał nóż, wytarł go w spodnie i schował do buta. Słyszałam jego drżący oddech, zwielokrotniony przez wzmacniacze.

*Nie panikuj*, powiedziałam w myślach, jakby mógł mnie usłyszeć.

Rękawem otarł pot z czoła, uniósł głowę i powiódł wzrokiem po widowni, obracając się przy tym bardzo wolno, jakby mierzył spojrzeniem każdego z osobna. W końcu schował nóż, zrobił krok ponad ciałem Suzao i skierował się do wyjścia.

Odczekałam chwilę, po czym zeszałam z podwyższenia i zaczęłam przepychać się przez tłum. Moje ciężkie ubranie wydeło się pod wpływem ruchu. Przytrzymując spódnicę obiema rękami, próbowałam

dogonić Akosa, ale mogłam go dostrzec, przemierzając kolejne korytarze w stronę naszych pokoi.

Dotarwszy na miejsce, przystanęłam z ręką nad czujnikiem i uważnie nasłuchiwałam.

Ze środka dobiegał odgłos ciężkiego oddechu, który zmienił się po chwili w łkanie. A potem usłyszałam krzyk i donośny brzęk, i huk. Przycisnęłam ucho do drzwi, zagryzając dolną wargę, tak mocno, że kiedy krzyki przeszły w płacz, poczułam smak krwi.

Dotknęłam czujnika i pchnęłam drzwi.

Akos siedział w łazience na podłodze, wszędzie dokoła wałały się fragmenty rozbitego lustra. Zerwał zasłonę prysznicową i wyrwał ze ściany wieszak na ręczniki. Nie spojrzał na mnie, nawet kiedy ostrożnie przeszłam wśród kawałków szkła.

Uklękłam i sięgnęłam ponad jego ramieniem, by włączyć wodę. Zaczekałam, aż poleci ciepła i wciągnęłam go pod prysznic.

Stałam razem z nim pod strumieniem wody, w ubraniu. Czułam na policzku jego przyspieszony oddech. Położyłam rękę na jego karku i nakierowałam twarz tak, by spryskała ją woda. Zamknął oczy, nie bronił się. Drżącymi palcami odszukał moją dłoń i przycisnął do odkrytej zbroją piersi.

Staliśmy tak bardzo długo, aż łzy ustąpiły. Wtedy wyłączyłam wodę i zaprowadziłam go do kuchni, po drodze rozrzucając stopami kawałki szkła.

Akos patrzył gdzieś przed siebie. Nie byłam pewna, czy wie, gdzie jest i co się z nim dzieje. Rozwiązałam paski przy zbroi i ściągnęłam ją przez głowę, chwyciłam za skraj koszuli, odkleiłam mokrą tkaninę od ciała, rozpięłam mu spodnie i czekałam, aż same opadną na podłogę.

Nie raz marzyłam o tym, że zobaczę go bez ubrania, że sama go rozbiorę, zdejmując kolejne dzielące nas warstwy, ale teraz nie znajdowaliśmy się w środku marzenia. On cierpiał. A ja chciałam mu pomóc.

Nie byłam świadoma własnego bólu, ale kiedy pomogłam mu się wysuszyć, dostrzegłam cienie nurtu poruszające się na mojej skórze, bardzo szybko, co nie zdarzało się już od dawna. Jakby ktoś wstrzyknął mi je w żyły i teraz krążyły wraz z krwią po całym ciele. Doktor Fadlan

powiedział, że dar nurtu przybiera na sile w momentach wzburzenia emocjonalnego. Cóż, miał rację. Nie dbałam o Suzao – szczerze mówiąc zamierzałam napluć na jego stos pogrzebowy i z przyjemnością posłuchać, jak syczy – martwiłam się jednak o Akosa, jak o nikogo na świecie.

Ale w końcu wrócił do siebie, pomógł mi przy bandażowaniu rany na ramieniu i sam poszedł do łazienki. Kiedy już leżał w łóżku, postawiłam garnek na palniku. Kiedyś przyrządził dla mnie mieszankę, po której nie miałam snów. Teraz nadeszła moja kolej, by przyrządzić taką dla niego.

WSZYSTKO ROZMYWAŁO SIĘ I ŚLIZGAŁO, jak jedwab o jedwab, jak olej skraplający się na powierzchni wody. Tracił poczucie czasu, kilka tyków niespodziewanie przechodziło w godzinę pod prysznicem – wychodził z pomarszczonymi palcami i błyszczącą skórą – a nocny sen trwał aż do popołudnia. Czasem tracił też poczucie miejsca, znów stał na arenie, umazany krwią innego człowieka, bądź szedł przez piórzycę, potykając się o szkielety ludzi, którzy zgubili tam drogę.

Umieszczał płatki szakwiatu po wewnętrznej stronie policzka, by zachować spokój. Zatrzymać drżenie dłoni. Zatrzymać słowa cisnące się do ust.

Cyra pozwoliła mu pozostać w tym stanie przez kilka dni. Ale na dzień przed planowanym lądowaniem w Voi, kiedy pominął kilka posiłków z rzędu, weszła do jego pokoju i kategorycznie zażądała:

– Wstawaj. Już.

Spojrzał na nią, dezorientowany, jakby mówiła w obcym języku.

Wywróciła oczami, chwyciła go za ramię i pociągnęła. Zabolało. Akos skrzywił się.

– Cholera – powiedziała, puszczając go. – Widzisz, co się dzieje? Zaczynasz czuć mój dar nurtu, bo jesteś tak osłabiony, że twój dar także słabnie. Dlatego musisz wstać i coś zjeść.

– Żebyś mogła odzyskać służącego, tak? – warknął. On też zaczął tracić ciepłość. – Trudno, ze mną koniec. Jestem gotów umrzeć dla twojej rodziny, cokolwiek to znaczy.

Pochyliła się, tak że ich twarze znalazły się na jednym poziomie, i powiedziała:

– Wiem, jak to jest stać się kimś, kogo się nienawidzi. Wiem, jak to boli. Ale życie jest pełne bólu. – Cienie rozlały się wokół jej oczu, jakby na potwierdzenie tych słów. – I masz znacznie więcej siły, by go unieść, niż ci się wydaje.

Na chwilę przytrzymała jego spojrzenie.

– Co to za podnosząca na duchu przemowa? „Życie jest pełne bólu”?

– Kiedy sprawdzałam ostatnim razem, twój brat wciąż żył –

odparła. – Powinieneś więc przetrwać, żeby go stąd wydostać, nawet jeśli nie masz innej motywacji.

– Eijeh. – Prychnął. – Tak jakby o to chodziło.

Nie myślał o nim, zabijając Suzao. Myślał tylko o tym, jak mocno pragnie śmierci przeciwnika.

– A więc o co? – spytała, krzyżując ramiona na piersi.

– A skąd mam wiedzieć? – Rozłożył ręce wymownym gestem, a potem walnął dłonią w ścianę. Zignorował bolące knykcie. – To ty mnie stworzyłaś, może ty mi powiesz? Nie ma miejsca na honor, gdy chodzi o przetrwanie, pamiętasz?

Jeśli w jej oczach paliła się jeszcze jakaś iskra, to teraz zgasła. Chciał cofnąć słowa, lecz w tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Podeszła, by otworzyć. Na progu stał strażnik wykonujący najnudniejszą pracę na świecie, a za jego plecami Jorek.

Akos ukrył twarz w dłoniach.

– Nie wpuszczaj go.

– Chyba zapomniałeś, do kogo tak naprawdę należy to mieszkanie – odparła ostro, cofając się, by Jorek mógł wejść.

– Niech to, Cyra! – Zerwał się na równe nogi. Na chwilę pociemniało mu przed oczami, zatoczył się i uderzył o framugę. Może Cyra miała rację – chyba rzeczywiście powinien coś zjeść.

Oczy Joreka zrobiły się wielkie jak spodki.

– Powodzenia – rzuciła Cyra i zamknęła się w łazience.

Jorek patrzył wszędzie, tylko nie na niego – na ścianę ozdobioną zbroją, na rośliny pod sufitem, na kolorowe garnki i rondle spiętrzone na chybotliwej kuchence. Podrapał się po karku, zostawiając różowe ślady na skórze, jak zwykle w chwili zdenerwowania.

Akos podszedł do Joreka. Każda część ciała ciążyła mu jak ołów. Zanim dotarł do krzesła i usiadł, zdążył się zadyszeć.

– Co ty tu robisz? – spytał, czując narastającą wściekłość. – Dostałeś to, czego chciałeś, prawda?

– Prawda – odparł cicho. Usiadł obok Akosa i dodał: – Przyszedłem ci podziękować.

– To nie była przysługa, tylko transakcja. Ja zabiłem Suzao, ty masz uwolnić Eijeha.

– Co będzie łatwiejsze, kiedy wylądujemy w Voi – odparł Jorek, wciąż tym przerażająco cichym głosem, jakby próbował uspokoić zwierzę. Może, pomyślał Akos, tak właśnie było. – Posłuchaj, ja... – Ściągnął brwi. – Tak naprawdę nie wiedziałem, o co cię proszę. Myślałem... myślałem, że łatwo ci to przyjdzie. Sprawiałeś takie wrażenie.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Akos ukrył głowę w dłoniach. Nie mógł znieść myśli, jakie to było proste. Suzao nie miał najmniejszych szans, nie wiedział, w co się pakuje. Akos czuł się jak morderca. Inaczej niż wtedy, gdy zabił po raz pierwszy. Tamta śmierć, śmierć Kalmeva, była przynajmniej dzika i gwałtowna, była niemal jak sen. Nie to co ta.

Jorek położył dłoń na jego ramieniu. Akos próbował ją strącić, ale Jorek nie ustępował, aż Akos w końcu na niego spojrział.

– Moja matka kazała coś ci przekazać – powiedział Jorek i wyciągnął z kieszeni długi łańcuch, na którym wisiał pierścień z błyszczącego metalu w kolorze pomarańczoworóżowym, z wyrytym symbolem. – To pieczęć naszej rodziny. Matka pragnie ci ją dać.

Akos przesunął drżącymi palcami po ogniwach łańcuszka, delikatnych, lecz mocnych. Wziął pierścień do ręki, tak że symbol rodzinny odcisnął się w jej wnętrzu.

– Twoja matka – powiedział – chce mi podziękować?

Głos mu się załamał. Położył głowę na stole. Łzy nie nadchodziły.

– Moja rodzina jest teraz bezpieczna – odparł Jorek. – Odwiedź nas czasem, jeśli tylko będziesz mógł. Mieszkamy na skraju miasta, między Działem a obozem treningowym. Niewielka wioska, tuż przy drodze. Będziesz mile widziany za to, co zrobiłeś.

Akos poczuł ciepło z tyłu głowy. To była dłoń Joreka, dziwnie kojąca.

– Och. I... nie zapomnij umieścić znaku na swoim ramieniu. Proszę.

Drzwi się zamknęły. Akos oplótł głowę ramionami, wciąż ściskając pierścień w dłoni. Knykcie miał poranione od walki, kiedy zginał palce, strupy ciągnęły. Nagle skrzypnęły drzwi od łazienki. Cyra wyszła, przez chwilę krążyła po kuchni, w końcu podeszła do Akosa i położyła przed nim kawałek chleba. Zjadł tak szybko, że mało się nie

udławił. Potem opuścił lewe ramię i obrócił się.

– Wytnij znak – powiedział. Głos miał tak ochryply, że z trudem wydobywał z siebie słowa.

– To może poczekać. – Cyra przesunęła dłonią po jego krótkich włosach. Zadrżał pod lekkim dotknięciem. Dar nurtu już nie sprawiał mu bólu. Może Jorek ofiarował mu jednak nieco ulgi. A może po prostu pomógł chleb.

– Proszę. – Uniósł głowę. – Zrób to... teraz.

Cyra wzięła do ręki nóż. Akos obserwował grę mięśni na jej ramieniu. Cyra Noavek cała była jak jeden wielki twardy mięsień. Ale w środku stopniowo robiła się coraz bardziej miękka, jak piść, która powoli uczyła się otwierać.

Chwyciła go za nadgarstek. Jego palce spoczywały na jej skórze i pod ich dotykiem cienie zbladły. Bez nich łatwiej było dostrzec, jaka jest piękna. Długie luźne loki lśniące w migoczącym świetle, oczy tak ciemne, że niemal czarne, orli nos o delikatnych kościach i plamka na szyi, znamię, o zaskakująco zgrabnym kształcie.

Przyłożyła czubek ostrza do jego skóry, obok drugiego znaku przeciętego ukośną kreską.

– Gotowy? – zapytała. – Raz, dwa...

Na dwa bezlitośnie wbiła ostrze w ciało. Potem wyjęła z szuflady buteleczkę i pędzelek. Akos przyglądał się, jak przeciąga nim po świeżej ranie, z wprawą malarza stojącego przy sztalugach. Ramię przeszył ostry ból. Zaraz potem nastąpił wyrzut adrenaliny, całkowicie wymiatając z jego ciała bolesne odrętwienie.

Pochyliła się i wyszeptała:

– Suzao Kuzar.

A on to poczuł, poczuł stratę, ciężar i nieodwracalność tego, co się stało, tak jak powinien. Pozwolił sobie zaznać ulgi w rytuale z Shotet.

– Przykro mi – powiedział, niepewny, czy przeprasza za to, że wcześniej był dla niej niemiły czy za coś innego.

Rankiem po zawodach obudził go hałas dochodzący z łazienki – Cyra zamiatała rozbite szkło. Potem znów się obudził, kiedy przymocowywała do ściany wieszak na ręczniki. Akos w ogóle nie pamiętał, że go wyrwał. W dodatku ze zdumieniem uświadomił sobie, że

Cyra potrafi posługiwać się narzędziami jak prosta dziewczyna. Ale to była cała ona – z głową napchaną przypadkową wiedzą.

– Nie jestem aż tak zblazowana, żeby nie pamiętać – powiedziała, odwracając wzrok. – To uczucie, jakby wszystko bezpowrotnie rozpadało się na kawałki.

Położyła dłoń na jego dłoni, drugą zaś lekko dotknęła jego szyi. Drgnął, ale zaraz się rozluźnił. Wciąż miał tam ślad po tym, jak Suzao dusił go w kafeterii.

Przesunęła palcami w stronę ucha, wzdłuż blizny, którą pozostawił Ryzek. Nie uciekał przed jej dotykiem. Było mu ciepło, zbyt ciepło. Nigdy nie dotykali się w ten sposób. Nigdy nie przypuszczał, że mógłby tego pragnąć.

– Nie umiem cię rozgryźć – wyznała.

Jej dłoń zatrzymała się teraz na jego twarzy – palce za uchem. Długie szczupłe palce o wyraźnie zarysowanych żyłach i ścięgnach. Knykcie tak suche, że skóra miejscami się łuszczyła.

– Pod wpływem tego wszystkiego, co cię spotkało, ktoś inny stałby się twardy i pozbawiony nadziei – powiedziała. – A więc jak... jak to możliwe, że ty...

Zamknął oczy. Cierpiał.

– Ale pamiętaj, to jest wojna. – Dotknęła czołem jego czoła. Palce mocno przywierały do jego skóry. – Wojna między tobą a ludźmi, którzy zniszczyli ci życie. Nie wstydź się, że na niej walczysz.

Teraz pojawił się ból innego rodzaju. Ukłucie tęsknoty, gdzieś w głębi.

Pragnął jej.

Pragnął przesunąć palcami po jej ostrych kościach policzkowych. Pragnął spróbować smaku zgrabnego znamienia na szyi, poczuć jej oddech na swoich ustach, owinać jej włosy wokół palców, aż nie będzie mógł ich uwolnić.

Lekko obrócił głowę i przycisnął wargi do jej policzka, tak mocno, by nie dało się tego uznać za zwykły pocałunek. Podzielili się oddechem. A potem odsunął się, wstał i odwrócił tyłem. Otarł usta. Zastanawiał się, co z nim jest nie tak.

Stała tuż za nim, czuł ciepło jej ciała na plecach. Dotknęła miejsca



między łopatkami. Czy to dar nurtu sprawił, że poczuł dreszcze?

– Mam coś do zrobienia – oznajmiła. – Niedługo wrócę.

I już jej nie było.

SZŁAM PRZED SIEBIE TUNELAMI TECHNICZNYMI. Moja twarz pulsowała. Wspomnienie dotyku jego warg na policzku powracało raz po raz. Próbowałam je zdeptać jak resztki ogniska. Nie mogłam pozwolić sobie na wspomnienia. Nie mogłam rozpalać żaru w obliczu tego, co musiałam zrobić.

Droga do ciasnego pokoiku Teki była skomplikowana i prowadziła daleko w głąb trzewi statku.

Teka od razu odpowiedziała na moje lekkie pukanie do drzwi. Miała na sobie luźny strój i była boso. Oko zakryła paskiem materiału, nie opaską. Ponad jej ramieniem zobaczyłam łóżko na antresoli i prowizoryczne biurko pod spodem, już wyczyszczone ze śrubek, narzędzi i kabelków, gotowe na powrót do Voi.

– Co jest? – zapytała, wciągając mnie do środka. Oczy miała wielkie jak spodki. – Nie możesz przychodzić tu bez uprzedzenia. Zwariowałaś?

– Jutro. Cokolwiek zamierzacie zrobić z moim bratem, niech to się stanie jutro.

– Jutro – powtórzyła. – To znaczy tak jakby jeden dzień od dzisiaj.

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, tak właśnie brzmiała oficjalna definicja słowa „jutro”.

Usiadła na chybotliwym stołku, opierając łokcie na kolanach. Mignęła naga skóra w wycięciu koszulki – Teką nie nosiła napierśnika. Dziwnie było widzieć ją tak rozluźnioną, na własnym terytorium. Nie znałyśmy się na tyle, by widywać się w podobnych sytuacjach.

– Dlaczego? – spytała.

– W dniu lądowania panuje straszne zamieszanie – odparłam. – Nikt nie przestrzega zwykłych zasad bezpieczeństwa, wszyscy są zmęczeni. Idealny moment, żeby zakraść się do środka.

Teka zmarszczyła brwi.

– Masz jakiś plan?

– Tylna brama, tylne wejście, ukryte korytarze, znam kody do wszystkich tych miejsc, więc wejdzicie bez trudu. Ale prywatny apartament Ryzeka jest zamykany na zamek genetyczny. Można go

otworzyć tylko za pomocą mojej krwi. Jeśli będziecie o północy przy tylnej bramie, zajmę się resztą.

– I na pewno jesteś na to gotowa?

Nad głową Teki, tuż nad poduszką, wisiało zdjęcie Zosity. A obok zdjęcie chłopca, który wyglądał na brata Teki. Ścisnęło mnie w gardle. W taki czy inny sposób moja rodzina odpowiadała za wszystkie poniesione przez nią straty.

– Co to za głupie pytanie? – skrzywiłam się. – Jasne, że jestem gotowa. A wy jesteście gotowi dopełnić swojej części umowy?

– Kereseth? Tak – odparła. – Ty wprowadzasz nas do środka, my wyprowadzamy go na zewnątrz.

– Chcę, by to się odbyło jednocześnie. Wolałabym go nie narażać. Jest odporny na szakwiat, więc musicie jakoś inaczej doprowadzić go do utraty przytomności. W dodatku jest wyśmienitym wojownikiem, więc lepiej go nie lekceważcie.

Teka powoli pokiwała głową. Popatrzyła na mnie, wciągając policzek do środka.

– Co się stało? Wyglądasz na... zdenerwowaną czy coś – stwierdziła. – Pokłóciliście się?

Nie odpowiedziałam.

– Nie rozumiem – dodała. – Widać, że jesteś w nim zakochana, więc czemu chcesz się go pozbyć?

Uznałam, że na to pytanie też nie odpowiem. Wciąż prześladowało mnie wspomnienie dotyku szorstkiego podbródka na moim policzku i ciepła jego ust na skórze. Pocałował mnie. I nie potrzebował zachęty ani podstępów. Powinnam czuć szczęście, nadzieję. Ale to nie było takie proste.

Mogłam podać jej całe mnóstwo powodów. Akos znajduje się w niebezpieczeństwie, odkąd Ryzek odkrył, że może się nim posłużyć przeciwko mnie. Eijeh jest zgubiony, może Akos zdoła się z tym pogodzić, kiedy już znajdzie się w domu z matką i siostrą. Nigdy nie będziemy sobie równi, dopóki jest jeńcem Ryzeka, więc muszę go uwolnić. Ale najbliższy mojemu sercu był ten powód, który podałam.

– Przebywanie w tym miejscu... go zabija. – Przeszłam z nogi na nogę. Czułam się nieswojo. – Nie mogę na to patrzeć.

– Aha – powiedziała miękkim głosem. – Przysługa za przysługę: ty wpuszczasz nas do środka, my go wypuszczamy. W porządku?

– Tak – odparłam. – Dziękuję.

Zawsze nienawidziłam wracać do domu.

Wiele osób zebrało się na platformie obserwacyjnej, by powitać wiwatami widok naszej białej planety. Panowała rozgorączkowana radosna atmosfera, wszyscy pakowali bagaże i szykowali się na spotkanie z tymi, którzy z racji wieku lub złego stanu zdrowia nie mogli wziąć udziału w wyprawie. Ale ja czułam przygnębienie.

I zdenerwowanie.

Zabrałam ze sobą niewiele rzeczy. Trochę ciuchów i broni. Wyrzuciłam nietrwale jedzenie i ściągnęłam z łóżka pościel. Akos pomagał mi w milczeniu. Na ramieniu nadal nosił bandaż. Jego spakowana torba już czekała na stole. Wcześniej przyglądałam się, jak wkłada do niej ubrania i kilka książek, które dostał ode mnie, z zaznaczonymi ulubionymi fragmentami. Chociaż znałam je wszystkie, miałam ochotę znów je otworzyć, odnaleźć te fragmenty i przeczytać je, jakbym zaglądała mu do głowy.

– Jesteś jakaś dziwna – powiedział, kiedy skończyliśmy i pozostało nam tylko czekać.

– Nie lubię wracać do domu – odparłam. Przynajmniej to było prawdą.

Akos rozejrzał się dokoła i wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że raczej tu jest twój dom. Więcej z ciebie w tym miejscu niż w Voi.

Oczywiście miał rację. Czułam się szczęśliwa, że wie, czym jest to „więcej”, że myśli o mnie, że wysuwa wnioski na podstawie obserwacji.

Ja też dobrze go znałam. Odnalazłabym go w tłumie po samym sposobie chodzenia. Znałam linie żył na wierzchu jego dłoni. Wiedziałam, którym nożem najbardziej lubi kroić lodokwiaty. Znałam woń jego oddechu, korzenną, jak mieszanka szakwiatu i liści sendesu.

– Może następnym razem też urzędę tu swój pokój – powiedział.

*Nie będzie następnego razu*, pomyślałam.

– Tak. – Zmusiłam się do uśmiechu. – Powinieneś.

Moja matka powiedziała raz, że potrafię świetnie udawać. Ojciec

nie znosił widoku bólu, więc już w dzieciństwie nauczyłam się ukrywać swe cierpienie – twarz nieruchoma, chociaż paznokcie wbite w skórę. I za każdym razem, kiedy zabierała mnie do specjalisty czy lekarza, kłamstwa na temat tego, gdzie byliśmy, przychodziły mi równie łatwo jak prawda. W rodzinie Noaveków od umiejętnej gry zależało przetrwanie.

Wykorzystałam tę umiejętność i teraz, przechodząc przez kolejne etapy lądowania i powrotu do domu: kiedy weszliśmy w atmosferę, udałam się do strefy załadunkowej, wsiadłam do pojazdu transportowego, po czym odbyłam publiczny przemarsz do rezydencji Noaveków, krocząc śladem Ryzeka. Wieczorem zjadłam kolację w towarzystwie mojego brata i Ymy Zetsyvis, udając, że nie widzę jej ręki na jego kolanie, palców wybijających rytm ani wyrazu gorączkowego przerażenia w oczach, kiedy nie zaśmiał się z któregoś z jej dowcipów.

Po pewnym czasie trochę się rozluźniła. Porzucili wszelkie pozory i tulili się do siebie, stukając się łokciami przy krojeniu jedzenia. Zabiłam jej rodzinę, a ona została kochanką mojego brata. Czuję odrazę, gdybym nie rozumiała tak dobrze, co znaczy pragnąć żyć. Bez względu na koszty.

Nadal to rozumiałam. Ale teraz pragnęłam czegoś więcej: chciałam zapewnić Akosowi bezpieczeństwo.

Później w pokoju cierpliwie słuchałam Akosa, który tłumaczył mi, jak ocenić moc trucizny, nie próbując jej. Staralam się wyryć każdą chwilę w pamięci. Musiałam nauczyć się samodzielnie przyrządzać te wszystkie mikstury, ponieważ jego miało zaraz zabraknąć. A jeśli przyłapią nas tej nocy, mnie i buntowników, prawdopodobnie pożegnam się z życiem. Jeśli się uda, Akos wkrótce będzie w domu, a Shotet, pozbawiony władcy, pogrąży się w chaosie. Tak czy inaczej, mało prawdopodobne, byśmy jeszcze kiedyś się spotkali.

– Nie, nie – zaprotestował Akos. – Nie rąb, tylko krój na plasterki.

– Tak właśnie robię – odparłam. – Może gdyby twoje noże nie były takie tępe...

– Tępe? Mógłbym odciąć ci nimi palec!

Zakręciłam nożem i chwyciłam za rękojeść.

– O? Doprawdy?

Zaśmiał się i otoczył moje plecy ramieniem. Poczułam uderzenia serca w gardle.

– Nie udawaj, że nie potrafisz być delikatna. Sam widziałem.

Rzuciłam mu groźne spojrzenie i próbowałam skupić się na plasterkach. Ręce trochę mi się trzęsły.

– Zobaczyłeś, jak tańczę, i już ci się wydaje, że wszystko o mnie wiesz.

– Wiem wystarczająco dużo. Widzisz, plasterki! Mówiłem.

Uniósł ramię, ale jego dłoń wciąż spoczywała na moich plecach, tuż pod łopatką. Nosłam to wspomnienie przez całą noc, kiedy już skończyliśmy, a on poszedł do siebie.

Zamknęłam oczy, przekręciłam klucz w jego drzwiach, poszłam do łazienki przy swoim pokoju i wylałam środek nasenny.

Włożyłam ubranie, które zwykle nosiłam podczas treningów, luźne i wygodne, oraz buty o miękkich cichych podszewkach. Ciasno splotłam włosy, by nie przeszkadzały, i podpięłam je na karku, żeby nikt nie mógł za nie pociągnąć w czasie walki. Wsunęłam nóż za pasek spodni na plecach, bokiem, by bez trudu chwycić za rękojeść. Przypuszczałam jednak, że nie będzie mi potrzebny, w sytuacji kryzysowej bardziej ufałam swoim gołym rękom.

Odsunęłam panel ścienny w pokoju i przemknęłam korytarzami do tylnego wejścia. Znałam tę drogę na pamięć, ale i tak na każdym rogu sprawdzałam nacięcia na ścianie, dla pewności, że znajduję się we właściwym miejscu. Zatrzymałam się przy kółku wyciętym w pobliżu kuchni, oznaczającym sekretne wyjście.

To naprawdę się działo – naprawdę pomagałam grupce buntowników zamordować Ryzeka.

Żył w oparach okrucieństwa, posłusznie wypełniając instrukcje dawno zmarłego ojca, jakby ten nadal stał za jego plecami. Tacy ludzie jak Rzek Noavek się nie rodzą – ich się tworzy. Ale czasu nie da się cofnąć. Tak jak go kiedyś stworzono, tak teraz należało go zniszczyć.

Przeszłam przez ukryte drzwi i ruszyłam przez piórnicę prosto do tylnej bramy. Dostrzegłam blade twarze pośród trawy – Lety, Uzula, matki – które wzywały mnie do siebie. Szeptaly moje imię, brzmiało to

jak szum trawy na wietrze. Cała drząc, wstukałam datę urodzin matki w panelu przy bramie. Otworzyła się gwałtownie.

W ciemności czekali już Teka, Tos i Jorek, twarze mieli zakryte. Obróciłam głowę na bok, kiedy mnie mijali. Zamknęłam bramę i dogoniłam Tekę, by zaprowadzić ich do tylnego wejścia.

Wiodąc ich przez korytarze do skrzydła zajmowanego przez mojego brata, pomyślałam, że tak wielka sprawa nie powinna odbywać się w całkowitej ciszy. Ale może to właśnie milczenie stanowiło o doniosłości chwili. Dotykałam ścian, odnajdując nacięcia wskazujące na bliskość klatki schodowej. Szłam na pamięć, wymijając sterczące gwoździe i spękania w deskach podłogowych.

W miejscu, gdzie korytarz się rozbiegał – lewa odnoga prowadziła do mojej części, a prawa do Ryzeka.

– W lewo, trzecie drzwi – powiedziałam do Tosa i podałam mu klucz do pokoju Akosa. – Tym je otworzysz. Może będziesz musiał użyć nieco siły, zanim podasz mu środek usypiający.

– Jakoś mnie to nie martwi – odparł Tos.

Mnie też nie martwiło. Tos był bowiem potężny jak skała i umiejętności Akosa nic tu nie mogły pomóc. Tos przybił piątkę z Teką i Jorekiem, po czym ruszył korytarzem prowadzącym w lewo.

Kiedy zbliżyliśmy się do apartamentu Ryzeka, zwolniłam, pamiętając, co powiedział Akosowi na temat zaawansowanego systemu zabezpieczeń. Teka dotknęła mojego ramienia i wyminęła mnie. Przykucnęła, opierając dłonie płasko na podłodze. Zamknęła oczy i kilka razy mocno wciągnęła powietrze nosem.

Po chwili podniosła się i kiwnęła głową.

– Czysto – powiedziała cicho.

Poszliśmy dalej, zatrzymując się na każdym rogu czy zakręcie, by Teka mogła sprawdzić, posługując się darem nurtu, czy system przypadkiem nie zaczął już działać. Rzynek mocno by się zdziwił, gdyby się dowiedział, że doprowadzi go do zguby jakaś umazana smarem dziewczyna, spędzająca życie pośród kabli.

Nagle korytarz się urwał – przejście zabito deskami. No tak, Rzynek pewnie kazał zagrodzić mniejsze korytarze po nieudanej próbie ucieczki Akosa.

Poczułam ucisk w żołądku, ale nie poddałam się panice. Odsunęłam panel w ścianie i weszłam do pustego salonu. Od sypialni i gabinetu Ryzeka dzieliło nas zaledwie kilka pokoi. Oraz co najmniej trzech strażników i zamek, który potrafiła otworzyć tylko krew Noaveków. Oczywiście nie zdołalibyśmy przejść obok strażników, nie robiąc zamieszania.

Postukałam Tekę w ramię i nachyliłam się do jej ucha.

– Ile potrzebujecie czasu?

Pokazała dwa palce.

Kiwnęłam głową i wyciągnęłam nóż. Trzymałam go tuż przy nodze, moje mięśnie drgały, szykując się na gwałtowny ruch. Wyszliśmy z salonu i zobaczyliśmy pierwszego strażnika. Ruszyłam za nim, dostosowując krok do jego kroków. A potem lewą ręką zatkałam mu usta, prawą zaś zadałam cios, wsuwając ostrze pod zbroję i wbijając je między żebra.

Wydał okrzyk, który moja ręka nie do końca zdołała stłumić. Puściłam go, a kiedy osunął się na ziemię, pobiegłam dalej. Pozostali ruszyli za mną, już nie próbując zachowywać się cicho. Usłyszałam krzyki z przodu. Jorek wyminął mnie i rzucił się na drugiego ze strażników, samą siłą uderzenia zwalając go z nóg.

Zajęłam się trzecim, chwyciłam go za gardło, a cienie nurtu rozlały się na mojej skórze. Cisnęłam nim o ścianę po swojej lewej stronie. Zatoczyłam się i zatrzymałam przed drzwiami Ryzeka. Czułam krople potu spływające po czole. Czujnik krwi znajdował się w szczelinie w ścianie, akurat takiej szerokości i wysokości, by zmieściła się w niej dłoń.

Wsunęłam rękę do środka. Czułam ciężki oddech Teki na ramieniu. Wszyscy biegali i krzyczeli, ale do nas jeszcze nikt nie dotarł. Poczułam ukłucie, gdy czujnik pobrał krew. Czekałam, aż drzwi się otworzą.

Nie otworzyły się.

Cofnęłam rękę i wsunęłam do środka lewą.

Tym razem także bez skutku.

– Nie potrafisz ich otworzyć? – spytałam Teki. – Za pomocą swojego daru?

– Gdybym potrafiła, nie byłabyś nam potrzebna! – krzyknęła. –



Potrafię włączać i wyłączać nurt, a nie otwierać...

– Nie działa. Idziemy!

Chwycałam ją za ramię, zbyt rozgorączkowana, by przejmować się, że sprawiam jej ból, i pociągnęłam ją za sobą. Krzyknęła:

– Uciekaj!

Jorek rękojeścią ostrza nurtu uderzył strażnika, z którym walczył. Przeciął zbroję drugiego strażnika i pobiegł naszym śladem w głąb ukrytych korytarzy.

– Są wewnątrz murów! – usłyszałam.

We wszystkich szczelinach wokół sekretnych drzwi i odsuwanych paneli w ścianach widać było smugi światła. Cały dom się obudził. Płuca paliły mnie od szybkiego biegu. Usłyszałam szelest – to odsunął się jeden z paneli.

– Teka! Odszukaj Tosa i Akosa! – poleciłam. – Idź w lewo, potem skręć w prawo, schodami w dół i znów w prawo. Kod do tylnego wyjścia: 0503. Powtórz.

– W lewo, w prawo, w dół, w prawo. 0503 – powtórzyła Teka. – Cyro...

– Biegnij! – krzyknęłam, popychając ją. – Ja was wpuszczam, wy go wypuszczacie, pamiętasz? Martwi na pewno go nie uwolnicie! Pospiesz się!

Teka powoli pokiwała głową.

Stałam pośrodku korytarza. Teka i Jorek pobiegli – raczej słyszałam ich, niż widziałam. Do wąskiego tunelu wpadli strażnicy, a ja pozwoliłam, by ból rósł w moim wnętrzu, aż pociemniało mi przed oczami. Cienie pokrywały moje ciało tak szczelnie, że wyglądałam jak manifest ciemności – skrawek nocy, pusty w środku.

Wydałam okrzyk i rzuciłam się na pierwszego ze strażników. Porażony bólem, wrzasnął i osunął się na ziemię. Łzy ciekły mi po twarzy. Podbiegłam do następnego z mężczyzn.

I następnego. I następnego.

Musiałam tylko dać buntownikom trochę czasu. Dla mnie było już za późno.

– WIDZĘ, ŻE WPROWADZIŁEŚ TU TROCHĘ UNOWOCZEŚNIENIĘ – powiedziałam do Ryzeka.

Rodzice przyprowadzali mnie tutaj, kiedy byłam małą, do cel umieszczonych pod amfiteatrem. To nie było oficjalne więzienie, lecz specjalny ukryty kompleks w centrum miasta, przeznaczony wyłącznie dla wrogów rodziny Noaveków. Poprzednim razem cele z kamienia i metalu wyglądały jak wyjęte z podręcznika historii.

Ale teraz wnętrza się zmieniły. Ciemne podłogi zrobiono z czegoś w rodzaju szkła, tylko twardszego. Na całe umeblowanie mojej celi składała się tylko metalowa prycza oraz toaleta i umywalka, ukryte za parawanem. W dzielącej mnie od brata ścianie z grubego szkła widniała szczelina, przez którą podawano jedzenie, teraz otwarta, by umożliwić nam rozmowę.

Siedziałam z nogami na pryczy, oparta plecami o ścianę w rogu. Całe ciało miałam ociężałe z wyczerpania i ciemne od bólu, poznaczone siniakami po łapach Vasa, który schwytał mnie w tajemnym tunelu, bym nie robiła krzywdy kolejnym strażnikom. Z tyłu głowy pulsował guz – pamiątka po tym, jak cisnął mnie na ścianę, żebym straciła przytomność.

– Kiedy to stałaś się zdrajczynią? – Ryzek miał na sobie zbroję. Białe światło nad jego głową barwiło skórę na niebiesko. Oparł ramię o dzielącą nas szybę i pochylił się.

To było interesujące pytanie. Jakoś nie czułam, że kimkolwiek „się stałam”, raczej nareszcie ruszyłam w kierunku, który obrałam już wcześniej. Podniosłam się i poczułam w głowie pulsujący ból, był on jednak niczym w porównaniu z bólem cieni nurtu, które całkiem oszalały, poruszały się tak prędko, że mój wzrok nie mógł za nimi nadążyć. Ryzek wodził oczami po moich ramionach, nogach i twarzy, jakby widział tylko cienie. Zawsze widział tylko cienie.

– Wiesz, nigdy nie miałeś mojego poparcia – odpowiedziałam, podchodząc do szyby. Dzielili nas niewielka odległość, ale czułam się nietykalna, przynajmniej chwilowo. Wreszcie mogłam mu powiedzieć, co tak naprawdę myślę. – Zapewne nigdy jednak nie wystąpiłabym przeciwko tobie, gdybyś zostawił nas w spokoju, tak jak ci radziłam. Ale

kiedy próbowałaś posłużyć się Akosem, by zachować nade mną kontrolę... no cóż. Tego nie mogłam zaakceptować.

– Jesteś głupia.

– Nie aż tak, jak ci się wydaje.

– Cóż, właśnie tego dowiodłaś. – Zaśmiał się, szerokim gestem pokazując dokoła. – Oto owoc twego bystrego umysłu.

Znów się pochylił, uginając kolana, a jego oddech osiadł mgłą na szybie.

– Wiedziałaś – powiedział – że twój ukochany Kereseth zna kanclerz Thuvhe?

Poczułam ukłucie strachu. Tak, wiedziałam. Akos opowiedział mi o Orieve Benesit, kiedy oglądaliśmy wiadomości. Ryzek oczywiście nie miał o tym pojęcia i z pewnością nie poruszyłby tego tematu, gdyby Akos dzięki pomocy buntowników zdołał wydostać się z rezydencji Noaveków. A więc co się z nim stało? Gdzie teraz jest?

– Nie – odparłam. Zaszło mi w gardle.

– To bardzo niekorzystne, że siostry Benesit są bliźniaczkami. Nie wiem, w którą uderzyć najpierw, a wizje Eijeha mówią wyraźnie, że muszę je zabić w określonym porządku, by uzyskać jak najbardziej pożądany efekt – powiedział Ryzek z kwaśnym uśmiechem. – Z jego wizji wynika również, że Akos posiada informacje konieczne do osiągnięcia celu.

– A więc jeszcze nie odebrałaś Eijehowi daru nurtu – odparłam w nadziei, że w ten sposób przedłużę rozmowę. Sama nie bardzo wiedziałam, co mogę dzięki temu osiągnąć, ale potrzebowałam czasu, jak najwięcej, ile tylko się da, zanim zmierzę się z informacją o tym, co stało się z Akosem i buntownikami.

– Wkrótce temu zaradzę – odparł Ryzek z uśmiechem. – Do tej pory postępowałam ostrożnie, co tobie jest całkowicie obce.

Cóż, tu mnie miał.

– Dlaczego moja krew nie otworzyła zamka genetycznego? – zapytałam.

Ryzek wciąż się uśmiechał. Wreszcie odparł:

– Zapewne powinienem był wcześniej o tym wspomnieć, ale schwytaliśmy jednego z twoich zbuntowanych przyjaciół, Tosa.

Opowiedział nam, oczywiście za drobną zachętą z naszej strony, że brałaś udział w próbie zamachu. Już nie żyje. Obawiam się, że trochę mnie poniosło. – Ryzek uśmiechał się coraz szerzej, ale wzrok miał dziwnie błędny i nieobecny, jakby zażył szakwiatu.

Grał bezdusznego okrutnika, ja jednak wiedziałam, co się tak naprawdę stało: zabił Tosa, ponieważ uznał, że to konieczne, ale z trudem to zniósł. Wziął szakwiat, żeby się uspokoić.

– Co zrobiłeś z Akosem? – spytałam, ledwie łapiąc oddech.

– W ogóle nie wykazujesz skruchy – ciągnął Ryzek. – Może gdybyś poprosiła o wybaczenie, potraktowałbym cię w łagodniejszy sposób. Albo jego, gdybyś tak wołała. A tak... jest jak jest.

Otworzyły się drzwi na końcu korytarza. Ryzek wyprostował się. Pierwszy do środka wkroczył Vas, na policzku miał siniec po uderzeniu mojego łokcia. Za nim wszedł Eijeh, ciągnąc za sobą niemal bezwładnego mężczyznę. Rozpoznałam zwieszoną głowę i długie szczupłe ciało. Eijeh rzucił Akosa na podłogę, a ten osunął się, plując krwią.

Eijeh spojrzał na brata i wydawało mi się, że po jego twarzy przemknął cień współczucia, zaraz jednak znikł.

– Ryzek. – Byłam wściekła. – Ryzek, on nie miał z tym nic wspólnego. Proszę, nie karz go. On o niczym nie wiedział...

Ryzek zaśmiał się i odparł:

– Wiem, że nie miał pojęcia o buntownikach, Cyro. Czy przypadkiem nie skończyliśmy z tym wątkiem? Interesuje mnie to, co wie na temat kanclerz.

Przycisnęłam obie dłonie do szyby i osunęłam się na kolana. Ryzek przykucnął naprzeciwko mnie.

– Właśnie dlatego – powiedział – powinnaś unikać dziwnych sytuacji. Mogę posłużyć się tobą, by wydobyć z niego informacje na temat kanclerz, a nim, by wydobyć z ciebie informacje na temat buntowników. Bardzo proste, bardzo eleganckie, nie uważasz?

Cofałam się, czując bicie serca pulsujące w całym ciele, aż dotknęłam plecami ściany. Nie mogłam uciec, nie mogłam się schować, ale nie zamierzałam ułatwiać im zadania.

– Wyprowadzić ją – rzucił Ryzek, wstukując kod otwierający

drzwi do celi. – Sprawdzimy, czy Kereseth jest już na tyle słaby, żeby zadziało.

Odepchnęłam się od ściany i z impetem walnęłam w Vasa. Wcisnęłam mu ramię w brzuch, padł na podłogę. Zdążył chwycić mnie za ramiona, ręce miałam jednak wolne. Rozorałam mu twarz, a z rozcięcia pod okiem pociekła krew. Ryzek podszedł i uderzył mnie w szczękę. Upadłam na podłogę, zamroczona.

Vas siłą zaciągnął mnie do Akosa. Klęczeliśmy naprzeciwko siebie, zaledwie na wyciągnięcie ramienia.

– Wybacz mi. – Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Znalazł się tu w końcu z mojej winy. Gdybym nie przyłączyła się do buntowników... ale na takie myśli było za późno.

Kiedy napotkałam jego wzrok, wszystko w moim wnętrzu zwolniło, jakby czas się zatrzymał. Uważnie omiotłam go całego spojrzeniem, splątane brązowe włosy, piegi rozsypane na nosie, szare zwykle czujne i bystre oczy, teraz spoglądające z tępą rezygnacją. Nie widziałam sińców ani krwi. Słuchałam, jak oddycha. Słyszałam jego oddech w swoim uchu, kiedy go pocałowałam, drżący, jakby wypuszczany z niechęcią.

– Zawsze sądziłem, że wedle przepowiedni zginę jako zdrajca swego kraju. – Jego głos brzmiał ochryple, jak zniszczony krzykiem. – Ale ty sprawiłaś, że stanie się inaczej. – Posłał mi krótki dziki uśmiech.

Wiedziałam, że Akos nie wyda informacji na temat kanclerza, choćby nie wiem co. Nigdy dotąd nie uświadamiałam sobie, jak głęboko przeżywa swój los. Śmierć w służbie rodzinie Noaveków stanowiła w jego oczach przekleństwo, pewne i nieuniknione, tak jak klęska z ręki rodziny Benesit dla Ryzeka. Ale gdyby Akos teraz za mnie umarł, znaczyłoby to, że nie zdradził swoich, ponieważ wystąpiłam przeciw bratu. A więc może dobrze się stało, że naraziłam nas oboje, pomagając buntownikom. Może to jednak coś znaczyło.

Kiedy myślałam w ten sposób, wszystko wydawało się takie proste. Czeka nas cierpienie, a potem śmierć. Przygotowałam się na nieuniknione.

– Pozwólcie, że wyjaśnię, co tu się będzie działo. – Ryzek ukucnął obok nas, opierając łokcie na kolanach. Jego buty lśniły – poświęcił czas,

by wyczyścić buty przed torturowaniem własnej siostry?

Z trudem powstrzymałam się od śmiechu.

– Oboje będziecie cierpieć. Ty, Kereseth, opowiesz mi wszystko, co wiesz na temat wyznaczonej losem kanclerz Thuvhe. Ty zaś, Cyro, przekażesz mi informacje na temat buntowników i ich związków z kolonią banitów. – Ryzek spojrzał na Vasa. – Zaczynaj.

Przygotowałam się na cios, ale nie nastąpił. Zamiast tego Vas chwycił mnie za nadgarstek i siłą przysunął moją dłoń do Akosa. Początkowo się nie broniłam, przekonana, że mój dotyk nie zrobi mu krzywdy. Ale potem sobie przypomniałam – Ryzek wspomniał, że trzeba sprawdzić, czy Akos jest już dostatecznie słaby. To znaczyło, że głodzili go przez tych kilka dni, które spędziłam w celi, osłabili jego ciało, a co za tym idzie, jego dar.

Próbowałam stawiać opór żelaznemu uściskowi Vasa, brakowało mi jednak sił. Moje knykcie musnęły twarz Akosa. Cienie popęzły w jego stronę, choć błagałam w myślach, by tego nie robiły. Ale nie byłam ich panią. Nigdy nad nimi nie panowałam. Akos jęknął, próbował się wyrwać, ale mój brat go przytrzymał.

– Doskonale. Działa – stwierdził Ryzek, podnosząc się. – Kanclerz Thuvhe, Kereseth. Opowiedz mi o niej.

Odpychałam łokieć do tyłu z całych sił, rzucając się w uścisku Vasa. Im zacieklej jednak walczyłam, tym liczniejsze i ciemniejsze stawały się cienie na mojej skórze, jakby ze mnie drwiły. Vas był silny, a ja nie mogłam mu nic zrobić, trzymał mnie mocno jedną ręką, a drugą pchał moją dłoń, aż wreszcie dotknęła szyi Akosa.

Nie mogłam sobie wyobrazić potworniejszej rzeczy. Bicz Ryzeka zwrócony przeciw Akosowi Keresethowi.

Czułam ciepło jego ciała. Ból w moim wnętrzu desperacko pragnął, bym się nim podzieliła, pełznął w stronę Akosa, lecz zamiast zelźć w moim ciele, jak to zwykle się działo, urósł w ciałach nas obojga. Ramię mi drżało z wysiłku, tak bardzo chciałam je cofnąć. Akos krzyknął, a ja mu zawtórowałam. Byłam ciemna od nurtu, byłam środkiem czarnej dziury, bezgwiezdny strzępem galaktyki. Każdy fragment mojego ciała płonął, bolał i błagał o ulgę.

Nasze głosy spotkały się jak złączone dłonie. Zamknęłam oczy.

*Stałam naprzeciwko drewnianego biurka, którego blat znaczyły mokre ślady po szklance. Leżały też na nim rozrzucone zeszyty, wszystkie podpisane moim nazwiskiem. Cyra Noavek, Cyra Noavek, Cyra Noavek. Znałam to miejsce. Gabinet doktora Fadlana.*

*– Nurt przepływa przez każdego z nas. I jak płynny metal wlewający się do formy w każdym z nas przybiera inny kształt – mówił doktor.*

*Matka siedziała obok mnie, wyprostowana jak struna, z dłońmi złożonymi na kolanach. Widziałam ją niezwykle wyraźnie, nawet luźny kosmyk włosów za uchem i przebarwienie na podbródku, zakryte makijażem.*

*– Fakt, że dar pani córki każe jej zapraszać ból do swego ciała oraz sprawiać ból innym ludziom, mówi coś o tym, co dzieje się w jej wnętrzu – ciągnął. – Na podstawie wstępnych obserwacji mogę stwierdzić, że na jakimś poziomie ona czuje, że na ten ból zasłużyła. I że inni również nań zasłużyli.*

*Zamiast wybuchnąć, jak to było w rzeczywistości, matka przechyliła głowę. Wyraźnie widziałam puls na jej szyi. Obróciła się w moją stronę. Była niezwykle piękna, piękniejsza, niż odważyłam się pamiętać, nawet zmarszczki w kącikach jej oczu miały w sobie łagodny wdzięk.*

*– Co o tym sądzisz, Cyro? – spytała i w tym momencie stała się tancerką z Ogry, miała mocno pomalowane oczy, a jej kości żarzyły się jasno pod skórą, widziałam nawet niewielkie puste fragmenty stawów. – Myślisz, że właśnie tak to działa?*

*– Nie wiem – odparłam swoim dorosłym głosem. Na krześle również siedziało moje dorosłe ciało, chociaż tę wizytę odbyłam jako dziecko. – Wiem tylko, że ból chce, by się nim dzielić.*

*– Doprawdy? – Tancerka lekko się uśmiechnęła. – Nawet z Akosem?*

*– Ból nie jest mną, nie pomija nikogo. Jest moim przekleństwem.*

*– Nie, nie – odparła tancerka, wbijając we mnie ciemne oczy, już nie brązowe, jak wtedy podczas występu w jadalni, ale szare i czujne. Oczy Akosa, które potrafiłam rozpoznać nawet we śnie.*

*Teraz siedział na jej miejscu, na brzegu krzesła, w każdej chwili*

*gotów zerwać się do ucieczki. Przez kontrast z jego długą sylwetką krzesło zdawało się małe.*

*– Każdy dar nurtu niesie ze sobą przekleństwo – odezwał się. – Ale żaden nie jest wyłącznie przekleństwem.*

*– Jego dobrą stroną jest to, że nikt nie może mnie zranić – powiedziałam.*

*Zdawałam sobie jednak sprawę, że to nieprawda. Ludzie mogli mnie ranić. Nie musieli mnie dotykać – nie musieli mnie nawet torturować. Tak długo, jak długo zależało mi na własnym życiu, na życiu Akosa i buntowników, których przecież ledwo znałam, byłam równie bezbronna i narażona na cierpienie jak wszyscy.*

*Zamrugalam. Przyszła mi do głowy inna odpowiedź.*

*– Powiedziałeś, że jestem czymś więcej niż nóż, czymś więcej niż broń. Może miałeś rację.*

*Uśmiechnął się tym znajomym uśmiechem, który marszczył mu policzek.*

*– Dar – powiedziałam – to siła, którą dało mi przekleństwo. – Nowa odpowiedź przypominała rozkwitający szakwiat. – Potrafię ją udźwignąć. Potrafię udźwignąć ból. Potrafię wszystko znieść.*

*Wyciągnął dłoń i dotknął mojego policzka. I zmienił się w tancerkę, potem w moją matkę, a potem w Otege.*

*Znów byłam w więzieniu, wciąż wyciągałam ramię, moje palce dotykały policzka Akosa, a ręka Vasa mocno trzymała mój nadgarstek. Akos zaciskał zęby. Cienie, zwykle widoczne pod powierzchnią mojej skóry, otaczały nas ze wszystkich stron jak dym. Dym tak ciemny, że nie widziałam ani Ryzeka, ani Eijeha, ani szklanych ścian celi.*

*Oczy Akosa – pełne łez, pełne bólu – odnalazły moje oczy. Pchnąć ból w jego ciało, to byłoby takie proste. Robiłam to tyle razy, po każdym został znak na moim lewym ramieniu. Wystarczyłoby zaczekać, aż utworzy się połączenie, aż ból przemknie między nami jak oddech, jak pocałunek. Wypuścić go z siebie, przynosząc ulgę nam obojgu, ulgę śmierci.*

*Ale on na to nie zasłużył.*

*Tym razem przerwałam połączenie, jakbym zatrzaśkiwała drzwi.*



Kazałam bólowi się cofnąć, pragnęłam, by moje ciało wypełniło się ciemnością jak butelka atramentem. Zadrzałam pod wpływem tej siły, tej męczarni.

Nie krzyknęłam. Nie bałam się. Wiedziałam, że jestem silna i przetrwam to wszystko.



GDZIEŚ MIĘDZY SNEM A JAWĄ chyba zobaczył piórzycę przechyloną na wietrze. Wyobrażał sobie, że wrócił do domu, że czuje zapach śniegu w powietrzu, zapach zimnej ziemi. Pozwolił, by tęsknota przeszła go całego i znów zapadł w sen.

Olej skraplający się na powierzchni wody.

Kłęczał na podłodze więzienia, patrząc, jak cienie nurtu oddzielają się od skóry Cyry niczym smugi dymu. Jedna z nich zabarwiła dłoń na jego ramieniu – dłoń Eijeha – ciemną szarością. Widział Cyrę niewyraźnie, miała odchyloną głowę i zamknięte oczy, jakby spała.

A teraz leżał na cienkim materacu, z nagrzewaczem na gołych stopach. Z igłą w ramieniu. Z kajdankami oplatającymi nadgarstek przykuty do ramy łóżka.

Ból i wspomnienie o Eijehu odpływały w odrętwienie.

Poruszył palcami. Igła kroplówki lekko przesunęła się pod jego skórą. Zmarszczył brwi. Widocznie wciąż śnił, nadal znajdował się w lochu pod amfiteatrem, a Ryzek próbował wydobyć z niego informacje na temat Ori Rednalis. Orieve Benesit. Jakkolwiek się teraz nazywała.

– Akos? – Głos kobiety brzmiał prawdziwie. Może to jednak nie był sen.

Stała nad nim, jej twarz otaczały proste włosy. Wszędzie rozpoznałby te oczy. Kiedyś patrzyły na niego ponad stołem, otoczone wachlarzykami zmarszczek w kącikach, kiedy Eijeh powiedział coś śmiesznego. Lewa powieka czasem drgała w chwilach zdenerwowania. Była tu, jakby sprowadzona samą myślą. Kiedy usłyszał swoje imię, powrócił do siebie, przestał osuwać się w nicość.

– Ori? – powiedział schrypniętym głosem.

Łza spłynęła z jej oka na prześcieradło. Położyła rękę na jego ramieniu, zakrywając igłę. Rękaw z grubej czarnej wełny sięgał do połowy dłoni, wycięcie ściśle otaczało szyję. Typowe dla Thuvhe, ludzie woleli prawie się udusić niż stracić choćby odrobinę ciepła.

– Cisi zaraz przyjdzie – powiedziała Ori. – Wezwałam ją, wkrótce się zjawi. Powiadomiłam też twoją matkę, ale znajduje się na drugim

krańcu galaktyki, więc trochę to potrwa, zanim się tu zjawi.

Czuł się taki zmęczony.

– Nie idź – powiedział, zamykając oczy.

– Dobrze. – Jej głos brzmiał ochryple, ale był pełen otuchy. – Zostanę.

Śniło mu się, że znów klęczy pośród szklanych ścian celi, wbijając kolana w czarną podłogę, w brzuchu burczało mu z głodu.

Ale obudził się w szpitalu. Ori drzemała obok niego, z ramieniem bezwładnie spoczywającym w poprzek jego nóg. Za oknem przemykały steroloty, na niebie, niczym dojrzałe owoce, wisiały wielkie budynki.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał.

Zamrugła powiekami, przeganiając sen i odparła:

– W szpitalu w Shissie.

– W Shissie? Dlaczego?

– Bo tutaj cię podrzucili – odparła. – Nie pamiętasz?

Początkowo, kiedy do niego mówiła, jej głos brzmiał inaczej, ostrożnie wypowiadała każde słowo. Ale po pewnym czasie powróciła do leniwego rytmu z Hessy, w którym sylaby prześlizgiwały się jedna w drugą. Zorientował się, że sam też tak mówi.

– Kto mnie podrzucił?

– Nie wiemy. Sądziliśmy, że ty będziesz wiedział.

Szukał w pamięci, ale bez skutku.

– Nie martw się. – Znów położyła dłoń na jego dłoni. – Miałeś we krwi takie stężenie szakwiatu, że powinieneś już nie żyć. Nikt nie oczekiwał, że cokolwiek będziesz pamiętać. – Uśmiechnęła się. Tak dobrze znane wygięcie wargi i zaokrąglenie policzka. – Chyba nie znali cię za dobrze, skoro wyrzucili cię w Shissie. Widać wzięli cię za jednego z tutejszych zarozumiałych gówniarzy.

Niemal zapomniał, jak zawsze żartowali z tego miejsca. Dzieciaki z Shissy z głowami wysoko w chmurach, nie potrafiły rozpoznać szakwiatów, bo zawsze oglądały je z tak wysoka. Nie potrafiły nawet porządnie zapiąć płaszcz. Beznadziejne bachory ze szklanych domów.

– Zarozumiali gówniarze, powiedziała wyznaczona losem kanclerz Thuvhe. – Nagle sobie przypomniał. – Czy to twoja siostra bliźniaczka? Która z was jest starsza?

– Ja nie jestem kanclerzem. Jestem ta druga. Której losem jest wynieść siostrę na tron albo... nieważne. Ale gdybym była nią, musiałbyś zwracać się do mnie z „szacunkiem stosownym do zajmowanej przeze mnie pozycji”.

– Snobka – odparował Akos.

– Hołota z Hessy.

– Pochodzę z rodziny Keresethów, wiesz. Nie jesteśmy żadną hołotą.

– Tak, wiem. – Jej uśmiech nieco złagodniał, jakby mówiła „jak mogłabym zapomnieć?”.

Nagle Akos przypomniał sobie, że jest przykuty do łóżka kajdankami. Zdecydował jednak, że na razie nie poruszy tego tematu.

– Ori, naprawdę jestem w Thuvhe? – zapytał.

– Aha.

Zamknął oczy. Palilo go w gardle.

– Tęskniłem za tobą, Orieve Benesit – powiedział. – Czy jak tam się nazywasz.

Zaśmiała się przez łzy.

– To dlaczego tak długo to trwało?

Kiedy obudził się następnym razem, nie był już tak odrętwiały z bólu, owszem, nadal go odczuwał, ale już nie w formie tych koszmarnych męczarni, które towarzyszyły mu przez całą drogę z Voi do Shissy. Działanie daru Cyry bez wątpienia znikło pod wpływem lodokwiatu.

Na samą myśl o niej żołądek ścisnął mu się ze strachu. Gdzie ona jest? Czy ci, którzy go tu przywieźli, ją też uratowali, czy zostawili na pastwę Ryzeka, na pewną śmierć?

Poczuł w ustach smak żółci. Otworzył oczy.

W nogach łóżka stała jakaś kobieta. Jej twarz otaczały ciemne kręcone włosy. Oczy były ogromne, a na granicy tęczówki i źrenicy, na samym dole, widniała niewielka plamka – miała ten defekt od urodzenia. Jego siostra Cisi.

– Hej – powiedziała. Jej głos był samą łagodnością i światłem. Przez cały czas bacznie przechowywał wspomnienie o nim, jak ostatnie ziarno przeznaczone na siew.

Tak łatwo byłoby się teraz rozplakać.

– Cisi – wychrypiał, mrugając powiekami, by powstrzymać łzy.

– Jak się czujesz?

*Oto jest pytanie*, pomyślał. Ale wiedział, że Cisi chodziło po prostu o to, czy coś go boli, odpowiedział więc:

– W porządku. Bywało gorzej.

Poruszała się z wdziękiem w solidnych butach z Hessy. Podeszła do łóżka i przycisnęła jakiś mechanizm koło jego głowy. Górna część łóżka uniosła się, tak że mógł usiąść.

Skrzywił się. Żebra wciąż bolały. Był tak odrętwiały, że prawie zapomniał.

Do tej pory zachowywała się tak ostrożnie, z takim opanowaniem, że totalnie go zaskoczyła, gdy rzuciła się na niego, kurczowo zaciskając dłonie na jego ramionach i bokach. W pierwszej chwili nie mógł się poruszyć, ale w końcu objął ją i mocno przytulił. W dzieciństwie raczej się nie obściskiwali – wyjątkiem był tata, ich rodzina, ogólnie rzecz biorąc, nie należała do zbyt wylewnych – teraz uścisk też nie trwał długo. Jakby chciała tylko dać znać, że tu jest, żywa, że znów są razem.

– Nie mogę uwierzyć... – westchnęła.

I zaczęła odmawiać modlitwę. Od dawna nie słyszał żadnej modlitwy z Thuvhe. Te wyrażające wdzięczność były najkrótsze, nie potrafił jednak się zmusić, by do niej dołączyć. Zbyt wiele myśli kłębiło się w jego głowie.

– Ja też nie – powiedział, kiedy Cisi skończyła.

Odsunęła się, nie puszczając jego dłoni, i uśmiechnęła. A potem, marszcząc brwi, popatrzyła na ich złączone dłonie. Dotknęła policzka, na który spadła łza.

– Płaczę – stwierdziła. – Nie mogłam płakać, odkąd... odkąd otrzymałam dar nurtu.

– Nie możesz płakać z powodu daru?

– Nie zauważyłeś? – Pociągnęła nosem i otarła policzki. – Sprawiam, że ludzie czują się... spokojni. Ale jednocześnie nie mogę powiedzieć ani zrobić niczego, co wprawiałoby ich w stan niepokoju, jak...

– Jak na przykład płacz – dokończył. Akosa nie dziwił jej dar. Ale

z opisu przypominał raczej rękę zaciśniętą na gardle. Nie widział w nim niczego pozytywnego.

– Cóż, mój dar zatrzymuje twój. Potrafi zatrzymać każdy dar – dodał.

– Przydatne.

– Czasami.

– Odbyłeś wyprawę? – spytała nagle, mocno ściskając jego dłoń. Zastanawiał się, czy zaraz zasypie go pytaniami. Dodała: – Przepraszam, ja tylko... Po prostu zastanawiałam się, kiedy zobaczyłam sprawozdania. Nie potrafisz pływać. Martwiłam się.

Mimo woli roześmiał się.

– Znalazłem się wśród ludu Shotet, blisko Ryzeka Noaveka, a ty się martwiłaś, że nie umiem pływać? – Znów się roześmiał.

– Umiem martwić się dwiema rzeczami naraz. A nawet kilkoma – odparowała z lekko złośliwą nutką w głosie.

– Cisi – powiedział. – Dlaczego jestem przykuty do łóżka?

– Kiedy cię podrzucili, miałeś na sobie shotecką zbroję. Kanclerz nakazała traktować cię z ostrożnością.

Z jakiegoś powodu jej policzki się zaróżowiły.

– Ori nie mogła za mnie poręczyć?

– Poręczyła, i ja też – odparła Cisi. Nie wyjaśniła, jak to możliwe, że ma prawo ręczyć za niego przed kanclerz Thuvhe, a on nie pytał. Na razie nie. – Ale kanclerz... trudno przekonać.

W jej głosie nie było cienia krytyki, ale Cisi nigdy nie krytykowała. Potrafiła współczuć chyba każdemu. Współczucie utrudnia wiele spraw, ale wszystko wskazywało na to, że dobrze sobie radziła przez ten czas, kiedy byli rozdzieleni. Właściwie się nie zmieniła, trochę zeszczuplała, jej szczęka i kości policzkowe rysowały się teraz wyrazistszą linią. Te cechy odziedziczyła po mamie, ale resztę – zbyt szeroki uśmiech, ciemne brwi, delikatny nos – po ojcu.

Kiedy widziała go poprzednim razem, był jeszcze dzieckiem, o krągłej twarzy, niższym od rówieśników. Zawsze cichym i rumieniącym się z byle powodu. A teraz stał się mężczyzną, nieprzeciętnie wysokim, o ostrych rysach, mocnych mięśniach i z rejestrem zabójstw na ramieniu. Czy w ogóle wyglądał w jej oczach jak

ta sama osoba?

– Nie zamierzam nikogo krzywdzić – powiedział na wszelki wypadek.

– Wiem. – Łatwo było widzieć w Cisi miękką łagodną istotę, ale z jej oczu wyzierała stalowa twardość, a wokół ust widniały delikatne linie, wczesne zmarszczki wyryte cierpieniem. Była dorosła.

– Zmieniłaś się – zauważył.

– I kto to mówi. Posłuchaj, chciałam cię spytać... – Zagryzła paznokieć, wreszcie odnalazła właściwe słowa. – Chciałam cię spytać o Eijeha.

Pamiętał, jak ciężko dłoń Eijeha naciskała jego ramię, kiedy prowadził go do celi, chociaż Akos szeptał jego imię i błagał o pomoc. Jedzenie. Łaskę.

Wciąż czuł ciężar tej dłoni.

– Czy on żyje? – spytała słabym głosem.

– To zależy, co pod tym słowem rozumiesz – odparł. Ostro, tak jak powiedziała by to Cyra.

– W zeszłym roku widziałam zhakowaną emisję wiadomości z Shotet. Eijeh stał u boku Ryzeka. – Urwała, jakby dawała mu okazję, by coś powiedział, on jednak nie miał pojęcia, co by to miało być. – A ty stałeś obok Cyry – dodała, znów robiąc znaczącą pauzę.

Jego gardło było suche jak piach.

– Widziałaś może jakieś nowe wiadomości?

– Nie. Trudny dostęp. A dlaczego?

Musiał się dowiedzieć, co się dzieje z Cyrą. Potrzebował tego jak sucha ziemia deszczu, choćby paru nędznych kropel. Ale w Thuvhe nie nadawano wiadomości z Shotet na ekranach obecnych w każdym domu. Nie miał jak sprawdzić, czy Cyra w ogóle żyje. Musiałby tam wrócić.

Nagle wydało mu się to oczywiste. Wróci. Pomoże jej. Zabierze Eijeha do domu, choćby musiał mu najpierw podać truciznę. Nie skończył, jeszcze nie.

– Właśnie dlatego Isae, to znaczy kanclerz, kazała przykuć cię kajdankami do łóżka – powiedziała Cisi. – Gdybyś potrafił wytłumaczyć, dlaczego stałeś u boku Cyry...

– Nie zamierzam niczego tłumaczyć. – Wyglądała na równie



zaszokowaną gniewem w jego głosie, co on sam. – Przeżyłem i oto jestem. Cokolwiek powiem, nie zmienię tego, co już sobie założyłaś.

Znów był poirytowanym czternastolatkiem. Powrót do domu był wyraźnym krokiem w tył.

– Niczego nie zakładałam. – Spuściła głowę. – Po prostu chciałam cię ostrzec. Kanclerz chce się upewnić, że nie jesteś... no cóż. Zdrajcą, jak sądzę.

Ręce zaczęły mu drzeć.

– Upewnić się? Co to ma znaczyć?

Już miała odpowiedzieć, ale w tym momencie otworzyły się drzwi. Do środka wszedł żołnierz ubrany w mundur noszony we wnętrzach: ciemnoczerwone spodnie i ciemnoszarą kurtkę. Stał z boku i wtedy do pokoju wkroczyła bliźniacza siostra Ori.

Od razu wiedział, że nie jest to Ori, choć oczy wyglądały identycznie, a resztę postaci zakrywało ubranie: czarna suknia z kapturem o rękawach ciasno obejmujących nadgarstki, zapięta na guziki od talii po szyję, długa prawie do ziemi. Wystawały spod niej lśniące buty, również czarne, które skrzypiały przy każdym kroku. Zatrzymała się w nogach łóżka, naprzeciwko Akosa, dłonie trzymała splecione. Czyste paznokcie. Idealne czarne kreski na powiekach podkreślające linię rzęs. Resztę twarzy, od nosa do szczęki, zakrywał woal.

Isae Benesit, kanclerz Thuvhe.

Zasady dobrego zachowania, które Akos przyswoił w rodzinnym mieście, nie przygotowały go na tego rodzaju sytuację. Zdołał tylko wydusić:

– Kanclerz.

– Widzę, że bez trudu odróżniasz mnie od mojej siostry – stwierdziła. Mówiła z dziwnym akcentem, brzmiącym trochę jak z peryferiów, nie tak eleganckim jak ten z planet najbliższych Siedzibie Zgromadzenia, który spodziewał się u niej usłyszeć.

– Buty – odparł w przyływie szczerości wywołanej zdenerwowaniem. – Dziewczyna z Hessy nigdy by takich nie włożyła.

W tym momencie do pokoju weszła Ori. Roześmiała się. Kiedy stanęła obok siostry, różnice między nimi uwidoczniły się jeszcze

wyraźniej. Ori stała w swobodnej pozie, lekko pochylona, jej twarz była żywa. Isae przypominała kamienny posąg.

– Ori, mogę spytać, dlaczego pokazałaś mu twarz, łamiąc w ten sposób zasady bezpieczeństwa? – zapytała.

– Jest właściwie moim bratem – odparła Ori. – Nie zamierzam zakrywać przy nim twarzy.

– Jakie to ma znaczenie? – spytał. – Jesteście bliźniaczkami, tak? Wiem, jak obie wyglądacie.

W odpowiedzi Isae odchyliła róg zasłony. Akos bezczelnie wlepił w nią wzrok.

Twarz przecinały dwie blizny, jedna biegła przez czoło i brew, a druga od żuchwy do nosa. Blizny podobne do tych, które miał Kalmev, i do tych, które miał również Akos. Blizny po ostrzu nurtu – rzadkość, jako że sam przepływ nurtu stanowił wystarczająco skuteczne oręż. Prawdopodobnie broń shotecka.

To tłumaczyło, dlaczego obie zakrywały twarze. Ponieważ były bliźniaczkami, nikt nie mógł stwierdzić, która z nich to kanclerz. Ale z odkrytymi twarzami... cóż.

– Darujmy sobie żarciki – powiedziała Isae, jeszcze ostrzejszym tonem niż poprzednio, choć wydawało się to niemożliwe. – Przypuszczam, że twoja siostra zamierzała ci powiedzieć, co potrafię zrobić za pomocą nurtu.

– Owszem – odparła Cisi. – Isae... to znaczy Jej Wysokość... potrafi samym dotykiem przywoływać wspomnienia. W ten sposób może weryfikować słowa osób, którym z jakiegoś powodu nie do końca ufa.

Akos miał wiele wspomnień, których wolałby nikomu nie pokazywać. Twarz Cyry, policzki pożyłkowane cieniami. Podrapał się po głowie, odwracając wzrok w drugą stronę.

– To nic nie da w moim przypadku. Dary nurtu na mnie nie działają.

– Doprawdy? – spytała Isae.

– Aha. Spróbuj, to się przekonasz.

Isae podeszła bliżej, poskrzypując butami. Stała po jego lewej stronie, dokładnie naprzeciw Cisi. Z bliska widział pomarszczone brzeży

blizn. Musiały liczyć zaledwie kilka pór. Wciąż były ciemne.

Dotknęła jego ręki, tej w kajdankach, dokładnie tam, gdzie metal opasywał nadgarstek.

– Masz rację – stwierdziła. – Nic nie czuję. Nic nie widzę.

– Chyba musisz uwierzyć mi na słowo – powiedział nieco ostrym tonem.

– Zobaczymy – odparła i wróciła na miejsce w nogach łóżka.

– Czy Ryzek Noavek bądź ktoś z jego otoczenia kiedykolwiek pytał cię o informacje na mój temat? Wiemy, że je posiadasz, widziałeś Ori w dniu, kiedy ogłoszono losy.

– Naprawdę? – spytała Cisi, wstrzymując oddech.

– Tak. – Głos lekko mu zadrżał. – Ryzek mnie pytał.

– I co powiedziałaś?

Przyciągnął kolana do piersi jak dziecko wystraszone burzy i spojrział za okno. Pod koniec dnia Shissa lśniła, każde pomieszczenie żarzyło się liniami światła w przeróżnych kolorach. Budynek obok był fioletowy.

– Potrafię zachować milczenie. – Drżał coraz mocniej. Wspomnienie powracało po kawałku, coraz wyraźniejsze. Twarz Cyry, szklana podłoga, dłoń Eijeha na jego ramieniu. – Potrafię znosić ból, nie jestem słaby. Ja... – Czuł, że bredzi jak wariat. Czy coś wtedy powiedział, zamroczony bólem? – Ryzek ma... dostęp do wspomnień Eijeha, również tych na temat Ori, więc wystarczy, że skojarzy Ori z jej losem, by wiedzieć, jak wyglądasz, poznać wszystkie powiązania, początki... próbowałem więc nic nie mówić. Ryzek chce się dowiedzieć, która z was jest która, która jest starsza. Wie... wyrocznia powiedziała mu, że musi was zabić w określonej kolejności, tak więc wszelkie szczegóły, po których można was odróżnić, mogą narazić was na niebezpieczeństwo. Ale... on pytał i pytał, a ja... chyba nic nie powiedziałem, ale dokładnie nie pamiętam...

Ori pod wpływem impulsu zrobiła krok w jego stronę, chwyciła go za kostkę i mocno ścisnęła. Ból sprawił, że łatwiej było mu zebrać myśli.

– Jeśli udzieliłeś mu jakichkolwiek przydatnych informacji, na przykład, gdzie Ori dorastała lub kto ją wychowywał... czy jest możliwe, że sam się po nas zjawi? – spytała Isae, na pozór

niewzruszona.

– Nie. – Próbował zachować jasność umysłu. – Nie, sędzę, że Ryzek się was boi.

Ryzek w takich sytuacjach nigdy nie stawiał się osobiście. Nie przybył sam po wyrocznie, nie porwał samodzielnie Akosa. Nie zamierzał postawić stopy na ziemi Thuvhe.

Kiedy Akos oglądał tamto wydanie wiadomości z Osoc, oczy Isae wydały mu się znajome. Ale teraz miały wyraz, którego oczy Ori nigdy nie potrafiłyby przybrać. Na wskroś morderczy.

– I powinien się bać – stwierdziła Isae. – Ta rozmowa nie jest zakończona. Chcę wiedzieć wszystko, co ty wiesz na temat Ryzeka Noaveka. Jeszcze wrócę.

Zasłoniła twarz welonem, a Ori poszła za jej przykładem. Przed wyjściem, już z ręką na klamce, powiedziała:

– Akos. Wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze.

On nie był jednak o tym do końca przekonany.

Sen:

Jego kolana dotykają podłogi w podziemnym więzieniu. Dar Cyry pełza po jego skórze jak ostrobaki wokół korzeni szakwiatu. A potem jej gwałtowny oddech i cienie zmieniają się w ciemne chmury otaczające ich ze wszystkich stron. Nigdy nie widział czegoś podobnego, nie widział, by oddzielały się od jej skóry. Coś się zmieniło.

Upadła na bok, w kałużę krwi. Dłonie zaciskała na brzuchu, takim samym gestem jak jego ojciec, kiedy Vas zadał mu śmiertelny cios na oczach dzieci. Palce, czerwone i wygięte, przytrzymały wnętrzności.

Krew zmieniła się w płatki szakwiatu, a on się obudził.

Miał dosyć kajdanek. A ściślej rzecz ujmując, wygięcia ramienia pod dziwnym kątem, dotyku metalu na skórze oraz gry, udawania, że wcale nie jest uwięziony. Obrócił rękę, by dotknąć zamka. Ten model kajdanek zamykał się za sprawą nurtu, więc gdyby wcisnął skórę w wycięcia, zdołałby otworzyć zamek. Odkrył tę umiejętność w drodze do Shotet, na chwilę przed tym, jak zabił Kalmeva Radixa.

Kajdanki otworzyły się z brzękiem. Akos wyciągnął igłę z ramienia i wstał. Czuł ból w całym ciele, ale nie kręciło mu się w głowie. Podeszedł do okna, za którym przemykały oświetlone steroloty. Jaskrawy róż, wibrująca czerwień i szarawa zieleń – pasma światła oplatały przysadziste pojazdy jak paski w talii, nie dość jasne, by oświetlić drogę, służące jedynie do zasygnalizowania obecności.

Stał tak bardzo długo, noc gęstniała, ruch zamierał i w końcu Shissa udała się na spoczynek. Nagle wśród fioletowego blasku bijącego z budynku naprzeciwko szpitala przemknął ciemny kształt. Kolejny przeleciał nad polem szakwiatów daleko w dole. Trzeci wyminął z bardzo bliska budynek szpitala. Akos poczuł drżenie szyby. Rozpoznał pojazdy sklecone z kawałków różnych metali. Wśród budynków Shissy latały statki z Shotet.

W rogu pokoju rozległ się alarm, a tyk później drzwi się otworzyły. Isae Benesit – wciąż w lśniących butach – rzuciła na podłogę płócienną torbę.

– Dobrze wiedzieć, że nasze kajdanki na ciebie nie działają –

zauważyła. – Pospiesz się. Musisz mi pomóc się stąd wydostać.

Nie ruszył się z miejsca. Torba miała dziwny, miejscami wybrzuszony kształt – domyślał się, że w środku znajduje się jego zbroja. A także zapewne broń i mikstury. Ci, którzy wyrzucili go w Shissie jak wór ze śmieciami, zatroszczyli się, by zapakować jego dobytek.

– Wiesz, chciałabym być osobą, której inni po prostu *śluchają* – powiedziała Isae. Sztywne maniery znikły pod wpływem irytacji. – Może powinnam nosić ze sobą potężny kij czy coś w tym rodzaju?

Sięgnął do worka i włożył zbroję przez głowę. Jedną ręką ciasno zaciągnął paski wokół żeber, a drugą odszukał w torbie nóż. Ten, który dała mu Cyra na targu podczas święta. Raz jej go oddał, w ramach przeprosin, ale zostawiła go na stole w pokoju na statku przed powrotem do Voi, więc go zabrał.

– Gdzie moja siostra? – spytał.

– Tutaj! – zawołała Cisi z korytarza. – Ale jesteś wysoki.

Isae chwyciła go za ramię. Pozwolił dyrygować sobą jak marionetka. Można by odnieść wrażenie, że to raczej Isae jemu pomaga się stąd wydostać, a nie odwrotnie.

Kiedy znaleźli się w korytarzu, w jednej chwili zgasły wszystkie światła, świeciły tylko paski świateł awaryjnych biegnące wzdłuż ścian. Isae trzymała go mocno i prowadziła za sobą korytarzem. Z głębi budynku doszły krzyki.

Sięgnął do tyłu i chwycił dłoń Cisi. Ruszyli biegiem, skręcili w stronę wyjścia awaryjnego. Ale na końcu korytarza stały dwie ciemne postacie w shoteckich zbrojach.

Akos zwolnił kroku, wyrwał rękę z uścisku i cofnął się do cienia.

– Akos! – wykrzyknęła Cisi.

Isae dobyteła broni, trzymając ją tuż przy biodrze – ostrze nurtu, nie bardzo ostre, ale zgęstniałe, zdolne zadawać śmierć. Żołnierze posuwali się w jej stronę, powoli, tak jak porusza się człowiek, kiedy nie chce spłoszyć zwierzęcia.

– Dokąd to? – zapytał jeden z żołnierzy. Oczywiście w języku shotet – innego zapewne nie znał.

Był niższy od Isae i krępy, łagodnie rzecz ujmując. Wysunął język,

by oblizać spuchnięte z zimna usta. Żołnierze z Shotet, z tego, co wiedział Akos – nigdy dotąd nie zapuścili się tak daleko na północ. Prawdopodobnie zaskoczyła ich ogromna różnica temperatur.

– Opuszczam szpital – odpowiedziała Isae w łamanym shotet.

Żołnierze zarechotali, młodszy głosem łamiącym się od mutacji.

– Ładny akcent – powiedział ten starszy. – Gdzie się nauczyłaś naszego języka, od hołoty ze skraju?

Isae rzuciła się do ataku. Akos niewiele widział w ciemnościach, usłyszał tylko jęk, kiedy dostała. Wtedy włączył się do akcji, z nożem w rękach, w zbroi ciasno zapiętej do walki.

– Stop – powiedział, wychodząc zza rogu.

– Czego chcesz? – spytał starszy z żołnierzy.

Akos stanął w świetle.

– Macie zostawić ją mnie. Już.

Ponieważ żaden nie zareagował, Akos dodał:

– Jestem pełnomocnikiem rodziny Noaveków... – Było to prawdą i kłamstwem zarazem. W końcu nikt nigdy nie przyznał mu żadnego tytułu. – Przysłał mnie po nią Ryzek Noavek. Wiele bym ryzykował, gdybym pozwolił wam ją zabić.

Wszyscy milczeli. Akos też. Od schodów awaryjnych dzieliło ich tak niewiele, musieli tylko wyminąć te dwie... przeszkody. Starszy żołnierz znów oblizał wargi.

– A jeśli cię zabiję i w ten sposób zakończę twoją misję? Czy władca Shotet sownie mnie wynagrodzi?

– Nie rób tego. – Młodszy z żołnierzy miał oczy wielkie jak spodki. – Poznaję go, to...

Starszy zamierzył się mieczem, ale był duży i powolny. Celował dość nisko. Akos odskoczył do tyłu i przykucnął, by ochronić brzuch. Machnął nożem, ale trafił tylko w zbroję, aż iskry poszły. Ale jednocześnie prawą ręką wyciągnął drugi nóż schowany w cholewce. Ten trafił w ciało. Żołnierz upadł na niego, zalewając mu dłonie ciepłą krwią. Akos przytrzymał go, zaskoczony, nie tym, co właśnie zrobił, ale łatwością, z jaką mu to przyszło.

– Masz wybór – powiedział do młodszego żołnierza. Głos brzmiał dziwnie, jakby należał do kogoś innego. – Możesz zostać i zginąć. Albo

uciec i zachować życie.

Młodzieniec rzucił się biegiem w głąb korytarza. O mało nie poślizgnął się na zakręcie. Cisi cała się trzęsła, jej oczy lśniły od łez. A Isae mierzyła w niego nożem.

Położył żołnierza na ziemi. *Tylko nie zwymiotuj*, powtarzał sobie w myślach.

– Pełnomocnik rodziny Noaveków? – spytała Isae.

– Nie całkiem.

– Nadal ci nie ufam – odparła, lecz opuściła nóż. – Chodźmy.

Wyszli na dach i zaczęli biec, smagani ostrym lodowatym powietrzem. Nim dotarli do czekającego na lądowisku czarnego sterolotu, Akos szczękał zębami z zimna. Drzwi otworzyły się pod dotknięciem Cisi i weszli do środka.

Siostra usiadła w fotelu kierowcy. Kontrolki zapaliły się, ekran z noktowizorem rozżarzył się na zielono, system nawigacyjny zajaśniał na powitanie. Cisi sięgnęła pod deskę rozdzielczą, wyłączyła światła zewnętrzne, wstukała adres domowy i nastawiła pojazd na autonawigację. Tempo – superszybkie.

Sterolot oderwał się od lądowiska i wystrzelił przed siebie. Akos zapomniał zapiąć pasy i uderzył o panel kontrolny.

Obrócił się, by popatrzeć na niknącą w oddali Shisę. Każdy z budynków jaśniał innym kolorem: biblioteka fioletem, szpital żółcią, a sklep zielenią. Wisiały na niebie – wydawałoby się, niemożliwe – jak zatrzymane w ruchu krople. Patrzył na nie, aż zmieniły się w pęk światełek. A kiedy wokół zapadła niemal całkowita czerń, odwrócił się z powrotem w stronę Cisi.

– Ty... – urwała.

Cokolwiek chciała powiedzieć, nie zdołała z powodu przekleństwa nurtu. Akos wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu czysty palec – jedyny czysty, reszta była lepka i czerwona.

W końcu wydusiła:

– Zabiłeś go.

Rozważał w myślach różne odpowiedzi, od: *Nie był pierwszy*, do: *Przykro mi*. Żadna nie wydawała mu się odpowiednia. Nie chciał, by Cisi go znienawidziła, podobnie jak nie chciał, by sądziła, że wyszedł



z pobytu w Shotet niewinny i nietknięty. Nie chciał o tym rozmawiać, ale nie zamierzał też kłamać.

– Ocalił nas obie – powiedziała ostro Isae, włączając wiadomości.

Nad mapą autonawigacji pokazał się niewielki ekran holograficzny. Akos czytał poruszające się w kręgu napisy:

*Dwie godziny po zachodzie słońca rozpoczęła się inwazja Shotet na Shissę. Napastników widziano w szpitalu, do tej pory doniesiono o ośmiu ofiarach.*

– Wysłałam Orieve w drogę zaraz po tym, jak wyszła z twojego pokoju – powiedziała Isae. – Powinna dać radę. Nie mogę wysłać jej wiadomości, bo zaraz by ją przechwycili.

Ostrożnie oparł ręce na udach, marząc, by wreszcie je umyć.

Kiedy zaczęli schodzić nad Hesse, kilka godzin przed świtem, na holoekranie pokazały się kolejne wiadomości:

*Policja w Shissie donosi, że pojmano dwóch jeńców z Thuvhe. Na nagraniu z inwazji widać, jak żołnierze z Shotet wyciągają jakąś kobietę z budynku szpitala. Wstępna identyfikacja wskazuje, że była to Isae bądź Orieve Benesit.*

Akos poczuł wstrząs w głębi ciała.

Orieve Benesit. Ori. Urowadzona.

Próbował nie patrzeć na Isae, dać jej chociaż jeden tyk, by mogła pierwsza zareagować, ale nie było na co patrzeć. Cisi wyciągnęła rękę, lecz Isae odsunęła się, wyłączyła ekran i wbiła wzrok w szybę.

– Cóż – powiedziała w końcu. – Będę musiała ją odzyskać.

KIEDY DOTARLI DO HESSY, sterolot zatoczył łuk wokół góry i poszybował w kierunku pasa piórzycy. Wylądował przed drzwiami, zgniatając źdźbła. Krew na rękach Akosa zdążyła zaschnąć.

Isae wysiadła pierwsza, za nią Cisi. Kiedy Akos wyskoczył, drzwi się zamknęły. Wokół pojazdu widniał krąg przygiętej do ziemi piórzycy.

Cisi ruszyła przodem, z czego tylko się ucieszył, bo sam nie czuł się na to na siłach. Ciemne okna budziły wspomnienia ostatnich chwil w tym miejscu. Kiedy Cisi otworzyła drzwi, a jego nozdrza połaskotał zapach przypraw i krojonego solifruta, podrażnione zmysły przywołały obraz zakrwawionego ciała taty rozciągniętego na podłodze w salonie.

Zatrzymał się. Odetchnął. Ruszył dalej.

W drodze do kuchni przejechał knykciem po drewnianej boazerii. Wzdłuż ściany, na której kiedyś wisiały zdjęcia rodzinne. Teraz gołej. Salon też się zmienił – przypominał teraz raczej gabinet, stały tam dwa biurka i regały z książkami, brakowało miękkich poduch. Ale kuchnia wyglądała jak zawsze – zniszczony stół, niedbale oheblowana ława.

Cisi potrząsnęła żyrandolem nad stołem, by zapalić żarki. Nadal świeciły blaskiem zabarwionym na czerwono.

– Gdzie mama? – zapytał, a w pamięci pokazał się jej obraz, jak stoi na trzeszczącym krześle i posypuje żyrandol pyłem szakwiatu.

– Na spotkaniu wyroczni – odparła Cisi. – Ostatnio ciągle się spotykają. Pewnie wróci za kilka dni.

Kilka dni to za późno. Nie będzie go już wtedy tutaj.

Chęć, by umyć ręce, zmieniła się w niecierpiącą zwłoki konieczność. Podeszedł do zlewu. Leżał na nim kawałek mydła domowej roboty, ozdobiony zatopionymi w środku płatkami czystnika. Namydlił ręce, aż zrobiła się piana i splukał trzy razy. Przeciągnął paznokciami po wnętrzu dłoni. Wyszorował miejsca między palcami. Kiedy skończył, jego dłonie były różowe i lśniące. Tymczasem Cisi zaczęła robić herbatę.

Zawahał się, sięgając do szuflady z nożami. Chciał zaznaczyć na ramieniu śmierć żołnierza z Shotet. Miał w bagażu fiolkę z ekstraktem piórzycy. Jak to się stało, że coś tak typowego dla Shotet jest dla niego odruchem? Czyste ręce, czyste ostrze, nowy znak?

Zamknął oczy, jakby potrzebował ciemności, by oczyścić myśli. Gdzieś tam zabity przez niego żołnierz miał rodzinę, przyjaciół, którzy czekali, aż ktoś zaznaczy jego śmierć. Akos wiedział – chociaż ta świadomość nie była przyjemna – że nie można udawać, że ta śmierć się nie zdarzyła.

Wziął więc nóż do ręki i wsunął ostrze w płomień paleniska, obracając, by je zdezynfekować. A potem rozgrzanym ostrzem wyciął prostą kreskę na ramieniu, obok poprzednich. Wylał trochę ekstraktu na zęby widelca i przesunął wzdłuż nacięcia. Wyszło niezgrabnie, ale musiało wystarczyć.

Potem usiadł na podłodze i przycisnął dłonie do głowy. Próbował przegonić ból. Krew spływała po jego ramieniu i zbierała się w zgięciu łokcia.

– Najeźdźcy mogą przybyć również do Hessy – powiedziała Isae. – Będą mnie szukać. Powinniśmy wyruszyć jak najszybciej i odnaleźć Ori.

– My? – zapytał. – Nie zabiorę kanclerz Thuvhe do Ryzeka Noaveka, nie z przypisanym mi losem. W ten sposób zostałbym zdrajcą.

Spojrzała na jego ramię.

– Skoro nie jesteś gotowy.

– Zamknij się – warknął. Uniosła brwi, ale on mówił dalej. – Sądysz, że wiesz, w jaki sposób spotkam swój los? Myślisz, że wiesz, co on oznacza, lepiej ode mnie?

– Twierdzisz, że jesteś wierny Thuvhe, a każesz swojej kanclerz się zamknąć? – zapytała z lekko żartobliwą nutą w głosie.

– Nie, powiedziałem to do kobiety, która stoi w mojej kuchni i żąda idiotycznej przysługi – odparł. – Nigdy nie zwróciłbym się w ten sposób do mojej kanclerz. Wasza Wysokość.

Pochyliła się w jego stronę.

– A więc zabierz tę kobietę do Shotet. – Znów się odsunęła. – Wiem, że potrzebuję twojej pomocy, by się tam dostać.

– Nie ufasz mi.

– Znowu. Nie jestem głupia. Ty pomożesz mi odzyskać siostrę, ja pomogę tobie odzyskać brata. Gwarancja zerowa, rzecz jasna.

Akos miał ochotę zakląć. Jak to jest, że wszyscy zdają się dokładnie wiedzieć, co mu zaproponować, by przystał na ich warunki?

Nie, żeby czuł się przekonany, że ona może mu pomóc, ale i tak mało brakowało, by się zgodził.

– Akosie – powiedziała Isae, tak po prostu, bez cienia złości. Poczł się nieco zaskoczony. – Gdyby ktoś ci powiedział, że nie możesz ocalić brata, bo twoje życie jest zbyt ważne, by je ryzykować dla innych, czy byś posłuchał?

Miała zmęczoną twarz, poznaczoną kroplami potu, i policzek wciąż czerwony od uderzenia. Nie wyglądała jak kanclerz. Blizny na jej twarzy świadczyły o czymś jeszcze – że, podobnie jak Cyra, wie, ile ryzykuje, narażając życie.

– Dobrze – powiedział. – Pomogę ci.

Cisi z hukiem postawiła kubek na stole, wylewając sobie gorącą herbatę na rękę. Skrzywiła się, wytarła rękę o bluzkę i wyciągnęła ją w stronę Akosa. Isae zrobiła zdziwioną minę, on jednak zrozumiał – Cisi chciała coś powiedzieć, a on, chociaż bał się to usłyszeć, nie mógł odmówić.

Ścisnął jej dłoń.

– Chyba oboje zdajecie sobie sprawę, że jadę z wami – oznajmiła.

– Nie – odparł Akos. – Nie możesz się tak narażać, wykluczone.

– Nie chcesz, żebym się narażała? – Jej głos brzmiał ostrzej niż kiedykolwiek dotąd, nieprzejednanie. – A jak myślisz, co ja czuję w związku z tym, że ty tam wracasz? Ta rodzina zbyt wiele przeszła, poniosła zbyt wielkie straty – mówiła, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie.

Isae wyglądała, jakby ktoś ją uderzył. Nic dziwnego, pewnie nigdy nie widziała Cisi w takim stanie, swobodnie mówiącej, co myśli, mogącej swobodnie płakać, krzyczeć i wprawiać wszystkich wokół w stan niepokoju.

– Jeśli zginiemy w Shotet, to zginiemy razem, a...

– Nie mów o śmierci tak, jakby nic nie znaczyła!

– Chyba nie rozumiesz... – Drżenie objęło jej ramię, dłoń i głos. Odnalazła wzrokiem oczy Akosa, a on skupił się na jej tęczęwce, na plamce z brzegu. – Po tym, jak cię porwano, mama wróciła, ale... nie była sobą. To ja zaciągnęłam ciało taty na pole, by je spalić. Ja posprzątałam w salonie.

Akos nie mógł sobie wyobrazić tej grozy. Jak to jest, zmywać krew własnego ojca z podłogi? Już lepiej podpalić dom, odejść i więcej nie wracać.

– Więc nie mów mi, że nie wiem, czym jest śmierć – dodała – bo wiem.

Przestraszony, uniósł dłoń do policzka Cisi, i przycisnął jej twarz do swego ramienia. Poczul łaskotanie kręconych włosów na podbródku.

– Dobrze. – Powiedział tylko to jedno słowo. Wystarczyło.

Ustalili, że przed wyruszeniem w drogę położą się spać na kilka godzin. Akos poszedł sam na górę. Odruchowo pominął szósty stopień – jakimś sposobem w jego pamięci zapisało się, że okropnie skrzypi. Korytarz na górze był lekko wygięty, zaraz za drzwiami do łazienki robił lekki skręt w prawo, jakoś tak bez sensu. Pokój, który dzielił z Eijehem, znajdował się na końcu. Pociągnął za klamkę czubkami palców.

Zmięta pościel na łóżku Eijeha wyglądała tak, jakby ktoś pod nią spał. W rogu tkwiła para brudnych skarpetek, na pięcie zabarwionych na brązowo od butów. Na łóżku Akosa pościel leżała równiutko naciągnięta na materac, poduszka była wetknięta między łóżko a ścianę. Zwykle szybko pozbywał się poduszek.

Za dużym okrągłym oknem widział piórzycę falującą w ciemności oraz gwiazdy. Usiadł na łóżku, przyciskając poduszkę do brzucha. Buty stojące na podłodze wydały mu się tak małe, o tyle mniejsze od tych, które teraz nosił, że musiał się uśmiechnąć. A potem zaczął płakać. To nie działało się naprawdę. Jego tu nie było. Nie może opuścić domu, gdy dopiero co wrócił.

W końcu łzy się skończyły i Akos zasnął wyczerpany, nie zdjawszy nawet butów.

Kilka godzin później wstał i poszedł pod prysznic. Stał pod strumieniem wody trochę dłużej niż zwykle, w nadziei, że w ten sposób się rozluźni. Bez skutku.

Kiedy wyszedł, za progiem znalazł stos ubrań, które wcześniej należały do taty. Koszula okazała się za luźna na ramionach i w pasie, a za ciasna w klatce piersiowej – Aoseh był kompletnie innej budowy. Spodnie były w miarę dobre na długość; wetknął nogawki w cholewki wysokich butów.

Po chwili wrócił do łazienki, żeby powiesić mokry ręcznik – taki widok miała zastać mama: mokry ręcznik, pomięta pościel i ani śladu dzieci – była tam już Isae, w ubraniu należącym do mamy: czarnych spodniach przewiązanych paskiem w talii. Dotknęła palcem jednej z blizn i napotkała w lustrze jego oczy.

– Jeśli zamierzasz powiedzieć coś mądrego i głębokiego na temat blizn, to dostaniesz po głowie – ostrzegła.

Wzruszył ramionami i obrócił lewe ramię, pokazując rejestr zabójstw.

– Zapewniam, że twoje nie są tak paskudne jak te.

– Ty swoje przynajmniej wybrałaś.

Cóż, miała rację.

– Jak to się stało, że zostałam naznaczona shoteckim ostrzem? – zapytał.

Słyszał różne historie, żołnierze lubili się nimi wymieniać. Nie o rejestrze zabójstw, ale o innych bliznach. Biała kreska na kolanie po wypadku w dzieciństwie, cięcie nożem podczas inwazji na Hesse, pijacki incydent z głową i framugą drzwi w rolach głównych. Zawsze zaśmiewali się z tych historii. Był pewien, że w przypadku Isae nie znajdzie powodu do śmiechu.

– Żer nie zawsze przebiega tak pokojowo, jak pewnie próbowali ci wmówić – odparła Isae. – Podczas ostatniego mój statek musiał wylądować na Othyrze. Wymagał naprawy, a dodatkowo podczas naszego pobytu jeden z członków załogi poważnie zachorował. Zawieźliśmy go do szpitala, a wtedy zaatakowali nas shoteccy żołnierze, rabujący magazyny z lekami. Jeden z nich ciął mnie po twarzy i zostawił na pewną śmierć.

– Przykro mi – powiedział odruchowo. Z jakiegoś powodu pragnął jej zdradzić, dokąd trafia cała pomoc medyczna z Othyru – wyłącznie w ręce Ryzeka i jego popleczników – i jak niewiele osób o tym wie. Ale to nie był najlepszy moment, by tłumaczyć jej reguły gry obowiązujące w Shotet, jeszcze mogłaby mu zarzucić, że próbuje usprawiedliwić tego żołnierza.

– Mnie nie jest przykro. – Isae chwyciła mydło takim ruchem, jakby chciała je przełamać, i zaczęła myć ręce. – Trudno zapomnieć, kto

jest twoim wrogiem, kiedy nosi się takie blizny. – Odchrząknawszy, dodała: – Chyba nie masz nic przeciwko, że pożyczyłam ubranie twojej matki.

– Włożyłem dzisiaj bieliznę nieżyjącego człowieka – odparłem. – Czemu miałbym mieć coś przeciwko?

Uśmiechnęła się lekko, co Akos uznał za pewien postęp w ich szorstkiej relacji.

Żadne z nich nie miało ochoty dłużej zwlekać, szczególnie Akos. Wiedział, że im więcej czasu spędzi w tym miejscu, tym trudniej będzie mu wyjechać. Lepiej, powiedział sobie w myślach, otworzyć ranę szybko, mieć już to za sobą i założyć nowy opatrunek.

Przygotowali jedzenie, ubrania i zapasy lodokwiatów i zapakowali wszystko do drugiego sterolotu. W baku znajdowało się akurat tyle paliwa, by zabrać ich na drugą stronę pasa piórzycy, więcej nie potrzebowali. Pod dotykiem Cisi sterolot oderwał się od ziemi. Akos nastawił autonawigację na miejsce, które wyglądało, jakby znajdowało się pośrodku niczego. Ich pierwszym celem był bowiem dom Joreka. Jedyne znane mu stosunkowo bezpieczne miejsce poza granicami Voi.

Patrzył na piórzycę w dole, rozkołysaną, przechylającą się na wietrze.

– Co mówią w Shotet na temat piórzycy? – zapytała nagle Isae. – My twierdzimy, że nasi przodkowie, pierwsi osadnicy, zasiali ją, by oddzielić się od Shotet, oni jednak na pewno mają inną perspektywę, prawda?

– Powiadają, że to oni ją zasiali – odparł Akos. – By oddzielić się od Thuvhe. Piórzycy pochodzi tak naprawdę z Ogry.

– Wciąż je słyszę, nawet na tej wysokości – powiedziała Cisi. – Głosy w trawie.

– Czyje głosy? – Ostry ton zniknął z głosu Isae, kiedy zwracała się do Cisi.

– Głównie ojca.

– Ja słyszę matkę – odparła Isae. – Ciekawe, czy słyszy się tylko zmarłych.

– Kiedy zmarła twoja matka?

– Kilka pór temu. W tym samym czasie, kiedy ja zarobiłam blizny

na twarzy. – Isae zmieniła sposób mówienia na bardziej swobodny. Nawet jej postawa się zmieniła, nie była już taka sztywna.

Rozmawiały dalej, Akos zaś milczał, a jego myśli krążyły wokół Cyry.

Gdyby umarła, był przekonany, że by o tym wiedział, odczułby to jakoś. To chyba niemożliwe, nie poczuć straty kogoś, z kim łączy cię taka przyjaźń? Chociaż nurt przez niego nie przepływał, jej siły życiowe na pewno tak. Od tak dawna trzymała go przy życiu. Może gdyby się postarał, mógłby zrobić to samo dla niej, na odległość.

Późnym popołudniem, kiedy słońce napuchło resztkami dnia, zaczęli tracić paliwo. Sterolot dygotał. Piórzyca daleko w dole przerzedziła się i między jej kępami pokazała się niska szarobrazowa trawa, poruszająca się na wietrze niczym włosy.

Cisi skierowała sterolot w miejsce, gdzie rosły dzikie kwiaty. Tutaj, bliżej równika, było dosyć mroźno, ale ciepłe masy powietrza znad morza łagodziły klimat w dolinie Voi, sprawiając, że mogły rosnąć tu inne poza lodokwiatami gatunki roślin.

Wysiedli i ruszyli przed siebie. Wzdłuż horyzontu ciągnęła się fioletowa falująca wstęga nurtu, na jej tle widniało niewielkie skupisko zabudowań i lśniący kadłub shoteckiego statku. Jorek dokładnie wytłumaczył Akosowi drogę do swojego domu, ale poprzednim razem Akos był tutaj zaraz po śmierci Kalmeva Radixa, zбитy na kwaśne jabłko przez Vasa i spółkę, więc niewiele pamiętał. Na szczęście teren był tak płaski, że nawet niewielka wioska nie bardzo miała jak się tu ukryć.

Usłyszał szuranie i nagle dostrzegł wśród trawy ciemny potężny kształt. Lewą ręką chwycił dłoń Isae, a prawą – Cisi.

Stworzenie przesuwało się powoli. Stukot jego kleszczy dochodził ze wszystkich stron. Było wielkie – szerokość cielska dorównywała co najmniej wzrostowi Akosa – i całe pokryte ciemnoniebieskimi płytkami. Miało nieprzebraną liczbę nóg. Głowę rozpoznał jedynie po zębach lśniących w szeroko wygiętej paszczy. Były długości jego palców.

Pancerny.

Twarz Akosa znajdowała się dosłownie kilka izytów od pokrytego twardym pancerzem boku. Widział, jak wznosi się pod wpływem oddechu, przypominającego westchnienia, widział też oczy, jak czarne



koralki, ukryte pod płytką na czole, przymknięte. Cisi trzęsła się ze strachu.

– Nurt doprowadza Pancernych do wybuchów wściekłości – wyszeptał do stworzenia, które zasnęło, chociaż klóciło się to z wszelką logiką. Akos zrobił krok w tył. – Właśnie dlatego atakują ludzi. Doskonale przewodzimy nurt.

Miał tak spocone ręce, że dosłownie skrzypiały o dłonie Cisi i Isae.

– Ale – zauważyła Isae – ty nie przewodzisz nurtu, więc...

– Więc właściwie nie dostrzegają mojej obecności – dokończył. – Chodźmy.

Poprowadził je dalej, oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy zwierzę jednak się nie obudzi i za nimi nie pójdzie. Nie ruszyło się z miejsca.

– Chyba wiem, jak zdobyłeś zbroję – powiedziała Isae.

– To z tego robi się zbroję? – zdziwiła się Cisi. – Myślałam, że te wszystkie gadki o zabijaniu dzikich bestii to tylko głupie wymysły.

– Wcale nie wymysły – odparł. – W moim przypadku trudno jednak mówić o triumfalnym zwycięstwie. Bestia zasnęła, a ja ją zabiłem. Czułem się potem tak fatalnie, że zaznaczyłem jej śmierć na ramieniu.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała Isae. – Znaczy, skoro nie chciałeś?

– Chciałem mieć zbroję – odparł. – Nie każdy mieszkaniec Shotet potrafi zasłużyć na zbroję tego rodzaju, to coś jak... symbol statusu. Chciałem, by traktowali mnie jak równego sobie i przestali gadać o cienkiej skórze z Thuvhe.

Cisi prychnęła.

– Widać nigdy nie przeżyli zimy w Hessie.

Zmierzali w kierunku odległych zabudowań, pośród kęp dzikich kwiatów tak delikatnych, że rozpadały się pod butami.

– Powiesz nam, dokąd idziemy, czy mamy po prostu kierować się na te budynki? – spytała Isae, kiedy znaleźli się na tyle blisko, że mogli już dostrzec ściany z niebieskoszarego kamienia i niewielkie szybki w oknach w przeróżnych kolorach.

Było tam zaledwie kilka budynków, nawet nie dało się nazwać tego

wioską. Miejsce sprawiało urocze wrażenie – zachód słońca odbijał się w szkle, a tuż pod murami rosły dzikie kwiaty.

Ryzykował, przychodząc tu, ale i tak znajdowali się w tarapatach, niezależnie od jego decyzji, była to więc opcja równie dobra jak każda inna.

Był podenerwowany. Te domy na pewno miały połączenie, odbierały wiadomości. Mieszkańcy powinni wiedzieć, co stało się z Cyrą. Trzymał lewą rękę tuż przy prawym ramieniu, by w razie czego z łatwością dobyć noża. Nie wiedział, co czeka ich za tymi kolorowymi okienkami. Wyciągnął nóż, widząc jakiś ruch – otworzyły się drzwi, na próg wyszła drobna kobieta, a jej dłonie ociekały wodą. Znał ją – to była Ara Kuzar. Żona nieżyjącego Suzao, matka Joreka.

Przynajmniej trafili do celu.

– Hej – powiedziała Ara.

Miała zaskakująco niski głos. Akos widział ją wcześniej tylko raz – schodząc z areny po zabiciu jej męża. Pamiętał widok jej dłoni, ściskającej dłoń syna.

– Hej. Jestem...

– Wiem, kim jesteś, Akosie. Mam na imię Ara, ale ty pewnie też je znasz.

Nie miało sensu zaprzeczać. Kiwnął głową.

– Może wejdiesz? – zaproponowała. – Twoje towarzyszkę również są mile widziane, o ile nie zamierzają sprawiać żadnych kłopotów.

Isae spojrzała na Akosa, unosząc brew i weszła pierwsza po stopniach, odruchowo dotykając ud, by przytrzymać suknię, której tam nie było. Prawdopodobnie przywykła do eleganckich strojów i nadal poruszała się jak kobieta z wyższych klas, z głową uniesioną wysoko i sztywno wyprostowanymi plecami. Ona też nigdy nie przeżyła zimy w Hessie, ale miała za sobą inne hartujące doświadczenia.

Zeszli za Arą po wąskich skrzypiących schodach prowadzących do kuchni. Podłogi wyłożono niebieskimi kaflami, trochę nierówno, biała farba oblażyła ze ścian. Ale było ciepło, pośrodku stał wielki solidny stół, a wokół niego poodsuwane krzesła, jakby przed chwilą odbywało się tu jakieś spotkanie. W głębi na ścianie wisiał ekran z włączonymi wiadomościami – widok syntetycznego światła pośród oblażonej farby

tworzył zaskakujący kontrast, nowe obok starego, zestawienie typowe dla Shotet.

– Posłałam sygnał Jorekowi, powinien niedługo się zjawić – powiedziała Ara. – Czy twoje przyjaciółki mówią w shotet?

– Jedna – odparła Isae. – Uczyłam się kilka pór temu, więc... powoli proszę.

– Nie, możemy rozmawiać w języku thuvhe – odparła Ara, nie całkiem płynnie, lecz zrozumiale.

– To moja siostra, Cisi – powiedział Akos. – I nasza przyjaciółka...

– Badha – rzuciła lekko Isae.

– Miło was poznać. Muszę wyznać, Akosie, że poczułam się nieco urażona. Nie chciałeś przyjąć prezentu ode mnie. Pierścień, pamiętasz?

Patrzyła na jego dłonie, które lekko drżały.

– O – powiedział. Wsunął kciuk pod kołnierzyk i wyciągnął łańcuszek. Wisiał na nim pierścień, który przesłała mu przez Joreka. Tak naprawdę miał ochotę wrzucić go do śmietnika, śmierć Suzao nie była czymś, co chciałby pamiętać. Ale była czymś, o czym *musiał* pamiętać.

Ara kiwnęła głową.

– Skąd się znacie? – spytała Cisi.

Zastanawiał się, czy ten kojący głos ma na celu uczynić całą sytuację bardziej komfortową. *Nie warto się wysilać*, pomyślał.

– To historia na inną okazję – odparła Ara.

Akos nie wytrzymał.

– Nie chciałbym wydać się niegrzeczny – powiedział – ale muszę zapytać, co się dzieje z Cyrą.

Ara splotła ramiona na brzuchu.

– Z panną Noavek?

– Czy ona...? – Nie był w stanie wypowiedzieć tego słowa.

– Żyje.

Przymknął oczy, na jeden tyk, i dopuścił do siebie myśli o niej. Tak wyraźnie widział ją w pamięci: walczącą w sali gimnastycznej, jakby wojna była tańcem, zapatrzoną za okno w czarną przestrzeń kosmiczną, jakby oglądała obraz. Jakimś sposobem potrafiła sprawić, że to, co brzydkie, wydawało się piękne. Nie umiał tego pojąć. Najważniejsze, że żyła.

– Na twoim miejscu jeszcze bym nie świętowała – powiedział głos za jego plecami.

Akos odwrócił się i zobaczył drobną dziewczynę o jasnych, niemal białych włosach, z różową opaską na oku. Kojarzył ją ze statku, ale nie pamiętał jej imienia.

Za nią stał Jorek, kręcona czupryna opadała mu na oczy, podbródek znaczył cień zarostu.

– Akos? – powiedział. – Co ty tu...?

Urwał, dostrzegłszy Isae i Cisi.

– Cisi, Badha – powiedział Akos. – To jest Jorek i...?

– Teką – odparła dziewczyna.

No tak, teraz sobie przypominał. Córka buntowniczkii, którą stracono tuż przed żerem. Cyra poszła z nią porozmawiać, zanim zeszedli do lądowania na Picie.

– Aha – powiedział. – Cisi to moja siostra, a Badha... przyjaciółka. Z Thuvhe. Cisi nie mówi w shotet. – Odczekał chwilę i dodał: – Co miałaś na myśli, mówiąc, że za wcześnie na świętowanie?

Teka zajęła jedno z krzeseł, rozparła się na nim, szeroko rozsuwając kolana i przewieszając ramiona przez oparcie.

– Wygląda na to, że mała Noavek długo nie pociągnie – odparła. – Próbuujemy wymyślić, jak ją uwolnić. A skoro wróciłeś – idiotyczny ruch, nawiasem mówiąc – może będziesz potrafił nam pomóc.

– Uwolnić? – Akos spojrzał na Joreka. – Czemu miałyby ci na tym zależeć?

Jorek podciągnął się i usiadł na blacie. Uśmiechnął się szeroko do stojącej obok Cisi, a jego oczy zrobiły się senne, jak to często zdarzało się ludziom w jej obecności. Akos uświadomił sobie, że dar nurtu siostry to nie tylko siła, która ją pętała, nie pozwalała na łzy, ale również coś, co zapewniało jej władzę nad innymi.

– Cóż – odparł Jorek – znalazłeś się w bastionie buntowników. Jak zresztą pewnie sam się domyślasz.

Akos nie zastanawiał się nad tym zbyt długo. Jorek sprawiał wrażenie, że wie o rzeczach, o których inni nie mają pojęcia, nie musiało to jednak zaraz znaczyć, że należy do buntowników. Teką straciła oko, co z kolei znaczyło, że z pewnością nie przepada za Ryzekiem, ale to też nie

musiało wskazywać na nic więcej.

– I? – zapytał Akos.

– No. – Jorek zrobił zdziwioną minę. – Nie mówiła ci?

– O czym?

– Cyra z nami współpracowała – wyjaśniła Teka. – Podczas ataku na statku miałam ją zlikwidować. Zlikwidować Bicz Ryzeka w czasie, gdy głos z interkomu obwieści jego los, rozumiesz?

– Nie nazywaj jej tak – wtrącił Akos. Poczul na sobie spojrzenie Isae i poczerwieniał.

– Jasne, jasne. – Teka machnęła ręką. – Cóż, pokonała mnie i puściła wolno. A potem mnie odnalazła i zażądała spotkania. Zaproponowała, że da nam wszystko, czego tylko zechcemy, informacje, pomoc, nieważne, jeśli w zamian wyświadczymy jej jedną przysługę: pomożemy ci wydostać się z Shotet. – Spojrzała na Joreka. – Dlatego nic mu nie powiedziała. Chciała go uwolnić, wiedziała jednak, że on dobrowolnie nie odejdzie bez brata.

Jorek mlasnął językiem.

Przez tych kilka tygodni po tym, jak Ryzek groził Akosowi, po tym, jak torturowała Zositę i zachowywała pozory podczas żeru na Picie, pozwoliła mu utwierdzić się w przekonaniu, że posłusznie wykonuje polecenia Ryzeka. Pozwoliła, by myślał o niej jak najgorzej. I przez cały ten czas współpracowała z buntownikami, robiła wszystko, by odzyskał wolność. Jakby stała się kimś innym, a on niczego nie zauważył.

– Pomagała nam w zamachu na życie Ryzeka, ale ją złapali. W ostatniej chwili pomogła nam uciec, ale sama już nie zdążyła – mówiła dalej Teka. – Chcieliśmy dopełnić umowy, zakradliśmy się z powrotem, ale jej już nie było. Nie wiemy, gdzie ją umieścili. Za to byłeś ty, zamknięty na klucz w pokoju i nieprzytomny. I zagłodzony, mogłabym dodać. Wydostaliśmy cię stamtąd. Uznaliśmy, że możesz się przydać, by zatrzymać ją po naszej stronie.

– Ja naprawdę chciałem ci pomóc – dodał Jorek.

– Tak, tak, jesteś bohaterem. Odnotowane – powiedziała Teka.

– Dlaczego... – Akos potrząsnął głową. – Dlaczego niby Cyra miałaby to zrobić?

– Wiesz dlaczego – odparła Teka. – Co, jako jedyne, ma dla niej

największe znaczenie, większe nawet niż strach przed bratem? – Ponieważ nie odpowiedział, westchnęła z rezygnacją. – Ten szczególny zaszczyt przypada, oczywiście, tobie.

Isae i Cisi patrzyły na niego, jedna podejrzliwie, druga ze zdumieniem. Nie miał pojęcia, jak to wszystko wytłumaczyć. Każdy w Thuvhe słyszał o Cyrze Noavek, straszili się nawzajem opowieściami o niej. Co się mówi, kiedy się odkryło, że potwór nie jest godzien tego miana?

Nic. Nic się nie mówi.

– Co Ryzek z nią zrobił? – zapytał ponuro.

– Pokaż mu – powiedziała Tekka.

Jorek dotknął ekranu, emisja wiadomości znikła. Kilka razy przesunął palcami i pojawiło się nagranie.

Wizjery przesunęły się do przodu, ukazując amfiteatr pocięty w górze kratą smug białego światła. Wszystkie miejsca były zajęte, zarówno dolne rzędy kamiennych ławek, jak i te górne z metalu, ale ponure twarze wyraźnie wskazywały, że nie chodzi o żadne świętowanie.

Wizjery skupiły się wokół podwyższenia. Stał na nim Ryzek, cały lśniący – błyszcząły jego czarne buty i zbroja okrywająca pierś. Miał świeżo obcięte włosy, bardzo krótko, tak że widać było kości czaszki, również lekko połyskującej. Na jego widok Isae i Cisi jednocześnie usiadły. Akos już się go nie bał. Strach dawno temu zmienił się w czystą odrazę.

Po lewej stronie Ryzeka stał Vas, a po prawej...

– Eijeh – wydusiła Cisi. – Dlaczego?

– Przeszedł... pranie mózgu. Coś w tym rodzaju – odparł Akos ostrożnie, a Jorek prychnął.

Wizjery skierowały się w lewo, na skraj podwyższenia. Stała tam grupa żołnierzy otaczających klęczącą kobietę.

Cyra. Miała na sobie to samo ubranie co tamtego dnia, porwane i poplamione krwią. Gęste włosy zasłaniały twarz, przez chwilę Akos bał się, że Ryzek wyłupił jej oko. Czasem karał w ten sposób tych, którzy dopuścili się wobec niego zdrady. Naznaczał ich tak, by nie mogli tego ukryć.

Cyra uniosła głowę, ukazując twarz pokrytą fioletowymi sińcami i oczy – dwoje oczu – o zgnębionym tępych wyrazie.

Ryzek przemówił:

– Dzisiaj przynoszę bardzo trudne wieści. Osoba, którą uważaliśmy za jedną z najwierniejszych, moja siostra, Cyra Noavek, okazała się zdrajczynią najgorszego sortu. Kolaborowała z naszymi wrogami zza Działu, dostarczała im informacji na temat naszej strategii, wojskowości i planów.

– Nie chce przyznać, że istnieje zorganizowana grupa buntowników – powiedział Jorek na tle wykrzykującego z oburzeniem tłumu. – Woli wmawiać ludziom, że Cyra współpracuje z Thuvhe.

– Trafnie dobiera kłamstwa – zauważyła Isae. Nie zabrzmiało to jak komplement.

Ryzek podjął:

– Ostatnio odkryłem również dowody świadczące o tym, że ta kobieta – tu wskazał na siostrę, przy okazji pokazując rząd znaków biegnących od jego nadgarstka aż po łokieć – odpowiada za śmierć mojej matki, Yliry Noavek.

Akos ukrył twarz w dłoniach. Ryzek nie mógł wymierzyć Cyrze bardziej dotkliwego ciosu. Zawsze się tego obawiała.

– Przyznaję, że więzi rodzinne zaciemniły mój osąd w tej kwestii, ale teraz, kiedy poznałem prawdę na temat jej zdrady i – tu zrobił pauzę – podstępного morderstwa na naszej matce, moje widzenie nabrało jasności. Postanowiłem, że odpowiednią karą dla tej zdrajczyni Shotet będzie egzekucja w formie nemhalzak.

Kiedy wizjer znów skierował się na Cyrę, Akos dostrzegł, że jej ramiona drżą. Ale w oczach nie było widać łez. Śmiała się. A cienie nurtu tańczyły, nie pod jej skórą, jak krew płynąca żyłami, ale po wierzchu, niczym wstęgi dymu wokół kadzielnicy. Zachowały się tak samo tamtej nocy, kiedy Ryzek kazał jej sprawić ból Akosowi – oderwały się od ciała. Dar nurtu Cyry zmienił się.

Ryzek skinieniem głowy dał znak Vasowi, ten zaś podszedł do Cyry i wyciągnął nóż. Żołnierze cofnęli się, by zrobić mu miejsce. Cyra posłała mu krzywy uśmiech i powiedziała coś, czego nie było słyhać. Ryzek odpowiedział – tego również nie zarejestrowały wzmacniacze –

po czym podszedł do niej i pochylił się, szybko poruszając wargami. Vas chwycił Cyrę za włosy i siłą odwrócił jej głowę w bok, odsłaniając szyję. Ustawił ostrze pod odpowiednim kątem i zagłębił je w skórę. Akos odwrócił wzrok, zaciskając zęby.

– To już wiesz – powiedział Jorek.

Film zatrzymał się. Zapadła cisza.

– Co on zrobił? – spytał Akos.

– Naznaczył ją – odparła Teka. – Zerwał pas skóry, od szyi aż do czubka głowy, łącznie z włosami. Nie wiem po co. Rytuał tego nie wymaga. Kaprys oprawcy.

Palcem narysowała linię prowadzącą z bocznej części szyi po środek głowy z boku. Akos czuł, że zaraz zwymiotuje.

– Ten termin, którym się posłużył – powiedziała Isae. – Nem... nemhalzet?

– Nemhalzak – poprawił ją Jorek. – Likwidacja czyjegoś statusu, postrzeganego czy rzeczywistego. Oznacza, że każdy może wyzwąć ją na arenę, walczyć z nią na śmierć i życie. Formalnie nie jest już uważana za jedną z ludu Shotet. Biorąc pod uwagę, jak wielu skrzywdziła na jego życzenie oraz jak wielu kochało jej matkę, cóż... zapewne znajdzie się sporo chętnych, by ją wyzwąć. Rzynek pozwoli na to tylu osobom, ile będzie potrzeba, by ją zabić.

– A z powodu rany szybko traci krew – dodała Teka. – Obwiązali ją bandażem, ale to raczej nie wystarczy.

– Będzie walczyć z tymi, którzy ją wyzwą w amfiteatrze? – spytał Akos.

– Najprawdopodobniej – odparła Teka. – To ma być wydarzenie publiczne. Ale to pole siłowe usmaży każdego, kto...

Akos przerwał jej.

– Rozumiem, że macie do dyspozycji statek, skoro wyrzuciliście mnie na szpitalnym lądowisku.

– Tak. Szybki i cichy – odparł Jorek.

– Więc wiem, jak ją stamtąd zabrać – powiedział Akos.

– Nie przypominam sobie, byśmy rozmawiali o jakiejś dodatkowej misji ratowniczej – warknęła Isae. – Szczególnie jeśli chodzi o narzędzie tortur Rzyeka Noaveka. Myślisz, że nie wiem, co ona wyprawiała,



Kereseth? Plotki z Shotet docierają do wszystkich zakątków galaktyki.

– Nie dbam o to, co ci się wydaje, że wiesz – odparował Akos. – Chcesz, żebym ci pomógł? Musisz zaczekać, aż najpierw załatwię tę sprawę.

Isae skrzyżowała ramiona na piersi, ale była zależna od Akosa, i chyba zdawała sobie z tego sprawę.

Isae i Cisi miały spać w pustym pokoju na piętrze, Akos zaś na podłodze w pokoju Joreka. Sądząc jednak pod spojrzeniu, które Cisi rzuciła bratu, kiedy znaleźli się na górze, na razie nie zamierzała go puścić. Wszedł za nią do niewielkiej sypialni z ogromnym materacem i paleniskiem w kącie. Podłogę pokrywały kolorowe plamy, zachód słońca płonął za oknem.

Ściągnął zbroję, ale nie wyjął noża ukrytego za cholewką. Nie wiedział, co może się wydarzyć. Czuł się tak, jakby Vas i Ryzek czaili się za każdym rogiem.

– Czy... Badho – odezwała się Cisi – możesz pójść pierwsza się umyć? Chciałabym porozmawiać z Akosem.

Isae uniosła głowę, po czym wymaszerowała z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Akos usiadł na łóżku obok siostry. Na jego butach lśniły plamki światła, zielone, niebieskie i fioletowe. Cisi położyła dłoń na jego nadgarstku.

– Eijeh – wydusiła tylko.

Opowiedział jej o wszystkim. Jak Ryzek przekazał Eijehowi swoje wspomnienia i zabrał mu jego własne. O tym, że Eijeh używa nowych słów i kręci nożem na dłoni zupełnie jak Ryzek. Nie powiedział jednak, jak Eijeh przyglądał się, kiedy go torturowano, nawet nie raz, a dwa razy, nie powiedział też, że Eijeh posłużył się wizjami, by pomóc Ryzekowi. Nie chciał pozbawiać jej nadziei.

– To dlatego nie próbowałeś ucieczki – powiedziała miękko Cisi. – Musiałbyś go porwać, a to znacznie... trudniejsze.

*Prawie niemożliwe*, poprawił ją w myślach.

– Tak. A poza tym, jaka przyszłość czeka mnie w Thuvhe, Cisi? Sądziś, że zostanę pierwszą osobą w całej galaktyce, która potrafi odmienić swój los? – Pokręcił głową. – Może lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Już nie jesteśmy rodziną.

– Mylisz się – odparła stanowczo. – Nie przypuszczałeś, że mnie jeszcze zobaczysz, a oto siedzę obok ciebie, prawda? Nigdy nie wiesz, w jaki sposób odnajdzie cię los, ja też tego nie wiem. Ale do tego momentu musimy być tym, czym być możemy.

Wzięła go za rękę i mocno ścisnęła. Dostrzegł trochę z taty w łuku jej brwi o współczującym wyrazie, w dołeczku na policzku. Siedzieli tak przez chwilę, dotykając się ramionami i słuchając szumu wody w łazience po drugiej stronie korytarza.

– Jaka jest Cyra Noavek?

– Jest... – Potrząsnął głową. Jak można opisać całą osobę w krótkich słowach? Była jak twarde suche mięso. Uwielbiała przestrzeń. Potrafiła tańczyć. Doskonale umiała sprawiać ludziom ból. Namówiła grupę buntowników, by podrzucili go do Thuvhe, bez Eijeha, ponieważ za cholereę nie szanowała jego decyzji, a on czuł za to idiotyczną wdzięczność. Była... To była Cyra.

Na twarzy Cisi widniał uśmiech.

– Dobrze ją poznałeś. Kiedy kogoś dobrze się zna, trudniej go opisać.

– Chyba tak.

– Jeśli uważasz, że warto ją uratować, to chyba musimy ci uwierzyć – stwierdziła Cisi. – Chociaż to bardzo trudne.

Isae wyszła z łazienki z mokrymi włosami związanymi z tyłu w ciasny koczek. Wyglądały jak polakierowane. Włożyła inną bluzkę, również należącą do ich mamy, ozdobioną przy szyi kwiatowym haftem. Strzepnęła tę, którą miała wcześniej na sobie – widać uprała ją ręcznie – i powiesiła na krześle przy palenisku.

– Masz trawę we włosach – powiedziała do Cisi z krzywym uśmiechem.

– Nowy wizerunek – odparowała Cisi.

– Pasuje ci – stwierdziła Isae. – Ale co tobie nie pasuje.

Cisi zarumieniła się. Isae umknęła przed spojrzeniem Akosa i obróciła się do paleniska, by ogrzać dłonie.

Zeszli na dół. W niskim ciemnym pomieszczeniu o ścianach z obłazącą farbą siedziało teraz więcej osób. Jorek przedstawił im Sovy – kobietę z haftowaną szarfą we włosach, przyjaciółkę matki, która

mieszkała zaraz obok, i Jyo – chłopaka niewiele starszego od nich, który miał oczy niezwykle podobne do Isae, co mogło sugerować wspólnych przodków. Grał na leżącym na kolanach instrumencie, przyciskając różne guziki i szarpiąc struny z niezwykłą szybkością. Na wielkim stole stała napoczęta kolacja.

Akos usiadł obok Cisi i nałożył jedzenie na talerz. Mięsa było niewiele – ciężko było je zdobyć w tej okolicy, poza granicami Voi – ale za to mnóstwo solifruta, który również był bardzo odżywczy. Jyo z uśmiechem podał Isae smażoną łodygę piórzycy, ale Akos wyrwał mu ją z ręki.

– Tego nie chciałabyś zjeść – powiedział. – Chyba że masz ochotę na trwające sześć godzin halucynacje.

– Poprzednim razem, kiedy Jyo kogoś tym poczęstował, nieszczęsne ofiary łaziły po całym domu, bredząc coś o gigantycznych tańczących niemowlakach – powiedział Jorek.

– Taaa. Śmiecie się, śmiecie – odparła Teka – też byście się przerazili na widok gigantycznych niemowlaków.

– Było warto. Niezależnie od tego, czy kiedykolwiek zostanie mi to wybaczone – stwierdził Jyo, puszczając oczko. Miał miękki, nieco senny sposób mówienia.

– Działają na ciebie? – spytała Cisi Akosa, ruchem głowy wskazując na łodygę w jego dłoni.

W odpowiedzi Akos odgryzł kawałek. Smakowało ziemiście i słono-kwaśno.

– Twój dar jest dziwny – stwierdziła. – Mama na pewno rzuciłaby na temat jakiś mądry i mglisty komentarz.

– Ooo. A jaki był w dzieciństwie? – zainteresował się Jorek, splatając dłonie i pochylając się w stronę siostry Akosa. – Czy on w ogóle kiedyś był dzieckiem, czy też po prostu zjawił się któregoś dnia, dorosły i niespokojny?

Akos rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Był niski i pulchny – odparła Cisi. – Łatwo się wkurzał. Szczególnie w kwestii skarpetek.

– Skarpetek? – zdziwił się Akos.

– Aha! Eijeh opowiadał, że zawsze układałeś je w określonym

porządku, od lewej do prawej. Najbardziej lubiłeś żółte.

Pamiętał je. Musztardowo żółte, z grubo tkanej przędzy, nierównej i gruzelkowatej, dopóki się ich nie włożyło. Jego najcieplejsza para.

– Skąd się wszyscy znacie? – zapytała Cisi. To wystarczyło, by rozluźnić napięcie, które pojawiło się na wspomnienie Eijeha.

– Sovy robiła cukierki dzieciakom z całej wsi, kiedy byłem mały – odparł Jorek. – Niestety, nie mówi zbyt dobrze w thuvhe, na pewno sama chętnie opowiedziałaby o moich niecnym występkach.

– A ja poznałem Joreka w toalecie publicznej. Gwizdałem sobie, robiąc jednocześnie... – Jyo urwał – no wiecie, a Jorek uznał, że będzie bardzo zabawnie, jeśli mi powtórzy.

– Jyo nie docenił tego gestu – dorzucił Jorek.

– Moja matka była... kimś w rodzaju przywódczyni buntu. W każdym razie na pewno jedną ze zbuntowanych – powiedziała Teka. – Porę temu wróciła z kolonii banitów, by pomóc nam opracować strategię. Banici wspierają nasze plany zamachu na Ryzeka.

Isae zmarszczyła brwi – często marszczyła brwi, jakby nie lubiła wolnej przestrzeni między nimi i próbowała ją ukryć – ale tym razem Akos rozumiał dlaczego. Różnice między banitami a buntownikami, a także powiązania między nimi nieszczególnie go interesowały – on chciał jedynie zapewnić bezpieczeństwo Cyrze i zabrać z Shotet Eijeha, o resztę nie dbał. Ale dla Isae, kanclerz Thuvhe, z pewnością miało znaczenie, że istnieje spora grupa przeciwników Ryzeka, zarówno w Shotet, jak i poza nim.

– Ilu was jest? – spytała Isae.

– Oczekujesz, że odpowiem na to pytanie? – odparła Teka z oburzeniem. Zabrzmiało to tak stanowczo, że Isae nie naciskała.

– Czy to z powodu twojego zaangażowania... – Isae pomachała ręką przy twarzy. – Oko?

– Oko? Och nie, mam dwoje oczu, po prostu lubię opaski.

– Poważnie? – spytała Cisi.

– Nie – odparła Teka i wszyscy zaczęli się śmiać.

Jedzenie było proste i niemal bez smaku, Akosowi to jednak nie przeszkadzało. Czuł się jak w domu. Teka zaczęła nucić do melodii wygrywanej przez Jyo, a Sovy bębniła palcami w blat stołu, aż widelec

Akosa podskakiwał na talerzu.

Po chwili Teką i Jorek wstali i ruszyli do tańca. Isae pochyliła się w stronę Jyo i zapytała:

– A więc ta grupa buntowników pracuje nad planem uwolnienia Cyry... A co robi reszta? Hipotetycznie, rzecz jasna.

Jyo zmrużył oczy.

– Hipotetycznie, ci z ludu Shotet, którzy zajmują niską pozycję społeczną, potrzebują różnych rzeczy, których nie mogą dostać. Potrzebują więc kogoś, kto je dla nich przesmugluje.

– Na przykład... hipotetyczną broń? – spytała Isae.

– Możliwe, ale ta pozycja nie znajduje się na szczycie priorytetów. – Jyo kilka razy szarpnął nie te struny, co trzeba, zaklął i poprawił. – Najpotrzebniejsze są jedzenie i leki. Sporo lotów na Othyr i z powrotem. Zanim ludzie zechcą stanąć do walki, trzeba ich nakarmić, nie? A im dalej od centrum Voi, tym więcej głodnych i chorych.

Twarz Isae stężała.

Akos nie zastanawiał się za bardzo nad tym, co dzieje się poza kręgiem Noaveków, do którego przyszło mu trafić. Teraz jednak przypomniał sobie, jak Cyra mówiła, że Ryzek zatrzymuje dla siebie wszystkie zapasy i rozdziela je wyłącznie między swoich popleczników bądź zachowuje na później, i zrobiło mu się trochę niedobrze.

Teką i Jorek kręcili się i kołysali, Jorek z zaskakującym wdziękiem, zważywszy na jego tyczkowatą sylwetkę. Isae i Cisi siedziały blisko siebie, oparte plecami o ścianę. Co jakiś czas na twarzy Isae pojawiał się znużony uśmiech. Wyglądał jakoś dziwnie – to nie był jeden z uśmiechów Ori, a ona przecież miała jej twarz, tyle że poznaczoną bliznami. Akos pomyślał, że będzie musiał się przyzwyczaić.

Sovy zaśpiewała jeszcze kilka zwrotek, a potem jedli, aż wszystkim zrobiło się ciepło i sennie.

CIEŻKO ZASNAĆ, kiedy ktoś zdarł ci nożem skórę z połowy twarzy, ale starałam się ze wszystkich sił.

Kiedy obudziłam się rano, poduszka była przesiąknięta krwią, chociaż nie leżałam na tej stronie, którą Vas odarł ze skóry. Nie wykrwawiłam się na śmierć tylko dlatego, że ziejącą ranę przykryłam chustą szyjącą – wynalazkiem medycznym z Othyru, który zasklepiął rany i rozpuszczał się w miarę gojenia. Nie był jednak przeznaczony na tak poważne rany jak moja.

Zdjęłam poszewkę z poduszki i rzuciłam ją w kąt. Cienie tańczyły na moim ramieniu, paliły. Przez większą część mojego życia biegały wzdłuż żył, widoczne pod skórą. Ale kiedy obudziłam się po przesłuchaniu w celi – jeden z żołnierzy powiedział mi, że moje serce stanęło, a potem samo z siebie znów zaczęło bić – cienie poruszały się po powierzchni mojego ciała. Wciąż sprawiały mi ból, ale teraz był łatwy do zniesienia. Nie rozumiałam dlaczego.

Potem Ryzek skazał mnie na nemhalzak, kazał Vasowi obrać moją twarz ze skóry jak owoc i zmusił do walki na arenie. Znów cierpiałam tak samo jak zwykle.

Zanim mnie naznaczył, zapytał, w którym miejscu chcę mieć bliznę. O ile w ogóle można tak to nazwać – blizny to ciemne linie na skórze, a nie... łyse płyty po zerwanej skórze. Ale nemhalzak trzeba opłacić świeżym mięsem, i to w sposób wyraźnie widoczny dla wszystkich. Oszołomiona wściekłością, powiedziałam, żeby naznaczył mnie tak jak Akosa, tamtego dnia, kiedy go porwali. Od zuchwy do ucha.

A kiedy Vas wykonywał zadanie, Ryzek nakazał mu, żeby nie przestawał.

*Zabierz też trochę włosów.*

Oddychałam przez nos, żeby nie zwymiotować. Nie mogłam sobie na to pozwolić, potrzebowałam tych resztek sił, które mi jeszcze zostały.

Od dnia mojego zmartwychwstania Eijeh Kereseth przychodził patrzeć, jak jem śniadanie. Stawiał tacę z jedzeniem u moich stóp i opierał się o ścianę naprzeciwko mnie, przygarbiony jak zwykle.

Dzisiaj na jego szczęce widniał siniak, który zarobił ode mnie poprzedniego dnia, kiedy próbowałam zwać po drodze na arenę, i nawet zdążyłam zadać mu kilka ciosów, nim odciągnęli mnie strażnicy patrolujący korytarz.

– Nie spodziewałam się ciebie po wczorajszym – powiedziałam.

– Nie boję się ciebie. Nie zabijesz mnie – odparł Eijeh. Wyciągnął nóż i obracał nim na dłoni, łapiąc po każdym pełnym kółku. Bez patrzenia.

Prychnęłam.

– Jestem w stanie zabić praktycznie każdego. Nie słyszałeś, co o mnie mówią?

– Mnie nie zabijesz. Ponieważ za bardzo kochasz mojego żyjącego złudzeniami brata, co zresztą może ci tylko zaszkodzić.

Mimo woli zaczęłam się śmiać. Nie miałam pojęcia, że Eijeh Kereseth o jedwabistym głosie tak trafnie mnie rozpracował.

– Odnoszę wrażenie, że cię znam – powiedział nagle Eijeh. – Chyba cię znam, prawda? Teraz już tak.

– Nie jestem w nastroju na filozoficzne dysputy o tym, co czyni człowieka tym, kim jest – odparłam. – Ale nawet jeśli w tym momencie jesteś bardziej Ryzekiem niż Eijehem, to i tak mnie nie znasz. Kimkolwiek jesteś, nigdy nie zadałeś sobie trudu, by mnie poznać.

Eijeh wywrócił oczami.

– Biedna niezrozumiana córeczka z rodu uprzywilejowanych.

– Powiedział chodzący śmietnik na wszystkie rzeczy, które Ryzek chce wyrzucić z pamięci – odwarknęłam. – Czemu właściwie po prostu mnie nie zabije? Ten dramatyczny wstęp jest niezwykle rozbudowany, nawet jak na niego.

Eijeh nie odpowiedział, co stanowiło samo w sobie odpowiedź. Ryzek nie zabił mnie, ponieważ chciał to zrobić właśnie w ten sposób, publicznie. Może rozeszły się pogłoski na temat mojego udziału w próbie zamachu, i dlatego postanowił zniszczyć moją reputację. A może po prostu chciał popatrzeć, jak cierpię.

– Czy naprawdę konieczne jest dawanie mi bezużytecznych sztuczków? – zapytałam, dźgając nożem tost.

– Władca obawia się, że mogłabyś zakończyć życie, zanim

nadejdzie właściwy moment.

*Właściwy moment.* Zastanawiałam się, czy to właśnie Eijeh wybrał dla mnie formę egzekucji. Wyrocznia wskazująca na idealną przyszłość spośród wielu opcji.

– Zakończyć życie za pomocą *tego*? Nawet moje paznokcie są ostrzejsze. – Skierowałam nóż ostrzem w dół, wbiłam go z całych sił w materac, aż rama się zatrzęsała, i puściłam. Nóż przewrócił się na bok, nie zdołał nawet przebić tkaniny. Skrzywiłam się, ale nie bardzo umiałam zlokalizować, w której części ciała odczuwam ból.

– Widocznie uważa, że jesteś wystarczająco kreatywna, żeby coś wymyślić – odparł miękkim głosem Eijeh.

Wepchnęłam do ust ostatni kawałek tosta i oparłam się plecami o ścianę, splatając ramiona na piersi. Znajdowaliśmy się w jednej z tych gładkich lśniących cel umieszczonych w brzuchu amfiteatru, pod stadionem, który już wypełniał się spragnioną widowiska publicznością. Poprzednią walkę wygrałam, ale powoli traciłam siły. Poranny spacer do toalety okazał się nie lada wyczynem.

– Urocze – powiedziałam, szeroko rozkładając ramiona, by zademonstrować wszystkie sińce. – Widzisz, jak mój brat mnie kocha.

– Silisz się na żarty – usłyszałam głos Ryzeka tłumiony przez dzielącą nas szklaną ścianę. – To chyba wyraz desperacji.

– Nie, wyrazem desperacji jest ta idiotyczna gra, w którą się bawisz, zamiast od razu mnie zabić, ponieważ chcesz, żebym wypadła jak najgorzej w oczach ludzi. Tak się boisz, że wzniecą bunt, idąc za moim przykładem? Żałosne.

– Spróbuj się podnieść, a dopiero wtedy zobaczymy coś naprawdę żałosnego – odparł Ryzek. – Pospiesz się.

– Powiesz mi przynajmniej, z kim dzisiaj walczę? – zapytałam. Wsparłam się dłońmi o ramę łóżka i podciągnęłam, zaciskając zęby.

Zebrałam wszystkie siły, by nie krzyknąć z bólu. Nie udało się.

– Zaraz się przekonasz. Nie mogę się już doczekać, a ty zapewne zapragniesz jak najszybciej położyć temu kres. Dlatego na dzisiejszy poranek przygotowałam coś wyjątkowego.

Miał na sobie syntetyczną zbroję – matowoczną, bardziej giętką od tradycyjnej – i lśniące, czarne, wysokie buty, w których wydawał się



jeszcze wyższy niż normalnie. W wycięciu była widoczna biała koszula z kołnierzykiem, zapięta pod samą szyję. Podobnie ubrał się na pogrzeb naszej matki. Stosowny wybór, skoro postanowił, że dzisiaj zakończę życie.

– Szkoda, że twój ukochany nie może popatrzeć – powiedział Ryzek. – Jestem pewien, że byłby zachwycony.

Ostatnio ciągle odtwarzałam w pamięci słowa, które wypowiedziała Zosita, matka Teki, idąc na egzekucję. Zapytałam ją, czy warto poświęcić życie, występując przeciw Ryzekowi, a ona odparła, że tak. Już nie mogłam jej powiedzieć, że teraz ją rozumiem.

Uniosłam głowę.

– Wiesz, trudno mi ostatnio dojść, ile jeszcze jest w tobie z mojego brata. – Mijając Ryzeka na korytarzu, pochyliłam się i dodałam: – Ale na pewno byłbyś w znacznie lepszym humorze, gdyby udało ci się zgodnie z planem wreszcie ukraść Eijehowi dar nurtu.

Byłam pewna, że zobaczyłam niepewność w jego wzroku. Spojrzał na Eijeha.

– Aha – powiedziałam. – Czegokolwiek próbowałeś, nie podziałało. Wciąż go nie masz.

– Zabierz ją – rozkazał Eijehowi. – Czeka ją trochę pracy przy umieraniu.

Eijeh pchnął mnie przed sobą. Miał na sobie grube rękawiczki, jak trener drapieżnych ptaków.

Jeśli odpowiednio się skupiałam, udawało mi się nawet iść prosto, było to jednak bardzo trudne z powodu pulsującego bólu głowy i szyi. Strużka krwi – przynajmniej miałam nadzieję, że to krew – spłynęła na obojczyk.

Eijeh pchnął mnie na arenę. Zatoczyłam się. Światło było oślepiające, niebo bezchmurne. Stadion wypełniały tłumy, wszyscy krzyczeli i wiwatowali, ale ja nie mogłam odróżnić słów.

Na arenie czekał Vas Kuzar. Uśmiechnął się i zagryzł popękane wargi. Pomyślałam, że jeśli zaraz nie przestanie, zaczną krwawić.

– Vas Kuzar! – zawołał Ryzek, a jego głos wzmocniły maleńkie urządzenia krążące nad areną.

Nad brzegiem ściany amfiteatru widziałam zabudowania Voi,

kamienne mury połatane szkłem i metalem, połyskujące w słońcu. Jeden, zakończony iglicą z niebieskiego szkła, niemal zlewał się z niebem. Arenę otaczało pole siłowe chroniące ją przed niepogodą, a także uniemożliwiające ucieczkę. Lud Shotet nie życzył sobie zakłóceń w postaci burz, zimna czy uciekających więźniów.

– Wyzwałeś na pojedynek zdrajczynię Cyrę Noavek. Walka na ostrza nurtu, na śmierć i życie! – Jak na zawołanie, przy słowach „zdrajczynię Cyrę Noavek” wszyscy zaczęli wrzeszczeć, a ja wyróciłam oczami, chociaż moje serce biło bardzo szybko. – W odpowiedzi na zdradę, której dopuściła się wobec ludu Shotet. Czy jesteś gotów?

– Jestem – odparł Vas swoim zwykłym monotonnym głosem.

– Twoja broń, Cyro – powiedział Ryzek, po czym wyciągnął ostrze z pochwy umieszczonej z tyłu u pasa i obrócił je w dłoni, tak bym mogła złapać za rękojeść. Rękaw miał wysoko podciągnięty.

Podeszłam bliżej i godząc się na ból przyzywałam cienie nurtu, by urosły pod moją skórą. Pokryłam się ciemnymi liniami. Zrobiłam ruch, jakbym zamierzała wziąć od niego ostrze, ale zamiast tego zacisnęłam dłoń wokół jego ramienia.

Chciałam pokazać tym ludziom, kim on naprawdę jest. A ból zawsze działa w ten sposób – ujawnia to, co ukryte.

Ryzek wrzasnął, zaciskając zęby i szarpnął się, próbując mnie odepchnąć. Zazwyczaj pozwalałam nurtowi przepłynąć swobodnie tam, dokąd zechce, a nurt zawsze pragnął, bym się nim dzieliła. W przypadku Akosa powstrzymałam nurt, o mało nie tracąc przy tym życia. Natomiast w przypadku Ryzeka wypchnęłam nurt, używając całej siły, na jaką było mnie stać.

Szkoda, że Eijeh tak szybko mnie odciągnął. Zdążyłam jednak odnieść pewien sukces. Wszyscy obecni na stadionie słyszeli, jak Ryzek wrzeszczy rozpaczliwie pod moim dotykiem. Teraz patrzyli w milczeniu.

Eijeh przytrzymał mnie, a Ryzek wyprostował plecy, zebrał się w sobie i schował ostrze. Położył rękę na ramieniu Vasa i powiedział cicho, byśmy mogli go usłyszeć tylko my, Eijeh, Vas i ja:

– Zabij ją.

– Jaka szkoda, Cyro – powiedział miękko Eijeh do mojego ucha. –

Nie chciałem, by do tego doszło.

Wyrwałam się z jego uścisku i zrobiłam kilka kroków w tył, ciężko oddychając. Nie miałam broni. Ale tak nawet było lepiej. Nie dając mi ostrza, Ryzek zdradził widowni, że nie daje mi równych szans. Zaślepiiony gniewem pokazał strach. To mi wystarczyło.

Vas ruszył w moją stronę, miał pewne ruchy drapieżnika. Zawsze budził we mnie odrazę, już kiedy byłam dzieckiem, sama nie wiem dlaczego. Był wysoki i dobrze zbudowany, tak jak wszyscy mężczyźni, którzy wydawali mi się atrakcyjni. Był też dobrym wojownikiem. I miał oczy w dziwnie pięknym kolorze. Ale jego ciało pokrywały sińce i zadrapania. Jego dłonie były tak suche, że skóra między palcami pękała. I nigdy nie spotkałam nikogo równie... pustego. I to czyniło go jeszcze bardziej przerażającym przeciwnikiem.

*Strategia*, pomyślałam. Przypomniałam sobie nagranie z Tepes, które kiedyś oglądałam w sali gimnastycznej. Mój umysł był bystry i chłonny, bez trudu więc nauczyłam się szarpiących nieprzewidywalnych ruchów stosowanych w walce na tej planecie. Kluczem do zachowania kontroli nad ciałem było utrzymanie mocnego punktu równowagi. Kiedy Vas zrobił krok w przód, gotując się do ciosu, ja obróciłam się i umknęłam w bok, jednocześnie kołysząc nogami i ramionami. Jedną ręką walnęłam go przy okazji w ucho. Mocno. Poczułam echo uderzenia we własnym ciele, fala bólu przeszła przez żebra i z powrotem.

Skrzywiłam się i zanim zdążyłam się pozbierać, Vas zadał cios. Ostrze wryło linię na moim ramieniu. Krew pociekła na podłogę areny, a tłum zaczął wiwatować.

Próbowałam zignorować krew, ból i pieczenie. Ciało pulsowało strachem i wściekłością. Przycisnęłam ramię do piersi. Chciałam złapać Vasa. Nie czuł bólu, ale pomyślałam, że jeśli przeleję na niego nurt w dostatecznie mocnej dawce, pewnie zdołam go zabić.

Nagle chmura zasnuła słońce. Vas znów zaatakował. Tym razem schyliłam głowę, wyciągnęłam rękę i musnęłam palcami wewnętrzną część jego nadgarstka. Cienie pomknęły ku niemu, ale za słabe, by wyrządzić mu krzywdę. Znów machnął nożem – czubek ostrza wbił się w mój bok.

Jęknęłam i zatoczyłam się na ścianę areny.

Nagle ktoś krzyknął:

– Cyra!

Z pierwszego rzędu wynurzyła się ciemna postać, przesadziła ściankę i wylądowała na ziemi, przyginając kolana. Ciemność mąciła mi wzrok, ale wiedziałam, kto to jest, rozpoznałam te ruchy.

Na środek areny opadła długa lina. Spojrzałam do góry. To nie chmura zasłoniła słońce, ale stary pojazd transportowy sklecony z kawałków metalu, miodowych, rdzawych i jasnożółtych. Unosił się tuż nad polem siłowym. Vas chwycił Akosa obiema rękami i rzucił nim o ścianę areny. Akos, zaciskając zęby, przykrył dłonie Vasa swoimi dłońmi.

I nagle stało się coś dziwnego: Vas drgnął i puścił go.

Akos dopadł do mnie, pochylił się i otoczył mnie ramieniem w pasie. Podbiegliśmy do liny, Akos chwycił ją jedną ręką, a lina uniosła się, bardzo szybko. Vas nie zdążył jej złapać.

Tłum wrzeszczał i szalał. Akos krzyknął mi do ucha:

– Musisz trzymać sama!

Zakłęłam. Próbowалам nie patrzeć w dół, na zatłoczony stadion, na zamieszanie, które za sobą zostawiliśmy, uciekającą ziemię, ale nie było to proste. Próbowалам skupić wzrok na zbroi Akosa. Otoczyłam ramionami jego pierś i mocno chwyciłam tkaninę kołnierza. Kiedy mnie puścił, zacisnęłam zęby – nie miałam sił, byłam za słaba, by utrzymać własny ciężar.

Akos sięgnął do góry ręką, którą chwilę wcześniej mnie podtrzymawał, jego palce zbliżyły się do pola siłowego rozciągniętego nad amfiteatrem. Pod jego dotykiem rozjarzyło się, potem zamigotało i zgasło. Lina gwałtownie podjechała w górę, a ja o mało jej nie wypuściłam. Nagle znaleźliśmy się w środku pojazdu transportowego.

Panowała tu martwa cisza.

– Sprawileś Vasowi ból – powiedziałam, z trudem łapiąc oddech. Dotknęłam jego twarzy i przesunęłam palcem wzdłuż nosa i górnej wargi.

Nie był już tak posiniaczony jak ostatnim razem, kiedy go widziałam, skulonego na podłodze za sprawą mojego dotyku.

– Zgadza się – odparł.

– Eijeh był w amfiteatrze. Tuż obok. Mogłeś go złapać. Dlaczego nie...

Jego wargi – wciąż pod moimi palcami – wygięły się w uśmiechu.

– Bo przyleciałem po ciebie, kretynko.

Zaśmiałam się i osunęłam na niego, zbyt słaba, by ustać o własnych siłach.

PRZEZ CHWILĘ ISTNIAŁY TYLKO CIĘŻAR JEJ CIAŁA, jej ciepło, i ulga.

A potem wszystko wróciło: ludzie ściśnięci w pojeździe transportowym, patrzący w milczeniu, Isae i Cisi na fotelach przy pulpicie nawigacyjnym.

Cisi posłała Akosowi uśmiech, kiedy ten chwycił Cyrę w pasie i podniósł. Była wysoka i bynajmniej nie krucha, lecz mógł bez trudu wziąć ją na ręce. Przynajmniej na chwilę.

– Gdzie macie leki i opatrunki? – zwrócił się do Teki i Jyo.

– Jyo odbył szkolenie medyczne, może się nią zająć – powiedziała Tekka.

Akosowi nie podobał się jednak sposób, w jaki Jyo patrzył na Cyrę, jak na coś cennego, co można prehandlować z zyskiem. Ci ludzie nie uratowali jej z dobroci serca, chcieli czegoś w zamian.

Palce Cyry zacisnęły się wokół paska przy zbroi na jego piersi. Akos lekko zadrżał.

– Beze mnie nigdzie nie pójdzie – odparł.

Brew Teki uniosła się nad opaską. Zanim jednak zdążyła powiedzieć coś niemiłego – a czuł, że ma taki zamiar – Cisi odpięła pasy bezpieczeństwa i podeszła do nich.

– Ja mogę się tym zająć. Też odbyłam szkolenie – oznajmiła. – Akos mi pomoże.

Tekka popatrzyła na nią, po czym machnęła ręką w stronę kambuza.

– Wedle życzenia, panno Kereseth.

Akos ruszył we wskazanym kierunku z Cyrą w ramionach. Nie straciła do końca przytomności, oczy miała otwarte, ale wydawała się nieobecna, a jemu bardzo się to nie podobało.

– No dalej, Noavek, weź się w garść – powiedział, obracając się bokiem w drzwiach. Pojazd trochę trząśł i Akos potknął się na progu. – Moja Cyra do tej pory zrobiłaby co najmniej dwie złośliwe uwagi.

– Hmm. – Uśmiechnęła się. – Twoja Cyra.

Kambuz był ciasny i brudny, a obok zlewu wznosiły się stosy brudnych kubków i talerzy, które wpadały na siebie za każdym razem,

kiedy pojazd zakręcał. Wnętrze rozjaśniały paski białego światła, nieustannie migoczące, jakby zaraz miały zgasnąć. Wszystko zrobiono z tego samego matowego metalu upstrzonego śrubami. Akos odczekał, aż Cisi uprzątnie i wytrze czystą ścierką stół wciśnięty między dwa blaty. Kiedy wreszcie położył na nim Cyrę, ramiona zdążyły go rozboleć.

– Akos, nie umiem czytać w shotet.

– Em... ja w sumie też nie. – W szafce panował idealny porządek, wszystkie paczuski ułożono w starannych rzędach według alfabetu. Kilka z nich kojarzył, ale nie wszystkie.

– Myślałam, że przez ten czas przynajmniej czegoś się nauczyłeś – powiedziała Cyra, nie całkiem wyraźnie. Opuściła ramię i wskazała jedną z paczuszek. – Tam jest srebrna derma. Po lewej stronie środek odkażający. Przygotuj coś przeciwbólowego.

– Hej, nauczyłem się, i to całkiem sporo – ścisnął jej dłoń. – Najtrudniejsza lekcja dotyczyła instrukcji obsługi Cyry Noavek.

Miał w torbie fiolkę ze środkiem przeciwbólowym. Wrócił na główny pokład i zaczął szukać torby pod siedzeniami. Rzucił mordercze spojrzenie Jyo, który nie raczył przesunąć nóg. W końcu odnalazł swój worek – zrobiony z wyprawionej skóry Pancernego, wciąż twardy i sztywny, więc właściwie nazwa „worek” była nie do końca trafna – w którym trzymał fiołki, i wyszukał tę z fioletowym płynem. Kiedy wrócił do kambuza, Cisi miała na dłoniach rękawiczki i właśnie otwierała opakowania z opatrunkiem i środkiem odkażającym.

– Masz pewne ręce? – zapytała.

– Dość. A co?

– Wiem, jak to się robi, rzecz jasna, ale nie mogę jej za bardzo dotykać, z powodu daru nurtu, pamiętasz? W każdym razie nie w taki sposób, jak tego wymaga cała procedura. To delikatna praca. Będę ci mówiła, co masz robić.

Ciemne smugi wciąż krążyły po ramionach Cyry i wokół jej głowy, w górę i w dół, ale wyglądały inaczej niż poprzednim razem, kiedy ją widział – tańczyły teraz na powierzchni nierównymi poszarpanymi liniami.

– Akos, czy to jest...? – wychrypiała Cyra.

– Moja siostra? Tak. Cyro, poznaj Cisi.

– Miło mi – powiedziała, przypatrując się twarzy Cisi. Akos domyślał się, że pewnie szuka podobieństwa. Bez szans – on i Cisi nigdy nie byli do siebie podobni.

– Mnie również – odparła Cisi z uśmiechem. Nawet jeśli bała się tej kobiety – kobiety, o której tyle złego słyszała przez całe swoje życie – to w żaden sposób nie pokazywała tego po sobie.

Akos podszedł do Cyry i przytknął fiolkę do jej ust. Patrzenie na nią sporo go kosztowało. Chusta szyjąca, która zakrywała lewą stronę jej szyi i głowy była ciemnoczerwona i zeskorupiała. Skórę znaczyły sińce.

– Przypomnij mi – powiedziała, kiedy środek zaczął działać – żebym nawrzeszczała na ciebie za to, że wróciłeś.

– Jak sobie życzysz – odparł.

I poczuł ulgę, ponieważ jego Cyra wróciła, ostra jak sztylet i mocna jak lód w czas Wytlumienia.

– Zasnęła. To dobrze – odetchnęła Cisi. – Odsuń się, proszę.

Posłusznie zrobił krok do tyłu. Była bardzo zręczna, odrywała chustę delikatnymi ruchami, jakby nawlekała igłę, uważając, by nie dotknąć skóry Cyry. Opatrunek, przesiąknięty krwią i ropą, z łatwością odchodził od rany. Cisi rzucała kolejne paski na tackę stojącą przy głowie Cyry.

– A więc przeszłaś szkolenie medyczne – powiedział Akos, przyglądając się, jak pracuje.

– Uznałam, że to dobry wybór, biorąc pod uwagę mój dar nurtu.

Dar Cisi polegał na niesieniu ukojenia – tak było zawsze, nawet zanim nurt się ujawnił – ale nie był jedynym darem, który posiadała. Miała pewne ręce, spokojny temperament i przenikliwy umysł. Była kimś więcej niż słodką dziewczynką o pogodnym usposobieniu. O ile w ogóle można kogoś sprowadzić tylko do takiej roli.

Zdjąwszy wszystkie paski chusty, Cisi poląła ranę środkiem odkażającym, delikatnie dotykając jej brzegów, by zmyć zaschniętą krew.

– Teraz nałożymy srebrną dermę – oznajmiła, prostując plecy. – Zachowuje się jak żywa istota. Trzeba tylko przyłożyć ją starannie w odpowiednim miejscu, a na zawsze przylegnie do skóry. Dasz radę,



byle ręce ci się nie trzęsły. Okej? Teraz wytnę paski.

Srebrna derma to kolejny wynalazek z Othyru – sterylna sztuczna substancja, która, jak to opisała Cisi, sprawiała wrażenie niemal żywego stworzenia. Zastępowano nią fragmenty poważnie uszkodzonej skóry, głównie w przypadku ciężkich oparzeń. Nazwę zawdzięczała barwie i teksturze – była gładka i miała srebrnawy połysk. Raz przyłożona do skóry, zrastała się z nią na zawsze.

Cisi ostrożnie przycięła paski: jeden przeznaczony na powierzchnię ponad uchem, jeden na powierzchnię za nim i jeden na szyję. Po namyśle zaokrągliła brzegi. Kawałki srebrnej dermy wyglądały teraz jak śnieg niesiony wiatrem, jak płatki lodokwiatu.

Akos włożył gumowe rękawiczki, by derma nie przywarła do jego dłoni zamiast do skóry Cyry. Cisi podała mu pierwszy pasek. Był ciężki i zimny, nie tak gładki, jak Akos sobie wyobrażał. Następnie pomogła mu ustawić dłoń w odpowiedniej pozycji nad głową Cyry.

– A teraz opuść, równo w dół – poleciła.

Nie musiał nic więcej robić, derma zmarszczyła się jak powierzchnia wody i stopiła ze skórą Cyry.

Akos, kierując się wskazówkami Cisi, ułożył w odpowiednich miejscach pozostałe kawałki. A one od razu zrosły się ze sobą, tak że nie dało się dostrzec żadnych granic.

Wciąż służąc za dłoń Cisi, opatrzył również pozostałe rany: cięcia na ramieniu i w boku zakrył srebrną dermą, a sińce posmarował leczniczą maścią. Wiedział, że proces nie potrwa długo. Rany zagoją się właściwie same z siebie, trudniej jednak będzie sprawić, by Cyra zapomniała, że kiedykolwiek istniały. Na rany umysłu, chociaż równie prawdziwe, nie istniały bowiem żadne opatrunki.

– Skończone – stwierdziła Cisi, ściągając rękawiczki z drobnych dłoni. – Teraz musisz tylko poczekać, aż się obudzi. Potrzebuje odpoczynku, ale już nie traci krwi, więc powinna poczuć się lepiej.

– Dziękuję.

– Nigdy nie przypuszczałam, że będę leczyć Cyrę Noavek – stwierdziła Cisi. – W dodatku na pokładzie pojazdu transportowego pełnego mieszkańców Shotet. – Zerknęła na Akosa. – Rozumiem, dlaczego ci się podoba.

– Czuję, jakbym... – Akos westchnął i usiadł na stole. – Jakbym wszedł prosto w środek swojego losu, całkiem niezamierzenie.

– Hm. Skoro twoim przeznaczeniem jest służyć rodzinie Noaveków, to pewnie mógłbyś trafić gorzej niż na kobietę, która zgodziła się przejść przez to wszystko, by wysłać cię do domu.

– A więc nie uważasz mnie za zdrajcę?

– To zależy, kim tak naprawdę ona jest, prawda? – Cisi dotknęła jego ramienia i dodała: – Pójdę do Isae, dobrze?

– Jasne.

– A to spojrzenie co ma znaczyć?

Zdusił uśmiech.

– Nic.

Wspomnienia Akosa z przesłuchania były bardzo mgliste, a te fragmenty, które czasem zakradały się do jego umysłu, wydawały się tak przerażające, że nie potrzebował szczegółów, by uczynić je bardziej realnymi. Ale wspomnienie o Cyrze do siebie dopuścił.

Wyglądała jak trup, z twarzą pokrytą cieniami nurtu jak zgnilizną. I krzyczała tak głośno, z całych sił próbując stawiać opór, ponieważ nie chciała sprawić mu bólu. Nawet jeśli on nie powiedział Ryzekowi, co wie na temat Isae i Ori, być może ona to zrobiła, by zapobiec jego śmierci. Nie zamierzał jej winić.

Ocknęła się z jękiem i wyciągnęła rękę w jego stronę. Dotknęła jego szczęki opuszkami palców.

– Czy na zawsze wyryłam się w twojej pamięci? – spytała niewyraźnie. – Jako osoba, przez którą cierpiałeś? – Słowa ciężko przechodziły jej przez gardło, jakby się nimi dławiła. – Te dźwięki, które wydawałeś, nie mogę tego zapomnieć...

Płakała. Owszem, wciąż była pod wpływem środka przeciwbólowego, ale jednak.

Nie przypominał sobie, jakie wydawał dźwięki, kiedy go dotknęła – kiedy Vas ją *zmusił*, by go dotknęła, tym samym zadając tortury im obojgu. Wiedział, że czuła to wszystko, co on. Tak działał jej dar nurtu, kierował ból w obie strony.

– Nie, nie – powiedział. – To on sprawił, że cierpieliśmy. Oboje.

Przyłożyła dłoń do jego piersi, jakby zamierzała go odepchnąć, ale

tego nie zrobiła. Przesunęła palcami wzdłuż jego obojczyka. Nawet przez ubranie czuł, jaka jest ciepła.

– Ale teraz już wiesz, co zrobiłam – dodała, patrząc na swoją rękę, na jego pierś, wszędzie, tylko nie na twarz Akosa. – Wcześniej tylko widziałeś, jak sprawiam ból innym, jednak teraz poznałeś ten ból, który sprawiam tyłu osobom, ponieważ byłam tchórzem i nie umiałam przeciwstawić się Ryzekowi. – Skrzywiła się i uniosła dłoń. – Uwolnienie cię było jedyną dobrą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam, a teraz nawet ona okazała się nic niewarta, bo wróciłeś, ty... ty idioto!

Chwyciła się za bok, krzywiąc się z bólu. Znów płakała.

Akos dotknął jej twarzy. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, myślał, że jest tą przerażającą istotą, potworem, przed którym trzeba uciekać. Ale ona powoli, po trochu, odsłaniała przed nim prawdę. Gdy kiedyś w ramach pobudki, przyłożyła mu nóż do gardła, poznał jej cierpkie poczucie humoru. Mówiła o sobie z bezlitosną szczerością, nie licząc się ze skutkami, i ujawniła miłość, głęboką miłość do każdego zakątka galaktyki, nawet do tych miejsc, które powinna nienawidzić.

Nie była zardzewiałym gwoździem – jak raz siebie określiła – ani rozgrzanym pogrzebaczem, ani mieczem w dłoni Ryzeka. Była szakwiatem, mocą i energią. Zdolną w równej mierze wyrządzać krzywdę, jak i czynić dobro.

– To nie jest jedyna dobra rzecz, jakiej kiedykolwiek dokonałaś – powiedział Akos. Mówił w języku thuvhe, który wydał mu się odpowiedni na tę chwilę, języku jego domu. Cyra go rozumiała, lecz nigdy w nim nie mówiła, jakby bała się, że urazi w ten sposób jego uczucia. – To, co zrobiłaś, jest dla mnie niezwykle cenne – dodał. – To wszystko zmienia.

Przysunął czoło do jej czoła.

– Mogę cię pocałować? – zapytał. – Nie chcę sprawić ci bólu.

Jej oczy zrobiły się ogromne. A potem odparła:

– A jeśli nawet, to co? – Uśmiechnęła się lekko. – Życie i tak jest pełne bólu.

Z drzeniem przycisnął wargi do jej warg. Nie wiedział, czego się spodziewać, nie dlatego, że poprzednio go zaskoczyła, a on nie zamierzał się wycofywać, ale dlatego, że tego chciał, tak po prostu.

Smakowała słodem i przyprawami, jak środek przeciwbólowy, który wcześniej wypila, i wahała się lekko, jakby bała się go skrzywdzić. Ale ten pocałunek był jak przytknięcie zapalki do suchego drewna. Akos płonął.

Nagle statkiem szarpnęło, wszystkie talerze i kubki zabrzęczały. Schodzili do lądowania.

WRESZCIE POZWOLIŁAM SOBIE NA TĘ MYŚL: był piękny. Jego szare oczy przywodziły na myśl wzburzone oceany Pithy. Kiedy wyciągnął rękę, by dotknąć mojej twarzy, na ramieniu zarysowały się twarde mięśnie. Jego wrażliwe zręczne palce musnęły moją kość policzkową. Paznokcie miał poplamione żółtym pyłkiem – pewnie z kwiatów zazdrośnicy. Zapierało mi dech w piersiach na myśl, że dotyka mnie tak po prostu, ponieważ tego pragnie.

Usiadłam, powoli, i dotknęłam paska srebrnej dermy za uchem. Wkrótce połączy się z nerwami i stanie się jak moja własna skóra, tyle że nigdy nie wyrosną na niej włosy. Zastanawiałam się, jak teraz wyglądam, częściowo oskalpowana. Chociaż właściwie nie miało to znaczenia.

On chciał mnie dotykać.

– Co? – zapytał. – Dziwnie na mnie patrzysz.

– Nic. Po prostu... ładnie wyglądasz.

Zabrzmiało to raczej głupio. Był cały brudny, spocony i usmarowany moją krwią. Włosy miał zmierzwione, a ubranie wymięte. „Ładnie” to nie było odpowiednie słowo, ale inne, które przychodziły mi na myśl, wydawały się zbyt wielkie i przedwcześnie.

Ale on uśmiechnął się, jakby rozumiał.

– Ty też.

– Ja wyglądam strasznie – odparłam. – Ale dzięki za miłe kłamstwo.

Zaparłam się w sobie i odepchnęłam się z całych sił od blatu. Stałam na podłodze i zachwiałam się.

– Chcesz, żebym cię zaniósł? – spytał.

– To było upokarzające i nigdy więcej się nie powtórzy.

– Upokarzające? Niektórzy użyliby innego słowa. Na przykład... rycerskie.

– Wiesz co – odparłam – któregoś dnia wezmę cię na ręce i będę nosić jak niemowlę na oczach ludzi, na których szacunek usiłujesz zasłużyć, i powiesz mi potem, jakie to uczucie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Umowa stoi.

– Ale możesz posłużyć mi ramieniem – dodałam. – I nie myśl sobie, że nie zauważyłam kanclerz Thuvhe stojącej w sąsiednim pomieszczeniu. – Pokręciłam głową. – Chciałabym poznać zasady elmetahak, według których można zabrać osobę na takim stanowisku do wrogiego jej kraju.

– To chyba podpada pod hulyetahak – odparł z westchnieniem. – Szkołę głupoty.

Chwyciłam się mocno jego ramienia i ruszyłam – ledwo powłócząc nogami. Pojazd był niewielki. Wyjrzałam przez szerokie okno. Zobaczyłam w dole Voę, otoczoną z trzech stron gołymi skałami, a z jednej oceanem. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się porośnięte lasami wzgórza. Pociągi, napędzane głównie energią wiatrową znad oceanu, jeździły po torach otaczających miasto kręgiem i prowadzących do centrum, jak szprychy w kole. Nigdy nie jechałam pociągiem.

– Jak to możliwe, że Ryzek nas nie znalazł? – zapytałam.

– Peleryna hologramowa – odparła Tekka z fotela kapitana. – Wyglądamy jak zwykły wojskowy transportowiec. Sama ją zaprojektowałam.

Pojazd zniżył się i zanurzył w dziurze wywalonej w przegniłym dachu. Budynek znajdował się gdzieś na obrzeżach Voi. Ryzek nie znał tej części miasta – nikt zresztą się nią nie interesował. Kiedyś był to z pewnością budynek mieszkalny, opuszczony z powodu jakiegoś tragicznego wydarzenia, może przeznaczony do rozbiórki, którą jednak zarzucono w połowie. W miarę, jak schodziliśmy, moim oczom ukazywały się kolejne mieszkania: łóżko z pościelą z różnych kompletów w zniszczonej sypialni, połowa kuchennego blatu dyndająca nad przepaścią, czerwone poduszki pokryte kurzem i gruzem pochodzącym z rozwalonych ścian salonu.

Dotknęliśmy ziemi. Ktoś za pomocą liny przyczepionej do kołowrotu pod sufitem zakrył dziurę w dachu wielkim kawałem materiału. Światło przenikało przezeń – w jego blasku statek zrobiony z kawałków różnokolorowego metalu niemal się żarzył – ale wnętrza mieszkań nie były już tak dobrze widoczne. Podłoga w miejscu, w którym wylądowaliśmy, w części była zwykłym klepiskiem, a w

części pokryta była zakurzonymi kafelkami. W szczelinach rosły delikatne kwiaty, szare, niebieskie i fioletowe.

A u stóp schodków, które wysunęły się z luku, stała Isae Benesit – rozpoznałam wąskie oczy z wiadomości, które oglądałam z Akosem. Jej twarz znaczyły blizny, okropne blizny po shoteckim ostrzu.

– Hej – powiedziałam. – Dużo o tobie słyszałam.

– Wzajemnie – odparła.

Nie wątpiałam. Słyszała, że przynoszę ból i śmierć każdej istocie, której dotknę. Może słyszała również, że jestem obłąkana, że nawet nie mówię, milczę jak chore zwierzę.

Upewniwszy się, że dłoń Akosa wciąż spoczywa na moim ramieniu, podałam jej rękę, zaciekawiona, czy ją przyjmie. Przyjęła. Jej dłoń sprawiała wrażenie delikatnej, ale okazała się twarda i zgrubiała. Zastanawiałam się, z jakiego powodu.

– Chyba powinnyśmy wymienić się historiami – powiedziałam ostrożnie. Jeśli buntownicy jeszcze nie wiedzieli, kim ona jest, dla bezpieczeństwa lepiej było im tego nie ujawniać. – Na osobności.

Podeszła do nas Teka. Mało się nie roześmiałam na widok jaskrawej opaski na jej oku. Nie znałam jej zbyt dobrze, ale odnosiłam wrażenie, że specjalnie próbuje zwrócić uwagę na brak oka zamiast to ukrywać.

– Cyro – powiedziała. – Cieszę się, że lepiej się czujesz.

Odsunęłam się od Akosa i cienie nurtu znów rozbiegły się po moim ciele. Wyglądały teraz zupełnie inaczej – już nie przebiegały przez moje ciało jak żyły, lecz oplatały się wokół placów niczym kosmyki włosów. Koszulę miałam poplamioną krwią i rozciętą w miejscu, gdzie założyli chustę szyjącą, na całym ciele widniały nieprzeliczone sińce, usiłowałam jednak udawać, że zachowałam resztki godności.

– Dziękuję, że po mnie wróciliście – powiedziałam do Teki. – Zakładam na podstawie naszych wcześniejszych kontaktów, że oczekujecie czegoś w zamian.

– O tym później porozmawiamy – odparła, wydymając wargi. – Ale jak sądzę, można powiedzieć, że nasze interesy są zbieżne. Jeśli chcesz się umyć, w budynku jest woda. Ciepła woda. Wybierz mieszkanie, które chcesz.

– Luksus nad luksusy – stwierdziłam. Spojrzałam na Isae i dodałam: – Może pójdziesz z nami. Mamy sporo do nadrobienia.

Staralam się z całych sił udawać, że wszystko jest w porządku, aż dotarliśmy do jednej z klatek schodowych, gdzie tamci już nie mogli nas widzieć. Przystanęłam i oparłam się o ścianę, z trudem łapiąc oddech. Skóra wokół srebrnej dermy pulsowała. Dotyk Akosa koił ból daru nurtu, ale nie mógł ukoić bólu innego rodzaju, znaków wyrytych na moim ciele, bitew, w których walczyłam o życie.

– Daj spokój, to idiotyczne – powiedział.

Wsunął ramię pod moje kolana i wziął mnie na ręce, nie tak znowu delikatnie, jak bym sobie życzyła. Czułam się jednak zbyt zmęczona, by zaprotestować. Moje palce u nóg muskały ścianę, kiedy wnosił mnie na górę.

Na pierwszym piętrze znaleźliśmy mieszkanie w niezłym stanie. Wszystko pokrywał kurz, a z okien ocalałej połowy salonu widać było zaparkowany w dole pojazd, mogliśmy więc patrzeć, jak buntownicy rozwijają posłania, przeglądają zapasy i rozpalają ognisko w niewielkim piecyku, który pewnie wyciągnęli z któregoś mieszkania.

Łazienka znajdująca się obok salonu okazała się wygodna i przestronna, z wanną na środku i umywalką z boku. Podłogę wyłożono płytkami z niebieskiego szkła. Akos odkręcił krany, które trochę się krztusiły na początku, ale jednak działały, zgodnie z tym, co mówiła Tekla.

Przez chwilę nie potrafiłam zdecydować, czy najpierw się umyć, czy porozmawiać z Isae Benesit.

– Mogę poczekać – powiedziała, widząc moje wahanie. – I tak nie mogłabym się skupić na rozmowie, cała jesteś we krwi.

– Tak, nie jestem odpowiednim towarzystwem dla kogoś takiego jak kanclerz – odparłam ostrym tonem. Tak jakbym sama była sobie winna. Jakbym potrzebowała, żeby ktoś mi o tym przypominał.

– Większą część życia spędziłam na pokładzie maleńkiego pojazdu, który śmierdział brudnymi stopami – odpowiedziała. – Sama nie jestem dla siebie odpowiednim towarzystwem, wedle przyjętych definicji.

Podniosła jedną z wielkich poduch i uderzyła w nią kilka razy, aż



chmura kurzu poleciała w powietrze. Następnie położyła poduszkę na podłodze i usiadła na niej, jakimś dziwnym sposobem zachowując elegancką postawę. Cisi zajęła miejsce obok niej, w stanowczo mniej ceremonialny sposób i posłała mi ciepły uśmiech. Jej dar napełniał mnie zdumieniem, potrafił ukoić moje wzburzone myśli, sprawić, że najgorsze wspomnienia zdawały się odległe i mniej ważne. Czułam, że można uzależnić się od jej towarzystwa, zwłaszcza jeśli jest się w kiepskim stanie.

Akos wciąż tkwił w łazience. Zatkanął odpływ w wannie i puścił wodę. Teraz szybkimi zręcznymi ruchami rozpinał zbroję.

– Tylko mi nie mów, że nie potrzebujesz pomocy – powiedział. – I tak nie uwierzę.

Odeszłam na bok i spróbowałam zdjąć bluzkę przez głowę. Zdążyłam podnieść ją na wysokość brzucha i już musiałam przerwać, żeby zaczerpnąć tchu. Akos odłożył zbroję, podszedł do mnie i chwycił za brzeg materiału. Zaśmiałam się, a on zdjął mi bluzkę przez głowę i stwierdził:

– Dziwnie.

– Owszem – zgodziłam się. Nie odrywał oczu od mojej twarzy. Na jego policzkach widniał rumieniec.

Nigdy dotąd nawet nie wyobrażałam sobie takiej sytuacji. Jego palce muskające moje ramiona, wspomnienie warg wciąż tak żywe.

– Ze spodniami chyba sama sobie poradzę – powiedziałam.

Nie przeszkadzało mi, że muszę się przed nim obnażyć. Nie dało się nazwać mnie wiotką czy drobną, miałam mocne uda i małe piersi, ale zupełnie się tym nie przejmowałam. To ciało niosło mnie przez bardzo trudne życie. Wyglądało dokładnie tak, jak powinno wyglądać. Ale i tak, kiedy jego oczy – tylko na krótki moment – przesunęły się w dół, z trudem stłumiłam nerwowy śmiech.

Pomógł mi wejść do wanny. Usiadłam, w bieliźnie, która natychmiast przesiąkła wodą. Akos zaczął grzebać w szafce pod umywalką, przewrócił golarkę, pustą butelkę ze zniszczoną nakrętką i grzebień z połamanymi zębami, w końcu znalazł kostkę mydła i podał mi ją.

W milczeniu trzymał dłoń na mojej skórze, by stłumić cienie nurtu,

a ja zmywałam z ciała pasma czerwieni. Najtrudniej było wymyć kilkudniową krew skrzepniętą na brzegach srebrnej dermy, więc od tego zaczęłam, zagryzając mocno wargi, żeby nie krzyczeć. Potem Akos zaczął masować kciukiem moje barki i kark, rozluźniając supeł bólu. Ramiona pokryły się gęsią skórką.

Jego palce przesunęły się w bok, odnajdując miejsca wymagające ukojenia. Oczy Akosa były łagodne i niemal nieśmiałe, a ja chciałam go całować, aż znów się zarumieni.

Później.

Sprawdziłam, czy Cisi i Isae nie mogą zobaczyć mnie z salonu, po czym rozwiązałam ochraniacz na lewym ramieniu.

– Muszę wyciąć kilka nowych – stwierdziłam cicho.

– Te śmierci mogą poczekać – odparł. – Straciłaś za nie wystarczająco dużo krwi.

Wziął ode mnie mydło i obrócił w dłoni, robiąc pianę. Potem przesunął palcami w dół i w górę wzdłuż poznaczonego ramienia, delikatnie. W pewnym sensie było to nawet lepsze niż pocałunek. Nie miał co do mojej natury żadnych kruchych iluzji, gotowych roztrzaskać się na kawałki w chwili, kiedy odkryje prawdę. Ale mnie akceptował. Troszczył się o mnie.

– Dobra – powiedziałam. – Chyba skończyłam.

Akos wstał, trzymając moje dłonie, i pomógł mi się podnieść. Woda spływała wzdłuż moich nóg i pleców. Kiedy założyłam ochraniacz, Akos wyjął z szafki ręcznik i znalazł dla mnie ubranie – spodnie od Isae, bieliznę od Cisi, własną koszulę i parę skarpetek oraz moje własne buty, nadal nadające się do użytku. Popatrzyłam na stos z przerażeniem. Że widział mnie w bieliźnie, to jedno, ale żeby miał pomagać mi ją zdjąć...

Hm, jeśli już, to wolałabym, żeby doszło do tego w innych okolicznościach.

– Cisi – powiedział. On też patrzył na ubrania. – Może teraz Cisi ci pomoże.

– Dziękuję.

Uśmiechnął się.

– Mam coraz większe trudności z utrzymaniem wzroku na

poziomie twojej twarzy.

Posłałam mu mordercze spojrzenie i wyszedł.

Teraz do łazienki weszła Cisi, a wraz nią pojawił się kojący spokój. Pomogła mi zdjąć napierśnik. Był to, z tego co wiedziałam, model unikalny dla Shotet, zaprojektowany nie po to, by podkreślać kształty, ale by utrzymać wszystko na miejscu pod sztywną zbroją. To, co podała mi w zamian, bardziej przypominało koszulkę uszytą z miękkiej tkaniny, z myślą o ciepłe i wygodzie. Wersja z Thuvhe. Była na mnie za duża, ale jakoś musiałam się z tym pogodzić.

– Twój dar – zapytałam, podczas gdy Cisi pomagała mi założyć bieliznę. – Czy z jego powodu jest ci trudniej zaufać ludziom?

– Co masz na myśli? – spytała, zasłaniając mnie ręcznikiem, żeby zapewnić mi nieco prywatności przy zmianie dolnej części bielizny.

– No bo... – zaczęłam, wciągając nogawkę spodni. – Tak naprawdę nie wiesz, czy chcę przebywać w twoim towarzystwie dla ciebie samej czy z powodu twojego daru.

– Dar pochodzi ze mnie – odparła Cisi. – Jest wyrazem mojej osobowości. Tak więc chyba nie ma różnicy.

Coś podobnego powiedział doktor Fadlan mojej matce – że mój dar pochodzi z głębi mnie, że zmieni się tylko wtedy, kiedy ja się zmienię. Patrząc na cienie obejmujące mój nadgarstek niczym bransoleta, zastanawiałam się, czy ta zmiana oznacza, że po przesłuchaniu obudziłam się jako inna kobieta. Może nawet lepsza, silniejsza.

– A więc uważasz, że sprawianie ludziom bólu stanowi część mojej osobowości? – zapytałam.

Marszcząc brwi, próbowała nakierować moją głowę i ramiona w otwory koszulki. Krótkie rękawy okazały się dla mnie za szerokie, więc je podwinęłam.

– Chcesz utrzymać ludzi na dystans – powiedziała w końcu. – Nie wiem, dlaczego twój dar nurtuje tego poprzez ból. Nie znam cię. – Mocniej zmarszczyła brwi. – Dziwne. Zwykle nie mogę rozmawiać z ludźmi tak swobodnie, a już na pewno nie z kimś, kogo dopiero co poznałam.

Wymieniłyśmy uśmiechy.

W salonie czekał specjalnie na mnie stosik poduch. Opadłam na nie

z ulgą i odgarnęłam włosy na jedno ramię. Obok siedziała Isae. Nogi ułożyła z boku jedna na drugiej, krzyżując je na wysokości kostek. Chociaż stolik ustawiony między naszymi siedziskami był popsuty – zrobiono go ze szkła, teraz jego fragmenty, jak małe kamyczki, leżały dokoła na podłodze – poduszki brudne i niskie, Isae patrzyła na mnie tak, jakby ona zasiadała na tronie i jakbym ja była jej poddaną. To się nazywa talent.

– Dobrze mówisz w thuvhe? – zapytała.

– Bardzo dobrze – odparłam. Akos drgnął, słysząc słowa w swoim języku ojczystym wychodzące z moich ust. Słyszał już, jak mówię w thuvhe, ale z jakiegoś powodu nadal robiło to na nim wrażenie.

– A więc – powiedziałam – przyjechałaś tu z powodu siostry.

– Tak – odparła Isae. – Widziałaś ją?

– Nie. Nie wiem, gdzie ją trzymają. Ale w końcu Ryzek będzie musiał ją przenieść. Powinnaś uwzględnić to w swoim planie.

Akos stanął za moimi plecami i znów położył rękę na moim ramieniu. Nawet nie zauważyłam, że cienie nurtu znów zaczęły się poruszać, tak pochłonął mnie ten drugi ból.

– Czy on zamierza zrobić jej krzywdę? – spytała Cisi, zajmując miejsce obok Isae.

– Mój brat nigdy nie zadaje bólu bez powodu – powiedziałam.

Isae prychnęła.

– Mówię poważnie – potwierdziłam. – Jest potworem szczególnego rodzaju. Boi się bólu i zawsze nienawidził patrzeć na cudze cierpienie. Jak sądzę, ten widok przypomina mu, że on też odczuwa ból. A więc powiem na pocieszenie, raczej nie zrobi jej krzywdy bez powodu.

Cisi objęła dłonią dłoń Isae i trzymała ją mocno, nie patrząc na nią. Ich złączone ręce leżały między nimi na podłodze, palce splecione, tak że mogłam odróżnić skórę Cisi od Isae tylko po ciemniejszym odcieniu.

– Przypuszczam, że cokolwiek zamierza z nią zrobić, a możemy założyć, że jest to egzekucja, odbędzie się to publicznie, specjalnie po to, by cię zwabić – dodałam. – Ryzek pragnie cię zabić, nawet bardziej ciebie niż swoją siostrę, i chce to zrobić na swoich warunkach. A uwierz mi, nie chcesz walczyć z nim na jego warunkach.

– Moglibyśmy skorzystać z twojej pomocy – powiedział Akos.

– Wiesz, że wam pomogę. – Położyłam dłoń na jego dłoni, ścisnęłam. Jakby na znak zapewnienia, że mówię szczerze.

– Musimy jakoś przekonać buntowników – ciągnął. – Nie zależy im na uratowaniu dziecka z rodziny Benesit.

– Ja się nimi zajmę – zaproponowałam. – Mam pewien pomysł.

– Ile z historii, które na twój temat słyszałam, jest prawdziwych? – spytała Isae. – Widzę, że zakrywasz ramię. Widzę, co potrafisz zrobić ze swoim darem. A więc przynajmniej część tych opowieści musi być prawdziwa. Jak mam ci zaufać?

Patrząc na nią, odniosłam wrażenie, że pragnęłaby, żeby świat wokół niej był prosty, włączając żyjących w nim ludzi. Może musiała żywić takie pragnienie, skoro nosiła na barkach los całego narodu-planety. Ale ja nauczyłam się, że świat nie ma zwyczaju naginać się do naszych pragnień.

– Chcesz widzieć ludzi jako skrajności. Dobry albo zły, godny zaufania albo niegodny – powiedziałam. – Rozumiem. Tak jest prościej. Ale to nie zgadza się z rzeczywistością.

Patrzyła na mnie przez długą chwilę. Tak długą, że nawet Cisi zaczęła się niespokojnie wiercić.

– Poza tym, nie ma dla mnie znaczenia, czy mi zaufasz czy nie – dodałam. – I tak zamierzam rozszarpać swojego brata na kawałki.

Kiedy zeszliśmy na dół i wciąż spowijały nas ciemności klatki schodowej, pociągnęłam Akosa za rękaw. Nie było aż tak ciemno, żebym nie dostrzegła jego zdziwionej miny. Zaczekałam, aż Isae i Cisi nie będą mogły nas usłyszeć, i puściłam go, a cień nurtu wzniósł się między nami jak smużka dymu.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nie. – odparłam. – Po prostu... daj mi chwilę.

Zamknęłam oczy. Od chwili, kiedy obudziłam się po przesłuchaniu i zobaczyłam, że cienie pełzają po powierzchni mojej skóry, a nie pod nią, myślałam o tamtej rozmowie w gabinecie doktora Fadlana, o pochodzeniu mojego daru. Wydawał się, jak większość rzeczy w moim życiu, powiązany z Ryzkiem. Ryzek bał się bólu, więc nurt dał mi dar, który budził w nim przerażenie, zapewne jedyny dar, który mógł mnie przed nim uchronić.

Nurt nie dał mi przekleństwa. I pod wpływem jego nauk stałam się silniejsza. Ale nie mogłam zaprzeczyć innym słowom doktora Fadlana – na jakimś poziomie czułam, że zasługuję na ból, że wszyscy nań zasługują. Wiedziałam też jednak, do głębi, do szpiku kości, że Akos Kereseth z pewnością na niego nie zasłużył. I kurczowo trzymając się tej myśli, wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego piersi, poczułam dotyk tkaniny.

Otworzyłam oczy. Cienie wciąż krążyły po moim ciele, ponieważ nie dotykałam bezpośrednio jego skóry, ale lewe ramię, od barku po czubki palców było czyste. Nawet gdyby Akos poczuł mój dar nurtu, nie sprawiłabym mu bólu.

Jego oczy, zwykle tak czujne, rozszerzyły się ze zdumienia.

– Kiedy zabijam dotykiem, to dlatego, że decyduję się oddać komuś cały swój ból, nie zachowując dla siebie ani odrobiny. Dlatego, że czuję się nim tak potwornie zmęczona i mam ochotę ukoić go chociaż na chwilę – powiedziałam. – Ale podczas przesłuchania przyszło mi od głowy, że być może mam w sobie tyle siły, by udźwignąć go samodzielnie. Że może tylko ja jestem w stanie go znieść. Nigdy bym o tym nie pomyślała, gdyby nie ty.

Zamrugałam, by powstrzymać łzy.

– Zobaczyłeś we mnie kogoś lepszego, niż jestem naprawdę – dodałam. – Powiedziałeś, że mogę wybrać, mogę się zmienić, że mój stan nie musi trwać wiecznie. A ja zaczęłam ci wierzyć. Zachowałam w sobie cały ból i o mało nie przypłaciłam tego życiem, ale kiedy się obudziłam, dar się zmienił. Nie boli już tak bardzo. Czasem potrafię go nawet kontrolować.

Zabrałam rękę.

– Nie wiem, jak to nazwiesz, nie wiem, czym teraz dla siebie jesteśmy – powiedziałam – ale chciałam, żebyś wiedział, że twoja przyjaźń... mnie zmieniła, i to dosłownie.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. Na jego twarzy nadal były rzeczy do odkrycia, mimo że spędziliśmy razem tyle czasu. Cienie pod kośćmi policzkowymi. Blizna przecinająca brew.

– Nie wiesz, jak to nazwać? – powiedział wreszcie.

Jego zbroja spadła z brzękiem na podłogę, a on wyciągnął ramiona,

objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie. I wyszeptał tuż przy moich ustach:

– Sivbarat. Zethetet.

Jedno słowo w shotet, jedno w thuvhe. Sivbarat używano na określenie najbliższego przyjaciela, kogoś tak drogiego, że utrata tej osoby byłaby jak utrata części ciała. Słowa w thuvhe nigdy dotąd nie słyszałam.

Nie bardzo potrafiliśmy się do siebie dopasować, wargi były zbyt wilgotne, zęby pojawiały się tam, gdzie nie powinny. Nie szkodzi, spróbowaliśmy jeszcze raz i tym razem było to jak wskrzeszenie iskry, gwałtowny przepływ energii przez ciało.

Ścisnął mnie w talii, zebrał w dłonie moją koszulkę. Miał zręczne dłonie, wyćwiczone podczas precyzyjnego krojenia ziół, i nawet pachniał jak zioła i mikstury.

Przywarłam do niego, pod rękami czułam szorstki dotyk ściany, a na szyi jego przyspieszony gorący oddech. Zastanawiałam się, jak to jest, iść przez życie bez bólu, ale tak naprawdę nie pragnęłam braku bólu, tylko jego przeciwieństwa, czystego intensywnego doznania. Takiego jak to. Delikatne, ciepłe, ciężkie. Było w nim wszystko, wszystko.

Usłyszałam jakiś hałas. Ale zanim odsunęłam się od niego, by sprawdzić, co się dzieje, zapytałam cicho:

– Co to znaczy „zethetet”?

Odwrócił wzrok, jakby poczuł się zażenowany. Dostrzegłam rumieniec wędrujący wokół wycięcia koszulki przy szyi.

– Ukochana – powiedział miękko.

A potem znów mnie pocałował, podniósł broń i ruszył dalej.

Nie mogłam przestać się uśmiechać.

Okazało się, że w naszej kryjówce właśnie ląduje sterolot, który przebił tkaninę osłaniającą otwór w dachu. Otaczała go smuga ciemnofioletowego światła. Był cały pokryty błotem.

Zamarłam, przerażona widokiem ciemnego kształtu zmierzającego w naszą stronę, ale potem zobaczyłam nieznane mi słowa na spodzie: statek pasażerski #6734.

Słowa w języku thuvhe.





POJAZDEM, KTÓRY PRZEBIŁ SIĘ PRZEZ OSŁONĘ W DACHU, był niewielki pękaty sterolat, mogący pomieścić zaledwie kilka osób. Podmuch przywiał skrawki rozerwanej tkaniny. W otworze ukazało się niebo, granatowe i bezgwiazdne, przecięte wstęgą nurtu, teraz fioleto-wopurpurową.

Buntownicy otoczyli pojazd, dobywając broni. Właz z boku otworzył się i ze środka wysiadła kobieta, pokazując puste dłonie. Starsza kobieta z pasmami siwizny we włosach i wyrazem oczu, który bynajmniej nie świadczył o tym, że zamierza się poddać.

– Mama? – szepnęła Cisi.

A potem podbiegła do kobiety i ją uściskała, a ta odwzajemniła uścisk i jednocześnie powiodła wzrokiem ponad ramieniem Cisi. Zatrzymała go na Akosie.

Poczuł się dziwnie nieswojo. Sądził, że jeśli jeszcze kiedyś się spotkają, pewnie poczuje się przy niej znowu jak dziecko. Ale stało się odwrotnie – czuł się dziwnie stary. I wielki. Trzymał przed sobą zbroję z Shotet, jakby chciał się obronić, i nagle poczuł rozpaczliwie, że wolałby nie mieć jej teraz przy sobie, by mama nie dowiedziała się, że na nią zasłużył. Nie chciał jej zaszokować ani rozczarować, nie chciał wydać jej się kimś innym niż tym, kogo się spodziewała, tylko że nawet nie znał jej oczekiwań.

– Kim jesteś? – spytała Teka. – Jak nas znalazłaś?

Kobieta puściła Cisi.

– Jestem Sifa Kereseth. Przepraszam, że was wystraszyłam, nie chciałam.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Wiedziałam, jak was znaleźć, ponieważ jestem wyrocznią z Thuvhe – odparła i wszyscy buntownicy jak na komendę opuścili ostrza nurtu.

Nawet ci z Shotet, którzy nie oddawali czci nurtowi, nie odważyliby się grozić wyroczni, tak silna była ich religijna tradycja. Szacunek dla niej, dla tego, co potrafiła zobaczyć i zrobić, mieli praktycznie we krwi.

– Akos – powiedziała, takim tonem, jakby zadawała pytanie. A potem, w języku thuvhe: – Synu?

Setki razy wyobrażał sobie to spotkanie. Co powie, jak się zachowa, co będzie czuł. A teraz czuł przede wszystkim gniew. Nie przyszła go ocalić, kiedy go porwano. Nawet nie ostrzegła ich o koszmarze, który wkrótce miał pojawić się na progu ich domu, nie pożegnała się w bardziej znaczący sposób tego ranka, kiedy wychodzili do szkoły. Nic.

Wyciągnęła ramiona i położyła szorstkie dłonie na jego barkach. Miała na sobie znoszoną koszulę, połataną na łokciach – niegdyś należąca do taty. Pachniała liśćmi sendesu i solifrutem, jak dom. Ostatnim razem, kiedy stał naprzeciw niej, sięgał jej ledwo do ramion, a teraz był wyższy o głowę.

Jej oczy błyszczały.

– Chciałabym móc wszystko wytłumaczyć – szepnęła.

On też. Pragnął z całych sił, żeby mogła zrezygnować z szalonej wiary w losy, z przekonań, do których była bardziej przywiązana niż do własnych dzieci. Ale to nie było takie proste.

– Czy cię straciłam? – Jej głos lekko się załamał. To wystarczyło, by zgasić jego gniew.

Pochylił się i przyciągnął ją do siebie, wziął w ramiona, aż stanęła na czubkach palców, a on nawet tego nie zauważył.

Miał wrażenie, że została z niej sama skóra i kości. Zawsze była taka szczupła czy może tylko wydawała mu się silna, ponieważ był dzieckiem, a ona jego mamą? Czuł, że z łatwością mógłby ją zmiażdżyć w uścisku.

Zakołysała się z boku na bok. Zawsze tak robiła, jakby uznawała uścisk za zakończony, dopiero gdy zdał test na stabilność.

– Hej – powiedział, ponieważ nic innego nie potrafił wymyślić.

– Wyrosłeś – stwierdziła, odsuwając się od niego. – Widziałam tyle wersji tej chwili, ale nie miałam pojęcia, że będziesz taki wysoki.

– Nigdy nie przypuszczałem, że czymś cię zaskoczę.

Zaśmiała się.

Nie do końca jej wybaczył, ale być może było to ich ostatnie spotkanie, nie chciał, by przebiegło w gniewie. Pogładziła jego włosy,

a on nie protestował, chociaż wiedział, że nie wymagają takich zabiegów.

Ciszę przerwał głos Isae.

– Hej, Sifa.

Wyrocznia skinęła jej głową na powitanie. Akos nie musiał jej ostrzegać, że nie należy zdradzać przy buntownikach, kim jest Isae. Wiedziała, jak zwykle.

– Hej – odparła. – Dobrze cię widzieć. Martwiliśmy się o ciebie w domu. I o twoją siostrę.

Ostrożne słowa, pełne niedopowiedzeń. Thuvhe prawdopodobnie pograżyło się w chaosie, zapewne trwały gorączkowe poszukiwania kanclerz. Akos zastanawiał się, czy Isae w ogóle komukolwiek zdradziła, dokąd się wybiera, czy powiadomiła kogokolwiek, że żyje. Może wcale o to nie dbała. W końcu nie dorastała w Thuvhe. Jak wielką lojalność odczuwała w stosunku do swego ściętego lodem kraju?

– Jesteśmy zaszczyceni twą obecnością, wyrocznio – powiedział Jorek, zwykłym dla siebie ciepłym tonem. – Proszę, zechciej zjeść z nami posiłek.

– Chętnie, ale muszę was przestrzec. Przybyłam uzbrojona w wizje – odparła Sifa. – Sądzę, że zainteresują one was wszystkich.

Ktoś półgłosem tłumaczył na shotet, dla tych, którzy nie znali języka thuvhe. Akos wciąż musiał się mocno wysilać, by zauważyć różnicę między tymi językami. Przypuszczał, że dzieje się tak, kiedy człowiek ma coś zapisane we krwi, a nie w umyśle. Kiedy to po prostu w nim jest.

Dostrzegł Cyrę stojącą z tyłu, w połowie drogi na klatkę schodową, z której przed chwilą wyszli. Wyglądała... hm, wyglądała na przerażoną. Przed spotkaniem z wyrocznią? Nie – przed spotkaniem z jego matką. Na pewno.

Poprosić, żeby zamordowała własnego brata czy stanęła do walki na śmierć i życie – nawet okiem nie mrugnie. Ale bała się spotkać z jego matką. Uśmiechnął się.

Pozostali ruszyli w stronę niskiego pieca, w którym rozpalono wcześniej ogień, by w budynku zrobiło się choć trochę cieplej. W czasie, kiedy Akos i Cyra byli na górze, buntownicy przynieśli kilka stołów

z opuszczonych mieszkań. Dziwnie wyglądały w jednym pomieszczeniu, każdy z nich reprezentował bowiem inny styl: jeden był kwadratowy i wykonany z metalu, jeden wąski drewniany, inny ze szkła, jeszcze inny rzeźbiony. Wyłożyli na nie trochę jedzenia, gotowany solifrut, suche paski mięsa, bochenek chleba opieczony na rożnie i palone panczerzyki fenzu – przysmak, którego Akos dotąd nie miał okazji próbować. Obok naczyń z jedzeniem stały miseczki wypełnione lodokwiatami, czekającymi, by zrobić z nich odpowiednie mieszanki. Prawdopodobnie zadanie to miało przypaść Akosowi, jeśli znał Joreka chociaż w połowie tak dobrze, jak mu się zdawało. Kolacja nie wyglądała aż tak okazale jak ta poprzedniego wieczoru, ale na pewno jedzenia było dla wszystkich pod dostatkiem.

Nie musiał prowadzić mamy do Cyry. Sama ją dostrzegła i ruszyła w jej stronę. Przerazenie nadal gościło na twarzy Cyry.

– Panno Noavek – powiedziała mama Akosa, lekko łamiącym się głosem. Przechyliła głowę, by przyjrzeć się srebrnej dermie na szyi Cyry.

– Wyrocznio – odparła Cyra, lekko się kłaniając. Jeszcze nigdy nie widział, by komuś się kłaniała.

Na jej policzku pojawił się cień, po chwili rozbiegł się potrójną linią atramentowej ciemności w dół szyi. Akos przytknął palce do jej łokcia, by mogła podać rękę na powitanie. Mama z zainteresowaniem przyglądała się temu gestowi.

– Mamo, to dzięki Cyrze wróciłem w zeszłym tygodniu do domu – wyjaśnił. Nie bardzo miał pomysł, co jeszcze mógłby o niej powiedzieć. Co w ogóle mógłby powiedzieć, kropka. Rumieniec, prześladowający go już od dzieciństwa, palił za uszami. Akos próbował nad nim zapanować.

– Za co zapłaciła wysoką cenę, jak sama widzisz.

Jego mama jeszcze raz bacznie przyjrzała się Cyrze.

– Dziękuję za wszystko, co zrobiłaś dla mojego syna. Mam nadzieję, że kiedyś poznam przyczyny.

Sifa odwróciła się z dziwnym uśmiechem i wzięła Cisi pod rękę. Cyra stała w miejscu, z wysoko uniesionymi brwiami.

– To moja matka – powiedział.

– Wiem – odparła. Musnęła palcami tylną część jego ucha, gdzie

skóra paliła. – Zarumieniłeś się.

To tyle w kwestii panowania nad rumieńcem. Teraz poczuł palenie również na twarzy. Był przekonany, że jest czerwona jak cegła. Czy nie powinien już aby z tego wyrosnąć?

– Nie wiesz, jak się ze mnie wytłumaczyć. Zauważyłam, że rumienisz się, kiedy nie wiesz, jakich użyć słów – przesunęła palec w dół jego szczęki. – Nie szkodzi. Ja też bym nie wiedziała, jak wytłumaczyć się z ciebie przed moją matką.

Akos był zaskoczony jej reakcją. Sam nie wiedział, czego oczekiwał. Może szyderstw? Cyra chętnie z niego żartowała, w tym momencie jednak chyba rozumiała, że to wykluczone. To proste ciche zrozumienie sprawiło, że zrobiło mu się miękko w środku. Przykrył dłonią jej dłoń, otoczył palcami palce, aż się połączyły.

– Może to odpowiedni moment, by uświadomić ci, że prawdopodobnie nie uda mi się jej oczarować – powiedziała.

– To nie czaruj – odparł. – Ona z pewnością nie jest czarująca.

– Uważaj. Nie wiesz, jaka potrafię być nieczarująca. – Cyra zbliżyła ich złączone palce do ust i ugryzła, bardzo lekko.

Akos zajął miejsce obok Sify przy metalowym stole. Jeśli w ogóle istniało coś takiego jak mundur typowy dla Hessy, to miała go teraz na sobie: spodnie z mocnej tkaniny, prawdopodobnie podszytej czymś ciepłym, i wysokie buty zaopatrzone w małe haczyki, by utrzymać się na lodzie. Włosy związała z tyłu czerwoną wstążką, na pewno należącą do Cisi. Na jej czole i wokół oczu widniały nowe linie zmarszczek, jakby miniony czas odebrał jej resztki młodości.

Wszyscy podawali sobie miski z jedzeniem, puste talerze i sztućce. Naprzeciwko nich siedziała Teka, tym razem z opaską w kwiaty, Jorek, z lokami mokrymi po kąpielu, i Jyo, który postawił sobie instrument na sztorc na kolanach, opierając na nim podbródek.

– Najpierw jedzenie – powiedziała Sifa, dostrzegłszy, że wszyscy na nią czekają. – Przepowiednie później.

– Oczywiście – odparł Jorek z uśmiechem. – Akosie, mógłbyś przyrządzić nam dla rozluźnienia jakiejś herbatki?

Tak jak się spodziewał. Nawet nie chciało mu się okazywać oburzenia, że zapędzają go do roboty, chociaż jego mama właśnie

wpadła do nich na pokładzie sterolotu przez dziurę w suficie. Miał ochotę zająć czymś ręce.

– Owszem, mógłbym.

Napełnił czajnik wodą i zawiesił go na haku nad ogniem rozpalonym w piecyku, a potem stanął przy jednym ze stołów i zrobił mieszanki w tylu kubkach, ile tylko zdołał znaleźć, w większości standardowe formuły działające odprężająco, które miały na celu dodać animuszu i ułatwić konwersację. Dla Cyry jednak przyrzędził środek przeciwbólowy, a dla siebie coś uspokajającego. Kiedy tak stał z rękami zanurzonymi w naczyniach z lodokwiatami, usłyszał, jak jego mama rozmawia z Cyrą.

– Zauważyłam, że mój syn bardzo chciał mi ciebie przedstawić – powiedziała mama. – Na pewno jesteś jego bliską przyjaciółką.

– Em... tak – odparła Cyra. – Tak sędzę.

*Tak sądzisz*, powtórzył w myślach. Bezwiednie wywrócił oczami. Przecież dał jej wyraźnie do zrozumienia, co do niej czuje. Ale ona wciąż w to nie wierzyła. Tak to jest, kiedy ktoś sobie wmówi, że jest najgorszym potworem na świecie.

– Słyszałam, że masz talent do śmierci – powiedziała mama.

Przynajmniej zdążył ostrzec Cyrę co do czaru matki, a raczej jego braku.

Zerknął na Cyrę. Przyciskała ramię w ochraniaczu do brzucha.

– Pewnie tak – odparła. – Ale nie znajduję w niej upodobania.

Z dzióbka czajnika zaczęła sączyć się para. Woda chyba jeszcze nigdy dotąd nie gotowała się tak powoli.

– Spędziliście razem sporo czasu – zauważyła mama.

– Owszem.

– To twoja zasługa, że przeżył?

– Nie. Przeżył dzięki własnej woli.

Mama uśmiechnęła się.

– Zabrzmiało defensywnie.

– Nie zamierzam przypisywać sobie chwały za cudze zasługi – odparła Cyra. – Wyłącznie za własne.

– I trochę bezczelnie.

– Określano mnie gorszymi słowami.

Para wreszcie buchała wystarczająco mocno. Akos złapał hak z drewnianym uchwytem wiszący przy piecu i zaczepił o czajnik. Hak wskoczył na miejsce, a wtedy Akos nalał wody do wszystkich kubków. Isae podeszła do niego i wspięła się na palcach, by szepnąć mu do ucha:

– Jeśli jeszcze to do ciebie nie dotarło, to powinieneś wreszcie zauważyć, że twoja matka i twoja dziewczyna są do siebie bardzo podobne – stwierdziła. – Przypuszczam, że ten niezaprzeczalny fakt wywołuje u ciebie niezłe ciary.

Akos popatrzył na nią.

– To ma być śmieszne, pani kanclerz?

– Jak powszechnie wiadomo, czasem rzucam zabawne uwagi. – Upiła naparu, nie zważając na to, że jest jeszcze bardzo gorący. Ale widać jej to nie przeszkadzało. Oparła kubek na piersi. – Dobrze znałeś moją siostrę w dzieciństwie?

– Nie aż tak dobrze jak Eijeh – odparł. – Ze mną gorzej się rozmawiało.

– Często o nim wspominała – przyznała Isae. – Kiedy go porwano, całkiem się załamała. Na jakiś czas opuściła Thuvhe, by pomóc mi odzyskać siły po *wypadku*. – Machnęła ręką przy poznaczonej bliznami twarzy. – Bez niej nie dałabym rady. Ci durnie w Siedzibie Zgromadzenia nie mieli pojęcia, co ze mną zrobić.

O Siedzibie Zgromadzenia Akos słyszał tylko przelotnie. Był to gigantyczny statek krążący po orbicie wokół ich słońca, zamieszkały przez grupę ambasadorów i polityków.

– Zdaje się, że wpasowałaś się w towarzystwo – powiedział.

Jego słowa nie zabrzmiały jak komplement i Isae chyba w ten sposób ich nie potraktowała.

– Nie jestem tym, co widać na zewnątrz – odparła, wzruszając ramionami.

Pomyślał, że owszem, w szpitalu w Shissie miała na sobie wypucowane buciki, ale przez cały ten czas ani słowem nie poskarżyła się na niewygodę. Jeśli rzeczywiście większą część życia spędziła na pokładzie pojazdu krążącego wśród przestrzeni kosmicznej, to z pewnością nie zaznała luksusów godnych rodziny władającej planetą. Ale ciężko było ją rozpracować. Jakby nie przynależała do żadnej osoby

i do żadnego miejsca.

– Cóż, nieważne, jak dobrze ją znałeś – dodała. – Jestem... jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc. I Cyrze też. Nie spodziewałam się. – Spojrzała na dziurę w suficie. – Nikt się nie spodziewał.

– Znam to uczucie.

Wydała z siebie dziwne chrząknięcie.

– Jeśli uda ci się uwolnić Eijeha i nie stracić przy tym życia, przyłączysz się do nas? – zapytała. – Mogłabym wykorzystać twoją wiedzę na temat kultury Shotet. Jak pewnie się domyślasz, moje doświadczenia należy uznać za raczej jednostronne.

– Sądzisz, że możesz mieć na służbie człowieka, któremu los przeznaczył zdradę i nikt nie zaprotestuje? – spytał.

– Mógłbyś przybrać inne nazwisko.

– Nie zdołam ukryć, kim jestem. I nie ucieknę przed faktem, że mój los leży za Działem. Już nie.

Znów upiła herbaty. Wydawała się niemal... smutna.

– Używasz nazwy „Dział”. Tak jak oni.

Posłużył się tym słowem nieświadomie, zupełnie odruchowo. W Thuvhe mówiło się po prostu o piórzycy. On jeszcze do niedawna też tak mówił.

Przyłożyła rękę do głowy Akosa, z boku, bardzo lekko. Nie przyszło jej to naturalnie – jej skóra była zimna.

– Tylko pamiętaj – dodała. – Ci ludzie nie dbają o życie mieszkańców Thuvhe. A niezależnie od tego, czy w twoich żyłach płynie trochę shoteckiej krwi po dalekich przodkach, jesteś z Thuvhe. Należysz do mojego ludu, nie do nich.

Nigdy by nie przypuszczał, że ktoś z Thuvhe będzie sobie rościł do niego prawo własności. Raczej spodziewałby się czegoś przeciwnego.

Opuściła rękę, a potem zabrała kubek i wróciła na swoje miejsce obok Cisi. Jyo grał dla jego siostry piosenkę, z tym rozmarzonym wyrazem oczu, który Akos już rozpoznawał. Tym gorzej dla Jyo, każdy, kto miał oczy, dobrze widział, że Cisi pragnie tylko Isae. I był pewien, że z wzajemnością.

Zaniósł Cyrze środek przeciwbólowy. Rozmowa przeszła na inny temat. Mama właśnie zbierała sok z solifruta kawałkiem chleba



zrobionego z mielonych ziaren roślin uprawianych na polach pod Voą. Nie różnił się smakiem tak bardzo od tego, który znali z Hessy – była to jedna z niewielu rzeczy wspólnych dla Shotet i Thuvhe.

– Moja matka raz nas tam zabrała – opowiadała Cyra. – Tam nauczyłam się pływać, w specjalnym stroju chroniącym przed chłodem. Mógłby się przydać podczas naszej ostatniej wyprawy.

– Właśnie, wybraliście się na Pithę, prawda? – spytała Sifa. – Ty też tam byłeś, tak?

– Zgadza się – odparł. – Większość czasu spędziłem na górze śmieci.

– Widziałeś galaktykę – powiedziała z dziwnym uśmiechem. Wsunęła dłoń pod jego lewy rękaw i dotknęła wszystkich znaków po kolei. Kiedy je policzyła, jej uśmiech znikł.

– Kim oni byli? – zapytała cicho.

– Dwaj z tych, którzy zaatakowali nasz dom – odparł cicho. – I Pancerny, który dał mi tę zbroję.

Spojrzała na Cyrę.

– Czy mój syn jest tu sławny?

– Z tego, co wiem, stanowi obiekt różnych plotek, w większości nieprawdziwych – odparła Cyra. – Wiedzą, że może mnie dotyczyć, że potrafi przyrządzać silne trucizny i że jest jeńcem z Thuvhe, który jakimś sposobem zdołał zasłużyć na zbroję.

Sifa miała ten wyraz oczu, który zawsze pojawiał się w chwili, kiedy widziała, jak spełnia się jedna z jej przepowiedni. Przerazał go.

– Zawsze wiedziałam, kim się staniesz, pamiętasz? – powiedziała bardzo cicho. – Kimś, na kogo wszyscy zawsze będą patrzeć. Jesteś tym, kim musisz być. Nieważne, kocham tego, kim byłeś, tego, kim jesteś, i tego, kim się staniesz. Rozumiesz?

To spojrzenie, ten głos... Jakby stał w świątyni pośród płonących suchych lodokwiatów i patrzył na nią poprzez dym. Jakby siedział na podłodze w domu Opowiadacza, patrząc, jak wysnuwa przyszłość z oparów. Łatwo byłoby poddać się temu uczuciu, ale Akos zbyt długo cierpiał pod ciężarem własnego losu, by na to pozwolić.

– Daj mi prostą odpowiedź, tylko ten jeden raz – powiedział do mamy. – Uratuję Eijeha czy nie?

– Widziałam wersje przyszłości, w których ci się udaje, i takie, w których ci się nie udaje – odparła. Po chwili dodała z uśmiechem: – Ale zawsze, zawsze próbujesz.

Wszyscy siedzieli jak na szpilkach, na końcu dużego drewnianego stołu piętrzył się stos talerzy, kubki były niemal puste. Tekka owinęła się pledem, który wyhaftowała dla niej Sova – Akos słyszał, jak o tym wspominała – a Jyo odłożył instrument. Nawet Jorek ukrył pod stołem niespokojne palce, kiedy wyrocznia zaczęła opowiadać o swych wizjach. Akos od małego widział, jak ludzie okazują szacunek jego matce, ale tym razem budziło to w nim jakieś inne odczucie. Czuł dziwny niepokój, pragnienie czegoś więcej.

– Trzy wizje – zaczęła Sifa. – W pierwszej opuszczamy to miejsce przed świtem, by nikt nie zobaczył nas przez dziurę w dachu.

– Ale... to ty ją zrobiłaś – wtrąciła Tekka. Można się było spodziewać, że postawa pełna szacunku w stosunku do wyroczni w jej przypadku szybko się skończy. Tekka najwyraźniej nie mogła znieść nielogicznych wypowiedzi. – Jeśli wiedziałaś, że będziemy musieli odlecieć z powodu dziury w dachu, to chyba mogłaś jej nie robić.

– Cieszę się, że słuchasz uważnie – odparła Sifa pogodnie.

Akos stłumił śmiech. Cisi, siedząca nieco dalej, również ledwie panowała nad chichotem.

– W drugiej wizji Ryzek Noavek stoi naprzeciw ogromnego tłumu. Słońce wisi wysoko na niebie. – Tu wskazała do góry. Południowe słońce, w Voi, bliższe równika planety. – W amfiteatrze. Wszędzie są wizjery i wzmacniacze. To jakieś wydarzenie publiczne. Może ceremonia.

– Jutro mają odznaczyć pluton żołnierzy – powiedział Jorek. – To jedyne, co przychodzi mi do głowy. Potem nie ma już żadnych uroczystości, aż do Święta Wyprawy.

– Możliwe – odparła Sifa. – W trzeciej wizji Orieve Benesit próbuje wyrwać się z uścisku Vasa Kuzara. Znajduje się w celi. Sporej, zrobionej ze szkła. Nie ma tam okien. Pachnie... – Poniuchała, jakby zapach wciąż unosił się w powietrzu. – Stęchlizną. Cella chyba znajduje się pod ziemią.

– Wyrywa się – powtórzyła Isae. – Czy jest ranna? Nic jej się nie

stało?

– Wygląda na to, że zachowała siły – odparła Sifa. – Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Cela ze szkła znajduje się pod amfiteatrem – powiedziała cicho Cyra. – Tam mnie trzymano, zanim... – Urwała, jej palce niespokojnie zatrzepotały na szyi. – Druga i trzecia wizja rozgrywają się w tym samym miejscu. Ale czy w tym samym czasie?

– Wydaje mi się – odparła Sifa – że dzieją się jednocześnie. Ale moje poczucie miejsca i czasu nie zawsze okazuje się precyzyjne.

Opuściła ręce na kolana, a potem sięgnęła do kieszeni. Wyciągnęła jakiś niewielki przedmiot. Zalśnił, przyciągając spojrzenie Akosa. Był to guzik od kurtki, żółty na brzegach, gdzie starła się farba od częstego zapinania. Niemal widział, jak palce taty walczą z nim nerwowo, przy wtórzenarzekach, że znów musi uczestniczyć w jednym z tych obiadów dla wojskowych urządzanych w Shissy przez jego siostrę, jako reprezentant porośniętych lodokwiatami równin Hessy. *Tak jakby ta kurtka mogła kogoś oszukać*, powiedział raz do mamy, kiedy szykowali się w łazience. *Wystarczy, że spojrzą na zniszczone od lodu buty i od razu się zorientują, że jestem chłopakiem z farmy*. Mama tylko się śmiała.

Może w innej wersji przyszłości Aoseh Kereseth siedziałby teraz obok Sify, w tym dziwnym kręgu ludzi, dając Akosowi poczucie pewności, którego mama, niespokojna prorokini, nie była w stanie mu ofiarować. Może zabrała ten guzik, by mu przypomnieć, że jego taty nie ma pośród nich za sprawą Vasa. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że na pewno tak właśnie jest.

– Próbujesz mną manipulować – warknął. Sifa wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem. – Schowaj go. Pamiętam tatę dobrze i bez tego.

*W końcu, pomyślał, to ja byłem przy nim, kiedy umierał, a nie ty.*

W oczach mamy pojawił się twardy błysk, niemal jakby słyszała jego myśli. Ale schowała guzik z powrotem do kieszeni.

Stanowił dobre przypomnienie, ale nie o ojcu, tylko o tym, jaką manipulantką potrafi być jego matka. Jeśli dzieliła się wizjami, to nie dlatego, że były absolutne, na stałe zastygłe w czasie tak jak los. Dzieliła się z nimi tą wersją przyszłości, którą sama wybrała i chciała wszystkich

ku niej pokierować. Jako dziecko wierzył jej sądom, wierzył, że zawsze wybiera wersję najlepszą. Ale teraz, po tym, jak przeżył porwanie i całą resztę, nie był już tego wcale taki pewien.

– Jak mówiła Teka – powiedział nagle Jorek, przerywając niezręczną ciszę. – Wybaczcie, wiem, że jest siostrą waszej kanclerz, ale los Orieve Benesit nie jest szczególnie istotny dla naszych interesów. Nas interesuje wyłącznie pozbawienie władzy Ryzeka Noaveka.

– W którym to celu zamierzamy go zabić – dodała Teka. – W razie gdyby nie było to wystarczająco jasne.

– Nie interesuje was uratowanie siostry kanclerz? – spytała Isae twardym tonem.

– To nie jest nasza kanclerz – odparła Teka. – A my nie jesteśmy armią bohaterów. Nie zamierzamy ryzykować życia i bezpieczeństwa dla obcych z Thuvhe.

Isae wyduła wargi.

– Uratowanie jej jest istotne dla waszych interesów, ponieważ stanowi dobry pretekst – zauważyła Cyra, unosząc głowę. – Od kiedy to Ryzek Noavek urządza uroczystości dla żołnierzy? Chce po prostu zebrać publiczność, żeby zamordować Orieve Benesit, a tym samym udowodnić, że może zmienić swój los. Chce mieć gwarancję, że zobaczą to wszyscy mieszkańcy Shotet. Jeśli chcecie wystąpić przeciw niemu, zróbcie to. Zróbcie to właśnie wtedy, przy wszystkich, odbierzcie mu moment triumfu.

Akos przebiegł wzrokiem po siedzących obok niego kobietach. Isae, zdumiona i chyba wdzięczna Cyrze za wstawiennictwo w sprawie Ori, jej dłoń luźno zamknęła wokół kubka. Cisi, nawijająca kosmyk włosów na palec, jakby w ogóle nie słuchała. I wreszcie Cyra, stłumione światło lśniące z boku jej głowy, schrypnięty głos.

– Ryzek będzie w ogromnym tłumie, w którym znajdą się jego najzagorzalsi poplecznicy i wierni żołnierze. Jaki ruch mamy według ciebie wykonać? – spytała Teka.

– Sama powiedziałaś – odparła Cyra. – Zabić go.

– A, no tak! – Teka walnęła pięścią w stół, wyraźnie wkurzona. – Czemu ja na to nie wpadłam? To takie proste!

Cyra wywróciła oczami.

– Tym razem nie będziesz musiała zakradać się w nocy do jego domu. Tym razem wyzwę go na pojedynek na arenie.

Zapadła cisza. Z różnych powodów, jak Akos się domyślał. Wszyscy wiedzieli, że Cyra jest doskonałą wojowniczką, nikt jednak nie znał umiejętności Ryzeka – nie widzieli go w akcji. Pozostawała jeszcze kwestia tego, jak się tam dostać, by Cyra mogła rzucić wyzwanie. I jak go nakłonić, by je przyjął, zamiast po prostu ją zaarrestować.

– Cyro – powiedział Akos.

– Ogłosił nemhalzak. Wymazał twoją pozycję społeczną, twoje obywatelstwo – zauważyła Teka. – Nie ma powodu, by przyjąć wyzwanie.

– Ależ oczywiście, że ma. – Isae zmarszczyła brwi. – Mógł z łatwością jej się pozbyć, kiedy się dowiedział, że przystąpiła do buntowników, a jednak tego nie zrobił. Chciał ją upokorzyć, a potem zadać jej śmierć na oczach widzów. A to znaczy, że się jej boi, boi się, że Cyra ma władzę nad ludem Shotet. Jeśli wyzwie go w obecności tych wszystkich ludzi, nie będzie mógł odmówić. Wyszedłby na tchórza.

– Cyro... – powtórzył Akos, tym razem ciszej.

– Tak, Akosie? – Jej głos zdradzał odrobinę tej łagodności, którą widział na klatce schodowej. – Nie jest godnym mnie przeciwnikiem.

Akos widział po raz pierwszy, jak Cyra walczy – naprawdę walczy – w sali treningowej w rezydencji Noaveków. Wkurzyła się na niego – cóż, nie należała do cierpliwych nauczycieli – i pozwoliła się ponieść, rozłożyła go na łopatki. Nie miała wówczas jeszcze szesnastu pór, ale poruszała się już jak dorosła wojowniczka. A od tamtego czasu stała się jeszcze lepsza. Trenując z nią przez cały ten czas, nigdy nie zdołał jej pokonać. Ani razu.

– Wiem – powiedział. – Ale proponuję odwrócić jego uwagę, tak na wszelki wypadek.

– Odwrócić jego uwagę – powtórzyła.

– Ty wejdiesz na arenę. Rzucisz wyzwanie. Ja zaś udam się do cel. To znaczy, ja i Badha. Uwolnimy Orieve Benesit i odbierzemy Ryzekowi ten triumf. A ty odbierzesz mu życie.

Jego słowa zabrzmiały niemal poetycko – zresztą właśnie dlatego ujął to w ten sposób. Trudno było jednak myśleć o poezji w chwili, kiedy

palce Cyry zaczęły wspinać się po jej osłoniętym ramieniu, jakby wyobrażała sobie, że widnieje tam znak po Ryzeku. Nie, żeby się wahała. Wiedziała jednak, ile taki znak kosztuje, wiedziała to równie dobrze, jak wszyscy pozostali.

– A więc postanowione – stwierdziła Isae, przerywając ciszę. – Ryzek ginie. Oriewe żyje. Sprawiedliwości staje się zadość.

Sprawiedliwość, zemsta. Było za późno, by zastanawiać się nad różnicą.

W CHWILI, KIEDY ZAPROPONOWAŁAM, że wyzwę brata na pojedynek, poczułam w ustach piaszczysty smak powietrza w amfiteatrze. Wciąż pamiętałam ten zapach: stłoczone ciała i pot, chemiczna woń dezynfekcji z położonych poniżej cel, ostra woń pola siłowego brzęczącego w górze.

Rozbryzgi krwi. Krzyki.

Matka Akosa patrzyła na moje ramię schowane pod ochraniaczem, a teraz dodatkowo przykryte kocem, który dał mi któryś z buntowników. Pewnie zastanawiała się, ile widnieje pod nim znaków.

Co za niedobrana para. On cierpiący z powodu każdego życia, które musiał odebrać. Ja, nawet nie pamiętająca liczby znaków na ramieniu.

Kiedy wypaliły się niemal wszystkie żarki w piecu, podniosłam się i przemknęłam w cieniu sterolotu Sify i dalej, schodami na górę do zniszczonego mieszkania, w którym wcześniej zmyłam krew. Słyszałam, jak Jorek i Jyo śpiewają razem – czasem niezbyt harmonijnie – a pozostali nagradzają ich śmiechem. W słabym świetle łazienkowym podeszłam do lustra. Najpierw zobaczyłam tylko ciemny zarys sylwetki, a potem...

*To jeszcze nie koniec świata, powiedziałam sobie. Żyjesz.*

Dotknęłam palcem srebrnej dermy pokrywającej moją szyję i głowę. Swędziało w miejscach, gdzie zaczynała zrastać się z nerwami. Włosy miałam odgarnięte na jedną stronę, a po drugiej widniała tylko gładka srebrna połącz w otoczone czerwonej spuchniętej skóry, jeszcze nieprzywykłej do nowego materiału. Z jednej strony kobieta, a z drugiej maszyna.

Oparłam się o zlew i zapłakałam. Rozbolały mnie zębra, ale nie mogłam powstrzymać łez. Płynęły, nie zważając na ból, więc przestałam z nimi walczyć.

Ryzek tak mnie okaleczył. Mój własny brat.

– Cyro – powiedział Akos.

Tym razem, ten jeden jedyny raz, wolałabym, żeby go nie było. Dotknął moich ramion, lekko, przeganiając cienie. Miał zimne dłonie.

Delikatny dotyk.

– Nic mi nie jest – przesunęłam palcami po srebrnej szyi.

– Nie musisz tak mówić.

W dermie odbijało się stłumione światło, pełzające po tym zrujnowanym miejscu.

Słabym, cichym głosem zadałam pytanie, które tkwiło gdzieś we mnie głęboko.

– Czy jestem teraz brzydka?

– A jak myślisz? – spytał. I wcale nie takim tonem, jakby zadawał pytanie retoryczne. Raczej takim, jakby wiedział, że nie oczekuję pocieszenia, więc pytał, co sama o tym sądzę. Znów spojrzałam w lustro.

Głowa wyglądała dziwnie bez połowy włosów, ale niektórzy mieszkańcy Shotet nosili tego rodzaju fryzury – długie włosy z jednej strony, a z drugiej wygolone. A derma przypominała kawałek zbroi, z rodzaju tych, które zbierała moja matka podczas żeru. Będę go zawsze nosić, jak ochraniacz na lewym ramieniu i będę czuła się za jego sprawą silna.

Odnalazłam swoje oczy w lustrze.

– Nie – odparłam. – Nie jestem.

Właściwie nie było to całkiem zgodne z prawdą, zaczynałam jednak wierzyć, że może z czasem tak poczuję.

– Zgadzam się z tobą. W razie gdyby jeszcze nie przekonały cię o tym te wszystkie pocałunki.

Uśmiechnęłam się, obróciłam i oparłam o brzeg umywalki. Akos też się uśmiechał, ale kąciki jego oczu ściągało zatroskanie.

– Co się dzieje? – spytałam. – Tak się martwisz, że nie zdołam pokonać Ryzeka?

– Nie, nie o to chodzi. – Wyglądał równie nieswojo, jak ja się czułam. – Tylko... naprawdę zamierzasz go zabić?

Nie spodziewałam się takiego pytania z jego strony.

– Tak. Zamierzam go zabić – odparłam. Słowa smakowały metalicznie, jak krew. – Sądziłam, że to jasne.

Kiwnął głową. Spojrzał przez ramię na buntowników siedzących na parterze. Zatrzymał wzrok na matce. Rozmawiała z Teką, ściskając w dłoniach kubek z herbatą. Opodal nich stała Cisi, zapatrzona



w dogasające palenisko. Od naszej dyskusji na temat planu działania nie odezwała się ani nawet nie poruszyła. Kilka osób mościło sobie posłania koło pojazdu transportowego, zawijali się w koce i podkładali bagaże pod głowę zamiast poduszek. Mieliśmy wstać o świcie.

– Muszę cię o coś poprosić – powiedział Akos, ponownie przenosząc na mnie spojrzenie. Delikatnie ujął w dłonie moją twarz. – Wiem, że to nie w porządku prosić cię o to. Chciałbym, żebyś darowała Ryzekowi życie.

Milczałam, pewna, że żartuje. Nawet się roześmiałam. Ale chyba jednak nie żartował.

– Czemu o to prosisz?

– Ty wiesz, czemu – odparł, zabierając ręce.

– Eijeh – powiedziałam.

Zawsze Eijeh.

– Jeśli zabijesz jutro Ryzeka, na zawsze skazesz Eijeha na najgorsze wspomnienia, które od niego dostał. Tego stanu już nic nie zmieni.

Powiedziałam mu kiedyś, że jedyną szansą na ratunek dla Eijeha jest Ryzek. Skoro mój brat potrafił wymieniać wspomnienia, z pewnością zdołałby również oddać Eijehowi te należące do niego i zabrać swoje. Przychodził mi na myśl pewien argument, który mógłby go do tego skłonić. Albo i dwa.

A dla Akosa Eijeh od tak dawna był jak słabe światło w oddali, iskra nadziei. Wiedziałam, że z tego nie zrezygnuje. Ale nie mogłam też tak ryzykować.

– Nie – odparłam pewnym głosem. – Przede wszystkim, nie wiemy, w jaki sposób wymiana wspomnień wpłynęła u nich obu na dar nurtu. Nie wiemy nawet, czy on w ogóle może jeszcze naprawić Eijeha.

– Jeśli istnieje choćby nikła szansa – odparł – szansa, że odzyskam brata, to muszę...

– Nie! – Odepchnęłam go. – Spójrz, co on mi zrobił. Spójrz na mnie!

– Cyro...

– To! – Dotknęłam głowę. – I wszystkie znaki! Lata tortur, tyle trupów, a ty chcesz, żebym go oszczędziła? Oszalałeś?

– Nie rozumiesz – odparł niecierpliwie. Dotknął czołem mojego czoła. – Eijeh stał się taki przeze mnie. Gdybym nie próbował uciec z Voi... gdybym wcześniej pogodził się z losem...

Wszystko mnie bolało.

Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że Akos czuje się winny wymianie wspomnień. Uważałam za oczywiste, że Ryzek znalazłby taki czy inny pretekst, by to zrobić, wcześniej czy później. Akos jednak wiedział tylko tyle, że Ryzek skrzywdził Eijeha w wyniku nieudanej próby ucieczki.

– Ryzek i tak by to zrobił, nawet gdybyś nie próbował uciec. Nie odpowiadasz za to, co stało się z Eijehem. Za wszystko ponosi winę Ryzek, nie ty.

– Nie tylko o to chodzi – odparł Akos. – Kiedy zabrali nas z domu... to przeze mnie dowiedzieli się, które dziecko mają porwać, jego czy Cisi. Ponieważ kazałem mu uciekać. Wszystko przeze mnie. Obiecałem więc ojcu, *obiecałem*...

– Znowu – przerwałam mu gniewnie. – Wina Ryzeka! Nie twoja! Twój ojciec też na pewno by tak powiedział.

– Nie mogę go zostawić – powiedział łamiącym się głosem. – *Nie mogę*.

– A ja nie mogę brać udziału w tej idiotycznej misji, której się podjąłeś. Już nie – warknęłam. – Nie mogę patrzeć, jak siebie niszczysz, jak niszczysz swoje życie tylko po to, by ocalić kogoś, kto nie chce ocalenia. Kogoś, kto *odszedł* i nigdy nie wróci!

– Odszedł? – Oczy Akosa patrzyły dziko. – A gdybym tobie powiedział, że nie ma dla ciebie nadziei, co?

Znałam odpowiedź. Nigdy bym się w nim nie zakochała. Nigdy nie zwróciłabym się o pomoc do buntowników. Mój dar nurtu nigdy by się nie zmienił.

– Posłuchaj – powiedziałam. – Muszę to zrobić. Wiem, że to rozumiesz, nawet jeśli teraz nie potrafisz tego przyznać. Ryzek... Ryzek musi zostać unicestwiony. Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

Zamknął oczy i odwrócił się.

Wszyscy spali. Nawet Akos, leżący na ziemi niedaleko pojazdów, kilka metrów dalej. Ja jednak nie mogłam zmrużyć oka, myśli kłębiące

się w głowie służyły mi za jedyne towarzystwo. Podniosłam się, wsparta na łokciu, i popatrzyłam na pagórki postaci śpiących pod kocami w zanikającym świetle paleniska. Jorek leżał zwinięty w kłębek, z kocem naciągniętym na głowę. W blasku księżyca jasne włosy Teki były srebrnobiałe.

Zmarszczyłam brwi. W chwili, kiedy wspomnienia zaczęły wynurzać się na powierzchnię, zobaczyłam Sifę Kereseth. Przeszła przez pomieszczenie i wymknęła się tylnymi drzwiami, a ja, zanim zdążyłam się zorientować, co robię – i dlaczego – wsunęłam stopy w buty i poszłam za nią.

Stała tuż za drzwiami, dłonie trzymała splecione z tyłu.

– Hej – powiedziała.

Znajdowaliśmy się w zaniedbanej części Voi. Wszędzie dokoła ciągnęły się budynki o ścianach pokrytych odłóżką farbą, oknach wyposażonych w kraty gięte w wymyślne wzory, by odwrócić uwagę od ich prawdziwego przeznaczenia, o drzwiach wyrwanych z zawiasów. Ulice były zwykłymi piaszczystymi drogami, nie wyłożono ich kamieniem. Ale między budynkami fruwały setki dzikich fenzy, jarzących się shoteckim błękitem. Inne kolory wyeliminowano już dawno temu.

– Z wielu przyszłości, które widziałam, ta należy do najdziwniejszych – powiedziała Sifa. – A w dodatku ma w sobie największy potencjał i dobra, i zła, w równych proporcjach.

– Wiesz – odparłam – byłoby prościej, gdybyś mi powiedziała, co mam robić.

– Nie mogę, ponieważ nie wiem, mówię szczerze. Znajdujemy się w mrocznym miejscu. Pełnym niejasnych wizji. Setki niewyraźnych przyszłości rozciągają się daleko jak okiem sięgnąć. Tylko losy są wyraźne.

– Co za różnica? – zdziwiłam się. – Losy, przyszłość...

– Los to coś, co zdarza się niezależnie od tego, którą wersję przyszłości widzę. Twój brat nie traciłby czasu na próby ucieczki przed losem, gdyby wiedział, że jest on prawdziwy i niepodważalny. My jednak wolimy otaczać naszą pracę aurą tajemnicy, nie chcemy, by poddano nas zbyt ścisłej kontroli.

Próbowałam to sobie wyobrazić. Setki zawiłych ścieżek biegnących gdzieś w kierunku tego samego zakończenia. Z tej perspektywy mój los wydawał się jeszcze dziwniejszy – niezależnie od tego, dokąd się udam, co zrobię, i tak kiedyś przekroczę Dział. I co? Jakie to ma znaczenie?

Nie zapytałam. Nawet gdybym uważała, że mi odpowie – a nie odpowiedziałaby – to i tak nie chciałam wiedzieć.

– Wyrocznie ze wszystkich planet spotykają się raz na porę, by przedyskutować wizje – powiedziała. – Wspólnie uzgadniamy, która przyszłość jest najistotniejsza dla każdej z planet. W przypadku tej planety, moją pracą – jedyną pracą, nie licząc rejestrowania wizji – jest sprawić, by Ryzek władał Shotet najkrócej jak to tylko możliwe.

– Nawet kosztem twojego syna? – spytałam, sama nie wiedząc, którego mam na myśli, Akosa czy Eijeha. A może obu.

– Jestem służebnicą losu. Nie przysługuje mi przywilej stronniczości.

Poczułam ciarki. Rozumiałam w teorii, że można robić pewne rzeczy dla „wyższego dobra”, lecz w praktyce takie podejście zupełnie mnie nie interesowało. Zawsze chroniłam siebie, a teraz chroniłam Akosa, jeśli tylko mogłam. Poza tym istniało sporo osób, które chętnie zmiotłabym ze swojej drogi. Może to znaczyło, że jestem zła, lecz cóż, było prawdą.

– Niełatwo jest pogodzić rolę matki i żony z rolą wyroczni – powiedziała już nie tak pewnym tonem jak wcześniej. – Wiele razy musiałam... opierać się pokusie. Pokusie, by ochronić rodzinę kosztem wyższego dobra. Ale... – potrząsnęła głową. – Nie mogę zboczyć z kursu. Muszę zachować wiarę.

*Albo co?*, miałam chęć spytać. Co w tym takiego złego, zabrać najbliższych i uciec, odmówić brania na siebie odpowiedzialności, której nigdy się nie chciało?

– Mam pytanie, na które być może potrafisz odpowiedzieć. Znasz Ymę Zetsyvis?

Sifa przekrzywiła głowę na bok, aż jej gęste włosy opadły na jedno ramię.

– Znam.

– Wiesz, jak miała na nazwisko, zanim wyszła za Uzula Zetsyvisa? Czy należała do wybrańców losu?

– Nie – odparła Sifa. Zaczepnęła łyk zimnego nocnego powietrza i dodała: – Ich małżeństwo stanowiło swego rodzaju aberrację, raczej nie mogło pojawić się w wizjach wyroczni. Uzul ożenił się z kimś stojącym znacznie niżej od niego, zapewne z miłości. Kobieta z pospólstwa, o pospolitym nazwisku. Yma Surukta.

Surukta. Tak miały na nazwisko Tekka i Zosita. Kobiety o bardzo jasnych włosach i świetlistych oczach.

– Tak myślałam. Chętnie jeszcze bym pogawędziła, ale mam coś do załatwienia.

Sifa pokręciła głową.

– To dziwne uczucie nie wiedzieć, jakie ktoś ma zamiary.

– Pogódź się z niepewnością – odparłam.

Gdyby Voa była kołem, to ja właśnie bym szła po jego obwodzie. Rodzina Zetsyvisów mieszkała na drugim końcu miasta, na klifie z widokiem na miasto. Już z daleka widziałam światła w oknach ich posiadłości, chociaż wciąż szłam kiepskimi nierównymi ulicami ubogich dzielnic.

Wstęga nurtu wijąca się po niebie nad moją głową miała barwę ciemnego fioletu przechodzącego w czerwień. Wyglądała niemal jak krew. Całkiem stosownie, biorąc pod uwagę nasze plany na następny dzień.

Czułam się bardzo dobrze w tej biednej opuszczonej części miasta, którą buntownicy wybrali sobie na kryjówkę. Większość okien była ciemna, czasami jednak widziałam niewyraźne zarysy postaci pochylonych nad małymi latarenkami. W jednym z domów dostrzegłam roześmianą czteroosobową rodzinę grającą w karty przywiezione z żeru na Zoldzie. Wcześniej, jako siostra Ryzeka, nie odważyłabym się spacerować tymi ulicami, ale teraz zostałam okryta hańbą i obwołana wrogiem reżimu. W tym miejscu mogłam czuć się najbezpieczniej na świecie.

Znacznie gorzej poczułam się, wkraczając w zamożniejsze obszary miasta. Wszyscy mieszkańcy Voi deklarowali lojalność wobec reżimu Noaveków – zresztą nie mieli wyboru – ale Rzynek trzymał najstarsze

i najbardziej zaufane rodziny w ścisłym kręgu blisko siebie. Sam widok budynków wystarczył, by stwierdzić, że właśnie się w tym kręgu znalazłam: były nowsze bądź naprawione i odmalowane. Ulice wyłożono kamieniem i oświetlono. W oknach siedzieli ludzie w czystych świeżo wyprasowanych ubraniach, czytający coś na ekranie przy stole kuchennym lub oglądający wiadomości.

Najszybciej jak tylko się dało skręciłam w stronę klifów, a potem wkroczyłam na jedną ze ścieżek wiodących na sam ich skraj. Dawno temu wycięto schody w skalnych ścianach, strome i zaniedbane, więc nie dla osób słabego serca. Mnie jednak nigdy nikt by w ten sposób nie nazwał.

Cierpiąc z bólu, tego spowodowanego obrażeniami oraz tego, który był darem nurtu, lewą ręką trzymałam się ściany. Kiedy wychodziłam, nie zdawałam sobie sprawy, jak obolałe i wyczerpane jest wciąż moje ciało. Każdy krok odzywał się pulsującym echem w niezagojonej szyi i głowie. Przystanęłam i wyjęłam z kieszeni garść fiolek, które zabrałam z bagażu Akosa.

Zobaczyłam cały szereg małych pojemników z kolorowymi płynami w środku. Większość potrafiłam rozpoznać – środek usypiający, środek przeciwbólowy, a na samym końcu, zamknięty podwójną woskową pieczęcią, czysty czerwony ekstrakt z szakwiatu. W tej ilości i w tym stężeniu mógłby zabić dorosłego mężczyznę.

Połknęłam połowę środka przeciwbólowego i schowałam fiołki do torby.

Wspinaczka na szczyt klifu trwała godzinę. Kilka razy musiałam przystawać, by odpocząć. Za każdym razem miasto stawało się coraz mniejsze, rozświetlone okna przekształciły się w małe migotliwe plamki. Rezydencję Noaveków zawsze potrafiłam odnaleźć, płonęła białym blaskiem niemal w samym centrum; obok amfiteatr, nawet teraz chroniony świecącą siecią pola siłowego. Gdzieś tam pod ziemią siedziała Orieve Benesit, czekając na egzekucję.

Kiedy dotarłam na szczyt, czym prędzej odsunęłam się od skraju. To, że nie jestem strachliwa, nie znaczy jeszcze, że mam kusić śmierć.

Ruszyłam drogą prowadzącą do domu Zetsyvisów, przez las, w którym uprawiali fenzu na eksport. Po obu stronach ciągnęły się

metalowe ogrodzenia, chroniące cenne owady przed złodziejami. Na drzwiach wisiały rozpięte siatki, by fenzu nie uciekły z niewoli, ale była to raczej nadmierna ostrożność. Fenzu budowały gniazda wokół najcieńszych gałęzi na samej górze. Drzewa były wysokie i smukłe, o pniach tak ciemnych, że niemal czarnych, i gałęziach porośniętych ciemnozielonymi podobnymi do drutów, zebranymi w kępki wyrostkami zamiast zwisających liści, które widywałam na innych planetach.

Wreszcie moim oczom ukazał się dom Zetsyvisów. Przy bramie stał strażnik. Błyskawicznie walnęłam go w szczękę, nim zdążył się obronić. Otworzyłam bramę za pomocą jego bezwładnej dłoni. Zatrzymałam się i przypomniałam sobie tamtą noc, kiedy moja ręka nie otworzyła drzwi prowadzących do pokoju Ryzeka w rezydencji Noaveków. Moja krew, moje geny. Wciąż nie znałam przyczyny.

*To nie jest odpowiedni moment.* Otrząsnęłam się z zamyślenia i ruszyłam dalej. Przypuszczałam, że nie napotkam więcej przeszkód. Teraz mieszkała tu tylko Yma.

Sama się o to postarałam, prawda?

Dom był nowoczesny, przerobiony niedawno z pełnego przeciągów starego kamiennego zamku. Spore fragmenty murów zastąpiono szkłem, na drzewach przed wejściem rozwieszono maleńkie kule pełne jarzących się błękitem owadów – baldachim światła odbijający się w oknach. Przed wejściem wiły się dziwne rośliny, niektóre wspinały się po resztkach kamiennych murów. Niektóre nawet kwitły, ogromnymi kwiatami z różnych światów o barwach, których na naszej planecie raczej nie widywałam: różu intensywnego jak język, głębokiej niebieskawej zieleni, czerni gęstej jak przestrzeń kosmiczna.

Dotarłszy do drzwi, wyjęłam przyczipione do biodra niewielkie ostrze nurtu, tak na wszelki wypadek. Trochę bałam się przerwać otaczającą mnie ciszę, ale w końcu zapukałam rękojęścią noża, mocno. Po chwili w drzwiach stanęła Yma Zetsyvis.

– Panna Noavek. – Tym razem się nie uśmiechała. Patrzyła na broń w mojej prawej dłoni.

– Hej – powiedziałam. – Mogę wejść?

I weszłam, nie czekając na zaproszenie. Podłogę w holu zrobiono z drewna, prawdopodobnie pochodzącego z tych ciemnych drzew

otaczających posiadłość, którego również obficie użyto przy urządzeniu rezydencji Noaveków. Było tu niewiele ścian, właściwie cały parter stanowił otwartą przestrzeń, meble lśniły surową bielą.

Yma miała na sobie lekko połyskującą szatę, rozpuszczone włosy opadały na ramiona.

– Przyszłaś mnie zabić? – spytała z kamienną twarzą. – Zapewne powinnaś dokończyć to, co zaczęłaś. Najpierw mój mąż, potem córka...

Chciałam jej powiedzieć, że wcale nie chciałam ich zabić, że ich śmierć wciąż prześladuje mnie we snach. Że tuż przed przebudzeniem słyszę, jak bije serce Uzula, że widuję Lety w miejscach, gdzie na pewno nigdy jej nie było. Ale nie istniał powód, dla którego miałabym jej o tym wszystkim mówić.

– Przyszłam porozmawiać – odparłam. – Nóż jest do obrony.

– Nie sądziłam, że potrzebujesz broni.

– Czasem jest bardziej skuteczna – odparłam. – Sztuka subtelnego zastraszania i tak dalej.

– Aha. – Yma odwróciła się. – W takim razie usiądź.

Ruszyła w stronę kompletu wypoczynkowego – grupy niskich kanap ustawionych w kwadracie. Delikatnym muśnięciem włączyła kilka świateł i kanapy rozjarzyły się od spodu, a na niskim szklanym stoliku zajaśniała latarnia pełna fenzu. Zaczekałam, aż Yma usiądzie i ułoży szatę, tak by nie pokazywać nóg. Była elegancką kobietą.

– Wyglądasz lepiej niż poprzednim razem, kiedy cię widziałam – stwierdziła. – Nie mogę powiedzieć, że nie patrzyłam z rozkoszą, jak się wykrwawiasz.

– Tak, z pewnością wiele osób świetnie się bawiło – odparłam cierpko. – Niełatwo przypisuje się sobie wyższość moralną, kiedy pragnie się czyjejś krwi, prawda?

– Ty pierwsza popełniłaś zbrodnię.

– Nigdy nie twierdziłam, że posiadam nad tobą wyższość moralną – odparłam. – Jedyne, że ty znajdujesz się pod tym względem nieco niżej ode mnie.

Yma zaśmiała się i pewnie zamierzała cisnąć we mnie kolejną obelgą, ale ją ubiegłam.

– Wiem, że brzydzisz się mojego brata tak samo jak ja.



Zauważyłam to już dawno temu. I współczułam ci, że musiałaś zbliżyć się do niego w ten sposób, by przetrwać. Sądziłam, że jesteś zdesperowana i robisz to, co musisz.

Twarz Ymy drgnęła. Wzrok powędrował ku jednemu z ogromnych okien wychodzących na Voę i ocean w dali, który z tej wysokości wyglądał jak pustka, kraniec kosmosu.

– Sądziłaś? W czasie przeszłym? – powiedziała w końcu.

– Dzisiaj zrozumiałam, że wcale nie kieruje tobą desperacja, przynajmniej nie w takim sensie, jak mi się zdawało. Masz wszystko idealnie pod kontrolą, prawda?

Gwałtownym ruchem zwróciła głowę w moją stronę. Udało mi się ją zainteresować.

– Straciłaś znacznie więcej, niż mi się zdawało. Straciłaś ich, jeszcze zanim położyłam dłoń na skórze twojego męża. Nazywasz się Surukta. Twoją siostrą jest Zosita Surukta, która uciekła z naszej planety po tym, jak przyłapano ją na uczeniu sąsiadów języków obcych, a która potem została stracona za udział w rewolcie. Ale zanim ją złapano, zabito również twojego siostrzeńca, a twojej siostrzenicy, Tece, wyłupano oko.

– Błędy mojej rodziny należą do przeszłości – odparła lekko drżącym głosem. – Nie możesz mnie za nie winić.

– Nie winię. – Zaśmiałam się. – Tłumaczę ci, jak się dowiedziałam, że należysz do buntowników, i to już od dłuższego czasu.

– Aha, stworzyłaś sobie kompletną teorię, co? – Na twarz Ymy powrócił jej dziwny uśmiech. – Wkrótce poślubię twojego brata i umocnię swoją pozycję, stając się jedną z najsilniejszych osób w całym Shotet. Wyszłam za Uzula Zetsyvisa tylko po to, by osiągnąć cel. Ten cel. Awans społeczny. Mam do tego talent. Czego ty nie potrafiłabyś zrozumieć, ponieważ urodziłaś się w uprzywilejowanej rodzinie.

– Chcesz wiedzieć, co cię ostatecznie zdradziło? – spytałam, ignorując jej słowa. – Po pierwsze, to ty wydałaś Uzula. Wiedziłaś, jak mój brat z nim postąpi. Ludzie działający w desperacji nie wykonują takich wykalkulowanych ruchów.

– Ty... – próbowała mi przerwać, ale jej nie pozwoliłam.

– Po drugie, ostrzegłaś mnie, że zamierzają ukarać niewinną osobę,

wiedziałaś, że będę próbowała temu zapobiec.

Skrzywiła się.

– Najpierw opowiadasz mi o osobach, które straciłam, a potem oskarżasz mnie, że doprowadziłam do egzekucji własnej siostry? Jaki w tym sens?

– I po trzecie – ciągnęłam – to twoje stukanie. O co chodzi? Ty i Teka. To nawet nie jest szczególnie dobry rytm.

Yma uciekła wzrokiem.

– Jesteś buntowniczką – powiedziałam. – Dlatego, mimo że mój brat tyle ci odebrał, wciąż jesteś w stanie przy nim trwać. Ponieważ musisz być blisko niego, by dokonać zemsty.

Podniosła się i podeszła do okna, ciągnąc za sobą fałdy sukni. Przez długą chwilę stała w milczeniu, biała kolumna w blasku księżyca. A potem postukała palcem wskazującym o kciuk. Raz, trzy, raz. Raz, trzy, raz.

– To wiadomość – powiedziała, nie odwracając się. – Raz nauczyłyśmy się z siostrą piosenki, by zapamiętać losy rodziny Noaveków. A ona nauczyła tej piosenki również swoją córkę, Tekę. – Zaśpiewała łamiącym się głosem: *Pierwsze dziecko z rodziny Noavek upadnie za sprawą rodziny Benesit*. – Patrzyłam na jej palce, które odnalazły rytm. Ciało zaczęło się kołysać. – Rytm na raz, trzy, raz, trzy...

Jak taniec.

– Wybijam go – dodała – kiedy potrzebuję siły, by wykonać kolejne zadanie. Śpiewam sobie tę piosenkę w głowie i wystukuję rytm.

Jak podczas egzekucji siostry, palce na barierce. Jak podczas kolacji z moim bratem, jej dłoń na jego kolanie.

Odwróciła się w moją stronę.

– I co? Zdobyłaś nade mną przewagę? Zamierzasz przehandlować mnie za swoją wolność?

– Muszę przyznać, że jestem pełna podziwu dla twojej gry pozorów – powiedziałam. – Poświęciłaś własnego męża...

– Uzul chorował na Q900X. Kilka składników w stosowanej kuracji jest niezgodnych z naszymi zasadami religijnymi. Uzul poświęcił się dla sprawy. Zapewniam cię, wcale tego nie chciałam, ale dzięki jego

bezinteresowności, czegoś, o czym ty najwyraźniej nie masz pojęcia, zyskałam miejsce u boku Ryzeka.

Moje cienie zaczęły poruszać się szybciej, wciąż napędzane zmianami w emocjach.

– Domyślałam się, że nie miałaś zbyt wiele kontaktu z innymi buntownikami – stwierdziłam. – Wiesz, że uratowali mi życie? Współpracuję z nimi od pewnego czasu.

– Doprawdy? – odezwała się głosem bez wyrazu.

– Chyba nie wierzyłaś, że powód, który podał Ryzek, kalecząc mi twarz, był prawdziwy? Pomogłam buntownikom dostać się do rezydencji Noaveków, żeby go zabili, a kiedy plan się nie powiódł, wypuściłam ich. Dlatego mnie aresztowano. Była wśród nich Tekka, twoja siostrzenica.

Zmarszczka między brwiami Ymy pogłębiła się. Zresztą w tym świetle wszystkie linie na jej twarzy rysowały się wyraźniej. Nie stanowiły oznaki wieku, była na nie jeszcze za młoda, posiwiała również przedwcześnie – pojawiły się w wyniku przeżytych trosk. Teraz wiedziałam, skąd ten ciągły uśmiech. Był tylko maską.

– Większość z nich... – Yma westchnęła. – Oni nie wiedzą, kim jestem. Tylko Tekka i Zosita wiedzą. Wiedziały. Zresztą teraz, kiedy tak niewiele brakuje, żebym wypełniła misję, byłoby bardzo ryzykowne się z nimi kontaktować.

Podniosłam się i stanęłam obok niej przy oknie. Wstęga nurtu zdążyła przybrać głębszy odcień czerwieni.

– Jutro buntownicy zamierzają zaatakować Ryzeka – oznajmiłam. – Tuż przed egzekucją na Orievie Benesit wyzwę go na pojedynek na arenie, w taki sposób, że nie będzie mógł odmówić.

– Co takiego? – spytała ostro. – Jutro?

Przytaknęłam.

Zaśmiała się krótko, splatając ramiona na piersi.

– Co za głupie dziecko. Sądzisz, że potrafisz pokonać Ryzeka Noaveka? Naprawdę myślisz jednokierunkowo. Jak wytrenowany zabójca.

– Nie – odparłam. – Przyszłam tu z pewnym planem. Ty odgrywasz w nim bardzo prostą rolę. – Sięgnęłam do torby i wyjęłam z niej fiolkę. – Musisz tylko wlać ten płyn do mikstury uspokajającej,

którą Ryzek wypije rano. Zakładam, że będziesz wtedy obok.

Yma spojrzała na fiolkę, marszcząc brwi.

– Skąd wiesz, że wypije miksturę uspokajającą?

– Zawsze ją pije w dniu, kiedy ma kogoś zabić – wyjaśniłam. – Inaczej by tego nie zniósł.

Prychnęła.

– Możesz sądzić na temat jego charakteru, co ci się podoba, jest mi to obojętne – powiedziałam. – Ale wypił ją w dniu, kiedy kazał mnie okaleczyć publicznie, i zapewniam, że wypije również przed egzekucją Orieve Benesit. Proszę tylko o to, byś wlała do niej zawartość tej fiołki, nic więcej. Jeśli mi się nie uda, nie stracisz pozycji u jego boku. Nie będzie miał powodu, by cię podejrzewać. Jeśli natomiast mi się uda, nawet nie będę musiała go dotykać, a ty dopełnisz zemsty i nie będziesz musiała najpierw brać z nim ślubu.

Wzięła ode mnie fiolkę i obejrzała ją. Była zamknięta woskiem, który Akos wziął z mojego biurka i którym stemplowałam koperty, wyciskając symbol Noaveków, tak jak robili to przede mną matka i ojciec.

– Dobrze – powiedziała Yma.

– Świetnie. Ufam, że zachowasz ostrożność. Nie mogą cię złapać.

– Zachowuję ostrożność przy każdym słowie i każdym spojrzeniu, od czasów, kiedy ty byłaś tylko dzieckiem. Mam szczerą nadzieję, że nie robisz tego w ramach pokuty, bo nie dostaniesz wybaczenia. Na pewno nie ode mnie. Nie po tym wszystkim, co zrobiłaś.

– Och, nie mam aż tak szlachetnej natury – odparłam. – Zapewniam, że chodzi mi tylko o zemstę.

Yma uśmiechnęła się krzywo do mojego odbicia w szybie. Odwróciłam się i wyszłam. Musiałam się pospieszyć, jeśli chciałam wrócić do kryjówki, zanim reszta się zbudzi.

CYRA STAŁA Z PRZODU, W SŁOŃCU, z naciągniętym na czoło kapturem, zasłaniającym twarz. Miała na sobie ciężki płaszcz, żeby nie zdradzić się z cieniami nurtu, dłonie skryła w długich rękawach. Za nią rozciągał się amfiteatr, miejsce, gdzie o mało nie straciła życia. Nikt by jednak nie pomyślał, widząc ją teraz, jak kroczy przed siebie, prosta jak struna, że niedawno zdjęto z niej kawał skalpu.

Przy wielkich podwójnych drzwiach prowadzących na arenę stała grupa żołnierzy. Plotki krążące po mieście – zebrane przez Sovy, która według Joreka „znała wszystkich” – głosiły, że żołnierze wezwani, by stawić się dzisiaj w amfiteatrze, mają dostać nagrodę za dobry żer. Akos nie wiedział, co takiego ze sobą przywieźli, że zasłużyli na podobny zaszczyt, ale nie miało to większego znaczenia – i tak służyli wyłącznie za pretekst, pod którym Ryzek zebrał publiczność na egzekucję Ori.

Drzwi otworzyły się. Akos zmrużył oczy w ostrym świetle. Jego uszy wypełnił ryk tłumu. Na trybunach siedziało tyle osób, że miał wrażenie, jakby zebrało się tam całe miasto, chociaż w rzeczywistości była to pewnie jakaś jedna piąta – pozostałe cztery piąte miało oglądać transmisję na żywo na ekranach w swoich mieszkaniach. O ile w ogóle ktoś będzie miał na to ochotę.

Cyra odwróciła się, jej srebrna szyja błysnęła w słońcu. A potem poniosła ją ludzka fala. Nadszedł czas.

– A więc – powiedziała Isae, stając obok niego – właściwie nie zastanowiliśmy się, jak przejdziemy przez pierwsze drzwi.

– Szczerze, postanowiłem, że po prostu... rozbiję strażnikowi głowę o mur – odparł Akos.

– Jestem pewna, że to nie wzbudzi zainteresowania. Jest Oczko. Idziemy.

Isae nadała buntownikom przydomki zamiast zapamiętać ich prawdziwe imiona. Oczko to, rzecz jasna, była Teka, Jorek występował jako Wiercioła, Jyo – Flirciarz, a Sovy – Ta, Która Nie Zna Thuvhe. Zresztą okazało się, że druga strona wpadła na podobny pomysł – Akos słyszał, jak tego ranka, kiedy wszyscy jedli szybkie śniadanie, spoglądając na dziurę, którą wywaliła mama Akosa, wlatując do środka

swoim sterolotem, Teką określiła Isae mianem Wyniosłej.

Akos dostrzegł Tekę i Cisi stojące niedaleko wejścia na arenę i ruszył w ich stronę, nie spuszczając wzroku z Isae. Wszyscy przeżyli zaskoczenie, kiedy Teką zaproponowała, że pomoże im dostać się do podziemnych cel. Wcześniej wyraźnie dała do zrozumienia, że nie zależy jej na uratowaniu Ori. Ale może zmieniła zdanie pod wpływem Cyry, która przekonywała, że w ten sposób odbiorą Ryzekowi chwilę triumfu.

– Co sądzisz o strażniku? – spytała Teką, kiedy podszedł bliżej. Była owinięta w szarą szatę, a złote włosy zaczesła tak, by zakryły oko. Spojrzał ponad jej ramieniem na strażnika stojącego przy drzwiach, przez które kazała im wejść Cyra. Były tego samego koloru co mur, miały zwykły staromodny zamek na metalowy klucz. Zapewne spoczywający teraz w kieszeni strażnika.

Strażnik był nie więcej niż pięć pór starszy od niego, barczysty i odziany w zbroję, na którą niewątpliwie zasłużył. Dłoń trzymał na rękojeści ostrza nurtu, tkwiącego w pochwie u pasa. Sprawny, ocenił Akos, nie tak łatwo będzie pozbawić go przytomności.

– Mógłbym go załatwić, ale nie po cichu – stwierdził. – Pewnie by mnie aresztowali.

Teką spojrzała na niego krytycznie.

– Powiedzmy, że to plan B – powiedział. – A może jakoś odwrócimy jego uwagę?

– Tak, jasne. – Teką skrzyżowała ramiona na piersi. – Postawili go przed drzwiami prowadzącymi do tajnego więzienia pod ziemią i jeśli zawiedzie, z pewnością przypłaci to życiem, ale jak tylko pomachasz czymś błyszczącym, porzuci stanowisko.

– Powiedz „do tajnego więzienia pod ziemią” jeszcze głośniejsze – zaproponowała Isae.

Teką warknęła coś w odpowiedzi, ale Akos już jej nie słuchał. Cisi pociągnęła go za rękaw.

– Pokaż fiołki – powiedziała. – Mam pomysł.

Akos zawsze nosił przy sobie kilka fiołek – między innymi eliksir nasenny, miksturę uspokajającą i mieszankę na hart ducha. Nie wiedział, czego potrzebuje Cisi, więc rozwiązał pasek i podał jej cały woreczek.

Fiolki obity się z brzękiem o siebie. Po krótkich oględzinach Cisi wybrała środek nasenny. Odkorkowała i powąchała.

– Mocne – stwierdziła.

Isae i Teka nadal się sprzeczały. Nie wiedział o co, ale nie zamierzał interweniować, póki pięści nie pójda w ruch.

– Przydaje się w różnych sytuacjach – odparł wymijająco.

– Kupisz mi coś do picia z tamtego wózka? – poprosiła Cisi, ruchem głowy wskazując wózek z daszkiem, stojący po drugiej stronie placu.

Brzmiała zdecydowanie i przekonująco, więc nie zadawał pytań. Przepchał się przez tłum. Pot spływał mu ciurkiem po karku. Podobnie jak Teka miał na sobie szarą szatę, pod którą kryła się zbroja, co jednak bynajmniej nie uczyniło go niewidzialnym – nadal wyróżniał się z tłumu wzrostem – ale różnił się wyglądem od człowieka, który poprzedniego dnia wyciągnął Cyrę Noavek z amfiteatru.

Wózek przekrzywił się tak mocno, że Akos zastanawiał się, jakim cudem te wszystkie kubki – napelnione jakimś aromatycznym korzennym napojem z Othyru, poprawiającym nastrój, jeśli wierzyć głośno zachwalającemu towar sprzedawcy – jeszcze się nie ześliznęły i nie rozbiły w drobny mak. Mężczyzna wymienił sumę w łamanym shotet. Akos rzucił mu monetę. Podczas wyprawy Cyra pewnego dnia tak po prostu otworzyła skrytkę z pieniędzmi, bez większych ceregieli proponując mu, by wziął, ile potrzebuje, a on zatrzymał trochę monet, tak na wszelki wypadek.

Zaniósł kubek, maleńki w jego wielkiej dłoni, Cisi, która wlała do środka eliksir nasenny i ruszyła w stronę strażnika. Bez słowa wyjaśnienia.

– Nie sądzę, by mówił w thuvhe – stwierdziła Teka.

Cisi przybrała swobodną pozę, przywołała uśmiech na twarz i przywitała się ze strażnikiem. Najpierw zrobił taką minę, jakby zamierzał na nią nakrzyczeć, ale po chwili jego oczy nabrały tego charakterystycznego sennego wyrazu, którym poprzedniego wieczoru patrzyli na Cisi Jorek i Jyo.

– Mogłaby mówić choćby i po ogryjsku. To nie ma żadnego znaczenia.

Nieraz widział, jak działa jej dar, ale tylko w przypadkach, kiedy posługiwała się nim od niechcienia. Nie miał pojęcia, jaki efekt potrafi uzyskać, kiedy dodatkowo się wysili. Strażnik oparł się plecami o ścianę amfiteatru z lekkim uśmiechem na ustach, a kiedy Cisi podała mu kubek, wziął go w obie dłonie. A potem zaczął pić.

Akos prędko przepychał się przez tłum. Chciał, by wszystko odbyło się jak najdyskretniej, a przypuszczał, że strażnik zaraz się przewróci. I rzeczywiście, kiedy dotarł na miejsce, chłopak już się chwiał, niechcący rozlewając resztki napoju. Akos chwycił go za ramiona i powoli opuścił na ziemię. Teką przykucnęła obok i zaczęła przeszukiwać jego kieszenie. Wyjęła klucz, obejrzała się przez ramię i wetknęła go w zamek.

– Nieźle – powiedziała Isae do Cisi. – I jak szybko.

Cisi posłała jej szeroki uśmiech.

Akos odciągnął śpiącego strażnika na bok, pod mur budynku, po czym pobiegł za pozostałymi, którzy już wchodzili do środka. Tunel śmierdział płonącymi śmieciem i stęchlizną. Smród wywołał dziwne uczucie, jakby ktoś ukłuł go szpilką w brzuch. Powietrze zdawało się gęste, zbyt suche. Teką zamknęła drzwi i wsadziła klucz do kieszeni.

Stracili ochotę na kłótnie, żarciki i pogaduszki. W tunelu technicznym panowała cisza, tylko z daleka dochodziło kapanie. To było straszne, nie słyszeć okrzyków tłumu, nie wiedzieć, co się dzieje na arenie, czy Cyra zdołała się tam dostać, czy już rzuciła wyzwanie, czy uda im się stąd wydostać i uwolnić Ori. Tunel sprawiał wrażenie ponurego grobowca.

– Cyra powiedziała tylko, że mamy kierować się do centralnego punktu – szepnęła Isae. – Nie pamiętała dokładnie drogi. Była nieprzytomna, kiedy ją tędy prowadzono.

Ale nie tylko Cyra знаła to miejsce. Akos zamknął oczy, próbując przywołać w pamięci tamtą noc, kiedy Vas siłą wyciągnął go z łóżka po kilku dniach głodówki – Akos nie wiedział, ile dokładnie to trwało, wiedział tylko, że ktoś zamknął drzwi na klucz i nikt nie chciał mu wyjaśnić, co się dzieje, a on umierał z głodu. A potem przestał umierać, jakby głód dał za wygraną.

W korytarzu Vas poczęstował go kilkoma mocnymi ciosami,



wrzucił do sterolotu i przywiózł w to miejsce. Do tego tunelu, do tego smrodu śmieci i stęchlizny, do tej ciemności.

– Coś pamiętam – oznajmił, po czym wyminął Isae i ruszył przodem.

Wciąż się pocił, więc odwiązał ciężką szatę okrywającą zbroję i rzucił ją na ziemię. Droga malowała się mgliście w jego pamięci, a jego mózg najwyraźniej bronił się przed powrotem do tamtych chwil, kiedy czuł ból w całym ciele i był tak osłabiony, że ledwo trzymał się na nogach. Pamiętał, jak Eijeh czekał na niego i Vasa przy tylnym wejściu, jak zacisnął palce na jego zbroi. W pierwszej chwili wydawało mu się, że brat chce go wesprzeć. Ale zaraz potem Eijeh zaciągnął go do celi. Do celi, w której czekały tortury.

Akos zacisnął zęby i mocniej ujął rękojeść noża. Kiedy minął pierwszy zakręt i zobaczył strażnika, po prostu eksplodował. Pchnął mężczyznę, niższego i mocniej zbudowanego, wałnął go w szczękę, aż głowa uderzyła o ścianę. Nóż ciał ramię Akosa, z dłoni strażnika buchnął język ognia, który Akos natychmiast zgasił dotykiem. Jeszcze raz wałnął głową strażnika o ścianę, i jeszcze raz, aż mężczyzna osunął się na ziemię, a jego oczy uciekły w głąb czaszki. Akos poczuł ciarki na plecach. Nie sprawdził, czy mężczyzna żyje. Nie chciał wiedzieć.

Spojrzał na Cisi. Jej usta wykrzywiał grymas odrazy.

– No cóż – powiedziała Isae, a właściwie zaćwierkała. – To było bardzo skuteczne.

– Aha. – Teka ruszyła dalej, nadeptując na nogę strażnika. – Wszyscy, których spotkamy w tych korytarzach, są zwolennikami Noaveków, Kereseth. Nie ma co po nich płakać.

– A widzisz jakieś łzy na mojej twarzy? – zapytał, naśladując zadziorny ton Cyry, niestety nieskutecznie, ponieważ głos mu się załamał. Ale szedł dalej. Nie mógł zamartwiać się teraz opinią Cisi na temat tego, co zrobił. Nie teraz, nie w tym miejscu.

Jeszcze kilka zakrętów i przestał się pocić, teraz z kolei cały się trząsał. Korytarze wyglądały identycznie: nierówne kamienne podłogi, zakurzone kamienne ściany, niskie kamienne sufity. Za każdym razem, kiedy korytarz prowadził w dół, Akos musiał pochylać głowę. Smród śmieci znikł, za to nasiliła się woń stęchlizny. Przypomniawszy sobie, jak

Eijeh pchał go przez te korytarze, a on w pewnej chwili spojrzął na głowę brata. Eijeh ściął włosy na krótko, tak jak Ryzek.

*Nie mogę patrzeć, jak siebie niszczysz tylko po to, by ocalić kogoś, kto nie chce ocalenia,* powiedziała Cyra ostatniej nocy. Pokazał jej, jak głęboko jest jego desperacja, a ona nie zgodziła się w niej uczestniczyć. Trudno było mieć do niej pretensje. Ale miał. Musiał mieć.

Drzwi, które ukazały się na końcu korytarza, dziwnie wyglądały w ramie z drewna i kamienia. Zrobiono je z czarnego nieprzezroczystego szkła, z boku znajdował się mechanizm zamykający. Panel z klawiszami. Cyra podała im całą listę kombinacji – jak powiedziała, wszystkie odnosiły się do jej matki. Data urodzin, data śmierci, rocznice, szczęśliwe numery. Akos nie mógł pogodzić się z takim wizerunkiem Ryzeka, wizerunkiem osoby, która kochała matkę na tyle, by użyć daty jej urodzin jako kodu otwierającego drzwi.

Ale Teka nie wypróbowała nawet jednego kodu z listy, od razu zaczęła odkręcać płytkę osłaniającą klawiaturę. Jej śrubokręt był delikatny jak igła, czysty i błyszczący. Posługiwała się nim jak szóstym palcem. Zdjęła płytkę, odłożyła ją, a następnie, z zamkniętymi oczami, ścisnęła jeden z kabelków.

– Em... Teka? – Gdzieś w oddali za ich plecami rozległy się kroki.

– Zamknij się – warknęła, ściskając kolejny kabelek. Uśmiechnęła się lekko. – A – powiedziała, do siebie, nie do nich – rozumiem. No to dawaj...

Nagle zgasły wszystkie światła, za wyjątkiem światła alarmowego umieszczonego w kącie sufitu. Szklane drzwi odskoczyły i oczom Akosa ukazała się podłoga, która wyryła się w jego pamięci w kontekście najgorszego wspomnienia: jego brat zmusza go, by ukląkł przed Cyrą Noavek. Białe światła alarmowe jarzyły się przy podłodze wzdłuż całego korytarza, dzieląc go na kwadraty.

Isae biegiem pokonała przejście i popędziła środkiem, zaglądając do kolejnych cel. Akos ruszył za nią, też uważnie rozglądając się dokoła. Czuł się jednak dziwnie wyobcowany, jakby nieobecny duchem. Isae zawróciła i już wiedział, co za chwilę powie.

W jakimś sensie przeczuwał to przez cały czas, od chwili, kiedy zobaczył guzik w dłoni matki, kiedy sobie uświadomił, jak łatwo Sifa

może nimi manipulować, nakierować ich w stronę tej przyszłości, której sama pragnie, nie zważając na koszty.

– Nie ma jej tu – powiedziała Isae. Odkąd ją znał, zawsze w pełni panowała nad sobą, nie załamała się nawet, kiedy porwano Ori. Jej głos nigdy nie zdradzał emocji. A teraz niemal krzyczała. Jakby postradała zmysły. – Nie ma jej tu, Ori tu nie ma!

Akos zamrugął oczami, a powietrze wokół jego głowy zmieniło się w gęsty syrop. Wszystkie cele były puste. Ori znikła.

KIEDY OTWORZYŁY SIĘ PODWÓJNE DRZWI, wiedziałam, że na mnie czas. Spojrzałam jeszcze na Akosa, dostrzegłam czubki palców zabarwione czerwienią od mikstur z szakwiatu, które przygotowywał poprzedniego wieczoru, białą linię blizny wzdłuż żuchwy, i wieczną zmarszczkę między brwiami, nadającą jego twarzy wyraz ciągłej troski. A potem minęłam stojących przede mną ludzi i znalazłam się między żołnierzami, którzy czekali, by otrzymać honory z rąk mego brata.

Kiedy mnie zauważyli, znajdowaliśmy się już w korytarzu prowadzącym na arenę. Trzymałam w dłoni ostrze nurtu. Czułam wewnętrzną moc.

– Hej! – krzyknął jeden z nich. – Nie wolno ci...

Chwyciłam go za łokieć i przyciągnęłam do siebie, dotykając ostrzem dolnego skraju jego zbroi, tuż nad biodrem. Przycisnęłam, akurat z taką siłą, by poczuł ukłucie.

– Przepuście mnie – powiedziałam głośno, żeby wszyscy słyszeli.

– Uwolnię waszego towarzysza, jak tylko znajdziemy się w środku.

– Czy ty jesteś...? – zapytał jeden z żołnierzy, pochylając się, by dojrzeć moją twarz.

Nie odpowiedziałam. Pchnęłam swego jeńca, trzymając rękę na jego zbroi, nie na skórze. Nikt nie ruszył mu na pomoc, co zapewne zawdzięczałam swojej reputacji – reputacji i ciemnym sznurom cienia oplatającym moją szyję i nadgarstki.

Zmrużyłam oczy w jaskrawym świetle na końcu korytarza. Moje uszy wypełnił wrzask tłumu. Wielkie ciężkie wrota zamknęły się za mną i, wciąż mocno trzymając zakładnika, wkroczyłam na arenę. Pole siłowe buczało nad naszymi głowami. Wydzielało kwaśny zapach, przypominający woń solifruta, dobrze znajomy, podobnie jak pył unoszący się w powietrzu z każdym moim krokiem.

W tym miejscu krwawiłam z ran. W tym miejscu krwawiły moje ofiary.

Ryzek siedział na szerokim podwyższeniu, mniej więcej pośrodku widowni. Wzmacniacz krążył nad jego głową. Miał otwarte usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale tylko gapił się na mnie.

Odepchnęłam żołnierza na bok, schowałam ostrze i odrzuciłam kaptur z twarzy.

Ryzek przybrał kpiący uśmieszek.

– No proszę. Spójrzcie tylko. Cyra Noavek, tak szybko do nas wróciłaś? Stęskniłaś się? A może tak popełniają samobójstwo ci, którzy utracili honor?

Tłum zareagował chóralnym rechotem. Na trybunach zasiadali najzagorzalsi zwolennicy władzy, najzamożniejsi, najzdrowsi i najlepiej odżywieni mieszkańcy Shotet. Nagrodziliby śmiechem każdy wątpliwy żart Ryzeka, jak banda klakierów.

Jeden ze wzmacniaczy – sterowany zdalnie przez kogoś w amfiteatrze – przesunął się nad moją głowę, by uchwycić odpowiedź. Patrzyłam, jak podskakuje w powietrzu niczym jaskółka. Wiedziałam, że mam mało czasu, że Ryzek zaraz kogoś na mnie naśle. Musiałam działać szybko i zdecydowanie.

Ściągnęłam rękawiczki i rozpięłam gruby płaszcz, pod którym okropnie się pociałam. Pod spodem nosiłam zbroję. Miałam nagie ramiona, a na twarzy warstwę makijażu, którą nałożyła mi rano Teka, by zakryć sińce. Wyglądałam, jakbym przez noc wyleczyła się z wszelkich obrażeń. Srebrna derma na mojej szyi i głowie lśniła. I okropnie swędziała, łącząc się ze skórą.

Nawet jeśli moje ciało wypełniał ból, nie zwracałam na to uwagi. Zażyłam środek przyrządzony przez Akosa, ale od bólu pozwalała mi oddzielić się przede wszystkim fala adrenaliny.

– Jestem tu, by wyzwać cię na pojedynek – oznajmiłam.

Ludzie na widowni zareagowali niepewnym słabym śmiechem, jakby sami nie wiedzieli, czy mają do tego prawo. Ryzek się nie śmiał.

– Nie wiedziałem, że lubisz takie dramatyczne efekty – powiedział w końcu. Twarz miał spoconą, otarł górną wargę wierzchem dłoni. – Wparować tu z zakładnikiem, by pozbawić życia własnego brata to... cóż, dokładnie tak okrutne, jak wszyscy mogliby się po tobie spodziewać.

– Nie bardziej niż zabicie własnej siostry niemal na śmierć i nagranie tego, żeby wszyscy mogli napawać się tym potwornym widokiem.

– Nie jesteś moją siostrą – powiedział Ryzek. – Jesteś morderczynią mojej matki.

– W takim razie przyjdź ją pomścić – odparłam.

Wśród tłumu na trybunach przebiegały stłumione pomruki, wypełniając stopniowo cały amfiteatr.

– Nie zaprzeczysz, że ją zabiłaś? – spytał Ryzek.

Nie mogłam nawet udawać, że zaprzeczam. Nawet po tak długim czasie wspomnienie było jak żywe. Wrzeszczałam na nią w napadzie wściekłości. *Nie chcę jechać do kolejnego lekarza! Nie chcę!* Chwyciłam ją za ramię i wepchnęłam w nią ból jak rozkapryszony bachor odsuwający od siebie talerz z jedzeniem. Ale pchnęłam zbyt mocno. Osunęła się na ziemię u moich stóp. Najwyraźniej zapamiętałam jej dłonie, zaciśnięte na brzuchu. Tak eleganckie, tak idealne. Nawet w chwili śmierci.

– Nie zamierzam przerzucać się z tobą oskarżeniami – odparłam. – Przyszłam, by zrobić to, co powinnam była zrobić wiele pór temu. Walcz ze mną na arenie. – Wyciągnęłam nóż i odsunęłam rękę w bok. – A zanim mi powiesz, że nie mam odpowiedniej rangi, by cię wyzwąć, pozwól, że zauważę, jak bardzo ta sytuacja jest dla ciebie korzystna.

Ryzek zacisnął szczęki. W dzieciństwie stracił ząb, bo strasznie zgrzytał przez sen, jakby nie mógł wytrzymać stresu, wynikającego z ciągłych nacisków ze strony ojca. Ząb w końcu pękł od ciągłego tarcia i zamiast niego Ryzek miał metalową płytkę. Czasem, kiedy mówił, widziałam, jak metal połyskuje w jego ustach, przypominając o presji, która stworzyła stojącego naprzeciw mnie człowieka.

– Pozbawiłeś mnie rangi – podjęłam – by nikt nie mógł się przekonać, że jestem od ciebie silniejsza. Teraz chowasz się za tronem jak tchórzliwe dziecko i nazywasz to prawem. – Przekrzywiłam głowę. – Ale ludzie nie zapomną twego losu, prawda? Upaść za sprawą rodziny Benesit? – Uśmiechnęłam się. – Odmawiając walki, tylko potwierdzisz to, co wszyscy podejrzewają: że jesteś tchórzliwy oraz słaby.

Wśród publiczności przebiegły stłumione szepty. Nikt do tej pory publicznie nie wypowiedział na głos losu Ryzeka. Jedyłą osobą, która próbowała to zrobić, była matka Teki, przez interkom na statku. I przypłaciła to życiem. Żołnierze przy wejściu poruszyli się

niespokojnie, czekając na rozkaz, by mnie zabić. Ale rozkaz nie padł.

Ryżek tylko się uśmiechnął, pokazując zęby. Nie był to bynajmniej uśmiech osoby zbitej z tropu.

– Dobrze, mała Cyro. Stanę z tobą do walki – powiedział. – Skoro wyłącznie walka ma dla ciebie sens.

Nie mogłam dać się sprowokować, ale Ryżek nieźle sobie radził. Jego uśmiech przyprawił mnie o ciarki. Sprawiał, że cienie nurtu dosłownie pędziły po moim ciele. Wciąż coraz gęstsze, coraz szybsze, napędzane głosem mego brata.

– Tak, sam dokonam egzekucji na zdrajczyni – oznajmił. – Zróbcie przejście.

Znałam ten uśmiech i wiedziałam, co kryje. Ryżek miał plan. Oby mój okazał się lepszy.

Ryżek z wdziękiem schodził z podwyższenia, pośród rozstępującego się tłumu. Zatrzymał się przy barierce, by służący sprawdził, czy paski przy zbroi są odpowiednio naciągnięte, a broń wystarczająco ostra.

W uczciwej walce pokonałabym go w ciągu kilku minut. Ojciec nauczył Ryżeka sztuki okrucieństwa, matka nauczyła go politycznej kalkulacji, mnie wszyscy zostawili samą siebie. Izolacja uczyniła ze mnie doskonałą wojowniczkę. Ryżek o tym wiedział, więc z pewnością nie miał zamiaru walczyć uczciwie. A to znaczyło, że tak naprawdę nie wiedziałam, jaką bronią się posłuży.

Nie spieszył się, zapewne na coś czekał. Tak naprawdę nie zamierzał stanąć do walki. Podobnie zresztą jak ja.

Jeśli wszystko szło zgodnie z planem, jeśli Yma wlała zawartość fiołki do mikstury uspokajającej, którą wypił na śniadanie, lodokwiaty już krążyły w jego organizmie. Trudno było wyliczyć moment, kiedy zaczną działać, była to kwestia indywidualna.

– Strasznie się guzdrasz – zauważyłam, w nadziei, że przyspieszy kroku. – Na co czekasz?

– Na odpowiedni oręż – odparł Ryżek, zeskakując na arenę.

Spod jego stóp uniosła się chmura kurzu. Podwinął lewy rękaw, pokazując rejestr śmierci. Z braku miejsca musiał zacząć stawiać znaki w drugim rzędzie. Przypisywał sobie każde zabójstwo, które zlecił,

nawet jeśli nie wykonał wyroku osobiście.

Powoli dobył ostrza, jednocześnie unosząc ramię, a tłum zaczął głośno wiwatować. Wrzask zagłuszał moje myśli. Nie mogłam oddychać.

Nie był blady i nie miał mętnego wzroku. Nic nie wskazywało na to, że zażył truciznę. Przeciwnie, wyglądał bardziej rześko niż zwykle.

Chciałam rzucić się na niego z nożem gotowym do ciosu, jak strzała wypuszczona z łuku, pojazd transportowy tnący atmosferę. Ale nie zrobiłam tego. On też się nie poruszył.

– Na co czekasz, sestro? – spytał Ryzek. – Straciłaś zimną krew?

– Nie – rzuciłam krótko. – Czekam, aż zacznie działać trucizna, którą połknąłeś dziś rano.

Tłum wstrzymał oddech, a twarz Ryzeka – po raz pierwszy – zastygła w wyrazie zaskoczenia. Nareszcie mi się udało.

– Przez całe życie powtarzałeś mi, że nie mam do zaoferowania nic prócz mocy żyjącej w moim ciele – dodałam. – Ale nie jestem narzędziem tortur i egzekucji, jestem jedyną osobą, która tak naprawdę zna Ryzeka Noaveka. – Zrobiłam krok w jego stronę. – Wiem, że boisz się bólu bardziej niż czegokolwiek na świecie. Wiem, że zebrałeś tych wszystkich ludzi nie po to, by uczcić udany żer, ale po to, by zamordować na ich oczach Orieve Benesit.

Schowałam ostrze i wyciągnęłam ręce na boki, by wszyscy widzieli, że są puste.

– A najważniejszą rzeczą, jaką wiem na twój temat, jest to, że nie potrafisz zabić, jeśli wcześniej nie zażyjesz odpowiednich środków. I właśnie dlatego dziś rano dołałam trucizny do twojej mikstury uspokajającej.

Ryzek dotknął brzucha, jakby mógł poczuć przez zbroję szakwiat powoli wyżerający mu wnętrzności.

– Popeliłeś błąd, widząc we mnie wyłącznie mój dar nurtu i sprawność w sztukach walki. Nie doceniłeś mojej inteligencji – zakończyłam.

I w tym momencie uwierzyłam w te słowa.



POWIETRZE POD ZIEMIĄ BYŁO CHŁODNE, Akos wiedział jednak, że nie dlatego Isae cała się trzęsie.

– Twoja matka mówiła, że Ori tu będzie – powiedziała.

– Widocznie popełniła błąd – odparła Cisi łagodnym głosem. – Czegoś nie zauważyła...

Akos był pewien, że matka nie popełniła żadnego błędu, nie zamierzał jednak dzielić się z nikim tą myślą. Musieli odnaleźć Ori. Skoro nie znaleźli jej w więzieniu, to pewnie powinni poszukać gdzieś bliżej amfiteatru – może wyżej, na arenie czy na platformie, na której Ryzek kazał okaleczyć Cyrę.

– Tracimy czas. Musimy iść na górę, tam jej poszukać – odezwał się, zdumiony siłą własnego głosu. – Szybko.

Widać jego słowa przebiły się do świadomości ogarniętej paniką Isae. Wzięła głęboki wdech i odwróciła się w stronę drzwi. Kroki, które słyszeli chwilę wcześniej, przybrały postać Vasa Kuzara.

– Surukta. Kereseth. Benesit. – Vas nie spuszczał oczu z Isae. Jego warga lekko drgnęła. – Nie taka ładna jak siostra bliźniaczka, mówiąc szczerze. Czy to przypadkiem nie jest blizna po shoteckim ostrzu?

– Benesit? – powtórzyła Teka, zerkając na Isae. – Tak jak w...

Isae kiwnęła głową.

Cisi cofnęła się pod szklaną ścianę jednej z cel i przywarła do niej całym ciałem. Akos zastanawiał się, czy czuje się tak, jakby znów stała w salonie, patrząc jak Vas Kuzar morduje ich tatę. Bo on sam właśnie tak czuł się na początku za każdym razem, kiedy widział Vasa – jakby całe jego wnętrze rozpadało się na kawałki. Ale to minęło.

Vas miał swoje zwykłe puste spojrzenie. To było wielkie rozczarowanie, stwierdzić, że Vas jest całkowicie pozbawiony gniewu, oziębiały zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Łatwiej przychodziło Akosowi myśleć o nim jak o wcieleniu czystego zła, prawda jednak wyglądała tak, że był tylko pieskiem wykonującym polecenia pana.

Powróciło wspomnienie o śmierci taty: ziejąca rana, głęboka czerwień krwi – barwy wstęgi nurtu nad ich głowami, ostrze, które Vas wytarł w nogawkę spodni, zanim opuścił ich dom. Człowiek w lśniącej

shoteckiej zbroi, człowiek o złotobrazowych oczach, który nie czuł bólu. Chyba że – chyba że...

Chyba że dotknie go Akos.

Nie zamierzał dyskutować z Vasem. To byłaby strata czasu. Ruszył w jego stronę. Jego buty zgrzytały na żwirze, którego nanieśli na butach. Oczy Vasa wydawały się w tym świetle okrutne i zimne, mimo ciepłej brązowej barwy.

Akos czuł się jak zwierzę osaczone przez drapieżnika, miał ochotę rzucić się do ucieczki albo przynajmniej utrzymać dzielącą ich przestrzeń. Oddychał przez usta, a nozdrza miał szeroko rozwarte, ale nie mógł złapać wystarczająco głębokiego oddechu.

Vas rzucił się na niego i Akos przybrał rolę ściganej ofiary. Odskoczył na bok, ale nie dość szybko. Nóż Vasa musnął jego zbroję. Akos skrzywił się i obrócił, by stanąć z przeciwnikiem twarzą w twarz.

Chciał, żeby Vas pomyślał, że ma przewagę, żeby poczuł się zbyt pewnie, ponieważ „zbyt pewny” znaczy „nieostrożny”, a to z kolei mogło ocalić Akosowi życie.

Vas przewiercał Akosa stalowym wzrokiem. Nagle zaatakował. Chwycił ramię Akosa ręką, w której nie trzymał noża, i rzucił nim o ścianę. Głowa Akosa odskoczyła. Zobaczył eksplozję kolorów i blask podłogi odbity w suficie. Vas wciąż zaciskał rękę na jego ramieniu, wystarczająco mocno, by zostawić siniaki.

I na tyle blisko, że dało się ją chwycić. Akos wykonał ruch, zanim Vas zdążył zadać kolejny cios, i odgiął do tyłu rękę z nożem, wkładając w to całą swą siłę. Oczy Vasa rozszerzyły się w zdumieniu. Zapewne po raz pierwszy w życiu poczuł ból. Akos próbował walnąć czołem w nos przeciwnika, lecz Vas odepchnął go na bok.

Akos upadł. Żwir wbił się w spód jego dłoni. Widział, jak Teka ciągnie za sobą Isae i Cisi, trzymając dłonie na ich ramionach. Poczul ulgę. Po jego karku spływała strużka krwi, a może potu, nie był pewien. Głowa pulsowała od zderzenia ze ścianą. Vas był silny, on nie.

Vas oblizał wargi i znów ruszył do ataku. Wymierzył kopniaka w bok osłonięty zbroją. I kolejnego. Trafił czubkiem buta w szczękę. Akos padł płasko na plecy, zakrywając twarz rękami i jęcząc z bólu. Nie mógł pozbierać myśli, nie mógł nawet oddychać.

Vas zaśmiał się. Pochylił się nad Akosem, chwycił go z przodu za zbroję i podciągnął do góry.

– W przyszłym życiu – wycedził przez zęby, tryskając śliną na twarz Akosa – przekaz ojcuzłkowi pozdrowienia ode mnie.

Akos uświadomił sobie, że to jego ostatnia szansa. Przyłożył dłoń do szyi Vasa. Nawet nie złapał, po prostu lekko dotknął, na więcej nie miał sił. Vas posłał mu zaskoczone spojrzenie, takie samo jak wcześniej, spojrzenie pełne bólu. Pochylił się, odsłaniając fragment skóry między zbroją a paskiem od spodni. Akos, wciąż nie zabierając ręki, sprawiającej ból, wyciągnął drugą ręką nóż z cholewki i zadał cios. Prosto w odsłonięte miejsce. Prosto w brzuch.

Oczy Vasa rozwarły się tak szeroko, że Akos zobaczył białka otaczające tęczówki. A potem Vas zaczął krzyczeć. Krzyczał, a w jego oczach pojawiły się łzy. Akos czuł na rękach jego gorącą krew. Trwali spleceni w śmiertelnym uścisku, nóż Akosa w ciele tamtego, jego ręce na ramionach Akosa, złączeni spojrzeniem. Razem osunęli się na ziemię. Vas głośno załkał.

Akos nie spieszył się. Chciał mieć pewność, że przeciwnik nie żyje.

Przypomniął sobie guzik w dłoni mamy, zmatowiały od dotyku, i wyciągnął nóż z wnętrzości przeciwnika.

Tyle razy marzył o tym, by zabić Vasa Kuzara. To pragnienie przypominało bicie drugiego serca w jego piersi. Ale w snach stał nad ciałem Vasa i wznosił nóż do nieba, pozwalając, by krew spływała mu po ramionach niczym fragment wstęgi nurtu. W snach czuł triumf, rozkosz zwycięstwa i zemsty. Czuł, że wreszcie pozwolił tacie odejść.

W snach nie kulił się pod ścianą, nie tarł z całych sił ręki chusteczką. Nie trząsał się tak okropnie, aż upuścił ją na lśniąca podłogę.

Vas martwy wydawał się znacznie mniejszy. Wciąż miał uchylone powieki oraz usta, w których było widać zakrzywione zęby. Akos przełknął ślinę, by nie zwymiotować.

*Ori*, pomyślał nagle. Podniósł się, zatoczył i ruszył biegiem w stronę drzwi.

RYZEK ODERWAŁ DŁOŃ OD BRZUCHA. Czoło znaczyły mu krople potu. Oczy, zwykle tak przenikliwe, zamgliły się. Nagle jego usta skrzywiły się w grymasie bólu, zaskakująco... kruchym.

– To ty popełniłaś błąd – powiedział, dziwnie wysokim i miękkim głosem. Głosem charakterystycznym, którego nie mogłam nie pamiętać: głosem Eijeha. Jak to możliwe, że Ryzek i Eijeh żyli w jednym ciele, na zmianę wynurzając się na powierzchnię? – Zmuszając jego rękę do ciosu.

*Jego rękę?*

Dźwięki dochodzące z tłumu zmieniły charakter. Nikt już nie patrzył na Ryzeka. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę podwyższenia, z którego zszedł przed chwilą i na którym stał teraz Eijeh, przykładając nóż do gardła jakiejś kobiety.

Rozpoznałam ją. Nie z nagrania, które nadawano na ekranach w dniu, kiedy ją pojmano, ale dzięki kilku ostatnim dniom, kiedy to miałam okazję obserwować Isae Benesit, kiedy widziałam, jak mówi, je i się śmieje. To była jej siostra bliźniaczka, Orieve Benesit, bez blizn na twarzy.

– O tak, oto broń, na którą czekałem – powiedział Ryzek i zaśmiał się, już swoim normalnym głosem. – Cyro, poznaj Orieve Benesit, kanclerz Thuvhe.

Szyję kobiety pokrywały fioletowe sińce. Na czole widniał ślad po głębokim cięciu. Ale kiedy nasze oczy się spotkały, nie zobaczyłam w jej spojrzeniu strachu przed śmiercią. Wyglądała jak ktoś, kto wie, co się za chwilę wydarzy i zamierza stawić temu czoło z wysoko podniesioną głową.

Czy Ryzek wiedział, że Orieve nie jest kanclerzem? A może tak mu powiedziała? Tak czy inaczej było za późno. Za późno.

– Ori – powiedziałam. I dodałam w thuvhe: – Próbowała cię uratować.

Nie miałam pojęcia, czy mnie słyszy. Milczała.

– Thuvhe jest dla Shotet jak plac zabaw – oznajmił Ryzek. – Bez trudu najechaliśmy te ziemie, a moi słudzy bez trudu pojмали kanclerz.

I nie będzie ona naszym jedynym łupem. Wkrótce zapanujemy nad całą planetą!

Zwolennicy Ryzeka odpowiedzieli na jego słowa ogłuszającym wrzaskiem. Ich twarze wykrzywiała radość. Cienie nurtu owinęły się wokół mojego ciała, ciasno niczym sznury pętające więźnia. Drgnęłam z bólu.

– Jak sądzicie? – zwrócił się Ryzek do publiczności, unosząc głowę. – Czy kanclerz powinna ponieść śmierć z ręki jednego z jej byłych poddanych?

Ori nie odrywała ode mnie spojrzenia. Wciąż milczała, a wzmacniacze krążyły tak blisko jej głowy, że o mało nie uderzyły Eijeha. Eijeha, który nosił grozę mojego brata w środku swojej głowy.

Tłum natychmiast zaczął skandować:

– Śmierć!

– Śmierć!

– Śmierć!

Ryzek szeroko rozłożył ramiona, jakby pławił się w tych dźwiękach. Obrócił się, powoli, zagarniając w ramiona coraz więcej i więcej głosów, aż żądza mordy wydała się niemal namacalna, zaczęła ciężać w powietrzu. Po chwili z szerokim uśmiechem uniósł ręce, by uciszyć tłum.

– To chyba Cyra powinna wybrać właściwy moment. – Nieco zniżył głos i dodał: – Jeśli upadnę, jeśli nie podasz mi lekarstwa, ona zginie.

– Ale nie ma lekarstwa – odparłam słabo.

Mogłam ją uratować. Mogłam powiedzieć mu prawdę – prawdę, której nie zdradziłam nikomu, nawet Akosowi, kiedy błagał mnie, bym nie niszczyła resztek nadziei, którą wciąż żywił co do brata – mogłam odwlec egzekucję. Otworzyłam usta, by sprawdzić, czy wyjdą z nich słowa prawdy, pomimo ogarniającego mnie paraliżu.

Gdybym powiedziała Ryzekowi prawdę – gdybym ocaliła Ori życie – wszyscy utknęlibyśmy w tym amfiteatrze, otoczeni morzem zwolenników Ryzeka, bez szans na zwycięstwo.

Miałam sucho w ustach. Nie mogłam przełknąć śliny. Nie, dla Orieve Benesit było już za późno. Nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam

jej uratować, jednocześnie nie poświęcając nas wszystkim. W tym prawdziwej kanclerz Thuvhe.

Ryzek zachwiał się, a ja zrobiłam krok do przodu, wyciągając broń, by napotkała jego upadające ciało. Zadałam cios, a ciężar ciała mojego brata pociągnął nas oboje na ziemię.

A na platformie, wysoko nad naszymi głowami, Eijeh Kereseth – wymizerowany chłopak o szeroko rozwartych oczach – wbił ostrze w brzuch Orieve Benesit.

I przekreślił.

KIEDY ORI OSUNĘŁA SIĘ BEZ SIŁ, rozległ się krzyk mrozący krew w żyłach. Ryzek upadł na bok, jego ramiona skrzyżowały się na piersi, a głowa bezwładnie uderzyła o ziemię. Cyra podniosła się, wciąż trzymając nóż w ręku. A więc zrobiła to. Zabiła brata, jednocześnie zabijając ostatnią nadzieję na odzyskanie Eijeha.

W amfiteatrze zapanował chaos. Isae torowała sobie drogę wśród tłumu, przepychając się z zaciśniętymi zębami w stronę podwyższenia. Akos przeskoczył przez barierkę i przebiegł przez arenę, minął Cyrę i Ryzeka, przeskoczył przez drugą barierkę i ponownie zanurzył się w tłumie. Ludzie rozpychali się łokciami, kopali i napierali. Miał na palcach czyjaś krew, ale nie dbał o to.

Ori zacisnęła ręce na ramionach Eijeha, by nie upaść. Próbowwała oddychać, ale krew buchnęła jej z ust. Eijeh pochylał się nad nią, trzymając ją za łokcie, razem osunęli się na ziemię. Ori zmarszczyła brwi. Akos patrzył na nią w milczeniu, nie chciał przeszkadzać.

– Żegnaj, Eij – wyszeptała, a wzmacniacz pochwycił jej głos.

Akos dalej przecisnął przez tłum. Gdzieś w oddali krzyczały dzieci. Jakaś kobieta jęczała, bo ktoś na nią nadepnął – nie mogła się podnieść, ludzie ją tratowali.

Isae wbiegła na podwyższenie i z dzikim rykiem pchnęła Eijeha, przewróciła go na ziemię i rzuciła się na niego, zaciskając dłonie na jego szyi. Nie poruszył się, chociaż go dusiła.

Akos nie od razu zareagował, przez chwilę tylko się przyglądał. Eijeh zabił Ori. Może zasłużył na śmierć.

– Isae – powiedział w końcu schrypniętym głosem – przestań.

Ori wyciągnęła rękę w stronę siostry, chwytając palcami pustą przestrzeń. Dostrzegłszy to, Isae puściła Eijeha i uklękła obok niej. Ori przycisnęła rękę siostry do piersi, ich oczy się spotkały.

Przelotny uśmiech. I już jej nie było.

Akos wbiegł na podwyższenie. Ciemne ubranie Ori przesiąkło krwią. Isae nie płakała, nie krzyczała, nawet nie drżała. Eijeh, nie wiadomo dlaczego, leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami.

Przeleciał nad nimi jakiś cień. Świecący na pomarańczowo, żółto

i czerwono statek buntowników, sterowany przez Sifę, przybył im na ratunek.

Teka już stała przy panelu kontrolnym po prawej stronie podwyższenia. Próbowwała oddzielić ekran od reszty urządzenia, lecz ręce jej się trzęsły i nie mogła trafić w śrubki. W końcu Akos wyciągnął nóż i wsunął go między ekran i urządzenie. Teka kiwnęła głową, po czym wcisnęła palce do środka, by wyłączyć pole siłowe.

Rozbłysło ostre białe światło i pole zgasło. Statek opuścił się, tak nisko, jak tylko mógł, nie miażdżąc trybun. Właz w podłódze otworzył się i wysunęły się schodki.

– Isae! – krzyknął Akos. – Musimy uciekać!

Isae rzuciła mu lodowate spojrzenie. Wsunęła dłonie pod pachy siostry i próbowała ją ciągnąć. Akos chwycił za nogi Ori, chciał pomóc, ale Isae warknęła:

– Zabieraj łapy! – więc się cofnął. Tymczasem Cisi zdążyła dotrzeć do podwyższenia i razem z Isae zaniósły ciało Ori do wnętrza statku.

Akos odwrócił się i spojrzał na Eijeha, który przez cały czas leżał nieruchomo. Potrząsnął brata za ramię, lecz on wciąż nie reagował. Przyłożył palce do jego szyi, by sprawdzić, czy żyje. Żył. Mocny puls. Mocny oddech.

– Akos! – krzyknęła Cyra, która nadal stała na arenie, pochylona nad ciałem Ryzeka z nożem w dłoni.

– Zostaw to! – krzyknął.

Czemu nie mieliby zostawić ciała Ryzeka sępom i wiernym sługom Noaveków?

– Nie! – zawołała w odpowiedzi. Jej oczy patrzyły nagląco. – Nie mogę!

Uniosła wysoko nóż. Akos nie przyglądał się wcześniej wszystkiemu zbyt uważnie, widział tylko bezwładne ciało Ryzeka i stojącą nad nim Cyre. Ale teraz, kiedy wskazała na ostrze, zauważył, że jest ono czyste.

Nie dźgnęła Ryzeka. Nie zadała ciosu. A więc dlaczego upadł na ziemię?

Akos zobaczył w pamięci twarz Suzao w kafeterii i nieprzytomnego strażnika przed wejściem do amfiteatru. Nagle



wszystko stało się jasne: Cyra *odurzyła* Ryzeka.

I chociaż wiedział, że jest ona czymś więcej niż Biczem Ryzeka, czymś więcej niż Katem – i chociaż poznał jej inne, lepsze strony, rosnące w siłę w możliwie najgorszych okolicznościach, niczym szakwiaty rozkwitające w czasie Wytłumienia – jakoś nigdy nie przyszła mu do głowy taka możliwość.

Cyra oszczędziła Ryzeka. Ze względu na niego.

WŁAZ ZAMKNAŁ SIĘ ZA NAMI. Rozwiązałam linę na piersi Ryzeka, ale najpierw sprawdziłam puls. Był słaby, ale stabilny, tak jak powinien. Biorąc pod uwagę, w którym momencie Ryzek upadł oraz jak mocna była mikstura nasenna Akosa, trochę miało potrwać, zanim odzyska przytomność. Nie zraniłam go, ale bardzo się starałam, by udawany cios wyglądał naturalnie, w razie gdyby ktoś oglądał w zbliżeniu nagranie.

Yma Zetsyvis, bladobłękitna kolumna, znikła w zamieszaniu, które ogarnęło amfiteatr. Żałowałam, że nie mogę jej podziękować, ale w końcu nie podała Ryzekowi trucizny ze względu na mnie, wierzyła – zgodnie z moimi zapewnieniami – że środek go zabije. Zapewne wcale nie chciałyby mojej wdzięczności. A kiedy się dowie, że ją okłamałam, pewnie jeszcze bardziej mnie znienawidzi.

Isae i Cisi klęczały przy ciele Ori. Akos stanął za plecami siostry i ją przytulił. Dar Akosa pozwolił Cisi na łzy.

– Niech nurt, który przepływa przez nas i wszystko wokół nas, to, co żywe, i to, co odeszło, poprowadzi Orieve Benesit do miejsca pełnego pokoju – wymruczała Cisi, kładąc dłonie na zakrwawionych dłoniach Isae. – Obyśmy my, którzy żyjemy, wyraźnie słyszeli jego kojący szum, obyśmy we wszystkich naszych działaniach kroczyli ścieżką, którą nam wyznacza.

Cisi odgarnęła włosy z twarzy Isae, sztywne i przyklejone do warg, mokre od śliny, i założyła je za uszy. Czułam ciepło i ciężar jej daru nurtu, który przywracał mnie samej sobie.

– Niech tak się stanie – powiedziała wreszcie Isae, widocznie kończąc w ten sposób modlitwę.

Nigdy nie słyszałam modlitw z Thuvhe, wiedziałam tylko, że zwracają się one bezpośrednio do nurtu, a nie do jego domniemanego władcy, jak to było w przypadku niektórych pomniejszych sekt w Shotet. Modlitwy w Shotet przypominały raczej listy żądań niż prośby. Podobała mi się szczerza niepewność modlitwy ludu z Thuvhe, świadomość, że nie wiedzą, czy ich prośby zostaną wysłuchane.

Isae podniosła się, ręce trzymała bezwładnie opuszczone wzdłuż

ciała. Nagle statek szarpnął i wszyscy stracili równowagę. Nie martwiłam się, że będą nas ścigać nad Voą, bo nie było nikogo, kto mógłby wydać rozkaz.

– Wiedziałaś – Isae popatrzyła oskarżycielsko na Akosa – że Ryzek zrobił twojemu bratu pranie mózgu. Od samego początku wiedziałaś, że jest niebezpieczny.

– Nie przypuszczałem, że... – Akos urwał. – Kochał ją jak siostrę.

– Nie waż się tak mówić. – Isae zacisnęła dłonie w pięści, aż knykcie zbieleły. – Była moją siostrą. Nie należy do niego ani do ciebie, ani kogokolwiek innego!

Zbyt pochłonięta ich rozmową, dopiero po chwili zobaczyłam, że Teką uklękła obok Ryzeka. Przyłożyła rękę do jego szyi, piersi, wsunęła ją pod zbroję.

– Cyro? – spytała cicho. – Dlaczego on żyje?

Wszyscy – Isae, Cisi, Akos – spojrzeli na Tekę, natychmiast przerywając rozmowę. Isae powiodła wzrokiem od ciała Ryzeka do mnie. Zesztywniałam. Jej ruchy, jej sposób mówienia robiły niepokojące wrażenie, jakby była przyczajonym zwierzęciem, gotowym w każdej chwili rzucić się do ataku.

– Ryzek to ostatnia nadzieja na odzyskanie Eijeha – odparłam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam. – Chwilowo postanowiłam go oszczędzić. Kiedy przywróci Eijehowi wspomnienia, z radością wyrwę mu serce.

– Eijeh – zaśmiała się Isae. Wbiła wzrok w sufit i zaśmiała się jeszcze raz, jak obłąkana. – Trucizna, którą podałaś Ryzekowi, jedynie go uśpiła... ale nie powiedziałaś mu tego, kiedy stawką było życie mojej siostry?

Podeszła do mnie, zgniatając butem palce Ryzeka.

– Uznałaś nikłą nadzieję na uratowanie zdrajcy – powiedziała cichym głosem – za ważniejszą od życia siostry kanclerz Thuvhe.

– Gdybym powiedziała Ryzekowi prawdę o truciznie, utknęlibyśmy w amfiteatrze jak w pułapce, bez szans na ucieczkę, a on i tak zabiłby twoją siostrę – odparłam. – Wybrałam opcję, która zapewniła nam przetrwanie.

– Bzdury. – Isae zbliżyła twarz do mojej twarzy. – Wybrałaś

Akosa. Nie udawaj, że było inaczej.

– Dobra – odparłam równie cichym głosem. – Musiałam wybrać między tobą a Akosem. Wybrałam jego. I nie żałuję.

Nie była to w pełni prawda, ale po części na pewno tak. Jeśli Isae pragnęła czystej nienawiści, to mogłam ułatwić jej zadanie. Przyzwyczaiałam się, że ludzie mnie nienawidzą, szczególnie ludzie z Thuvhe.

Isae kiwnęła głową.

– Isae... – zaczęła Cisi, ale Isae nie słuchała. Zniknęła w kambuzie i zamknęła za sobą drzwi.

Cisi otarła policzki wierzchem dłoni.

– Nie mogę w to uwierzyć. Vas nie żyje, a Ryzek tak – potrząsnęła głową Teką.

Vas nie żyje? Spojrzałam na Akosa, on jednak unikał mojego wzroku.

– Noavek, podaj jakiś powód, dla którego miałabym nie zabić Ryzeka w tym momencie – powiedziała Teką, odwracając się w moją stronę. – I jeśli ten powód ma coś wspólnego z Keresethami, to ci przyłożę.

– Jeśli go zabijesz, nie licz na moją współpracę przy realizacji kolejnego planu, który wy, buntownicy, wymyślicie – odparłam chłodno, nie patrząc na nią. – Jeśli pomożecie mi zachować go przy życiu, ja pomogę wam podbić Shotet.

– Tak? A na czym niby dokładnie miałyby ta pomoc polegać?

– Och, nie wiem, Teko – warknęłam, rzucając jej mordercze spojrzenie. – Wczoraj buntownicy beczynnie squatowali w rozwalonym budynku w Voi, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć, dzisiaj stoją nad ciałem nieprzytomnego Ryzeka Noaveka, a cała Voa pogrążyła się w chaosie. To chyba mogłoby sugerować, że posiadam całkiem spore możliwości pomocy buntownikom, nie sądzisz?

Teką wciągnęła do środka wewnętrzną część policzka. Po chwili namysłu powiedziała:

– Pod pokładem znajduje się luk zaopatrzone w potężne drzwi. Wrzucę go tam, w razie gdyby się obudził, kiedy my będziemy spali. – Potrząsnęła głową. – Wiesz, wojny wybuchały ze znacznie słabszych

powodów. Rozgniewałaś nie tylko ją, ale i cały naród.

Ścisnęło mnie w gardle.

– Wiesz, że nie mogłam ocalić Ori, nawet gdybym zabiła Ryzeka – odparłam. – Znaleźliśmy się w pułapce.

– Wiem. – Tekka westchnęła. – Jestem jednak pewna, że Isae Benesit tak nie uważa.

– Porozmawiam z nią – zaproponowała Cisi. – Sprawię, że sama to zobaczy. W tym momencie potrafi tylko szukać winnych.

Zrzuciła kurtkę, odsłaniając ramiona pokryte gęsią skórą, i okryła nią Ori. Akos pomógł jej wetknąć brzegi kurtki pod ramiona i biodra, tak by zakryć ranę. Cisi przeczesła palcami jej włosy.

Potem wyszli. Cisi udała się do kambuza, Akos zaś do ładowni. Szedł ciężkim krokiem, ręce mu się trzęsły.

Spojrzałam na Tekę.

– Zanieśmy ich.

Zaciągnęłyśmy po kolei Ryzeka i Eijeha do osobnych pomieszczeń w luku. Przyniosłam więcej środka usypiającego, zamierzałam podać go Eijehowi. Nie bardzo wiedziałam, co mu jest – nadal leżał nieprzytomny i nie reagował – ale jeśli miał się obudzić jako ten wypaczony człowiek, który zamordował Ori Benesit, to wolałam temu zapobiec, przynajmniej chwilowo.

Potem poszłam na pokład nawigacyjny. Sifa Kereseth siedziała w fotelu kapitana, z dłońmi na sterach i gałkach. Jyo próbował z pomocą swojego ekranu skontaktować się z Jorekiem, który po zamieszczeniu w amfiteatrze udał się do domu, po matkę. Usiadłam na pustym miejscu obok matki Akosa. Znajdowaliśmy się wysoko w warstwie atmosfery i zbliżaliśmy się do krańca błękitu, który dzielił nas od przestrzeni kosmicznej.

– Dokąd lecimy? – spytałam.

– Na razie na orbitę, póki nie będziemy mieć jakiegoś planu – odparła Sifa. – Do Shotet, rzecz jasna, nie możemy wrócić, w Thuvhe też jeszcze nie jest bezpiecznie.

– Wiesz może, co się dzieje z Eijehem? – spytałam. – Nie rusza się i nie reaguje.

– Nie. Jeszcze nie wiem.

Przymknęła oczy. Zastanawiałam się, czy może przeszukiwać przyszłość na takiej zasadzie jak gwiazdy. Niektóre osoby po mistrzowsku panowały nad swoim darem, inne po prostu mu służyły – zawsze się zastanawiałam, do której kategorii należy wyrocznia z Hessy.

– Sądzę, że wiedziałaś, jak to się skończy – zaczęłam cichym głosem. – Powiedziałaś Akosowi, że wizje nakładają się na siebie, że Ori będzie w celi w tym samym czasie, kiedy rzucę wyzwanie Ryzekowi. Ale wiedziałaś, że będzie inaczej, prawda? – urwałam. – Wiedziałaś też, że Akos będzie musiał walczyć z Vasem. Chciałaś, żeby nie miał wyboru, żeby musiał zabić człowieka, który zamordował twojego męża.

Sifa dotknęła mapy autonawigacyjnej i kolory się zmieniły – czarny oznaczał przestrzeń kosmiczną, a biały naszą trasę – po czym odchyliła się na oparcie fotela, składając dłonie na kolanach. Najpierw myślałam, że zaraz odpowie na moje pytanie, ale ponieważ długo nic nie mówiła, zorientowałam się, że nie ma takiego zamiaru. Nie naciskałam. Moja matka również była nieustępliwa, a ja wiedziałam, kiedy należy się poddać.

– Śmierć mojego męża domagała się zemsty. Pewnego dnia Akos też to przyzna – odezwała się w końcu.

– Nieprawda – odparłam. – Zobacz tylko, że manipulowała nim jego własna matka, że skłoniła go do zrobienia tego, czego nienawidzi najbardziej na świecie.

– Możliwe – odparła.

Ciemna przestrzeń owijała się wokół nas niczym kir. Poczułam spokój, pocieszenie płynące z pustki. To była wyprawa o innym charakterze niż poprzednie. Zostawiałam za sobą przeszłość, a nie jak zwykle miejsce, które powinnam nazywać domem. Tutaj granica między Shotet a Thuvhe zdawała się trudniejsza do uchwycenia. Poczułam się prawie bezpiecznie.

– Zajrzę do Akosa – oznajmiłam.

Ale zanim zdążyłam się podnieść, zacisnęła rękę na moim ramieniu i pochyliła się w moją stronę, tak blisko, że zobaczyłam błyski ciepłego brązu w jej ciemnych oczach. Drgnęła, ale nie puściła.

– Dziękuję – powiedziała. – Jestem pewna, że niełatwo ci przyszło wybrać łaskę dla mego syna zamiast zemsty na bracie.

Wzruszyłam ramionami. Czułam się nieswojo.

– Nie mogłabym pozbyć się własnych koszmarów, pozwalając żyć tym, które dręczą Akosa – odparłam. – Poza tym potrafię znosić koszmary.

KIEDY LUDZIE RYZEKA PORWALI AKOSA I EIJEHA Z DOMU i zaciągnęli ich na drugi koniec Działu, kiedy Akos uwolnił się z kajdanek, ukradł nóż Kalmevowi Radixowi i zadał mu śmiertelny cios, kiedy zbili Akosa tak, że ledwo mógł chodzić, poprowadzili braci Kereseth do Voi, przed oblicze Ryzeka Noaveka, w dół skalnej ściany, przez zapyłone kręte uliczki – obaj byli pewni, że wkrótce czeka ich śmierć, a może coś jeszcze gorszego. Było zbyt głośno, zbyt tłocznie, zbyt inaczej niż w domu.

Kiedy szli krótkim tunelem wiodącym do głównej bramy rezydencji Noaveków, Eijeh szepnął:

– Bardzo się boję.

Śmierć taty i porwanie sprawiły, że pękł jak skorupka jajka. Z oczu bez ustanku ciekły mu łzy. W przypadku Akosa stało się odwrotnie.

Jego nikt nie mógł złamać.

– Obiecałem tacie, że cię stąd wyciągnę – powiedział do Eijeha. – I zamierzam dotrzymać słowa, jasne? Wyjdiesz stąd. Tym razem składam obietnicę tobie.

Otoczył brata ramieniem i przyciągnął go do siebie. Razem weszli do środka.

A teraz byli na zewnątrz, ale już nie szli obok siebie. Akos musiał go ciągnąć.

Ładownia była mała i zawilgocona, ale znajdowała się tam umywalka, a Akos niczego więcej nie potrzebował. Rozebrał się do pasa. Koszula tak przesiąkła krwią, że nie nadawała się do prania. Puścił wodę i czekał, aż nagrzej się do granicy wytrzymałości, spienił mydło w dłoniach. Potem wsadził głowę pod kran. Poczul w ustach słoną wodę. Zaczął szorować ręce i całe ramiona, wymywał spod paznokci zaschniętą krew. I przestał się kontrolować.

Wybuchnął płaczem w strumieniu wody, czuł przerażenie, ale też ulgę. Szum tłumiał dziwne dźwięki wychodzące z jego ust. Bolące mięśnie drżały w cieple.

Nie zdążył się pozbierać, kiedy Cyra pojawiła się na drabince. Wisiał nad zlewem, obejmując głowę bezwładnymi ramionami. Cyra



wypowiedziała jego imię, a on zmusił się, by wstać, i odnalazł jej oczy w pękniętym lusterku. Strugi wody spływały po jego karku i plecach, moczyły spodnie. Zakręcił kran.

Uniosła rękę i przerzuciła włosy na jedną stronę. Jej oczy były ciemne jak przestrzeń kosmiczna. Kiedy omiotła go spojrzeniem, nabrały miękkości. Cienie nurtu krążyły po jej ramionach i spowijały obojczyki, leniwym powolnym ruchem.

– Vas? – zapytała.

Kiwnął głową.

W tym momencie podobało mu się, że nie mówi tych wszystkich rzeczy. Żadnych: „Chyba nie będziemy nad nim płakać”, „Zrobiłeś to, co musiałeś zrobić” czy nawet zwykłego: „Wszystko będzie dobrze”. Cyra nie miała cierpliwości do tego rodzaju formułek. Woląca nawet najgorszą prawdę, wybierała ją zawsze. Lądowała na twardej ziemi, zdecydowana połamać sobie kości, ponieważ wiedziała, że kiedyś się zagoją, a nawet wzmocnią.

– Chodź – powiedziała. – Poszukamy czystego ubrania.

Wyglądała na zmęczoną, ale tak zwyczajnie, jak ktoś po długim dniu pracy. I miała w sobie coś jeszcze – ponieważ jej życie tak twardo się z nią obeszło, reagowała spokojniej niż większość ludzi, kiedy trzeba było stawić czoło trudnościom. Może czasem wcale nie było to takie dobre.

Wyciągnął korek i zabarwiona czerwienią woda powoli zniknęła w odpływie, izyt za izytem. Akos wytarł się w wiszący obok ręcznik. Kiedy odwrócił się twarzą do Cyry, cienie nurtu oszalały, tańczyły na jej ramionach i piersi. Skrzywiła się lekko, ale ból najwyraźniej zmienił charakter. Nie był już tak dotkliwy.

Wspięli się po drabince, przeszli wąskim korytarzem i otworzyli szafę, w której piętrzyły się stosy pościeli i ręczników, a na samym dole leżało trochę zapasowych ubrań. Akos włożył zbyt dużą, czystą koszulkę. Od razu poczuł się lepiej.

Cyra tymczasem ruszyła z powrotem na pokład nawigacyjny, już pusty, ponieważ statek leciał teraz po orbicie. Opodal wjazdu stały Sifa i Tekka, zajęte owijaniem ciała Ori w białe prześcieradła. Drzwi kambuzu były nadal zamknięte, w środku siedziały Cisi i Isae.

Akos podszedł do stojącej przy oknie Cyry. Zawsze pociągały ją takie widoki, wielka przepastna pustka. On nie mógł ich znieść, podobało mu się jednak migotanie gwiazd, blask dalekich planet oraz ciemna purpura i fiolet wstęgi nurtu.

– Jest taki wiersz w shotet, który bardzo lubię – powiedziała w bezbłędnym thuvhe. Przez cały ten czas, który razem spędzili, tylko kilka razy słyszał, jak wypowiada nieliczne słowa w jego języku. Fakt, że teraz to zrobiła, o czymś świadczył – byli sobie równi, w takim sensie, w jakim nie mogli być równi do tej pory. O mało nie przypłaciła tego życiem.

Zmarszczył brwi. Miarą człowieczeństwa jest to, jak zachowuje się w chwili cierpienia. A Cyra, wiecznie skazana na ból, niemal oddała życie, by uwolnić go z shoteckiego więzienia. Zawsze będzie o tym pamiętał.

– Trudno to przetłumaczyć – ciągnęła. – Ale jeden z wersów brzmi mniej więcej tak: „Człowiek pogrążony w smutku wie, że sprawiedliwości stało się zadość”.

– Masz świetny akcent – stwierdził.

– Lubię uczucie, które wywołują słowa w tym języku. – Dotknęła szyi. – Przypominają mi o tobie.

Akos ujął jej dłoń i splótł palce z jej palcami. Cienie znikły. Brązowa skóra pobladła, oczy patrzyły jednak czujnie jak zwykle. Może mógłby polubić widok wielkiej pustki, gdyby kojarzył go z jej oczami, miękką ciemnością z dodatkiem odrobiny ciepła.

– Sprawiedliwości stało się zadość – powtórzył. – Pewnie można tak na to spojrzeć, w pewnym sensie.

– To mój sens – rzekła. – Sądząc po twojej minie, wybrałaś drogę poczucia winy i użalania się nad sobą.

– Chciałem go zabić – odparł. – I ta świadomość przyprawia mnie o mdłości.

Zadrzał i utkwiał wzrok w swoich dłoniach. Popękanych od uderzeń, tak jak dłonie Vasa.

Cyra odczekała chwilę i powiedziała:

– Trudno stwierdzić, co jest słuszne. Robimy, co tylko w naszej mocy, ale tak naprawdę potrzebujemy łaski. Wiesz, kto mnie tego

nauczył? – Uśmiechnęła się szeroko. – Ty.

Nie bardzo wiedział, jak niby ją tego nauczył, znał jednak cenę, jaką przyszło jej zapłacić. Łaska dla Eijeha – i ocalenie życia Ryzekowi, przynajmniej chwilowo – oznaczały, że musiała zachować swój najgorszy ból. Znaczyły, że musiała wymienić triumf na gniew Isae i odrazę buntowników. Ale wydawała się niewzruszona. Nikt tak jak Cyra Noavek nie potrafił znosić ludzkiej nienawiści. Czasem nawet sama ją prowokowała. A on to rozumiał. Uważała, że lepiej, by ludzie trzymali się od niej z daleka, lepiej dla siebie samych.

– Co? – zapytała.

– Lubię cię, wiesz?

– Wiem.

– Chodzi mi o to, że lubię cię taką, jaka jesteś, nie chcę, żebyś się zmieniała. – Uśmiechnął się. – Nigdy nie uważałem cię za potwora czy broń, czy... jak ty to określałaś? Zardzewiały...

Nie dokończyła. Miała chłodne opuszki palców, przeciągnęła nimi delikatnie po bliznach i sińcach na jego skórze, takim ruchem, jakby chciała je zmasać. Smakowała jak liście sendesu i szakwiat, jak solifrut i jak dom.

Dotykał jej, oddychając tuż przy jej skórze. Dłonie nabierały odwagi, palce splatały się z palcami, plątały we włosach, zagarniały garście tkaniny. Odnajdywały miękkie miejsca, których nikt dotąd nie dotykał, jak wcięcie w jej talii, jak dolna część jego szczęki. Ciała napierały na siebie, biodro przy brzuchu, kolano przy udzie...

– Hej! – krzyknęła Tecka. – Wy dwoje! Nie jesteście sami!

Cyra obróciła się na pięcie i rzuciła Tece mordercze spojrzenie. Akos wiedział, co poczuła. Pragnął więcej. Pragnął wszystkiego.

ZESZŁAM PO SCHODACH WIODĄCYCH DO LUKU, gdzie w jednym z pomieszczeń leżał mój brat. Drzwi zrobiono z solidnego metalu i zaopatrzono w wywietrznik pod niskim sufitem, by zapewnić dopływ powietrza. Szłam powoli, przesuając palcem po gładkiej ścianie. Światła migają nad moją głową za każdym razem, kiedy przez statek przechodziło drzenie.

Wywietrznik znajdował się na poziomie moich oczu, więc zjrzałam do środka. Spodziewałam się, że zobaczę bezwładne ciało Ryzeka leżące na podłodze obok butli z rozpuszczalnikiem czy tlenem, ale nie. W pierwszej chwili w ogóle go nie dostrzegłam. Już chciałam wezwać pomoc, gdy nagle pojawił się w moim polu widzenia.

Widziałam wyraźnie jego oczy, zamglone, ale wciąż przepelnione pogardą.

– Jesteś jeszcze większym tchórzem, niż sądziłem – zawarczał.

– To ciekawe uczucie, znajdować się wyjątkowo po tej stronie – odparłam. – Uważaj, bo potraktuję cię równie niemilo, jak ty potraktowałeś mnie.

Uniosłam rękę, pozwalając, by rozwinęła się wokół niej nitka cienia. Atramentowe wici oplotły moje palce jak pasma włosów. Przesunęłam paznokciami wzdłuż wywietrznika, lekko, myśląc o tym, jak łatwo byłoby sprawić mu ból. Nikt by mnie nie powstrzymał. Wystarczyłoby otworzyć drzwi.

– Kto to zrobił? – spytał Ryzek. – Kto podał mi truciznę?

– Już ci mówiłam. Ja.

Potrząsnął głową.

– Nie. Trzymałem swoje zapasy mikstur z lodokwiatów pod kluczem od pierwszej próby zamachu na moje życie, w którym uczestniczyłaś. – Uśmiechał się szyderczo. – A mówiąc „pod kluczem”, mam na myśli zamek genetyczny, który może otworzyć tylko krew Noaveków. – Odczekał i dodał: – I którego ty, jak wiemy oboje, nie potrafiłaś i nie potrafisz otworzyć.

Zaschło mi w ustach. Patrzyłam na niego przez wąski otwór. Oczywiście, po pierwszym zamachu pewnie obejrzał nagranie z kamer,

widział, jak bez skutku walczę z zamkiem do jego pokoju.

– Co masz na myśli? – spytałam cicho.

– W naszych żyłach nie płynie ta sama krew – odparł, wyraźnie akcentując każde słowo. – Nie należysz do rodziny Noaveków. Jak myślisz, dlaczego kazałem wstawić te zamki? Ponieważ wiedziałem, że może je otworzyć tylko jedna osoba: ja.

Przed zamachem nigdy nie próbowałam przejść przez te drzwi, wolałam trzymać się od niego z daleka. A nawet gdybym próbowała, na pewno wymyśliłby jakieś wygodne kłamstwo na tę okoliczność. Zawsze miał jakieś kłamstwo w zanadrzu.

– Jeśli nie, to kim jestem? – spytałam ostro.

– A skąd mam wiedzieć? – Zaśmiał się. – Z rozkoszą patrzę na twą niepewną minę. Wybuchowa, emocjonalna Cyra. Kiedy nauczysz się kontrolować reakcje?

– Mogłabym spytać ciebie o to samo. Twoje uśmiechy stają się coraz mniej przekonujące, Ryz.

– Ryz. – Znowu się zaśmiał. – Myślisz, że zwyciężyłaś, ale to nieprawda. Prócz twego pochodzenia są jeszcze inne rzeczy, o których nigdy ci nie mówiłem.

W moim wnętrzu szalała burza. Stałam jednak nieporuszenie, patrzyłam, jak jego wargi rozchylają się w tym charakterystycznym uśmiechu, jak marszczą się kąciki jego oczu. Uważnie przyglądałam się tej twarzy, szukając śladów pokrewieństwa. Bez skutku. Nie byliśmy do siebie podobni, ale to jeszcze nic nie znaczyło – czasem rodzeństwo dziedziczy cechy tylko jednego z rodziców czy któregoś z dalszych przodków, ożywiając dawno zapomniane geny. Albo mówił prawdę, albo bawił się moim kosztem. Tak czy inaczej, nie zamierzałam dać mu satysfakcji.

– Ta desperacja – powiedziałam cichym głosem – zupełnie do ciebie nie pasuje, Ryzeku. Jest wręcz nieprzyzwoita.

Przytknęłam czubki palców do wywietrznika.

Ale i tak usłyszałam, jak mówi:

– Nasz ojciec... – urwał, a potem się poprawił: – Lazmet Noavek żyje.

SPOJRZAŁ PRZEZ OKNO NA CIEMNE NIEBO. Po lewej stronie rozciągał się fragment Thuvhe, biały od śniegu i chmur. Nic dziwnego, że w Shotet nazywano ich planetę „Urek”, co znaczyło „pusta”. Z tej wysokości rzeczywiście robiła wrażenie całkowicie opustoszałej.

Cisi podała mu kubek herbaty. Sądząc po żółtozielonej barwie, był to napar dodający hartu ducha. Akos niezbyt dobrze umiał przyrządzać akurat tę mieszankę, większość czasu poświęcał szakwiatom, używanym w środkach nasennych bądź przeciwbólowych. Smak był dość niewyraźny, gorzkawy, jak świeża złamana łydga, lecz napar uspokoił go i podziałał zgodnie z przeznaczeniem.

– Jak tam Isae? – spytał.

– Isae jest... – Cisi zmarszczyła brwi. – Chyba mnie usłyszała, na jakimś poziomie poza swoją rozpaczą. Ale zobaczymy.

Akos w to nie wątpił, obawiał się jednak, że wcale nie będą chcieli tego zobaczyć. Widział w oczach Isae nienawiść, kiedy patrzyła na Cyrę, stojącą obok martwego ciała jej siostry. Niezależnie od uczuć łączących Cisi z kanclerz Thuvhe jedna rozmowa nie mogła tej nienawiści złagodzić.

– Będę próbowała dalej – powiedziała Cisi.

– To charakterystyczna cecha wszystkich moich dzieci – stwierdziła mama, wchodząc po metalowych stopniach prowadzących na pokład nawigacyjny. – Są niezwykle wytrwałe.

Powiedziała te słowa z uśmiechem. Posługiwała się dziwną metodą, jeśli chodzi o prawienie komplementów. Akos zastanawiał się, czy liczyła właśnie na jego wytrwałość, kiedy tak nimi pokierowała, że dotarli zbyt późno do podziemnych celi. A może naprawdę nie przypuszczała, że Eijeh pokrzyżuje jej plany. Cóż, pewnie nigdy się tego nie dowie.

– Czy Eijeh odzyskał przytomność? – spytał.

– Owszem. – Westchnęła. – Ale wciąż patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem. Chyba w ogóle nie słyszał, co do niego mówię. Nie wiem, co Ori mu zrobiła, zanim... no.

Akos przypomniał sobie ten obraz, Eijeh i Ori na podwyższeniu. Sposób, w jaki powiedziała „żegnaj”, jakby to on odchodził, nie ona. I tak się stało, odszedł, ponieważ go dotknęła. Co potrafił jej dotyk? Akos nigdy jej o to nie pytał.

– Musimy cierpliwie czekać. Zobaczymy, czy uda nam się wykorzystać Ryzeka, by go przywrócił. Cyra chyba ma kilka pomysłów, jak to zrobić. – Dodała Sifa.

– Z pewnością – rzuciła Cisi ponuro.

Akos upił herbaty i poczuł coś w rodzaju ulgi. Eijeh wy dostał się z Shotet, Cisi i Sifa żyły. Znajdował pewne pocieszenie w myśli, że wszyscy mężczyźni, którzy zaatakowali ich dom i zabili ojca, już odeszli. Stali się znakami na jego ramieniu. No prawie, jeszcze nie zdążył wyciąć Vasa.

Statek zatoczył koło, tak że teraz było widać mniej Thuvhe, a więcej pustej przestrzeni, ciemnej, nie licząc cętek gwiazd i blasku dalekiej planety. Zold, o ile dobrze zapamiętał mapę, co wcale nie było takie pewne. Nigdy za bardzo nie przykładał się do nauki.

Ciszę przerwała Isae. W końcu wyszła z kambuza. Wyglądała lepiej niż kilka godzin wcześniej. Włosy związała z tyłu i zamieniła poplamiony krwią sweter na czystą koszulkę. Miała też czyste ręce, także pod paznokciami. Przystanęła na brzegu pokładu nawigacyjnego, krzyżując ramiona na piersi i szeroko rozstawiając nogi.

– Sifo – powiedziała. – Wyprowadź nas z orbity i ustaw autonawigację na Siedzibę Zgromadzenia.

Sifa usiadła w fotelu kapitana i zapytała, starając się zachować swobodny ton, co zupełnie jej nie wyszło:

– Dlaczego tam?

– Ponieważ po pierwsze, muszą się dowiedzieć, że żyję. – Isae rzuciła wyroczni zimne taksujące spojrzenie. – A po drugie, mają tam cele, do których można wsadzić Ryzeka i Eijeha, do czasu aż zdecyduję, co z nimi zrobić.

– Isae... – zaczął Akos. Ale właściwie wszystko powiedział już wcześniej.

– Nie wystawiajcie mojej cierpliwości na próbę, bo przekonacie się, że ma ona swoje granice. – Isae znakomicie odgrywała swą rolę

kanclerz Thuvhe. Znikła gdzieś łagodna kobieta, która przekonywała go, że wciąż należy do jej ludu. – Eijeh jest obywatelem Thuvhe. I tak zostanie potraktowany, podobnie jak wy wszyscy. Chyba że, Akosie, chcesz się ogłosić obywatelem Shotet. Wówczas potraktuję cię tak jak pannę Noavek.

Nie był obywatelem Shotet, nie zamierzał też się kłócić. Ze względu na jej żalobę.

– Nie – odparł. – Nie chcę.

– Świetnie. Autonawigacja nastawiona?

Sifa wyciągnęła ekran nawigacyjny, po którym poruszały się małe zielone litery i wpisała współrzędne. Potem odchyliła się na oparcie.

– Tak. Będziemy na miejscu za kilka godzin.

– Do tej pory pilnuj, by Ryzek Noavek i Eijeh nie wymknęli się spod kontroli – nakazała Akosowi. – Nie mam ochoty o nich słyszeć, zrozumiano?

Skinął głową.

– Dobrze. Będę w kambuzie. Sifo, daj znać, kiedy zaczniemy schodzić do lądowania.

I odmaszerowała, nie czekając na odpowiedź. Czuł wibrowanie jej kroków na metalowej kracie.

– W każdej wersji przyszłości widziałam wojnę – powiedziała nagle Sifa. – Nurt wiedzie nas ku niej. Gracze się zmieniają, rezultat pozostaje ten sam.

Cisi wzięła za rękę mamę, a następnie Akosa.

– Ale teraz jesteśmy razem.

Zatroskana mina Sify ustąpiła uśmiechowi.

– Tak, teraz jesteśmy razem.

Teraz. Na krótką chwilę – był tego pewien – ale to zawsze coś. Cisi oparła głowę na jego ramieniu. Mama znów się uśmiechnęła. Niemal słyszał szelest piórzycy ocierającej się na wietrze o szyby w ich domu. Ale nie umiał odpowiedzieć uśmiechem.

Statek buntowników zaczął oddalać się od Thuvhe. Przed nimi widniał skłębiony puls nurtu płynącego poprzez galaktykę. Łączył wszystkie planety i chociaż wydawał się nieruchomy, każdy człowiek czuł jego śpiew w swojej krwi. Mieszkańcy Shotet wierzyli nawet, że dał



im język, tylko im znaną melodię, i chyba coś w tym było. Była to melodia zapisana w genach. On sam stanowił tego najlepszy przykład.

W tej chwili Akos czuł – słyszał – wyłącznie ciszę.

Otoczył ramieniem plecy Cisi. Popatrzył na wyryte na swym ramieniu znaki. Być może były znakami straty, jak twierdziła Cyra, lecz teraz, stojąc obok najbliższych osób, uświadomił sobie coś bardzo ważnego: straty można odzyskać.

## **Dziękuję, dziękuję, dziękuję.**

Pragnę, by podziękowania przyjęli:

Nelson, mój mąż i przyjaciel, za wywoływanie burz mózgów, za lekturę wczesnych wersji książki i za dzielenie ze mną cudacznego i wspaniałego życia.

Katherine Tegen, moja redaktorka, za wszystkie notatki i zmiany w tekście, za upór, by uczynić tę książkę jak najlepszą, za niezwykle wycucie i za serce.

Joanna Volpe, agentka, ponieważ wiedziała, że to jest dobry pomysł, i ponieważ była mi sterem. Dziękuję również za Szczerą Rozmowę oraz za wszystkie dziwaczne gify. Bardzo je lubię.

Danielle Barthel, za cierpliwe przypominanie, że to ja ponoszę odpowiedzialność, za opinie i wszystkie zwariowane piątkowe rozmowy. Kathleen Ortiz, za nieustające wysiłki, by ta książka znalazła dom w tylu krajach. Pouya Shahbazian, za to, że jest dobrym człowiekiem, za zdjęcia uroczych dzieci i za niezwykle trafne spostrzeżenia. I wszyscy pozostali w New Leaf Literary Agency, za wsparcie i rewelacyjną pracę w krainie książek (oraz filmów).

Rosanne Romanello, za stawianie mnie do pionu, planowanie z wyprzedzeniem i popychanie do rozwoju. Nellie Kurtzmann, Cindy Hamilton, Bess Braswell, Sabrina Abballe, Jenn Shaw, Lauren Flower, Margot Wood i Patti Rosati z marketingu, za cierpliwość i elastyczność (specjalne podziękowania za SIATKĘ BESS!). Josh Weiss, Gwen Morton, Alexandra Rakaczki, Brenna Franzitta i Valerie Shea za niezrównane wyczyny redakcyjno-korektorskie, szczególnie w zakresie logiki i spójności w tworzeniu nowych słów. Andrea Pappenheimer, Kathy Faber, Kerry Moynagh, Heather Doss, Jenn Wygand, Fran Olson, Deb Murphy, Jenny Sheridan, Jessica Abel, Susan Yeager z działu sprzedaży, Jean McGinley z działu praw zależnych, Randy Nosema i Pam Moore, spece od finansów, Caitlin Garing od audiobooków, Lillian Sun z produkcji i Kelsey Horton z redakcji, za całą ciężką pracę (!!!), sympatię i wsparcie. Joel Tippie, Amy Ryan, Barbara Fitzsimmons i Jeff Huang, za wspaniały wygląd książki. Nie mogłabym wymarzyć

sobie lepszego. I, oczywiście, Brian Murray, Suzanne Murphy i Kate Jackson, dzięki którym siedziba wydawnictwa HarperCollins stała się moim drugim domem.

Margaret Stohl, Jedi Knight i kobieta, którą chcę zostać, kiedy dorosnę, za troskliwą opiekę nad moim mózgiem. Sarah Enni, za to, że jest świetną kumpelą, drugim czytelnikiem i znakomitą babką. Courtney Summers, Kate Hart, Debra Driza, Somaiya Daud, Kody Keplinger, Amy Lukavics, Phoebe North, Michelle Krys, Lindsey Roth Culli, Maurene Goo, Kara Thomas, Samanta Mabry, Kaitlin Ward, Stephanie Kuehn, Kirsten Hubbard, Laurie Devore, Alexis Bass, Kristin Halbbrook, Leila Austin i Steph Sinkhorn, za nieustające wsparcie, humor i szczerłość. Ależ ja was uwielbiam. Tori Hill, za ekspercką wiedzę w dziedzinie opieki nad (neurotycznymi) pisarzami i żywienia tychże. Brendan Reichs, mój konspirator, za to, że zadbał o klasę. I wszyscy ludzie z YALL, za to, że dwa razy do roku pozwalają mi tworzyć szalone arkusze kalkulacyjne. Za beznadziejne przypadki w mojej skrzynce odbiorczej, by mi pokazać, że nie jestem sama.

Alice, MK, Carly i wszyscy inni nie-pisarze w moim życiu, którzy muszą godzić się z moimi tendencjami do pustelnicstwa i przypominać, że praca to nie życie, a życie to nie praca.

Mama, Frank III, Ingrid, Karl, Frank IV, Candice, Dave, Beth, Roger, Tyler, Rachel, Trevor, Tera, Darby, Andrew, Billie i Fred: jeśli w moich książkach widać obsesje związane ze znaczeniem rodziny, to właśnie przez was.

Katalin, za to, że nauczyła mnie zadawać ciosy – moje sceny walki znacznie zyskały na autentyczności! Paula, za wszystkie genialne słowa, które pozwoliły mi lepiej o siebie zadbać.

I wszystkie kobiety, które znam i które cierpią z powodu chronicznego bólu, za to, że pozwoliły mi odnaleźć Cyrę.

I dziewczyny, ponieważ jesteście cudowne, inspirujące i dlatego, że po prostu na to zasłużyłyście.

